

LLOYD C.  
**DOUGLAS**

**WIELKI RYBAK**

przełożyła  
Zofia Kierszys

Instytut Wydawniczy PAX  
Wydawnictwo Misjonarzy Klaretynów PALABRA  
Warszawa 1996

Tytuł oryginału *The Big Fisherman*

© Copynght 1948 by Lloyd C. Douglas

© Copynght for the Polish translation by **Zofia Kierszys**, Warszawa  
1996

Projekt graficzny serii *Adam Olchowik* Ilustracja na okładce  
*Marek Szal* Redaktor *Maria M. Mogielnicka* Redaktor  
techniczny *Ewa Dębicka*

Był początek lata, słońce stało pośrodku nieba nad południowymi górami Arabii. Domenę króla, leżącą o dwanaście mil na wschód od Morza Martwego, wysoko nad jego poziomem, osłaniały masy nieruchomych białych obłoków.

Owej zimy na całą tę krainę spadły niezwykle obfite śniegi. Zapowiadało to okres pomyślności dla wszystkich. Kłótnie międzyplemienne i głosy niezadowolenia prawie ucichły. Arabia spodziewała się lata stosunkowo spokojnego.

Widoczny z głównego wejścia do obozowiska króla rozfalowany płaskowyż był teraz wspaniałym pastwiskiem, gdzie chyba z tysiąc świeżo "strzyżonych owiec, nie bacząc nawet na jagnięta, które natarczywie trącały je pyszczkami, pasło się tak żarłocznie, jakby instynkt im mówił, że w przyszłym roku może panować głód.

Perspektywa głodu była całkiem prawdopodobna — wiadomo, rządzące śniegiem moce są nieobliczalne. Prawie nigdy na jednym i tym samym obszarze nie następowały dwie śnieżne zimy z rzędu. To właśnie tłumaczyło koczownicze nawyki tego ludu. Nikt tutaj nie posiadał nieruchomości, nikt nie budował sobie stałej siedziby. Wszyscy mieszkali w namiotach i wraz ze stadami wędrowali za śniegiem i trawą. Wszyscy oprócz króla, którego obozowisko pozostawało niezmiennie na swoim miejscu. Gdy u króla panowała susza, plemiona śpieszyły mu z pomocą.

I mało kto uskarżał się kiedykolwiek na takie opodatkowanie. Korona Arabii była nie tylko ozdobą ku uświetnieniu uroczystości. Król w tym kraju był) niezbędnym. Na daniny i oddawane

mu honory w pełni zasługiwał. Królowanie wymagało siły i odwagi, umiejętności postępowania z niespokojnymi, często skłóconymi plemionami, znanymi na całym Wschodzie z porywczosci i mistrzowskiego władania nożem.

Od dawna już nie panował w Arabii człowiek tak mocny fizycznie i duchowo jak król Aretas. Szanowano jego bezwzględną sprawiedliwość, jednaką wobec biednych i wobec bogaczy, to, że nie faworyzował nikogo. Podziwiano jego stanowczość, lękano się królewskiego zmarszczenia brwi i — na ogół — przestrzegano jego zarządzeń.

Oczywiście trudno twierdzić, że Arabowie kochali Are-tasa. Z kolei on nie mógł zabiegać o ich przywiązanie; chciał od nich tylko posłuszeństwa, lojalnej gotowości zawsze i wszędzie. Byli jednak tacy, którzy serdecznie kochali tego małomównego, surowego człowieka.

Przede wszystkim kochała go osierocona przez matkę jego córka, Arnon. On też darzył ją uczuciem tak tkliwym, że zdumiałoby to szejków, nieraz oniemiałych ze strachu przed srogością króla. I kochał go stary Kedar, poznaczony bliznami weteran wielu bitew, który uczył go, chłopaczka wówczas dziesięcioletniego, jeździć konno, a w parę lat później strzelać z prawdziwego łuku, i zawsze pełen wielbiącego uszanowania chodził za nim, najpierw królewiczem, potem królem, krok w krok. I kochało Aretasa dwunastu doradców, którzy cieszyli się mniejszym lub większym jego zaufaniem — zwłaszcza Ilderan, przewodniczący Rady Królewskiej. Wszyscy przypuszczali, że najstarszy syn Ilderana, młody Zendi, zostanie mężem królowej Arnon, podobno bardzo w niej z wzajemnością zakochany, i że ich zaślubiny odbędą się niebawem, skoro królowa właśnie ukończyła lat szesnaście.

Członkowie plemion, chociaż w innych kwestiach dosyć rzadko zgadzali się ze sobą, pochwalali miłość tych dwojga jednomyślnie. Nie tylko dlatego, że Arnon słynęła z urody, a Zendi z szaleńczej niemal odwagi, ale nade wszystko dlatego, że małżeństwo tej pary mogło mieć wielkie znacze-

nie. Kto wie, myśleli, czy nie nadejdzie dzień, w którym Zendi zasiądzie na tronie, bo jeśli król Arabii nie pozostawi męskiego potomka, korona przechodzi na ród przewodniczącego Rady. Ilderan liczy sobie prawie sześćdziesiąt lat. Gdyby coś stało się Aretasowi, a to niewykluczone, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa, wśród jakich żyje, waleczny Zendi mógłby zostać jego następcą. Ogólnie by go a-probowano. Cała Arabia oczekiwała niecierpliwie zaślubin córki królewskiej. Wielkie uroczystości trwałyby przez tydzień — zawody, wyścigi, ucztowanie.

W cieniu kępy wierzb nad źródłem, nie opodal królewskiego obozowiska, Arnon czekała na powrót ojca, który wczesnym rankiem wyjechał do oddalonego o siedem mil na wschód obozu Uderana. Jedząc z nim śniadanie, ledwie słońce wzeszło, stwierdziła, że jest markotny i milczący.

— Masz jakieś kłopoty, ojcze? — odważyła się zapytać.

Król zwlekał z odpowiedzią. Wolno podniósł wzrok i zamyślony patrzył w ścianę namiotu za córką.

— Nic, o czym ty byś nie wiedziała — odrzekł zdawkowo.

Arnon nie pytała więcej. Zjadł śniadanie pospiesznie. Wychodząc z namiotu, odwrócił się i powiedział:

—Zasięgnę rady Uderana. Wrócę po południu.

Arnon, samotna w cieniu wierzb, długo się zastanawiała, co to za sprawa. Może ma to związek z wiadomością, którą ojciec dostał wczoraj? Oczywiście nie było nic niezwykłego w przybyciu gońca. Gońcy zjawiają się prawie codziennie. Ale ten wczorajszy — widziała go, gdy odjeżdżał — przybył najwidoczniej z daleka. Towarzyszyło mu sześciu ludzi z osłami, obładowanymi wyposażeniem podręcznym. Po jego odjeździe ojciec odszedł do swego namiotu. Wyraźnie chciał być sam.

Przechadzając się niespokojnie pod wierzbami, Arnon usiłowała zgłębić tę zagadkę. Nagle czarne jej oczy zajaśniały. Pełnym galopem nadjeżdżał ojciec na swym białym ogierze. Stała przy starym, z dawien dawna używanym szlaku, wysoko podniosła kształtne ręce. Aretas ściągnął trochę konia, pochylił się w lewo i obejmując jej cienką kibić, dźwignął ją na siodło. Śmiała się cicho, przyciskając policzek do krótkiej szpakowatej brody ojca. Wszystko odbyło się bez jednego słowa. Dopiero po chwili zapytała szeptem:

—Coś bardzo poważnego leży ci na sercu, ojcze?

Ogier rwał się do obozowiska. Aretas znów go ściągnął, żeby jechać wolniej.

- Dostałem dziwną wiadomość od Heroda, króla Żydów — powiedział. — Herod chce porozmawiać ze mną osobiście. Za dwa tygodnie w Petrze.
- Ojcze, to wspaniale! — wykrzyknęła Arnon. — Zawsze mówiłeś, że chcesz zobaczyć to piękne miasto! — Widząc jednak, że ojciec nie okazuje entuzjazmu, zapytała: — Ale pojedziesz, prawda?

- Tak. Myślę, że sprawa jest dosyć ważna.
- Przecież z Jerozolimy do Petry daleko. Ciekawe, dlaczego król Żydów chce, żeby ta rozmowa odbyła się właśnie tam?

—Może chodzi o coś, co dotyczy także i Petry.

Nastąpiła chwila milczenia, zanim Arnon odezwała się znowu:

- To chyba pierwsza wiadomość, jaką dostałeś od króla Żydów.
- Rzeczywiście pierwsza! Pierwsza, która przeszła przez naszą granicę od...
- Od stu lat — spróbowała zgadnąć Arnon.
- Od tysiąca — powiedział Aretas. — Od tysiąca kilkuset lat.
- Więc co sądzisz o tym, ojcze? Czegóż może chcieć od nas król Żydów?

Aretas potrząsnął głową. Dojeżdżali już do obozowiska. Strażnicy wyszli królowi na spotkanie. Gdy Arnon wysunęła się z objęć ojca, delikatnie postawił ją na ziemi. Król zsiadł z konia, kazał go zabrać, po czym skinął na starego Kedara.

—Przygotujesz wyprawę do Petry. Wyruszymy w trzecim dniu tygodnia. Będą mi towarzyszyć doradcy i oddział dwudziestu konnych. Zabawimy w Petrze może jeden dzień, może dziesięć dni, jeszcze nie wiadomo. Doradców powiadomi Ilderan. Ty zajmij się przygotowaniem.

- Paradne namioty? — zapytał Kedar dając tym do

zrozumienia, że poprzedniego dnia bystrym starym okiem dostrzegł insygnia królewskie zdobiące ekwipunek cudzoziemskiego gońca.

- Nie — odrzekł Aretas. — Weźmiemy zwykłe wyposażenie, z jakim jeździmy w odwiedziny do plemion.

Kedar skłonił siwą głowę, wyraźnie rozczarowany. Zapewne chętnie by powiedział, że jeśli to ma być sprawa wielkiej wagi, Aretas powinien zaprezentować się bardziej po królewsku. Już miał odejść, gdy król dorzucił dosyć szorstko:

—I... Kedarze, chociaż może domyślasz\* się, po co jedziemy do Petry, gdyby ktoś pytał ciebie, co się święci, odpowiadaj, że nie wiesz. Zresztą nie wiesz naprawdę.

W swoim namiocie król zaczął znów dumać nad intrygującym zaproszeniem. Co było powodem, że pyszny, nadęty Herod puścił w niepamięć odwieczną wrogość ich narodów?

Nieprzerwanie od piętnastu stuleci Arabowie i Żydzi pomimo sąsiedowania ze sobą na mapie — granicę stanowi kręta rzeczka, którą w środku lata może przejść w bród mały chłopiec — są nieubłaganymi wrogami. Ta stara nienawiść nie wynika z różnic rasowych, chociaż one w dużym stopniu są jej przyczyną. Zapoczątkowało ją pewne zdarzenie w czasach tak odległych, że nikt nie wie, ile z tej historii jest mitem, a ile prawdą. Ale właśnie opowieść o owym zdarzeniu — niechby nawet była na pół zmyślona — tłumaczy, dlaczego te narody nienawidzą się tak zawzięcie.

Według opowieści, którą przy arabskich ogniskach śpiewają wędrowni pieśniarze, pewien mądry i bogaty człowiek zaryzykował wyprawę z

Chaldei na równinę Mamre. Długo ciągnie się ta historia, bo pieśniarze zawsze przy tym składają wymyślny hołd Ziemi Chaldejskiej, kolebce mędrców i jasnowidzów, astrologów i wyroczni: w Chaldei ludzie mają sny prorocze, a niebiosy powierzają im swe tajemnice. Otóż Abraham, wyróżniony spośród nich z racji

swojej uczoności, otrzymał Boskie polecenie, że ma udać się w daleką drogę na południe, a tam z jego nasienia powstanie nowy naród.

Ale proroctwo mogło się nie spełnić, lata bowiem mijały, a on nie miał potomstwa. Sara, jego starzejąca się żona, była bezpłodna.

Żeby proroctwo się spełniło, zatroskany Abraham związał się za zgodą żony z piękną młodą niewolnicą, jej służebną. Ta urodziła mu syna. Nazwali chłopca imieniem Izmael. Był on ładnym, upartym, śmiałym dzieckiem, bardzo podobnym do swej matki, którą kochał namiętnie. Sara, oczywiście, nie lubiła go. Ojciec podziwiał jego żywość i odwagę, ale będąc już w sędziwym wieku miał z nim wciąż utrapienia i bolał nad tym, że nie może oddawać się pobożnym medytacjom w spokoju.

Minęło lat czternaście i nagle Sara sprawiła wszystkim niespodziankę, również wydając na świat syna. Nazwali go imieniem Izaak. Był to chłopiec niesforny. Miał wadę wzroku. Taką wadę, że w późniejszym wieku zupełnie oślepl. Nie mógł dorównać swemu silnemu, zdrowemu bratu. Choć początkowo panowała zgoda, nieunikniony konflikt szybko narastał. Sara nie czyniła już żadnych wysiłków, żeby się pohamować w zacieklej nienawiści do młodej Hagar i jej rozhukanego syna.

— Tych dwoje — wybuchnęła wreszcie — musi stąd odejść! Dzisiaj!



Zaraz!

Pełen złych przeczuć Abraham poprowadził Hagar wraz z chłopcem na skraj swojej ziemi, dał — oszołomionej kobiecie bochenek chleba i bukłak wody i wskazał jej kierunek na południe w stronę gór. Ani jedno słowo nie padło. Abraham odwrócił się i wolno odszedł do swych namiotów. Hagar nawet nie obejrzała się za siebie.

Wędrowni pieśniarze, opiewający te dawne dzieje, które w ciągu stuleci nie zatraciły uroku, twierdzili, że Izmael tamtego dnia stał się dorosłym mężczyzną. Może to lekka przesada, chociaż doznał takiego wstrząsu, że z pewnością osiągnął szybciej dojrzałość. W każdym razie przysiągł wtedy matce, że odtąd on i jego potomni będą po wsze czasy wrogami wszystkich potomków Abrahama i Sary.

## 10

Szukając schronienia wśród dzikich plemion koczowniczych, pasterzy i hodowców wielbłądów w górach południowych, Izmael swym zuchwalstwem budził w nich podziw, swą bezwzględnością zmuszał ich do posłuszeństwa, szybko więc utorował sobie drogę do władzy nad nimi. Niełatwa to sprawa stworzyć z wielu różnych plemion jeden naród, ale zanim gwałtowny, nieulekły syn Hagar ukończył trzydzieści lat, ci zażarci w walce, niezmordowani dzicy jeźdźcy pustyni chwalili się, że są „Iz-maelitami”. Na dźwięk tej nazwy lęk i szacunek odczuwali jednako władcy i rabusie wszędzie od rzeki Jordan aż po Morze Śródziemne, od Damaszku aż do Gazy. Czas mijał, dziki nowy naród zaczęto nazywać Arabami, co znaczyło „Ludzie Zaczajeni”.

Potomkowie Izaaka i jego bardziej zaradnego, ale mniej skrupulatnego syna Jakuba po rozlicznych wędrówkach i nieszczęściach — łącznie z

długim okresem upokarzającej niewoli w Egipcie — wrócili na swoją Ziemię Obiecaną, której granicę zachodnią stanowiło najruchliwsze morze świata, a za której skrajem wschodnim rozciągała się już w odległości strzału z łuku domena Ludzi Zaczajonych. Gdy przybysze z obcych stron pytają: „Dlaczego Żydzi i Arabowie tak zażarcie się nienawidzą?”, pada odpowiedź: „W świętych prorocत्वach napisano, że te narody żyć będą we wzajemnej wrogości po wsze czasy”.

Nic więc dziwnego, że gdy już dochodzi do spotkania wrogich sobie potomków ojca Abrahama, nie ma mowy o żadnych uśmiechach ani pozdrowieniach. Nigdy nie przełamują oni razem chleba, nigdy nie udzielają jedni drugim pomocy, nawet jeśli to jest konieczne. Niezbędne sprawy załatwiają ze sobą krótko i gburowato, po czym odwracają się i głośno spluwają na ziemię. Walki między nimi zdarzają się nieczęsto, ale jeśli już się zdarzają, podobno lamparty wychodzą z kryjówek, żeby się od nich uczyć nowych sposobów drapieżności. Często natomiast te swarliwe dzieci Abrahama kłócą się gestykułując i wrzeszcząc, lżąc bardzo płynnie, bo oba ich języki, wyrosłe z jednego pnia, obfitują w obelżywe słowa i umożliwiają pomysłowy dobór soczystych obelg. Żaden z tych dwóch narodów

**u**

nigdy nie wysyła swoich przedstawicieli na dwór drugiego. Po prostu te królestwa nie uznają nawzajem swego istnienia.

Jednakże handel między nimi pomimo nienawiści nie ustaje. Gorliwi kupcy z jednej i z drugiej strony raz po raz wypuszczają się za rzekę Jordan, żeby po kryjomu prowadzić handel wymienny, który by wprowadził w zdumienie i wściekłość ogół ich ziomków. Kupcy żydowscy, z natury

podróżnicy, spokojnie przechodzą brodem przez rzekę, prowadząc zwierzęta juczne, obładowane towarami z odległych krajów, i nigdy nie brakuje im bogatych arabskich klientów, gdy przywożą jedwabie i aksamity, cienkie płótno, ozdoby ze złota i drogich kamieni, zioła lecznicze, korzenie i inne towary egzotyczne. Zgodnie z obyczajem targi prowadzi się bardzo ponuro i niegrzecznie, a przecież kosztowny ładunek zawsze zmienia właścicieli, po czym osły juczne wracają przez rzekę pod wschodzącym księżycem wolne już od brzemienia.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat nastąpiło nawet coś w rodzaju rozejmu handlowego, tak że arabscy hodowcy wielbłądów przyprowadzali swe drogie, przepiękne zwierzęta na słynną wystawę żywego inwentarza i aukcję, która raz w roku odbywała się na niegdysiejszym placu musztry w pobliżu Jerozolimy w żydowską Pięćdziesiąt-nicę.

Właśnie dzięki wspaniałym arabskim wielbłądom zaczęto mówić o tej wystawie na całym Wschodzie. Bogaci Rzymianie, zawsze ze sobą współzawodnicząc i chcąc błysnąć największym przepychem zbytkownych orszaków w cesarskim mieście, przysyłali swych rządców po zakup najpiękniejszych okazów bez względu na cenę. Żydzi dobrze wiedzieli, że targi wielbłądzie przyciągają do Jerozolimy pożądanych klientów z daleka, starali się więc zapomnieć — na ten jeden dzień w roku — że owe budzące ich zawiść wielbłądy są arabskie. Ze swojej strony Arabowie, szczęśliwi posiadacze drogocennego towaru, udawali nieświadomych — przez ten jeden dzień w roku — że ubijają interesy na ziemi Izraela. Patrzyli spode łba, złorzeczyli i spluwali, ale byli tam z wielbłądami.

Ten handel, zyskowny zarówno dla kupców jerozolim-

kich, jak dla hodowców z Arabii, skończył się jednak dramatycznie rok temu. Spowodował to niefortunny incydent. Na przetarg w Pięćdziesiątnicę zjechało się wielu zamożnych cudzoziemców: Rzymian, Egipcjan, Damasceń-czyków, Cypryjczyków, Greków z Petry i Aszkalonu. Licytowali oni wręcz niebacznie. W myśl obyczaju wystawiano bowiem najpierw sztuki najmniej wartościowe. W miarę jak popołudnie mijało, podniecenie rosło, oczarowany tłum, w którym większość już wydała swoje zasoby na te wcześniej wystawione wielbłądy, wstrzymywał dech ze zdumienia.

Najpiękniejsze zwierzę zaprezentowano dopiero wtedy, gdy wszystkie inne wielbłądy zostały zakupione. Nie ulegało wątpliwości, że ten okazały, wysoki, brązowy trzylatek jest najwspanialszy ze stada. Na jego widok dwaj wytwornie ubrani mężczyźni, dotychczas nie biorący udziału w licytacji, przepchnęli się jednocześnie z dwóch różnych stron przez ciżbę, okazując wielkie zainteresowanie. Mało kto w tłumie rozpoznał ich, ale Grek Demos, zręcznie prowadzący licytację, wiedział, kim są ci ludzie, więc kolana się pod nim ugięły. Ogolony niemłody Rzymianin w opasce ze złotogłowi i w tunice z czarnym orłem na piersi był jednym z intendentów legata Warusa, wodza naczelnego wojsk Cesarstwa na Zachodzie. Surowy, siwobrody, szczupły Żyd w długiej czarnej szacie to był Joel, przedstawiciel niezwykle bogatego Szymona Machabeusza, którego wpływom Herod zawdzięczał swą mocną pozycję na tronie Judei, ponieważ ród Machabeuszy płacił większą część daniny ściąganej z tej prowincji przez Rzym, a Herod był na ich usługach.

Wódz Warus, znany powszechnie jako człowiek mający bardzo wysokie

mniemanie o sobie, uważał za rzecz zupełnie naturalną osiągnięcie wszystkiego, czegokolwiek zapragnie. Szymon Machabeusz pod tym względem był do niego bardzo podobny. Powstałaby sytuacja wysoce niezręczna, gdyby przedstawiciele tych dwóch wielmożów stanęli do współzawodnictwa, przy czym jeden z nich musiałby ostatecznie ustąpić. Wojny wybuchają wskutek bardziej błahych incydentów.

Demos pośpiesznie odwołał się do Arabów, wyjaśnił powagę sytuacji i zaproponował, żeby wycofali wielbłąda ze sprzedaży. Arabowie, chociaż rozczarowani, zgodzili się. Wspaniałe zwierzę wyprowadzono, a Demos oznajmił, że Arabowie zdecydowali się w ostatniej chwili zatrzymać przywódcę swego stada dla celów hodowlanych. Naraził tym synów Izmaela na duże przykrości. Tłum szydził. Śmignęło w powietrzu sporo kamieni. Gromadce nie lubianych Arabów trudno byłoby się obronić, wszyscy więc uciekli z pośpiechem.

Po powrocie do Arabii przedłożyli całą sprawę królowi Aretasowi. Król natychmiast wydał swoim poddanym stanowczy zakaz uczestniczenia w jakichkolwiek poczynaniach handlowych Żydów. Było to rok temu. Wiosną zaczęło się mówić, że Arabowie wystawiają swoje cenne stado na rynku Damaszku. Wieść rozeszła się szybko i daleko; w rezultacie w Pięćdziesiątnicę na przetargu żywego inwentarza w Jerozolimie bardzo niewielu było klientów, którzy uprzednio nadawali tej imprezie blask.

Gdy król Aretas omawiał z mądrym starym Ilderanem niewiarygodną prośbę Heroda o spotkanie w Petrze, Ilderan po dość długim namyśle powiedział:

- Może on chce, żebyśmy znów przyprowadzili nasze wielbłądy na jego targi w Pięćdziesiątnicę.

- Nie, mój zacny Ilderanie. Tu chodzi o coś ważniejszego niż wielbłądy.

Nigdzie nie było takiego miasta jak Petra. Nikt nie znał jej początków, nie wiedział, jak dawno temu powstała. Istniała, być może, od tysiąca lat. Z pewnością gościła w swoich murach co najmniej cztery kolejne cywilizacje i miała kolejno tyleż różnych nazw. Teraz od trzech stuleci należała do bogatej kolonii greckich uchodźców, którzy uczyniwszy z niej swoją siedzibę nie szczędzili kosztów, aż stała się niesłychanie piękna. Drugie Ateny, bez ateńskich ruder i zapachów.

Petra była czymś więcej niż miastem, ponieważ obejmowała nie tylko dobrze zaplanowany obszar miejski, gdzie znajdowały się znakomite w swojej architekturze teatry, łaźnie, kilka fortów, świątynie i okazałe rezydencje, ale również szeroką dolinę, której żyzne pola i zielone łąki zraszała woda z niezliczonych źródeł.

Przyroda zabezpieczyła obronnie to państewko, czyniąc z niego naturalną twierdzę otoczoną zewsząd łańcuchem stromych skalistych gór. Dostęp do Petry umożliwiały tylko dwie bramy: zachodnia, stąd wydeptany głęboko szlak wielbłądzi wiódł do dalekiej Gazy i do drogi nadmorskiej, biegnącej na północ do Damaszku, i południowa od strony Morza Czerwonego. Dochodziło się do nich głębokimi wąwozami, których mogli bronić — i często bronili — przed bandami maruderów nieliczni strażnicy. Od dawna już to miasto nie musiało odpierać dużych najazdów — właściwie ani razu, odkąd przejęli je Grecy.

W ciągu wieków twierdza oczywiście budziła zawiść; zamieszkiwali ją

więc coraz to inni bogaci kupcy o różnych odcieniach skóry i mówiący różnymi językami. Dynastie ich rozkwitały i upadały, przy czym każda pozostawiała pomniki i grobowce, rozbijane następnie przez kolejnych zwycięzców i zastępowane jeszcze rozrzutniej pomnikami nowej władzy.

Zgodnie z tym, co w Arabii, gdzie nigdy nie przejmowano się zbytnio prowadzeniem kronik, uchodziło za historię, ostatni najazd na Petrę miał miejsce przed pięciuset laty, dokonany przez samych Arabów, którzy uznali, że kolej na nich, by wkroczyć i splądrować to stare bogate miasto, wówczas w rękach podupadającego szczepu Nabatejczyków. Owi Arabowie prawie bez żadnych strat własnych wypędzili mieszkańców, niedobitki po bezlitosnej rzezi, i zabrali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Nie osiedlili się w Petrze, byli koczownikami i niepotrzebne im były miasta.

Przez dwa stulecia mieszkaly tam tylko nietoperze i hieny, aż niejaki Andrakos, uchodząca przed najazdem Rzymian, szukając schronienia wraz z dużą grupą zamożnych Ateri-czyków, zaproponował królowi Arabii, Retarowi, wysoką cenę za to opuszczone miasto. Retar chętnie zgodził się na takich nowych sąsiadów i pewny, że oni, aż nadto znękani wojną, z pewnością nie będą kwapili się do podboju, obiecał im spokój ze strony Arabów. Jednocześnie dekretem

ostrzegł swój lud, że miasto Petra jest nietykalne. Do zarządzenia stosowano się skrupulatnie, nie tylko dlatego, że król Retar cieszył się wielkim szacunkiem, ale i dlatego, że karą za zakłócenie spokoju Petry miało być publiczne ukamienowanie. Dotrzymany przez Arabię pakt pokojowy dawał gwarancję bezpieczeństwa, toteż nowi panowie Petry mogli ją rozbudowywać i zdobić, marząc, że stanie się najpiękniejszym

miastem świata.

W bieżących stosunkach między Petrą i Arabią właściwie nie istniała żadna więź. Arabom Grecy z Petry wydawali się dziwakami, skoro czas im mijał na rzeźbieniu kamiennych posągów, malowaniu obrazów i czytaniu starych zwojów pergaminu, napisanych dawno temu przez ludzi równie gnuśnych jak oni. Takie zajęcia, zdaniem Arabów, niepiśmiennych realistów, były wprawdzie bezużyteczne, ale dosyć nieszkodliwe, jeżeli więc obywatele Petry chcieli w ten sposób marnować sobie życie, nikt nie musiał się do tego wtrącać. Ze swojej strony Petra wiedziała o Arabach tylko tyle, że hodują i ujeżdżają najświetniejsze, najbardziej ręczne konie, jakie można na świecie znaleźć; że ich pyszne wielbłądy — zbyt kosztowne, by dźwigać ciężary — są hodowane na wspaniałe parady, w których kroczą przystrojone w ozdoby ze srebra; że wełna ich wysokogórskich owiec cieszy się wielkim powodzeniem u najślynniejszych tkaczy w Cezarei, Koryncie i Rzymie, i wreszcie, że oni wcale nie interesują się twórczością artystyczną. Grecy i Arabowie, poza tym, że jedni i drudzy byli istotami ludzkimi, nie mieli ze sobą nic wspólnego: patrzyli na siebie protekcyjnie, nie bez politowania.

Gdy Aretas wstąpił na tron Arabii (tron stanowiła prastara skrzynia cedrowa, przykryta skórą dwóch białych długowłosych kóz), z Petry przybyła z okazałą świtą delegacja, żeby złożyć wyrazy sąsiedzkiego szacunku. Były to udane odwiedziny zarówno dla gości, jak dla gospodarza, dostojnicy z Petry spotkali się z bardzo gościnnym przyjęciem. Przywieźli w darze młodemu królowi bogato iluminowany zwój papiirusu, zawierający historię wojny peloponeskiej napisaną przez



Tucydyesa. W dowód wdzięczności Aretas, gdy delegacja odjeżdżała, obdarował sędziwego gubernatora

## 16

Petry wysokim, dorodnym wielbłądem, nazwanym Retar na cześć króla arabskiego, który tak zręcznie dobił interesu z Grekami w dawniejszych czasach. W kilka tygodni po koronacji, gdy z rozbawieniem doniesiono Aretasowi, że Retar przejawia krnąbrność, król powiedział:

— Jesteśmy więc kwita.

Przewodniczący Rady Królewskiej Ilderan, który miał instynkt męża stanu i dostateczne wyrobienie życiowe, by wiedzieć, jak korzystne może być utrzymywanie stosunków z innym narodem, nieraz namawiał młodego króla do złożenia wizyty w Petrze.

- Kto wie, czy nie nadejdzie chwila, miłościwy panie, gdy bliższa znajomość z tym ludem nam się przyda.
- Dobrze, Ilderanie — odpowiadał Aretaś — kiedyś tam pojedziemy.

Wciąż jednak czymś zajęty, nie znajdował czasu na wyjazd do Petry ani też nie miał ochoty narazić się na krytykę ludzi, których sposób życia i myślenia był mu tak obcy. Pewnego razu Ilderan, nadal pragnąc doprowadzić do zaprzyjaźnienia się z Grekami, napomknął, że Herod i jego synowie często bywają w Petrze.

— Tym mniejszą mam ochotę udać się do tego miasta — odpowiedział Aretas prawie gburowato. — Jeżeli król Żydów cieszy się względami gubernatora Petry, tym bardziej my powinniśmy trzymać się od Petry z daleka.

Słońca stało w zenicie, gdy arabska kawalkada dotarła do Petry od strony południa. Przed wylotem wąwozu czekał na gości oddział jaskrawo ubranych żołnierzy, który przeprowadził ich przez warowne wejście.

Po przebyciu trzech staj dobrze utrzymaną drogą wśród zielonych pastwisk, sadów i stojących gdzieś tam pięknych willi, goście wjechali na szczyt wysokiego wzgórza, skąd rozpościerał się wspaniały widok na miasto z białego marmuru. Zsiadli z koni, żeby dać im odpocząć. Aretas odszedł z Ilderanem od świty i przez kilka chwil bez słowa obaj oglądali malowniczą panoramę w dole.

Obozowisko króla Heroda, które rozpoznali od razu, już

2 — Wielki Rybak    .'-i,    i    , .■ , ' < 17

\    : ■ ' < .....?

było rozbite w rozległym ogrodzie pośrodku miasta. Zajmowało co najmniej trzy czwarte tego obszaru zieleni. Patrząc na przepych różnokolorowych namiotów i chorągwi, Aretas mruknął, że takiej krzykliwej okazałości nie spodziewał się po smętnych Żydach.

- Domieszka Rzymu, miłościwy panie — powiedział Ilderan. — Herod nie zapomina, czemu zawdzięcza koronę.
- Tak — burknął Aretas — to był szczęśliwy dzień dla tego dorobkiewicza z Idumei, gdy jego nieroztropny ojciec zatrzymał egipską strzałę wycelowaną w Kasjusza.
- Często się zastanawiam, miłościwy panie — mówił powoli Ilderan — czy Kasjusz szafowałby tak swoją wdzięcznością, gdyby wiedział, ile bogactw ci Idumejczycy zagarną w Judei.

- Cesarstwo zawsze może naprawić błąd popełniony przez szczodroblliwość — powiedział Aretas.
- To prawda... ale z tym nie ma pośpiechu. Herod przejął Jerozolimę zbudowaną z cegły wypalanej w słońcu i buduje ją teraz na nowo z granitu i marmuru. Stary August powinien być zadowolony, skoro on to robi na koszt Żydów. Poza tym — ciągnął Ilderan — Judea płaci wygórowaną daninę. Czemuż by cesarz miał przysłać tam wojsko, zabić tę kurę znoszącą mu złote jajka?
- Ale i tak Heroda na pewno dręczą złe sny... Pojedzie my już do miasta, Ilderanie?

Sędziwy doradca nie ruszył się. Wskazując ręką obozowisko Żydów zauważył:

- Herod zostawił nam tylko sam róg ogrodu, miłościwy panie. Celowo. Spodziewa się, że nam ten skrawek wystarczy.
- Nie damy Herodowi satysfakcji — odparł Aretas. — Rozbijmy namioty tu, gdzie jesteśmy... na wzgórzu. Zgoda?

Ilderan przytaknął z uznaniem. Skinął na swego syna, Zendiego, lubianego powszechnie młodego dowódcę straży królewskiej, i wydał mu polecenie. Widząc, że Zendi jest rozczarowany, dodał:

—Gdy obóz będzie gotowy, możesz ze swoimi ludźmi pojechać do miasta.

Zostało to przyjęte przez żołnierzy z wyraźnym zadowoleniem. Król upomniał surowo:

— Tylko pamiętajcie, że jesteśmy gośćmi. Zendi, od powiadasz za ich zachowanie! I jeszcze jedno. Niech mi nie będzie żadnych zatargów z Żydami!

Zendi podniósł rękę na znak, że prosi króla, by pozwolił mu się odezwać.

— A gdyby, miłościwy panie, Żydzi nas zaczepili, co mam swoim żołnierzom rozkazać?

Król Aretas dosiadł konia.

— W takim wypadku, Zendi — odrzekł po chwili — twoi żołnierze bez rozkazu będą wiedzieli, co robić.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Nawet Aretas, zwykle bardzo poważny, uśmiechnął się nieznacznie, odjeżdżając na czele rozbawionych doradców. Ilderan podjechał do niego z boku i znów zaczął mówić o Herodzie.

- Oczywiście, miłościwy panie, on na pewno zdaje sobie sprawę z nietrwałości swego prowincjonalnego tronu. O jego obawach świadczą częste podróże w odwiedziny do cesarza... i faktem jest, że jego synowie większość czasu spędzają w Rzymie.
- A Żydom to się nie podoba?
- Naturalnie, miłościwy panie, ale Herod bardziej potrzebuje łask cesarza niż sympatii Żydów, którzy zresztą nim gardzą i zawsze będą gardzili bez względu na to, co on robi, a czego nie robi... W całym tym pokazie rzymskich świecidełek widać raczej lęk Heroda niż jego podziw dla Augusta.

Już na równinie, jadąc czwórkami, Arabowie popędzili konie, cwałem minęli przedmieście i wkrótce potem zatrzymali się przed imponującym pałacem Sostenesa, gubernatora Petry, gdzie zostali uroczyście przyjęci. Sostenes wydawał się wzburzony.

- Ufam, że wasza królewska mość będzie miał w ogrodzie dosyć miejsca na swoje namioty — powiedział z przeprasującym uśmiechem, o którego wyjaśnienie Aretas nie poprosił. Było jasne, że ten małomówny król Arabii, cokolwiek sobie myśli o królu Żydów, na pewno tego nie ujawni.

• A jeżeli miejsca w ogrodzie zabraknie — ciągnął Sostenes niespokojnie — dopilnujemy, żeby świta waszej królewskiej mości została odpowiednio ugoszczona.

- Myśmy już rozbili obóz, wasza wysokość — powie dział Aretas. — Na tym płaskowyżu na południe od miasta. Zawsze wolimy otwartą przestrzeń. Zechcesz powiadomić króla Heroda, że Arabia jest do jego usług.

- On czeka na waszą królewską mość. — Sostenes wyraźnie odetchnął z ulgą, gdy ta niezręczna sytuacja została rozwiązana tak gładko. — O ile to waszej królewskiej mości dogadza, rozmowa odbędzie się tutaj, w sali narad.

Z głębokim ukłonem ruszył pierwszy do przestronnej marmurowej sali, umeblowanej zbyt kownie. Ogromne ławy wysłane poduszkami ustawione były półkolistnie przed ciężkim stołem z drzewa tekowego. Zarówno przy jednym, jak przy drugim końcu stołu stał połączony fotel z wysokim oparciem, podobny do tronu. Arabowie nie czekali długo. W otoczeniu

dwunastu czcigodnych członków żydowskiego Sanhedrynu wkroczył dumnie Herod. Nastąpiła wymiana sztywnych ukłonów i lapidarnych uprzejmości. Królowie usiedli na wysokich fotelach. Sanhedryn i doradcy Aretasa usiedli także. Siedząc u dwóch szczytów stołu, patrząc na siebie ze spokojną ciekawością, władcy Arabii i Judei stanowili zupełne przeciwieństwo, jeśli chodzi o strój, postawę i konstytucję fizyczną.

Herod, dworny, uprzejmy, był w każdym calu człowiekiem wielkich interesów. Miał lat sześćdziesiąt, pokaźny brzuch i obwisłe worki pod oczami, które widziały już wiele. Nie ulegało wątpliwości, że te worki i brzuch są odznaczeniami zdobytymi w ogniu wielu bitew, stoczonych z nadmierną ilością jadła i mocnych napojów. Jego siwiejąca czupryna, krótko przycięta na sposób rzymski, lśniła od wonnych maści. Podobnie broda, krótka i wypielęgnowana, coś pośredniego pomiędzy patriarchalnym zarostem mężczyzn Jerozolimy i starannym wygolaniem Rzymian. Jego szatę z cienkiego białego płótna przystrajała purpura wokół szyi, na brzegach rękawów i obrębie. I biła od Heroda owa pewność siebie bywalca obracającego się zawsze wśród właściwych ludzi, kogoś, kto wszystkiemu się przygląda zawsze z miejsc zarezerwowanych.

## 20

Aretas był ubrany niedbale w wymięty po podróży brunatny kaszmirowy burnus, którego rozchylone poły odsłaniały spodnie z ciemnej kozłej skóry i sznurowane rzemykami wysokie buty. Jego strój rozjaśniała jedynie owalna łąta z niebieskiego jedwabiu na lewej piersi — pradawne godło Izmaelitów. Na niebieskim polu godła widniał dobrze znany z arabskich sztandarów haftowany złotem cienki sierp księżycy ze srebrną gwiazdą oraz symbol arabskiej władzy królewskiej —

skrzyżowane ze sobą, haftowane białą przędzą, miecz i kij pasterski. Aretas nie rozpierał się w fotelu, siedział sztywno wyprostowany, najwyraźniej przyzwyczajony do krótkich pertraktacji, lakonicznych oświadczeń, szybkich porozumień i bezceremonialnego zamykania obrad.

Ten pięćdziesięcioparoletni Arab był szczupły jak lampart, sprężysty jak cięciwa, ogorzały tak, że jego cera miała barwę starego siodła. Spod kaptura burnusa zsuniętego z pobrużdżonego czoła sterczały szpakowate włosy. On również miał krótką brodę, ale nikt mu jej rano nie przystrzygł, a cóż dopiero mówić o namaszczeniu wonnościami. Nie było nic z układności polityka ani w twarzy, ani w postawie Aretasa. Gdyby nie godło, nie wyglądałby na króla ten człowiek przyodziany zwyczajnie, z pewnością niezbyt wprawny w szermierce słownej, jakiej wymaga dyplomacja. A przecież jego głęboko osadzone czarne oczy wzbudzały szacunek — oczy zahartowane patrzeniem w dal, posiadające wiedzę o niebie.

Herod, żyjący przeważnie w czterech ścianach, biegły i mądry badacz psychiki i nastrojów ludzi jemu podobnych, patrzył w niezgłębione oczy Aretasa i chyba poddawał rewizji starannie przygotowaną przemowę, którą zamierzał wygłosić.

— Królu — zaczął wreszcie dobierając słów — zaprosiliśmy cię tutaj, żeby omówić sprawę o poważnym znaczeniu dla obu naszych narodów. — Umilkł i czekał na reakcję: bodaj lekkie uniesienie brwi Aretasa. Ale twarz Araba pozostała obojętna. — Powróciliśmy ostatnio z Rzymu — podjął po chwili — z wiadomościami niedobrymi. Coraz więcej tam się mówi o planach najazdu na południowy wschód, błyskawicznego najazdu, który zmiecie na tym wybrzeżu wszystko, co

ma wartość, aż w końcu same sępy padną z głodu. Żaden z nas, a zapewniam cię, że nas obu czeka ta tragedia, nie mógłby mieć nadziei, że zdoła odeprzeć rzymski atak. Wszelako gdybyśmy niezłomnie zjednoczyli się w obronie naszych krajów, pokazali naszą wspólną siłę, może by to odwiodło Tyberiusza od...

- Tyberiusza? — przerwał Aretas. — Czy Tyberiusz nie dowodzi armią na Zachodzie?
- Już nie — odpowiedział Herod, rad, że może poinformować tego prostaka z głębi lądu. — Tyberiusz wrócił do Rzymu kilka miesięcy temu, powołany na urząd przy Auguście. Armia zachodnia ze swoim zadaniem podbijania plemion germańskich i okupowania Galii przeszła pod dowództwo Warusa i teraz jest pokonana, rozgromiona, rozbita. Tak wielkiej klęski Cesarstwo dotąd nie poniosło. Już nigdy Rzymianie nie przekroczą Renu. Jeżeli więc mają odzyskać utracone poważanie w kraju i za granicą, muszą rozciągnąć swoją władzę na wschodzie... i na południu. Przez nasze kraje prowadzi droga do Damaszku.

Aretas marszczył brwi ze skupieniem, ale milczał, chociaż Herod dał mu dużo czasu na odpowiedź. Może — rozmyślał Herod — ten Arab z odludzia nie rozumie dobrze kłopotliwej sytuacji Rzymian, których konieczność zmusza do wymierzenia ciosu, bo inaczej sami ciosu nie unikną. Zdecydował się udzielić Aretasowi informacji o ostatnich wydarzeniach, które, być może, uszły jego uwagi. Mówił przez bite pół godziny. Aretas słuchał bez słowa.



August, jak prawił Herod, stał się bez wątpienia wielkim cesarzem. Chociaż zawsze był bardzo słabego zdrowia, zrobił dla Rzymu wiele. Teraz jednak jest stary i już tak chory, że wszyscy o tym wiedzą. Cugle rządów wysuwają mu się z pokrzywionych reumatyzmem palców. Utracił wpływ na senat. Pospólstwo jest niespokojne. Oczywiście przyczyną są w dużym stopniu kłopoty finansowe. Minęły czasy, gdy potrzebując pieniędzy, żeby zabawić tysiące lekkomyślnych Rzymian dwutygodniowym ucztowaniem za darmo, wysyłało się ekspedycję wojskową na Sycylię, Krete, Cypr czy do Macedonii po cennych niewolników, ziarno, drewno, skóry i złoto. To fakt, że te prowincje

## 22

wciąż jeszcze można plądrować, ale Rzymianie mają coraz mniej z tego korzyści.

- Chyba pamiętasz, królu, jak August kilka lat temu był w takich tarapatach pieniężnych, że zażądał ściągnięcia we wszystkich prowincjach podległych Rzymowi podatku od głowy? — Herod prychnął z niesmakiem. — Cóż za marność, postępek sknery albo bankruta. Prowincje obłożone podatkami do granic wytrzymałości, głodne, a tu raptem ten zdzięcinniały stary cesarz postanawia wycisnąć z nich jeszcze pogłówne. Usiłował nadać tej bzdurze godne pozory, że zasadniczo chodzi o spis ludności: takiego to a takiego dnia każdy ma się stawić w miejscu swego urodzenia, gdziekolwiek by to było, niby w celu ustalenia liczby ludności. Ale bynajmniej nie zmylił tym nikogo. August nie był ciekaw, ilu poddanych ma Rzym. Zależało

mu wyłącznie na ich żalosnych groszach. Niejeden z naszych biedaków musiał wędrować cały tydzień, żeby zastosować się do tego edyktu.

- Zapomniałem o tym — powiedział Aretas. — To nie dotyczyło mojego ludu. Cesarz dla paru groszy raczej nie ścigałby Arabów przez góry.
- Nie jestem pewny, czyby nie ścigał — Herod wzruszył ramionami. — Jeszcze to zrobi! Tyberiuszowi zachce się waszych owiec, bydła i wielbłądów, i waszych córek także. Mamy tylko jedno wyjście, królu. Zawrzyjmy traktat... trzymajmy się razem. Tyberiusz nie będzie zbyt pochopnie narażał się na jeszcze jedną klęskę.
- Wyobrażasz sobie, panie, że Tyberiusz uwierzyłby w przymierze Żydów i Arabów po tylu stuleciach wzajemnej nienawiści? — zapytał Aretas.
- Wziąłem to pod uwagę — Herod chwycił za poręcz swego wielkiego fotela, ale nie zdołał podsunąć go do stołu. Pochylając się ku Aretasowi poufnie zniżył głos. — Też wziąłem to pod uwagę. Tyberiuszowi trzeba przedstawić niezbity dowód świadczący o szczerości naszego przymierza.
- Co byś proponował?
- Faktyczne zjednoczenie. Mówiono mi, że masz córkę na wydaniu. Ja mam nieżonatego syna.

Aretas drgnął i potrząsnął głową.

- Moja córka — burknął — nie chciałaby tego.
- Ani mój syn — powiedział Herod równie otwarcie. —

Ale dlaczego taką wielką dbałością otacza się królewiczów i królowny, dlaczego karmi się ich sorbetami chłodzonymi śniegiem, który umyślni przywożą z gór co koń wyskoczy, i dlaczego cały dwór kłania się królewiczom i królownom, jeśli nie dlatego, że gdy czas nadchodzi, oni muszą ponad pragnienia osobiste przełożyć dobro kraju i ochoczo spłacić cały swój dług?

- Może to się odnosi do twojego syna, panie, ale nie do mojej córki. Ona żyje w prostocie, wręcz skromnie, jak przystoi Arabce każdego stanu. Arnon nie dostaje sorbetów latem.
- Może być i tak — przystał Herod żywo. — Ale dostaje czy nie dostaje, chyba kocha swój kraj. Poświęciłaby wiele, żeby nie ujrzeć Arabii spustoszonej. Zresztą nie byłoby jej źle w małżeństwie z moim synem, Antypasem. To szlachetny młodzieniec, dobrego serca, pełen wdzięku i bogaty. Mogliby nawet pokochać się, chociaż miłość oczywiście jest tu bez znaczenia.
- Nie dla mojej córki — powiedział Aretas. — Poza tym... ona już pokochała młodzieńca spośród swych rodaków.

Herod, głaszcząc się pulchnymi palcami po brodzie, medytował przez chwilę:

- Czy jej zaręczyny zostały ogłoszone?
- Nie.
- To dobrze — stwierdził Herod. Kłaśnięciem w ręce

przywołał ochmistrza. — Teraz uczta — powiedział.

Królowi Arabii nie chciało się jeść, ale powiedzieć to byłoby błędem politycznym.

Posiedzenie doradców trwało całą noc. Aretas przedstawił sprawę i dodał, że według niego Herod wie, o czym mówi, i nie wyolbrzymia grożącego im nieszczęścia.

Pierwszy zabrał głos Dumah:

— Ja bym wolał pójść do rzymskiej niewoli, niż sprzymierzyć się z Żydami.

## 24



- Ty sam, owszem — powiedział Tema — ale twoja żona i córki? Rzymianie to bezwstydni rzeźnicy.
- A w ogóle skąd pewność, że będzie najazd? — zadrwił Dumah. — Petra leżałaby bezpośrednio na szlaku... Sos-tenes jednak nie wydaje się zbytnio zaniepokojony.
- Ale będzie — mruknął Tema — gdy Herod mu powie, ile się od niego oczekuje... w złocie.
- Więc dlaczego to spotkanie w Petrze? — zapytał Adbeel.
- Powód dostatecznie ważny — odpowiedział Tema ze znużeniem. — Nie... roztrząsanie tej sprawy nic nam nie da.

Źle z nami... i nie mamy wyjścia. Przymierze Żydów i Arabów jest rzeczą wstrętną tak samo dla Heroda, jak dla nas. On zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, inaczej nigdy by nie wysunął takiej propozycji. To nie ulega wątpliwości.

- Za dużo wymaga się od naszej królowy — westchnął Adbeel. — Będzie miała ciężkie życie z tym młodym żydowskim hukaj em.
- Na pewno — zgodził się Nafisz — ale w każdym razie życie.
- Myślę, że wolałaby raczej śmierć — szepnął Adbeel.
- Nieważne — powiedział Miszma. — Królowa, wychodząc za Antypasa, ocali kraj. Gdy jej to wytłumaczymy, zgodzi się.

Nastąpiło milczenie. Dopiero po długiej chwili Jetura odważył się poruszyć kwestię każdemu już przychodzącą na myśl.

— Jak by to przyjął młody Zendi?

Odpowiedział na to Ilderan.

—Mój syn — rzekł powoli — będzie do głębi za smucony, ale on też kocha Arabię.

Aretas skinął głową, nie podnosząc wzroku.

—Czy ma kto jeszcze coś do powiedzenia? — zapytał.

Wszyscy milczeli. Wstał więc ociężale i polecił przekazać Herodowi doniosłą wiadomość. Rada Królewska zamknęła posiedzenie, ale nie udała się na spoczynek. Śniadanie podano przed świtem, po czym zaraz zwinięto namioty. Gdy Żydzi w ogrodzie się budzili, obozu arabskiego na wzgórzu już nie było.

Drogę powrotną Arabowie przebyli szybko, prawie się nie odzywając. O zmierzchu czwartego dnia uciążliwej jazdy rozstali się ponuro.

Arnon z niecierpliwością czekała u wejścia do obozowiska. Aretas zsiadł z konia powoli, ociężale.

—Ojczy! — wykrzyknęła Arnon, gdy ujrzała jego zmierzowaną, postarzałą twarz. — Co się stało? Jesteś taki strapiony! Boli cię coś?

Aretas ujął córkę za rękę, jak gdyby była maleńkim dzieckiem, i bez słowa poprowadził ją do namiotu. Gdy już usiedli, Arnon wezwała służącą i kazała podać wieczerzę dla króla, ale Aretas potrząsnął głową. Przyciągnął Arnon do siebie i patrząc ze smutkiem w jej szeroko otwarte przerażone oczy wyjawiał, co zaszło. Arabia zawarła przymierze z Żydami. Tylko w ten sposób można uniknąć najazdu Rzymian, który by doszczętnie spustoszył oba kraje.

- Ale... skoro zawarłeś przymierze i ratujesz nasz kraj  
— powiedziała Arnon ufnie — dlaczego, ojczy, jesteś przygnębiony?
- Dlatego, że... nasze przymierze pociąga za sobą  
małżeństwo dzieci królewskich Judei i Arabii.

Arnon zachłysnęła się lekko i zbladła.

—To znaczy... że ja...? — wyjąkała.

—Czy możesz, dziecko moje, uczynić to dla Arabii?

Zamykając oczy, Arnon przeciągle westchnęła i z wolna osunęła się w objęcia ojca. Po chwili wyprostowała się, spojrzała dzielnie na jego pobrużdżoną twarz.

—Dla Arabii... tak... ojczy — powiedziała niemal

szeptem.

I znów milczeli. Arnon tkliwie głaskała ojca po policzku. Potem z trudem, bo zaschło jej w gardle, wyszeptała:

—Ojczy, mogę odejść?

Aretas wypuścił ją z objęć. Ruszyła w stronę swojej komnatki w namiocie jak niewidoma. Patrzył na nią zamyślony, pełen smutku. Chętnie by oddał życie, żeby uchronić ją od tej okropnej męczarni.

Z konieczności za szczerą swego przymierza Arabowie i Żydzi poręczyli układem, że je przypieczętuje związek małżeński królewskich dzieci. Również konieczność na-

26

kazywała, żeby owo małżeństwo zostało zawarte natychmiast, bo po klęsce wojsk rzymskich na Zachodzie Tyberiuszowi mogło się spieszyć do odzyskania słabnącego prestiżu Cesarstwa gdzie indziej.

I oczywiście te zaślubiny dzieci królów musiały być wydarzeniem bardzo głośnym, wyróżniać się przepychem. Wojska Judei i Arabii należało wystawić w pełnej sile, tak, żeby Tyberiusz, gdy zostanie o tym powiadomiony, zrozumiał, że te dwa bitne małe narody nie tylko postanowiły wesprzeć się wzajemnie, ale mają oręż w swym zjednoczeniu potężny.

Zorganizowanie takiego imponującego widowiska było sprawą raczej Heroda niż Aretasa, ponieważ Arabom brakowało doświadczenia na tym polu. Herod potrafił zrobić to świetnie, mając wrodzone zdolności inscenizacyjne i opierając się na wzorach dobrze mu znanej okazałości rzymskiej.

Widowisko miało się odbyć w Jerozolimie zaraz po uroczystości ślubnej

w Arabii. Niezwykle szybko Herod zgromadził rozsiane oddziały swych wojsk, zapewnił sobie pomoc finansową bogatych rzemieślników i nawet bojaźliwe poparcie Annasza, najwyższego kapłana, który nigdy nie lubił deklarować się w kwestiach politycznych, dopóki nie wiedział, w którą stronę wiatr wieje.

Zmniejszony znacznie legion żołnierzy rzymskich, stacjonujący w Jerozolimie pozornie dla celów policyjnych, ale rzeczywiście po to, by niesforni Żydzi pamiętali, że są tylko ludnością prowincji, żartował z paradnych przygotowań Heroda. Żarty jednak się skończyły, gdy na zapuszczony, od dawna nie używany plac musztry w dolinie Cedronu zaczęły ściągać zaskakująco liczne oddziały żydowskie. W pełnym rynsztunku maszerowały dumnie przez miasto przybywając z Joppy, Cezarei, Hebronu, Jerycha i dalekiego Kafarnaum w Galilei.

Młody legat Julian ubolewał w rozmowach ze swymi centurionami, że na tym właśnie polega dramaty Żydów: nigdy nie uwierzą, że są pokonani. Członkowie Sanhedrynu kłaniają się nisko przedstawicielom Cesarstwa, ale ciągle knowają. Pod Ścianą Płaczu co dzień o zachodzie słońca

wierni lamentują nad swoim uciemieniem, po czym wracają do swoich piwnic, gdzie ostrzą noże i skręcają nowe, twardsze cięciwy.

Julian obawiając się niebezpiecznych incydentów i pragnąc im zapobiec uprzedzającą grzecznością — bo przysłano go do Jerozolimy, żeby utrzymywał spokój za wszelką cenę — odwiedził Heroda. Po co te wszystkie manewry wojskowe? Herod uśmiechnął się niewinnie. Wesele, powiedział. Jego syn, Antypas, żeni się z młodą królową Arabii. Tak, tak, Julian odparł, że wie o tym i że jego zdaniem żadnej ujmy



Cesarstwu nie przyniesie przemarsz oddziału straży w orszaku weselnym, wszelako...

- Oddziału? — przerwał mu Herod tonem rozczarowania.
- No, więc legionu — ustąpił Julian — skoro to bardziej odpowiada waszej ekscelencji, wszelako nie widzimy tu sposobności do defilady ciężkich katapult! Czy to jest przyjęte... na weselach?
- Byłaby to ciekawa nowość — rozmyślał Herod głośno, przybierając ton żartobliwy. — I dla wielu spośród mojego ludu niespodzianka, że w ogóle mamy katapulty.
- Dla wielu spośród nas również niespodzianka! — wykrzyknął Julian. — Jeśli zrobicie wielki pokaz takiej broni, kto wie, czy wasza ekscelencja nie będzie musiał zrobić z niej poważniejszego użytku.

Herod uśmiechnął się zagadkowo, stłumił dłonią ziewnięcie i z roztargnieniem zaczął bębnić palcami po stole. Julian zrozumiał tę odprawę. Wstał, żeby odejść.

—W każdym razie — ciągnął Herod — te nasze katapulty są dobre, no i mamy je tutaj! Byłoby niełatwo sprowadzić katapulty tak duże i aż tyle z Rzymu.

Trochę oszołomiony nieoczekiwaną bezczelnością Heroda, Julian zająknął się:

- Zdaję sobie z tego sprawę, ekscelencjo.
- Będzie też zdawał sobie z tego sprawę Tyberiusz — twardo powiedział Herod.

- To znaczy, ekscelencja chce, żebym zawiadomił cesarza?

## 28

— Proszę bardzo. Zresztą wiem, że i tak go zawiadomisz.

Ta otwarta arogancja była czymś nowym dla legata, któremu Herod zawsze okazywał miłe, jakkolwiek nieszczerze, uszanowanie. Stało się jasne, że chytry Żyd zamierza grać tym razem o wysoką stawkę.

- Cesarz może podejrzewać, że wesele jest pretekstem do pokazania broni defensywnej!
- Jakże bystry jesteś, Julianie! — wycedził Herod, wyraźnie teraz wzgardliwy. — Marnujesz się tu jako stróż porządku publicznego. Powinieneś być co najmniej konsulem. — Wstał i ukłonił się ceremonialnie. — Wybacz, że musimy cię pożegnać. Mamy umówione spotkanie, a ty niewątpliwie masz jakieś swoje zajęcia.

Ledwie młody legat wyszedł jak niepyszny z przestronnej złocisto-błękitnej komnaty posłuchań, wszedł tam niedbale prywatnymi drzwiami króla księżę Antypas. Herod, który już coś pisał, podniósł wzrok, skinął głową aprobująco, zanim podjął pisanie. Jego zadowolenie na widok tego syna zaprawione było ojcowską dumą, ponieważ Antypas — zwykle niezbyt potulny — raptem zaczął przejawiać gotowość do współpracy. Nie znaczy to, żeby kipiał entuzjazmem, ale w końcu spokojnie zgodził się ożenić z Arabką.

Z trzech synów, których urodziła Herodowi jego ukochana Mariamme, Antypas był mu najmilszy. Młodzieniec grzeczny, pełen synowskiego

uszanowania i urodziwy: twarz miał ładną, atletyczną budowę, wzrost powyżej średniego, postawę żołnierską. Surowa dyscyplina Rzymskiej Akademii Wojskowej wycisnęła na nim swoje piętno. Ukończył teraz lat dwadzieścia pięć. Jego drwiący uśmiezek świadczył dosyć wyraźnie o modnym cynizmie, charakterystycznym dla gnuśnych synów bogaczy, którzy całymi dniami uprawiali hazard w łaźniach, a nocami ucztowali w najlepszych gospodach. Antypas stał się już wytrawnym światowcem.

Dwaj bracia Antypasa niewiele dawali Herodowi powodów do dumy. Archelaus, najstarszy syn Heroda i Mariamme, był swarliwy, wciąż wdawał się w kompromitujące bójkę. Filip, najmłodszy w rodzinie, niezmiennie nazywany „biednym Filipem”, był tak obojętny na wszystko i tak

## 29

niepraktyczny, że sprawiało mu sporo trudności nawet utrzymywanie się na posadzie, jaką jego znamienity ojciec mu załatwił w Rzymie za cenę wielu pochlebstw... i niewielkiego przekupstwa. Ponadto, jak gdyby nie dość przeszkód postawiła na drodze „biednego Filipa” sama natura, dał się on uwikłać w nieszczęśliwe małżeństwo z Herodiadą, swą kuzynką, starszą od niego o dziesięć lat wiekiem i o sto lat doświadczeniem. Herodiada, wdowa, poza tym wniosła mu w posagu córkę, zuchwałą młodzieńką Salome, powszechnie znaną ze swoich przygód miłosnych. Doprawdy „biedny Filip” nie mógł być chlubą Heroda. Ale Antypas! Herod uważał, że to syn wart wszystkich kosztów, jakie pociągnęło za sobą jego staranne wychowanie.

Widząc, że ojciec jest — czy też udaje, że jest — zajęty, młody książę podszedł do zasłaniających ścianę wschodnią wysokich półek z

przegródkami i wziął stamtąd zwój papirusu, nowy, grubo pozłacany. Przeczytał tytuł, chichocząc prawie głośno. Herod spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Dostałeś to od starego, miłościwy ojcze?
- Jeśli masz na myśli sędziwego cesarza Augusta — upomniał go Herod — tak.

— Dał to... specjalnie tobie? — nastawa! Antypas.

Herod poprawił się w fotelu, nie bardzo mając chęć przyznać, że ten okazały papirus jest jednym z wielu rozdanych konsulom, prefektom, gubernatorom, królom prowincji i może nawet senatorom.

- *Zalóżą się o sto syklów, że wasza królewska mość nie przeczytał z tego ani jednej linijki. — Antypas roześmiał się, na co ojciec wzruszył ramionami. — A powinienes, miłościwy ojcze. To nowy poemat Wergiliusza, opiewający dzielne wyczyny Augusta, pod tytułem *Eneida*.*
- Będziemy musieli to przeczytać uważnie — zgodził się Herod z roztargnieniem.
- Naprawdę uważnie, miłościwy panie — przytaknął Antypas z żartobliwą powagą. — Może kiedyś czeka cię z tego egzamin. — Wcisnął złocisty zwój z powrotem do przegródki, wolnym krokiem podszedł do królewskiego podium, usiadł na krześle i ziewnął.

Herod odłożył stylus. Uśmiechnął się życzliwie.

- Jak się bawisz, synu? Mam nadzieję, że w tym okresie czekania na zaślubiny czas ci się nie dłuży?

- Mknie lotem strzały, miłościwy panie. Racz sobie przypomnieć, że z Rzymu naszym okrętem przybyła tu wraz z nami Salome w odwiedziny. Ona świetnie do trzymuje mi towarzystwa.
- Ściśle mówiąc przybyła, żeby reprezentować na weselu rodzinę biednego Filipa — poprawił Herod. — Inaczej nie tolerowalibyśmy jej tutaj! — Nagle przestał być królem, był tylko ojcem. Zniżył głos. — Ja na twoim miejscu, Antypasie, nie pokazywałbym się publicznie z tą małą dziwką.
- To moja bratanica, miłościwy panie. — Antypas udał oburzenie, ale nie powstrzymał się od ironicznego uśmiešku.
- Bratanica? Bzdura! — warknął Herod. — Odkąd ta sławetna pasierbiczka biednego Filipa jest twoją bratanicą?
- Formalnie rzecz biorąc, ona jest nawet wnuczką waszej królewskiej mości. Czyż to jej nie daje prawa do dworskich przywilejów?
- Nie z twojej strony! Damy dworu mogą zajmować się Salome. Królowa pomyśli o rozrywkach dla niej.
- Ale matka jej nie lubi — powiedział Antypas smętnie.
- Nic dziwnego — mruknął Herod. — Tak czy inaczej, musisz się opamiętać! To, że ten półgłówek twój brat ożenił się z jej matką, nie zobowiązuje ciebie ani trochę. Obcowanie z Salome nie wyjdzie ci na dobre; zwłaszcza teraz, gdy twoje serce jest w Arabii.

- Czyżby? — Antypas nagle pojął, że nie powinien wystawiać cierpliwości swego królewskiego rodzica na dalsze próby. W sposób delikatny został nakłoniony do powrotu z Rzymu i poślubienia arabskiej królowny. To wymagało sporo zachodu. Gwałtownie z początku protestował, wobec czego ojciec obiecał mu natychmiastowe wypłacenie ojcowizny gotówką. Ponieważ ze smutkiem potrząsnął głową, ojciec obiecał mu ponadto tetrarchię Galilei. Dopiero pod naciskiem ojca wreszcie ustąpił. Dzięki temu zajął korzystną pozycję i wyzyskiwał to bez skrupułów, jak rozpieszczony

chory. Teraz jednak, widząc ponury wyraz twarzy króla, pojął, że omal nie przeholował.

— Powinno być w Arabii! — zgrzytnął Herod gniewnie. — To poważna sprawa! Przecież nie jesteś aż tak głupi, żeby tego nie rozumieć! — Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem z coraz większą wściekłością. — Ty sam powinieneś być teraz w Arabii, jak ci radziłem, zaprzyjaźnić się z tymi obcymi! Zapewniam cię, im tak samo jak tobie nie podoba się myśl o tym małżeństwie! I jeżeli będziesz ich lekce sobie ważył, skończysz ze sztyletem między żebrami! Przelewanie krwi to po prostu rozrywka dla Arabów! Oni nigdy nie przepuszczą temu, kto ich skrzywdził czy obraził! — Dysząc król skierował się do drzwi. — Nie mów, że ja cię nie ostrzegałem! — wrzasnął.

Arnon miała niewiele czasu na smutne rozmyślenia o tym,

co ją czeka. Przygotowania do zaślubin czyniono bardzo szybko. Co dzień przybywali gońcy z Jerozolimy, żeby dowiadywać się o zdrowie królowny i już bardziej rzeczowo pytać, jakie są jej życzenia dotyczące takich czy innych szczegółów, które Arabce wydawały się dziecinnie błahe. Widocznie jednak były one dostatecznie ważne, by zmusić ludzi do odbywania uciążliwych podróży z żydowskiej stolicy.

Zastępy służących i wyposażenie napływały coraz liczniej. Długie karawany z doliny pięły się mozolnie pod górę krętym, wąskim szlakiem, który po przejściu zmienił się w szeroką, twardo ubitą drogę. Wprawni arabscy tkacze i szwaczki pracowali z gorączkowym pośpiechem nad szatami weselnymi królowny i jej świty.

Taktownie, miłosiernie Aretas wysłał Zendiego do dalekiego Koryntu, poruczając mu sprawę tak doniosłą jak ostateczne zakończenie toczących się pertraktacji ze znużonymi wojną Grekami, którzy chcieli wydzierzawić na północy wielką połąć ziemi. Czas naglił, więc ku wielkiej uldze Arnon pożegnanie z Zendim nastąpiło w obecności ich ojców. Arnon wydawało się, że inaczej by tego rozstania po prostu nie przeżyła. Nieszczęsny Zendi! Niezłomnie sobie postanowił zdławić po męsku smutek, prawie nie patrzył jej w oczy, gdy się żegnali.

Tysiąc owiec popędzono na inne pastwisko i na królewskich łąkach powstało imponujące miasto namiotów. Barwnie ubrani żołnierze rozbili

obóz tak składowo, że Arnon musiała podziwiać ich umiejętności. Nie siedzieli gromadkami w kucki — jak Arabowie — i nie debatowali, gdzie stawiać namioty, od czego zacząć! Od razu wiedzieli, co robić. Chyba tak właśnie, dumiała Arnon, czyni się wszystko na świecie na zewnątrz, za dzikimi ukochanymi jej górami. Chociaż była niewzruszenie wierna Arabii, krainie przypadkowości we wszelkich poczynaniach, odczuwała dreszczyk podniecenia myśląc, że będzie należała do zaradnego społeczeństwa, którego dworni przedstawiciele okazują pewność siebie z taką układnością.

Wkrótce potem zaczęły się zjeżdżać galopem delegacje bogatych szejków arabskich na pięknych koniach w drodze na płaskowyż, do przygotowanych przez ich służbę namiotów, przy czym każdej grupie towarzyszyli pieśniarze, kuglarze, zawodnicy i komedianci.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień przyjazdu króla Heroda z księciem Antypasem. Wysokie wielbłądy gości wyglądały wspaniale z kosztownymi czaprakami i rzędami ze srebra i złota. Przepyszna karawana minęła obozowisko króla Aretasa i zatrzymała się nie opodal. Z sercem roz-trzepotanym Arnon patrzyła, jak jej ojciec i doradcy witają dostojnych przybyszów z Jerozolimy. Stwierdziła, że król Herod jest bezsprzecznie znakomitą osobistością i że książę jest wysoki i urodziwy. Najwyższy kapłan przyjechał także, domyśliła się Nefti, dawna piastunka Arnon, trzymając skrzydło namiotu odchyłone tak, żeby obie mogły oglądać to wszystko. Na pewno on poprowadzi ceremonię ślubną — powiedziała.

- Nie myślałam, że to ma być żydowski ślub — zdziwiła się Arnon.
- Żydzi lubią uroczystości — oświadczyła Nefti.



- A my nie lubimy? — zapytała Arnon dziecinnie.
- Ślub arabski jest zwyczaj niej szy. Gdybyś miała wyjść za Zendiego...

- Nie, Nefti — szepnęła Arnon. — Przyrzekłaś mi.
- Przepraszam, królewno. Chciałam tylko powiedzieć, że Arab po prostu wziąłby cię za rękę w obliczu doradców, a ty byś mu przysięgła wierność i posłuszeństwo do końca życia.
- A czy nie muszę przysiąc, że będę wierna i posłuszna księciu Antypasowi?
- Pewnie, że musisz, ale... te zaślubiny potrważą dłużej. Już tacy są Żydzi. — Widząc, że Arnon z kamienną twarzą odchodzi, Nefti opuściła skórzane skrzydło namiotu. Instynktownie odgadywała myśli dziewczyny. Ci obcy ludzie są ogromnie interesujący, ale pochodzą z innego całkiem świata.
- Miałam nadzieję, że królowa Mariamme przyjedzie — powiedziała Arnon. — Nie widziałaś tam żadnych kobiet, Nefti?

Nie — całe to wydarzenie miało być sprawą męską, transakcją polityczną, w którą włączona będzie tylko jedna kobieta, dlatego że jest niezbędna. Najchętniej obyliby się beze mnie — rozmyślała Arnon — gdyby mogli. Jej zaślubiny miały być potwierdzeniem przymierza dwóch narodów. Traktat, urzędowo spisany na papirusie i opatrzony podpisami,

należało zatwierdzić, przypieczętować. Arnon stała się czymś w rodzaju pieczęci z wosku na państwowym dokumencie. Nagle ogarnęło ją uczucie rozpaczliwej samotności.

Tegoż wieczoru Aretas wydał ucztę dla Heroda, księcia Antypasa, najwyższego kapłana, kilku najstarszych członków Sanhedrynu i swojej Rady Królewskiej. Po godzinie ucztowania wprowadzono w to męskie towarzystwo królową Arnon, żeby ją przedstawić. Arnon czuła się mała, bezradna i tak też wyglądała.

Antypas ruszył jej na spotkanie. Ujął ją za obie ręce i z uśmiechem spojrzał w jej lekko wzniesione oczy. Był to uśmiech doświadczonego mężczyzny, umiejącego ocenić urodę. Milczenie ciężko zaległo w namiocie, wszyscy czekali, co powie ta piękna młoda królowa. Wreszcie zdobyła się na nieśmiały uśmiech. Odetchnęli i zaczęli wymieniać spojrzenia, pełne ulgi i zadowolenia. Herod wychylił swój

## **34**

puchar do dna. To było dobre wino. Jeszcze lepsza była myśl, że jutro o tej porze przymierze zostanie przypieczętowane i on, Herod, będzie gotów — w razie potrzeby — stawić czoło Tyberiuszowi.

Teraz, gdy nadszedł miesiąc Tiszri i drzewa nabierały soczystych barw, nostalgia Arnon stała się prawie nie do zniesienia. Jerozolima powoli ją dusiła. Gdyby nie zrozumienie, współczucie i serdeczność królowej Mariam-me, Arnon by umarła albo zwariowała.

Nie została stworzona do życia w murach. Jej rodacy, będąc z

konieczności nomadami, nie budowali żadnych miast. Co więcej, gardzili miastami, uważali, że są to zapowietrzane więzienia, które dławią ciało i ducha.

Co dzień rano, dawno i daleko, Arnon wstawiała o wschodzie słońca, wdychała pokrzepiający górski wiatr, cieszyła się spokojem, ciszą, którą przerywało tylko przytłumione odległością podzwanianie dzwonek wielbłądzich. Tutaj w Jerozolimie było jej duszno, czuła się jak w klatce. Z trudem budziła się późnym rankiem łaknąc czystego, ożywczego powietrza. Pięknie utkane stare zasłony jej zbyt kłownego łóżka pachniały pleśnią, z wymyślnych mozaik snuł się kwaśny odór zwiędłego gipsu.

Mało tego, w grobowcową atmosferę przestronnej sypialnianej komnaty przenikała z zewnątrz mieszanina zapachów miasta, zapachy starości i rozkładu: starych murów, starych baszt, starych targowisk, starych stajen, starych, kocimi łbami brukowanych uliczek. Wiele obrzydliwości widziało się, słyszało i wdychało w tym starożytnym mieście, ale najobrzydliwsze było zastałe, smrodliwe powietrze.

Dlatego Arnon co dzień budziła się z mdłościami, chociaż dworki — im to powietrze zupełnie odpowiadało — miłosiernie zapewniały księżnę-cudzoziemkę, że jej poranna

35

dolegliwość związana jest ze stanem błogosławionym, po czym zawsze dodawały nabożnie:

— Za który chwała niech będzie Bogu Izraela!

Tego dnia, dziesiątego dnia Tiszri, Arnon wyrwała się ze snu pełnego tęsknoty. Śniło się jej, że w czasie huczącej górskiej burzy jedzie konno u

boku ojca, galopem, niezmordowanym galopem, bez tchu, pod chłostą rześistej, ciepłej ulewy. Krztusząc się i pocąc otworzyła oczy i spojrzała tępo na uśmiechniętą królową.

Mariamme była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała Arnon. Miała pięćdziesiąt parę lat, ale sprawiała wrażenie o wiele młodszej, bo dzięki wstrzemięźliwości zachowała dziewczęcą figurę. Jej królewskiego dostojęstwa nie zaprawiała ani odrobina buty. Arnon wiedziała już w chwili, gdy została jej przedstawiona, że serdecznie ją polubi. Królowa nie miała córki, Arnon nigdy nie zaznała miłości matczynej. Od razu się zaprzyjaźniły.

Pomimo to Arnon nie czyniła Mariamme zwierzeń. Pamiętała o przestrodze ojca, że wśród tych ludzi powinna baczyć na swoje słowa. Szpiedzy są zawsze życzliwi i gotowi dzielić cudze sekrety. Czasami jednak trudno było zamykać się w sobie, intuicja mówiła Arnon, że serdeczność Mariamme jest szczerą.

- Jak się czujesz, dziecko? — zapytała łagodnie królowa.
- Gorąco mi — wyszeptała Arnon — i trochę mdło jak zwykle. Poczuję się lepiej, gdy dostanę coś zimnego do picia. Wcześniej wstałaś, miłościwa pani. Jadłaś już śniadanie?

Mariamme kazała pokojowej przynieść puchar zimnego soku z granatów dla księżnej i usiadła na krawędzi łoża.

- Dziś nie będę jadła, moja droga. Mamy post.
- Aż do jutra? — Arnon z niedowierzaniem szerzej otworzyła oczy.

- Nie. Wieczorem odbędzie się wielka uczta. Ty nie musisz pościć, ale chcemy, żebyś była na ucztach.

Arnon siadając w pościeli odgarnęła z twarzy włosy, potargane, czarne, i zapytała, co jest okazją do tego ucztowania.

— Dzisiaj jest Dzień Pojednania — wyjaśniła Mariamme. — Ze wszystkich naszych szczególnych uroczystości ten dzień jest najważniejszy. Właściwie zaczął się wczoraj. Zawsze w wigilię Dnia Pojednania prawowierni Żydzi starają się naprawić wszelkie przewinienia wobec siebie nawzajem, spełniają zaniedbane obowiązki, płacą długi, zwracają pożyczone rzeczy i proszą o wybaczenie krzywd, które wyrządzili, krewkich słów, które wypowiedzieli. Na nowo nawiązują zerwane przyjaźnie, zacieśniają stosunki z bliźnimi, jeśli się one oziębiły. A potem... właśnie dziś tak będzie... z czystymi rękami i w spokoju ducha każdy przynosi jakiś dar do Świątyni i otrzymuje błogosławieństwo.

Oczy Arnon rozblęły.

— To piękne — szepnęła — Czy mnie też wolno to zrobić? Taka ulga... pójść do Świątyni... otrzymać błogosławieństwo... — Spuściła głowę, przygnębiona. — W sercu mam tyle zawziętości. — Z wolna podniosła oczy pełne łez — Miłościwa pani, jestem bardzo nieszczęśliwa.

Mariamme współczująco objęła ją ramieniem.

— Arnon, kochanie, czy chciałabyś mówić mi „matko” zamiast „miłościwa pani”? Oczywiście, jeśli... jeśli to nie

wymaga wysiłku — dodała. — Byłoby mi przyjemnie.

Łzy popłynęły. Arnon szlochała jak małe dziecko.

— Chciałabym — wykrztusiła. — Jesteś dla mnie bardzo dobra. Chcę, żebyś była moją matką. Tak nazywam cię w myślach.

Mariamme przytuliła ją do siebie.

— Powiedz mi, Arnon — zapytała cicho — czy księżę jest dla ciebie niemiły?

Arnon potrząsnęła głową, ale łzy wreszcie nie powstrzymywane płynęły bez przerwy. Nie od razu odpowiedziała:

- Nie... on mnie źle nie traktuje... matko. Tylko że bardzo rzadko się widzimy. No, ale jest zajęty. Nie może przecież ciągle mnie zabawiać.
- Mężczyźni zawsze są zajęci, kochanie. — Ton głosu królowej, zwykle łagodny, stał się trochę cierpki. — A to igrzyska w Gazie, a to nowa grecka sztuka w Aszkalonie... i inne ważne zobowiązania towarzyskie. — Umilkła. Po

### 37

chwili zaczęła mówić dalej, już nie szydząc. — Nasz Antypas to rzeczywiście miły chłopiec. Muchy by nie skrzywdził rozmyślnie. Ale jest samolubny i zepsuty. Jakżeby mogło być inaczej? Za dużo pieniędzy, za dużo wolnego czasu.

- I za dużo tych, którzy chcą wkraść się w jego łaski — dodała Arnon.
- Czasami myślę — rzekła Mariamme z powagą — że

książęta w niemowlęctwie powinno się podrzucać na progi domostw jakichś uczciwych, skromnych, ciężko pracujących rodzin, żeby wychowywali się tam jako ich synowie do wieku lat...

- Dwudziestu? — podsunęła Arnon, gdy królowa się zastanawiała.
- Do lat czterdziestu — poprawiła Mariamme. — Wtedy taki książę mógłby zasiąść na tronie, wiedząc, co jest potrzebne jego ludowi. W istniejącym stanie rzeczy nikt w całym królestwie nie jest tak nieświadom swoich obowiązków, jak sam władca. On żyje w innym świecie. — Znów umilkła, po czym zapytała raptownie: — Czy jeszcze coś cię trapi, moja droga?
- Prawie wszystko — wyznała Arnon. — Wszystko poza tym, że mam w tobie pociechę, matko! Może to moja wina. Nie potrafię być tutaj sobą. W moim kraju jestem szczęśliwa i wolna. Jeżdżę konno. Pasterze pozdrawiają mnie, uśmiechają się, gdy ich mijam, i ja też ich pozdrawiam, też się uśmiecham. To moi przyjaciele. Ich żony i córki tkają dla mnie kolorowe wstęgi, ja odwiedzam je, gdy są chore. Często zatrzymuję się w ich namiotach, bawię się z małymi dziećmi.
- Tak być powinno — pochwaliła Mariamme. — Czy te dzieci nie są onieśmielone wobec ciebie, córki króla?
- Nazywają mnie „królową”, ale gdy urządzam z nimi zawody, nie starają się przegrywać, żeby mi dogodzić.

Może to właśnie dolega dzieciom królów: im wszyscy pozwalają wygrywać. Tutaj w Jerozolimie jestem księżną zawsze, w każdej godzinie księżną. Nie przywykłam do dworskich ceremonii: ludzie kłaniają się z uszanowaniem... wycofują się z moich komnat tyłem. Muszę zmieniać stroje kilka razy dziennie i żaden z nich nie jest wygodny.

Wszystko tu obce... nawet ja sama staję się obca sobie. — Głos Arnon zupełnie się załamał. — Proszę... czy nie mogłabym pojechać do domu... bodaj na krótko? Mariamme odpowiedziała od razu:

- Chciałabym, żebyś mogła, Arnon. Niewątpliwie król by się zgodził, ale to przymierze wojskowe... Gdyby doszło do uszu cesarza, że...
- Rozumiem — przytaknęła Arnon słabo. — Nie myślimy już o tym... Więc... zabierzesz mnie do Świątyni, matko? Czy księżę będzie tam z nami?

Mariamme zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- Antypas wyruszył dziś wczesnym rankiem na północ. Wiesz, że został władcą Galilei.
- Tak, matko. Nie powiedział mi o tym, ale\*\*słyszałam, jak ktoś z przyjaciół gratulował mu tego na naszym weselu. Mamy mieszkać w Galilei?
- Po części chyba tak — odrzekła Mariamme bez przekonania. — Antypas to niespokojny duch. Nie lubi pozostawać długo w jednym miejscu. Król buduje tu w mieście siedzibę dla przedstawicielstwa Galilei. Antypas będzie przyjeżdżał co rok na dwa miesiące do Jerozolimy,



żeby załatwić sprawy swojej prowincji. On kocha Rzym, więc przypuszczam, że zechce i tam bywać od czasu do czasu. Na razie pochłonięty jest projektem zbudowania pałacu w Galilei na zachodnim brzegu jeziora Genezaret.

Arnon się rozpromieniła.

— To byłoby cudownie! — wykrzyknęła. — Mnóstwo słyszałam o tym pięknym Morzu Galilejskim. Myślę, że tam można żeglować!

Mariamme nie podzieliła jej nagłego entuzjazmu.

— Wątpię, czy księcia interesuje żeglarstwo. Na zachodnim wybrzeżu jeziora jest kilka ciepłych źródeł. Antypas ogromnie lubi się kąpać, więc zamierza zbudować obszerną łaźnię, mającą połączenie z jego pałacem. Zapewne myśli też o namówieniu kilku swoich bogatych przyjaciół Rzymian, żeby tam zbudowali wille dla siebie.

Podniecenie Arnon minęło. Instynktownie wiedziała, o co chodzi królowej: trzeba żonę Antypasa uprzedzić, jakiego ma się spodziewać życia przy nim. Albo może z dala od

39

niego... Zapewne Antypas nie bierze jej pod uwagę w którymś... czy nawet w żadnym z tych planów. Gdyby zamierzał sprowadzić ją do Galilei, chyba by zapytał, w jakim domu chciałaby tam mieszkać.

— Czy projekt pałacu księcia jest gotowy? — zapytała.

Mariamme poruszyła się niespokojnie.

— Możliwe — odrzekła. — Przez cały ubiegły tydzień Antypas był w Petrze, oglądał piękne wille zbudowane

przez Ateńczyków. Mówi! ci chyba.

—On mi nic nie mówi — powiedziała z goryczą Arnon.

Mariamme westchnęła głęboko i wstała.

- Jeśli chcesz pojechać z nami do Świątyni, kochanie, bądź gotowa w południe. Twoja pokojowa powie ci, w co się masz ubrać. Jego królewska mość chce wyjechać z pałacu zaraz po południu. Tak zostało ogłoszone.

- Mam nadzieję, że będę mogła dostać błogosławieństwo — powiedziała Arnon zamyślona. — Ogromnie tego potrzebuję. Co właściwie powinnam zrobić? Chyba nie mam żadnych długów do spłacenia i nie mówiłam krewkich słów, chociaż nieraz mi przychodzą na myśl, a to pewnie jest tak samo niegodziwe. Gdyby mój mąż był tutaj, poprosiłabym go o wybaczenie, bo nieraz myślałam o nim nieprzychylnie.

Królowa lekko się uśmiechnęła, potrząsając głową.

— W takim razie — powiedziała — może to i lepiej, że jego tu nie ma.

Zgodnie z tradycją uważano, że to źle, jeśli w rodzinie królewskiej pierworodne dziecko jest płci żeńskiej. Ojcu tak niefortunnego noworodka wypadało narzekać, a matce nie posiadać się ze wstydu. Nikt jednak zbytnio się nie przejmował płcią dziecka księżnej Arnon; z pewnością nie przejmowała się też sama Arnon, której po smutnych doświadczeniach z jednym księciem raczej nie zależało na urodzeniu drugiego.

Antypas, gdy dziecko przyszło na świat, był w Galilei. Otoczony nieliczną służbą, nie widywał się z nikim. Nowy pałac, a budowało go z

kamieni już od pięciu miesięcy ponad dwustu sprawnych murarzy, podniósł się o kilka

## 40

stóp ponad masywne fundamenty. Nawet w rozgardiaszu budowy łatwo można było sobie wyobrazić, jaki będzie piękny. Wielki owalny basen, nad który miał prowadzić z pałacu szereg wdzięcznych arkad, został ukończony i tylko wykładanie go mozaiką, bardzo żmudną pracę, Antypas kazał odłożyć do czasu swej okresowej nieobecności. Obudowa z płyt marmurowych, rzeźbione balustrady i wygodne, przestronne kabiny kąpielowe były wykończone do ostatniego szczegółu. Antypas poświęcił im wiele uwagi i umeblował te pomieszczenia tak bogato, że teraz mógł w nich mieszkać. Wspaniałość basenu przeszła jego oczekiwania. Ciepła woda, podobno mająca ożywcze właściwości lecznicze, lała się obficie z paszcz kamiennych lwów, przy czym źródła jej wydawały się niewyczerpane.

To wielki przywilej, stwierdzał Antypas, być władcą Galilei. Co prawda nie rozmawiał jeszcze z żadnym z poddanych ani też bodaj przez chwilę nie zastanawiał się nad swymi obowiązkami. O Galilejczykach wiedział mniej więcej tyle, ile wiedzieli wszyscy: że są to ludzie bierni, nieszkodliwi, pobożni, zajęci pracą, zgoła bez ambicji, by ich kraj stał się znany za granicą. Mają własne zboże, wino, wełnę i len. Łowią ryby w jeziorze Genezaret. Mężczyźni wyrabiają domowe sprzęty, czasami okazując się rzemieślnikami wprost doskonałymi. Kobiety tkają mocne, praktyczne tkaniny do użytku domowego. Ich życie opiera się na samowystarczalności, a więc biegnie torem zawężonym. Prawie nigdy się nie ruszają ze swych stron rodzinnych, chyba tylko na święto Paschy do

Jerozolimy, dokąd co roku bardzo licznie odbywają pielgrzymki, żeby przez świąteczny tydzień uczestniczyć w obrzędach religijnych. Zazwyczaj biorą ze sobą wyroby drewniane i tkaniny i wystawiają je na sprzedaż na jerozolimskich bazarach. Nie mają żadnych regionalnych strojów, a przecież w mieście łatwo ich rozpoznać po akcencie i sposobie mówienia. W obecności przybyszów z wielkiego świata ci ludzie z zapadłych wsi stają się nieśmiali, skrepowani.

Antypas sądził, iż rządy nad takimi prostaczkami nie będą zadaniem uciążliwym. Swe drobne nieporozumienia Galilejczycy na pewno spokojnie załatwiają między sobą,

a mało jest prawdopodobne, żeby mieli zatargi z mieszkańcami innych prowincji, skoro nie prowadzą z nimi żadnego handlu, toteż nie muszą się odwoływać do pomocy sądów. Nie mając więc dużo, a nawet nic do roboty, będzie tarzał się w zbytkach. I w każdej chwili, gdy mu się znudzi ten letarg, może pojechać do Cezarei, a stamtąd popłynąć do Rzymu.

Życie w Galilei wciąż było nowością. Antypas pokochał cudowny widok rozciągający się ze wschodniego portyku basenu. Wydał rozkaz, żeby co dzień budzono go przed świtaniem, i oglądał wschód słońca. Widowisko pełne chwały — strome ławice kumulusów przeobrażały się w szczerozłote girlandy, ledwie słońce błysnęło zza dalekiego pasma gór, a piękne jezioro Genezaret — dla wszystkich z wyjątkiem ludności miejscowej „Morze Galilejskie” — lśniło szafirem, odbijając wyższe rejony nieba.

Aż nadchodziła dramatyczna chwila, gdy po królewsku ukazywało się słońce, odzierając obłoki ze złota, przystrajając je w srebro. Ukośne żagle

łodzi rybackich jaśniały wspaniale. Wysoka baszta twierdzy rzymskiej odległej o milę na północ i przysadzista synagoga pośrodku Kafarnaum w dali wyglądały pięknie, skąpane w blasku. Niechlujne zbiorowisko rybackich szałasów i przystanie na brzegu jeziora wydawały się raczej malownicze niż brzydkie. Wtedy władca Galilei, napawając się wspaniałym widokiem, kazał podawać śniadanie.

Jednego tylko brakowało: odpowiedniego towarzystwa. Ale w tym właśnie dniu, osiemnastym miesiąca Adar, ta potrzeba została zaspokojona. Przybycie Marka Warusa było niespodzianką tylko o tyle, że Antypas nie spodziewał się go tak rychło — Marek zapowiadał swój przyjazd w połowie lata. Przyjechał jednak wcześniej ze switą kilku służących z domu i karawaną miejscowych zwierząt jucznych, dźwigających jego rzeczy, które wyladowano ze statku w Cezarei. Zgrzany, zakurzony, zjawił się późno po południu i od razu zaczął głośno wychwalać działalność budowlaną gospodarza. Antypas uściskał go wylewnie, po czym podniósł i wrzucił głową naprzód do basenu. W wodzie

## 42

Marek rozebrał się prawie do naga, a Antypas idąc równolegle po kamiennym obramowaniu wyławiał jego odzież sztuka po sztuce drzewcem włóczni.

Wkrótce potem Marek odświeżony i ubrany przyszedł do Antypasa, który spoczywając na ozdobnej ławie rozmawiał ze swoim majordomusem o gońcu przybyłym z Jerozolimy.

- Ugość go — mówił — i powiedz, że zobaczymy się z nim za godzinę, może dwie godziny.

- On twierdzi, że to pilne, wasza wysokość.
- Nic nie jest pilne... w Tyberiadzie — oświadczył Antypas przeciągle.
- W Tyberiadzie? — leniwie zapytał Marek. — To nazwa tej nowej willi?
- To nazwa mojego nowego miasta — oświadczył Antypas — jednego z najpiękniejszych miast na świecie. Całe ono... każda budowla w nim, duża czy mała... będzie z białego marmuru. Chciałbyś zbudować sobie willę z białego marmuru?
- Chyba tak. — Marek roześmiał się. — Niewiele myślałem o tym.
- Jesteś już gotów wypić dzban wina?
- Gotów od pół godziny.

Antypas klasnął w dłonie i podano wino. Pili tego, języki im się rozwiązały. Marek na usilne dopytywanie się Antypasa, co nowego w Rzymie, potrząsnął głową krytycznie. Rzym zupełnie traci urok: wiele się zmieniło, wszystkie zmiany są na gorsze. Nie pofatygował się wyjaśnić, że klęska, jaką zadały jego znakomitemu ojcu barbarzyńskie plemiona germańskie, nie przysłużyła się rodzinie Warusów pod względem towarzyskim; Antypas mógł wyciągnąć — i wyciągnął — taki wniosek. Teraz w Rzymie, uskarżał się Marek, pełno jest bogatych parweniuszy, wulgarnej hołoty, która wzięła się do interesów: tłumy obcych bywają na wszystkich uroczystościach dworskich; doprawdy chętnie by się przeniósł na stałe gdzie indziej. Stary August miał swoje wady, to na pewno, ale też i dużo godności. Tyberiusz natomiast zebrał wokół

siebie nowy pomiot faworytów. Zmienił Rzym w naj-nudniejsze miasto pod słońcem. Igrzysk nie cierpi, uważa

**43**

je za marnotrawienie funduszy publicznych. Będzie wprowadzał wszelkiego rodzaju oszczędności, jak gdyby Cesarstwo było na krawędzi bankructwa.

— No, chyba jest — mruknął Antypas.

Marek przyznał, że owszem, jest i zawsze było, a przecież nadal radzi sobie jakoś z trudnościami i nie bankrutuje.

- Te nowe rządy Tyberiusza — ciągnął — wyzują miasto ze wszystkiego, co je rozślawiło. Wciąż teraz słyszy my tylko o tym, że ziemia musi dawać lepsze plony, żeby w pełni zaspokajać potrzeby popółstwa.
- Dość to rozsądne — przyznał Antypas.
- Otóż to właśnie! — Marek zachnął się. — Czy może być przyjemnie w państwie, które postanowiło być... rozsądne?
- Tyberiusz jeszcze myśli o wyprawie na południe?
- Prawdopodobnie nigdy nie żywił takiego zamiaru. — W głosie Marka brzmiało szyderstwo. — Dziwię się, że twój ojciec dał wiarę tej pogłosce. W dzień i w nocy cesarz pracuje nad uzdrowieniem armii zachodniej.
- Naprawdę? Sądziłem, że nic z niej nie zostało — zauważył Antypas nietaktownie. Żeby zatuszować bezwiedną niegrzeczność, dodał z pośpiechem: — Więc już nie

mamy się czego obawiać. Świetnie... jeżeli wiesz na pewno.

- Słyszałem z najlepszego źródła. Mogliście byli sobie darować to przymierze matrymonialne z Arabią. No, ale powiedz — oczy Marka zamigotały psotnie — utrzymuje się ten traktacik w mocy? Czy ona jest ładna?

Antypas, lekko marszcząc brwi, wzruszeniem ramion zbył tę impertynencję, postawił swój puchar do góry dnem, zamrugał i policzył na palcach do dziesięciu.

Skinął na ochmistrza.

—Powiedz temu gońcowi, że przyjmujemy go teraz.

Wkrótce potem wbił wysadzony drogimi kamieniami sztylet w woskową pochwę grubo złożonego papirusu. Milcząc, niczym nie zdradzając zainteresowania — ponieważ był świadom żywej ciekawości Marka — przeczytał urzędową wiadomość od matki. Skinął na gońca, czekającego w pewnym oddaleniu.

—Gdy odpoczniesz — rzekł niedbale — możesz ruszać

## 44

z powrotem do Jerozolimy. Przekaż pozdrowienia od nas ich królewskim gościom i nasze najserdeczniejsze życzenia zdrowia, szczęścia, pomyślności dla księżnej Arnon. I możesz księżnej powiedzieć — dodał po namyśle — że mojej córce będzie na imię Estera. Goniec uklonił się i odszedł.

- Dlaczego chcesz ją nazwać Esterą? — zapytał Marek z ciekawością.
- Dlatego, że urodziła się piętnastego Adar, w dniu



święta królowej Estery.

- Nigdy o takiej nie słyszałem. Co to za królowa?
- Persji... ileś tam wieków temu.
- Żydówka?
- Oczywiście. ■\*
- Dlaczego „oczywiście”? Persja nie jest krajem żydowskim.

Antypas machnął niedbale ręką i powiedział, że nie jest znawcą historii Persji, ale Estera, bardzo piękna Żydówka, kiedyś była tam królową; czy Marek chce się założyć, że nie była?

- Ale czy twoja córka jest Żydówką? — nastawał Marek.  
— Przecież to na pół Arabka.
- Nieważne — ziewnął Antypas. — Zostanie wychowana na Żydówkę.
- Moim skromnym zdaniem — oświadczył Marek, nagle poważny — sytuacja jej będzie niezręczna przez całe życie. Wielce niefortunne połączenie... pół krwi arabskiej, pół żydowskiej.
- Nie takie złe, jak ci się zdaje. — Antypas uśmiechnął się. — Każdy z tych narodów zechce ją uznać za swoją.
- Chyba nie jesteś aż tak niemądry! — powiedział Marek. — Żaden z tych narodów jej nie zaakceptuje. Zdaje mi się, że twoja Estera będzie bardzo nieszczęśliwą dziewczuszką.
- No — mruknął Antypas — już za późno martwić się o to. — Podniósł puchar do ponownego napełnienia. —

Oczywiście ty jeszcze nie wiesz, jak piękny będzie ten basen, gdy się go wyłoży mozaiką. Po kolacji pokażę ci plany. Coś niebywałego!

45

Znów był miesiąc Tiszri. Lato się skończyło, rankiem trawę pokrywał szron. Warus wyjechał do Rzymu zadowolony z zapewnienia księcia, że spotkają się tam za dwa miesiące. Przedtem księżę miał złożyć uszanowanie swojej rodzinie.

Po przybyciu do ojcowskiego pałacu Antypas utrudzony podróżą odświeżał się bez pośpiechu. Co najmniej w godzinę później wkroczył do komnat królowej tak niedbale, jak gdyby w ogóle nie wyjeżdżał z Jerozolimy. Rozparł się w miękkim, grubo wyściełanym fotelu i czekał, aż matka się ukáže.

— Antypasie! — Mariamme objęła go i przytuliła, stęskniona. — Zbyt długo ciebie nie było! Zastanawiałam się, czy jeszcze cię kiedy zobaczę. — Odsunęła go na długość ręki. — Jesteś opalony jak wieśniak.

Poklepał ją po policzku.

— Piękna, zawsze piękna! Jak ty to robisz, matko?

Usiedli razem na tachcie. Mariamme delikatnie głaskała go po opalonym przedramieniu.

— Widziałeś się z Arnon? — zapytała niespokojnie.

— Jeszcze nie. — Widząc, że matka marszczy brwi, dodał: — Naturalnie chciałem najpierw zobaczyć się z tobą.

Mariamme przyjęła ten hołd z cieniem uśmiechu, ale zaraz znów spoważniała, wolno potrząsnęła głową.

- Myślę, że powinnam ci powiedzieć, mój drogi. Ła miesz serce Arnon tym, że ją tak zaniedbujesz. Po narodzinach dziecka mogłeś przynajmniej napisać do niej miły list.
- Przykro mi — bąknął Antypas. — Byłem zajęty, matko. Wiesz, mój pałac... zaraz ci wszystko dokładnie opowiem. Rozumiesz... z początku zamierzałem tylko zbudować...
- Pałac może poczekać — ucięła Mariamme. — Zwykła przyzwoitość nakazuje, żebyś natychmiast poszedł do swojej księżnej i do tego pięknego dzieciątka, Fary. No, pójdę z tobą... jeśli moja obecność choć trochę ci to ułatwi.

Wstała i pociągnęła go za sobą.

- Dlaczego nazywasz ją Fara? — zapytał Antypas gniewnie. — Ja ją nazwałem Esterą.
- Ty możesz ją nazywać, jak chcesz. — Mariamme nie ukrywała oburzenia. — Ale Arnon dała jej na imię Fara!

46

- Wbrew mojemu życzeniu?
- Oczywiście! Czemuż by Arnon miała liczyć się z twoimi życzeniami po zniewagach, jakich doznała od ciebie?
- Jest moją żoną!
- Och... czyżby? Myślałam, że o tym zapomniałeś. — Mariamme rozgniewana mówiła teraz gwałtownie. — Nie chcę cię niepokoić, synu, tak od razu po powrocie do domu, ale nie wszyscy zapomnieli, że ożeniłeś się z królowną

Arabii. Król Aretas pamięta! Przybył poseł od niego. Ojciec sam ci o tym powie.

Antypas poszukał wzroku matki i głośno przełknął ślinę.

- Chcesz powiedzieć, że... ten Arab odnosi się do nas wrogo?
- Ojciec ci powie — powtórzyła Mariamme. — Chodź! Staraj się zjednać sobie Arnon.
- Nie! — burknął Antypas. — Nie będę zabiegał o przebaczenie arabskie, nawet o przebaczenie Arnon! i jeśli ten naburmuszony pasterz, który mieni się królem, ma czelność dyktować księciu Izraela...

Mariamme podniosła rękę ostrzegawczo.

- Wyraźnie nie jesteś w nastroju — zdecydowała — żeby odwiedzić Arnon. Idź więc do ojca i dowiedz się, jak wygląda ta nieszczęsna sprawa. Ja powiem księżnej, że zaraz po przyjeździe chciałeś pośpieszyć do niej, ale król cię wezwał na pilną rozmowę. I... jeszcze coś — dodała, gdy Antypas ruszył ku drzwiom — dla własnego dobra zachowuj się przystojnie na posłuchaniu u ojca. Nie wkraczaj jak paw, nie czynь niepoważnych uwag, nie rób z siebie rozpieszczonego faworyta!
- Ojciec się gniewa?
- Gniewa się, to zbyt łagodnie powiedziane. I... nie opowiadaj mu, co budujesz w Galilei. Szkoda twojej fatygi, bo co do Galilei król ma inne projekty.

Nieprzyjemna to była rozmowa. Przede wszystkim Antypas został zatrzymany — dosyć grzecznie, ale stanowczo — u drzwi komnaty posłuchań. Ochmistrz oznajmił, że król jest zajęty.

47

- Ale mnie przyjmie — warknął Antypas. — Idź i powiedz, że przyszedłem.
- Miłociwy pan już wie o tym, książę. Zechcesz poczekać na jego wezwanie.

Antypas odwrócił się, żeby odejść.

- Powiedz jego królewskiej mości, że wrócę, gdy nie będzie taki zajęty — rzekł beztróska.
- Jeśli wolno, ośmielę się coś doradzić — rzekł ochmistrz uniżenie. — Wasza wysokość postąpi roztropniej, jeśli poczeka tutaj.

Nuta ostrzeżenia w głosie tego starego sprawiła, że Antypas nie odszedł. Oburzony rozejrzał się po korytarzu chcąc usiąść, ale ku swemu zdumieniu i irytacji stwierdził, że nie ma gdzie. Kazałby przynieść fotel, ale nie miał komu, bo ochmistrz wrócił już do komnaty posłuchań i zamknął drzwi za sobą. Kipiąc gniewem Antypas zaczął spacerować tam i z powrotem. W pewnej chwili ruszył w stronę wielkich drzwi prowadzących na taras, żeby wyjść, ale ostatecznie rozmyślił się. Godzina minęła, zanim ochmistrz znów się ukazał, tym razem oznajmiając, że jego królewska mość może już przyjąć księcia.

Antypas zmusił się do synowskiego uśmiechu i wszedł z ukłonem.

- Witam, miłociwy panie — powiedział — mam na

dziękuję, że cieszysz się dobrym zdrowiem.

- Siadaj! — warknął król.

Antypas przybrał poważny wyraz twarzy i usiadł wyprostowany.

Natychmiast stało się jasne, że król przygotował sobie przemówienie, które wygłaszał teraz tonem lodowatym i bardzo powściągliwie. Rozpoczął od tego, że zawsze starał się być pobłażliwym ojcem. Niełatwo jest królowi obarczonemu brzemieniem trosk państwowych stosować wobec swoich dzieci twardą dyscyplinę, konieczną, żeby wyrobić w nich mocny charakter. On przecenił swoich synów wierząc, że hojnie przez los obdarzeni sami rozwiną w sobie siłę, godność i prawość. I gorzko się rozczarował.

—Gdzie znajdzie się — ciągnął Herod — w całym moim królestwie ojciec, który miałby mniej powodów do zadowo-

## 48

lenia ze swego potomstwa? Filip to wymoczek, rogacz! — W głosie jego zabrzmiała pogarda. — Archelaus nieznośny pyszałek i awanturnik. Co ja popełniłem złego, że zasłużyłem na utrapienie, jakim jest Archelaus? Nie dawniej niż w zeszłym tygodniu twój bezczelny brat przyszedł do mnie i powiedział, że jestem już za stary na władcę, że panuję zbyt długo i zbyt gorliwie, przeto czas, bym się wycofał i rządy powierzył jemu! Pomyśl tylko! Rządy nad całą Judea! Temu swarliwemu zarozumialcowi, który w zgodzie nie potrafi nawet pić ze swoimi gnuśnymi kompanami.

Antypas uśmiechnął się lekko. Czując, że sam zaraz będzie potrzebował łaski, uznał za stosowne stanąć w obronie starszego brata. Herod pozwolił mu zabrać głos.

- Archelaus rzeczywiście przebrał miarę, \* miłościwy

panie, ale czy naprawdę nie mógłby zostać zarządcą Judei?

Przecież jest następcą tronu.

- Nie twoja sprawa! — krzyknął ojciec. — Do twojej sprawy właśnie przechodzimy!

Tak więc po tym sążnistym wstępie Herod przystąpił do rzeczy. Antypas, gdyby miał instynkt bodaj sześciolatniego dziecka, wiedziałby — oświadczył król — w jakiej niebezpiecznej sytuacji się znalazł, zgadzając się zostać zięciem arabskiego króla.

Antypas słabo zwrócił uwagę, że ten zaszczyt mu narzucono, ale Herod nie uwzględniał żadnych okoliczności łagodzących.

— Traktujesz tę małą Arabkę wprost haniebnie! Co za głupiec z ciebie! Myślisz, że te dzikusy z Arabii, ludzie, którzy pomimo nieokrzesania mają swoją dumę, będą patrzyli spokojnie, jak poniżasz jedyne dziecko ich króla! Musisz to jakoś załatwić! Załatwić należycie, zważ to sobie! Był poseł od Aretasa. Z żądaniem krótkim, ale jasnym! Żeby córkę przywieźć do Arabii!

Antypas podniósł głowę i wyraźnie się rozpromienił. Odetchnął przeciągle. Ojciec, widząc jego ulgę, wstał z fotela i podniósł groźnie palec.

— Zważ to sobie! — wrzasnął. — Księżnę trzeba za wieźć do Arabii, a nie odesłać! Ty sam, jaśnie oświecony, będziesz jej towarzyszył. Aretas chce tego. Twierdzi,

że jego umiłowana córka nacierpiała się dosyć na naszym dworze. Nie będzie mu zwrócona jak odrzucony towar! Takie są jego słowa. Jej mąż

ma ją przywieźć w sposób godny ich wysokiego stanu, świadczyć jej honory, jakich ona... i jej rodacy mają prawo wymagać.

- Ale — wybąkał Antypas — po co mu ja w tym błazeństwie! Chyba on mną gardzi.
- Zaiste gardzi! — ryknął Herod. — Nie ma powodu, żeby nie gardził tobą.
- Oni mnie zabiją... jeśli się tam pokażę.
- Zabiją, jeśli się nie pokażesz!
- Na długo mam do nich jechać?
- Na dość długo, żeby uleczyć zranioną dumę Arnon, na dość długo, żeby dać satysfakcję Aretasowi i jego Radzie udowodnić, że szanujesz ich królową, swoją żonę.

Zrobiła się cisza.

- Wybierałem się do Rzymu — zaprotestował Antypas. — Są tam sprawy do załatwienia.
- Możliwe — warknął Herod — ale na pewno nie tak naglące, jak sprawa do załatwienia w Arabii!
- A co z moimi obowiązkami w Galilei?
- O Galilei w ogóle zapomnij!
- To znaczy, że odbierzesz mi tron, miłościwy panie?
- Na razie tak. My zajmiemy się wszystkimi sprawami galilejskimi. Na pytanie, czy jeszcze kiedyś do Galilei wrócisz, sam możesz sobie odpowiedzieć. Wolno ci już odejść. Pojednaj się z Arnon. I bądź gotów do podróży z nią natychmiast.

Antypas głośno westchnął nad swoją niedolą, uderzył dłońmi o



poręcz fotela i wstał.

- Ten dzień, miłościwy panie — powiedział cicho — jest najniezwyklejszym dniem mojego życia.
- Jak dotąd — uzupełnił król. — Bacz, żeby cię nie czekał dzień jeszcze bardziej niezwykły. Pogódź się z żoną. Mów jej, że tęskniłeś, że serce ci się do niej wyrywało, niestety bunt wśród ludu twojej prowincji... — urwał i nagle zirytowało go, że syna wyraźnie interesuje dalszy ciąg tego improwowanego alibi. Za chnął się: — Swoje kłamstwa wymyślaj sobie sam. Byle dobrze! Arnon będzie starała się wierzyć, tylko że nie jest tak niemądra jak jej małżonek.
- Bunt? — rozważał Antypas.
- Groźne powstanie, musiałeś odłożyć wyjazd, stłumić je — Herod zastanawiał się głośno. — Ja tak odpowiem Aretasowi. Może będzie wątpliwy, czy to prawda, ale w sytuacjach tego rodzaju lepsze jest kiepskie wytłumaczenie niż żadne. Na swoją zranioną dumę mężczyzna przyjmie każdy lek.
- Czy wolno prosić waszą królewską mość, aby zezwolił odejść swemu słudze? — zapytał Antypas z żartobliwą pokorą, mając nadzieję, że ojciec może uśmiechnie się, zmięknie bodaj trochę.
- Zaiste wolno ci! — Herod szyderczo odpowiedział ukłonem. — Ty głupcze!

Złożenie wizyty w Arabii okazało się łatwiejsze, niż Antypas przewidywał. Odnoszono się do niego z szacunkiem. Najwidoczniej to, że haniebnie zaniedbywał królowną Arnon, było ściśle zachowywanym sekretem. Można by myśleć, że Arnon miała w Jerozolimie wszystko, czego dusza zapragnie. Król Aretas podejmował zięcia łaskawie, chociaż nie przejawiał serdeczności, co zresztą dawało się wytłumaczyć jego zwykłym powściągliwym sposobem bycia.

Doradcy króla, którzy spiesznie się zebrali, by powitać książęcą parę, musieli przyznać między sobą (o niedoli królowny Arnon wiedzieli spośród nich tylko Ilderan i Tema), że Antypasa, gdyby to nie był Żyd, mogliby nawet lubić.

Arnon obawiała się, że spotkanie z Zendim będzie pełne napięcia, ale gdy on przyjechał ze swoją ładną żoną Renną, córką Dumaha, dobry nastrój natychmiast wprowadziła mała Fara. Renna, spodziewająca się wkrótce dziecka, wzięła w objęcia piękne niemowlę Arnon i wtedy wszyscy, jakkolwiek z różnych powodów, uśmiechnęli się patrząc na ten bezwiedny przejaw macierzyńskiej czułości. Fara uśmiechnięta przyłożyła maleńką różową rączkę do policzka Renny i wywołało to ogólny wesoły śmiech. Antypas, który miał łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, też zachwycił się miłą reakcją córeczki.

- Czarujące dzieciątko! — oświadczył Zendi.
- Nigdy nie widziałam, żeby ona lgnęła do kogoś tak od razu — powiedziała Arnon. — Jestem zazdrosna o ciebie, Renno.
- Piękne kobiety — zauważył Antypas — nie muszą być o sobie zazdrosne.

Oczy Arnon rozbłysły. Słowa te świadczyły wyraźnie o tym, że książę jest dobrym mężem. Nawet Aretas, który słuchał tego, wydawał się zadowolony.

— One są piękne — rzekł ku zdumieniu wszystkich, bo nie miał zwyczaju prawić komplementów — wszystkie trzy!

Tak więc pobyt w Arabii ułożył się znacznie lepiej, niż Antypas przewidywał czy też na to zasłużył. Maleńka Fara utorowała mu drogę. Arabowie przybywali z bliska i z daleka, żeby zobaczyć to przemiłe dziecko, o którego niezwyklej urodzie opowiadano już wszędzie. Nasrożeni starzy pasterze, zawzięci przeciwnicy małżeństwa Arnon z Żydem, gdy stwierdzili na własne oczy, że dziecko jest rzeczywiście tak urocze, jak mówiono, i że królowna jest wyraźnie szczęśliwą matką i żoną, głosili tę wieść życzliwie.

— Może on być Żydem — dodawali — ale należycie dba o królownę.

Synowie szlchetnych arabskich rodów, rówieśnicy An-typasa, z początku chłodni i nieufni, stopniowo nabierali do niego przekonania, a chociaż nie dorównywał im jako jeździec, doprawdy nie był nowicjuszem w siodle. Poszanowanie wzrosło nieomal do przyjaznego aplauzu, gdy książę, mając wziąć udział w polowaniu na wilki, ukazał się na nerwowej, niespokojnej i płochliwej źrebicy, której mokre boki świadczyły, że dzielnie mu się opierała. Za pozwoleniem Aretasa tego dnia rano on sam w asyście Kedara wybrał sobie wierzchowca. Najpierw uważnie obejrzał wszystkie konie.

- Wezmę tę gniadą klaczkę — powiedział.

Kedar zmarkotniał.

- Ją trzeba trochę ujeździć, panie.

— Nie wątpię — wycedził Antypas — że ona chce poćwiczyć... ja także chcę.

Uprzywilejowany podeszłym wiekiem Kedar mógł wypowiadać się szczerze. Zachichotał chrapliwie i uprzedził księcia:

— No, to oboje będziecie mieli dobre ćwiczenie.

Gromadka młodych zuchów czekała na pagórku. Widząc wreszcie Antypasa zbliżającego się wolnym galopem, Arabowie uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Antypas podjechał i zsiadł z klaczy.

— Popręg trochę za ciasny — zauważył, rozluźniając rzemienie wprawną ręką. — To ją chyba drażni.

Wtedy wszyscy roześmieli się przyjaźnie.

- Żeby ją rozdrażnić, niewiele trzeba — powiedział Zendi. — Miałeś z nią kłopot, panie?

- Nawet mówić o tym nie warto. — Antypas poklepał spoconą klacz po karku i delikatnie potargał jej grzywę. — Prawda, że będziesz już grzeczna? — szepnął dobrotliwie.

Klacz potrząsnęła łbem, ale zaraz potarła pyskiem o jego przedramię. Znowu wszyscy się roześmieli. Antypas umiał sobie radzić z Arabami.

Zima dobiegła końca. Była dosyć ciężka. Dni mijały, krótkie, zimne, bez wydarzeń. Antypas nieraz opowiadał Arnon o Rzymie, a ona, pragnąc mu się przypodobać, słuchała z zainteresowaniem, z szeroko otwartymi oczami. Gdy pierwsze szaroty przebiły się przez topniejący

śnieg, Antypas zaproponował, żeby pojechali do Rzymu — na jakiś czas, nie na długo. Dla niej z pewnością to będzie przyjemna podróż i mnóstwo ciekawych rzeczy jest do oglądania w tym największym ze wszystkich miast świata!

Arnon zrazu się sprzeciwiała. Chciałaby tam pojechać, owszem — gdyby nie mała Fara. Mogą ją zabrać ze sobą, powiedział Antypas. To będzie trudno, odparła Arnon. Więc mogą zostawić ją tutaj, podsunął Antypas. Ona ma doskonale piastunki. I przecież wkrótce wrócą. Niech Arnon się nad tym zastanowi, błagał, po czym dodał tęsknie:

- Ja naprawdę jestem człowiekiem miasta, moja droga...  
a już tak dawno nie chodziłem po brukowanej ulicy.
- On zachowuje się należycie, Arnon — rzekł Aretas,

53

gdy córka poprosiła o radę. — O wiele lepiej, niż myślałem. Chyba powinnaś mu ustąpić.

- Nie czuję się dobrze w dużych miastach — oświadczyła Arnon.
- A twój mąż nie czuje się dobrze na otwartej przestrzeni — powiedział Aretas. — Wyjdź mu na połowę drogi w tej sprawie. Inaczej mógłby się zniecierpliwzić.

Przytaknęła. To dobra rada. Antypas mógłby się zniecierpliwzić. Nie wyznała, że Antypas już jest zniecierpliwiony, markotny i niedbały.

Trudno o męża łaskawszego i bardziej nadskakującego żonie niż Antypas w czasie tej długiej podróży do Rzymu. Nastąpiło lato i piękna pogoda sprzyjała żeglowaniu. Ich stateczek był wyposażony zbyt kownie,

a porty, do których zawijali, urzekały swymi widokami.

Arnon nie miała pewności, czy dobry humor i ożywienie księcia świadczą o jego uczuciu do niej, czy też wynikają z chłopięcej uciechy wobec rychłego powrotu do bajecznego miasta. Udzielała mu beneficium dubitandi i radowała się wygodną podróżą.

Przez całe leniwe popołudnia Antypas pod jaskrawym baldachimem na pokładzie opowiadał jej o swoich rozrywkach w Rzymie i przyjaciołach, których miała wkrótce poznać. Im więcej opowiadał, tym większe ogarniały ją wątpliwości: jakże ona zdoła dostosować się do takiego trybu życia i takich ludzi. Czy tam jeżdżą konno? — zapytała. Nie — w samym mieście nie ma gdzie jeździć konno spokojnie i bezpiecznie, jeśli się jeździ, to tylko w posiadłościach na wsi. Czy można więc zamieszkać na wsi? — zapytała Arnon. Antypas kapryśnie oświadczył, że mieszkania na wsi on ma chwilowo zupełnie dość. Ale czy w mieście nie będzie okropnych hałasów? Będą, naturalnie, komu to jednak przeszkadza? Na niego odgłosy ruchu ulicznego działają ożywczo.

Pewnego dnia Arnon zapytała o język Rzymu: mówi się tam po łacinie, prawda? Może Antypas zechciałby ją uczyć. Nie, odpowiedział, tam się nie mówi po łacinie; łacina to mowa tylko pospółstwa.

—Každy, kto jest kimś — ciągnął — ma prywatnych nauczycieli, nieodmiennie Greków... niewolników.

54

- Ludzi wyższego stanu uczą niewolnicy?
- Moja droga, nasi niewolnicy z Grecji przewyższają wszystkich na świecie swoją inteligencją. My, Rzymianie, nie udajemy, że możemy dorównać im w uczoneści.

• My, Rzymianie — Arnon parsknęła śmiechem. —

Przecież nie jesteś Rzymianinem.

Antypas rozejrzał się, zanim odpowiedział ostrożnie:

— Jestem Żydem z pochodzenia. Ale Rzym to moje miasto.

Poprawiając poduszki Arnon, żeby jej było wygodnie, powrócił do kwestii językowej.

— Myślę, że szybko nauczysz się greckiego. Może z początku będziesz mówiła z dziwnym akcentem. Jak większość cudzoziemców. Rzecz zrozumiała. Rzymianom to się nawet podoba. Zawsze ich to bawi.

Arnon uśmiechnęła się niepewnie. Oczywiście wiedziała, że dla Rzymian pozostanie cudzoziemką, a przecież słowa Antypasa wywołały w niej uczucie osamotnienia. Będzie mówiła po grecku cudacznie, będzie tym ludzi bawiła. Zaczną ją traktować jak uczące się dziecko, okropność. Niektóre kobiety z wielkim wdziękiem udają sześciolatki, paplają jak małe dziewczynki. Teraz ona będzie musiała odgrywać rolę brzdąca, zgoła nie leżącą w jej usposobieniu. Zmarszczyła brwi, zamyślona. Jeżeli w Jerozolimie, gdzie przynajmniej mogła rozmawiać jak osoba dorosła, czuła się nieswojo, o ileż bardziej nieswojo będzie czuła się w Rzymie! Tak ją to trapiło, że aż zapytała Antypasa. Wyrwany ze swoich marzeń odpowiedział z roztargnieniem:

— Nie będziesz czuła się obco... już po paru dniach.

Ale uczucie obcości nie mijało. Rzym, wielkie miasto, wulgarne i wrzaskliwe, oszalał ją. Zamieszkali w zbyt-kownym pałacu, gdzie

panowały dziwne dla niej obyczaje. Miała tyle trudności w wyjaśnianiu służbie, czego sobie życzy, że wkrótce zrezygnowała z wysiłków, żeby być panią we własnym domu, i dwadzieścioro niewolników robiło, co chciało. Często bywali oni pijani, zawsze byli leniwi;

## 55

majordomus prawdopodobnie kradł. Antypas stwierdził oziębło, że nigdy dotąd nie mieszkał w takim bałaganie. Nie nadmienił, że to jest wina Arnon, ale któż inny mógł do tego bałaganu dopuścić?

Po raz pierwszy Arnon wystąpiła w rzymskim towarzystwie na przyjęciu u Marka Warusa. Antypas uprzedził Klaudię, żonę Marka, że jego arabska królowna ma trudności językowe, dosyć dla niej kępujące, i prosił o ograniczenie liczby gości do bardzo małego grona, które okaże wyrozumiałość. Klaudia więc zaprosiła tylko dwadzieścia osób.

Przede wszystkim Arnon poznała tam swoją bratową, Herodiadę. Dama ta, rozciągając w uśmiechu swe duże czerwone usta, wesoło skinęła jej głową — jak gdyby znały się od dzieciństwa — i zarzuciła długie, smukłe, pobrzękujące bransoletami ręce na szyję Antypasowi, przyciągnęła go do siebie, uściskała zuchwale. Za Herodiadą wkroczył potulnie uśmiechnięty łysawy mężczyzna, w którym Arnon łatwo odgadła „biednego Filipa”. Podszedł nieśmiało i przemówił do niej po aramejsku:

— Po trzykroć mile witamy, księżno Arnon, w tym przechwalanym mieście. Jestem Filip, rozpieszczony małżonek pani, tak mocno teraz uczepionej mojego brata. Jak widzisz, tworzymy kochającą się rodzinę.

Arnon odpowiedziała uśmiechem na to podkpiwanie, była jednak zgorszona obojętnością Filipa wobec nieprzy- stojnego zachowania się



jego żony.

— Najwidoczniej oboje są w serdecznej przyjaźni — powiedziała, dokładając starań, żeby to zabrzmiało niedbale.

Klaudia już odwróciła się od nich do przybywających gości. Herodiada wypuściła Antypasa z objęć i zaczęła żarliwie szeptać mu coś do ucha. Do Arnon podszedł Marek Warus i wykrzyknął po grecku:

— A więc nareszcie mamy wśród nas prześliczną królową Arabii!

Rozumiejąc piąte przez dziesiąte Arnon uśmiechnęła się.

- Jej grecki jeszcze nie jest zbyt płynny, Marku — powiedział Filip. — Mówisz po aramejsku?
- Trochę — odpowiedział Marek. I na dowód zaczął tym językiem wychwalać nowy pałac Antypasa w Galilei.

56

Arnon, która wiedziała o pałacu męża mniej niż Marek o tajnikach mowy aramejskiej, mogła tylko wyrazić nadzieję, że kiedyś ową budowlę zobaczy. Intuicja nakazała Markowi zmienić temat. Podał Arnon ramię i — jak chełpliwy właściciel — powiódł ją między gromadki gości, a ona czuła się przedstawiana twarzom bez nazwisk. Doznawała też wrażenia, że nikt nie wie i nikogo nie obchodzi, kim ona jest. Wszyscy uśmiechali się sztucznie i prowadzili dalej swoje głośnie rozmowy, w których kobiety przekrzykiwały się nawzajem. Oszołomił ją ten zamęt. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się znaleźć wśród ludzi tak zdumiewająco hałaśliwych, tak przeraźliwie nieokrzesanych.

Marek Warus dalej ciągnął ją za sobą, nie mogła uwolnić ręki spod jego pachy ani zachować godnej postawy — doprawdy była jak źrebica

wystawiona na targu. Gdy wesołymi okrzykami witał nowych gości, rozglądała się za Antypasem, ale daremnie; Antypas zniknął gdzieś w tłoku, chyba zapomniał o niej.

Wkrótce potem podano wyszukaną kolację. Goście na pół leżeli wsparci łokciami na miękkich poduszkach wokół długiego stołu. Marek zajął miejsce przy Arnon i nadskakiwał jej, nadskakiwał w sposób wprost żenujący — sięgając po półmiski, częstując ją przysmakami pochylał się nad nią, dotykał jej. Odruchowo uchylała się przed każdym takim poufałym gestem, aż po kilku niedwuznacznych odprawach nagle ostygł w zapale. Spróbował przyciągnąć uwagę Herodiady, swej sąsiadki z drugiej strony, ta jednak była pochłonięta rozmową z Antypasem. Zajął się więc ponownie arabską królową. Przede wszystkim skarcił ją łagodnie za to, że nie pije. Wyjaśniła mu, że picie trunków nie jest w jej kraju przyjęte. Czasami Arab wypije puchar wina, Arabce jednak w żadnym razie to nie przystoi.

Filip, jej drugi sąsiad przy stole, słyszał tę rozmowę. Przysunął się i powiedział, że na ucztach rzymskich wypada dużo pić.

— Kiedy leje się wino — dworował — biesiadnicy nie lubią mieć w swoim gronie tych, którzy pozostają trzeźwi. Trzeźwość krępuje. Dlatego Warus nalega, żebyś się napiła, księżno Arnon. Intencje ma dość szlachetne.

57

Jest gospodarzem... chce ci pomóc w zaskarbieniu sobie ogólnej sympatii.

Marek słuchał z brwiami zmarszczonymi, milczał jednak.

- Więc nie zaskarbię sobie sympatii, jeśli nie będę

trochę pijana? — zapytała Arnon.

- Noo... — powiedział Filip przeciągle i zachichotał — różnie można to ująć, ale tak zwięzłego i jasnego sformułowania nigdy dotąd nie słyszałem.

Przytrzymał wzrok Marka. Patrząc spode łba Marek wzruszył ramionami.

—Niestety, chyba nie bardzo będzie mi się podobało w Rzymie — szepnęła Arnon.

Dopiero po chwili Filip odpowiedział. Tym razem z powagą:

—Tak, księżno, nie mogłoby ci się tu podobać. Mój brat nie powinien był przywozić ciebie. Z nazbyt świetnej jesteś ulepiona gliny, byś narażała się na to zbrukanie.

Przypuszczając, że Filip szydzi, Arnon spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich szczerłość.

- Może ty, książę, też byłbyś szczęśliwszy... gdzie indziej — powiedziała.
- Wszędzie, byle nie tu — odpowiedział.

Po kilku tygodniach Arnon stwierdziła, że nie zdoła nagiąć się do rzymskich zwyczajów. Zrezygnowała więc ze swych gorliwych, ale daremnych starań i zaczęła błagać Antypasa, żeby ją zwolnił od dalszego bywania na ucztach.

— To znaczy, że mam spędzać wieczory w domu? — zirytował się Antypas. — Chcesz ze mnie zrobić pustelnika w jaskini?

Była na to tylko jedna rozsądna odpowiedź. Arnon uspokoiła go zapewnieniem, że będzie mógł wszędzie bywać bez niej, do czego się

zastosował. Odtąd widywali się bardzo rzadko i panował między nimi chłód.

W pewien wieczór na początku jesieni, gdy Arnon miała zasiać samotnie do posiłku, niespodziewanie odwiedził ją Filip. Poprosiła, ku jego wyraźnemu zadowoleniu, żeby z nią zjadł. Łatwo jej było, jak stwierdziła, rozmawiać z tym

człowiekiem, mylnie uważanym przez wszystkich za głupca. Dostyc szybko rozmowa zesłała na tory osobiste.

Życie Arnon w Rzymie, zaczął Filip, na pewno staje się bardzo nudne. Arnon sprostowała, że tak by tego nie określiła, ale owszem, jej życie jest co najmniej nudne.

- Czasami — wyznał Filip w zadumie — prawie nie mogę tego znieść. Nieraz myślę, żeby uciec... na Sycylię, zamieszkać osobno. — Przymknął oczy. Mówił jak gdyby do siebie. — Na wsi. W małym domku na zielonym stoku wzgórza, mieć owce i kwiaty, drzewa, trawę, zachody słońca i dwa przyjazne psy.
- Czy byłbyś szczęśliwy... bez swojej rodziny? — zapytała Arnon.
- Ja nie mam rodziny — szepnął. — Herodiada zawsze jest poza domem. Nie pytam, z kim ani u kogo.

Arnon zdobyła się na odwagę.

- Dlaczego nie pytasz? Przecież to twoja żona.
- Podobnie ty nie pytasz Antypasa, gdzie on spędza czas — powiedział Filip. Zachichotał szyderczo. — Przy puszczam, że gdybyśmy poszukali ich teraz, znaleźlibyśmy

oboje w jednym i tym samym miejscu.

- Czy to znaczy, że... oni są często razem?
- Oni są razem zawsze! Ja gdybym był tobą, Arnon, wyjechałbym natychmiast do Arabii... zanim ten skandal będzie upokorzeniem dla ciebie... dla twojego narodu.

Serce Arnon waliło, coś ścisnęło ją w gardle.

— Pewnie dlatego dziś mnie odwiedziłeś — powiedziała cicho. — Uznałeś, że już pora, bym o tym wiedziała.

Filip przytaknął nie patrząc jej w oczy.

— Wszyscy wiedzą. Czemuż byś nie miała wiedzieć i ty.

Nazajutrz rano nieunikniona rozmowa Arnon z Antypasem położyła kres ich nieszczęsnemu związkowi. Ku wielkiej uldze księcia nie padło ani słowo o jego gorszącym postępowaniu. Arnon po prostu oświadczyła, że Rzym to nie miejsce dla arabskiej królowny, jeśli ma być szczęśliwa, i że jedynym rozwiązaniem będzie jej powrót do ojczyzny, na co Antypas zgodził się chętnie. Obiecał zająć się od razu przygotowaniem do jej wyjazdu. Wynajął dobrze wyposażony statek, zadbał o wszelkie

59

wygody Arnon na czas długiej podróży. Dwudziestu zaufanych ludzi, doświadczonych w prowadzeniu karawan, miało zapewnić bezpieczeństwo dalszej drogi lądem z portu w Gazie.

W przeddzień rozstania spróbował porozmawiać z Arnon o stanowisku, jakie prawdopodobnie zajmie król Aretas.

Pochwalił roztropność jej decyzji i dodał od niechcienia:

— Jakże cieszyć się będzie twój ojciec, gdy zobaczy cię

znowu. Na pewno tęskni do ciebie.

Arnon zmarszczyła brwi, ściągnęła usta i spojrzała mu prosto w niespokojne oczy. Poruszył się w fotelu niby to niedbale. Przechylając głowę, nadal mu się przypatrywała spod długich rzęs. Po chwili uśmiechnęła się zagadkowo.

- Ojciec powita z radością powrót córki do jego namiotu — rzekła odmierzając słowa. — Ale Aretas, król Arabii, może nie być zadowolony, gdy się dowie, że królownę Arabii naraził na wstyd nieprzyjazny cudzoziemiec.
- Czy to znaczy, że będzie szukał zemsty? — Antypas spoważniał, głos mu drżał trochę.
- Książę Antypas nie jest uczony w historii Arabii — odpowiedziała Arnon — jeśli mniema, że taką obelgę puszcza się tam płazem.

Zawarte w tym ostrzeżenie sprawiło, że książę stracił pewność siebie. Zaczął gniewnie chodzić po komnacie.

— Niech król Arabii zrobi, co zechce! — wrzasnął nagle. — Księżna niewątpliwie przedstawi mu w jak najgorszym świetle swoje trudności. Nie powie królowi, że wcale się nie starała wypełniać powinności żony wobec męża. — Zatrzymał się i popatrzył na Arnon surowo. — Ja ciebie nie skrzywdziłem! Przeciwnie, to ty mnie porzucasz! I mogę ci równie dobrze powiedzieć już teraz, że jutro, gdy twój statek odpłynie, wystąpię o rozwód jako małżonek, od którego żona uciekła.

Arnon wyprostowała się. Oczy jej zaświeciły.

— Poważnie? — wykrzyknęła. — Przyjmij moje po

dziękowanie, Antypasie, za tę łaskawą przysługę.

Oszołomiony niespodziewanym ciosem zadany jego próżności, badawczo patrzył jej w oczy. Nie — to nie ironia, to nieklamana szczerłość. Wahał się przedtem nie wiedząc, jak jej przekazać tę druzgocącą wiadomość, a tu się okazuje,

## 60

że ona jest naprawdę uszczęśliwiona. Ukłonił się sztywno i ruszył ku drzwiom. Zanim wyszedł, odwrócił się, żeby mieć ostatnie słowo.

—Zastaniesz na statku młodą Greczynkę szlachetnego rodu, niewolnicę, którą kupiłem wczoraj za spore pieniądze. Ofiarowuję ci ją. Mam nadzieję, że ci się przyda. Umie czytać, pisać, pięknie mówi po grecku. Niezależnie od innych obowiązków mogłaby nauczyć moją córeczkę wdzięczniejszego języka niż ta nieokrzesana niby aramejska mowa, jaką bełkoczeć w Arabii.

Arnon z lekka się zarumieniła.

- Czy nasz język jest nieokrzesany, czy nie jest — odparowała — zależy od tego, kto nim mówi! I... nie chcę od ciebie żadnych pożegnalnych darów!
  - Jak sobie życzysz! — powiedział Antypas obojętnie.
- Ta Greczynka będzie na statku, i to już twoja własność.

Nie chcesz, możesz ją wyrzucić za burtę.

Gdy statek odpływał, Antypas nie przybył, żeby się pożegnać. Arnon nie liczyła na to, więc nie była rozczarowana. W ostatniej chwili przed odcumowaniem zjawił się Filip w nastroju zdumiewająco radosnym. Poprowadził Arnon na rufę, gdzie mogli porozmawiać swobodnie.

- Dobry dzień dla ciebie, księżno — rzekł wesoło — i dla mnie też! Odjeżdżasz do ojczyzny, do ludzi, których kochasz, wolna już od wszystkiego, co ci zatruwało życie.
- A ty, księżę? — zapytała Arnon.
- Ja też jestem uwolniony! Herodiada oznajmiła, że mój brat i ona chcą się pobrać, wobec czego potrzebny jej rozwód. Czy ja zechcę rozwieść się z nią? Czy ja zechcę? Rzadko kiedy zdarza mi się cokolwiek załatwić z taką gotowością. W przyszłym tygodniu odpływam na Sycylię.
- Szczęśliwy Filipie — powiedziała Arnon. — Doprawdy mam nadzieję, że będzie ci tam dobrze. Często będę myślała o tobie... o twoim ogrodzie. — Zniżyła głos. — Księżę może ci mówił, że rozwodzi się ze mną.

Filip przytaknął.

—Ucieszyłem się, ale też byłem trochę zaskoczony tym, że Antypas zdobył się na odwagę i sam ci to powiedział. Mój brat nie lubi przyznawać, że jest łajdakiem.

**61**

Pożegnali się i statek odbił od brzegu. Poprowadzono Arnon do wygodnej kajuty, gdzie niezwykle ruchliwa, ładna młoda dziewczyna, mniej więcej jej rówieśnica, rozpakowywała skrzynie. Dopiero teraz Arnon przypomniała sobie

o tej niewolnicy. Dziewczyna ukloniła się nisko, odwracając lękliwie oczy, i dalej robiła swoje.

- Powiedziano mi, że jesteś moja — rzekła Arnon



dobrotliwie. — Jak ci na imię?

- Jona, wasza wysokość — odpowiedziała dziewczyna  
1 znów złożyła ukłon.
- Możesz mówić mi: księżno Arnon... kłaniać się nie potrzebujesz. Dobrze znosisz podróże morskie?
- Nie wiem, księżno Arnon.
- Chyba nie pierwszy raz płyniesz?
- Nie pierwszy raz, księżno Arnon. Przywieziono mnie do Rzymu z Pireusu statkiem niewolników, gdy miałam zaledwie dziesięć lat, ale wtedy siedzieliśmy stłoczeni głęboko pod pokładem, gdzie zawsze był mrok i brakowało powietrza. Przez cały czas ciężko chorowałam. Może teraz zniosę to lepiej, jeśli...
- ...jeśli będziesz miała czym oddychać — pomogła jej Arnon. — Dopatrzymy tego. — Uśmiechnęła się uspokajająco. Oczy dziewczyny złagodniały. — To będzie długa podróż — dodała. — Zabieram cię do Arabii.
- Cieszę się, księżno Arnon — szepnęła niewolnica.
- Nie żal ci wyjeżdżać z Rzymu? Nie będziesz tęskniła do domu?
- Ja nigdzie nie mam domu, księżno Arnon. Cieszę się, że wyjeżdżam. W Arabii będzie mi dobrze.
- Przecież nigdy tam nie byłaś — zauważyła Arnon rozbawiona.
- Nie byłam, księżno Arnon — powiedziała Jona — ale wiem, że będzie mi tam dobrze... przy tobie.

Słońce zachodziło, gdy karawana mozolnie dotarła" do obozowiska króla. Stary Kedar bardzo wzruszony pomógł Arnon zejść z ciasnego namiociku na wielbłądzie, stawiając ją na ziemi, jak gdyby wciąż jeszcze była małą dziewczynką.

62

Wieść o przyjeździe królowny rozeszła się błyskawicznie. Nefti powitała Amon u wrót i czule wzięła na ręce maleńką Farę.

Dziecko uśmiechnęło się, Arnon miała łzy w oczach. Wszyscy służący przybiegli, szeptali o swej radości i przywiązaniu. Arnon zapytała o ojca.

—Król wkrótce powinien wrócić — powiedział Kedar.

— Dziś po południu odbył się pogrzeb zacnego Ilderana, naczelnego doradcy.

Aretas przyjechał o zmierzchu, poważny, zasmucony utratą serdecznego przyjaciela. Obecność Arnon była mu pociechą, ale niecierpliwie chciał się dowiedzieć, dlaczego przywieźli ją cudzoziemcy. Próbowała oszczędzić mu upokorzenia, obwiniając siebie, próbowała złagodzić fego wzrastający gniew, żądał jednak całej prawdy, ostatecznie więc powiedziała mu wszystko. W ten wieczór Aretas nic nie jadł, tej nocy nie zmrużył oka.

Nazajutrz rano gońcy na chyżych rumakach popędzili do doradców z wiadomością o tym, co się stało. Każdy doradca rozesłał do swoich szejków plemiennych wiadomość, że natychmiast mają przygotować wyprawę na Jerozolimę. Padł rozkaz zebrania konnicy na wschodnim brzegu rzeki Jordan w pobliżu wsi Jeszimot. W pięć dni potem zjechały się tam dwa tysiące zbrojnych.

Gwałtowna wściekłość, która miotła Aretasem, przestała być widoczna.

Do swych niecierpliwych żołnierzy król przemówił spokojnie. Arabia doznała wielkiego upokorzenia ze strony Żydów. Zważywszy, że pogardy godzien księżę Antypas jest niestety za daleko, pozostaje tylko uderzyć szybko i okrutnie na jego ojca, Heroda.

Arabów nie trzeba było ponaglać. Tak się kwapili do wyprawy, że doradcy odłożyli mianowanie następcy Ilderana na później. I doprawdy z wielkim trudem Aretas powstrzymywał pierwsze oddziały, dopóki nie przybyła konnica z dalszych okolic. Zendi, na czele dwudziestu swoich szaleńczo odważnych towarzyszy, koniecznie chciał ruszyć przodem.

—Może kiedyś sam będziesz władcą tych śmiałków — powiedział mu Aretas ostro. — Nigdy nie jest za wcześnie na to, by uczyć ludzi, że odwaga w sercu to nie dosyć, trzeba też mieć rozsądek w głowie.

Wreszcie w ten doniosły poranek przekazano wołaniem rozkaz królewski i ruszyli wszyscy na zachód. Przeprawili się przez rzekę, wjechali na stromy drugi jej brzeg i czwórkami galopowali po równinie Judei, wywołując popłoch wśród ludności wiosek, przemierzając gościńce, aż znaleźli się w szpalerze palm, ocieniających drogę, która przecinała miasteczko Betanię. Ze szczytu wzgórza, skąd już widać było baszty strzelnicze i wieżyczki Jerozolimy, pomknęli długim łagodnym zboczem w dół. Nadal czwórkami wtargnęli do miasta otwartą masywną bramą, gdzie gromada oszołomionych strażników i poborców skarbowych po prostu rozpierzchła się przed nimi. Pełnym galopem pędzili po zatłoczonych, krętych i wąskich ulicach, obojętni na tumult, na wrzaski przerażonych ludzi, chroniących się w drzwiach domów i w zaułkach. Tak dotarli do wspaniałego pałacu Heroda zwanego „Insula”.

Tutaj ściągnęli konie. Ustawili się w równe szeregi, zapelniając wielki plac przed ogromną marmurową Insulą, zsiadli ze spienionych wierzchowców i czekali, gdy król z doradcami jechał dalej po szerokich białych schodach, po kamiennej posadzce tarasu i jeszcze jednej kondygnacji schodów do przepysznych drzwi wykutych z brązu.

Tysiąc rzymskich legionistów pełniło straż, ale nie mieli oni rozkazu zatrzymania Arabów. Może legat Julian osłupiał wobec bezczelności tych ponurych jeźdźców, którzy ośmielili się wjechać do Insuli.

Aretasowi wydało się dziwne, że tyle wojska strzeże pałacu Heroda. Czyżby król Żydów wiedział, że będzie arabski najazd? Chyba nie, skoro nie rozkazał odeprzeć najeźdźców. Dlaczego ci żołnierze stoją tak nieruchomo?

Aretas wrzasnął na legata, który zbliżył się z szacunkiem.

- Wpuście mnie do Heroda!
- Król Herod nie żyje, wasza królewska mość — powie dział Julian.
- Uważaj! — zawołał Zendi. — Niebezpiecznie jest kłamać królowi Arabii!
- Powiedziałem prawdę, wasza królewska mość. Król

64

Herod — powtórzył legat spokojnie — nie żyje. Umarł nagle dziś rano. — Wskazał swoich żołnierzy. — To warta honorowa.

— Otwórzcie te drzwi — polecił Aretas. — Przyjechałem do Heroda i zamierzam go zobaczyć, żywego czy martwego!

Po krótkim namyśle legat Julian wydał rozkaz. Wielkie drzwi z brązu

powoli się otworzyły. Arabowie podjechali do nich.

- Ależ, wasza królewska mość — zaprotestował legat — mam nadzieję, że do pałacu nie wjedziesz ze swoją konnicą. Chyba zechcesz okazać trochę więcej szacunku dla króla Żydów!
- Odsuń się! — warknął Aretas. — Przybyłem tutaj nie po to, by okazywać szacunek.

Wjechali do marmurowego pałacu. Na końcu szerokiego korytarza zapytali przestraszonych strażników, gdzie są zwłoki Heroda, i gdy dowiedzieli się, że wystawiono je w komnacie Rady, ruszyli do pięknie urządzonej wysokiej sali. Pośrodku na marach spoczywał zmarły król Żydów. Dwudziestu żołnierzy pełniło przy nim wartę. Arabowie w siodłach otoczyli nieboszczyka. Milczeli dosyć długo. Aretas batem wskazał woskową twarz.

— Jasne, że nie możemy zemścić się na tym — powiedział spokojnie. — I rzymskiego legionu nie będziemy wyrzynać bez powodu. A wojsk żydowskich do walki w ogóle nie ma.

Zsiadł z konia, doradcy poszli za jego przykładem. Trzymając swoje wierzchowce za uzdy, kręgiem stojąc wokół mar, odbyli naradę. Wszyscy się zgodzili, że już nie mają co robić w Jerozolimie. Niezadowolony Dumah zaproponował, żeby powiesili zwłoki Heroda na którymś z drzew dziedzińca. Miszma — ten, który miał być mianowany naczelnym doradcą — sprzeciwił się: To byłoby niegodne.

— Tak samo niegodne — powiedział Dumah — jak to, co robimy teraz!

Gniada klacz Miszmy wysunęła się o krok i ciekawie obwąchiwała stopy

zmarłego króla. Wszyscy zachichotali. Nawet Aretas się uśmiechnął. Dosiedli koni, wyjechali z komnaty Rady na korytarz i na schody skapane w ciepłym

5 — Wielki Rybak

65

słonecznym blasku. Poinformowali konnicę, jak wygląda sytuacja. Padł rozkaz: Spocząć i rozejść się. Żołnierze mogą robić, co im się podoba, aż do zachodu słońca.

Rozczarowani, skwaszeni Arabowie pojechali do dzielnicy handlowej. Wałęsając się tam narobili zamętu w warsztatach i na targowiskach, chociaż poważnych szkód nie wyrządzali. Jakiś stary złotnik, oburzony, zwrócił im uwagę:

—Łaskawie zostawcie wasze konie na zewnątrz. Mile was witamy... ale dla waszych rumaków niestety nie mamy jadła ani noclegu!

Uznali to za dobry żart i śmieli się serdecznie, przejeżdżając obok kramu tego złotnika, oglądając jego kosztowny towar. Złotnik rad, że przynajmniej nie kradną, wesoło odpowiadał na ich pytania.

- Dlaczego pracujecie dzisiaj?
- Nie było zarządzenia, żeby zamknąć — wyjaśnił.
- Ale wiecie, że król Herod zmarł, prawda?
- Oczywiście.
- Długo chorował?
- To wyście nie słyszeli?
- Słyszeliśmy, że umarł. Nic poza tym.
- Bo nie ma nic poza tym! Książę Archelaus wrócił

wczoraj wieczorem z Rzymu i pokłócił się z królem.

Podobno król przypadkiem pchnął go sztyletem... no, przejął się, dostał udaru i umarł.

Arabowie przestali myszkować po placu targowym i zaciekawieni zgromadzili się wokół złotnika. Czy księżę jest ciężko ranny? Tak, mówią, że jest umierający.

Popołudnie mijało. Niektórzy z Arabów natrafili na beczki z winem i w rezultacie znów zapalali żądzą zemsty. Wjechali konno do przedsionka świątyni, zerwali tam ze ścian kilka misternie utkanych kobierców, a potem podpalili pałac najwyższego kapłana. Taka zemsta jednak nikomu nie dała satysfakcji. Prawdziwą zemstę odłożyli na później — zemstę na Antypasie. Ten księżę jest przecież władcą Galilei i w końcu musi tam wrócić. Kiedyś, oświadczyli, mały, ale doborowy oddział arabski złoży mu wizytę.

Wieczorem wyruszyli w poświacie księżycy z powrotem do ojczyzny. Nazajutrz rano, jak gdyby w czasie tej wyprawy

66

jeszcze nie dosyć było niezwykłych wydarzeń, biały ogier króla Aretasa w galopie na przełaj źle ocenił szerokość polnego murku i gwałtownie się zatrzymując, zrzucił swego jeźdźca na ziemię. Pośpiesznie wszyscy zeskoczyli z koni i zbiegli się wokół króla. Aretas nie żył.

Sporządzili nosze z młodych sosenek i wolno powieźli zwłoki. Tego dnia wieczorem obozowali na równinie niedaleko wsi Jeszimot. W ciszy spożyli posiłek, po czym zebrali się i Miszma ogłosił, że zgodnie z prawem królestwo arabskie przypada Zنديemu, synowi Ilderana.

Ku zadowoleniu Arabii młody król Zendi okazał się hojny wobec królowy Arnon. Zresztą stać go było na to, bo po swoim ojcu Ilderanie odziedziczył wielkie stada owiec i bydła i tyle wielbłądów, że mógłby wyposażyć dwanaście karawan regularnie wędrujących nad morze.

Jako nowy król otrzymał wszystkie królewskie włości Aretasa, ale natychmiast poprosił doradców, żeby część tej ziemi przyznali osieroconej Arnon na pastwiska dla żywego inwentarza, pozostawionego jej przez ojca.

W oczach Arabów ten dowód serdecznej dobroci wobec nieszczęścia królowy pięknie świadczył o młodzieńcu, przyjmującym na siebie powinności władzy. I było jasne, że Zendi może w potrzebie liczyć na wierność narodu, a potrzeba ta już istniała: jak zawsze po zimie z niewielką ilością śniegu, współzawodnictwo w poszukiwaniu dobrych pastwisk wymagało stanowczej i roztropnej kontroli. Swym szlachetnym aktem Zendi robił dobry początek. Nawet Miszma, który omal nie został sam nowym królem, wyraził przekonanie, że Arabia jest w dobrych rękach, i udzielił synowi Ilderana pełnego poparcia.

Arnon za zgodą doradców osiedliła się na szerokim płaskowyżu w odległości dwóch mil na południe od obozowiska króla i czuła się tu prawie jak w dawnym ojcowskim domu, bo pozwolono jej zabrać cały dobytek gospodarski, wszystkie sprzęty należące do jej ojca. Dzięki łaskawości Zendiego sztandar królewski trzepotał nad wspaniałym wejściem do jej obozowiska i wyhaftowane królewskie godło zdobiło jej odzież.

— Fara też ma nosić godło na swoich szatkach — powiedział Zendi ku radości Arnon.



Tamtego lata tak wiele spraw wewnętrznych trapiło króla, doradców i wodzów plemion, że sprawę pomszczenia królowny na razie odłożono. Księżę Antypas — rozeszła się wieść — ze swoją nierządną nową żoną zamieszkał na stałe w Galilei. Bardzo dobrze, powiedziała Arabia, będzie wiadomo, gdzie go szukać, gdy nadejdzie chwila dla nas dogodna.

Kilkunastu bardziej krewkich młodych chwatów — wciąż jeszcze niezadowolonych z bezskuteczności niedawnej wyprawy do Jerozolimy, sprzeciwiało się tej zwłoce, utrzymując, że chodzi o honor Arabii i że takie odwlekanie zemsty Żydzi mogą uważać za przejaw obojętności — o ile nie za coś gorszego. Żeby uspokoić swoich porywczych synów i synowców, doradcy postanowili przygotować specjalne oświadczenie.

W głównym namiocie króla, gdzie załatwiano wszystkie sprawy państwowe i odbywały się zebrania Rady Królewskiej, stał ciężki dębowy stół zdobny w kunsztownie wyrzeźbione godła pasterzy owiec i bydła. Ten wciąż otoczony stół był uzupełnieniem tronu. Nikt już nie pamiętał, jak się nazywał ów rzemieślnik, wykonawca sprzętu tak pięknego, zmarły przed trzystu laty co najmniej, ale jego dzieło stanowiło symbol władzy wykonawczej niezmiennie od czasów legendarnego Teracha, którego siłę i zręczność opiewało wiele pokoleń wędrownych pieśniarzy. Na tym właśnie stole zawsze leżały ważne dokumenty: edykty doradców i petycje do nich, dekrety króla.

Po długim namyśle doradcy ułożyli tekst uroczystej przysięgi, którą wspaniale wypisano różnobarwnym inkaustem. Było to stwierdzenie, że niżej podpisany zobowiązuje się pomścić krzywdę królowny Arnon zabiciem Antypasa, tetrarchy Galilei i Perei. Mściciel miał według

swego uznania wyznaczyć sobie czas i wybrać sposób dotrzymania przysięgi. Od niego miało zależeć, czy zrobi to sam, potajemnie, czy też z dobrowolną pomocą innych. Ale podpis oznaczał przyjęcie na siebie tego zadania. Arabia mogła się spodziewać, że będzie ono wykonane za każdą cenę.

Gruby papierus został ceremonialnie położony na stole i rozeszła się wieść, że tam leży — przy stylusie i rożku z inkaustem — że może go podpisać każdy żądny szybkiej zemsty. Ale rozjarzone słońce nadal wypalało trawę, wszyscy mężczyźni byli zajęci rozpaczliwym poszukiwaniem pastwisk, ratowaniem tego, co zostało ze zdziesiątkowanych stad. Wszyscy zgodnie uważali, że pogardy godzien Antypas musi umrzeć, ale też musi na śmierć poczekać, dopóki nie nastaną w Arabii lepsze czasy.

Arnon nie bolała nad opóźnieniem w ukaraniu Antypasa. Wiedziała, że to sprawa niebezpieczna i że śmiałek, który się na to odważy, raczej nie wyjdzie z tego z życiem. Księżę niewątpliwie lęka się odwetu, więc jego twierdza w Galilei jest dobrze strzeżona. Dostyc już nieszczęścia przyniósł pakt Arabii z Żydami. Powiedziała to Zنديemu, gdy usłyszała o dokumencie przygotowanym przez Radę Królewską.

— Nie chcę być odpowiedzialna za dalsze nieszczęścia — protestowała. — Dajmy temu spokój.

Zendi przyznał jej rację, ale dodał, że całej Arabii będzie łatwiej zasypiać co noc, gdy Antypas zaśnie raz na zawsze.

Było trochę deszczów owej jesieni, zbyt późnych, żeby odświeżyć wypalone pastwiska, a przecież dających ludziom nadzieję, że następne lato będzie lepsze. Cóż, kiedy zima nadciągnęła sroga, prawie bezśnieżna.

Arabski pasterz nie jest wolny od przesądów i jego pojęcie o świecie nadprzyrodzonym nie ogranicza się do wiary w opiekę nad samotnym człowiekiem, który pilnuje swego stada wśród pustkowia. Nieomal każdy uważał, że ta niezwykła epidemia nieszczęść to kara. I nawet inteligentniejsi, chociaż odzegnawali się od wierzeń w takie rzeczy, mówili — niby żartem — że widocznie klątwa wisi nad Arabią, rzucona przez Coś, przez Kogoś...

Nadeszło lato tak złe, że gorszego nie pamiętali najstarsi

69

ludzie, po czym jesienią tylko nieliczne karawany wyruszyły z ładunkiem skór i wełny do portu w Gazie. Młode wielbłądy, które zwykle jesienią prowadzono na targi w Petrze, Jerychu i Joppie, były zbyt chude i nędzne, żeby je korzystnie sprzedać. Nadwyżka ziarna okazała się niedostateczna dla wykarmienia żywego inwentarza przed nadchodzącą zimą.

Rozbrzmiewały skargi i utyskiwania. Ktoś musiał ponosić winę. Wydawało się, że niedolę zapoczątkowało przymierze Arabii z Żydami. Każdy teraz sobie przypominał, jak w swoim czasie przepowiadał, że nic dobrego ono nie da. Oczywiście nikt nie miał pretensji do Arnon, która wyraźnie ucierpiała na tym znacznie więcej niż wszyscy. Byłoby też okrutną głupotą winić jej biedne dziecko, przypominające o tym nieszczęsnym związku. Ale i tak przyjaciele odwiedzali Arnon coraz rzadziej. Zrazu to jej nie trapiło, rozumiała, że wszyscy uginając się pod nawałem trosk domowych nie są w nastroju towarzyskim.

Rzecz dość dziwna, pastwiska na ziemi Arnon były lepsze niż gdziekolwiek indziej w promieniu wielu mil. Sąsiedzi nie zazdrościli

królowie otwarcie jej dobrobytu, a przecież się dziwili. Kiedyś pewien szejk powiedział na pół żartobliwie, że wszędzie tam, gdzie mieszkają Żydzi, można zobaczyć tłuste owce.

- Żydzi? — zapytał przyjaciel, który jechał u jego boku.  
— Jacy Żydzi?
- Nie widziałeś pastwiska królowy Arnon?
- Królowa nie jest Żydówką! — upomniał go przyjaciel.
- Nie... ale jej córka jest.

Z niewiarygodną szybkością ten głupi żarcik obiegł całą Arabię, aż powtarzano go w głodzie i chłodzie namiotów na stokach najwyższych gór.

Pozostała jednak garstka ludzi, którzy niewzruszenie lojalni tym więcej okazywali królowie względów, im bardziej szerzyła się nieżyczliwość. Zendi i Renna przyjeżdżali do niej w odwiedziny co kilka dni, chociaż teraz traktowano ją jak królową tylko przez grzeczność. Zendi

## 70

starał się informować ją o wszystkim, co się dzieje w królestwie, jak gdyby nadal miała prawo o tym wiedzieć. Któregoś dnia, gdy znów zaczęli mówić o niefortunnej wyprawie do Jerozolimy, powiedział, że cesarz Tyberiusz postanowił nie oddawać władzy nad Judea jeszcze jednemu Żydowi. Odtąd rzymskim namiestnikiem będzie tam Rzymianin. Pierwszy mianowany już zamieszkał w Jerozolimie. Przedtem był prefektem na Krecie. Nazywa się Poncjusz Piłat. Niewątpliwie potrafi

dawać sobie radę z Żydami. Mówią, że jest taktownym mediatorem.

- Czy to wpłynie na pozycję Antypasa... w Galilei? — zapytała Arnon.
- Chyba nie — odrzekł Zendi. — Danina, jaką Rzym dostaje z ubogiej małej Galilei, nie jest warta kosztów jej pobierania. Antypas jest tak bogaty, że z własnego skarbcza może płacić podatki, i na pewno będzie płacił chętnie, byle tylko zachować tytuł tetrarchy.

Nieraz Zendi i Renna gotowi byli porozmawiać z Arnon o tym, że ludzie coraz bardziej od niej stronią, ale Arnon najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy ze swego odosobnienia, w rezultacie więc nigdy tego przykrego tematu z nią nie poruszali.

Często przyjeżdżała do Arnon jej przyjaciółka Kitra, ładna synowa Miszmy, przywożąc swego czteroletniego synka Woldiego, który szybko polubił małą Farę.

Serdeczna od dzieciństwa przyjaźń Arnon i Kitry stała się teraz pocieszająco zażyła, być może dlatego, że królowna Arnon już nie należała do rodziny królewskiej, a Kitrę ta przynależność ominęła tylko wskutek zbiegu okoliczności — zwłoki w mianowaniu jej teścia, Miszmy, naczelnym doradcą i tym samym następcą Aretasa. Spędzały razem długie popołudnia, patrząc radośnie, jak ich dzieci doskonale bawią się ze sobą, bo Fara poza Woldim nie miała towarzystwa rówieśników, a Woldi, o dziwo, interesował się nią jak żadnym innym dzieckiem. Czasami te dwie młode matki zastanawiały się, czy to czułe wzajemne przywiązanie ich dzieci przetrwa, gdy oboje będą dorastać, chociaż przyznawały, iż rzadko tak bywa.

Minęły trzy lata niedoli, jakiej Arabia nigdy przedtem nie znała — po zimie bezśnieżnej przychodziło lato zapowiadające znowu głód, zarówno dla ludzi, jak dla zwierząt — i nagle czwarta zima przyniosła obfite śniegi. Płatki zlatywały bez końca na góry, na doliny, pokrywały nawet wielkie połacie pustyni, jałowej, bez kropli wody od dziesiątków lat. Śnieg topniał i topniał, i znowu padał i topniał, aż rzeki nagle wylały ze swych dotychczas wyschniętych koryt. Wiosna nadeszła wcześniej. Słońce świeciło. Cała Arabia była jednym ogromnym zielonym pastwiskiem.

Ludzie tak bardzo już przygnębieni stratami zaczęli rozważać, czy dla dobra kraju nie należałoby odwieźć córeczki królowny Arnon do Jerozolimy, „gdzie jest jej miejsce”, teraz cieszyli się, że tego nie uczynili, i niektórych nawet zawstydzalo samo wspomnienie takich rozmów.

Raczej nie można było liczyć na podobnie szczęśliwą następną zimę, a przecież szczęście się powtórzyło. Jeszcze przez kolejne dwie zimy obfite śniegi pokrywały cały kraj białą szatą; a jesienią w tych dobrych latach znowu z gór sunęły ciężko obładowane karawany, szły południowym wybrzeżem Morza Martwego i wkraczały na stary szlak „solny” z Engedi do Gazy.

Teraz niejeden zadowolony pasterz pobrzękując srebrem w sakiewce mawiał, że córeczka królowny Arnon nie tylko nie ściąga złych uroków, ale wnosi do Arabii żydowski dobrobyt, na co jego kum odpowiadał:

- Ja zawsze mówiłem, że wszyscy jesteście głupcami nienawidząc tego ślicznego dziecka.

- Ale... sam przecież kiedyś powiedziałeś, że trzeba tę małą wyrzucić z naszego kraju!
- Jeśli nawet powiedziałem tak, głupiś, skoro mi to przypominasz.

Wszyscy, którzy widzieli Farę, twierdzili zgodnie z prawdą, że jest ona najpiękniejszym dzieckiem w Arabii. Fara miała wielkie, szeroko osadzone oczy i okrągłą twarzyczkę Żydówki, cerę o wiele jaśniejszą niż jej urodziwa matka. Ale figurkę miała smukłą i gibką, wyraźnie arabską, tak samo jak arabskie było w niej umiłowanie rozległych przestrzeni.



Jeździła w siodle przed ukończeniem pięciu lat i czcigodny stary Kedar kroczył wtedy przy jej kucyku. Wkrótce potem już protestowała przeciwko takiej pomocy. W pewien poranek, gdy miała nie więcej niż sześć lat, zjawiała się sama w obozowisku króla ku zaskoczeniu wszystkich tam obecnych. Zendi osobiście wyruszył z dziewczynką w drogę powrotną, żeby dojechała do matki cała i zdrowa. Arnon powitała ich oboje zupełnie spokojna.

- Nie powinnaś Farze na to pozwalać, księżno — zganił ją Zendi. — Jeszcze nie jest dostatecznie dorosła.
  - Ale ten kuc jest dorosły — powiedziała Arnon.
- Nie dopuściłby do żadnego wypadku. Chodzi za Farą jak pies.

- Kuce są zdradzieckie, Arnon. Ja bym wolał ufać koniowi.

- To prawda, miłościwy panie. Dam mojej córce konia

— Arnon powiedziała to raczej żartobliwie, ale dodała tonem już poważniejszym: — Nie zapominaj, Zendi, że moja córeczka jest Arabką! Ciebie nauczyli jeździć konno, ledwie zaczęła chodzić. Mnie tak samo.

O tym wydarzeniu, dosyć błałym, doniesiono doradcom, którzy przyjęli je uśmiechami pełnymi aprobaty. Córka królowy Arnon urodziła się niefortunnie z domieszką obcej krwi w żyłach, ale, rzecz jasna, to przede wszystkim Arabka i jako taka przynależy do Arabów. Gdy ludzie sobie o tym opowiadali, mała Fara świetnie już jeździła konno, zręczna i nieustraszona. Pogłoski nie były dalekie od prawdy.

O ile jednak w wyobrażeniu Arabii to dziecko wyrastało na dzielną amazonkę, dosiadającą prawie nie ujeżdżonych koni, przeskakującą przez żywopłoty i rozpadliny — o tyle rozwijała się druga strona życia Fary, znana tylko jej matce i królowi Zendi. Dzięki Greczynce Jonie Fara się kształciła.

Ta niezbędna ukochana Jona na pozór dostosowała się do nowego otoczenia arabskiego, a przecież smuciła ją perspektywa, że już nigdy nie usłyszy ani słowa w swym ojczystym języku greckim. Gdy mała Fara uczyła się mówić, Jonę bawiło powtarzanie jej greckich nazw dobrze znanych

przedmiotów. Podając dziewczynce talerz z owsianką mówiła: „pinakos”. Fara, zawsze chętna do sprawiania Jonie przyjemności, sepleniała



radośnie „pinakos” i ponieważ widziała, że Jonę to cieszy, raz po raz popisywała się tym słowem. Talerz był zawsze „pinakos”, potem mały kubeczek był już zawsze „poterion”, a serwetka „soudarion”. Matce również podobała się ta zabawa.

- Jono, naucz ją mówić po grecku „kocham cię”.

Biorąc Farę na kolana Jona powiedziała pieszczotliwie:

- Kocham cię, Faro. Filo se. Filo se. Kocham cię.
- Filo se — sumiennie powtórzyła uradowana Fara.
- Powiedz to swojej mamie.

Arnon wyciągnęła ręce i Fara przytuliła się do niej.

- Kocham cię — szepnęła Arnon.
- Filo se — powiedziała Fara.

Z biegiem czasu rzucanie słów greckich w rozmowie przestało być nowością, która ją rozśmieszała. Rzeczowniki trzeba było odmieniać. Słowa układały się w zdania. Przy posiłkach rozmowa toczyła się po grecku. Po wieczery w zimowe wieczory Jona uczyła Farę pisać to wszystko, co mówiły. Arnon rada, że dziecko bawi się tak pożytecznie, brała w tych ćwiczeniach udział, chociaż nigdy nie zdołała mówić po grecku z taką łatwością i tak płynnie, jak mówiła Fara. Mając lat dziesięć, dziewczynka nawet wołała język grecki niż aramejski.

Pewnego dnia król Zendi, który przyjechał jak zwykle zapytać Arnon o zdrowie, podsłuchał rozmowę Fary z Joną w sąsiednim pomieszczeniu. Umilkł i zaczął słuchać uważnie, po czym uśmiechnął się pełen niedowierzania.

—Od dawna ona tak? — zapytał.

- Odkąd była maleńkim brzdącem — odpowiedziała

Arnon. — Jona ją uczyła. Chyba nie ma w tym nic złego?

- Chyba? Oczywiście, że nie ma w tym nic złego. Sam żałuję, że nie mówię po grecku.
- Przecież ty znasz grekę, czyż nie, Zendi?
- Odrobinę... tyle, co zapamiętałem z podróży do Koryntu. A nieraz mam sprawy do załatwienia w Petrze. Byłoby z korzyścią dla mnie, gdybym mówił tam ich językiem.

## 74

Arnon śmiała się przez chwilę.

— Może — zażartowała. — Fara by ci pomogła?

Ku jej zdumieniu Zendi nie dopatrywał się w tym żartu. Zmarszczył brwi zamyślony.

— Przypomniało mi się, że mamy w naszym zbiorze osobliwości — powiedział — zwój papirusu, który mieszkańcy Petry ofiarowali twojemu ojcu, gdy został królem. Przywiozę tu papirus. Może Fara zechce go przeczytać.

Nazajutrz po południu przyjechał z owym zwojem. Jona, której również go pokazał, aż zachłysnęła się z wrażenia. Cóż za skarb! Bezwiednie ignorując króla, powiedziała Farze w jednym długim zdaniu, zgoła niezrozumiałym dla dostojnego gościa, jaka jest treść tego dzieła. Fara, uszczęśliwiona, klasnęła w ręce.

— Dałbym wiele za taką uczoność — mruknął Zendi.

— To łatwe, miłościwy panie! — wykrzyknęła Fara.

Gdy odjeżdżał, odprowadziła go tam, gdzie zostawił

swego wierzchowca. Ścisnął w dłoni jej dziecięcą rękę. Stary koniuszy podszedł do nich wiodąc pięknego deresza, wałacha. Oczy jej się roziskrzyły.

- Jak ci się podoba twój nowy koń? — zapytał ją król, ujmując uzdę deresza.
- Prosfilaj — szepnęła Fara z uznaniem i poklepała konia po połyskliwej łopatce. — Prosfilaj hippos!
- Co mówisz? — zapytał król.

—Uroczy! — przetłumaczyła Fara. — Uroczy koń!

Zendi parsknął śmiechem. Dosiadł swego konia.

- Kai megaleios hippikos \* — odważyła się powiedzieć Fara.
- A to co znaczy? — zapytał.

Dziewczynka tylko wzruszyła kształtnymi ramionkami, uśmiechnęła się tajemniczo i zarumieniła. Zendi pomachał ręką i odjechał. Już wiedział, że te ostatnie słowa Fary — cokolwiek znaczyły — były komplementem.

Odtąd często, ku rozbawieniu Arabów, król cwałował u boku ładnej córeczki królowny Arnon, wyraźnie zajęty poważną rozmową. Pewnego dnia, wracając z Petry, Zendi

\*

\* I wspaniały jeździec.

75

ofiarował swej małej nauczycielce całe naręcze zwojów papirusu, które tam kupił. Jona uklękła, ułożyła je rzędem na kobiercu, głaskała z czcią i szeptała:

—Thaumasia! Thaumasia! Mieć tak wspaniałą bibliotekę... to rzeczywiście cudowne!

Jeśli chodzi o swoje pochodzenie, Fara w dzieciństwie zadowolona była z wyjaśnieniem, że jej ojciec, książę, musiał matkę i ją opuścić, żeby sprawować władzę nad bardzo dalekim krajem. Teraz, gdy dorastając chciała wiedzieć coś więcej, Arnon opowiadała o wielkich miastach, w których mieszkała z jej ojcem, przy czym starannie unikała jakiegokolwiek wzmianki, jak bardzo była nieszczęśliwa.

- Czy ojciec nas kiedyś odwiedzi? — zapytała któregoś dnia Fara z tęsknotą.
- Byłoby mu trudno — odrzekła Arnon, zresztą nie kłamiąc. — Możliwi władcy — ciągnęła — mają wiele trosk.
- Ale czy on... czy wcale nie dba o nas?
- Władca nie ma życia osobistego, kochanie. Kieruje się wyłącznie dobrem swego kraju.

Arnon gardziła sobą za te słowa, bo w przypadku Antypasa były one śmiesznym kłamstwem, ale też były dobrym zakończeniem bolesnej dla niej rozmowy. Wiedziała, że i tak dosyć szybko nadejdzie czas, gdy trzeba będzie wyjawić Farze prawdę.

Stopniowo Fara zaczęła uświadamiać sobie swoje osamotnienie, swoją szczególną sytuację. Miała lat niespełna jedenaście i stawała się coraz bardziej niespokojna. Brakowało jej towarzystwa rówieśników. Kitra nadal często odwiedzała Arnon, ale od dawna nie przywoziła syna. Kiedyś wreszcie Fara odważyła się zapytać o niego.

—Och... ten Woldi! — wykrzyknęła Kitra zabierając się do haftowania. — Jemu się wydaje, że już jest mężczyzną.

Rośnie tak szybko, jest prawie mojego wzrostu! Ty wiesz, Faro, jacy są chłopcy w tym wieku. Nie chcą bawić się z dziewczynkami. Takim w głowie tylko konie i psy do polowania... i łucznictwo... i szermierka. — Omijając wzrokiem Farę, spojrzała na Arnon. — Możesz się cieszyć, że Fara jest dziewczynką. Ja, odkąd mój syn jeździ na tym swoim niesfornym wierzchowcu, nie mam ani chwili spokoju!

- Fara też jeździ konno — powiedziała Arnon z uśmiechem.
- Tak... wiem — przytaknęła Kitra. — I wiem, że jeździ bardzo dobrze, naprawdę!

Zaczęły rozmawiać o czymś innym, a Fara wycofała się do swojej sypialni. Niechętnie wzięła w ręce mały bieżnik, który haftowała w chwilach, gdy już zupełnie nie miała nic lepszego do roboty. Wkrótce przyszła Jona. Dość długo siedziały obie w milczeniu, Jona spokojna, Fara niby to zajęta wbijaniem igły w sztywną tkaninę.

- Czy ty nigdy nie czujesz się jak w zamknięciu, Jono?  
— Haft nagle przeleciał przez sypialnię i znalazł się na posłaniu. — Jakie to uczucie być niewolnicą? — dopytywała się Fara bezlitośnie, jak gdyby chciała Jonę obrazić. — Ja na twoim miejscu uciełabym z niewoli! Dlaczego nie uciekasz?
- Dokąd mogłabym uciec? — Jona mrugała, żeby powstrzymać łzy. Zabolą ją ta brutalność Fary.
- Do domu — burknęła Fara.
- Ale... mój dom jest tutaj, kochanie, tak samo jak twój dom.

Fara zachnęła się.

- Pleciesz! Nie jest ci tu lepiej niż mnie! Mnie tutaj duszno! Chwilami wydaje mi się, że wyskoczę ze skóry!
- Twojej matce byłoby bardzo przykro, Fara, gdyby słyszała, że mówisz takie rzeczy — rzekła Jona surowo.
- No... matka nie usłyszy — powiedziała Fara. — Ja tylko — dorzuciła nagle zasmucona — musiałam komuś to powiedzieć. Proszę, wybacz mi.
- Oczywiście — szepnęła Jona, dość bystra, żeby ją zrozumieć. — Normalnie dzieci w twoim wieku nie mogą usiedzieć na jednym miejscu. Rośniesz tak szybko, wydaje ci się, że wszędzie jest za ciasno. To minie, gdy będziesz starsza.

Fara rzuciła się na posłanie i splatając ręce pod głową skierowała oczy w niebieski strop namiotu.

— Nie chciałabyś widzieć czegoś więcej niż owce? — wyszeptała. — Pojechać gdzieś, gdzie nie mówią wciąż o cenach wielbłądów... i szukaniu dobrych pastwisk? Nie chciałabyś mieszkać w pałacu... w jakimś wielkim mieście?

77

w

- Nie, kochanie — odrzekła Jona, bo w końcu pytanie Fary wymagało odpowiedzi. — Ja już przestałam chcieć.

Wystarcza to, że jestem... w tych pięknych górach.

- Może mnie też to powinno wystarczać — przyznała

Fara. — Żałuję, że nie jestem taka jak wszyscy. Coś ze mną nie jest w porządku, Jono! — wykrzyknęła porywczo. —

Jestem inna! Nie cierpię tej swojej inności!

Dopiero gdy miała jedenaście lat, dowiedziała się, pod jakim względem i dlaczego jest inna. Przypadkowo natrafiła na smutną prawdę o przewrotności ojca, niezawinionym nieszczęściu matki i własnej sytuacji ni to Arabki, ni to Żydówki. W tamto letnie popołudnie pojechała z Arnon konno do obozowiska króla. Zendiego nie było: wyruszył na objazd plemion na wschodzie. Gdy Renna i Arnon odpoczywały w namiocie królowej, rozpieszczony mały królewicz Deran oprowadzał Farę po stajniach, co niezbyt ich oboje interesowało.

Znudzeni wreszcie tą rozrywką, zgodnie stwierdzili, że słońce za bardzo przygrzewa, i wrócili do części mieszkalnej królewskiego obozowiska. Pragnąc zaimponować swemu gościowi Deran powiódł Farę do stojącego w oddaleniu ogromnego namiotu, przeznaczonego wyłącznie dla króla i jego doradców. Z chłopięcą fanfaronadą chodził po tym namiocie, wyjaśniał jej, co do czego służy. Niedbale usiadł na miejscu króla, wstał i namówił Farę, żeby ona z kolei tam usiadła. Nawet by mu do głowy nie przyszło — powiedział — pozwolić na to komukolwiek poza nią. Fara uśmiechem wyraziła wdzięczność. Zachęcony tym królewicz oprowadził ją wokół starego stołu recytując wszystko, co wiedział o wyrzeźbionych symbolach, po czym głosem zniżonym zwrócił jej uwagę na wspaniałe leżące na stole dokumenty.

Fara zawsze z głębokim respektem odnosiła się do pamiątek

przeszłości i do pism urzędowych, toteż wszystko oglądała dokładnie.

— Niczego nie wolno dotykać — ostrzegał Deran.

Potrząsnęła głową i dalej w urzeczeniu przypatrywała się czcigodnym pismom. Nagle wzrok jej padł na wyblakły wielobarwnie zapisany papirus, który szybko przeczytała, otwierając oczy coraz szerzej, rozumiejąc jego treść coraz lepiej. Deran, trochę młodszy, ale znacznie wyższy od niej, stał z boku i ze zdumieniem patrzył, jak ciemne rumieńce występują na jej policzki. Raptownie podniosła głowę i spojrzała na niego badawczo. Chyba nie wiedział, jakie pismo przeczytała.

Gdy przed samym zachodem słońca wróciły z tych odwiedzin, Fara poszła za Arnon do jej sypialni. Impulsywnie oznajmiła, czego dowiedziała się w namiocie króla, i zaczęła błagać matkę, żeby powiedziała całą prawdę. Co też Arnon uczyniła i opowiedziała Farze o przymierzu, o małżeństwie, o czasach samotności w Jerozolimie, o czasach upokorzenia w Rzymie! Zdławiana rozpacz nieszczęśliwej Arnon znalazła ujście w potoku łez. Po swej smutnej, ponurej opowieści nieszczęśliwa księżna, wycierając oczy, zobaczyła, że córka nie płacze z nią razem: oczy ma suche, dziecięce usta zaciśnięte, brwi zmarszczone, na twarzy wyraz nienawiści.

- I dlaczego nikt go nie dopadł... nie ukarał? — zapytała, pełna oburzenia.
- Na to już za późno — odrzekła Arnon. — Wówczas nasz kraj był w wielkiej biedzie. Nikt nie mógł się tym zająć. Teraz, gdy mamy dobrobyt, nikt nie pamięta. — Westchnęła głęboko. — Ale może tak jest lepiej. Do Galilei



daleko. Księżę dba o swoje bezpieczeństwo. Starajmy się o tym zapomnieć, kochanie.

Fara powoli potrząsnęła głową.

— Ja będę pamiętała... zawsze! — szepnęła.

Nadeszła zima długa i sroga. Arnon zachorowała, miała gorączkę i ataki okrutnego kaszlu. W tym niespokojnym okresie Fara przejęta była tylko troską o matkę. Daremnie Jona usiłowała zainteresować ją na nowo lekturą, rzeźbą, rysunkiem.

- Namów tę biedaczkę, żeby wychodziła i miała trochę ruchu — prosiła Arnon. — Jest ostatnio taka nieswoja, Jono!
- Mnie też to zastanawia, księżno Arnon. Coś się z nią dzieje.
- Martwi ją moja choroba — powiedziała Arnon.

79

— Oczywiście — zgodziła się grzecznie Jona. — Ale poczujesz się lepiej, księżno Arnon, gdy przyjdzie wiosna.

Wiosna znów przysła. Arnon poczuła się lepiej, mogła siedzieć w blasku słońca, przechadzać się po ogrodzie, lecz przygnębienie Fary nie minęło. Wrodzona jej wesołość nie powróciła.

Pewnego dnia po południu Renna przyjeżdżając w odwiedziny zastała Arnon i Farę w ogrodzie. Prawie natychmiast Fara znalazła jakąś wymówkę i odeszła. Renna odprowadzała ją zatroskanym wzrokiem.

- Ona ładnie rośnie, Arnon, ale jest mizerna. Coś ją dręczy?

- Przez całą zimę martwiła się o mnie. To bardzo dobra córka.
- Ale teraz, gdy odzyskujesz siły...
- Zastanawiałam się nad tym, Renno. Fara powinna znów być szczęśliwa. Gdybyśmy mogli wymyślić dla niej jakąś rozrywkę. Ostatnio nic ją nie interesuje.
- Wkrótce urodziny Fary — przypomniała sobie Renna. — Może wydać przyjęcie? — Rozjaśniła się. — Pozwoliłabyś mi wydać przyjęcie na cześć Fary? Wiem, że Zendi byłby rad. Zrobimy duże święto... zaprosimy doradców, ich żony, dzieci, wnuki... będą wyścigi, zawody, mnóstwo jedzenia.
- Taka właśnie ty jesteś, kochana Renno, okazujesz nam tyle dobroci. Mam nadzieję, że nie narobisz sobie kłopotów.
- Zendi to pochwali, wiem — powiedziała Renna. — Już czas zwrócić uwagę na tę uroczą dziewczynkę. Zbyt długo pozostawała w cieniu. Powinno mieć znaczenie dla ludzi to, że Fara jest wnuczką królów.

Tak więc w piętnastym miesiącu Adar — traf chciał, że najładniejszym ze wszystkich od początku tamtego lata — król i królowa wydali na urodziny Fary, która ukończyła lat dwanaście, huczne przyjęcie, daleko wykraczające poza pierwotny plan Renny, zarówno rozmachem, jak liczbą gości, bo Zendi zaprosił także wszystkich szejków i wodzów plemion wraz z rodzinami.

Fara, gdy dowiedziała się o projekcie uhonorowania jej w ten sposób, była przerażona i tak stanowczo się sprzeciwiła, że zakrawało to na otwarty bunt. Zendi jej tłumaczył, że jako

księżniczka krwi nie tylko może oczekiwać pewnych należnych jej wyróżnień, ale i powinna przyjmować je łaskawie. Nie przekonało to jednak nachmurzonej Fary, w końcu więc Zendi stracił cierpliwość i oświadczył, że nawet jeśli jej się to nie podoba, piętnastego Adar odbędzie się w królewskim obozowisku przyjęcie dla uczczenia jej urodzin, na którym ona musi być obecna.

Potem w nocy po uroczystości, gdy goście się rozjechali, Zendi opowiedział Rennie, jak Fara go błagała, żeby jej urodzin nie obchodzić.

—Gdybym przypuszczał, co trapi to dziecko — wyznał żonie — przychyliłbym się do jej życzenia. W tym stanie rzeczy obchody urodzinowe nie były dla niej przyjemnością. W istocie były ze szkodą dla niej. Wszyscy będą myśleli, że jest dziwaczna, jeśli nie do cna pomyłona.

Ów prawie niewiarygodny incydent nastąpił wieczorem w czasie uczy, w której brali udział tylko królewscy domownicy, doradcy i ich żony oraz kilku znakomitych gości z Petry, gdzie Zendi dał się już poznać z najlepszej strony.

Do tej pory nic niezwykłego nie zakłóciło uroczystego dnia. Odbyły się ciekawe popisy siły i zręczności, występowali akrobaci, zapaśnicy, szermierze i szybkobiegacze. Kuglarze pokazywali przedziwne sztuczki. Wędrowni pieśniarze śpiewali. Ogromne podniecenie wywołały wyścigi konne, jakich nie powstydziliby się potężne rzymskie Koloseum ze swym słynnym torem w kształcie elipsy. Były też popisy jeździeckie poszczególnych grup nieulekłej arabskiej młodzieży. Oczywiście zdarzyło się kilka wypadków złamania kości i padło kilka koni. Ostatni popis

stanowiła zaprezentowana przez chłopców piętnastoletnich, zapierająca dech w piersiach jazda z przeszkodami. Przeszkody były wysokie: z dwunastu koni, które rozpoczęły ten niebezpieczny wyścig, dobiegły do mety tylko trzy.

Fara z racji swego urodzenia musiała siedzieć wśród dostojników na trybunie królewskiej. Gdy spocony młody zwycięzca ostatniego wyścigu podjechał, żeby złożyć ukłon królowi, odwróciła się do matki.

—Kto to jest? — zapytała szeptem.

## 81

Nim Arnon zdążyła odpowiedzieć, Kitra, siedząca tuż za nimi, pochyliła się i rzekła z nerwowym, pełnym dumy chichotem:

— No, jak to, Faro... nie poznajesz go? To Woldi.

Kiedyś bawiliście się razem.

Fara odwróciła do niej głowę, uśmiechnęła się i przytaknęła.

— Cudownie jeździ konno — szepnęła. Głos jej już zaczynał nabierać niskiego, matowego brzmienia.

Jej słowa usłyszała królowa Renna.

— Poprosimy Woldiego, żeby przyszedł tu do nas, Faro.

Odnowicie swoją znajomość.

Fara przygryzła wargę i lekko się zarumieniła. Napotykać wzrok matki zmarszczyła brwi, potrząsnęła nieznacznie głową. Arnon tylko się uśmiechnęła, jak gdyby mówiła: „Nie ma się czemu sprzeciwiać. To normalna rzecz”.

Po chwili Woldi zsiadł z konia i podszedł do pary królewskiej. Ukłonił się nisko królowi, królowej, po czym ruszył tam, gdzie siedziała jego matka. Kitra wskazała mu miejsce obok Fary. Dziewczynka wielkimi

poważnymi oczami przyjrzała się uważnie jego ogorzałej twarzy, pulchne jej usta rozchylił uśmiech szczerego podziwu. Woldi, trochę zarumieniony pod opalenizną wobec tak bezceremonialnych oględzin, odpowiedział uśmiechem oszołomienia, jak gdyby nagle natrafił na jakieś cenne odkrycie.

Renna, spostrzegawcza i bystra, odwróciła głowę do Kitry.

— Prawda — rzekła cicho — że to czarujące?

Kitra przytaknęła i uśmiechnęła się przelotnie, ale w oczach jej błysnął niepokój. Renna ją zrozumiała.

- Wyrosłeś — szepnęła Fara. Niski ton jej głosu sprawiał, że wszystko, co mówiła, wydawało się poufne.
- Ty też — wyjąkał Woldi. — Mógłbym ciebie nawet nie poznać.
- Rzeczywiście jechałeś wspaniale, Woldi! — pochwaliła go Fara żarliwie.
- Ty też, o ile wiem, jeździsz konno?
- Ale nie tak świetnie.
- Chcesz pojeździć ze mną kiedyś?

## 82

—Jeśli nie będzie ci nudno... jechać powoli i ostrożnie.

Ich matki i królowa nie kryjąc się z tym, że podsłuchują, zaczęły śmiać się z Woldiego, ale chłopiec zanadto był urzeczony, żeby zauważyć to rozbawienie.

—Więc jutro po południu? — zapytał.

Fara z wolna przytaknęła, uśmiechnęła się bardzo lekko, a potem nagle

odwróciła wzrok.

- Woldi, obiecałeś spędzić jutrzejszy dzień u dziadka — wtrąciła się Kitra.
- Powiem dziadkowi — Woldi wstał. — Jutro po południu, Faro — powtórzył odchodząc.

Wszyscy — z wyjątkiem Fary — patrzyli, jak ten wysoki chłopiec podchodzi do Miszmy, który z powagą, ale bez powodzenia stara się ukryć dumę z serdecznej przyjaźni łączącej go z wnukiem.

—Szczęśliwe czasy dla zacnego starego Miszmy — zauważyła królowa.

— Tak — powiedziała Kitra, wyraźnie roztargniona.

Słyszając obojętne i niedbałe przytaknięcie Kitry, Arnon mimo woli spojrzała pytająco, ale Kitra spuściła oczy. Wszystko to uszło uwagi Fary, zapatrzonej w Woldiego, gdy schodził ze schodków i dosiadał swego zmęczonego rumaka.

Wieczorem pieczono woły nad rozżarzonymi węglami w głębokich dołach i całe towarzystwo z wyjątkiem królewskich gospodarzy i najdostojniejszych gości ucztowało pod gołym niebem. Na ucztę u króla Fara była jedynym dzieckiem. Po debatach, czy zaprosić tam kilkoro z jej rówieśników, król i Renna uznali, że nie należy czynić wśród młodzieży wyróżnień, a dla wszystkich zabrakłoby miejsca.

Podczas wyszukanej wieczerzy w namiocie było kilka krótkich przemówień na cześć Fary. Mówcy tytułowali ją „księżniczką” i wychwalali pod niebiosa. Nie padła żadna wzmianka o krwi królów żydowskich płynącej w jej żyłach, wspominali tylko mądrość i odwagę miłościwego Aretasa, którego stawiano już nieomal w rzędzie

legendarnych bohaterów Arabii.

Fara przez cały czas tej ciężkiej próby — bo naprawdę

83

niczym innym to dla niej nie było — siedziała pomiędzy matką i królem Zendim skupiona i poważna, jak przystoi młodziutkiej dziewczynie, nie przywykłej do takich dowodów uznania ze strony dorosłych. Pozornie słuchała wszystkiego, o czym się mówiło, ale ci, którzy obserwowali ją baczniej, zauważyli, że twarz jej nawet nie drgnęła, gdy naczelny doradca Miszma przypomniał sobie jakieś zabawne zdarzenie i wszyscy się śmieli. Najwidoczniej tego nie słyszała. Stało się jasne, że coś jej leży na sercu.

Wypadało, by w końcu zabrała głos sama solenizantka. Zendi z ojcowskim uśmiechem zwrócił się do niej.

— No, księżniczko Faro — rzekł dobrodusznie — teraz kolej na ciebie. Możesz się uklonić albo wygłosić mowę, albo zaśpiewać piosenkę.

Wszyscy przyklasnęli na pół żartobliwej propozycji króla, ale gdy Fara wstała, oklaski raptownie ucichły. Siedząca przy niej Arnon spojrzała niespokojnie: Cóż to dziecko chce zrobić?

Fara bez uśmiechu, bez słowa odwróciła się od biesiadników i krokiem zdecydowanym podeszła do dębowego stołu. Wszyscy wychylili się ze swoich miejsc, wstrzymali oddech, nie wiedząc, co nastąpi. Fara przeszła za stół i zwrócona przodem do nich złożyła niski ukłon królowi. Potem ku osłupieniu wszystkich dobyła zza paska mały sztylet, zręcznie nacięła sobie skórę na lewym przedramieniu. Pochylona nad zapomnianym, nie podpisanym dokumentem przysięgi, wzięła stylus, zanurzyła go w swojej krwi i podpisała: FARA.

Na chwilę wszyscy oniemieli. Potem Renna wstała i podbiegła do Fary. Arnon, wstrząśnięta, ruszyła za królową i obie wyprowadziły słaniającą się księżniczkę, żeby opatrzyć jej ranę. Fara była blada, oczy jej błyszczały, uśmiezek dumy drżał na ustach.

Zendi wstał, natychmiast przyciągając uwagę oszołomionych gości.

— Młoda, pełna odwagi krew poląła się dzisiaj — powie dział uroczyście. — Możecie być pewni, że Arabia nie pozwoli, by to dzielne dziecko narażało życie dla do trzymania swej przysięgi, ale odważny gest, na który ona

84

się zdobyła z całą szczerością, zostanie doceniony przez dumny z niej nasz kraj.

- Tak! — potwierdził tubalnie stary Miszma.
- Tak! Tak! — zawtórowało wiele głosów.

Nastąpiła długa chwila ciszy, zanim Zendi ruchem ręki dał znak, że goście mogą się rozejść. Wtedy wszyscy się ruszyli, patrząc na siebie niespokojnie, pytająco, zbici z tropu. Miszma odciągnął króla na bok i doradził, żeby to bezprzykładne wydarzenie zachować w sekrecie.

—Byłoby to najbardziej pożądane — zgodził się Zendi.

— Ale się nie uda. Można zobowiązać trzy osoby... pięć osób, żeby zachowały sekret... ale nie pięćdziesiąt. Chyba lepiej pozwolić im o tym opowiadać... aż do znudzenia. Z czasem zapomną. Ostatecznie Fara jest jeszcze dzieckiem.

Tak więc w całym królestwie Arabii opowiadano, jak młodziutka córka królowy Arnon przysięgła, że zabije swego żydowskiego ojca.



Pierwszą reakcją był podziw nie bez rozbawienia. Mała dziewczynka, mówiono, a wykazała wielką odwagę. Może jest na pół Żydówką, ale w każdym razie jest Arabką co się zowie. Oczywiście jej przysięga to nic poważnego. Będzie wspominała ten incydent zakłopotana, gdy podrośnie. Już po kilku tygodniach — tak jak Zendi przewidział — zapomniano

oprzysiędze Fary zupełnie.

Młody Woldi nie ukrywając, że jest zakochany po same uszy, bywał coraz częściej w obozowisku Arnon ku coraz większemu zatroskaniu swoich rodziców. Ten powszechnie lubiany urodziwy chłopiec rokował duże nadzieje. Miał wyjątkową łatwość nawiązywania przyjaznych stosunków z ludźmi, wyróżniał się jako nieustraszony jeździec i myśliwy i wiele wskazywało na to, że kiedyś kraj obdarzy go honorami, że czeka go nominacja na członka Rady Królewskiej. Ale teraz Urson i Kitra wątpili, czy spełnią się ich oczekiwania, jeśli ten uwielbiany syn zawrze kłopotliwy związek małżeński z dziewczyną obcej krwi, zwłaszcza krwi żydowskiej. Fara, chociaż piękna, odważna, pełna wdzięku, nie byłaby odpowiednią żoną dla niego.

Woldi wyczuwał niepokój rodziców. Kochał matkę i ojca serdecznie, toteż martwiły go ich obawy. Nie dochodziło do

85

burzliwych scen. Może z łżejszym sercem postępowałby wbrew ich woli, gdyby choć raz rozgniewali go surowym upomnieniem: gdyby Urson okazywał mu zawziętą pogardę albo gdyby matka głośno lamentowała. Prawie nie mówili

o tej nieszczęsnej sytuacji, wciąż jednak o niej myśleli. Urson rzadko teraz się śmiał. A Kitra, gdy Woldi, wyruszając rankiem do uroczej młodziutkiej córki tego łajdaka Antypasa, odwracał się w siodle, żeby pomachać ręką matce, usiłowała uśmiechać się przez łzy. Chłopiec czuł się wtedy niewdzięcznikiem.

Czuł się nieswojo również i z innego powodu. Rzadko widywał się ze swymi druhami. Dawniej prawie wciąż jeździł konno w ich towarzystwie. Doprawdy był uznanym przywódcą tej buńczucznej gromady. Co chłopcy teraz myślą o nim? Co o nim mówią przy wieczornym ognisku gdzieś w górach po długim dniu polowania na dzikiego zwierza? Byłoby mu bardzo przykro, gdyby przyjaciele drwili, że zapadł na osłabiającą ducha chorobę, która się zwie miłością. Postanowił temu przeciwdziałać.

Pewnego ranka, powiadomiony, że zamierzają polować przez całe trzy dni, Woldi wziął potrzebne wyposażenie i przyjechał tam, gdzie zwykle się spotykali. Początkowe zakłopotanie szybko minęło. Znowu był jednym z nich. Zależało mu na odzyskaniu dawnego miru, prowadził ich więc godzinami jadąc na przedzie jak szalony, wspaniale brał wszystkie przeszkody: przeskakiwał głębokie koryta potoków górskich, zwalone drzewa, przedzierał się przez gęstwiny. Chłopcy, którym rzucał swoją lekkomyślnością wyzwanie, starali się, jak mogli, dorównywać mu. Młody Musef, najstarszy syn doradcy Temy, pędził prawie tuż za nim i ubił największego jelenia z trzech upolowanych

tamtego dnia. Pozostałe dwa były trofeum Woldiego. Tymczasem inni młodzi myśliwi pozostali daleko w tyle, tak że wielce utrudzeni dojechali do obozu dopiero pod wieczór.

Rozpalili ognisko nad wartkim górskim potokiem, opracili jelenia, a potem legli na wonnym sosnowym igliwiu, zaścielającym ziemię. Musef otworzył jedno oko i mruknął do Woldiego:

86

—Bracie, tyś stracił rozum!

Ostatni przybył do obozu królewicz Deran, butny syn króla Zendiego i królowej Renny, wraz z czterema chłopcami, którzy, gdy tempo stało się dla niego zbyt szybkie, niechętnie mu towarzyszyli. Żaden nie ośmielił się go zganić, ale ogólne milczenie wyrażało dezaprobatę. Deran wiedział, że jest w niełasce, wiedział też, że gdyby nie był następcą tronu, zostałby należycie skarcony, zgoła się tym jednak nie przejmował. Wyraźnie dawał im do zrozumienia, że jeśli syn króla zechciał ubić niedorosłą łanię, nikt nie ma prawa mieć mu tego za złe.

Po wieczornym posiłku były popisy akrobatyczne, walka zapaśnicza i fechtunek na drewniane pałasze. Któryś z chłopców zaproponował, żeby odbył się pojedynek na sztylety.

- Woldi, może ty i Musef? — zapytał ktoś inny.
- Za bardzo jestem zmęczony — powiedział Musef. —  
Zresztą żaden ze mnie przeciwnik dla Woldiego.

Deran wstał.

Wszyscy spojrzeli na niego z niechęcią. Skrycie pogardzali tym napszonym młodzikiem, nie cierpieli jego niemyśliw-skiej postawy,

wzdrygli się na jego bezczelne „my”.

- My go wyzwiemy! — oznajmił.
- To nie byłoby sprawiedliwe, królewiczu — powiedział Woldi, usiłując zaprawić swój ton uszanowaniem. — Jestem od ciebie starszy... więc mam większą wprawę.
- Nie, ostatnio nie! Czy też może — wykrzyknął Deran szyderczo — bawisz się sztyletem, gdy odwiedzasz swoją przyjaciółkę Żydówkę?

Chłopcy wokół ogniska wstrzymali oddech. Woldi zarumienił się i zmarszczył brwi.

- Nie życzę sobie pojedynku z tobą, królewiczu Deranie — rzekł stanowczo.
- Tak właśnie myśleliśmy — zapiał Deran. — To jest skutek przestawania z rozpieszczonymi cudzoziemkami. — Podszedł o krok i dobył sztylet. — Wystąp i walcz, człowieku!

Patrząc na sztylet lśniący w blasku ognia, Woldi wstał powoli.

— Mam nadzieję — powiedział — że nie zamierzasz walczyć ze mną na sztylety.

## 87

Chłopcy poparli go pomrukiem. Deran haniebnie nadużywał swoich królewskich przywilejów. Wszyscy w tej gromadce wiedzieli, że królewicz jest nietykalny. Zadanie mu najlżejszej bodaj rany pociągnęłoby utratę wolności, jeśli nie życia.

Była to trudna sytuacja; Woldi trzymał kciuki zatknięte za pasek, nie czyniąc żadnego ruchu, żeby się bronić. Deran przygarbiony już

podchodził drobnymi kroczkami.

—No, Woldi, doładź sztyletu — warknął — albo przyznaj się, że jesteś tchórzem.

Najwidoczniej tego słowa nie wolno było użyć nawet następcy tronu. Woldi rzucił się na królewicza, wbił mu łokieć w przeponę, chwycił go za prawą rękę i przytrzymując jak w imadle, wyrwał mu z garści sztylet, który cisnął w ogień. Z sykiem wściekłości Deran bezsilnie rzucił się na Woldiego i dostał w twarz.

—Zapłacisz mi za to! — pisnął.

Delikatnie, chociaż z odrazą, paru chłopców poprowadziło rozjuszonego królewicza do namiotu, żeby tam kurować jego zranioną królewską dumę i krwawiące wargi. Woldi znów usiadł na ziemi, zgarbił się.

—Tak mi przykro — mruknął, potrząsając głową.

Dla nich wszystkich chwila była krytyczna. Każdy by chętnie powiedział: „Dobrze się spisałeś, Woldi! Zasłużył sobie na to! Nie mogłeś zrobić nic innego!”, ale wolał nie ryzykować, bo mogłoby to później być przytoczone. W końcu Musef podniósł się, dorzucił do ognia jeszcze jedną sosnową szczapę, otrzepał ręce z ziemi i spokojnie podszedł do Woldiego. Po koleżeńsku usiadł przy nim. Młody Rabot, siostrzeniec doradcy Dumaha, szczupły młodzieniec o orlim nosie, ruszył z drugiej strony kręgu milczących chłopców, z wielkim przejęciem zajął się podsycaniem ognia, po czym przechodząc obok Woldiego, poklepał go przyjaźnie po ramieniu. Wtedy inni odetchnęli swobodniej i zaczęli się do siebie uśmiechać. Deran już się nie pokazał tego wieczoru. Nazajutrz skoro świt odjechał do domu.

Woldi nie opowiedział o tym nieprzyjemnym zajściu rodzicom, przez

wiele jednak dni czekał z drżeniem na wezwanie do obozowiska króla, bo był prawie pewny, że

## 88

Deran nie omieszkał po swoim opowiedzieć ojcu, co się stało. Ale najwidoczniej ten epizod miał pójść w niepamięć — albo Deran zdecydował się trzymać język za zębami, albo też król wyciągnął z jego opowiadania własne wnioski i uznał, że roztropniej będzie dać spokój tej sprawie.

A przecież zgodna z prawdą relacja doszła do uszu doradców królewskich. W tydzień później Woldi został zaproszony na cały dzień do swego czcigodnego dziadka, Miszmy. Pojechał tam z niepokojem w sercu, bo serdecznie kochał tego starca i za nic nie chciałby go rozgniewać. Był to jednak radosny dzień. Nie padło ani jedno słowo o niefortunnym zdarzeniu w lesie. Przed odjazdem Wol-diego dziadek poszedł z nim na wygon i uroczyście podarował mu karego wałacha.

Jedną rękę trzymając na karku tego pięknego młodego konia, drugą obejmując dziadka Woldi aż pokrzykiwał uszczęśliwiony. Znakomity doradca głaskał się po siwej brodzie z zadowoleniem. Oczy mu migotały.

- Niech ten rozbrykany źrebiec — powiedział — zwie się Darik na cześć króla Darika z dawnych czasów.
- Króla Darika Sprawiedliwego, czy tak, dziadku? — zapytał Woldi.
- Tak! — odrzekł Miszma. — Ludzie nadali mu takie miano, bo zawsze był rzetelny w swoich sądach. Podobno miał porywcze usposobienie i jak mało kto umiał władać bronią. Ale nigdy nie dobył miecza przeciwko słabszemu...

bez względu na wyzwanie. — Starzec położył swą chudą rękę na aksamitnym pysku konia. — Tego rumaka — mówił, jak gdyby zastanawiał się głośno — chyba trzeba będzie trochę ułożyć, ale ma on dobry charakter. Dokładaj starań, wnuku, żeby zachowywał się przystojnie.

Woldi nadal odwiedzał Farę. Przez całe lato prawie co dzień jeździł z nią konno, a gdy nadciągnęła wczesna zima z wichurami i przejażdżki musiały ustać, Arnon widząc, że oboje nie wiedzą, co ze sobą począć, zaproponowała, żeby Woldi zabrał się razem z Farą do nauki, którą dziewczynka ostatnio zaniedbywała. Zgodził się i nawet dobrze udawał zainteresowanie. Nauka szczególnie go nie pociągała, ale przystałby na wszystko, byleby przebywać w towarzystwie

89

Fary. Jona była zachwycona jego postępami. Oświadczyła, że jest bardzo zdolny, ma wyczucie języka greckiego i wkrótce będzie mówił jak rodowity Grek! Przesadzała, ale to go zachęciło do pilnej pracy. Co więcej, mógł powiedzieć matce, że długie zimowe popołudnia w obozowisku księżnej Arnon spędza z wielkim pożytkiem dla siebie. Kitra uśmiechała się blado, była wyraźnie strapiona.

Farę także trapiło uwielbienie Woldiego. Intuicja i to, że Kitra przyjeżdża w odwiedziny coraz rzadziej, mówiły jej o kłopotach, jakie Woldi może mieć przez nią w domu. Raz prawie się zdecydowała szczerze mu powiedzieć, że nie powinien przyjeżdżać, ale nie zdobyła się na to, bo kochała go całym sercem. Wiedziała, że kiedyś będzie musiała się na to zdobyć, choćby okrutnie to bolało, a przecież odsuwała smutny dzień rozstania.

Pory roku się przetaczały, Fara dojrzewiała nad wiek. W swej szczególnej sytuacji życiowej zawsze była dzieckiem poważnym, a teraz, gdy nadchodziły jej szesnaste urodziny, była już zupełnie dorosła. Nabierała coraz głębszego przekonania, że jest skazana na brak przynależności, na podejrzliwość jako cudzoziemka. Żydzi będą nią gardzić, bo jest Arabką, Arabowie będą ją lekceważyć, bo jest Żydówką. Co się stało z tym światem, że dorośli ludzie mogą tak się do siebie odnosić? Zapytała o to Jonę, która z westchnieniem odrzekła:

- Zawsze tak było, kochanie, od samego początku.
- Więc samotnie jest na świecie... niektórym ludziom

— powiedziała Fara. Jona jej współczuła.

- Ja cię rozumiem. Też jestem samotna.
- Owszem... ale ty masz narodowość, Jono! Żyjesz daleko od swojej ojczyzny, ale ją masz. Nie pochodzisz z dwóch narodów naraz... narodów, które wzajemnie się nienawidzą. Ja... ja jestem nikim!
- Nie popadaj w przygnębienie, Faro — prosiła Jona.

— Tyle osób cię kocha i będzie kochało zawsze! Żadna dziewczyna pod słońcem nie miała tak oddanego, zakochanego chłopca jak Woldi.

—Wiem — szepnęła Fara — ale... ale Woldi nie

90

powinien... — głos jej drżał. — Nie wolno mi na to pozwolić! On nie może ożenić się ze mną! To by mu zniszczyło życie! Jono... co robić?

Księżna Arnon, która mając serce zranione, od dawna chorowała,



podatna na wszelkie dolegliwości, zaraz po zachodzie słońca umarła cicho, prawie niezauważenie.

Fara pierwsza pojęła, że nastąpił koniec. Od południa siedziała przy łożu matki, przytulała czoło do jej wychudzonej ręki. Od czasu do czasu podnosiła się, żeby przez łzy popatrzeć na tę nieruchomą twarz, po czym ze smutkiem kuliła się i czekała.

Pod wieczór stary Kedar hałaśliwie podciągnął skórzane zasłony okien we wschodniej i północnej ścianie ośmiokątnego namiotu, tak jak czynił to o tej porze w każdy inny pogodny dzień letni. Kedar w ciągu swoich osiemdziesięciu lat widział tyle, że śmierć mu niejako spowszedniała. Dlatego przyjął ten zgon też spokojnie i gdy się krzątał jak zapobiegliwy gospodarz, mogło się wydawać, że zawarł ze śmiercią jakieś osobiste porozumienie.

Od rana w tym dniu służebnice przychodziły na palcach po dwie, po trzy do namiotu, zatrzymywały się w pełnym szacunku oddaleniu od łoża, ze współczuciem patrzyły na umierającą panią i nagle, jak gdyby przypominając sobie o jakiejś zaniedbanej powinności, z pośpiechem, na palcach wychodziły. Nic już nie można było dla Arnon zrobić — zresztą i tak czuwała przy niej stara Nefti, która piastowała księżnę i księżniczkę od niemowlęctwa. Wierna Jona również pozostawała w pobliżu. Obie zawsze trochę o siebie zazdrosne.

Wszyscy teraz w obozowisku zastanawiali się nad księżniczką Farą i nad jej prawdopodobnymi planami na przyszłość. Fara oczywiście wyjdzie za Woldiego, który od paru lat nieprzerwanie jej asystuje i którego poważne zamiary nie ulegają wątpliwości. Ogólnie uznano za zrozumiałe, że Fara zdecydowała się nie wychodzić za mąż, dopóki ma obowiązki wobec

matki. A te obowiązki wzrastały, w miarę jak Arnon traciła siły, ponieważ nieszczęśliwa księżna nabrała ogromnej skłonności do wymagania drobnych, ale nieustannych osobistych usług: „Podaj mi tę małą poduszkę, proszę. Nie, tamtą, kochanie, niebieską. Dziękuję, Faro. Ale chyba wolałabym szal. Myślę, że jest tam, w pergoli. Mogłabyś mi go przynieść? Wiem, że masz ze mną okropne utrapienie”. Jakoś jednak wcale nie męczyło to Fary, trwającej przy matce w dzień i w nocy. Zapewne księżniczka powiedziała sobie, że niewiele szczęścia może dać Wol-diemu, dopóki nie będzie wolna. No, ale teraz już niedługo nastąpią zaślubiny.

Tylko gdzie oni będą mieszkać? To pytanie dręczyło służbę, zwłaszcza tę z dawniejszych lat. Ziemia została królownie Arnon nadana dożywotnio. Woldi poślubiając Farę nie mógłby dostać tej ziemi ani też król nie mógłby mu jej przyznawać, bo nieprzystojne byłoby takie wyróżnienie. Woldi będzie koczownikiem jak wszyscy inni jego stanu. To, że ojciec Woldiego, Urson, jest synem Miszmy, który jako naczelny doradca jest prawowitym następcą tronu, nie ma istotnego znaczenia. Ziemia Arnon zostanie z powrotem włączona do posiadłości króla. Woldi i Fara będą przenosić się z miejsca na miejsce tam, gdzie śnieg i pastwisko. A starsi spośród służących, od lat przyzwyczajeni do wygod stałego obozowiska, może uznani zostaną za zbyt wątłych, żeby prowadzić takie surowe życie.

Zbijając się w małe gromadki, patrząc i czekając, zastanawiano się, czy sama Fara może być szczęśliwa w warunkach życia koczowniczego. Ona nigdy nie interesowała się owcami ani bydłem. Okazywała dużo życzliwości pasterzom i ich rodzinom, ale hodowla, należąca do jej matki

i dająca im obu utrzymanie, zgoła ją nie obchodziła. Trudno księżniczkę Farę zrozumieć — zgadzali się wszyscy. Nigdy nie wiedzieli, co myśleć o tej cudzoziemce, z wiekiem coraz bardziej zagadkowej. Uważali, że jest równie tajemnicza, jak piękna. Chyba dałoby się to wytłumaczyć jej rodową spuścizną, połączeniem krwi arabskiej i żydowskiej, w jej osobie, bezstronnie mówiąc, doprawdy uroczym. Arabki są wyższe niż Żydówki i mocniejsze. Fara w wieku lat szesnastu była smukłą, gibką, miała figurę prawie chłopięcą, arabską. Twarz jej stanowiłaby ciekawe studium konfliktu

92

rasowego. Pięknie rzeźbiony nos o ruchliwych, trochę rozdętych wyniośle nozdrzach Fara odziedziczyła po Arnon, dzieciennie zaokrąglony podbródek i krągłą szyję — po Mariamme. Twarz miała wyrazistą, gotową do żywszej reakcji na każde ciekawe wydarzenie. Potrafiła wybuchnąć arabską wściekłością nagłą jak letnia burza w górach, ale opłacało się każdemu cierpliwe przeczekanie wybuchu, żeby zobaczyć później jej uśmiech pełen skruchy — uśmiech, który przejęła od wielu pokoleń ludzi wysoce uczuciowych, wierzących w moc pokuty i nigdy nie wstydzących się swoich łez.

Ostatni dzień życia Arnon dogasał i gdy słońce płonąc już bardzo nisko na niebie wyszczerbiło szczyt góry Acturus odległej o dwadzieścia mil od obozowiska, stary Kedar podciągnął skórzane zasłony również i w zachodniej ścianie namiotu. Powiało stamtąd wonią jaśminu. Fara ocknęła się, podniosła wzrok na wspaniały widok: faliste wzgórza opadały ku zielonej dolinie Esne, hen, w oddali wznosiła się majestatycznie góra Acturus i za południowym zboczem tej góry jaśniało oślepiająco białą

linią wybrzeże Morza Martwego.

Jona podeszła do księżniczki i cicho powiedziała, że przyjechał Woldi. Czy Fara chce się z nim zobaczyć?

—Poproś Woldiego, żeby zaczekał — szepnęła Fara.

I dorzuciła: — Powiedz, że nie mogę teraz. On zrozumie.

Wolno skierowała oczy znów pełne łez na mizerną twarz matki. Przyłożyła policzek do piersi Arnon i nasłuchiwała, nasłuchiwała. Stara Nefti wystąpiła, ruchem ręki nakazała ciszę, chociaż cicho było wprost niesamowicie. W końcu Fara podniosła głowę. Ucałowała czoło matki bardzo delikatnie, tak jakby starała się jej nie obudzić. Wstała powoli. Już nie miała łez w oczach, dumna i opanowana. Pieszczotliwie dotknęła ramienia Nefti, małym znużonym gestem wyraziła wdzięczność innym służebnym i wyszła z namiotu.

Woldi czekał w ogrodzie. Wstał, wyciągnął ręce. Fara przytuliła głowę do jego szerokiej piersi. Wyczuwając jej nieme konwulsyjne szlochy wziął ją w swe mocne objęcia.

—Umarła? — zapytał.

Fara ze znużeniem przytaknęła, zgnębiona.

93

- Zaopiekuję się tobą, kochanie — szepnął.
- Nie mówmy o tym teraz. — Łagodnie wysunęła się z objęć. — Chyba jest wiele spraw do załatwienia. Czy zechcesz pojechać do obozowiska króla... powiedzieć...?

• Oczywiście. A potem czy wolno mi tu wrócić?

— Woldi, jestem bardzo zmęczona. Może jutro...

Znów objął ją i pocałował, ale przyjęła to apatycznie.

Gdy odjechał, została w ogrodzie. Usiadła w ulubionym fotelu matki.

- Co teraz zrobimy? — słabym głosem zapytała Jonę, która przyszła tam do niej. — Ja tak mało się na tym znam.
- Sąsiedzi przyjdą dziś w nocy, kochanie. Oni zajmą się pogrzebem.
- Czy... czy będę musiała brać udział w tych przygotowaniach?
- Nie... od ciebie nie będzie się tego wymagało. Nefti i ja ubierzemy ją do pogrzebu. — Jona wyciągnęła rękę. — Chodź już... prześpij się trochę. Jesteś zupełnie wyczerpana. Przyniosę ci coś pokrzepiającego do picia.

Późnym wieczorem przyjechał z kilkunastoma doradcami sam król Zendi. Porozmawiał z Farą nie szczędząc słów pociechy i zapowiedział, że przyjedzie z królową nazajutrz. Fara leżała w swojej sypialni, oczy miała zamknięte, poduszką nakryła głowę, żeby nie słyszeć oddalającego się tętentu. Gdy się ocknęła, wszędzie w obozowisku było już cicho. Okrągły księżyc zajrzał nagle w drzwi namiotu. To weszła prawie bezszelestnie Jona. Fara uniosła się, wskazała jej miejsce przy sobie. Jona posłusznie usiadła na krawędzi pośłania.

— Chcę, żebyś zrobiła coś dla mnie, Jono — powiedziała Fara zniżonym głosem. — Ale przedtem przyrzeknij, że nigdy, nigdy nikomu nie powiesz.

— Dobrze. — Głos Jony drżał trochę.

Fara z powagą patrzyła jej w oczy.

— Podnieś rękę, Jono, i przysięgnij na swoich bogów, że zrobisz dla mnie to, o co cię poproszę... i nigdy nie wyjawisz tego nikomu!

Jona wahała się, zaczęła płakać.

— Wolałabym przedtem wiedzieć, kochanie — wyjąkała.

94

— Mam nadzieję, że to nie będzie coś, czego zrobić nie powinnam!

— To już ja osądzam! — upomniała ją Fara surowo. — Czy zrobisz tak, jak powiem... i zachowasz to w sekrecie?

Jona ociągając się podniosła drżącą rękę i powiedziała:

— Tak, Faro... zrobię, jak zechcesz... i nigdy tego nie wyjawię.

Fara zerwała się z posłania, podeszła do skrzynki, w której trzymała swoje robótki, i wróciła z nożyczkami. Podała je oszołomionej niewolnicy.

— Zetnij mi włosy! — Ujęła swój gruby warkocz i pochyliła się. — Proszę! Rozumiesz, Jono? Tuż nad moją ręką. Muszę być chłopcem. Więc na długość włosów Woldiego.

Jona płakała.

— Przysięgłaś! — Fara szorstko chwyciła ją za ramię. — Nie siedź i nie płacz! Usłuchaj... natychmiast!

Jeszcze protestując, Jona popełniła tę zbrodnię. Potem Fara poszła do alkowy i wkrótce wróciła w stroju zamożnego młodego Araba.

- Jak wyglądam? — zapytała.

- Skąd masz to wszystko? — zapytała Jona zdławionym

głosem.

- Sama to uszyłam — odpowiedziała Fara. — Dawno temu.
- Ale po co? Co zamierzasz uczynić?
- Wyruszam w bardzo daleką drogę, Jono, żeby do trzymać przysięgi. No... a ty się postaraj dotrzymać swojej!

Niepokojąca wiadomość rozeszła się wczesnym rankiem. Stary Kedar pojechał do obozowiska króla z przerażeniem donosząc, że Fara w nocy zniknęła. Krnąbrna gniada źrebica, którą na naleganie Fary trzymano w oddzielnej zagrodzie, zniknęła również. Zendi rozesłał kilkunastu zbrojnych jeźdźców, żeby szukali księżniczki. Jego zdaniem Fara, wstrząśnięta śmiercią matki, nie mogła zasnąć i wyruszyła niebacznie na przejażdżkę w poświęceniu księżycy. Może zdarzył się jakiś wypadek. Zaczęli szukać jej wszędzie.

95

Woldi pogalopował ulubionym szlakiem ich obojga, biegnącym wzdłuż skraju płaskowyżu. W miejscach, gdzie ścieżka była wąska przy urwiskach, zsiadał ze swego zmęczonego konia i prowadził go powoli, wypatrując złowieszczych śladów. Pod wieczór opuściła go nadzieja. Już nie spotykał stroskanych przyjaciół, zajętych poszukiwaniem, bo znajdował się w dalekich stronach, gdzie nigdy dotąd nie jeździł.

O zmierzchu wolno zawrócił. Od czasu do czasu zatrzymywał się nad przepaściami w miejscach szczególnie niebezpiecznych i z rozpaczą wsłuchany w grobową ciszę wołał:

— Faro! Faro!

Saidi, gniada kłaczka, była samowolna i butna, ale chyża. Stary roztropny Kedar nie dowierzał jej. Fara jednak, lepiej rozumiejąc kaprysy źrebicy, wiedziała, że Saidi, chociaż niesforna, nie jest złośliwa.

Pierwsze pięć mil szlaku, wiodącego w dół po łagodnym zboczu, Fara przejechała cwałem. Zależało jej na czasie. W każdej chwili Nefti, pomimo zakazu, mogłaby wejść do sypialni i zobaczyć, że jej nie ma. Od razu wszystkich w obozowisku postawiłaby na nogi i wszczęto by poszukiwania.

Z początku Saidi pełna energii chciała figlować, udawała, że boi się każdego ogromnego białego głazu, każdej kępy szałwii w jasnej księżycowej poświacie, ale ostrogi Fary szybko ją przekonały, że nie pora na swawole.

Potem było kilka mil jazdy po równinie, a potem droga znów opadała w dół, wiodąc ostrymi zygzakowatymi zakrętami na dno doliny. Fara zsiadła z kłaczy i zaczęła ją prowadzić. Saidi potrząsnęła łbem zniecierpliwiona, nie lubiła iść stępa, jeśli jeszcze miała siłę biec.

Od czasu do czasu mijały szałas samotny, ciemny, bo

96

wszyscy spali. Tylko kozy stłoczone w małe stadka poruszały się i z ciekawością podnosiły łby. Noc rozciągała się cicha i spokojna. Ku swemu zdziwieniu Fara nie odczuwała samotności. Wydawało jej się nawet, że trwająca od siedmiu zaledwie godzin żałoba to już przeszłość. Istotnie tak było — nieutulony smutek utraty nosiła w sercu, odkąd stan zdrowia Arnon zaczął pogarszać się beznadziejnie.

Dziwiła się też, że wcale nie odczuwa lęku na myśl o ponurym, niebezpiecznym zadaniu, jakie ją czeka. Próbowwała sobie powtarzać, że



musi załatwić bardzo poważną sprawę, męską sprawę, i że niewątpliwie napotka wiele przeciwności w drodze do swego warownego celu w Galilei; krótko mówiąc, że tak szybko, jak ją tylko smukłe nogi Saidi poniosą, jedzie na spotkanie nieuchronnego nieszczęścia. Ale niewesołe myśli o tym nie pozbawiły jej odwagi — od dawna przecież planowała gorliwie całe to zuchwałe przedsięwzięcie, aż stało się ono jedynym celem jej życia.

I dumiała o Woldim. Przyczyniła mu tyle zmartwień!  
O ileż szlachetniej by postąpiła, gdyby stanowczo mu powiedziała, że nigdy nie zostanie jego żoną; i gdyby na jego dopytywanie się o powód zdołała skłamać, że go nie kocha. Ale Woldi wiedziałby, że ona kłamie, bo dawała mu już dowody swego uczucia. Jednakże Woldi nie będzie trapił się długo. Dziewczyna w podobnych okolicznościach smuciłaby się i smuciła, mężczyzna szybko zapomni. Jakże szczęśliwi są mężczyźni — potrafią wyrwać miłość z korzeniami i tak dobrze ją zasadzić gdzie indziej, że rośnie kwitnie nie straciwszy ani jednego listka, ani jednego kwietnego płatka. Doprawdy nie ma potrzeby martwić się o Woldiego.

Dręczyła Farę tylko obawa, czy uda jej się zachować stosownie do męskiego przebrania. Oczywiście nie widziała innego wyjścia. Było nie do pomyślenia, żeby szesnastoletnia dziewczyna mogła jechać sama z południowej Arabii do północnej Galilei nie narażając się na niemiłe przygody, jeśli nie na rzeczywiste niebezpieczeństwa; z drugiej strony udawanie chłopca to również wielce ryzykowna sprawa.

Pewne okoliczności sprzyjały Farze. Z natury miała głos niski, gardłowy, który nieznanymi łatwo mogli uznać za głos

7 — Wielki Rybak

97

kilkunastoletniego chłopca. Poza tym luźny burnus zasłaniał krągłości figury dziewczęcej. Ale i tak wiedziała, że musi zebrać w sobie wiele odwagi i wiary we własne siły, żeby nie wypaść z roli, gdy nagle znajdzie się wśród mężczyzn. Dotychczas nie przyszło jej na myśl, że wcale nie łatwiej będzie oszukać kobiety.

Dręczyło to Farę przez długie niespokojne godziny. Od dawna uczyła się na osobności być śmiałym, pyszałkowa-tym młodzieńcem, szorstkim w mowie, zawsze gotowym uraczyć ludzi sporą porcją soczystych przekleństw. Chodziła tam i z powrotem po swojej sypialni dużymi, sztywnymi krokami, podrzucała głową butnie, ćwiczyła w zwierciadle groźne miny, burczała. Kiedyś nagle pojęła całą nedorzeczność takich wysiłków i śmiała się ze swego odbicia w tej wspaniale wypolerowanej metalowej tafli, zaraz jednak spoważniała na widok dwóch dziewczęcych dołeczków w policzkach butnego młodzieńca. Postanowiła już się nie uśmiechać.

Jeszcze przed świtem wyjechała z żyznej doliny Esne i wkrótce znalazła się w jałowej dolinie Zered, rozciągającej się przy wschodnim brzegu Morza Martwego. Otoczyło ją pustkowie, ziemia spieczona, spękana, bez śladu roślinności, ptaków, gryzoni czy płazów. Nie było nawet owadów, których zwykle pełno jest na pustyniach. Morze Martwe zostało trafnie nazwane. Saidi wyraźnie podzielała opinię swojej pani, że wkrótce pozostawią za sobą to bezludzie, i pędziła coraz szybciej. Fara wyteęzała wzrok, żeby zobaczyć z daleka starą wioskę Akre, niepewnie

bytującą w maleńkiej oazie nad najbardziej wysuniętą na południe zatoczką Morza Martwego.

Słońce już mocno grzało, gdy wypatrzyła kępę palm i cyprysów, nędzne chatki z rzadka stojące wokół dużego brunatnego namiotu. Wiedziała, że ten namiot to khan — zajazd dla podróżnych i karawan. Podjechała tam, zsiadła ze zgrzanej klaczy. Rzuciła wodze milczącemu staremu Arabowi i próbując zachowywać się buńczucznie, dużymi krokami poszła za nim do zagrody, gdzie gburowato pouczyła go, jak ma wytrzeć i napić jej wierzchowca. Rozdrażniony stajenny burknął, że umie zajmować się

98

końmi. Wtedy wrzasnęła, że mu nie wierzy i że poczeka w zagrodzie, dopóki on tego nie zrobi.

Pomarszczona staruszka ponuro podała niesmaczne śniadanie: stęchłe jajka i czerstwy chleb. Fara uważając, że powinna ćwiczyć męski sposób bycia w obecności kobiet, narzekała zawzięcie słowami używanymi w jej przekonaniu przez mężczyzn. Potem zażądała posłania, żeby się przespać, i gdy zobaczyła brudną komórkę przeznaczoną na sypialnię, nazwała staruszkę plugawym flejtuchem. To wyzwisko spróbowała wygłosić po grecku, świadoma, że jej słownictwo w zakresie obelg — przejęte od delikatnej Jony — wymaga doszlifowania.

Po dwóch godzinach głębokiego snu ruszyła w dalszą drogę. Swoim gospodarzom zapłaciła dwa razy więcej, niż chcieli, i klnąc po męsku oświadczyła, że zajazd w Akrze nie nadaje się nawet dla kozy. Był to zarzut pełen pogardy, ale stary gospodarz i jego niechlujna żona, wdzięczni losowi za nieoczekiwaną gratkę, z uszanowaniem przytaknęli.

Uśmiechała się więc zadowolona z siebie, gdy Saidi niosła ją szlakiem biegnącym na północ. Może nie tak trudno będzie udawać mężczyznę.

Pod wieczór Fara znużona jednostajną jazdą w parnym upale i oślepiającej bieli brzegu Morza Martwego wjechała do miasteczka Engadi, gdzie kończył się stary szlak solny z portu Gaza. W tym miasteczku niewiarygodnie brzydkim małe domy zbudowane z cegły wypalanej w słońcu wyglądały jak skrzynie po obu stronach wąskiej piaszczystej ulicy. Na podwórzu przed główną gospodą pełno było wielbłądów, osłów, ich uszarganych poganiaczy i stajennych. Tutaj Fara dla odmiany poprosiła grzecznie o posiłek i nocleg. Od razu jednak stwierdziła, że popełniła błąd, bo gburowaty właściciel gospody wskazał jej brudny siennik w kilkusobowej izbie. Wycofała się stamtąd z obrzydzeniem i natychmiast otworzyła swój skarbiec przekleństw arabskich, informując tego prostaka, że nie ma zwyczaju sypiać w klatkach dla królików, kurnikach i chlewach. Dopiero wtedy z szacunkiem poprowadził ją do osobnej izdebki, gdzie posłanie, chociaż niewygodne, nie było tak brudne jak tamto, którym wzgardziła.

99

Długo zastanawiała się nad tym incydentem. Oczywiście błędem jest grzecznie prosić o cokolwiek. Pospółstwo uważa grzeczność za oznakę słabości, zgoła sobie nie ceni gładkiej, delikatnej mowy. Gdy się czeka cierpliwie na swoją kolej albo gdy się przyjmuje bez protestu wszystko, co proponują, oni zaraz myślą, że mają do czynienia z kimś, kto przywykł do pomiatania i nie potrafi domagać się swoich praw. Świat jest naprawdę wstrętny, rozmyślała Fara, ale skoro już jest taki, trzeba się dostosować. Marszcząc posępnie brwi, wydymając usta butnie, chodziła tam i z

powrotem po małej izdebce. Nadal w wojowniczym nastroju weszła długimi krokami do izby jadalnej. Usiadła na zydlu. Założyła nogę na nogę i niecierpliwie uderzała o wysoko sznurowany but swą piękną szpicrutą — darem Woldiego.

Wciąż wchodzili i wychodzili dobrze ubrani, zamożni kupcy co chwila witając kogoś, bądź żegnając skinieniem głowy. Patrząc na nich Fara naprawdę żałowała, że nie jest mężczyzną. Każdy wydawał się tak bez wysiłku pewny siebie. Podziwiała ich swobodny sposób bycia, próbowała sobie wyobrazić, że jest mężczyzną właśnie takim. Na ogół w tej wielkiej odrapanej izbie nie zwracano na nią uwagi. Od czasu do czasu któryś z młodszych przechodząc rzucał obojętne spojrzenie w jej stronę, ale nie oglądał się, gdy szedł dalej. To świetnie — Fara oddychała swobodniej.

Tuż przy niej, na lewo pod ścianą siedzieli dwaj mężczyźni pochłonięci rozmową. Mówili po grecku, ale poznała, że są Rzymianami. Choć nigdy dotąd nie widziała nikogo z Rzymu, opowiadano jej nieraz, jak Rzymianie wyglądają.

Mężczyzna siedzący bliżej musiał mieć ze czterdzieści lat. Było jasne, że jest ważną osobistością. Podobnie jak jego znacznie starszy towarzysz, miał gładko ogoloną twarz i szpakowate włosy ostrzyżone na jeża. Był bardzo opalony, tylko na czole znaczył się białą ślad po opasce, którą najwidoczniej niedawno zdjął. Jego tunikę z pięknej tkaniny o barwie piaskowej zdobiło czerwone oblamowanie; jego pasek, pochwa sztyletu i sandały z wytłaczanej skóry, sznurowane rzemykami prawie do kolan, na pewno kosztowały dużo, będąc dziełem nie byle jakich rzemieślników. Fara

przypuszczała, że to są zarządcy karawan prawdopodobnie należących do tej samej spółki handlowej. Po chwili zobaczyła na czubku ucha tego młodszego małe nacięcie w kształcie litery V. A więc... niewolnik — pomyślała. — Wyraźnie jednak niewola nie jest mu przykra.

- Może on jeszcze będzie w przyszłym tygodniu, gdy wrócimy — mówił ten młodszy. — Chciałbym go usłyszeć znowu. Ale raczej wątpliwe, czy zostawią go do tego czasu. Żołnierze na pewno go pojmagają; bo, jak zauważyłeś, to była podżegająca przemowa. Jednakże... na bogów, Aulusie, to wszystko prawda... to, co on mówił.
- Owszem, owszem — przyznał Aulus — świat jest dostatecznie zły, żeby zasługiwać na porządne cięgi... zawsze był taki. Ale swoją drogą... ten człowiek ma kręcka, Tim. — Starszy odwrócił głowę i wtedy Fara zobaczyła na jego policzku długą bliznę. Dawno temu stoczył jakąś zacieklą walkę, pomyślała.
- Tu się nie zgadzamy, Aulusie — odparł Tim. — Kazania tego pustelnika świadczą, że jest nieostrożny, szalony, ale zwykły wariat nie zdołałby przyciągnąć takiego tłumu, zatrzymać tylu ludzi wokół siebie, tak że stali tam przez długie godziny w spiekocie, zasłuchani, z szeroko otwartymi oczami i z ustami rozdziawionymi. Podobno on to czyni dzień po dniu!
- Och... ty wiesz, jacy są ludzie — powiedział Aulus obojętnie. — Ten na pół zagłodzony fanatyk, żyjący tylko

owadami pustyni i marzeniami, wspina się raptem na skałę, zaczyna wrzeszczeć, że świat czeka sroga kara. Naturalnie pospólstwo, które nie ma nic lepszego do roboty, zbiera się, żeby popatrzeć na jego błazeństwa i drżąc słuchać przepowiedni. — Aulus poprawił się na skrzypiącym zydlu i dalej rozmyślał głośno: — Ludzie lubią być straszeni, Tim. Życie mają czcze, bez podniecających wrażeń, więc lubią bodaj poczuć, jak ciarki im przebiegają po krzyżu... zwłaszcza wtedy, gdy instynktownie wiedzą, że to wszystko wierutna bzdura!

Umilkł, Fara, która ze skupieniem podsłuchiwała, nastawiła ucha, mając nadzieję, że Aulus nie skończył swoich wywodów. Po chwili Tim rzekł poważnie:

- Nie wiem, czy to rzeczywiście wierutna bzdura.
- Phii! — prychnął Aulus. — On jest pomyłony! — Wstał, przeciągnął się i ziewnął. — Ty także — dodał. — Zobaczymy się przy wieczerzy. Muszę jeszcze raz obejrzeć tego kulawego wielbłąda.
- Chwileczkę, Aulusie — powiedział Tim. Jego przyjaciół z pobłażliwym uśmiechem na znaczonymi bliznami twarzy znów usiadł. — Mówiłeś o tej rzeszy w Hebronie tak, jakby to byli tylko ludzie ciemni i zawszeni, gromada nierobów, którzy równie chętnie patrzyliby przez cały dzień, jak drapie się małpa w klatce. Ale ja widziałem tam co najmniej

kilkunastu ludzi wyższego stanu, chłonących każde słowo tego pustelnika z całą powagą.

Aulus zbył to niedbałym machnięciem ręki.

- Na pewno miejscowi obywatele — wyjaśnił. — Za niepokojeni obecnością tego człowieka w ich mieście tylko czekali, żeby wszczął jaką awanturę... bo wtedy można by go uwięzić... za zakłócenie spokoju.
- Ale niektórzy z nich przyjechali z daleka, Aulusie. Był tam poganiacz wielbłądów tak sprawny, że go zapytałem, czy chciałby pracować u mnie. Wyniośle odpowiedział, że jest w służbie u znakomitego obrońcy sądowego, Ben-Judy, członka Sanhedrynu w Jerozolimie.
- A cóż to jest Sanhedryn? — zapytał Aulus pogardliwie.
- Żydowskie ciało ustawodawcze.
- Myślałem, że ustawy dla nich wydaje Rzym.
- Tylko podatkowe. Wszystkimi innymi zajmuje się Sanhedryn.
- Zaiste masz dziwną zdolność — zauważył Aulus — do zbierania bezużytecznych wiadomości. Co jeszcze wiesz o ustawach żydowskich?
- Tylko tyle, że jest ich stanowczo za dużo. Na przykład Żyd może znaleźć się za kratkami za przeciągnięcie zydlą po podwórzu w szabat! Bo mógłby zrobić przy tym bruzdę w ziemi... a to już byłaby orka.
- Chyba tyś to wymyślił, Timie — zachichotał Aulus. — Ale tak czy inaczej, może ów mądry Ben-Juda w podróży



zбочzył, żeby posłuchać gadaniny tego pomyleńca, jak my... z czystej ciekawości.

## 102

—Możliwe. Bardziej jednak prawdopodobne, że pewne wpływowość osobistości śledzą tego pustelnika. To Żyd i przemawia do swoich rodaków. Chyba Świątynia nie może sobie pozwolić na przymyknięcie oczu, gdy on chodzi i coraz większym tłumom głosi, że świat jest zły i potrzebuje oczyszczenia. To jest wyłącznie sprawa Świątyni: pilnować, żeby świat... przynajmniej świat żydowski, czyli jedyny, który się liczy w tym kraju... zachowywał się przyzwoicie. Uczni w Prawie i nauczyciele chyba nie mogą dopuścić do tego, żeby jakiś zapalczywy prorok wędrował przez Judeę głosząc tysiącom ludzi, że ich kraj jest splugawiony przekupstwem, chciwością i niesprawiedliwością od góry do dołu i że jego Bóg... będący także ich Bogiem... zamierza osobiście dokonać dzieła naprawy świata bez pomocy uznanych autorytetów?

Aulus z uśmiechem wysłuchał tych długich wywodów i znów wstał z zydlą.

—Może masz rację — rzekł przeciągle. — Jeśli tak, to prawdopodobnie wtrąca tego pustelnika do lochu... i zapomną o nim. Zapomni też o nim lud. Jeśli człowiek, męczennik, w imię jakiejś nowej idei umiera okrutną śmiercią, lud o nim pamięta, buduje mu pomniki, ale jeśli tylko dostaje się do więzienia... Phiii! Niech tam zgnije! — Aulus otrzepał

sobie ręce i spokojnie odszedł.

Po chwili ten, który został, urodziwy mężczyzna z głębokimi kurzymi łapkami w kącikach oczu i z nacięciem na uchu, odwrócił głowę do Fary i popatrzył na nią chłodno.

- W którą stronę zdążasz, młodzieńcze? — zapytał po aramejsku, co oznaczało, że uznał ją za młodego Żyda.
- Jadę za zachód, panie — odpowiedziała Fara po grecku — aż do Gazy.
- Byłeś tam kiedy? — I gdy Fara potrząsnęła głową, Tim powiedział: — Świetne miasto... żeby stracić ostatnią koszulę... i skończyć z poderżniętym gardłem. Pozwól, że cię ostrzegę: staraj się w Gazie jeździć środkiem ulicy i nie mieć nic do czynienia z mieszkańcami. Nie spożywaj ich jadła, nie pij ich wody, nie wierz w ich kłamstwa.
- Z tego wnioskuje, że nie za bardzo lubisz, panie, Gazę — zauważyła Fara. — Posłucham twojej rady.

103

Pierwszym dużym miastem na zachodzie jest Hebron, prawda? Czy tam jest trochę lepiej?

- O wiele lepiej! Hebron od dwóch tysięcy lat mocno śpi, tam życie nie kipi, przynajmniej nie obrabują cię, nie strują, nie zamordują w łóżku. — Tim skrzyżował wygodnie swe długie nogi i otwarcie przyjrzał się Farze. — Ale właściwie skąd ty znasz język grecki, młodzieńcze? W Grecji chyba nie mieszkasz?

- Ani też ty, panie — palnęła Fara tak samo bez ogródek — a przecież mówisz po grecku.
- Ja jestem Grekiem — oświadczył Tim dumnie. — A ty jesteś Żydem, czyż nie?
- Nie — odpowiedziała. — Jestem Arabem.

Tim jeszcze raz przyjrzał jej się z zainteresowaniem. Ściągnął usta i przytaknął.

- Moja pomyłka — mruknął. — Nie czujesz się, mam nadzieję, obrażony?
- Ależ nie, panie! Nigdy nie miałem żadnych zatargów z Żydami.

Tim roześmiał się cicho i powiedział, że nie spodziewał się czegoś takiego usłyszeć z ust Araba.

- A jednak nie tak dawno temu — zaryzykowała Fara — Żydów i Arabów łączyło przymierze.
- Ładne mi przymierze! — prychnął Tim. — Oczywiście cie wiem dobrze o tym nieszczęsnym małżeństwie. Jednego ani rusz nie mogę zrozumieć. Znam wielu Arabów: są wspaniali, waleczni. Dlaczego nie wypruli kiszek z tego żydowskiego szubrawca, który tak upokorzył waszą królową? Chyba nie dlatego, żeby o tym zapomnieli... czy żeby to ich nie obchodziło.

Fara na próżno szukała stosownej odpowiedzi. Ostatecznie zmieniła temat.

- Nie mogłem nie podsłuchać waszej rozmowy o jakimś proroku, który powiedział, że świat musi być ukarany

za swoje przestępstwa. Czy on ma zamiar wymierzyć tę karę?

- Nie, on nie — odpowiedział Tim. — Nie omieszkał nadmieniść, że jest tylko wysłańcem. Zapowiada rychłe przybycie jakiejś Boskiej osoby, która zstąpi z niebios jako

104

potężny mściciel z toporem w ręce. Zgniły stary grzyb, zwany przez nas cywilizacją, trzeba wyciąć, żeby coś zdrowego i owocnego mogło wyrosnąć.

- Mściciel przybędzie wkrótce? — zapytała Fara.
- Ten prorok tak o tym mówił, jakby się spodziewał przybycia najpóźniej w przyszłym tygodniu. Gdyby oznajmił, że to nastąpi za sto lat, przepowiednia byłaby mniej ryzykowna.
- I mniej interesująca — dodała Fara. — Myślisz, panie, że ten prorok mógłby być tam... w Hebronie... jutro?
- O ile nie powędrował dalej ku wzgórzom. Był co najmniej o pół mili na północ od gościńca, gdyśmy zobaczyli tłum, który się zgromadził wokół niego. Najwidoczniej nie wybiera miejsc dogodnych dla swoich słuchaczy. Powiadają, że chodzi po wertepach, a rzesze idą za nim. Jeśli jesteś tego ciekaw, doradzam, żebyś jadąc do Hebronu pytał o niego. Prawie każdy ci powie. Wprost przesycone nim jest powietrze. — Tim wstał, żeby odejść, Fara też wstała.
- Czy słusznie przypuszczam, panie, żeś skłonny mu

uwierzyć? — zapytała z powagą.

Tim skubiąc dolną wargę podumał chwilę, zanim odpowiedział.

- Właściwie nie wiem, co o tym myśleć. — Dobierał słów. — Żydzi to szczególny naród. Zawsze mieli swoich proroków i wiele z ich przepowiedni się sprawdziło, nawet co do dat doniosłych wydarzeń i wyników dalekich wojen. Powinieneś sam posłuchać, jak przemawia ten człowiek, Jan. Może bardzo się myli, ale to nie jest wariat!
- Twój przyjaciel, panie, powiedział, że on ma kręćka.
- Mój przyjaciel — rzekł przeciągle Tim — to typowy Grek, który stał się typowym Rzymianinem. Nie wierzy w nic poza tym, co można zjeść czy włożyć na siebie, kupić czy sprzedać, czy wykorzystać do przewozu towarów.

Chociaż Saidi stanowczo wołała trzymać się wygodnego gościńca, Fara skręciła w miejscu, z którego wyraźnie biegł na północ świeży, szeroko wydeptany szlak poprzez rżysko. Jechała powoli, bo ziemia uprawna była miękka.

105

Szlak, przecinając dwa rozległe pola, wąską boczną drogę i jeszcze jedno pole ogołoczone po żniwach, wiódł do mostu przerzuconego nad rzeczką. Za mostem prowadził wzdłuż gaju cyprysów pod górę, na przełaj przez łąki i strumień, wciąż dalej i dalej. Po przejechaniu tak w jednostajnym tempie pięciu mil Fara wypatrzyła wioskę. Na kamieniu przy rozstaju był napis: Tekoa. Szlak omijał tę niedużą osadę, ale Fara zboczyła. Chciała zapytać, jak daleko jeszcze ma jechać, żeby napotkać

proroka.

W osadzie było pusto, mały bazar i sklepiki na głównej ulicy pozamykane. Na placu otoczonym domami jakaś wąż staruszka w łachmanach, pochylona nad cembrowiną studni publicznej, mocowała się z wyciągiem. Fara podjechała, zsiadła z klaczy i pomogła staruszce. Wyciągnęła ociekający wodą łańcuch z dużym drewnianym wiadrem, które postawiła na studziennym murku. Kobięcina podziękowała bezzębny uśmiechem i wskazała zardzewiały żelazny czerpak. Fara napiła się wody.

- Dobre to! — powiedziała. Napełniła czerpak dla staruszki, po czym zawartość wiadra przelała do kamiennego koryta. Zsunęła uzdę z pyska klaczy. — Saidi też chce się pić! — wyjaśniła, opuszczając wiadro w głąb studni.
- Nigdy nie słyszałam, żeby koń nazywał się Saidi — zauważyła staruszka. — Skąd ty jesteś, paniczu?
- Z Arabii.
- Ale tyś chyba Izraelita.
- Nie. My oboje jesteśmy Arabami, Saidi i ja.  
Staruszka zacisnęła zwiędłe wargi i nasrożyła się.
- Więc jak mogłeś żądać wody ode mnie? — burknęła.
- Wydawałaś mi się życzliwa, poza tym chciało mi się pić — odpowiedziała Fara nie stropiona gburowatością tej kobiety. — Chętnie zapłacę ci za twoją wodę.
- My wody nie sprzedajemy.

- Wobec tego przyjmij mały podarunek. — Dała jej sykla.

Małe jak paciorki starcze oczy błysnęły na widok tak hojnej zapłaty, ale siwa głowa zatrzęsała się w energicznym proteście. Fara położyła pieniądz na ocembrowaniu studni. Staruszka odwróciła się i szybko splunęła na ziemię.

## 106

Opanowując rozbawienie Fara powiedziała:

- Szukam pewnego żydowskiego proroka. On się nazywa Jan. Mnóstwo ludzi idzie za nim, więc i ja chcę go usłyszeć. Chyba przechodził tędy. Nie wiesz, dokąd zmierzał?
- To syn szatana! — pisnęła staruszka. — Błóżnierca! Przekłęci niechaj będą wszyscy niewierni, którzy słuchają, jak on łży Izraela!

Fara już zaczęła niby od niechcienia podrzucać swoją sakiewkę, teraz rozsypała ściągający ją rzemyk i zapytała spokojnie:

— Nie wiesz, gdzie jest?

Przez chwilę staruszka posepnie milczała, a Fara wysypała sobie kilka srebrnych monet na dłoń, po czym wrzuciła je z powrotem do sakiewki. Dosiadła Saidi i ściągnęła wodze. Staruszka patrzyła. Pomarszczone jej policzki drżały. Najwyraźniej ubóstwo walczyło z pobożnością. Nagle wskazała północny wschód.

— Podobno idzie nad rzekę! — wrzasnęła. — I cała Judea idzie za nim! Wszyscy z Tekoa przyłączyli się do tych niewiernych! — Łzy pociekły po szorstkich policzkach.

— Nawet mój rodzony syn... i moja córka... i jej mąż... i ich dzieci... także zwariowali... jak tamci!

Szczerze się litując nad tą żalosalną starowiną szlochającą w głos, Fara łagodnie zapytała:

- Ale co ten człowiek mówi takiego... że tak cię to martwi?
- Wzgardził naszą pradawną wiarą! — wyszlochała staruszka, ocierając swe zapadnięte oczy rąbkiem spłowiałego łachmana. — Przez lata całe siedział tam na pustyni i nic nie robił, nie pomagał nikomu, nigdy nie chodził do synagogi, nigdy nie przynosił darów na ołtarz, a teraz przyszedł, żeby złorzeczyć wierze przodków!
- Więc ma jakąś nową wiarę? — zapytała Fara.
- Mówi, że anioł się ukaze i pouczy nas, co robić... Jak gdybyśmy byli poganami bez Boga!
- Waszym kapłanom pewnie jest przykro, że ktoś tak mówi — domyśliła się Fara.
- Przykro! — Staruszka wolno pokiwała głową i uśmie-

107

chnęła się niemile. — Zobaczysz! Już oni uciszą jego bluźnierstwa! Z Boga nie można szydzić.

Fara otworzyła sakiewkę i sypnęła w pomarszczoną dłoń srebro. Staruszka ściskając te pieniądze w garści nasrożyła się i daremnie próbowała splunąć. Saidi, która niecierpliwie przebierała nogami, mogła wreszcie znów ruszyć zwawym klusem.



Na pół godziny przed zachodem słońca Fara trafiła do nich. Zajmowali, zdawałoby się, wielki obszar siedząc pojedynczo bądź parami, bądź całymi rodzinami na oskubanym przez owce pastwisku przy wysokim brzegu Jordanu. Jedli teraz wieczerzę, to, co przezornie zabrali ze sobą. Fara zatrzymała się nie opodal miejsca, gdzie zostawili większość swoich spętanych zwierząt jucznych. Zahaczyła uzdę Saidi o kulę siodła, rozluźniła popręgi, przypięła worek napełniony obrokiem i uwiązała umęczoną źrebicę, której doprawdy należał się wypoczynek.

Przeszła wśród gromadek ludzi i ostatecznie usiadła w pobliżu zacnie prezentującej się rodziny: ojca, matki, dwóch młodziutkich chłopaczków i ładnej córki w jej wieku. Ta dziewczyna odwróciła do niej głowę uśmiechając się nieśmiało. Ojciec burknął coś, najwidoczniej kazał córce się przesiąść, bo dosyć niechętnie wstała, podeszła do rodziców i usiadła pomiędzy nimi. Fara patrzyła rozbawiona. Rozpakowała swoje zapasy i zaczęła jeść, rozglądając się leniwie po wielkiej rzeszy wokoło. Był to tłum dziwnie spokojny. Rozbrzmiewał szmer przyciszonych rozmów, ale wszyscy mieli twarze poważne, zadumane, nie śmiał się nikt. W pobliżu toczyła się sprzeczka uporczywa, a przecież niegłośna i podtrzymywana tylko przez jedną stronę. To matka tej dziewczyny gorliwie wstawiała się za córką. Ojciec wreszcie uległ, przytaknął i urodziwa dziewczyna przeszła tam, gdzie siedziała przedtem. Długie czarne włosy opadały jej rozpuszczone na ramiona i plecy, co chyba ją trochę krępowało. Odwracając się znów z uśmiechem poczęstowała Farę słodkim plackiem, który został wdzięcznie przyjęty.

- Włosy mam w nieładzie — powiedziała. — Mokre, bo

byłam chrzczona.

- Są piękne — zapewniła ją rycersko Fara. — Mokre, bo... co?
- Był chrzest dziś po południu.
- Obawiam się, że nie rozumiem — wyznała Fara. — Co to znaczy: chrzest? Po raz pierwszy jestem w tej okolicy.
- Wielki prorok prowadzi do rzeki i zanurza w wodzie. To obmywa z nas grzechy... stajemy się czyści.
- I pewnie do cna przemoczeni — zauważyła Fara ze współczuciem.

Dziewczyna rozchyliła swe pulchne wargi w powolnym uśmiechu, odsłaniającym tylko czubki pięknych zębów. Potem nagle spoważniała i skinęła głową. Najwidoczniej chciała odpowiedzieć ostro na uwagę tak niestosowną, ale nie potrafiła.

Zapanowało chwilowe milczenie. Fara żałowała swej impertynencji, a ta ładna Żydówka, odwrócona teraz od niej, chyba żałowała, że nie wie, jak wyjaśnić sens owego oczyszczenia, któremu poddała się w Jordanie.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś była bardzo grzeszna — powiedziała Fara ostrożnie.
- Wszyscy jesteśmy grzesznikami — szepnęła dziewczyna i zabrzmiało to jak żałobne echo doświadczonej pobożności.
- Tak... chyba tak. — Fara ze zrozumieniem westchnęła. — Myślisz, że ten prorok już skończył na dzisiaj?
- Och, nie, będzie przemawiał znowu, gdy wszyscy się posilą. Lada chwila. — Młoda Żydówka ruchem głowy wskazała ludzi podnoszących się ze swoich miejsc.

Otyła matka dziewczyny zapakowała teraz resztki wieczerzy, po czym wstała ociężale, podeszła i usiadła przy córce. Uśmiechnęła się do Fary uprzejmie.

— Rada jestem, że zaprzyjaźniłeś się z Rut — powie działa. — Tak niewiele widać tu młodzieży w jej wieku. Setki nas, starszych i roje małych dzieci są tutaj, ale nasza młodzież jakoś nie... — Urwała, uciszona błagalnym spojrzeniem córki, zaraz jednak mówiła dalej: — Młodzi chyba nie wiedzą, że mają duszę i powinni się ratować przed gniewem, który nadejdzie!

109

Rut odwróciła głowę do Fary i popatrzyła tak, jakby przepraszała za żarliwość matki. Zbita z tropu Fara wymamrotała:

- Prawdopodobnie nie wiedzą — I natychmiast pojęła, że powiedziała coś niewłaściwego, co świadczy o godnej ubolewania niefrasobliwości. Kobieta spojrzała z wyrzutem.
- Młodzieńcze — rzekła surowo — wolno mi zapytać, czy przybyłeś tu, żeby szukać zbawienia?
- Przybyłem, żeby zobaczyć i posłuchać proroka — wyjaśniła Fara.
- Ale nie dla zbawienia?! — zapytała kobieta.
- Myślę, że prorokowi zależy tylko na jego rodakach — odpowiedziała Fara.
- Naturalnie! I ty przecież jesteś Izraelitą?
- Jestem Arabem.

- W takim razie nie masz prawa w ogóle być tutaj!
- Ależ... matko! — wykrzyknęła błagalnie Rut.
- Daj spokój. Chodźmy! — oburzona Żydówka wstała i pociągnęła za sobą zakłopotaną córkę.
- Do widzenia — odwracając się szepnęła Rut.

Fara, która już wstała, ukłoniła się i powiedziała prawie bezgłośnie:  
—Przykro mi.

Ruszyła przodem przez ciżbę, tam gdzie, jak widziała z daleka, ludzie siedzieli już stłoczeni w rzędach. Znalazła sobie miejsce, usiadła i czekała. Wkrótce szmer rozniósł się od pierwszych do ostatnich szeregów tej wielkiej rzeszy. Prorok Jan, który najwidoczniej odpoczywał nad wodą, ukazał się wychodząc na stromy brzeg rzeki.

Był rzeczywiście imponującą postacią — wysoki, szczupły i gibki. Gęste potargane włosy jakoś świadczyły o jego ogromnej ukrytej żywotności. Miał dużą głowę, szerokie, kościste ramiona, bujny zarost, rysy smagłej twarzy ostre, czoło pobrużdżone, oczy ciemne, osadzone głęboko. Wyglądał na człowieka, który przemyślał i wycierpiał wiele. Tłum czekał w ciszy. Wyciągając ręce, prorok zaczął mówić niemal błagalnie. Fara od razu poddała się dziwnej mocy jego głosu. Wydawało się jej, że on przemawia z bardzo daleka: z jakiegoś innego stulecia, z innego świata.

## **no**

Bóg był cierpliwy długo, długo. W zaraniu dziejów uczynił ogród obfitujący w przepyszne owoce i wonne kwiaty ku uszczęśliwieniu swoich ludzkich stworzeń. W tym przestronnym ogrodzie ziemię nawadniały chłodne źródła i spokojne rzeki, na zielonych brzegach wód

znajdowało się dużo szlachetnych kamieni i złota. W skałach górskich znajdowały się różne metale, które pomysłowość człowieka mogła przerabiać na pługi, sierpy i inne narzędzia rolnicze. Wielkie kamieniołomy pęczniały od trwałego granitu, misternie żyłkowanych marmurów, żeby ludzkość miała z czego budować świątynie i pomniki. I były puszcze pełne drzew wszelakich, w sam raz do budowy domostw i łodzi. Niezliczone zwierzęta pasły się w dolinach po to, by dostarczać ludziom pożywienia, po to, by dźwigać za ludzi ciężary. Gdyby szczęsne dzieci Boga poprzestały na zachowywaniu i przekazywaniu z pokolenia na pokolenie swego wspaniałego dziedzictwa, ich potomni mogliby nadal żyć dostatnio i błogo w tym cudownym ogrodzie.

Teraz prorok podniósł trochę głos opowiadając, jak to się stało, że ten raj zarosły chwasty i jeżyny.

Od samego początku dzieci Boga wcale nie dbały o swój ogród. Pierwszy człowiek zlekceważył polecenia Boże. Starszy z jego dwóch synów zabił swojego brata i uciekł do puszczy. Niespokojna, nienasycona ludzkość porzuciła raj i nie mając co jeść ani w co się przyodzisać, nie mając gdzie się schronić ani dokąd iść, zaczęła błąkać się wszędzie, byle tylko uniknąć wzroku rozczarowanego Ojca.

Czasami po długiej bezcelowej wędrówce jakieś plemię osiedlało się w żyznej dolinie i uprawiało tam glebę. Inne plemię koczownicze zazdrościło bliźnim skromnego dobrobytu. Zbrojne we włócznie i miecze, napadało i wyrzynało tych pracujących, a także ich rodziny, bezradnych starców i małe dzieci. Bóg Ojciec dał dzieciom swoim zasoby pomysłowości, żeby mogły sporządzać rzeczy coraz lepsze, cóż, kiedy pomysłowość służyła przede wszystkim wynajdywaniu coraz bardziej

zabójczej broni. Kamień z kamieniołomów służył do wznoszenia nie świątyń i pomników, tylko warowni. Z żelaza kuło się nie narzędzia pracy, tylko narzędzia wojny.

III

Wszędzie lęk, niedola, głód, łupiestwo i rzeź szerzyły się na świecie, nigdzie nie było spokoju, człowiek nie czuł się bezpieczny nawet w domu swojego brata.

— Wszelako — ciągnął Jan ze wzrastającym żarem — przez te wszystkie straszne stulecia ucisku i nienawiści Bóg zatroskany czekał, czekał cierpliwie na to, by możni tego świata uświadomili sobie krótkotrwałość swoich źle nabytych bogactw, pustkę pozorów swojej chełpliwej władzy, marność swoich szat królewskich i zapowiedź głodu w swoim kradzionym pożywieniu. Od czasu do czasu odważne głosy podnosiły się ostrzegawczo, lecz zaraz były uciszane. Wielu takich posłańców Boga katowano, więziono i mordowano, rzucono dzikim zwierzętom na pożarcie, przepięto wywano.

. . .

Fara w dzieciństwie słyszała legendy o stworzeniu świata, 1nieposłuszeństwie Adama, niegodziwości jego potomstwa 2o wielkim potopie, w którym zginęli wszyscy — z wyjątkiem jednej rodziny. Ale te stare opowieści, teraz, gdy je powtarzał Jan, wydawały się nowe i przerażające. Głos Jana huczał jak grom. Cierpliwość Boga się wyczerpała! W końcu Bóg stracił nadzieję, że ujrzy swoje niepoprawne dzieci dążące do piękna, łaski, dobroci, spokoju. Zdecydował się

obmyć świat z ich brudu i śladów spustoszeń uczynionych przez nich — oczyścić świat zupełnie, aż ani szlak, ani ścieżka, ani trop po nich nie zostanie. Tylko pewnemu starcowi, jedynemu człowiekowi żyjącemu w bojaźni Bożej, Dowiedział, żeby zbudował łódź dla siebie i swoich bliskich. I zaczął pa'rać deszcz. Padał wciąż i padał dzień po dniu, dzień po dniu. Takiej ulewy nie było nigdy przedtem!

Gdy wędrowni pieśniarze snuli opowieści o tym deszczu, Fara słuchała nieporuszona, teraz jednak obraz straszliwej zagłady przeraził ją. Drżała, odruchowo otuliła się szczelniej burnusem. Ochryple krzyki, zduszone jęki dolatywały do niej z wirów wezbranych wód, w których skazani na próżno czepiali się jedni drugich i ponad którymi sine niebo rozdzierały błyskawice, burza szalała ciskając pioruny w miotane falami szczątki.

A potem wszystko ucichło. Wody ustąpiły. I znów świeciło słońce — ale już nie na ogrody i pola tym razem,

## 112

tylko na ogołocoony świat ruin: miasta zrównane z ziemią, puste trony w błocie. Można było na nowo przystąpić do budowania lepszego świata. Okazało się to jednak beznadziejne.

Tonem głębokiego smutku i wstydu Jan opowiadał, jak ludzie ledwie się wydostali z mułu i szlamu, zaczęli znów knować jedni przeciwko drugim, nie inaczej niż przedtem. Prorocy przychodzili i odchodzili. Przypominali ludziom o wielkim nieszczęściu, jakie spadło na ich przodków, i przepowiadali dalsze klęski, jeśli nie będą posłuszni Bogu nakazującemu pokój. Ale silniejsi lekce sobie ważyli proroków, słabsi, którzy szukali łaski u silniejszych, wyśmiewali się z przepowiedni i nawet ci najslabsi,

wykorzystywani dzień w dzień, okradani z ostatnich swoich łachmanów... nawet ci urągali prorokom i rzucali kamieniami.

Jan umilkł na długą chwilę i spuścił głowę. Pełna bojaźni rzesza znieruchomiała zapatrzona, wszyscy wstrzymali oddech, tak jakby wiedzieli, co nastąpi.

— Przeto... obecnie... w naszych czasach — ciągnął Jan ze smutkiem odmierzając słowa — jest nam pisane oglądać jeszcze jeden wybuch gniewu Bożego. Nie potop tym razem, a oczyszczenie świata z niegodziwości. Zapytacie: „Kiedy to nadejdzie?” Odpowiem: „To już nadeszło tutaj!”

Czy dobrze słyszę, jak mówicie: „Nie moja wina, że świat jest niegodziwy: to wina Cesarstwa, które bierze w niewolę, obrabowuje i zabija, z jakiej więc przyczyny ja mam ponieść karę za zbrodnie cezara?” Na to muszę odpowiedzieć, że zawinił każdy z nas! — Jan mówił teraz szybko, chłostał słowami. — Nie zwalajcie wszelkiej niesprawiedliwości, wszelkich okrucieństw, wszelkiego spodlenia na Cesarstwo. Każdy jest po trosze Cesarstwem, gdzie panoszą się chucie i chciwość, i nienawiść! Łatwo potępiać te rządy: łupiestwo ich, doprawdy, podlega oczyszczeniu Bożemu aż do samych kości! Dostyc też łatwo wyrzekać na Świątynię sytą w swoim letargu. Świątyni też należy się sprawiedliwa kara Boża! Ale jeśli pokój ma błogosławić nasz schorzały świat, najpierw zbawienie musi przyjść do was! Do ciebie, samotny pasterzu na stoku góry, do ciebie, rolniku za pługiem, do ciebie, stolarzu w warsztacie, do ciebie, kobieto przy domowych



Bo jeśli nie będziecie żałować za grzechy, zginiecie! Tak jest zarządzone!  
Bóg przemawia znowu! Jest Ktoś blisko, kto pomoże światu pozbyć się  
swoich niego-dziwości! Zaiste On już jest tutaj!

Nagle na dalekim końcu drugiego rzędu wstał jakiś niemłody dostojnik  
w czarnej szacie i spośród gromadki zamożnie wyglądających towarzyszy  
zawołał tak głośno, że wszyscy spojrzeli w jego stronę:

- O sobie mówisz, chrzcicielu? Tyś jest ten mściciel,  
który wywrze gniew Boga na cesarze... i na najwyższym  
kapłanie... i na nas wszystkich?
- Nie. Ja to nie On — odpowiedział Jan z pokorą. —  
Jestem Jego zwiastunem, niegodnym zawiązać rzemyka  
u Jego sandała. Jestem tylko głosem wołającym na pustyni.  
Mam przykazane wołać: Prostujcie drogę na przybycie  
Pomazańca! Wyrównajcie gościniec! Podnieście doliny,  
gdzie ubodzy rozpaczają! Obniżcie szczyty gór, gdzie możni  
siedzą butni i pyszni! Wyrównajcie drogę dla Niego w swo-  
ich sercach! — Mówił to beznamiętnie, ale teraz zaczął  
chlastać głosem jak biczem. — Nie zadowalajcie się twier-  
dzeniem, że świat mógłby zaznać sprawiedliwości i pokoju,  
gdyby Grecy przestali nienawidzić Egipcjan i gdyby Rzy-  
mianie przestali obrabowywać Greków! Popatrzcie na siebie  
samyh! Niech kupiec macedoński przestanie nienawidzić  
syryjskiego poganiacza wielbłądów! Niech Żyd przestanie  
nienawidzić Araba! Niech faryzeusze i saduceusze przestaną  
nienawidzić się wzajemnie! Niech ubogi rolnik, który ma  
dwie krowy, jednego osła i dwadzieścia kur, przestanie

szydzić z ubogiego rolnika, który ma tylko dwie kozy i dziesięć kur! Niech kobieta mająca piękną opończę na szabat i na uczyty weselne przestanie wynosić się nad kobietę, która ma tylko opończę codzienną i żadnego stroju na wesele!

Jeszcze jeden z tej niedużej grupki nastawionej krytycznie wstał i zapytał:

- Czy mściciel przyjdzie z mieczem... żeby czynić pokój?
- Nie z mieczem — odpowiedział Jan — a przecież z mocą tak potężną, że cały świat się zatrzęsie! On przyjdzie

114

z siekierą i cepem! Siekiera zostanie przyłożona do korzeni drzew. Każde drzewo, które wydaje owoce, będzie oszczędzone, ale też każde bez soków, które jest dla ziemi zawadą, będzie ścięte i spalone! Cep Jego wymłóci plony waszych uczynków. Ziarno pozostanie, plewy ulecą z wiatrem.

Tym prorok zakończył, ale rzesza przez chwilę czekała na dalsze słowa, bo jeszcze stał przed nią znużony, z głową spuszczoną. A może — pomyślała Fara — modli się po cichu?

Gdy podniósł głowę, odwrócił się wolno i odszedł na północ ku zboczowi pobliskiego wzgórza. Odprowadzili go wzrokiem, dopóki nie zniknął wśród drzew oliwnych. Wtedy zaczęli wstawać milcząc, nie patrząc na siebie, rozchodzić się tam, gdzie zawczasu wybrali miejsca, żeby przespać tę noc na rozległej łące.

Fara oszołomiona ruszyła za ludźmi. W powoli idącym tłumie znalazła się u boku rodziny, którą spotkała przy posiłku. Rut spojrzała spod rzęs i

uśmiechnęła się ładnie. Jej czujna matka z groźną miną upomniała ją specjalnie głośno, żeby Fara słyszała:

— Dość tego, bo powiem ojcu!

Nie mając wyposażenia obozowego oprócz dwóch derek z wielbłądziej wełny, Fara po raz pierwszy w życiu spała pod gołym niebem. Położyła się wcześnie, bo nie było co robić. Dała jakiemuś chłopcu kilka miedziaków, żeby przyniósł wody dla Saidi, zdjęła z klaczy siodło i uzdę i przeniosła je na trawę pod cyprysem. W zapadającym powoli zmierzchu ludzie spokojnie przygotowywali sobie legowiska i gdy niebo zajaśniało wspaniałością gwiazd, na łące panowała cisza. Od czasu do czasu któreś ze zmęczonych dzieci zapłakało, gdzieś zaszczekał pies, pokłóciły się juczne osły, ale żadnych rozmów nie było. Fara zastanawiała się, czy wszyscy śpią, czy rozmyślają z powagą o dziwnych rzeczach, jakie słyszeli. Ci dostojni mężowie z miasta — o czym teraz myślą? A matka Rut — czy mówi sobie, że przynajmniej ona jest bez winy? I co by rzekł ten prorok miłujący pokój, gdyby wiedział, że ktoś spośród jego uważnych słuchaczy zamierza zabić swego ojca? Długo tak zastanawiała się chaotycznie, zanim zmogło ją zmęczenie. Usnęła dumając, czy Arabia też zostanie ostrzeżona o tym, co ją czeka. I czy jakiś prorok przemówi tak samo do Rzymian? Przecież świat to nie tylko Judea.

Jeszcze przed brzaskiem zaczęła się krzątanina. Fara przetarła oczy, usiadła, przyczesła swą chłopięcą czuprynę, ściągnęła czerwoną opaskę na czoło, zwinęła derki i poszła zobaczyć, jak się czuje Saidi. Klaczy nie było! Był kolek, przy którym zostawiła ją spętaną, ale jej nie było nigdzie. Niewątpliwie Saidi zdołała się uwolnić i odbiegła. Może nawet popędziła

w drogę powrotną. Wiadomo, że mądre konie to robią.

Po daremnym wypytywaniu mężczyzn i chłopców zajętych swoimi zwierzętami, Fara zdecydowała się wejść na wzgórze, z którego mogła zobaczyć dalszą okolicę. Z sercem łomoczącym z wysiłku i niepokoju stanęła na szczycie i ocieniając oczy dłonią zaczęła rozglądać się po równinie w dole — nigdzie jednak nie wypatrzyła Saidi. Poczowała takie odrętwienie i słabość, że musiała przytrzymać się pnia drzewa, jak gdyby mógł ją porwać poranny zachodni wiatr. Nagle drgnęła na dźwięk czyjegoś głosu:

—Czego szukasz, córko?

Odwróciła głowę powoli. To był prorok.

- Mojej klaczy — odrzekła niepewnie i znów powiodła wzrokiem po dolinie. — Najwidoczniej powędrowała gdzieś w nocy.
- Może została ukradziona. — Jan podszedł i stanął przy niej.
- Chyba nikt — wykrzyknęła — spośród tych ludzi by nie ukradł!
- Nie ma, córko, miejsca na tym chciwym świecie, gdzie by ludzie nie kradli.

Po raz drugi powiedział „córko”. Za pierwszym razem Fara miała nadzieję, że się przesłyszała, ale teraz to już nie ulegało wątpliwości. On jakoś poznał. Musiała jednak nastawiać uszu, bo mówił cicho:

—Ludzie kradną. Kradną wszędzie wszystko, byle

ukraść, czy to koń, czy postronek, czy zwój papirusu w synagodze, czy urna na cmentarzu. Kradną na roli i na targowisku, na gościńcu i w gospodzie, u złotnika i u szmaciarza, w domu gry i w Świątyni. Nie ma temu granic. Kradną poduszki niemowlętom, ozdoby z szat nieboszczyków. Łupią bankierów i żebraków. Gdzie ty żyjesz, młoda kobieto, że wierzyć ci się nie chce w złodziejstwo?

— Jestem z Arabii — powiedziała Fara.

Jan parsknął śmiechem.

— Widać żyłaś na uboczu — powiedział sucho. — Twoi rodacy nie słyną z uczciwości. Może nie znasz swoich rodaków. Czy zawsze mieszkałaś w Arabii? Słyszę obcy akcent w twojej mowie, muszę jednak przyznać, że mówisz po aramejsku dobrze. Gdzie się tak nauczyłaś? I wyglądasz na Żydówkę... bardziej na Żydówkę niż na Arabkę. Powiedz mi, córko, dlaczego nosisz męski burnus i masz obcięte włosy?

Kolana uginały się pod Farą. Usiadła. Prorok usiadł na głazie nie opodal. Powoli odwracając głowę do niego, napotkała badawcze spojrzenie, które zmuszało do szczerości.

- Mam załatwić pewną sprawę, panie, dosyć może niebezpieczną dla młodej dziewczyny. Powiedziałam ci, że jestem Arabką, ponieważ wolę uważać się za Arabkę, ale to prawda tylko w połowie. Moja matka była Arabką. Ojciec jest Żydem.
- Twoja matka nie żyje?
- Umarła zaledwie trzy dni temu. — Fara znów skiero

wała wzrok w dolinę.

- I chyba to ci nakazuje załatwić ową sprawę, w tym celu przybyłaś do Judei. Twój ojciec jest Żydem. Jedziesz, żeby go zawiadomić o śmierci matki?
- Ta-ak — wyjąkała Fara z nadzieją, że ta odpowiedź wystarczy. Dopiero po długiej chwili milczenia Jan powie dział:
- A więc chodzi nie tylko o zawiadomienie ojca. On nie mieszkał z twoją matką w Arabii?
- Nie. Od wielu lat.
- Jak doszło do tego, że się pobrali?

117

- To długa historia, panie. Nie chcę cię zatrzymywać.  
— Spojrzała znów w te pytające oczy. — Czy muszę ci opowiedzieć? — zapytała trochę przerażona.
- Nie, jeśli nie chcesz — odrzekł Jan dobrotliwie. —  
Chociaż byłoby lepiej... gdybyś zwierzyła się komuś, komu mogłabyś ufać.
- Jadę do ojca — powiedziała Fara. — On mieszka w Galilei... w Tyberiadzie.
- W takim razie pewnie pracuje u tetrarchy — powie dział Jan. — W Tyberiadzie nie ma prawie nic poza wielkim dworem Antypasa.

Fara przytaknęła i odwróciła wzrok. Opieszale, niechętnie, prawie niedosłyszalnie wyznała:

— Mój ojciec to Antypas.

Jan nie sprawiał wrażenia człowieka, którego łatwo zdziwić, a przecieŜ odruchowo zerwał się i zawołał:

- Co takiego?! — Patrząc na nią badawczo widocznie upewnił się, że to prawda. — Oczywiście! Słyszałem tę historię. Wszyscy ją słyszeli. Nie masz powodu do dumy ze swego ojca.
- O tym wiem, panie — zgodziła się Fara.
- Wszelako... gdy on tak okrutnie, tak haniebnie po traktował królową Arabii, chyba nie jedziesz do Tyberiady, żeby zamieszkać u tego...
- Przysięgam, że pomszczę moją matkę — przerwała Fara.
- To znaczy... zabiłabyś swojego ojca?
- Jeśli zdołam.
- Ale nie zdołasz! — wykrzyknął Jan. — Po pierwsze, to zupełnie niemożliwe. Pałac jest warowny jak oblezione miasto. Urodziłem się Galilejczykiem, ziomkowie mi opowiadają, że tetrarcha otacza się strażą w dzień i w nocy. Tylko byś straciła życie bezcelowo. I... nawet gdybyś cel osiągnęła, co jest nie do pomyślenia, twoja zbrodnia dręczyłaby cię zawsze. Zemsta nigdy nic dobrego nie daje.
- Wczoraj słyszałam, panie, jak mówiłeś, że ktoś już przybywa, żeby pomścić Boga — powiedziała Fara. — Czy i to także nie da nic dobrego?

Jan nie miał gotowej odpowiedzi. Dopiero po chwili rzekł:

- To zupełnie inna sprawa, córko. Bóg, jedynie Bóg jest panem zemsty. On odplaci!

- A ja nie powinnam! — Fara przybrała ton ironiczny.

— Bogu wolno... a mnie nie. Ja mam być szlachetniejsza od Boga?

- Ta uwaga, córko — powiedział Jan — raczej nie przynosi ci chluby. Jest lekceważąca.

- Ale słuszna — broniła się Fara.

- Przypuszczam, że można ci ją wybaczyć. Prawdopodobnie nie uczono cię o Bogu... w Arabii.

- Jak to nie! — zachnęła się Fara. — Żydzi i Arabowie czczą tego samego Boga. Abraham jest naszym wspólnym ojcem.

Ponieważ wyraźnie była gotowa spierać się nie tyle rzeczowo, co zapalczywie, Jan tylko przytaknął. Zmienił temat.

- W Galilei może zobaczysz Pomazańca. Chciałbym, żebyś mogła porozmawiać z Nim. On mieszka w miasteczku Nazaret. Jest cieślą.

- Przebrany za cieślę? — zapytała Fara zdumiona. — Tak jak ja przebrałam się za chłopca?

- Nie. On jest cieślą rzeczywiście, i to bardzo dobrym, podczas gdy ty udajesz, że jesteś chłopcem...

- I to niedobrze — przerwała z uśmiechem i zastanowiła się. — Jednakże — dodała — ty pierwszy, panie, to odkryłeś.

- Chcesz powiedzieć... pierwszy ci to mówię. — Jan



z brwiami zmarszczonymi przechadzał się tam i z powrotem.

— Ale to nie jest błaha sprawa — ciągnął. — Złożyłaś przysięgę. Ja nie będę ciebie odwodził od dotrzymania jej. Przysięga to przysięga. Postanowiłaś dotrzeć do Tyberiady. Dobrze. Powędruj najpierw do Nazaretu, stąd niedaleko. Opowiedz swoje dzieje Cieśli... Jezusowi. Usłuchaj Jego rady. Nie popełnisz błędu, jeśli postąpisz tak, jak On ci powie... Ja muszę już cię pożegnać. Skoro twego konia nie ma, zapewne pójdziesz pieszo. Idź brzegiem Jordanu. To droga krótsza niż gościńcem i bezpieczniejsza dla ciebie. — Wskazując ukośną ścieżkę w dół na północnym stoku wzgórza, powiedział: — Bóg z tobą, córko. Boże, miej ją w swojej opiece. — Wyciągnął dużą kościstą rękę, a ona

119

ufnie podała mu swoją małą. Odwracając i oglądając jej dłoń uśmiechnął się. — Nie jest to ręka chłopca. Musisz być bardzo ostrożna. Teraz, gdy włosy masz obcięte, nie mogę ci doradzać, żebyś ubrała się jak dziewczyna, ale — powtórzył łagodnie — musisz być ostrożna. Te buty do konnej jazdy, ten kosztowny burnus... Powinnaś się odziać mniej okazale, w strój wieśniaczy... i to jak najrychlej. Mogliby cię za przebranie wtrącić do więzienia, wiesz.

- Wolałabym nie — westchnęła Fara. — Podobno w więzieniach jest niewygodnie.
- Ja nigdy w więzieniu nie byłem — powiedział Jan — ale spodziewam się być lada godzina. Władze każą mnie pojmać za zakłócanie spokoju.

- Przecież nie ma spokoju — powiedziała Fara.
- Właśnie... nie ma spokoju — z powagą przytaknął Jan.
- Czy to Świątynia chciałaby cię uciszyć, panie?
- Tak... ale Świątynia nie ma prawa mnie uwięzić.
- Więc kto?
- Zarząd prowincji. I ponieważ jestem Galilejczykiem, postawią mnie przed sądem Antypasa.
- Wobec tego może się spotkamy... w więzieniu. — Fara uśmiechnęła się przekornie.

Jan potrząsnął swą kudłatą głową potępiająco wobec tej nierozumnej beztroski.

- Widać, że ty, dziecko, nie zdajesz sobie sprawy z beznadziejności swojego przedsięwzięcia — powiedział smutno. — Nie spodziewam się zobaczyć ciebie już nigdy. Żegnaj.
- Do czasu, gdy się spotkamy — obstawała Fara.

W połowie drogi w dół z wysokiego wzgórza odwróciła się i spojrzała. Jan jeszcze stał tam, skąd odeszła. Pomachała ręką do niego. Podniósł dłoń, jak gdyby dawał jej pożegnalne błogosławieństwo.

## 120

Na zachodnim wybrzeżu Morza Galilejskiego zaczynał się dzień. Było jeszcze na tyle ciepło po niezwykle upalnym lecie, że rybacy mogli się obnażyć do pasa, ale o jesieni świadczyła już mgiełka jak dym, która

zasłaniała dalekie góry, rozmazywała kontury nowej synagogi w Kafarnaum, przygaszała połysk marmurowego pałacu tetrarchy.

W brzydkich stłoczonych szałasach i na przystaniach, gdzie rybacy trzymali swój sprzęt i naprawiali sieci, już rozpoczęto codzienną pracę. Rozczochrani, bosy, opaleni mężczyźni i chłopcy biegali po brzegu jeziora zapelniając płaskodenne łódki wyposażeniem dla większych łodzi, które kołysały się niemrawo w spokojnej zatoczce.

Co najmniej dwadzieścia tych łodzi, starych i bardzo starych, brudnych i bardzo brudnych, o wszelakich kształtach i rozmiarach, czekało, żeby z wciągniętymi gęsto połatanyimi żaglami wyruszyć tam, gdzie rybacy mogli się spodziewać dobrych połowów.

Wyniośle, w oddaleniu od tego zbiorowiska, stała flotylla składająca się z trzech dużych żaglowców, przycumowanych razem tak ciasno, że ich świeżo pomalowane niebieskie burty ocierałyby się o siebie, gdyby nie grube konopne poduchy, które je oddzielały. Wszystkie trzy łodzie zbudowano jednakowo, tyle że środkowy żaglowiec „Abigail” miał trzy maszty i był nieco większy niż dwa dwumasztowce u jego boków, „Sara” i „Rachel”. Przy ich dziobach podskakiwało na lekkich falach kilka luźno przywiązanych pustych łódek.

Na sprzężonych rufach tych trzech żaglowców połączone załogi, ogółem trzydziestu ludzi w wieku od lat szesnastu do sześćdziesięciu, siedziały z podkulonymi nogami wokół ogromnej sieci, która wyraźnie potrzebowała naprawy w niejednym miejscu.

Na szerokiej sterownicy „Abigail” siedział sam olbrzymi, kędzierzawy, opalony na ciemny brąz trzydziestopięcioletni Galilejczyk, tak samo zajęty swoją iglicą jak tamci, i od czasu do czasu podnosił oczy, żeby

popatrzeć na ich robotę,

121

a oni spoglądali wtedy na niego, jak gdyby pytali, czy jest z nich zadowolony. Wszyscy pracowali w milczeniu, wprawnie, szybko, chociaż spokój na ich twarzach świadczył, że nie czują się ponaglani. Stosunki między nimi a ich zwierzchnikiem układały się dobrze — były nawet serdeczne, co uwidaczniało się w ochoczej pilności, z jaką naprawiali sieć. Szczególnie dawało się to zauważyć w postawie młodszych, wyraźnie dumnych ze swej pracy, zresztą słusznie, bo dobre świadectwo dla żeglarza stanowił fakt, że pływa on z Szymonem synem Jony.

Wśród Galilejczyków imię Szymon było tak pospolite, że dla lepszej orientacji dołączano do tego imienia przydomki. Każdy Szymon musiał być jakoś określony: Szymon Garbarz, Szymon Tkacz, Szymon Szpotawy, Szymon Kuglarz, Szymon Mały, Szymon Skryba, Szymon Opój, Szymon Łysy, Szymon syn Jony. Jeśli chodzi o tego właśnie Szymona, niewątpliwie, gdyby jego rodzic specjalnie się nie wyróżniał, wymyślono by inny przydomek stosownie go charakteryzujący. Za młodu może byłby nazywany Szymonem Zawadiaką albo Szymonem Kpiarzem. Ale dla krewnych i sąsiadów, którzy znali go od dziecka, był to Szymon syn Jony, zgoła nie przynoszący — zapewne dodawali — chluby temu zacnemu starcowi. Nikt bowiem nie przejawiał takiego przywiązania do synagogi jak Jona i nikt nie dawał z siebie synagodze mniej niż jego rubaszny, krzepki syn, Szymon.

Jednakże ten ogromny, hałaśliwy, porywczy i doprawdy, aż litość brała, tak bardzo pozbawiony szacunku dla wszystkiego, co święte, syn Jony, musiał być znany pod jakimś barwniejszym przydomkiem. Na całym

zachodnim wybrzeżu — w Kafarnaum, w Magdali i Betsaidzie, i w wioskach pomiędzy tymi miastami, i w twierdzy rzymskiej, i wśród służby wspaniałego pałacu tetrarchy — nad jeziorem i w dalszych okolicach o Szymonie synu Jony mówiło się Wielki Rybak.

Od wczesnego chłopięctwa przekorny i wojowniczy Szymon stawał się coraz większym utrapieniem rodziców. Niemniej przestrzegał praw Bożych, a zwłaszcza obowiązku oddawania czci matce swojej i ojcu swemu, co w jego

122

przypadku mogło być niełatwe, ponieważ Jona, pilnie uczestnicząc we wszystkich modłach postnych i obrzędach, jak również często odbywając pielgrzymki do Jerozolimy i wygłaszając kazania na ulicach i targowiskach, niewiele miał czasu, by zarabiać pieniądze. Gdyby nie pracowitość Szymona i jego starszego brata, Andrzeja, ich rodzice przymieraliby głodem.

Andrzej uważał, że przestrzeganie przykazań Mojżesza obejmuje regularną obecność w synagodze i ściśle zachowywanie ustanowionych postów, Szymon zgoła się tym nie przejmował. Rodziców czcił, to znaczy okazywał im serce i szacunek, starał się, żeby zawsze byli syci i dobrze przyodziani. Ale już w wieku lat dwunastu zaczął szczerze gardzić synagogą i wszystkim, co synagoga reprezentowała, bo uznał, że ta instytucja zmienia ludzi skądinąd wartościowych w próżniaków i okropnych nudziarzy.

Wyrobił sobie taką powściągliwość, że nigdy nie ujawniał osobistej pogardy dla świętoszkowości swego ojca. A nieraz bardzo trudno mu było okazywać szacunek, gdy załatwiając sprawy handlowe na

targowisku spotykał Jonę ze zwojem papirusu paradującego między kramami i uroczyście przemawiającego do ludzi, chociaż na ogół nie chcieli go słuchać, tylko uśmiechali się i mrugali do siebie porozumiewawczo. O ile jednak wobec ojca Szymon był ostrożny,

O tyle w towarzystwie swoich rówieśników pozwalał sobie otwarcie krytykować nadmierną pobożność. Na przekór wszystkim nie zapuszczał brody, aż wszyscy przyjaciele rodziny biadali, że jest zuchwale niewierny. Jona patrzył żłamentował nad tym, głośno modląc się w miejscach publicznych za swojego krnąbrnego syna; ale smakowało mu jedzenie, które ten niedowiarek przynosił do domu.

Z początku Szymon był robotnikiem w przystani, potem chłopcem pokładowym na brudnym żaglowcu rybackim, gdzie dostawał zapłatę w najpośledniejszych mażach, które sprzedawał następnie wśród najuboższych, krążąc od drzwi do drzwi. Silny jak wół i nieustraszony prawie do szaleństwa, wkrótce jednak stał się sprawnym żeglarzem i ubiegali się o niego właściciele flotylli. W czasie złej pogody, gdy większość łodzi nie wyruszała z zatoki Tyberiady, bo to

123

małe morze bywało niebezpiecznie wzburzone, Szymon chętnie wypływał, żeby staczać bitwy z falami, a połów w takich okolicznościach przynosił wobec braku współzawodnictwa znacznie większy zysk.

Toteż nie ukończywszy jeszcze lat dwudziestu trzech Szymon został współwłaścicielem nie najgorszego rybackiego jednomasztowca. W wieku lat dwudziestu ośmiu posiadał ten stateczek na wyłączną własność i

miał załogę złożoną z czterech ludzi. Obecnie był panem najlepszej, powszechnie znanej na Morzu Galilejskim flotylli.

Charakter Wielkiego Rybaka, w miarę jak dzięki jego własnej pracy powodziło mu się coraz lepiej, stanowił odbicie zarówno wczesnych niepowodzeń, jak późniejszych osiągnięć, co w sumie nie uwalnia człowieka od wad. Świadom, że ominęły go prawie wszystkie radości normalnego dzieciństwa, Szymon skłonny był gardzić chłopcami, którzy marnowali czas na zabawę, gdy mogliby zająć się czymś użytecznym. Nigdy nie chodził do szkoły, ledwie umiał czytać i rzadko kiedy próbował napisać coś więcej niż swoje imię. Sam więc prawie niepiśmienny, szydził z uczo-ności, wyśmiewał się z zawodowych skrybów. Na wszelką słabość fizyczną patrzył z politowaniem.

Chociaż tak jawnie niepobożny, Szymon namiętnie ukochał swoje plemię. Nie być Żydem znaczyło dla niego być nikim. W jego przekonaniu wszystkie narody — z wyjątkiem Izraela — należały do jednej bezecnej kategorii. Jeśli różniły się czymkolwiek między sobą, to te różnice były bardzo nieistotne. Nigdy nie wypuścił się dalej niż o dwadzieścia pięć mil od rodzinnej Betsaidy i — w głębi duszy świadom swojej zaściankowości — żywił sporo uprzedzeń do świata poza małą Galileą. Wyrażał się szydlerczo o ludziach z dużych miast, nawet miast żydowskich. Grecy głupio udają bardziej uczonych niż Rzymianie, gdy faktem jest, że są tylko bardziej leniwi od Rzymian, marnują czas na takie głupstwa jak rzeźbienie posągów i wymyślanie argumentów w obronie teorii, w których każdy domysł jest dobry, chociaż do niczego nie prowadzi. Rzymianie wprawdzie udowodnili, że lepiej umieją walczyć niż ich słabi sąsiedzi, ale psy też potrafią lepiej walczyć niż króliki, jeśli już o tym

mowa. Egipcjanie to naród podupadły, myślą tylko o grobowcach, żeby mieć gdzie złożyć swoje kości. Arabowie zaś byli i są hordą morderców, kłamczuchów, oszustów i rozbójników. Natomiast Izrael jest narodem wybranym, godnym zwać się ludzkością, tamta zaś cała reszta nie lepsza niż zwierzęta. Szymon mógł rozprawiać na ten temat przez godzinę. On zaiste był Izraelitą!

Okazywał lojalność swoim druhom! Od lat chłopięcych miał łatwość nawiązywania przyjaźni z ludźmi każdego stanu. Instyktownie ukochał powszechną sprawiedliwość i szlachetne postępowanie, chociaż sam nie zawsze potrafił się pogodzić z własną przegraną. Lubił żarty, wołał jednak nie być ich przedmiotem, i czasami w sytuacjach chwilowo niekorzystnych dla siebie przejawiał dziecinną drażliwość, która wydawała się wprost zabawna i niedorzeczna w człowieku jego postury.

Krótko mówiąc, powodzenie trochę przewróciło Wielkiemu Rybakowi w głowie. Przecierpiał wiele, by osiągnąć swój znaczny dobrobyt, i teraz zgoła nie był pobłażliwy wobec cudzych niedociągnięć. Lubił, gdy go chwalono, i nieraz się puszył. Ale pomimo jego próżności, licznych słabostek i braku tolerancji, ludzie, którzy u niego pracowali, podziwiali jego siłę, śmiali się do rozpuku z jego rubasznych dowcipów i w czasie wolnym od pracy naśladowali jego buńczuczny sposób bycia.

Gdy Wielki Rybak został już jedynym właścicielem flotylli, rodzice, świątobliwy stary Jona i cicha jak myszka Rachela, w swoim domku w Kafarnaum dostali wezwanie, by na wieki zamieszkać gdzie indziej. Wtedy on mógł poślubić młodą Abigail, córkę pewnej wdowy z Betsaidy. Andrzej rzadko kiedy — może dlatego, że był podwładnym — udzielał



nie proszony rad swemu bardziej przedsiębiorczemu bratu, a przecież tym razem delikatnie ostrzegł Szymona przed małżeństwem z Abigail, która chociaż ładna i pełna wdzięku, nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Może jednak właśnie krucha wątłość dziewczyny, jakoś upodabniająca ją do kwiatu, przyciągnęła tego krzepkiego olbrzyma, nienawykłego dotychczas do okazywania tkliwości.

125

Szymon był mężem bardzo troskliwym. Gdy Abigail gasła powoli, wspólna troska o nią i smutek wytworzyły serdeczną więź pomiędzy nim i Hanną, jej matką. Po śmierci młodziutkiej żony mieszkał nadal w przestronnym domu swej miłej teściowej na cichym cienistym rogu jednej z uliczek Betsaidy. Andrzej wprowadził się do nich; nie chcąc jednak palić mostów za sobą, dopóki się nie upewni, że ten układ jest wygodny dla wszystkich, zachował starą siedzibę rodzinną w Kafarnaum i często tam bywał, żeby doglądać kwiatów.

Odkąd cień śmierci Abigail uleciał znad tego ogniska domowego, zrobiło się tam przyjemnie i wesoło, bo Hanna, obdarzona spokojnym poczuciem humoru, lubiła żartować, co radowało obu braci, którzy tak mało rzeczy zabawnych znajdowali w domu rodzicielskim. Andrzej, poważny i małomówny, z wielu dowcipów nie śmiał się głośno, chociaż zawsze przyjmował je z zakłopotanym uśmiechem. Ale tubalny śmiech Szymona, zwłaszcza w letnie wieczory przy otwartych oknach, słychać było w całej okolicy. Bliscy sąsiedzi nieraz się zastanawiali z pewnym rozdrażnieniem, co go tak ogromnie ubawiło. Poważni i stateczni obywatele tej części miasteczka dawno uznali, że Wielki Rybak zgoła nie przydaje chwały Betsaidzie.

Ale chociaż nie czuli dla Szymona zbytniego szacunku, coś w nim wzbudzało ich ciekawość, jak również zawiść. Otóż z Szymonem najwyraźniej przyjaźnił się Dawid, wyniosły, bogaty saduceusz. Za rogiem ulicy, ograniczającej własność Hanny od północy, wznosiły się łagodnie pod górę na przestrzeni ćwierć mili na wschód grunty znakomitego rodu Sadoka i stała tam świetna jego rezydencja, w której obecnie mieszkał tylko Dawid ze swą niezamężną siostrą i dwudziestoma podstarzałymi służącymi.

Stary Sadok, zmarły dziadek Dawida i Debory, trzymał się zawsze z daleka od miasteczka; Betsaida ze swej strony nie czyniła żadnych wysiłków, by zbliżyć się do niego, ponieważ był on jedynym saduceuszem w okolicy, jeśli więc nie chciał się udzielać, Betsaida nie miała nic przeciwko temu. Saduceusze, stronnictwo cyniczne i butne, zawsze

126

uważali się za stojących wyżej niż wszyscy inni, nie tylko to jednak, zdaniem Betsaidy, stanowiło wadę zarówno saduceuszów, jak starego Sadoka. Wszyscy wiedzieli, że nienawidzi on rządu Galilei i wyraża się pogardliwie o Antypasie, tetrarsze. Aż dziw brał, że uchodzi mu to bezkarnie. No, ale to bogacz płacący wygórowane podatki. Tacy mogą sobie pozwolić na mówienie tego, co myślą, swobodniej niż ubodzy, którzy za podobny brak umiaru mogą znaleźć się w więzieniu. Chyba lepiej nie mieć za dużo do czynienia z rodziną Sadoka czy innymi saduceuszami — tak uważano w Betsaidzie.

Tajemnicą było, dlaczego właściwie Dawid nie zrezygnował ze starego pałacu na wzgórzu. Dopóki nie wycofał się z czynnego życia, przyjeżdżał

tam bardzo rzadko. Może lubił piękny widok rozciągający się na jezioro i to go tutaj sprowadzało co roku latem. Z pewnością nie byłoby mu wygodnie mieszkać w Betsaidzie w tamtych czasach, gdyż jako obrońca sądowy działał w Cezarei i jedynym jego miejscowym klientem był Jair, którego posiadłość leżała u podnóża wzgórz Kafarnaum.

Obecnie Dawid zamieszkał w pałacu, jak się wydawało, na stałe i w pogodne dni odbywał przechadzki po zboczu wzgórza, głęboko zadumany, z głową pochyloną.

Ci, którzy Dawida spotykali, nie śmieli go zagadnąć, a on nawet nie patrzył na nich. Niewątpliwie zanadto był pochłonięty swoimi myślami, żeby kogokolwiek bodaj dostrzec.

Toteż sąsiedzi Hanny rzeczywiście mogli się zdumieć, gdy Dawid po raz pierwszy zatrzymał się przy białym ogrodzeniu jej domostwa i wszczął z Wielkim Rybakiem najwyraźniej poważną męską rozmowę. Potem zdarzało się to coraz częściej, późno popołudniu, o schyłku dnia, po powrocie Szymona z łodzi. Czasem Hanna przyłączała się do nich, pewnie na prośbę Dawida. Było to doprawdy bardzo zagadkowe.

Przyjaźń pomiędzy nieokrzesanym Szymonem i kulturalnym Dawidem, jakkolwiek trudna do zrozumienia dla mieszkańców Betsaidy mniej więcej równych sobie stanem, nie była jednak aż tak niewytłumaczalna. Szlachetnie

urodzeni, chociaż może wzdrygali się na myśl o zbrukaniu utrzymywaniem stosunków towarzyskich z ludźmi stojącymi o szczebel czy dwa niżej od nich, nieraz chętnie zniżali się do tych, którzy na swoim szczebelku gdzieś w dole, jak każdy wiedział, nawet by marzyć

nie mogli o zaproszeniu do stołu.

W tym właśnie przypadku powód, żeby znawca Prawa zaprzyjaźnił się z rybakiem, był jeszcze bardziej zrozumiały. Ziarno ich przyjaźni posiane zostało przed laty, gdy Szymon, nieśmiały, obszarpany, nad wiek wyrośnięty chłopak, regularnie dostarczał ryby do kuchni Sadoków. Dawid, starszy od niego o dziesięć lat, spotykał go od czasu do czasu na ogrodowej ścieżce i zawsze się zatrzymywał, by pomacać wspaniałe mięśnie jego przedramion prawie tak samo niedbale, jak targał za uszy swego psa. Szymon, słuchający żartów Dawida ze zdumiewającej liczby jego piegów czy z rozmiaru jego bosych stóp, uśmiechał się i bąkał: „Tak, panie”. Potem Dawid wyjechał do szkoły w Atenach na pięć lat. Gdy wrócił stamtąd, został współnikiem znakomitego biura prawniczego w Cezarei, mieście szybko stającym się metropolią, i bardzo rzadko przyjeżdżał do Betsaidy. Spotykając go wtedy Szymon kłaniał się z daleka, a on tylko kiwał głową i uśmiechał się z roztargnieniem.

Nawet po osiągnięciu pewnej pozycji w swoim skromnym zawodzie Szymon nadal osobiście przynosił najlepsze ryby dla najważniejszych klientów: rzecz jasna więc, chodził do pałacu tetrarchy i do pałacu Sadoka i przez jakiś czas do pięknej siedziby Jaira, czego ostatnio już zaniechał, bo tam było zbyt daleko.

Teraz, gdy Dawid z lekka zgarbiony i siwy wrócił do domu, Szymon często widywał go na przechadzce. Któregoś dnia spotkali się. Bez powitania Dawid zapytał:

— Nadal roznosisz cudze ryby po domach? Chyba już powinieneś być *znaleźć* jakąś lepszą pracę.

Szymon poczuł się urażony, ale powstrzymał gniew.

— Rzeczywiście mam lepszą pracę, panie. Nie roznoszę cudzych ryb. To prawda... nadal wybieram ryby starannie dla ciebie i sam dostarczam do twojej kuchni... i do kuchni tetrarchy... choć mógłbym je przysyłać.

128

Jeśli Szymon chciał pochlebić swemu klientowi zaznaczeniem, że tak samo ceni sobie dom Sadoka, jak dom tetrarchy, szybko okazało się to niestosowne. Dawid wygiął usta wzgardliwie.

— A więc... ten wstrętny opój jada ryby? — mruknął. — Myślałem, że tylko pije...

Szymon wolał nie komentować tej krytycznej wypowiedzi, ale zdawkowo przytaknął. Dawid zbył temat pstryknięciem palców i powiedział:

— Jak widzę, dobrze sobie radzisz. Pewnie masz kram na targowisku.

Usta Szymona drgnęły w uśmiechu, dając do zrozumienia, że ma coś lepszego niż kram.

- Nie, panie, nadal jestem rybakiem, teraz jednak posiadam łódzie. Trzy dziesiątki ludzi pracują u mnie.
- To doskonale — rzekł Dawid. — Rad jestem, że tak ci się powiodło. Zapewne masz także dom... rodzinę.

Szymon powiedział o swoim wdowieństwie, Dawid z szacunkiem wyraził współczucie. Po chwili milczenia zauważył:

- Chyba teraz, gdy dobrze idą ci interesy, piastujesz jakiś urząd w synagodze.
- Nie, panie — odrzekł Szymon. — Nawet nie chodzę do synagogi, nie mam czasu.

- Czy to znaczy... że nie jesteś pobożny? — zapytał Dawid zdumiony.
- Hmm... — Szymon przestąpił z nogi na nogę, zastanawiając się nad odpowiedzią. — Wierzę, panie, w Boga naszych przodków... który stworzył świat... i daje nam życie... i blask słońca, deszcz i zbiory. Ale nie wierzę w to, że On w ogóle dostrzega nasze małe trudy... ani w to, że patrzy, czy my składamy w ofierze cielaka, czy jagnię na Jego cześć.
- Dobrze powiedziane — przytaknął Dawid z powagą. — Jesteś człowiekiem myślącym... Do widzenia.

Ta krótka rozmowa odnowiła znajomość, która wkrótce stała się przyjaźnią. Często gawędzili, przy czym Szymon zachęcony mówił swobodnie, co myśli, a Dawid przytakiwaniem wyrażał aprobatę. Nawet gdy Szymon odważał się wypowiadać na tematy zgoła sobie nie znane i było

129

oczywiste, że sam nie wie, o czym mówi, Dawid, potrzebując rozrywki, też przytakiwał powoli, z uśmiechem.

Potem ku zdumieniu sąsiadów, przyglądających się ukradkiem, nastąpiły dłuższe rozmowy przy kamiennym ogrodzeniu. Aż kiedyś po południu Dawid zgodził się wejść do ogrodu. Usiedli we dwóch w cieniu wysokiego cyprysu i Hanna przyniosła im kubki z sokiem z granatów.

Poranna mgiełka już się podniosła. Słońce przygrzewało, stare liny pachniały dziegciem, smoła zmiękła w spojeniach pokładów. Rybacy

milcząc naprawiali podarte sieci.

Szymon wyprostował grzbiet, podrapał się po kędzierzawej głowie i przysłonił spocone czoło dłonią, żeby lepiej widzieć łódkę, która powoli płynęła od strony przystani. Twarz mu się rozjaśniła. Wszyscy spojrzeli ciekawie tam, gdzie patrzył.

- Kto tam jest z Janem? — mruknął Andrzej.
- Nie znam go — powiedział Szymon. — Jakiś chłopak.  
Szuka pracy, być może.
- Wygląda na włóczęgę — zauważył Jakub.
- Cały Jan... a jakże! — wykrzyknął stary Zebedeusz z sąsiedniego pokładu „Racheli”. — Zawsze sprowadzi jakieś zbłąkane psisko do nakarmienia.
- No... mógłby sprowadzić coś gorszego — zaburczał Szymon. — Idź na dziób, Tadeuszu, rzuć mu linę.

Praca nad siecią została podjęta z niewielkim zapalem, bo wszystkich interesował towarzysz Jana. Ale wiedzieli, że kimkolwiek jest ten obcy, Wielki Rybak z pewnością pozwoli mu wejść na pokład. Janowi wszystko wolno. Każdy z załogi uważał to za przesądzone.

Nowo przyjętych rybaków zwykle drażniła pobłażliwość Szymona wobec tego roztargnionego chłopca, wkrótce jednak przyjmowali ją bez zazdrości, bo doprawdy trudno byłoby Jana nie lubić. Nieraz w ciepłe popołudnia, gdy wszyscy inni pilnie łowili ryby, ten bezwstydnny leniuch leżał sobie na wznak i patrzył w niebo. Jeśli Szymon natarczywie pytał, co takiego widać w obłokach, Jan

podnosił rękę i rozmarzony kreślił palcem w powietrzu jakieś kopuły, wieże, mosty, miasta albo skrzydlate anioły.

— Zbyt dobrym rybakiem nie jesteś, Janie — mawiał Szymon — ale to nie byle co widzieć obrazki na niebie.

Wątpliwe jednak, czy Szymon tolerowałby takie lenistwo, gdyby chłopiec odznaczał się tylko tą cechą. W razie potrzeby Jan potrafił być zdumiewająco pracowity, zaradny i odważny. Przy dobrej pogodzie, gdy żagle były wciągnięte albo zrefowane, obojętnie przyglądał się krzątaniu. Ale gdy zrywała się burza, zadziwiał wszystkich swoją sztuką żeglarską. Jeśli wskutek splątania liny zaciął się blok wysoko na głównym maszcie wśród szalejącej wichury, wiadomo było, że ten przemoknięty chłopak, wolno sunący po chwiejnych wyblinkach, to właśnie Jan, marzyciel.

Szymon kochał tego chłopca może za jego lekkomyślną odwagę, może za jego wizje w obłokach, czy też może za te obie, tak różne właściwości, ale jakikolwiek mógł być powód, kochał go szczerze i nigdy się z tym nie krył. Nie było to przywiązanie jednostronne. Jan uważał Szymona za wzór doskonałości. Ta przyjaźń nadawała urok powszednim zajęciom, skądinąd uroku pozbawionym.

Teraz Jan i nie znany obszarpany chłopiec, mniej więcej w jego wieku, przeleźli już przez nadburcie dziobu. Wymachując ręką Jan poprowadził swego nieśmiałego towarzysza do małego kambuza na pokładzie dziobowym.

- Na pewno da mu jeść — domyślił się Andrzej. — On rzeczywiście wygląda na zgłodniałego.
- Jan minął się z powołaniem — zauważył Szymon.



— Powinien zbierać jałmużnę dla ubogich.

- Ściągałby od ludzi za dużo! — wykrzyknął stary Zebedeusz. — Ten mój syn nie wie, co to pieniądz.
- Tak... Jan nigdy nie będzie bogaty — powiedział Szymon. — Ale zawsze będzie miał przyjaciół.
- I przyjaciele będą kiedyś musieli zająć się jego pogrzebem — mruknął Zebedeusz.
- Trudno chyba wymagać, żeby swoim pogrzebem zajął się sam — powiedział Szymon.

Wszyscy się roześmieli, ale od razu ucichli i patrzyli z ciekawości, jak Jan wychodzi z kambuza, wolno kierując

131

się na rufę — z ciekawości tym bardziej, że nie wiedzieli, gdzie przebywał od południa poprzedniego dnia. Ostrożnie, lekko niby kot, przeszedł po rozpostartej szeroko sieci i usiadł przy Szymonie, który posunął się trochę, żeby mu zrobić miejsce. Wszyscy odłożyli pracę w oczekiwaniu wyjaśnienia.

Jan ruchem głowy wskazał kambuz.

- Poganiacz wielbłądów. Nic nie jadł przez dwa dni i jest bardzo zmęczony. Siedział na przystani, kiedy go zobaczyłem. Chyba płakał, twarz miał całą brudną i w smugach. Powiedział, że pracował w karawanie, która szła do Damaszku szlakiem przybrzeżnym, ale uciekł, bo bili go i nie dawali jeść.
- Pokazałeś mu, gdzie może się umyć... i dałeś mu coś do jedzenia? — zapytał Szymon.

Ujął znowu sieć w ręce i na ten znak wszyscy zabrali się do roboty. Jan z uśmiechem odpowiedział skinieniem głowy.

- Nigdy nie widziałem — dodał — żeby ktoś tak pałaszował. Biedak, aż mu się uszy trzęsły.
- Wypytywałeś go dokładniej?
- Nie. Pomyślałem, że lepiej to zostawić tobie, panie.  
On chyba jest z południa. Mówi po aramejsku, jakby pochodził z Judei, tyle że z dalszego południa chyba.
- No... zobaczymy — burknął Szymon z roztargnieniem. Przechylając się do Jana, zapytał cicho: — Byłeś tam wczoraj, jak zamierzałeś?

Jan przytaknął i odwrócił oczy, rozmarzony. Po chwili potrząsnął głową. —No? — Szymon nagle się zniecierpliwił, co sprawiło, że wszyscy znów patrzyli na nich dwóch. — Byłeś... czy nie byłeś?

Jan jeszcze raz przytaknął, z wolna podniósł przymglone oczy i potrząsnął głową błagalnie. Lekko stuknął Wielkiego Rybaka w kolano, jak gdyby dając mu do zrozumienia, że woli tę historię opowiedzieć później, na osobności. Ale ten sygnał teraz, gdy załoga zainteresowała się pantomimą Jana, rozdrażnił Szymona.

—Czy natrafiłeś na owego cieślę bez piątej klepki, który się zmienił w winiarza... i robi wino z wody?

Wszyscy na trzech żaglowcach pochylili się teraz do

zwierzchnika, a gdy Jan nie odpowiedział, Szymon wyśmiewał się dalej:

— Pewnie cieśla nakłaniał biednych wieśniaków, żeby zebrali się z cepami i widłami i uderzyli na twierdzę rzymską.

To wywołało śmiech. Każdy już nieraz słyszał, jak Szymon bezlitośnie szydzi z pogłosek krążących o Cieśli z Nazaretu — zawsze lepiej było mu wtórować. Wielki Rybak docenił to lojalne uznanie dla jego poglądów i dał ludziom jeszcze jedną sposobność do rubasznego śmiechu. Zapytał Jana:

- Może widziałeś, jak cieśla zamienia pole kamieni w pastwisko pełne tłustych owiec? Mów, chłopcze! Uparłeś się, żeby pójść zobaczyć cieślę... więc dałem ci wolny dzień. Opowiedz nam teraz, co myślisz o nim.
- Ja... ja nie wiem — wybełkotał Jan. Zaciął usta, potrząsnął schyloną głową. Po chwili wyprostował się, spojrzał na Szymona wyraźnie zbity z tropu i powtórzył zająkliwie: — Nie wiem, panie, to wszystko jest bardzo dziwne.
- No pewnie — mruknął Szymon. — I cóż tam było takiego dziwnego? — zapytał. — Sam ten człowiek czy to, co mówił, czy to, co wyczyniał? Nie możesz nam powiedzieć? A może my jesteśmy za głupi, żeby zrozumieć?
- Proszę, nie teraz, Szymonie — Jan mówił jak gdyby z bardzo daleka. — Cała ta sprawa jest bardzo tajemnicza. Nie mogę dziś zebrać myśli. Pozwól, że ci opowiem o tym... trochę później. — Zniżył głos, żeby słyszał go tylko Szymon.

— Ale nie spodziewam się , że ty, panie, w to uwierzysz.

- Hmm! — chrząknął Szymon.

W tym momencie napięcie osłabło. Z kambuza powoli wyszedł ten obcy wychudzony chłopiec w postrzępionej, brudnej brązowej tunice i brązowych spodniach, typowym przyodziewku pachołków karawany. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zatrzymał się i oparł o kabestan. Szymon skinął na niego, opuścili sieć, żeby mógł po niej przejść. Posłusznie usiadł obok Szymona na miejscu sternika. Załoga przyglądała mu się raczej życzliwie.

133

—Dostałeś coś do jedzenia, synu? — zapytał Wielki Rybak.

Chłopiec przytaknął z wdzięcznością i ochryłym głosem, niedosłyszalnie dla wszystkich, oprócz Szymona i Jana, powiedział:

- Jesteś bardzo łaskawy, panie.
- Janowi podziękuj. — Szymon roześmiał się, wyraźnie chcąc udobruchać swego ulubieńca. — On częstuje naszych gości... Więc błąkałeś się. No... głowa do góry, chłopcze. Wyglądasz tak, jakbyś potrzebował wypoczynku. Gdzie sypiałeś ostatnio... w stogach siana?
- Nie, panie, pod żywopłotami, przy drodze. Ludzie nie pozwalają nocować w stogach siana.
- Trudno mieć im to za złe — zauważył Szymon. — Włóczędzy zawsze łamią krzewy owocowe i winorośl... i straszą bydło... Jak ci na imię?

- Józef.
- Skąd pochodzisz, Józefie? — zapytał dobrotliwie.
- Z dalekiego południa, panie, znad Morza Martwego.
- Z Idumei?

Chłopiec przytaknął z ociąganiem. Jego niechęć była zrozumiała, bo nikt nigdy nie słyszał, żeby ktoś się pysznił pochodzeniem z Idumei. Szymon mimo woli ściągnął usta i przyjrzał się chłopcu surowo, zaraz jednak złagodniał, gdy popatrzył w jego smutne oczy.

- Chyba wiesz, synu, że my, Żydzi, niewiele mamy z Idumejczykami wspólnego.
- Ale Idumejczycy to Żydzi, panie — grzecznie za protestował chłopiec.

Szymon uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Kilkaset lat temu — powiedział szorstko — twoi ziomkowie przestali być dobrymi Żydami... na długi czas.
- Król Herod pochodził z Idumei, panie — ośmielił się powiedzieć chłopiec cicho.
- No... — przeciągle rzekł Szymon. — To zbv\*- »u nie polepsza złej sławy Idumei.

Rybacy parsknęli śmiechem trochę bojaźliwym. Tylko stary Zebedeusz głośno rechotał.

—Zawsze powiadam — wrzasnął — że bardziej się

opłaca nakarmić Idumejczyka i niech idzie dalej swoją drogą. Wtedy... może... nie okradnie. — Zrobił minę do siedzących najbliżej, pewny, że

dowcip mu się udał.

- Ja nigdy w życiu niczego nie ukradłem! — odparował obcy, nie odwracając się, żeby zobaczyć, z czyich ust padła ta obelga.
- Wierzę ci, Józefie — oświadczył Jan.
- A owszem! — zadrwił jego ojciec. — Ty byś we wszystkim uwierzył każdemu! Na tym polega kłopot z tobą. Za łatwo dajesz się nabierać.
- Ja też ci wierzę, chłopcze — powiedział Szymon tak ostro, że stary Zebedeusz nagle zajął się swoją iglicą. Po chwili Wielki Rybak zwrócił się do Jana: — Dużo ludzi tam ściągęło? — zapytał zniżonym głosem. — Gdzie to było?
- Na wzgórzu... przy drodze do Kany — odpowiedział ostrożnie Jan. Najwyraźniej nie miał zamiaru składać wyjaśnień całej załodze. — A ludzi może setka, może więcej.

Zrobiło się bardzo cicho. Praca ustała, wszyscy otwarcie podsłuchiwali, Szymon zauważył to i uśmiechnął się.

—Opowiedz nam, Janie. Każdy jest ciekaw... Mówimy o cieśli, chłopcy. Jan wybrał się wczoraj, żeby go zobaczyć...

No proszę. Opowiadaj.

Rybacy zadowoleni z dopuszczenia ich do tej rozmowy, odłożyli iglice. Niektórzy dla wygody oparli łokcie na kolanach, wtulili podbródki w dłonie. Nawet znużony młody włóczęga ożywił się słysząc o jakimś cieśli, którego poczynania wzbudzają powszechną ciekawość. Jan zwlekał. Patrzył na swoje smukłe brązowe palce, jak gdyby nigdy dotąd ich nie widział, zwilżył językiem zaschnięte wargi.

Szymon przerwał niezręczne milczenie:

- Pozwoliłem wczoraj Janowi pójść na wieś — wyjaśnił — i zobaczyć na własne oczy, o co ludzie robią tyle wrzawy. Opowiadają różne bajki. Czas, żeby ktoś powiedział, jak to jest naprawdę.
- Właśnie — krzyknął Zebedeusz. — Opowiadają bajki o zamienieniu wody w wino w Kanie! Tylko że nie ma nikogo, kto sam był przy tym. Zawsze mówią, że widział to jakiś krewniak szwagra, a ten krewniak mieszka gdzieś w Samarii.

135

Szymon odwrócił się i spojrzał na starego spode łba.

—Jeśli już nic, Zebedeuszu, nie masz na razie do powiedzenia, dopuść swego syna do głosu.

Teraz Jan nie mógł zwlekać. Podniósł głowę i rozpoczął swą dziwną opowieść:

- Dowiedziałem się, że On wyszedł z Kany i idzie w stronę Betsaidy, więc poszedłem Mu na spotkanie. Na wzgórzu zobaczyłem rzeszę zgromadzoną wokół Niego. Dużo ludzi szło za Nim z Kany i dużo przyłączało się po drodze.
- Jak On wygląda? — przerwał Jakub.
- Było już dobrze po południu — ciągnął Jan, zbywając lekkim machnięciem ręki pytanie brata. — Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej od tych, którzy stali na skraju,

ale zupełnie jakby mnie nie słyszeli. Wszyscy tłoczyli się, napierali na Niego, aż On prawie nie miał gdzie stanąć. Pomyślałem, że nie powinni tak się pchać, ale zaraz sam też się pchałem. — Umilkł wspominając, potrząsnął głową i mruknął: — To wszystko było bardzo dziwne.

Szymon wtrącił się niecierpliwie:

- Opowiadaj, Janie! Co ten człowiek mówił?
- On nie jest olbrzymem — odpowiedział nagle Jan bratu. — Szymon by go przewyższał o głowę.

Wielki Rybak wyprostował ramiona i słuchał już spokojniej.

—Ale to nie znaczy, że jest wąty — uzupełnił Jan. —

Cerę ma o wiele bielszą niż nasza, chociaż nic nie nosi na głowie, a słońce przygrzewa teraz dosyć mocno i łatwo można się opalić. Był chyba zgrzany... i zmęczony. Włosy ma brązowe, kędzierzawe, strużki potu lśniły Mu na czole i jakoś rozjaśniały twarz, wyglądałby jak chłopiec, gdyby nie broda. Ale nawet z tą krótką brodą wydawał się o wiele młodszy, niżby się sądziło po tym, co mówił. Jego oczy...

Jan urwał i zaczął przebierać palcami po starej sieci, wszyscy czekali milcząc. Po długiej chwili westchnął głęboko, potrząsnął głową i opowiadał dalej jednostajnie, jak gdyby sam dla siebie snuł wspomnienie:

—On nie mówił głośno, nie tak jak nauczyciel czy kaznodzieja. To znaczy nie w ten sposób, w jaki uczeni



księżycy, do nikogo w szczególności. Cieśla właściwie przemawiał nie do całej rzeszy, tylko do każdego osobno... niby do wszystkich razem, a jednak do każdego osobno... Prawie zaraz to zauważyłem. Doznałem uczucia, że mnie wyróżnia i mówi prosto do mnie. Może dlatego chciałem podejść bliżej. Może dlatego wszyscy tak się tłoczyli, i ja też.

- Dobrze! Dobrze! — ponaglał Szymon. — Chciałeś podejść bliżej. No... ale co on mówił?
- Przecież tego chcemy się dowiedzieć, Janie! — wrzasnął stary Zebedeusz.
- Mówił o wolności... i o szczęściu. Nasz kraj nigdy nie będzie wolny, powiedział. Powinniśmy przygotować się na to, jeśli w ogóle mamy zaznać szczęścia, musimy pogodzić się z niewolą, bo to jest coś, czego nie zmienimy. Musimy szukać naszego szczęścia w nas samych... bowiem nasz kraj będzie ciemniejszy... dopóki żyjemy... i... później także.
- A więc on chce, żeby nas radowało niewolnictwo! — zawołał Alfeusz z żagłowca „Sara”.
- Nie... to nie znaczy, że naszą niewolę pochwała. — Jan ciągnął dalej zgoła nie stropiony uwagą Alfeusza. — Powiedział, że wszystkimi ludźmi rządzą warunki, które ograniczają ich wolność i...
- Nie jest też zwolennikiem władzy! — stwierdził Andrzej. — Tetrarcha rychło go z tego wyleczy.
- Co on wie o ludziach ogólnie... ten cieśla z Nazaretu? — lekceważąco rzekł Szymon.

- Wcale nie mówił, że jest przeciwny władzy — sprostował Jan, znużony, ale cierpliwy. — Mówił tylko, że każdy człowiek może znaleźć wolność dla siebie, nie bacząc na ustawy. Wolność dla swojego ducha. Najbogatsze dary, powiedział, nie podlegają władzy żadnego ciemńcy: to własność, której nikt nie może nam zabrać, pozbawić nas...
- Niby co takiego? — Szymon prychnął pogardliwie ku rozbawieniu rybaków.
- Świt — powiedział Jan nieśmiało, bo wiedział, że będą się śmieli znowu — świt... i zachód słońca... góry... śpiew ptaków i... — zniżył głos do szeptu — i ciepły

137

deszcz... i poranna rosa na trawie... i maki polne na stokach wzgórz...

—Maki polne! — wykrzyknął Tadeusz z drugiej strony wielkiej starej sieci. — Maki polne! Śpiew ptaków! Rosa na trawie! I nikt go nie zapytał, jak zamienić to wszystko w podpłomyki, żeby nakarmić rodzinę?

Ten dowcip wielce wszystkich rozweselił. Tadeusz zadowolony ziewnął szeroko na dowód, że to dla niego błahostka i że potrafi być jeszcze bardziej dowcipny, jeśli sposobność się nadarzy. Pochlebił mu zwłaszcza wybuch śmiechu Wielkiego Rybaka. Tę ogólną wesołość Jan przyjął bez rozdrażnienia. Spodziewał się takiej reakcji.

- I o tym Cieśla mówił, Tadeuszu — powiedział spokojnie, gdy śmiechy ucichły. — On uważa, że większość ludzi za dużo czasu poświęca na zamienianie różnych

rzeczy w podpłomyki, za bardzo troszczy się o nie. Nie należy myśleć, że tylko to jest dobre, co daje się zamienić w podpłomyki, nie należy przez całe życie martwić się, że może nie będzie co jeść następnej zimy... i w starości. Ludzie martwią się... aż w ogóle nigdy nie są szczęśliwi. Mówił, że ptaki się nie martwią, a przecież pokarm znajdują.

- Tak — wrzasnął Zebedeusz. — Ale muszą go sobie wygrzebać!

Śmieli się do rozpuku. Zebedeusz był starym zrzędą, to jednak mu się udało. Uszczęśliwiony poklaskiem powtarzał swój dowcip raz po raz tym, którzy siedzieli najbliżej.

- Właśnie! Muszą go sobie wygrzebać!... Ha! Ha!...  
Wygrzebać!
- Te jego ptaki — powiedział Szymon — są zupełnie jak mój ojciec. Też nigdy się nie martwił, skąd weźmie następny posiłek.

Rybacy roześmieli się powściągliwie. Tylko Zebedeusz, żeby zadokumentować, że wie lepiej niż młodszy o nie-przezorności pobożnego Jony, pokładał się ze śmiechu, aż dostał ataku kaszlu. Andrzej uciszył go groźnym spojrzeniem: jeśli Szymon chce żartować z ich cnotliwego, ale nie pracującego ojca, to Szymona sprawa, w żadnym jednak razie nie powód do jakichkolwiek komentarzy ze strony

138

Zebedeusza, którego zawsze boli grzbiet, gdy coś jest do roboty.

Jan czując, że słuchacze już nie interesują się zbyt jego opowieścią, pogmerał w zanadrzu, wyciągnął iglicę, wziął brzeg starej sieci na kolana

i zaczął ją naprawiać.

- Więcej nam nie opowiesz? — zapytał Szymon.
- Na razie nie — odrzekł Jan zajęty robotą. — Wolę tego nie opowiadać teraz. To zbyt poważne... Wcale nie do śmiechu.
- Ale prosimy cię, Janie —. odezwał się Jakub. — Będziemy cicho słuchali. — Poważnym wzrokiem powiódł po nich wszystkich, zobaczył głupi uśmiech ojca i dodał: — Jan ma ważne rzeczy do opowiedzenia, więc mu nie przerywajmy. Ja przynajmniej chciałbym posłuchać.

Powoli chowając iglicę w zanadrze, Jan uśmiechnął się do Jakuba z wdzięcznością. Gdy podjął swe dziwne opowiadanie, wszyscy już milczeli.

- Jak znaleźć szczęście, otóż to. Niewielu z nas dojdzie kiedykolwiek do bogactw, choćbyśmy bardzo się o to starali, choćbyśmy chciwie wydzierali dobytek z rąk bliźnich. Nasze mienie, nabyte czy to w sposób zacny, czy krzywdzący ludzi, stanie się nam zawadą. Zawsze będziemy musieli wystrzegać się złodziei. Będziemy bali się wyjść z domu, nawet jeśli zostawimy stróża, bo mógłby okazać się nie uczciwy. Będziemy spać z jednym okiem otwartym i podejrzliwie będziemy się odnosić do nieznajomych. I nie tylko możliwość kradzieży będzie nas niepokoiła. Rzeczom za grażają mole... i rdza.
- Chyba on nie sprzeciwiał się temu, że mamy posłanie i parę stołków do siedzenia, i dach nad głową — odezwał

się Alfeusz.

- A przede wszystkim — ciągnął Jan, nie zwracając na niego uwagi — powinniśmy przestać się trapić, że nasz naród żyje w poddaństwie, i uskarżać się na to. Zamiast wpadać we wściekłość, gdy jakiś gburowaty legionista się panoszy, powinniśmy spokojnie słuchać jego rozkazów, nawet niesłusznych. Jeśli ten żołnierz spotka kogoś z nas na gościńcu i da mu swój tobolek do niesienia, dobrze, nieśmy... miłą.

139

W tym momencie było trochę przytłumionego szemrania, ale nikt nie zabrał głosu. Stary Zebedeusz potrząsnął swą siwą głową energicznie, zrobił cierpką minę. Szymon machnął pięścią w powietrzu. Brudny poganiacz wielbłądów ziewnął.

— I od tej chwili zaczął mówić o dźwiganiu brzemion — ciągnął dalej Jan. — Najlepszy sposób, żeby znaleźć szczęście... to dźwigać brzemie bliźniego, czy jest przyjacielem, czy wrogiem. Jeśli jest wrogiem, będzie patrzeć na ciebie łaskawiej, jeśli jest przyjacielem, bardziej cię będzie miłował.

Tadeusz wysunął sprzeciw:

— Nie wierzę! Płaszczenie się przed wrogami nic nie daje. Tylko myślą, że się ich boisz... i to wykorzystują!

Wielu z nich przytaknęło Tadeuszowi. Jan nie zważał na ogólną dezaprobatę.

— Mówił, że można znaleźć szczęście i spokój, gdy się pomaga innym dźwigać ich brzemie... i wszystko jedno,

kim oni są... — Jan urwał.

Po długiej chwili uznali, że już skończył swoje opowiadanie. Zmienili pozycję, kilku wyraźnie chciało podjąć pracę przy sieci. Szymon przeciągnął się, ziewnął głośno i wielkimi knykciami przetarł oczy.

- Na tym koniec? — zapytał. — Nie za bardzo ciekawa ta jego przemowa. Powiadasz, że tłum słuchał?
- Tak... słuchaliśmy, słuchaliśmy z zapartym tchem, już powiedziałem... coś dziwnego jest w głosie Cieśli. On mówi inaczej niż wszyscy. Nikt...nigdy... nie mówił... tak!
- Ale nie czynił... żadnych dziwów? — zapytał Jakub.
- Nie chciałem o tym opowiadać, przynajmniej teraz.  
— Jan zająknął się. — Bo... bo wiem, że mi nie uwierzycie.

Rybacy natychmiast zamienili się w słuch.

— To było wtedy, gdy mówił, że możemy znaleźć szczęście w dźwiganiu brzemion. Niedaleko mnie stał człowiek z prawą ręką sparaliżowaną czy uschniętą, w każdym razie o wiele krótszą i cieńszą niż lewa. Poza tym dosyć krzepki. Zauważyłem, że piastuje tę krótszą rękę pieczołowicie, jak gdyby chlubił się nią i chciał, żeby ludzie ją widzieli. I właśnie on ni stąd, ni zowąd przerwał Cieśli w pół słowa. Podniósł ten swój biedny kikut zdrową ręką

140

i wrzasnął: „A ja, Panie? Nie widzisz, że nie mogę dźwigać?!“ — Jan umilkł, przymknął oczy i potrząsnął głową, jak nurek wypływający z głębin na powierzchnię wody. — Nie, nie... mogę wam opowiedzieć —

bełkotał. — Nie uwierzcie! Gdyby któryś z was mi to opowiadał, także bym na pewno nie uwierzył!

- Opowiadaj, Janie! — rozkazał Szymon. — Co dalej?
- Ręka tego człowieka — głos Jana drżał — ozdrowiała.

Naprawdę! Stała się zupełnie taka sama jak jego druga ręka!

Rybacy powoli wyprostowali grzbiety i zapatrzyli się w młodego Jana, jak gdyby ujrzeli go po raz pierwszy. Szymon przerwał milczenie.

— Nie, Janie — burknął. — Już na to sobie nie pozwalaj.

Stary Zebedeusz gramoląc się wstał, rozdygotanym palcem pogroził synowi i wrzasnął:

— Nigdy dotąd nie słyszałem kłamstwa od ciebie!

Jakub, który spokojnie przyjmował nieustanne uwagi ojca, teraz zdumiał ich wszystkich. Też się podniósł i stawiał czoło wrzaskliwemu staruszkowi.

- Mój brat nie kłamie, ojcze! — wykrzyknął surowo. — Jan może źle zrozumiał to, co zobaczył, ale nie będę tu siedział i milczał, gdy się go lży jako kłamcę... nawet jeśli to czyni jego ojciec!
- Długa i ciężka jest droga na wzgórze — wtrącił się Andrzej. — Wczoraj w dodatku był upalny dzień.
- A jakże — przytaknął Alfeusz zwracając się do towarzysza siedzącego najbliżej. — Chłopczynie pewnie pokręciło się trochę w głowie.
- Nie, Janie, tego już stanowczo za wiele! — skarcił go Szymon. — Takie rzeczy się nie zdarzają!

Jan zwiesił głowę nie tyle z urazą wobec ich niedowierzania, ile z żalem,

że zgodził się opowiedzieć im tę historię. Szepty nagle ucichły, gdy Szymon ruchem ręki nakazał milczenie.

— No, Janie — powiedział szorstko — równie dobrze możesz opowiedzieć dalszy ciąg. I tak nie masz nic do stracenia. Nikt ci nie wierzy, ale posłuchajmy twojej bajki do końca... jeśli to jeszcze nie wszystko. Czy ten szczęśliwiec z uzdrowioną ręką podziękował cieśli... dał mu sykla?

141

— Ludzie osłupieli — szepnął Jan, nie podnosząc wzroku. — Jedna kobieta, która stała przy tym człowieku, zemdląca, osunęła się na ziemię. A on dyszał i tak jakoś dziwnie piszczało mu w krtani. Nie wiadomo, czy chciał się śmiać, czy płakać. Wszyscy byli cisi... i bladzi. Zrobiło mi się mdło, jak gdybym zobaczył otwartą krwawiącą ranę... tylko że... taki wstrząs, gdy się widzi, że uschnięta ręka nagle jest normalna, to coś straszniejszego niż widok krwawej rany... Wszyscy staliśmy zapatrzeni w tę rękę, a Cieśla powiedział: „No, przyjacielu, możesz dźwigać. I postaraj się czynić to, bo inaczej większe nieszczęście może spaść na ciebie” — dokończył Jan niepewnym głosem.

Nastąpiła długa chwila ciszy, Jan wolno wstał i z powagą rozejrzał się po nich wszystkich.

- Wiem, że mi nie wierzycie — oświadczył — ale niech padnę trupem z wyroku Boskiego, jeśli to nie jest prawdą!
- Błuznierstwo! — wrzasnął stary Zebedeusz.
- Nie mówię, że kłamałeś, Janie — rzekł Szymon — ale



doprawdy myślę, że zwidują ci się najróżniejsze rzeczy... jak te dziwne zwierzęta, które widzisz w obłokach. Nie szkodzi, że sobie wyobrażasz różne dziwy na niebie... ale teraz to co innego! Mam tylko nadzieję, że nie postradałeś zmysłów! Powiedz szczerze: czy ty w ogóle tam byłeś? Rzeczywiście widziałeś cieślę? Ja bym ręczył, że przyśniło ci się... to wszystko... gdy spałeś pod jakimś drzewem.

Jego słowa wywołały ogólny nerwowy śmiech.

— Idź, Janie — powiedział jak do małego dziecka. — Zrobiłeś dosyć jak na jeden dzień. Idź, połóż się gdzieś i daj wypocząć swojej skołowanej łepetynie.

Upokorzony Jan, rumieniąc się, niepewnie przeszedł po sieci na dziób statku. Jakub patrzył na niego zatroskany.

- Chyba popłynę z nim na brzeg — powiedział.
- Lepiej proś o pozwolenie — doradził mu ojciec.
- Pozwalam, Jakubie — mruknął Szymon. — Wybij z głowy swojemu bratu całą tę bzdurę i sprowadź go tu z powrotem, gdy już ochłonie.
- Mój brat nie zechce wrócić — powiedział Jakub. — Zbyt srogo został potraktowany, panie.
- Niech robi, co mu się podoba — oburzył się Szymon.

142

— Nie zginiemy bez niego... I ty też nie musisz wracać, jeśli tak łatwo się obrażasz!

— Słyszysz?! — zawołał Zebedeusz. — Stracisz pracę...

jeśli nie spokorniejesz!

Jakub bez słowa poszedł za bratem. Po chwili w ciszy plusnęły wiosła. Wykręcając szyje wszyscy patrzyli, jak mała łódka płynie do brzegu. Szymon zmarszczył ponuro brwi. Odwrócił się do Andrzeja.

— Nie wypłynę dzisiaj — powiedział. — Gdy naprawicie sieci, popłynięcie na południe, tam, gdzieśmy łowili wczoraj.

Andrzej ruszył za nim.

— Co mamy robić z tym młodym włóczęgą? — zapytał.

Szymon z kwaśnym uśmiechem pogładził się po szczęce.

Teraz, gdy Jan okazał się niewdzięcznym głupcem, warto mu dać nauczkę, przelać swoją zlekceważoną życzliwość na nieznanomego obszarpańca. Skruszony Jan wróci jutro, niech wtedy zobaczy, że już nie on jest ulubieńcem. Skinął na Józefa, który natychmiast podszedł.

— Chodź ze mną, synu. Będziesz miał czyste posłanie, żeby przespać tę noc.

Stary Zebedeusz przyczłapał na dziób i stanął przy nich, załamując pomarszczone ręce.

- Przykro mi — skomlał — że mój syn tak się zachował.
- Ty się lepiej nie wtrącaj w nie swoje sprawy — warknął Szymon.

Prawie nie rozmawiali, idąc po twardo ubitym gościńcu w kierunku Betsaidy. Słońce, teraz wysoko na niebie, dobrze przygrzewało. Wielki Rybak maszerował przed swoim młodym towarzyszem równym, długim krokiem, markotny i obojętny na wytrwałe klapanie sandałów gdzieś z tyłu. Młody poganiacz wielbłądów dreptał za nim, oglądając się, żeby

popatrzeć na ogromny marmurowy pałac tetrarchy, chwilami nawet przystawał i przecierał oczy dłonią.

Aż dotarli do przedmieścia, gdzie dobrze utrzymane domy stały w głębi ogrodów, z dala od ulicznego kurzu, częściowo przysłonięte wysokimi akacjami i drzewami

143

oliwnymi. Na jednym z rogów Szymon skrzył w lewo, na następnym przystanął, po czym ruszył w stronę sporego domu z szarej cegły, skinieniem przywołując chłopca. Otworzył małą furtkę i wprowadził go. Ogródek przed domem był cienisty. Niemłoda kobieta o miłej twarzy grabiła liście.

- Tak wcześnie wracasz, Szymonie? — zapytała, z ukosa patrząc na obcego. — Stało się coś?
- Siadaj tu w cieniu, synu — powiedział Szymon. — Hanno, chcę z tobą porozmawiać.

Idumejski włóczęga, zadowolony z tymczasowej gościny, osunął się ze znużeniem na schodek; nogi bardzo go bolały od wysiłku, żeby dotrzymać kroku temu galilejskiemu olbrzymowi. Hanna położyła grabie i weszła z Szymonem do domu. A więc ten olbrzym musi prosić o pozwolenie kobietę, która prawdopodobnie jest jego matką, chociaż wydaje się za młoda, a ona potrząśnie głową i powie: „Nie... proszę cię, Szymonie, tylko nie Idumejczyk! I taki strasznie brudny w dodatku! Pewnie na domiar złego jest zawszony”.

Wreszcie oboje wrócili. Z ulgą Józef zobaczył na jej twarzy serdeczny uśmiech.

- Moja teściowa, Hanna, zgodziła się, żebyś wypoczął

u nas parę dni, zważywszy, że jesteś zmęczony — powiedział Szymon. I zwrócił się do Hanny: — Może nie zdążę do domu na wieczerzę.

- Więc powinieneś coś zjeść teraz.
- Nie jestem głodny.

Bez pożegnania Szymon ruszył raptownie do furtki i odszedł szybko, jak gdyby miał pilną sprawę do załatwienia.

Hanna usiadła na schodku w pewnej odległości od gościa, odgarnęła ze skroni kosmyk siwiejących włosów i popatrzyła w piękne, o długich rzęsach, zmęczone oczy chłopca. Uśmiechnęła się lekko.

— Na imię ci Józef — powiedziała życzliwie. — I jesteś z dalekich stron, aż z Idumei.

Chłopiec przytaknął milcząco.

— Niewielu Idumejczyków bywa tutaj — ciągnęła. — Właściwie to nigdy dotąd żadnego nie widziałam.

144

Józef westchnął, ale nie miał nic do powiedzenia.

- Pewnie chciałbyś się umyć? — zapytała.
- Oooh! — wykrzyknął chłopiec. — A mógłbym?
- Chodź ze mną. — Hanna wstała i weszła pierwsza do chłodnego, dobrze urządzonego domu. — Idź do tej izby na wprost. Przyniosę ci misę z wodą. Ręczniki tam są.
- Sam przyniosę — zaprotestował chłopiec. — Proszę mi tylko pokazać, skąd... sam przyniosę sobie wody.

Hanna pytająco spojrzała obszarpańcowi w oczy. Nie spodziewała się

niczego takiego, żadnej wdzięczności ze strony młodego włóczęgi. Wskazała mu dużą misę w składziku przy kuchni i cysterne z wodą, po czym zajęła się znów grabieniem liści. Wkrótce potem wróciła do domu, zastukała do drzwi izby, w której chłopiec się mył.

— Jeśli dasz mi swój brudny przyodziewek, upiorę ci to wszystko i rozwieszę w słońcu, żeby wyschło.

Pluskanie za drzwiami ustało. Po długiej chwili chłopiec odpowiedział spłoszony:

- Och... ale nigdy bym nie śmiał prosić, żebyś ty to zrobiła, pani!
- Chyba nie zamierzasz po kąpieli włożyć brudnych łachów! — Hanna podniosła głos, oburzona. — Trzeba je uprać... ze względu na nas... jeśli nie na ciebie! Otwórz drzwi natychmiast... uchyl je tylko... i podaj mi swoje rzeczy!

Znów nastąpiła cisza. W końcu drzwi niechętnie się uchyliły na tyle, by przez szczelinę mokra, mała brązowa ręka mogła wysunąć zakurzoną tunikę i grube szorstkie spodnie, jakie nosili tylko najubożsi z wieśniaków. Hanna wzięła je ostrożnie, czubkami palców, z bardzo kwaśną miną.

— A bielizny nie nosisz pod tymi okropnymi rzeczami?

— zapytała.

- Nn... noszę — wyjąkał Józef— ale sam potrafię uprać.
- Nie bądźże głupi! — powiedziała ostro. — Nie pozwolę, żeby takie brudy były w moim domu. Daj mi je.

— I gdy nie było odpowiedzi, zawołała rozkazująco: —  
Ja czekam!

Znowu drzwi niechętnie się uchyliły i wilgotna ręka podała dwie bardzo zgniecione sztuki bielizny, które Hanna

145

zgarnęła niecierpliwie. Odwracając oczy, wyniosła wszystko tylnymi drzwiami i rzuciła na trawę. Wielkim obrzydzeniem przejmowało ją zadanie, które sama sobie narzuciła. Jakże pochopnie przyjęła tego brudnego włóczęgę do swojego domu! Szymon nie miał prawa prosić o to!

Nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Przyjrzała się bieleźnie zaciekawiona. Rzeczy prześliczne, uszyte starannie z najcieńszego, najbardziej przejrzystego płótna, jakie kiedykolwiek widziała, bezsprzecznie bielizna kobieca. A więc ten Józef to złodziej! Powinna się była domyślić!

Usiadła na trawie i zbadła palcami cienkość tkaniny. Gdzie ten włóczęga natrafił na takie fatałaszkę? Jaką miał sposobność, żeby ukraść rzeczy tak zbytkowne? Wprost nie do uwierzenia: chłopak do pomocy przy wielbłędach nosi bieliznę kobiecą! Zgoła niedorzeczna myśl przyszła Hannie do głowy. Może Józef jest dziewczyną? Te zdumiewająco długie, podwinięte rzęsy. I ta mała, smukła rączka! Ale gdyby nawet to była przebrana dziewczyna, skąd taka kosztowna bielizna.

Hanna podniosła z trawy piękną płócienną koszulę. Na lewej stronie u góry zobaczyła wyhaftowane jakieś nie znane godło. Przyglądała się zdumiona. Te symbole w niebieskim owalu na pewno coś oznaczają. Sierp księżycy, wyhaftowany złotą nicią, otacza srebrzystą gwiazdę, a na nich krzyżują się biały miecz i kij pasterski.

Nagle Hanna postanowiła przeprowadzić dochodzenie, które mogłoby wyjaśnić tajemnicę. Wróciła pod drzwi izby i zaczęła nasłuchiwać. Było

bardzo cicho.

- Józefie! — zawołała.
- Tak. — Głos był senny. Czy może przerażony?
- Domyśliłam się czegoś o tobie.

Cisza.

- Józefie... jesteś dziewczyną!
- Ttt...ak — słabo doleciała pełna znużenia odpowiedź.

—Słuchaj — rzekła Hanna niepewnie — gdy wypocz  
niesz, znajdź sobie coś z ubrania w skrzyni. — Ton jej  
złagodniał. — Jest tam bielizna... oczywiście daleko jej do  
wspaniałości twojej bielizny... ale może ci służyć. To rzeczy  
mojej córki... która umarła. — I po chwili ciszy dodała: —  
Chyba że wolisz nadal udawać chłopca?

146

Przytłumionej odpowiedzi nie zdołała usłyszeć.

- Może jednak lepiej być znowu dziewczyną? — powie  
działa łagodnie. — Bodaj przez parę dni, dopóki będziesz  
tutaj... Ja ciebie nie wydam.
- Tak... może tak — doleciał zza drzwi urywany szept.  
Ta dziewczyna płakała. Również rozplakała się Hanna.

Gdy już uprała odzież swego gościa — a zabrało jej to więcej czasu,  
niżby takie zadanie normalnie wymagało — rozwiesiła wszystko, żeby  
wyschło. Z zadowoleniem stwierdziła, że chociaż ten wiejski  
przyodziewek był okropnie brudny, zbytkowna bielizna, jakkolwiek  
wymięta, była stosunkowo czysta. Najwidoczniej niedawno została prze-

prana może w jakimś leśnym strumyku.

Chociaż bardzo zaciekawiona, Hanna nie zamierzała trapić dziewczyny pytaniami o jej dzieje teraz. To dziecko jest do cna wyczerpane, musi porządnie się przespać. A tu liści do grabienia jeszcze sporo, chyba najwięcej przy ogrodzeniu od północnej strony. Lada moment będzie tędy szedł Dawid, jak zwykle na przechadzkę o tej porze. Dawid jest uczony, jeździł po świecie. Na pewno wie, co oznaczają te różne dziwne symbole. Hanna jednak wahała się, czy go zapytać.

Minęła co najmniej godzina. Hanna bardzo się zgrzała, nim pojawił się znakomity saduceusz, statecznie schodząc ze wzgórza. Przystanął i powiedział jak zwykle: „Pokój z tobą. Ładny dzisiaj dzień”. Rozmowa potoczyła się opornie. Tak, przyznała Hanna, rzeczywiście dzień dzisiaj ciepły, chociaż już jesień. Tak, sprawia jej przyjemność ruch na świeżym powietrzu — i te liście trzeba zebrać przed deszczem. Nie, Szymona nie ma, uprzedził, że wróci do domu późno.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Dawid ukłonił się z powagą i już miał odejść, gdy Hanna nagle podeszła do samego ogrodzenia i zatrzymała go niezwykłym pytaniem. Znalazła rzecz płócienną, powiedziała, na której są dziwne jakieś symbole: na niebieskim owalu sierp księżyca i gwiazda...

Dawid uśmiechnął się pobłaźliwie, przerwał jej, żeby wyrazić zdumienie. Czyżby nie rozpoznała tak powszechnie znanej gwiazdy i półksiężyca Arabii?

- Ale to nie wszystko — wyjaśniła Hanna. — Ten księżyc i tę gwiazdę przecinają miecz i kij pasterski.



- Niemożliwe — wybuchnął Dawid. — Gdzieś to znalazła?

Hanna speszyła się, serce jej zatrzepotało. Nie spodziewała się takiego pytania, przecież nie zamierzała opowiadać o tym. Jej wyraźne zmieszanie jeszcze bardziej zdziwiło prawnika. Podeszedł bliżej i spojrzał jej w oczy.

—Jakiś głodny i obszarpany mały poganiacz wielbłądów zjawił się na jednej z łodzi Szymona — wyjaśniła Hanna bojaźliwie. — A Szymon... wiesz, panie, jakie on ma dobre serce... ulitował się nad tym chłopcem i przyprowadził go do domu... żeby dać mu wypocząć, odkarmić go należycie... przez dzień czy dwa. Kazałam temu małemu wziąć kąpiel i zabrałam jego odzież do prania. Takie właśnie dziwne hafty są na jego bieliźnie.

- Chciałbym je zobaczyć — rzekł Dawid.
- Jeszcze mokre, panie... świeżo uprane.

Dawid niecierpliwie zapewnił Hanne, że to nieważne. On chce te hafty zobaczyć natychmiast! Hanna więc przyniosła koszulę i podała ją Dawidowi.

— Bielizna kobieca — powiedział.

Hanna spuściła oczy. Przytaknęła.

- Prawda, że zachowasz to w sekrecie, panie? — prosiła. — Ja dałam jej słowo, że nie rozgadam.
- Nie miałbym żadnego powodu, żeby zdradzić cię, Hanno. — Oddał jej koszulę. — Lepiej nie mów już nikomu... o tych symbolach.

- Nawet Szymonowi? Gdy Szymon odkryje, że ten włóczęga jest dziewczyną, będzie pytał i pytał. Ona się zgodziła nosić rzeczy mojej córki, dopóki będzie tutaj.
- Niech Szymon myśli sobie, co chce. To wyłącznie jej sprawa. Ja na twoim miejscu nie nalegałbym, żeby opowie działa swoje dzieje. — Dawid odszedł od ogrodzenia, ale jeszcze się zatrzymał, żeby zapytać: — Czy ona wygląda na Żydówkę?
- Tak, panie. Mówiła Szymonowi, że jest z Idumei. To znaczy, że jest Żydówką, prawda?
- Z Idumei? Bzdura! — prychnął Dawid. — Gdyby

148

była z Idumei, nie chciałaby się wykapać. Zapewniam cię. Ta koszula nie pochodzi z Idumei!... No, to do jutra...

Odwrócił się i powoli ruszył z powrotem w stronę domu, z głową pochyloną, z rękami splecionymi na plecach. Ale po przejściu kilkunastu kroków nagle wyprostował się i zawrócił.

- Powiadasz, że ona wygląda na Żydówkę. Zastanów się dobrze! Gdyby ktoś ci powiedział, że ona jest na pół Żydówką, a na pół Arabką... co byś powiedziała? — Bacznie patrzył Hannie w oczy.
  - Nie wiem, panie — odrzekła Hanna potrząsając głową.
- Nie wiem, jak wyglądają Arabki. Ta dziewczyna jest trochę wyższa niż większość Żydówek w jej wieku... i smuklejsza.

- Ile może mieć lat, twoim zdaniem?
- Szesnaście... siedemnaście.

Dawid w zamyśleniu wyliczył coś na palcach. Sam sobie przytaknął, uśmiechnął się tajemniczo i odszedł.

— Do widzenia, Hanno — rzucił zdawkowo.

Przez długi czas oszołomiona kobieta patrzyła, jak czcigodny saduceusz wolno idzie pod górę. Był przejęty tym, co usłyszał. Miała nadzieję, że nie naraziła się na jakieś kłopoty. Żałowała, że nie czuje się na siłach wyznać całej sprawy Szymonowi. Ale jeśli ta dziewczyna jest — jak Dawid chyba podejrzewa — Arabką... Szymon na pewno rozgniewałby się i wyrzucił oszustkę z domu. Bo Szymon nie cierpi Arabów. Z drugiej jednak strony, gdyby mu nie powiedziała i gdyby dowiedział się później od kogo innego

— też by się wściekał, że go oszukano. W każdym wypadku sytuacja przedstawiała się niepokojąco. Hanna nie potrafiła niczego ukrywać.

Stała w ogródku niezdecydowana, aż ją nogi rozbolały. Weszła do domu. Drzwi izby gościnnej były teraz otwarte. Dziewczyna w skromnej białej sukience Abigail siedziała na zydlu i czesała swe krótkie włosy. Hanna uśmiechnęła się, oczy miała pełne łez. Dziewczyna instynktownie odgadła, dlaczego.

— Boję się, że ciebie to smuci, pani — powiedziała cicho

— widzieć mnie, obcą, w sukni po twojej córce. Przykro mi.

Hanna rozjaśniła się, otarła łzy z oczu.

—To tylko przez chwilę, moja droga. Rada jestem, że

odzież mojej Abigail na coś się teraz przydaje. To było piękne dziecko — dodała odruchowo. — I ty też jesteś piękna... Jak mamy cię nazywać... teraz, gdy już nie masz na imię Józef?

Po chwili wahania dziewczyna odpowiedziała:

- Możecie mnie nazywać Esterą.
- Chociaż to także nie jest twoje prawdziwe imię... — stwierdziła Hanna rozczarowana.
- Powiedziano mi, że Estera to imię, które wybrał dla mnie mój ojciec — powiedziała dziewczyna, widocznie nie chcąc jej sprawiać przykrości.
- Mam więc przypuszczać — nastawała Hanna — że ktoś inny w twojej rodzinie wolał nazywać cię inaczej i że to przeważało?

Estera przytaknęła, machinalnie czesząc się dalej.

Długo Hanna czekała niespokojnie w drzwiach na pełniejsze zwierzenia. Wreszcie widząc, że dziewczyna tylko uśmiecha się dziecinnie, błagalnie, odeszła z niecierpliwym gestem, który mówił: „Och... dobrze, skoro chcesz zachować swój sekret”. Wkrótce potem rozległ się szcęk naczyń w kuchni, jak gdyby one też były zaniepokojone.

Bez wątpienia Hannę uraziła powściągliwość gościa. Estera poczuła się bardzo nieswojo. Przez chwilę chciała pójść do tej życzliwej kobiety i wyznać jej wszystko. Po namyśle zdecydowała, że to zbyt ryzykowne.

Szymon obarczywszy Hannę niewdzięcznym zadaniem opieki

się obszarpanym młodym Idumejczykiem — pochopność, która natychmiast obudziła w nim złe przeczucia — ruszył z takim pośpiechem, jak gdyby już się spóźnił na ważne, umówione spotkanie, chociaż właściwie nie miał na ten dzień żadnych planów. Nigdy dotąd nie był tak niespokojny. Kiedy oddalił się od domu, przestał się śpieszyć. Do gościńca doszedł niezdecydowanie i rozejrzał się w obie strony, przygryzając dolną wargę.

Siła codziennego przyzwyczajenia ciągnęła go z po-

150

wrotem na przystań, ale oparł się jej. Nie miał ochoty wrócić do swoich ludzi tak szybko po kłótni z synami Zebedeusza, której, jak teraz wiedział, łatwo można było uniknąć. Zresztą łodzie na jego polecenie prawdopodobnie już odpłynęły. A dostawą ryb dla tetrarchy na pewno zajął się Andrzej, skoro on zapowiedział, że dziś nie wróci.

Nie mając po co iść w stronę Tyberiady, Szymon ruszył powoli w przeciwnym kierunku do dzielnicy handlowej Betsaidy, też bez celu właściwie, tylko dlatego, że chciał być w ruchu. Po prostu nie mógł stać na rogu ani chwili dłużej. Zagadywano go po drodze, ale odpowiadał opryskliwie, zgoła nie w nastroju do towarzyskich rozmów.

Od dawna nie był w tej części miasteczka, jednak nic się tu nie zmieniło. Nigdy nic się nie zmieniało w Betsaidzie. Stary Set siedział tak jak zawsze na kamiennym chodniku u drzwi swego warsztatu garncarskiego, obejmując rękami chude kolana i opierając na nich zarośnięty podbródek.

— Nie widzę cię tutaj zbyt często — powiedział starzec, niespodziewanie gotów otrząsnąć się z odrętwienia.

Było to zagajenie pogawędki, ale Szymon tylko chrząknął i spokojnie szedł dalej. Przed wrotami kuźni przystanął na krótką chwilę, żeby zgodzić się z usmolonym Ben-Ablem w skórzanym fartuchu, że owszem, dzień jest upalny. Ben-Abel odłożył młot i westchnął, że potrzebny jest deszcz. Szymon przytaknął i odszedł.

Na schodach synagogi leżał żebrak z owiniętą brudnym gałganem stale owrzodzoną ręką. Widząc Szymona ten wstrętny stwór usiadł, wyszczerzył w uśmiechu popsute zęby i zaczął odwijać cuchnący gałgan. Szymon zmarszczył nos, gestem odżegnał się od oglądania wrzodów i wrzucił trzy miedziaki do wyszczerbionego kubka.

- Już nie warto tam iść — powiedział żebrak. — Kto miał pójść, poszedł dobre dwie godziny temu. Zanim dojdiesz, będzie już po wszystkim.
- Po czym? — zapytał Szymon burkliwie.
- O Cieśli mówię! Bo tam idziesz, prawda?
- Co ci nasunęło tę głupią myśl?
- Och... ja wiem dobrze — parsknął żebrak. — Nie którzy z nich próbują udawać, że idą gdzie indziej, ale zawsze ich wypatrzę. Choćby ty. Ja cię znam. Jesteś Wielki Rybak, który trzyma się z dala od synagogi i od pobożnych ludzi. W jakiej sprawie idziesz tędy pod górę? Nie ma ryb do złowienia tam, dokąd zmierzasz. Ty chcesz popatrzeć na Cieślę, tak samo jak wszyscy inni! He! He!
- Jeżeli tak cię zaprzęta ten Cieśla cudotwórca — war knął Szymon — to dlaczego nie pokażesz mu swojej smrodliwej ręki? Może on by ją wyleczył. Ale coś mi się zdaje, że nie chcesz wyleczenia.

- Ten człowiek to szachraj... i bluźnierca! — Żebrak zagrzechotał kubkiem i skrzywił się. — Trzy grosze! A Wielki Rybak ma trzy żaglowce! Nie wystarczy mi nawet, żeby kupić miarkę soczewicy!

Szymon, klnąc pod nosem, ruszył gniewnie. Żebrak wołał za nim: — Szkoda drogi pod górę, mówię ci! Jego tam nie zastaniesz. Inni głupcy już wracali z tego wysokiego wzgórza.

Wielki Rybak zostawił miasteczko za sobą. Prędko szedł biegnącym pod górę ubitym gościńcem i aż tupał, rozgniewany tym spotkaniem z bezczelnym żebrakiem. Brudny, zuchwały bydlak powinien siedzieć w zamknięciu, bo jest publicznym utrapieniem! Jednakże to mądrała, tyle trzeba mu przyznać. Wiedział, dokąd idę, chociaż ja sam jeszcze się nie zdecydowałem. Zuchwały, szubrawy brudas! Nawet bym zawrócił, żeby ten żebrak zobaczył, jak bardzo się pomylił — tylko że wtedy mógłby myśleć, że usłuchałem jego rady. Szymon nie miał zwyczaju przyjmować rad od żebraków, w ogóle od nikogo, jeśli już o to chodzi.

Popołudniowe słońce przypiekało, a on nie nawykł do wspinaczki. Usiadł w cieniu przydrożnego drzewa — musiał odpocząć, zaczerpnąć tchu. Najwidoczniej się starzeje. Wcześniej czy później ludzie rzeczywiście zaczynają się starzeć. Mięśnie słabną, i płuca, i serce, no i głowa również. Stary człowiek z dnia na dzień jest coraz bardziej rozdrażniony, zgryźliwy, kłótniwy, przykry jak stary pies, jak stary Zebedeusz, który zawsze mówi głupio, ośmiesza się. Na szczęście ja jeszcze nie jestem taki stary. Nie wszczynam

kłótni. Ja tylko bronię swoich przekonań, tego nikomu nie można mieć za złe.

Co się stało, to się nie odstanie. Jan poszedł dotknięty do żywego i raczej nie będzie pierwszy szukał pojednania, a rzecz jasna, ten uparciuch nie może wymagać, żeby on, Szymon, biegał za nim i próbował ściągnąć go z powrotem. Nie do wytrzymania później byłby ten żółtodziób, miałby się nie wiadomo za co.

Nie, jedyny niezawodny sposób na głupotę Jana, to wykazać, że Cieśla jest oszustem bez skrupułów... Szymon wstał i ruszył w dalszą drogę, chociaż każdy krok robił z wysiłkiem... Cieśla musi być pewny siebie, skoro się spodziewa, że ludzie będą włązili na góry, żeby go znaleźć.

Słońce prawie zachodziło, gdy obolałe nogi przydźwigały Szymona na płaskowyż. Aż zatrzymał się, zdumiony liczebnością tłumu. Jan mówił, że wczoraj było sto osób chyba. Teraz jest więcej niż sto. Idąc powoli ku stłoczonej, cichej, uważnej rzeszy Szymon zapragnął stać się niewidzialny. Mogą mnie przecież rozpoznać i rozgadać, że przyszedłem tutaj — zżymał się w duchu. — Na nic by się nie zdało żadne wyjaśnienie. I co będzie, jeśli Jan mnie zobaczy? Prawie ukradkiem stanął na uboczu. Stwierdził, że w ogóle nikt nie zwraca na niego uwagi. Poczul się nieco mniej nieswojo. Wkrótce potem przestał myśleć o sobie.

Rozgniewany na Cieślę za wywoływanie takiej wrzawy i nabieranie głupich ludzi Wielki Rybak stwierdził niechętnie, że jednak ten człowiek nie wygląda na wędrownego sztukmistrza. Nie miał bezczelnej twarzy kuglarza ani głosu nachalnego przekupnia, zachwalającego jakiś lek dobry na wszystko. Jan miał rację co do głosu tego człowieka. Mówił on



spokojnie, z namysłem, tonem swobodnej rozmowy, jak gdyby zwracał się do kogoś jednego, do kogoś spośród znajomych. Szymon musiał słuchać bardzo uważnie, bo inaczej by nie słyszał z pewnością nic z miejsca, gdzie stał, chociaż ludzie nawet w pierwszych rzędach wyraźnie nastawiali uszu. To nie jest przemówienie — pomyślał. — Ani też ten człowiek się nie wysiła, żeby przyciągnąć słuchaczy. Rzeczywiście nikt takim głosem nie przemawia

153

publicznie. To głos, który wyróżnia cię, mówi do ciebie osobiście. Do ciebie, Szymonie, do ciebie!

Bokiem podsunął się bliżej, o głowę wyższy od większości zebranych zobaczył Cieślę dokładnie. Ten człowiek był zmęczony.

Dlaczego ludzie wokół tego nie widzą? Tak się tłoczą, napierają na Niego, a On cofnąć się nie może, bo tuż za Nim jest wielki gład. Przydałby się temu Cieśli — rozmyślał Szymon — ktoś, kto by odganiał tłum od Niego. Ta niebaczna gromada ciekawskich wprost Go dusi, morduje.

Powinien znaleźć się jeden bodaj przyjaciel, który by stał przy Nim, osłaniał. Tylko że może On nie chce mieć przyjaciół. Może nie sposób się z Nim zaznajomić, choćby się chciało. Ale byłoby to w niezgodzie z Jego nawoływaniem do braterstwa ludzi. Jan miał rację: w tym człowieku jest coś bardzo dziwnego. Dostyc zrozumiałe, że chłopak się jąkał, szukał słów. Złość Szymona już minęła. Przyszedł z nadzieją, że usłyszy jakąś wypowiedź buntowniczą, wywrotną, która mogłaby narazić Cieślę na kłopoty. Planował sobie, że będzie słuchał czujnie, i był gotów, jeśli usłyszy cokolwiek obciążającego, zaświadczyć, gdy sprawa znajdzie się w

sądzie, do czego chyba dojść musi. Uczeni w Piśmie się o to postarają. Aż nazbyt pragną ukazać Cieślę światu jako wywrotowca. Dotychczas Szymon nie zastanawiał się nad tą fazą rozwiązania swego problemu, teraz nagle zirytowała go perspektywa, że może wkrótce będzie stronnikiem rabbich. Nie! Nie chce mieć do czynienia z tą sprawą osobiście! Niech się tym zajmują kapłani i żołnierze.

Ogromne znużenie Cieśli budziło w Szymonie współczucie. Gdyby nie obawiał się zrobić z siebie widowiska, przepchnąłby się łokciami do pierwszego rzędu i zaprowadziłby tam porządek, biorąc tych napierających za włosy po dwóch tak, by się mocno stuknęli głowami. Szymon nieraz tak robił, gdy dochodziło do publicznych awantur, chwycił oburącz dwie czupryny i buch! Zawsze to odnosiło skutek. Przyjemnie byłoby nauczyć tych prostaków, że muszą zachowywać się należycie.

Cieśla swym łagodnym głosem mówił teraz o Dniu

154

Pojednania. To Szymona nie interesowało. Cóż można powiedzieć nowego na tak nudny temat; chyba ta cała rzesza nie przywędrowała tu na wysokie wzgórze, żeby słuchać tego. Wieśniak stojący przed Szymonem wykręcił głowę, popatrzył zirytowany i spróbował szarpnąć przyciśniętym ramieniem. Szymon bezwiednie tak pchał się na nieboraka, że nieomal go przewracał. Kosę spojrzenie mówiło, że poniekąd mogliby zachowywać się lepiej — nie napierać, chociaż są olbrzymami jak Goliat i myślą, że mogą narzucać swoje warunki ludziom mniejszym od nich. Szymon cofnął się o krok nadeptując komuś na nogę.

Przypomniał sobie, że jutro jest Dzień Pojednania. I dzisiaj także, jeśli się przestrzega Pisma Świętego. Pierwszego dnia należy — tylko że

mało kto to czyni — spłacać długi, zwrócić pożyczone rzeczy, pojednać się z tymi, których się skrzywdziło. Drugiego dnia człowiek pobożny idzie do synagogi z takim darem, na jaki go stać, poczynając od pary gołębi, a na tłustym młodym wołu kończąc, i otrzymuje tam błogosławieństwo.

Kiedyś ojciec Szymona mówił tylko o tym przez dwa tygodnie poprzedzające Dzień Pojednania, ale Szymon od wielu lat nawet nie udawał, że się do tego stosuje. Zawsze zwalniał załogi swoich łodzi na to święto, na sam dzień uroczystości w synagodze, podobnie jak wszyscy pracodawcy. Ludzie mieli dzień wolny, mogli robić, co im się podoba. Nie było jednak zwyczaju zwalniać podwładnych na pierwszy dzień, czas wzajemnego naprawiania krzywd. Szymon zwykle w to święto zajmował się umacnianiem lin, oliwieniem krążków linowych. Czasami szacowni ludzie w szatach modlitewnych idąc z powagą do synagogi patrzyli na niego potępiająco, gdy spotkali go na gościńcu ubranego jak w dzień powszedni.

Teraz Cieśla będzie młócił starą słomę — pomyślał Szymon — bo chyba nie ma nic nowego do powiedzenia o Dniu Pojednania. Usłyszymy, że trzeba pójść do synagogi, uzyskać przebaczenie za grzechy i jagnię złożyć w ofierze.

Zaczął jednak uważać. Cieśla mówił o pierwszym dniu święta Pojednania. To ważny dzień, ten dzisiejszy. Co robiłeś w tym dniu? Co z tymi, z którymi poróżniłeś się

155

w ciągu tego roku? Czy wciąż jeszcze odwracasz się od starego Naamana po kłótni o granicę pola? Czy byłeś dziś u tego staruszka? —

Jeśli nie, na próżno ofiarujesz jutro swojego baranka. A ta kłótnia z Ben-Gilidami — pamiętasz, ich kury weszły do twojego ogrodu i wybuchła taka awantura, że wszyscy sąsiedzi stanęli albo po ich, albo po twojej stronie. I przeklinali się wzajemnie. I rzucali kamieniami. Może dawna kłótnia jeszcze nie wygasła. Co zrobiłeś dzisiaj, żeby nastąpiła zgoda? Słońce zachodzi. Czy załatwisz to, zanim pójdziesz spać? Jeśli nie — nie bierz jutro swoich gołębi z gołębnika; ofiarowanie jagnięcia też nie zda ci się na nic; a tego byczka powinienesz sprzedać za tyle, ile tylko zdołasz wytargować, albo ubij go i zjedz. Przebaczenie i spokój trzeba uzyskać, ale nie drogą wymiany za mięso ofiarne.

Szymonowi podobały się te rozumne słowa. Niewiele dadzą człowiekowi prośby o wybaczenie i spokój, gdy stary znajomy ma do niego żal, tym bardziej gdy ma żal słuszny. Cieśla mówi o spokoju ducha tak, jakby to była „własność”. W pocie czoła pracujesz przez całe lato na roli i zapelniasz swoją stodołę ziarnem. To także jest własność, tylko że stodoła może spłonąć, zboże mogą zniszczyć myszy. A spokój ducha to taka własność, która się nie spali, przy której nie musisz postawić stróża, żeby pilnował przed złodziejami... Pojednaj się ze swoim urażonym bratem, a potem zanieś na ofiarę tłuste jagnię — i bądź pobłogosławiony.

W tłumie zrobiło się lekkie poruszenie. Cieśla mówi dosyć rozsądnie — rozmyślał Szymon — ale to wlatuje jednym uchem, a wylatuje drugim. Natury ludzkiej się nie zmieni. Weźmy choćby Jana. Prawdopodobnie Jan stoi teraz tu w tłumie i słucha dobrych rad Cieśli, ale czy ten uparty złotodziób weźmie je sobie do serca i przeprosi? Skądże znowu! Nic dziwnego, że Cieśla wydaje się osamotniony. Jeśli sam naprawdę czyni to wszystko, co doradza, otoczenie z pewnością

uważa Go za cudaka. Przyjaźń z Nim byłaby kłopotliwa.

Cieśla skończył mówić, poruszenie się wzmogło. Ludzie przestępowali z nogi na nogę, wspinali się na palce, wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć. Z tłumu wyszedł do Cieśli jakiś

156

mężczyzna, wysoki, barczysty, brodaty. Trzymał w objęciach małego chłopczyka. Cokolwiek się stało w owej chwili, dokonało się tak szybko, że Szymon mógł tylko odgadnąć: Cieśla jakoś zajął się tym dzieckiem. I to najwidoczniej wystarczyło, bo mężczyzna odwrócił się z chłopczykiem w objęciach i ruszył z powrotem wśród nacierającego tłumu. Wszyscy tłoczyli się, nie dając mu przejść. Chłopczyk krzychał piskliwie.

Odruchowo Szymon pospieszył na pomoc. Rozpamiętywał to później, gdy już wracał do domu, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy przepychał się tak zawzięcie, wiedziony oburzeniem wobec nachalności motłochu i chęcią chronienia przed nią tego nieboraka z dzieckiem, czy też tylko dlatego, że chciał zaspokoić swoją ciekawość. W każdym razie rozpychając się łokciami i kolanami, chwytając ludzi za odzież i ciągnąc za włosy, szturchając ich i depcząc im po nogach wykosił ścieżkę bezradnemu człowiekowi w samym środku ciżby.

— Odsunąć się! — wrzeszczał. — Zrobić przejście! —

I rozłożonymi dłońmi odpierał najbliższych gapiów.

Wkrótce znaleźli się obaj z malcem na otwartej przestrzeni. Byli prawie sami, zostawiono ich w spokoju. Krzyki przerażonego dziecka przeszły w konwulsyjne szlochy.

- Dziękuję, przyjacielu — szepnął do cna wyczerpany

starzec. Postawił chłopczyka na ziemi.

- Nie, nie, dziadku! — błagał malec. — Boli! Weź mnie na ręce.
- Co mu jest? — zapytał Szymon.
- Ma wykrzywioną stopę. Taki się urodził. Usłyszałem o tym Jezusie, miałem nadzieję, że uleczy. Niosłem małego... aż z Seforis.
- Szmat drogi. — Szymon popatrzył na nóżkę chłopca. — Ale to widać nie pomogło.
- Nie wierzysz w Uzdrawiciela? — zapytał starzec z powagą.
- Nie... nie wierzę. My w Tyberiadzie słyszymy o Nim tyle dziwnych opowieści... Przyszedłem zobaczyć. Jestem Szymon.
- A ja Justus. Barsaba Justus... No, Jonatanie, spróbuj

157

jednak stanąć na tej kulawej nóżce. Dziadek nie da ci upaść. Spróbuj, chłopcze.

Mały czepiał się go przez chwilę, kwiląc ze strachu, ale ostatecznie stanął. Zrobił jeden niepewny krok.

- Boli! — zapłakał.  
Justus podniósł go.
- Pokaż mi, mały — rzekł Szymon dobrotliwie.  
Obejrzeli nóżkę.  
— Bo ja wiem— wymamrotał Justus. — Była zgięta...

o tak. Chyba teraz jest prostsza. Co powiesz, Szymonie?

Szymon długo macał obie stopy.

- Ja bym powiedział, że są zupełnie takie same. Ale dlaczego on nie może stać na tej?
- Może grunt nierówny. — Justus był pełen nieufności. — On jeszcze nigdy nie stał prosto. Ta nóżka jest nie wprawna jak u niemowlęcia. Poza tym... dzieciak nadal się boi.

Tłum zaczął rzednąć, wiele osób zatrzymywało się, żeby popatrzeć na to dziecko. Szymon spojrzał na głąz, tam gdzie stał Cieśla. Ale Cieśli już nie było.

- No, pójdę w moją drogę, przyjacielu Szymonie — mówił Justus. — Mam nadzieję, że może znów się spotkamy.
- Długa wędrówka przed tobą, Justusie, i będziesz dźwigał wnuka. Może powinienem pójść z wami... przynajmniej kawałek.
- Zaczny z ciebie człowiek, lecz nie martw się o mnie. Wkrótce wszędzie księżyc, będzie jasno. Mały nie jest ciężki. Zatrzymam się na nocleg u przyjaciół w Kanie.

Szymon jednak nie od razu pożegnał się z Justusem. Odprowadził go do południowego zbocza wzgórza. Przystanęli.

- Chciałbym wiedzieć, co z nogą chłopca? Jak myślisz, Justusie? Uleczona... czy nie?
- Nie wiem — odpowiedział stary wahające — Może za wcześnie mówić o tym. Mam nadzieję, że tak.
- Tak... ja też mam nadzieję, Justusie. To byłoby

wielkie błogosławieństwo dla twojego wnuka.

Justus odwrócił się i z powagą spojrział Szymonowi w oczy.

158

- Szczerze mówisz?
- No... oczywiście! — potwierdził Szymon. — Co za pytanie! Któż mógłby życzyć mu inaczej?
- Bo — wyjąkał Justus — jeśli ten wiejski Cieśla potrafi zmieniać prawa natury, to już nigdy nic nie będzie tak, jak było, dla nikogo z nas! Czy pojmujesz, Szymonie? Nic z tego, co myślałeś... już nie będzie prawdą!

Nie mając gotowej odpowiedzi na tak zdumiewające oświadczenie, Szymon przyznał, że chyba to wpłynie poniekąd na poglądy ludzi. Pożegnali się, Justus ze swoim brzemieniem odszedł. Dalej za gościńcem szybko otoczyli go ci, którzy zwlekali czekając na niego.

Szczególny człowiek — pomyślał Szymon w drodze ku przeciwnej krawędzi płaskowyżu — najwidoczniej zastanawiał się trochę nad tą sprawą cudów. Sam nie tylko był skłonny do sceptycyzmu, ale nawet nie miał pewności, czy chciałby w nie wierzyć. Jeśli to prawda, już nigdy nic nie będzie tak, jak było, dla nikogo! Jeśli człowiek potrafi prostować kalekie stopy i przywracać władzę sparaliżowanym rękom, wszystko będzie na opak.

Schodząc ze wzgórza Wielki Rybak stawiał tak duże kroki, tak pędził gnany swoimi myślami, że wkrótce wszystkich dogonił i co chwila musiał kogoś mijać. Nie patrzył na ludzi, nie poznawał ich, ale gdy zszedł na bok, żeby wyprzedzić jedną z gromadek, która szła wolniej i roz-



prawiała o możliwości cudu, głosy raptownie ucichły, po czym usłyszał wypowiedziane prawie szeptem swoje imię. Dostyc go to zirytowało. Przecież on ma takie samo prawo iść tędy, jak każdy inny. Nie ich interes! Ale dobrze, niech gadają. Cóż mnie oni obchodzą! Teraz Szymon wpadł w gniew na samego siebie: ja tutaj wracam z tej głupiej wyprawy! Cuda? Brednie wierutne! Już napatrzyłem się na tego Cieślę. Czas wybić sobie takie głupstwa z głowy!

Nawet nie patrzył, gdzie stąpa, i co chwila potykał się w bladej księżycowej poświacie. Wreszcie zszedł w dolinę zmęczony, kulejąc, tak piekły go i bolały stopy. Był wyczerpany nie tylko na ciele, ale i na duchu. Miał nadzieję, że Hanna poszła już spać. Nie chciał rozmawiać, a ona na

159

pewno będzie ciekawa, dokąd się wybrał. Nie zapytałaby wprost, ale prawdopodobnie jakoś to by od niego wyciągnęła.

Betsaida — wreszcie! Usiadł ociężale na schodkach i zdjął zakurzone sandały. Przeszedł na palcach przez cichy dom na podwórko wewnętrzne. Przy cysternie stała misa. Umył w niej pokryte pęcherzami stopy. Hanna stanęła w drzwiach, dała mu ręcznik. Podziękował krótko. Życząc jej dobrej nocy przeszedł przez sień do swojej izby.

- Mam dla ciebie niespodziankę... przy śniadaniu — szepnęła Hanna.
- Pewnie ciastka z miodem — mruknął obojętnie.  
Wszystko byle mnie zatrzymać — pomyślał — i pociągnąć za język.
- Spróbuj zgadnąć jeszcze raz — przekomarzała się

Hanna.

—Nie, dzisiaj nie, Hanno. Jestem bardzo zmęczony.

Wolał uniknąć dalszej rozmowy, zamknął więc swoje drzwi, nie na tyle głośno, by ją to obraziło, ale dosyć wyraźnie dając do zrozumienia, że powinna dać mu spokój.

Noc miał niedobłą. Chociaż się starał, nie mógł zasnąć, w skołatanej głowie wyłaniały się wciąż nowe wątpliwości. Życie nagle straciło cały blask. Wszystko się zamąciło. Jan, którego kochał jak syna, znalazł sobie innego pana, tego Cieślę. Wszystko byłoby nadal w porządku, gdyby nie Cieśla.

Im dłużej rozmyślał, tym większej nabierał pewności, że miał rację w pierwszej chwili, gdy usłyszał te pogłoski. Cieśla — nie dajmy się zwieść łagodności jego głosu — to oszust: zwabia ludzi, żeby szli za nim i słuchali jego gadania, udaje, że ich leczy, doradzając, żeby nie posiadali nic i żyli jak ptaki. Zasługuje na zdemaskowanie.

Ten Justus... Justus wie, że to jest oszustwo. Och, tak, biedak tylko udawał, że ma nadzieję, ale wyraźnie już nie wierzył.

Odwracając poduszkę, Szymon wbił w nią swoją wielką pięść, wtulił twarz i znowu myślał o Janie. Żaden rybak z tego chłopca. Gorszy niż brak pomocy w ogóle i wywiera zły wpływ na innych leniuchów. Gdybym nie lubił go tak

**160**

bardzo, nie zatrudniłbym go, choćby pracował za darmo i przynosił sobie jedzenie z domu.

Przewrócił się na wznak i wpatrzony szeroko otwartymi oczami w ciemność rozpamiętywał każdy nieprzyjemny szczegół wczorajszego

zajścia. Smarkacz zachował się karygodnie. Bez wątpienia można by to sobie tłumaczyć jakąś słabością jego charakteru. Ale Jan chyba nie odziedziczył usposobienia po starym Zebedeuszu, który widzi tylko czubek własnego zasmarkanego nosa i tak gada bez przerwy, że nigdy nie ma czasu się zastanowić. Równie dobrze mógłbym zwolnić tego starego nudziarza: zrobiłbym to już dawno, powstrzymywał mnie tylko wzgląd na jego synów.

I oczywiście Jan nie wdał się w swoją niemądrą matkę. Wiadomo, że nie dziedziczy się cech charakteru po matce. Noemi jednak może wywierać na Jana niezdrowy wpływ. Wciąż męczy chłopca, żeby poszukał sobie pracy lepiej płatnej, lamentuje, że nie wyuczył się zawodu skryby, czym w jej przekonaniu przydałby świetności rodzinie. Zebedeusz głupio postąpił żeniąc się z Noemi: prawie mógłby być jej dziadkiem. No, zachciało mu się młodej żony i ma teraz za swoje; Noemi nie dopuszcza go do głosu, wyręcza się nim w gospodarstwie domowym, nawet podobno bije go miotłą. Może właśnie dlatego, że w domu jest zahukany, taki nieznośny staje się poza domem. Nie — Jan nie od matki nauczył się wpatrywać w gwiazdy. Ta chciwa jędzulka tylko wciąż się biedzi, co zrobić, żeby jej mąż i synowie zarabiali więcej pieniędzy. Nieraz już wprawiała chłopców w zakłopotanie, dopadając mnie — rozmyślał Szymon — i błagając o wyższe wynagrodzenie dla nich. Jan jest inny, dziwny na pewno. Ogromnie lubi przyglądać się wodzie: im większe fale, tym bardziej mu się podobają. Widzi obrazy w obłokach, piękny zachód słońca zachwyca go, wprost upaja. Może to pociągnęło go do Cieśli.

Zachody słońca. Maki polne. Ba! Lilie mają piękne suknie, a nie

przędą, nie tkają, lepsze suknie niż te, które noszą królowie. Dlaczego każdy ma pracować? Ptaki nie pracują. Jeśli spotkasz żołnierza, ponieś mu tobolek. Uśmiechaj się, czyń to z przyjemnością. Janowi przypadłaby do serca taka rada. Szymon chętnie by Jana zapytał: „Ale żeby

161ludzie mogli lepiej poznać maki polne... i ptaki... i zachody słońca... i rośną na trawie, przecież powinni mieć na to czas, mniej pracować, jak więc będzie z takim ułożeniem spraw na świecie?"

Ale z drugiej strony ta bezwładna ręka... Jan nie kłamał. No, jeśli opowieść o tym była prawdą, wszystko w życiu człowieka się wywraca. Jeśli Cieśla ma w sobie dosyć mądrości — i mocy — żeby czynić takie rzeczy... to przecież wszystko, co mówi, musi być prawdą. Gdy radzi brać przykład z maków polnych i ptaków, powinno się usłuchać. Właśnie — nawet gdyby powiedział, że lepiej chodzić na rękach, a nie na nogach, też by należało usłuchać, bo Cieśla wie.

Ależ to jedna wielka bzdura!... Za kilka dni legioniści zamkną Cieślę w więzieniu i omamieni ludzie będą mogli wrócić do pracy. Wtedy Jan zechce znów pracować u mnie. A jeśli przyjdzie, już zdrow na umyśle, i przyzna, że był głupcem, że niepotrzebnie odszedł, niepotrzebnie przede wszystkim słuchał bajdurzenia Cieśli, natychmiast mu wybaczę.

Po nieszczęsnej nocy, przewracaniu się z boku na bok i wielu krótkich widzeniach sennych (w jednym Jan udawał kulawego, pokuśtykał do Cieśli, został uzdrowiony), Szymon wstał ociężale i

przygotował się do śniadania. Głowa go bolała, czuł się fatalnie.

Stół był nakryty tylko dla niego, co oznaczało, że Andrzej już zjadł i wyszedł i że Hanna też jest po śniadaniu. Jeśli chodzi o tego obszarpańca z Idumei, Szymon nie myślał o nim wcale, odkąd go oddał poprzedniego dnia pod opiekę Hanny. Niewątpliwie chłopak już powędrował dalej w świat.

Szymon usiadł i położył swe owłosione, ogromne ręce na stole. Hanna wiedziała, że wszedł do jadalni — świadczył o tym jej łagodny głos w kuchni, jednostajnie recytujący

162

psalm pasterza, którym zwykle odmierzała czas gotowania jajek, nie na miękko i nie na twardo, akurat tak, jak Szymon lubił.

Wkrótce potem drzwi otworzyły się za jego plecami, pewnie Hanna przynosi mu jajka i drewniany talerz z pszennym chlebem, i duży kubek pełny wonnego soku z granatów. Nie spojrzał. To miał być znak dla Hanny, żeby z nim nie rozmawiać, wyjść cicho i czekać na wezwanie. Hanna oczywiście wie, że on jest czymś skłopotany. Zawsze w lot chwytала jego nastrój, o wiele za szybko, doprawdy. W serdecznej ich przyjaźni trudno mu było nie zwierzać się jej.

Teraz gdy chleb, talerzyk z miodem i gliniana miseczka z jajkami stały już przed nim, zapatrzył się w rękę, która je postawiła. To nie ręka Hanny: młodsza i mniejsza. Powoli odwrócił głowę, podniósł wzrok na tę obcą twarz i rozdziawił usta, oszołomiony. Kimkolwiek była ta dziewczyna, piękniejszej nigdy dotąd nie widział.

A ona spojrzała w zdumione oczy Wielkiego Rybaka, powstrzymując z niejakim trudem lekki psotny uśmiezek.

—Zdumiałeś się, panie? — zapytała gardłowym głosem, który chyba już gdzieś słyszał przedtem.

Jeszcze na nią patrzył bez uśmiechu, oniemiały. Potrzęsnał swą dużą, kudłatą głową. Coś dziwnego dzieje się ze światem. Cuda, same cuda. Woda zamienia się w wino. Kaleki chodzą normalnie. Obszarpani, brudni poganiacze wielbłądów przeistaczają się w nadobne młode kobiety. Spuścił wzrok, zamrugał, przeczesał palcami włosy. Hanna przyszła z kuchni rozpromieniona.

— Józef okazał się dziewczyną — wyjaśniła zbytecznie.

Szymon przytaknął niemo, patrząc na teściową, jak gdyby ujrzał ją po raz pierwszy.

- Ma na imię Estera — ciągnęła Hanna teraz już smętniej, może chcąc tym ubłagać Szymona, żeby darował oszustwo, jakiego dopuściła się ta obca dziewczyna. Gdy milczał, dodała: — To suknia Abigail. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że Estera ją nosi.
- Usiądźcie obie! — rozkazał Szymon ochryple. — I powiedzcie mi, czy nie postradałem zmysłów.  
W głosie jego brzmiała taka powaga i szczerłość, że

163

Hanna parsknęła śmiechem, aż łzy pociekły jej z oczu. Estera uśmiechała się nieśmiało.

- Wiele się złożyło na przebranie, Szymonie, Estera jeszcze nie zdążyła mi opowiedzieć wszystkiego. — Hanna spojrzała na Esterę zachęcająco, tak jakby wzrokiem mówiła: „Spodziewamy się usłyszeć całą tę historię najpóźniej dziś

przed wieczorem". — Na razie powiedziała, że utraciła dom rodzinny wskutek śmierci rodziców i poszukuje teraz swojego wuja, który mieszka gdzieś w Galilei niedaleko jeziora, o ile jej wiadomo. Dla młodej dziewczyny samotna wędrówka byłaby niebezpieczna, więc Estera obcięła sobie włosy i przebrała się za chłopca i., no, jest tutaj.

- Miałaś szczęście, że nie wpadłaś w jakieś tarapaty — zauważył Szymon jedząc chleb. — Ryzykowna sprawa. Każdy mógłby na pierwszy rzut oka poznać, że jesteś dziewczyną.
- Ciebie zwiodła — stwierdziła Hanna.
- Ja jej się dobrze nie przyjrzałem — odparł Szymon. — Mało to innych rzeczy, o których muszę myśleć? Nie masz tam w Idumei żadnych krewnych? Może uciekłaś?
- Tak, panie — przyznała dziewczyna. — Krewni by mnie zatrzymali. Uciekłam.

Szymon zajął się jedzeniem, marszcząc brwi w zadumie.

- Jej historia wydaje się dosyć prawdziwa — powiedziała Hanna.
- Każda inna też mogłaby się wydać prawdziwa — mruknął Szymon niegrzecznie. — A więc ten twój wuj mieszka w tych okolicach? Jak on się zowie?
- Józef, panie.
- Mamy tutaj kilku Józefów. Co robi twój wuj?
- Jest kamieniarzem.
- Myślisz, że będzie mógł cię utrzymać... ze swoich

zarobków? To praca niezbyt popłatna.

- Wuj nie jest zwykłym kamieniarzem — odważyła się powiedzieć Estera — jest wyuczony.
- W takim razie prawdopodobnie pracuje u tetrarchy. Tam przebudowują stajnie pałacowe.
- Stajnie! — Ton Estery świadczył, że jej wuj na pewno nie pracowałby przy stajniach, nawet u tetrarchy.

164

—Stajnie z kamienia — wyjaśnił Szymon. — Z białego marmuru! Arabcy tetrarchy mają wspaniałe pomieszczenia, gdy większość jego poddanych mieszka w norach, i karmione są świetnie, gdy małe dzieci galilejskie często zasypiają głodzie... Stajnie tetrarchy to piękne budowle! Ozdobione posągami!... Ale twój wuj przecież nie rzeźbi.

- Nie? — Uniesione brwi Estery wyrażały zdziwienie, dlaczego jej wuj nie miałby rzeźbić.
- Jest Żydem, prawda? — zapytał Szymon. Estera przytaknęła i wtedy burknął: — Powinnaś wiedzieć, że dzieciom Izraela nie wolno czynić rzeźb.
- Myślałam, że to prawo odnosi się do rzeźbienia bożków — powiedziała Estera.
- Najwidoczniej Żydzi idumejscy nie znają przykazań. Czas, żebyś się ich nauczyła. Zapamiętaj sobie: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego,



co jest w wodach pod ziemią!" — Jeszcze marszcząc groźnie brwi nad odstępstwem wuja Józefa i nieuctwem jego powabnej siostrzenicy, Szymon odepchnął swój zydel od stołu i ruszył ku drzwiom. — Mam coś do załatwienia w pałacu, dziś rano spróbuję się dowiedzieć. Może pójdziesz ze mną?

—Niech ona dziś odpocznie, Szymonie — zaprotes-  
towała Hanna. — Pójść tam będzie mogła jutro.

Wielki Rybak zatrzymał się w drzwiach, żeby zauważyć z rozdrażnieniem, że on jutro do pałacu nie pójdzie: Estera więc powinna skorzystać z okazji dzisiaj, jeśli w ogóle chce odszukać swego wuja. Dziewczyna w ten sposób upomniana, że gościnność gospodarza ma swoje granice, natychmiast była gotowa mu towarzyszyć.

Szymon rozchmurzył się, ale zaraz nasrożył się znowu, bo spostrzegł niezadowolenie Hanny. Z jakiegoś powodu Hanna nie chce, żeby Estera poszła z nim. Wzruszył ramionami i burknął, że ostatecznie mało go obchodzi, czy ona znajdzie tego wuja.

Speszona jego szorstkością, Estera zwlekała z odpowiedzią. Nasuwając kaptur na czoło, wyszedł z domu bez pożegnania. Gdy drzwi za nim trzasnęły, Hanna łagodnie zauważyła, że Szymon zdaje się ma jakieś kłopoty.

- Przeze mnie może? — zapytała Estera.
- Nie sędzę — odpowiedziała Hanna. — Cóż ty, moja droga, mogłabyś mieć z tym wspólnego? Nigdy dotąd nie widziałam, żeby był taki... zgryziony. Może chodzi o jego łodzie. Na pewno Andrzej wie, ale od Andrzeja trudno coś

wyciągnąć. Nikt nie trzyma tak języka za zębami jak Andrzej. Dziś rano był niezwykle mrukliwy: nie powiedział, dokąd idzie, może poszedł do tego ich starego domu w Kafarnaum, bo żaden rybak nie wypływa dzisiaj. Jest święto.

Estera nie ofiarowała się z pomocą w rozwiązaniu jej zagadki. Przyszło jej na myśl, że powodem złego humoru Szymona mógłby być jego zatarg z Janem, ale uznała, że to nie jej sprawa i nie ma co mówić o tym. Po chwili oznajmiła, że pobiegnie za Szymonem.

- On był bardzo uprzejmy, a ja go obraziłam — dodała.
- Podprowadzę cię — powiedziała Hanna — do go ścińca.

Jeszcze zanim doszły do furki, zobaczyły nadzwyczajny ruch w okolicy. Ludzie wylegli z domów i podążali do rogu spokojnej uliczki łączącej się z szeroką drogą. Stał tam już spory tłum ciekawych. Jakiś pochód zbliżał się od strony Tyberiady. Obie przyspieszyły kroku. Wtedy Hanna spostrzegła Dawida, trzymał się w oddaleniu, ale najwidoczniej też czekał. Hanna podeszła do niego, żeby zapytać.

- Tetrarcha — wyjaśnił roztargniony. Z nie ukrywanym zainteresowaniem patrzył na Estere, idącą dalej w coraz większy tłum.
- Oczywiście — przypomniała sobie Hanna. — Dni teraz ciepłe jak w lecie, nie przyszło mi do głowy, że już czas na ich podróż.
- A zatem... to jest ta dziewczyna? — spytał cicho. — Nadobne młode stworzenie! Przyrowadź ją tu, Hanno.

Chcę ją poznać.

- Ale nie zdradzisz, panie, że ci mówiłam — poprosiła Hanna.

Gdy Dawid ją zapewnił, że nie zdradzi, poszła za Estera w tłum gapiów i powiedziała, że chce ją przedstawić jednemu z przyjaciół Szymona. Dziewczyna prawie nie

166

słyszała. Stała na palcach, urzeczona widokiem powoli zbliżającej się kawalkady. Hanna wzięła ją za rękę.

—Chyba wiesz, co to jest. Tetrarcha z całym dworem jedzie na zimę do Rzymu, jak co roku o tej porze. — I gdy Estera, nie odrywając oczu od drogi, przytaknęła z roztargnieniem, Hanna ponagliła ją: — Chodź. Jeszcze dziesięć razy zdążysz ich zobaczyć. Chodź, proszę, poznaj Dawida.

Estera odwróciła się niechętnie i ruszyła za Hanną.

—Obiecałam mu, że cię przyprowadzę. Dawid to nasz przyjaciel, chociaż wielki pan, znawca Prawa, bardzo uczony, podróżował wiele.

Estera zwolniła kroku.

—Ale dlaczego ktoś taki chce mnie poznać? — zapytała.

— I dlaczego mi się przypatruje?

- Wszyscy starzy mężczyźni się przypatrują — powie działa Hanna. — Wzrok mają słaby.
- Właściwie — podchwyciła Estera — to nawet nie muszą być starzy, żeby się przypatrywać.

Hannę to rozbawiło i podchodząc do Dawida obie się uśmiechnęły.

Estera została przedstawiona. Skłoniła się. Dawid odklonił się z wielką powagą ku zdumieniu Hanny i zaniepokojeniu dziewczyny.

— Witaj w pięknej Galilei, dziecię — rzekł ceremonialnie.

— Miło mi będzie dłużej z tobą porozmawiać, jeśli nasza zacna Hanna pozwoli. Teraz wszelako nie powinniśmy cię zatrzymywać. Pragniesz przecież ujrzeć naszego ukochanego władcę i jego uroczą rodzinę. — Tyle otwartej zawziętości było w tym szyderstwie, że Estera badawczo spojrzała w jego chytre oczy. Czyżby ją zachęcał do dzielenia z nim pogardy dla tetrarchy? Przez chwilę zbita z tropu, wybrnęła z tej trochę niezręcznej sytuacji po prostu • przepraszając i wracając szybko w tłum gapiów. Dawid odwrócił się do Hanny i uniósł brew pytająco.

- Powiedziała mi coś więcej — pospieszyła Hanna z odpowiedzią. — Jej matka umarła niedawno, zostawiła ją samą na świecie. Biedaczka szuka teraz swojego wuja, rzeźbiarza, który podobno mieszka tu nad jeziorem.
- Co się stało z jej ojcem?
- Chyba nie żyje. Nie mówiła.

167

- Czy ten wuj to Idumejczyk?
- Myślę, że tak.
- No, a ja myślę, że nie — mruknął Dawid. — W Idumei nie rodzą się rzeźbiarze. Ręczę, że nie ma tam ani jednego dłuta. Ulubione narzędzie Idumejczyków to szty

let... Czy ona nie mówiła nic o tym godle, które widziałaś na jej odzieży? Nie? Tak przypuszczałem. A tyś nie pytała. Słusznie.

Podeszli do gościńca i wysoki saduceusz wypatrzył Esterę w pierwszym rzędzie widzów, całkowicie pochłoniętą widokiem kawalkady, której straż przednia już nadjeżdżała. Hanna zauważyła, że Dawid wcale nie interesuje się tym krzykliwym widowiskiem, tylko obserwuje jej tajemniczego gościa.

Na przedzie jechał czwórkami oddział jaskrawo ubranej konnicy z rzymskiej twierdzy w Kafarnaum. Wypolerowana uprząż wierzchowców podzwaniała. Potem nastąpiła przerwa i dopiero w odległości pełnych stu kroków za tą eskortą wojskową nadjechał z drugim oddziałem dostojnik na świetnym białym koniu, niewątpliwie arabskiego pochodzenia. Wyglądał bardzo strojnie — w czarnej tunice z czerwonym oblamowaniem, w czerwonych spodniach jeździeckich i czarnych połyskliwych butach. Jechał sam. Miał siwe włosy, krótko ostrzyżone, i srebrną opaskę.

Estera przyglądała się jego wyniosłej zniszczonej twarzy, gdy szeroko osadzonymi wylupiastymi oczami niedbale wodził po tłumie, obojętny i znudzony. Teraz patrzył na podniesione głowy tej części tłumu, w której stała ona, znieruchomiła z gardłem zaschniętym, sercem bijącym jak młot. Po chwili znów spojrzał na nią, pięknie zarysowane brwi uniosły się lekko i cień uśmiechu, łączącego w sobie zdumienie, bezczelność, podziw i rozbawienie zadrgał na jego ustach. Złękła się.

Po następnej długiej przerwie ukazały się jedna za drugą trzy lektyki. Każdą z lektyk niosło ośmiu roślących niewolników, Greków, jak się

domyślała Estera. Zasłony pierwszej były szczelnie zasunięte. Siedziała tam bez wątpienia Herodiada. Z drugiej lektyki, otwartej, rozsyłała sztuczne uśmiechy obwieszona klejnotami, bardzo umalowana ko-

168

bieta, mniej więcej trzydziestoletnia, Salome. Cokolwiek się o niej mówiło, a mówiło się dużo, była rzeczywiście piękna; nawet świadomość własnej urody nie ujmowała jej blasku. Trzecią lektykę niesiono tak jak pierwszą, z zasłonami zasuniętymi. Estera miała nadzieję, że może ktoś z gapiów szepnie imię osoby siedzącej w tej lektyce, ale żadne imię nie padło.

Wkrótce potem przejechało na wielbłądach dwadzieścia parę osób, mężczyzn i kobiet, przeważnie w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat — służba pałacowa, ludzie na ogół urodziwi i wyraźnie weseli, skłonni do żartów, roześmiani. Wiele dałoby się powiedzieć o wadach tetrarchy, ale trzeba mu było przyznać, że dba o swoją świętę i nie mają oni na co się uskarżać.

W sporej odległości od tych wielbłądów nadciągnęła długa karawana zwierząt obładowanych jukami. Estera, którą to nie interesowało, już chciała odejść, gdy nagle w pobliżu nastąpiło poruszenie. Prowadząc swego konia podszedł do niej jaskrawo ubrany żołnierz. Wszyscy ze zdumieniem i niepokojem odsunęli się pośpiesznie, żeby mu zrobić miejsce.

— Jak się nazywasz? — zapytał żołnierz szorstko, ale z szacunkiem.

Nogi ugięły się pod Estera. Poczwała się chora i słaba. Zanim jednak zdołała wyjąkać odpowiedź, czyjaś ręka spoczęła delikatnie na jej

ramieniu.

- Ja odpowiem za tę młodą kobietę — rzekł spokojnie Dawid. — To moja krewna. Kto chce znać jej imię, centurionie?
- Jego królewska wysokość, panie. A kim ty jesteś? — zapytał żołnierz.
- Jestem Dawid, z rodu Sadoka. Możesz jego wysokości przekazać pozdrowienia ode mnie i zapewnić go, że o tę młodą panią troszczyć się nie potrzebuje.

Saduceusz mówił z wyniosłą pewnością siebie. Rzymianin przez chwilę wahał się, nie znajdując stosownej odpowiedzi.

— No — szczerknął — zobaczymy! Poczekajcie na mnie!

— Dosiadł konia i pogalopował do tetrarchy. Tłum stał oniemiały, zagapiony na Esterę.

169

- Chodźmy — powiedział Dawid cicho. — Nie ma tu już nic do oglądania. Pójdziemy do domu.
- Ale... ten żołnierz — szepnęła. — Czy nie musimy czekać?
- On nie wróci. — Dawid opiekuńczo położył rękę na jej ramieniu i zaczął lekko ją popychać wśród oszołomionej gawiedzi.

Hanna wyszła im naprzeciw blada ze strachu. Uśmiechając się uspokajająco Dawid ruszył pomiędzy nimi dwiema.

- Nie bój się, Hanno — powiedział. — Żadnych skut

ków to nie pociągnie. Nasz tetrarcha zawsze interesuje się ładnymi twarzyczkami. Lubi mieć ślicznotki wokół siebie. W tym wypadku pomylił się... i prawdopodobnie już wie o tym. Zdaje też sobie sprawę, że nie powinien powiększać liczby swoich wrogów. Nie przejmujcie się.

- Serdecznie dziękuję, panie, żeś pospieszył mi na ratunek. — Głos Estery wciąż jeszcze drżał.
- Z przyjemnością wyświadczyłem tę drobną przy usługę. — Dawid ukłonił się. — Dobrego dnia życzę wam obu.

Powoli, majestatycznie odszedł ulicą pod górę ku swojej siedzibie. Popatrzyły na siebie pytająco, zakłopotane sytuacją Estery.

- Lepiej wróć teraz ze mną — doradziła Hanna. — Poszukasz wuja kiedy indziej. Ludzie cię rozpoznają, będą się dziwili, jeśli zobaczą cię samą na gościńcu po tym, co Dawid powiedział.
- Że jestem jego krewną? Zastanawiam się, dlaczego tak powiedział, co by było, gdyby musiał to udowodnić.
- Widocznie nie lękał się tego, Estero. Dawid to możny człowiek, możniejszy chyba, niż myślałam.
- Ale i tak nie mógłby sobie pozwolić na obrażanie władcy. Dlaczego ryzykował... dla mnie? Przecież jestem dla niego nikim.

Hanna odwracając oczy powiedziała wymijająco, że nie zawsze łatwo zrozumieć Dawida. Estera zatrzymała się, dotknęła ręki Hanny i zapytała raptownie:



- Co mówiłaś mu, pani, o mnie?
- Niewiele miałam do powiedzenia — odparła Hanna

170

z uśmiechem lekkiego wyrzutu. — Patrz. On czeka przy naszym ogródku. Pewnie przyszło mu na myśl coś, co chce nam powiedzieć.

— Sądzę, że będzie chciał porozmawiać z tobą samą, pani. — Estera odwróciła się. — Pójdę... postaram się dogonić Szymona.

I odbiegła, zanim Hanna zdążyła zaprotestować.

Wyruszając po śniadaniu do Tyberiady, Wielki Rybak był zdezorientowany i niezadowolony. Opowiadanie tej dziewczyny o sobie i o jej sprawie w Galilei było mocno podejrzanym. Wiedział, że Hanna jest strapiona. Głupio i zgoła zbytecznie przyprowadził to niebożę do domu.

Nie ma dziś roboty. Jego ludzie świętują przypuszczalnie w synagodze, ale bardziej prawdopodobnie w winiarniach. W święto jednak też można znaleźć zajęcia na łodziach. Postanowił napęłnić koszyk rybami i zanieść je do pałacu. A potem już do wieczora majstrować przy tym czy owym na „Abigail”.

Gdy szedł gościńcem, zobaczył z daleka pochód z dużym oddziałem konnicy na czele. Wypolerowane włócznie i połyskliwe guzy tarcz błyskały w słońcu.

Jeszcze dalej, wzbijający się za kawalkadą tuman żółtego kurzu oznaczał, że idzie za nią długi szereg jucznych osłów. Szymon wiedział, co to jest: Antypas zgodnie ze swym zwyczajem udaje się w coroczną podróż do Rzymu. Orszak po trzydniowej wędrówce dotrze do Cezarei i stamtąd popłynie za morze. Galilea nie będzie oglądała tetrarchy, dopóki

znów nie zakwitną kwiaty.

Co nie znaczy, żeby to było ważne dla Galilei. Dobro galilejskiego ludu nic nie obchodzi Antypasa. On jest bardziej Rzymianinem niż Żydem. Nikomu nie sprawiłoby różnicy, gdyby wyjechał do swojego najmilszego Rzymu na stałe. Ale Antypas wróci, jak zwykle. Wracając zatrzyma się w przedstawicielstwie galilejskim w Jerozolimie na cały miesiąc, akurat na czas postu przed Paschą i uroczystości związanych z tym świętem, po czym bardzo paradnie zjedzie do Tyberiady z gromadą takich jak on bogatych

171

próżniaków i będzie siedział prawie nago w blasku słońca, będzie żłopał swoje kosztowne wina i pluskał się w swoim słynnym basenie, aż znów nadejdzie pora wyjazdu do Rzymu... Jednakże w Galilei nie byłoby lepiej po rządami innego tetrarchy; wszyscy gubernatorzy prowincji są tacy sami. W istocie Antypas, zbyt leniwy, żeby dokuczać poddanym, jest nawet lepszy, niż byłby ktoś inny, bardziej żądny władzy. Może to nawet najlepszy władca, jakiego można mieć — gnuśny pijak, który pozwala, żeby prowincja rządziła się sama.

Zazwyczaj Szymon patrząc na krzykliwy pochód tetrarchy, wyruszający do Cezarei, szydził i spluwał obojętnie. Dzisiaj — zresztą i tak już rozgniewany — na widok tego korowodu zapłonął oburzeniem. Jak może taki odstępcą, przesiąknięty zwyczajami rzymskimi, lekceważyć umiłowane tradycje Galilei, wyjeżdżać sobie spokojnie w podróż dla przyjemności, gdy lud podąża do synagogi! Co za bezczelność! Znakomity sposób, doprawdy, święcenia Dnia Pojednania! Mało go obchodzą uczucia Galilejczyków! Powinien być dzisiaj w synagodze i

przynajmniej udawać, że zachowuje przepisy religijne Izraela! On jest hańbą prowincji!

Szymon zaczął się zastanawiać, które służebnice zostały w pałacu tym razem. Miał nadzieję, że Lia i Anna. Lubił ich żarty. Właśnie — i ta zuchwała figlarka Klaudia. Nie wzbudza ani odrobiny szacunku, taka z niej bezecna zalotnica i w dodatku Rzymianka, ale jest dowcipna. I Helena, Greczynka, która nigdy nie ma nic do powiedzenia, tylko uśmiecha się półgębkiem, jak gdyby rozumiała, o czym mowa. Może rozumie. Czasami żartobliwie mrugał do niej, a ona wtedy w nieśmiałym uśmiechu pokazywała bardzo ładne zęby. O Helenie często myślał po dostarczeniu ryb do pałacowej kuchni, ale zawsze myśl o niej odsuwał ze wzgardliwym: „Phiii!” — ta młoda kobieta, chociaż urocza, to poganka. Niemniej pociągała go swoją wåtłością. Szymon nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego podobają mu się kobiety wåtłe, gdy jednocześnie gardzi wszelką słabością fizyczną w mężczyznach.

Odświętnie ubrani ludzie, którzy szli gościńcem, wycofywali się teraz w przydrożne krzaki, czekali i patrzyli. Tu

172

i ówdzie przysiadano na polnych kamiennych murkach. Szymon szedł dalej przed siebie, postanowiwszy zejść z drogi dopiero wtedy, gdy to będzie rzeczywiście konieczne; nie miał też zamiaru przyglądać się przeklętej parady Antypasa. Doszedł do małej wioski Magdali i skręcił w jedną z drożyn polnych, żeby tam poczekać, aż kawalkada przejdzie i opadnie wzbijający się kurz. Usiadł wygodnie na suchej trawie w cieniu starego drzewa oliwnego, plecami do gościńca. Podzwanianie metalu zwiastujące, że nadjeżdża konnica, kusilo, żeby się odwrócić, popatrzeć,

ale tylko nasrożył się i przymknął oczy.

Wszystko idzie ostatnio na opak! Wszystko! A sprawił to jeden pomyłony Cieśla, który sobie ubzdurał, że ludziom powinno być lepiej, skoro... skoro... nie jest im zupełnie dobrze; do tego się rzecz sprowadza: nie posiadać nic i być szczęśliwym.

Dlaczego, ktokolwiek, kto jest przy zdrowych zmysłach, słucha takich bredni? Dlatego, że rozeszła się pogłoska: Cieśla potrafi uzdrawiać. No, może potrafi, ale czy to nam potrzebne... żeby ktoś włóczył się po kraju i próbował zmieniać porządek rzeczy? Zanim Cieśla zamącił ludzkie myśli, życie miało swój sens. Prawda, że nie brakowało trudności, ale uczyliśmy się godzić z nimi. Szymon wspomniał, jaki był zadowolony z siebie, i westchnął, żałując, że już nie jest. Nigdy nie należał do tych, którzy łamią sobie głowy nad zagadkami. Takie odwieczne pytania jak: „Po co jesteśmy tutaj? Co z tego wyniknie? O co chodzi w tym wszystkim?” — nigdy go nie dręczyły nawet przez chwilę.

Bardzo wczesnie musiał przyjąć na swe chłopięce barki brzemię męskiej odpowiedzialności, pracować od rana do nocy, gdy inni chłopcy bawili się, a przecież ani myślał się uskarżać, że świat go źle traktuje, albo że Jahwe jego szczególnie zechciał srogo doświadczyć. Ileż osób wciąż lamentuje, że Bóg ukrył oblicze swoje przed nimi, chociaż całe ich nieszczęście polega prawdopodobnie na tym, że poziom wody obniża się w studni albo że kilka ich kur padło na pypec.

Takie właśnie są skutki nadmiernej pobożności: ciągle się trzęsiesz przed Bogiem. Świeżo urodzone cielę będzie

gniewa. Lepiej nie przejmować się Bogiem tak bardzo, gdyż Bóg zapewne nie bardzo przejmuje się tobą.

Wiara Szymona — ta odrobina wiary wyznawana przez niego — była zupełnie prosta. Przyjmował, że musi być jakiś Wielki Umysł, który zawiaduje gwiazdami i niebem, i innymi ogromnymi dziełami stworzonymi, ale nie wierzył, żeby Bóg kiedykolwiek zniżał się do takich drobnych spraw, jak pęknięcie sznura u studni Abrama za karę, bo ten stary poszedł w szabat na przechadzkę trochę za daleko. Bóg Szymona był rzetelnym, godnym zaufania gospodarzem, wypuszczającym na świat słońce rano i zamykającym je wieczorem z punktualnością, na której można polegać. Bóg też przesuwał pory roku jedną po drugiej w niezawodnej kolejności. Wszystko zawsze wedle ustalonego porządku.

Zgodnie z tą podstawową wiarą Wielki Rybak nie uważał swojej harówki w dzieciństwie za dopust Boży. Doprawdy chlubił się swoją wytrzymałością i tym, że potrafi pokonywać przeszkody. Nigdy w życiu nie wznosił wzroku w niebo, żeby krzyczeć: „Dlaczego?” Nawet gdy biedna mała Abigail umarła, nie dopatrywał się w tym odplaty Boga za swoje złe uczynki. Wiedział, że popełnił mnóstwo błędów — przeważnie przez porywczosć — i nie przestrzegał wielu nakazanych prawem Bożym postów, chociaż mógł ich przestrzegać, ale nigdy nie wierzył, że Bóg raczyłby się interesować takimi błahostkami jak przejawy jego nieoględności. Gdy w tym duchu przemówił do niego podstarzały rabbi Ben-Szolem po śmierci Abigail, on odparował bez ogródek:

— Nie wierzę, żeby Bóg uczynił coś tak niskiego!

Odgłosy dolatujące z gościńca świadczyły, że właśnie przejeżdża konnica — tętent, podzwanianie kosztownej uprzęży, skrzypienie nowej,

dobrze wyprawionej skóry, głośny rozkaz wojskowy, krótki jak szczeknięcie, trzaskanie z batów. Szymon słuchał i nienawidził tego. Po chwili znów się zadumał.

Nazajutrz po pogrzebie Abigail wrócił do pracy, cichy, smutny, ale nie marnował czasu na zbyteczne rozmyślania. Trudno, życie jest takie, ludzie chorują i umierają, nawet

174

młodzi, jak Abigail, nawet małe dzieci, które wcale nie zdążyły żyć. I nie warto pytać, dlaczego tak się dzieje. Wiadomo, że nikt nie może odpowiedzieć na to — nawet rabbi, chociaż kto jak kto, ale rabbi powinien.

Aż tu nagle wszystko się wywróciło. Tak się wywróciło, że już nie ma nic pewnego, na niczym nie można polegać. Jan nie opowiadał kłamstw. I sprawa z nogą tego malca też była bardzo dziwna. Oczywiście niewykluczone, że Cieśla zaplanował oszustwo, żeby zwieść ludzi, tylko że co by Mu z tego przyszło? Wykryją, to prawdopodobnie wtrącą Go do więzienia. I za swoje rzekome uzdrowienia nie bierze pieniędzy; widać, że ich nie ma i nie chce ich mieć; wartość dla Niego przedstawiają tylko ptaki i kwiaty. Nie wydaje się, żeby próbował napełnić sobie mieszki za pomocą szachrajstwa.

Na gościńcu zrobiło się cicho. Ale, jak Szymon dobrze wiedział, nie dlatego, że kawalkada tetrarchy już się oddaliła. Nie, to po prostu przerwa w pochodzie. Wkrótce będzie przejeżdżał sam Antypas na swoim pięknym ogierze. Nie miejsce na coś takiego w Galilei: rzymski władca na ^rabskim koniu! Chyba uboga, skromna Galilea ma się czfemu dziwować i bez tych historii z Cieślą.

Powiedzmy, że ten człowiek z Nazaretu jest w całej pełni uczciwy; że potrafi rzeczywiście zmieniać wodę w wino i uzdrawiać kaleki — co to oznacza? Owa moc musi na Niego spływać z niebios. Jeśli tak — Bóg jednak troszczy się o niemądrego kmiotka z bezwładną ręką i o chłopaczkę z wykrzywioną stopą. I skoro już przyjmujemy, że Bóg się tymi sprawami zajmuje, może to prawda, że wiadro Abrama spadło na dno studni, bo Abram, roztargniony starowina, poszedł za daleko na przechadzkę w dzień szabat.

Znów nastąpiła cisza, a potem z gościńca doleciał rytmiczny chrzęst skórzanych sandałów. Chyba niosą teraz tę ladacznicę, Herodiadę. Szymon widział ją raz w pałacowym ogrodzie; przyjrzała mu się zuchwale, wzruszyła ramionami i odwróciła się. Herodiada to bezczelna dziewczka, od razu wiadomo, najważniejsza kobieta w Galilei, okropność! — czymże biedna, pobożna mała Galilea kiedykolwiek zawiniła, żeby zasłużyć na takie poniżenie? Może Bóg tym razem

175

rozbije statek tetrarchy, jeśli już się zdecydował pomagać w leczeniu schorzeń. Na gościńcu znów było cicho.

I jeszcze jest jedna sprawa, z którą trzeba się uporać. Ta dziewczyna, tajemnicza Idumejka. Jasne, że Hanna nie wie, co o niej myśleć. Powiedzmy, że Estera nie zdoła odszukać swego wuja, co wtedy? Hanna nie zechce jej wyrzucić. Szymon poczuł się osamotniony; nigdzie teraz nie będzie mu swojsko: ani na łodziach, gdzie jego rybacy — przynajmniej niektórzy z nich — z urazą pamiętają zatarg z Janem, ani we własnym domu z tą oszustką idumejską. Cóż za głupiec ze mnie, że przygarnąłem tego brudnego żebraka! — pomyślał.

Znowu słyszał chrzęst sandałów. To na pewno rośli niewolnicy Salome niosą jej kosztowną lektykę. Często widywał Salome na gościńcu z oddziałem konnicy. Jeździ konno wspaniale i w dodatku jest bardzo ładna. Mówi się powszechnie, że akurat tyle w niej czystości, co w kocicy. I krążą pogłoski, że rodzona matka jej nienawidzi, bo tetrarcha darzy ją zbyt dużymi względami. Nie można wierzyć we wszystko, co ludzie mówią, ale nie ma dymu bez ognia. Trudno się dziwić Galilejczykom, że wierzą w każdą złą plotkę o Salome, córce Herodiady; nie cierpią jej, doprawdy mają po temu swoje racje.

Szymon ocknął się z pełnych pogardy rozmyślań o Salome i wygodniej usadowił się pod drzewem. W roztargnieniu podniósł z ziemi gałązkę, zaczął powoli ją łamać. Jakże nędznie postąpił z Janem! To wina chłopca, rzecz jasna, ale nie musiał być taki szorstki. Ostatecznie Jan opowiadał tylko to, co — jak sobie wyobraził — widział i słyszał; wszyscy go nakłaniali do opowiadania. Mówił, że widział to na własne oczy, w biały dzień... stał przy człowieku z uleczoną ręką... jakaś kobieta na ten widok zemdląła. A uzdrowionemu „tak jakoś dziwnie piszczało w krtani. Nie wiadomo, czy chciał się śmiać, czy płakać”. Właśnie ten szczegół wywarł na Szymonie głębokie wrażenie.

Teraz z gościńca dobiegły hałasy. Wzbijały się tumany kurzu, rozbrzmiewały w powietrzu ochryple nawoływania poganiaczy osłów i uderzenia spadające na kościste zady przeciążonych bydlątek. Rzymianie są dla zwierząt okrutni,

lubią bić wszystkie stworzenia, które nie mogą oddać ciosów. Ale oni rządzą światem! Jeśli Bóg chce się zająć postępkami ludzkości, tutaj



przyda się Jego pomoc. Na przykład znowu potop — jak tamten, który pochłonał wszystkich, oprócz Noego z rodziną. Szymonowi oczy się kleiły, gdy czekał, aż osły przejdą i kurz opadnie. Noe spędził czterdzieści dni w dużej arce, w której były też zwierzęta; wylądował na błotnistym szczycie góry; nic tam nie żyło, tylko rosła jedna winorośl. Więc Noe zrobił trochę wina — i upił się. Nie można mu tego mieć tak bardzo za złe.

Oczywiście, Jan, jeśli naprawdę widział to, o czym opowiadał, nie będzie się martwił o pracę. Pójdzie za Cieślą, wystarczą mu do jedzenia jagody i korzonki. No, poczekamy, zobaczymy. Może ci chłopcy lada dzień wrócą, spokojnieją. Coś przecież jeść muszą. Nikt nie potrafi długo żywić urazy z pustym żołądkiem. Szymon wstał, przeciągnął się prostując swe długie ręce i potężnie ziewnął. Tak, oni wrócą. Ich niemądra matka tego dopilnuje. Będzie zrzędziła dopóty, dopóki nie przyjdą mnie przeprosić.

Łodzie Szymona kołysały się lekko na zatoczce. Do dziobu „Abigail” przywiązana była płaskodenna łódka. Któryś z rybaków pełnił świąteczną służbę. Wszyscy inni mieli dzień wolny, żeby należycie oddać cześć Bogu, ale zapewne — przypuszczał Szymon — przechadzają się leniwie po cichych uliczkach Kafarnaum, gawędząc z pijanymi legionistami z twierdzy, i żłopiają młode wino. Prawie tylko do tego sprowadzają się święta religijne: starsi tłoczą się teraz w synagodze zanosząc modły za swoich krnąbrnych synalków, którzy jutro spóźnią się do pracy i będą mieli języki białe i oczy czerwone. Szymona drażniło pijaństwo. Często mawiał, że nawet trochę wina to już za dużo. Od dawna nie kosztował żadnego trunku.

Stanął na pomoście, przyciągnął pływającą skrzynię z żywymi rybami i napełnił okoniami koszyk. W pałacu teraz, gdy liczba mieszkańców się zmniejszyła, nie potrzebowano tylu ryb, ile zwykle dostarczał, ale ci nieliczni, którzy nie wyjechali do Rzymu, zechcą mieć jedzenia pod

177

dostatkiem. Lizjasz, rządca, zawsze pod nieobecność rodziny tetrarchy zawiadujący wszystkim, nie próbował wprowadzać żadnych ograniczeń i niewiele zwracał uwagi na tak drobne wydatki, jak płacenie za codzienne ryby. Szymon w czasie nieobecności tetrarchy rzadko widywał tego chytrego, krępego, śniadego Greka, ale zawsze z ponurym rozbawieniem patrzył, jak Lizjasz się puszył, gdy tylko jego pan wyjechał. Najwyraźniej miał on wysokie mniemanie o sobie. Służebne bały się Lizjasza.

Wsuwając owłosioną rękę pod pałąk koszyka ociekającego wodą, Wielki Rybak ruszył do pałacu. Krętą drogą wjazdową udał się na tylny dziedziniec przy nowych stajniach, gdzie tego dnia nikt nie pracował. Zapewne z powodu święta. Nie znaczy to, żeby Dzień Pojednania miał wagę dla kamieniarzy i rzeźbiarzy, którzy byli wszyscy Grekami, ale pomocnicy murarscy i zwykli robotnicy byli Galilejczykami, przepisy prawa Bożego zabraniają im rzeźbić, ale dźwigać rzeźby pozwalają — Szymon prychnął wzgardliwie wobec takiej obłudy. Poszedł do wejścia kuchennego. Usłyszał wesoły gwar. Służebne świętowały wyjazd państwa.

Na widok Wielkiego Rybaka dziewczyny wybiegły hurmem witając go radośnie i przekrzykując się nawzajem, Murza, wysoka, ciemna Amoryjka, która przedtem ledwie raczyła pozdrawiać go skinieniem

głowy, teraz zabrała od niego koszyk i poklepała go po ramieniu. Zalaływało od niej winem. Rzymianka Klaudia była trochę pijana. Szymon spróbował również okazać wesołość, ale bez powodzenia.

- Wielki Rybak czuje się dziś niedobrze? — Murza uśmiechnęła się łaskawie.
- Zupełnie dobrze — burknął. — Czy mizernie wyglądam?
- Wyglądasz, jakbyś jadł coś kwaśnego — powiedziała

— Pewnie własną rybę! — Klaudia parsknęła śmiechem. Helena stała obok, skromnie przyglądając się posępnej obojętności Szymona na kpiny, które nie bardzo rozumiała.

— Wielki Rybak jest zakochany! — wykrzyknęła Murza. — To mu odbiera apetyt!

Rzuciła złośliwe spojrzenie na Helenę. Greczynka uśmie-

<sup>17</sup>8

chnęła się zakłopotana i potrząsnęła czarnymi kędziorami. Szymon nie wiedział, czy zrozumiała, ale uśmiechnęła się ładnie, cokolwiek to oznaczało, rozjaśnił więc swe ponure oblicze i popatrzył na nią mile.

— Widzicie! Nie mówiłam?! — dokuczała Murza. — To go boli. Usycha z miłości!

- Chyba masz rację... wyjątkowo! — zaopiniowała Lia. — A zawsze udaje, że jest twardy i silny, i męski, i co tam dla niego kobiety! Mocarz! Ale nie może jeść... tak się zakochał!
- Powinien posiedzieć w lochu razem z tamtym na

stroszonym puchaczem, który też nic nie je! — Klaudia śmiała się wesoło ze swego żartu.

- Ona mówi o nowym więźniu — wyjaśniła Anna z niespodziewaną powagą. — Legioniści przyprowadzili go przedwczoraj. Powiedzieli, że żywił się na pustyni konikami polnymi i innym pieczonym robactwem
- No... to z łatwością znajdziecie strawę dla niego — zauważył Szymon rad ze zmiany tematu. — "Pora już za późna na większe robaki — dodał — ale na pewno roi się od małych w jego pośłaniu.
- Wcale nie! — zaprotestowała Anna. — On ma celę czystą i wygodną. Jego królewska wysokość wydał specjalny rozkaz co do tego. I kazał go dobrze traktować. Uważa, że ten nieborak jest pomyłony, ale żadnej zbrodni nie popełnił.
- O co go oskarżają? — zapytał Szymon bez zainteresowania.
- Wędrowny prorok — odpowiedziała Anna. — Chciał byś go zobaczyć? Galilejczyk. I wolno go odwiedzać, chociaż nikt do niego nie przyszedł... jak dotąd.
- Może jego przyjaciele boją się zbliżyć do więzienia — wyraziła przypuszczenie Lia. — Ja bym się bała.

Szymon wyprostował się, ogromny, zwałisty wśród tych dziewcząt. Ręce włożył za pasek i zuchwale splunął na ziemię.

- Nie odwiedzam proroków! — warknął. — Nie myślałem, że macie mnie za takiego głupca.
- Nie... ja nie — Anna zagadkowo uniosła brwi na

znak, że wie coś więcej, niż zamierza wyjawić. — Nie

179

wierzę, żeby ten człowiek był pomyłony... Może jest rzeczywiście prorokiem!

- Skąd tyle wiesz o tym... o tym pluskwojadzie? — Szymon uśmiechnął się. — Jesteś jego dozorcą?
- Zanoszę mu jedzenie. On nie chce jeść, ale chce mówić. Usta mu się nie zamykają. Powinieneś go słyszeć. Brr! Aż dreszcz mnie przebiega! Mówi, że Ktoś Wielki został zesłany... z niebios, żeby uwolnić niewolników i zrzucić możnych z tronów! — Na twarzy Anny malowało się szczere zaniepokojenie. — Cały świat będzie wstrząśnięty! — dodała z powagą.
- Jak pragnę zdrowia... to fakt... Anna nie zmyśla — potwierdziła Klaudia w podnieceniu. — Byłam z nią, gdy to powiedział! Cały świat się zatrzęsie w posadach — dorzuciła.
- Nie pleć — upominała ją Lia. — Żaden prorok nie powiedziałby nic tak śmiesznego.
- Ale... to nie jest śmieszne — oświadczyła z uśmiechem Klaudia. — Nie jest, jeśli się to sprawdzi! Anna w to wierzy, co, Anno? — Szturchnęła w bok tę poważną teraz Żydówkę. — I przejęłaś się tym w dodatku! — powiedziała, gdy Anna zachnęła się i potrzęsnęła głową. — Strach cię obleciał... od razu poszłaś do tej waszej... jak wy to

mówicie?... Synagogi! Nie?... Wasz nudny stary Bóg jest stanowczo zbyt srogi dla was, biednych Żydów. My Rzymianie ...my mamy mnóstwo, mnóstwo bogów. Naj różniejszych. Możemy wśród nich wybierać i jeśli któryś nam nie odpowiada... pfff! — czubkami rozłożonych palców przesłała niedbale pożegnalnego całusa w powietrze do owego bóstwa.

Jeśli podpita Klaudia liczyła na ogólny śmiech, to spotkało ją rozczarowanie. Anna i Lia zmroziły ją wzrokiem. Murza skrzywiła się: nie była pobożna, ale była przesadna i potępiała bluźnierstwo. Helena, która nie wiedziała, o co chodzi, zapatrzyła się pogodnie w dalekie sine góry. Szymon przez cały czas niemądrej wypowiedzi Klaudii patrzył na strapioną Annę. Teraz podszedł do niej.

— Więc ten człowiek mówił, że Ktoś Wielki ma nadejść?  
— zapytał tak poważnie, że aż zamrugła.

## 180

- Mówił — wtrąciła Klaudia usłużnie. — Słyszałam na własne uszy.
- Cicho! — krzyknęła Lia jak do rozszczekanego psiaka.
- Gdzie? — zapytał Szymon Annę.
- Wiem, co myślisz — odpowiedziała po chwili wahania.
- Tyle opowiadają... o Cieśli, który czyni dziwne *rzeczy*.
- Zniżyła poufnie głos. — Ale to nie o Cieśli on mówił. Opowiadają, że Cieśla uzdrawia chorych, a ten Wielki ma

być nie po to, żeby kogokolwiek uzdrawiać. Ma ukarać władców i bogaczy!

- Zastanawiam się, czy jego wysokość wie, co wygaduje nasz więzień — zauważyła Murza. — Może gdyby usłyszał choć trochę tego gadania, nie kazałby go traktować tak delikatnie.
- Jeśli ten Wielki wziął się na bogatych — zadrwił Szymon — czy nie mógłby jakoś pomóc ubogim? Może byś o to zapytała tego pluskwo jada, Anno?
- Sam go zapytaj, skoroś tak ciekaw — burknęła Anna, którą już ta rozmowa znudziła.
- Ciekaw — powtórzył gniewnie. — Czego tu miałbym być ciekaw? Wasz prorok to pomylenieć i zasługuje, żeby go trzymać w zamknięciu! A co do Cieśli, to wkrótce okaże się oszustem! I także jest pomylonny! Kto chce wierzyć w takie bzdury, niech sobie wierzy! — W głosie Szymona drżało oburzenie. — Ja nie wierzę w nic a nic z tych bredni! Nie wierzę... W nic z tego wszystkiego, mówię wam!

Zdumione dziewczyny oniemiały na długą chwilę. W końcu milczenie przerwała Lia.

- No... ale czy któraś z nas powiedziała, że wierzysz? — wycedziła.
- Głowę dam, że wierzysz! — pisnęła Klaudia. — Inaczej byś się tak nie zapalał i nie złościł!

Szymon znów rozgniewany naigrawaniem się z niego, powiedział, że

wszelka gadanina o sprawach Bożych powinna być zabroniona prawem! Na to Lia ze złośliwym uśmiechem oświadczyła, że tak czy owak on po śmierci prawdopodobnie pójdzie do piekła.

—I nie będzie mu się tam podobało! — Klaudia parsknęła śmiechem. — Nie lubi tłoku! Słyszałam, jak mówił, że nie lubi!

181

- Głupek z ciebie, Klaudio — powiedziała Anna tłumiąc ziewnięcie.
- Może... ale radosny głupek. A wy, głupki żydowskie, nic tylko z powagą wciąż się smucicie. A przydałoby się wam w wasze święta poweselić! Pośmiać się! Pośpiewać! Pić wino, żeby rozgrzać swoje zimne brzuchy! — Klaudia zaczęła zuchwale tańczyć. — Przyniosę wam wina! — zawołała śpiewnie, oddalając się, zadowolona, że wpadła na taki dobry pomysł.
- Dla mnie nie! — zawołała Lia.
- Dla mnie też nie — powiedziała Anna.
- W takim razie przyniosę Wielkiemu Rybakowi! — zawołała Klaudia wesoło.
- Idź... zatrzymaj ją, Murzo! — powiedziała Lia. — Ciebie ona usłucha. I niech już nie pije. Za bardzo się podochociła. Jeszcze trochę, a Lizjasz ją wychłosta.
- Nie ma obawy. — Murza nie ruszyła się z miejsca. — Lizjasz także rozgrzewa swój zimny brzuch.
- Czas mi w drogę — wymamrotał Szymon. — Robota



czeka. Zabierzcie ryby z koszyka...

Klaudia już wracała chwiejnie, dźwigając ciężką tacę z dużym dzbanem i kubkami do wina. Bez tchu postawiła tacę przy zegarze słonecznym, po czym uśmiechnęła się promiennie do nich wszystkich.

- Jeśli Lizjasz zobaczy cię tutaj z tą srebrną zastawą...  
— ostrzegła Lia.
- Mniejsza o mój koszyk — mruknął Szymon od chodząc. — Wezmę go kiedy indziej.
- Ależ... to niegrzecznie — zaprotestowała Klaudia. —  
Ja się trudzę, żeby przynieść ci wino w pięknym srebrze jego wysokości... a ty uciekasz! Mówi się, że Wielki Rybak jest silny i odważny! Phii! — Patrzyła na niego z chłodną pogardą. — Dobrze więc! Biegnij do synagogi... Wielki Rybaku! Módl się !

Szymon poczerwieniał z gniewu. Klaudia widząc to napełniła kubek winem i z przymilnym uśmiechem podała mu.

— Nie powinnam była ci dokuczać, doprawdy. Przecież wiemy, że jesteś bardzo duży... i dzielny... i męski!

182

— Ja nie wiem. — Lia lekceważąco pokręciła nosem.

Dotknięty tymi zniewagami Szymon porywczo chwycił kubek i wychylił do dna. Mocne wino rozgrzewało mu gardło, poczuł przyjemne ciepło w całym ciele. Nawet gotów był jeszcze raz udowodnić, że nie jest pobożnym cherlakiem. Podał kubek Klaudii, która chichocząc naląła mu znowu wina.

- Lepiej nie żłop zbyt prędko, mocarzu — doradziła Anna, gdy Szymon odchylił głowę.
- Wystarczy, Klaudio — ostrzegła Murza. — Chyba nie chcesz narazić go na kłopoty. Widać, że on nie umie pić wina. Zaraz będzie pijany.

Szymon wierzchem swej dużej dłoni otarł usta, westchnął pełen ukontentowania, uśmiechnął się głupio i złożył głęboki ukłon, czym rozbawił je wszystkie prócz Heleny, uśmiechniętej niepewnie, wyraźnie zaniepokojonej.

Odetchnęły jednak z ulgą, *patrzac*, jak Wielki Rybak odchodzi. Ruszył na podjazd długim, sprężystym, wojskowym krokiem. Nigdy w życiu nie czuł się tak świetnie. Z boku na bok kołysał kudłatą głową oszołomiony, ale rozradowany. Maszerował buńczucznie wymachując rękami, podrzucając ramionami.

Ta italska flądra miała rację: Żydzi rzeczywiście traktują siebie samych zbyt poważnie, czynią ze sprawy istnienia smutne i przykre przedsięwzięcie. On teraz zdecydował się być bardziej lekkomyślny. Niech tam inni, przejęci niego-dziwością świata, wycofują się w głąsę, niech jadają robactwo i niech cieszą się z odosobnienia, ja bym nie był taki głupi — rozmyślał. — I ani mi się śni zastanawiać nad tym Cieślą nędzarzem.

Dobrze utrzymana droga stała się pod kopytami juczej karawany tetrarchy bardzo wyboista. Szymon co chwila potykał się o kamienie. Parskał śmiechem, usiłując iść prosto, i nucił urywek jakiejś melodii. Chciał śpiewać. Od dawna już nie śpiewał swym grubym, donośnym głosem. Przypomniwał sobie psalm z czasów dzieciństwa. Tak jak pamiętał,

w jednostajnej niskiej tonacji kantora z synagogi, zaintonował żaloszny recytatyw:

— „Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości,  
w ogromie swego miłosierdzia. Wymaż moją nieprawość.

183

Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego. Uznaję moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną... " — nagle urwał i zaklął siarczyście pod nosem, gdy pojał sens tego starego psalmu z Dnia Pojednania. W dzieciństwie nauczył się tych słów na pamięć, nauczył się tak dokładnie, że w ogóle przestały dla niego cokolwiek znaczyć: były tylko czcigodnym szeregiem dźwięcznych sylab zawile splecionych z uprzykrzoną melodią. Znów zaklął. Czy nigdy nie będzie wolny od surowych rozmyślań, chyba sądzonych Żydom od dnia urodzenia? Czy już z natury uodporniony jest na wszelką radość? Wtedy gdy chce śpiewać wesoło, jedyna znana mu pieśń to skomlenie w poczuciu winy.

Nagle jednak uprzytomnił sobie, że zna również inną pieśń. Sprośną piosenkę żeglarzy. Czasami jego ludzie ostrożnie, po cichu nucili ją, starając się nie wyśpiewywać zbyt wyraźnie nieprzyzwoitych słówek — bo Wielki Rybak, chociaż bluźnił, nie cierpiał sprośności. A przecież teraz dość miał samobiczowania się tymi wszystkimi psalmami, które w jego dzieciństwie zawodził stary Jona. Wyzywająco, wniebogłosy zaśpiewał piosenkę żeglarzy, przy czym najplugawsze słowa ryczał tak, jakby chciał, żeby doleciały do niebios i uraziły Boga!

Potem zaczął śmiać się histerycznie, aż oczy mu zaszły łzami, nie widział drogi, zaczepił rękawem o krzak. To go trochę otrzeźwiło.

Usłyszał własny głupi śmiech, jeszcze rozbrzmiewający mu w skołowaciałej głowie. Wygramolił się z krzaków z powrotem na drogę, ochryple mrużąc, że jest durniem, przeklętym pijanym durniem.

Zbliżał się już do gościńca. Cisza ostrzegła go, żeby się zmytygował. Nie było turkotu i skrzypienia kół. Każdy, kto by dzisiaj popychał taczki albo powoził wózkiem zaprzężonym w osły, utraciłby reputację człowieka przyzwoitego. Nieliczni piesi szli powoli na dowód, że szanują dzień święta. Poważniejąc, Szymon, gdy ich mijał, kłaniał się, jak przystoi. Radość, wrażenie lekkości zupełnie go opuściły.

Zszedł do przystani, niezdarnie wlaź na łódkę, usiadł ciężko i popłynął do swoich żaglowców. Natychmiast zmęczył się okrutnie. Ręce miał ciężkie i tak wiosłował, że

184

mnóstwo wody chlustało na dno łódki. Gdyby przyłapał któregoś z chłopców na takim młóceniu jeziora wiosłami, zapłaciłby mu, co należy, i wyrzucił z pracy kopniakiem. Był spocony, osłabiony, czuł mdłości, zanim wreszcie dopłynął na dziób „Abigail”.

Do burty podszedł Tadeusz i rzucił swemu panu linę wołając wesoło, że pogoda jest piękna. Widocznie jeszcze nie zauważył, że z panem coś nie w porządku. Szymon wolałby mniej dowodów troskliwości ze strony Tadeusza i już chciał od razu wysłać go pod jakimkolwiek pozorem na tył żaglowca, ale zmienił zamiar. Czemuż by nie miał sprostać sytuacji? Z wielkim wysiłkiem dźwignął się na pokład, słabo spróbował się uśmiechnąć i powiedział:

- Zastąpię cię tu, chłopcze. Może chciałbyś pójść do synagogi?

- Ani mi w głowie! — wykrzyknął Tadeusz pewny, że Szymon uśmiechnie się z uznaniem.

Ale Szymon się nie uśmiechnął. Poszedł wolno na rufę, usiadł na wygrzonym w słońcu miejscu sternika i dość nieudolnie zaczął udawać, że naprawia postrzępione resztki starych wyblinek. Po chwili Tadeusz chciał pomóc. Szymon odprawił go zamyślony. Minęła godzina. Chłopiec trochę już niespokojny przyniósł talerz z wędzoną rybą i dwoma twardymi sucharami i kubek ze słodkim jabłecznikiem.

Szymon przytaknął, ruchem ręki kazał postawić talerz obok siebie. Podniósł kubek do ust, powąchał, kilkakrotnie zamrugał — i wzdrygnął się.

— Niezbyt dobrze się dziś czuję, chłopcze — wymam rotał, wcale nie kłamiąc.

Tadeusz bąknął coś niewyraźnie i odszedł. Zrozumiał, że ma nie przeszkadzać. Na pewno — pomyślał Szymon — chłopak wie, dlaczego. A to źle. Ale przynajmniej wie teraz, w czym rzecz, i nie będzie się obawiał, że popadł w moją niełaskę.

Szymon dalej dumiał o młodym Tadeuszu. Zaczny chłopiec, dobry żeglarz, dobry rybak, ale ciężkie zmartwienie dla rodziców. Podobno oni uważają, że stracili syna, i to przeze mnie. No... możliwe z punktu widzenia ich wielkiej pobożności. Ten młodzik jest tak do mnie przywiązany, że

nawet naśladuje mój sposób bycia i mówienia, aż załoga z niego żartuje.

Pochylając się, podtrzymując głowę ciężką i obolałą, Szymon z

obrzydzeniem zwymiotował. Rodzice Tadeusza mają rację: wywieram zły wpływ. A gdybym go tak zawołał i powiedział: „Słuchaj, chłopcze, może byś umył twarz, uczesał się i poszedł dziś do synagogi? To by sprawiło przyjemność twojej matce. I choćby tobie nic z tego nie przyszło, warto przecież ucieszyć rodziców...” Ale nie, nie można tak zrobić; Tadeusz jest i bez tego zdumiony moim niezwykłym zachowaniem się tutaj. Dosyć rozczarowań dla chłopca jak na jeden dzień.

Tępo podnosząc wzrok, zobaczył, że Tadeusz przeskakuje z prawej burty na pokład „Sary” i czemuś się stamtąd przygląda. Wychyla się mocno, przysłania oczy obiema rękami. Po chwili Tadeusz odwrócił się z szerokim uśmiechem i w podnieceniu zawołał do niego:

— Niech ja skonam, jeśli nie uruchomili tej łajby!

Zaciekawiony Szymon wstał ociężale. Przełazi na pokład „Sary” i popatrzył w kierunku wskazanym przez Tadeusza. Właśnie odpływał tam od brzegu mały jednomasztowiec, który niszczał porzucony na przybrzeżnej mieliźnie przez całe trzy lata, odkąd jego właściciel, biedny staruszek Jafet, zrezygnował z rybołówstwa.

— Ktoś będzie bardzo mokry — burknął Szymon. — ta stara balia przecieka w każdym spojeniu. — Zachichotał pogardliwie, przypominając sobie tabliczkę, którą Jafet przybił na dziobie swego niepotrzebnego już żaglowca: „Na sprzedaż albo do wynajęcia” i dopisek jakiegoś wesołka: „Albo do zgnicia”.

— Kto mógł być taki głupi — zapytał Tadeusza — zęby to spuścić na wodę?

— Myślałem, że wiesz, panie. To synowie Zebedeusza

wydzierżawili tę łajbę — odpowiedział Tadeusz. Jego entuzjazm wobec tak zdumiewającego przedsięwzięcia szybko przygasiło zgryźliwe zmarszczenie brwi Szymona.

— Głupcy! Łódź niezdatna do żeglugi. Nawet jeśli się utrzyma na wodzie. Byle podmuch wiatru i... pójdzie na dno.

186

- Tak — zgodził się Tadeusz posłusznie. — Ale Jan dosyć dobrze radzi sobie z rejami. Już kto jak kto, ale on stawi czoło wichurze!
- Dużą mają załogę? — zapytał Szymon. — Przypuszczam, że wezmą swojego starego.
- Nie, panie. Przyjęli kilku chłopców z Kafarnaum. Zebedeusza nie chcą nam zabierać. — Tadeusz odważył się uśmiechnąć ironicznie.

Szymon jednak nie był w nastroju do żartów, splunął w wodę i z brwiami zmarszczonymi już wracał na pokład „Abigail”. Tadeusz znudzony i markotny ruszył za nim jak cień.

- Możesz zejść na ląd, chłopcze — powiedział Szymon.  
— Ja tu będę.
- A w nocy?
- Chyba też.
- Nie chciałbym zostawić cię samego.

Szymon nic na to nie powiedział, więc Tadeusz zwlekał z odejściem.

— Płyn na brzeg! — zawołał w końcu Szymon niecierpliwie. — Rób, co mówię! Wolę być sam!

Zmieszany, przerażony tą niezasłużoną odprawą chłopiec odszedł po cichu i wskoczył do jednej z kołyszących się łódek. Gdy był już dostatecznie daleko, Szymon rozbity, chory na ciele i na duchu poczłapał do małej kajuty, położył się na gołej koi, która nigdy dotąd nikomu nie służyła, bo nie zdarzyła się po temu sposobność, i zapadł w rozhuśtany niespokojny sen.

## 7

Tam, gdzie już Hanna nie mogła sięgnąć wzrokiem, Estera przestała się spieszyć, zrównała krok z rozchodzącym się powoli, bez celu w ten świąteczny dzień tłumem, idąc teraz niby to niedbale wśród gromadek kobiet, które zmierzały na północ. Kobiety gawędziły. Z ulgą stwierdziła,

187

że wcale nie zwracają na nią uwagi, zajęte omawianiem pochodu tetrarchy — przynajmniej tak jej się wydawało, bo nie bardzo ich język rozumiała. W galilejskim zniekształceniu aramejskiego często kilka słów łączono w jedno zdanie; jeśli były wypowiedziane szybko, nabierały szczególnej kadencji, coraz wyżej, aż miały ton pytania.

Estera, niepozorna w prostej wiejskiej sukience Abigail, szła skrajem gościńca zadumana nad swoimi mnogimi trudnościami. Nie miała zamiaru dogonić Szymona i udawać, że szuka wymyślonego wuja Józefa. Szła dla zabicia czasu, czekając, aż czcigodny Dawid pożegna się z Hanną i pójdzie do domu. Wtedy będzie mogła spokojnie wrócić do Betsaidy.

Ten wielce uczony i bywały w świecie saduceusz okazał jej wprost



niepokojący szacunek. Jasne, że bystry prawnik snuje dosyć trafne przypuszczenia co do jej tożsamości. Tożsamość — Estera uśmiechnęła się przelotnie. Dawid zastanawia się, kim ona jest. No, kim jestem. Ostatnio musiała zmieniać swą tożsamość tyle razy, że ją samą to oszołamiało.

To dziwne — rozmyślała — że można się tak naginać, gdy konieczność wymaga oszukiwania ludzi, co z kolei powoduje oszukiwanie siebie. Skuteczne przebranie się za chłopca to poważna i niebezpieczna sprawa. Nie wystarczy udawać chłopca. Krótkie włosy i męski strój to tylko cząstka tej sprawy. Oszukiwanie wymaga bezwzględnego skupienia. Nawet w samotności, z dala od czyichkolwiek oczu trzeba przybierać buńczuczną postawę, robić srogą minę, burczeć, warczeć i spluwać. Wszelkie dziewczęce odruchy trzeba w sobie tłumić. Trzeba chodzić energicznym krokiem, zaciskać pięści, wymachiwać rękami i pamiętać o trzymaniu łokci daleko od boków.

Jan, ten chrzciciel, odkrył jej sekret. Sama była temu winna. Stała na szczycie wzgórza pod wiatr, odzież więc przylgnęła do jej kształtów. Gdyby nie taka nierozwaga, może by się nie domyślił. W każdym razie miała dużo szczęścia przez cały czas odgrywania roli chłopca.

A przecież skoro nie dało się oszukać Hanny, bez trudu przedzierzgnęła się z powrotem w dziewczynę. Po prostu

188

ubrała się od góry do dołu w rzeczy Abigail, własną bieliznę wepchnęła głęboko na dno starej skrzyni. Teraz jest Esterą. Ale, o dziwo, zaniechanie wyuczonej roli chłopca nagle przyćmiło jej pamięć o wszystkich przeżyciach, jakie wtedy miała. Nie zapomniała ich: zbladły jednak,

zacierają się, jak gdyby je oglądała przez zakopcone szkło. Co nie znaczy, żeby czuła się swojsko jako Estera.

Znów trzeba się naginać, przybierając nową osobowość. Estera musi ponosić odpowiedzialność za siebie. Nie wystarczy już nie być poganiaczem wielbłądów, który uciekł z karawany. Koniecznie należało wymyślić — i to bardzo szybko — nowe wytłumaczenie swojej obecności w Galilei. Estera więc wymyśliła, że poszukuje swego wuja. Wiedząc, że nie może ryzykować i odpowiadać bez przygotowania, gdy ciekawscy będą ją pytać o tego krewnego, zaczęła wyobrażać sobie drobiazgowo wuja Józefa, którego prawie każdy mógłby rozpoznać z dokładnego rysopisu. Wuj Józef stał się dla niej rzeczywisty! Ma krótką szpakowatą brodę i słaby wzrok, co sprawia wrażenie, że bezczelnie przypatruje się ludziom, ale doprawdy nie jest bezczelny; jest dość nieśmiały i powściągliwy. Poza tym łysy, trochę zgarbiony i kulawy. W dzieciństwie złamał nogę i dlatego utyka; ale nie aż tak okropnie, żeby mu to przeszkadzało w pracy. Uśmiecha się życzliwie, chociaż nigdy nie miał za dużo do powiedzenia. Wszystko to i wiele innych szczegółów Estera wymyśliła teraz o wuju Józefie.

Na skraju niechlujnej małej miejsciny Magdali zatrzymała się, leniwie popatrzyła na jezioro rozmigotane w blaskach jesiennego południa, jeszcze pełnego resztek lata, i zawróciła wolno do Betsaidy.

Nie, nie trudno stać się Esterą, osieroconą siostrzenicą Józefa, kulawego, krótkowzrocznego kamieniarza, ale kłopot polega na tym, że będąc Esterą utraci łączność z Farą, zostawi Farę daleko za sobą — Farę i wszystko, co się odnosi do Fary!

Przymknęła oczy, wzdrygnęła się lekko. Fara i wszystko, co należy do

osobowości Fary, jest zamglone, wydaje się snem. Arabia! Matka! Jona! I Woldi! Woldi! Usiłowała przypomnieć sobie, jak się czuła przy nim, galopując wąskim

189

szlakiem w górach, mocno ściskając kolanami gorące boki Saidi; usiłowała uśmiechnąć się do radosnych oczu Wol-diego i gdy to okazało się niemożliwe, oślepiły ją łzy; usiłowała z cichym jak kwilenie szlochom przypomnieć sobie pieszczotę delikatnych palców Jony czeszącej jej włosy. Ale i to było teraz czymś nierzeczywistym, tak nierzeczywistym, jak gdyby dotyczyło kogoś innego, o kim ona czytała albo też kogo sobie wyobraziła. Estera jest bardzo samotna, zagubiona i tęskni za Farą — i boi się! Przyspieszyła kroku: trzeba wrócić do Hanny, Hanna to rzeczywistość!

Po raz pierwszy zastanowiła się poważnie nad trwałymi już skutkami oszukiwania siebie. Najwidoczniej innych możesz oszukiwać bez dużego uszczerbku, ale z chwilą, gdy za wszelką cenę chcesz owo kłamstwo wmówić sobie samej, grozi ci to utratą osobowości.

Nigdy dotąd trzymanie się prawdy nie miało szczególnego znaczenia. Kłamstwa były błahostką, o ile, rzecz jasna, nie czyniły nikomu krzywdy. Z pewnością Arabia nie jest zbyt skrupulatna, jeśli chodzi o prawdomówność; Żydzi też są pod tym względem nie lepsi. Czy w ogóle można by dobijać jakichkolwiek targów nigdy nie mijając się z prawdą? Estera przypomniwała sobie, że istnieje jakieś żydowskie przykazanie, w myśl którego rzeczą karygodną jest „wystawiać fałszywe świadectwo przeciwko bliźniemu swemu” — ale to chyba ma niewiele, jeśli w ogóle coś ma, wspólnego z powiedzeniem od czasu do czasu nieprawdy,

żeby dokonać sprzedaży albo oszczędzić komuś zakłopotania w trudnej sytuacji. Teraz jednak zaczyna okazywać się, że prawda jest nie tylko pewnego rodzaju własnością, ale co ważniejsze, oszukiwanie siebie na dłuższą metę może faktycznie być duchowym samobójstwem.

Hanna uradowała się na widok wracającej Estery i była do głębi wzruszona, gdy dziewczyna odruchowo rzuciła się jej w objęcia, przejawiając nieoczekiwanie szczerą sympatię.

— Mam dla ciebie miłą wiadomość, moja droga! — wykrzyknęła Hanna po chwili. — Dawid zaprosił nas do swojego ogrodu. Dziś po południu, jeśli zechcemy.

Spodziewała się pewnego oporu, ale ku jej uldze Estera

190

szybko zgodziła się tam pójść, nawet wydawała się zadowolona. A jeszcze przed godziną szukałaby jakiejś wymówki, żeby uniknąć tych odwiedzin.

Weszły do rozległego ogrodu Sadoków i po wymianie powitalnych grzeczności Debora, siostra Dawida — wysoka, chuda stara panna, co najmniej pięćdziesięcioletnia — zabrała Hannę na przechadzkę mówiąc, że warto zobaczyć, jakie jesienne kwiaty jeszcze kwitną, chociaż jej szorstki ton świadczył, że pomysł szukania kwiatów tak późną jesienią raczej nie wyszedł od niej.

Ta propozycja wyraźnie była skierowana do Hanny, co potwierdziło przypuszczenie Estery, że Dawid zaplanował rozmowę na osobności. Zmarszczył teraz brwi, pewnie uważając, że jego prostolinijna siostra mogłaby jednak załatwić to chytrzej. Estera na dowód, że nie jest tępą i widzi jego rozdrażnienie, uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Przyjął ten uśmiech ściągnięciem warg i wzruszeniem ramion, po czym z wolna, niechętnie uśmiechnął się do niej.

- Moja siostra Debora — rzekł przeciągle — zawsze wyznaje zasadę Arystotelesa; najkrótszą drogą od punktu do punktu jest linia prosta.
- I najpewniejszą drogą — dodała Estera poważnie, jak gdyby odżegnywała się tym samym od wszystkich dróg krętych.

Spojrzał na nią badawczo, zobaczył w jej oczach decyzję złożenia broni i uśmiechem wyraził uznanie. Wolno szli oboje za Debora i Hanną. Przed zakrętem alei ujął ją lekko za łokieć i poprowadził w bok do pięknego gaju. Były tam różne odmiany drzew, z których większości nie знаła. Żeby coś powiedzieć, zauważyła, że to dziwne, skąd takie drzewa w Galilei?

— Mój ojciec — odpowiedział Dawid — często po dróżował po obcych krajach. Interesował się drzewami.

W tym gaju niewiele mamy drzew galilejskich.

Przystanął, żeby się rozejrzała, i zapytał tonem sztucznie niedbałym:

— Rozpoznajesz niektóre wśród nich... z Idumei?

191

Nachmurzyła się zniecierpliwiona.

— Ja nigdy nie byłam w Idumei, panie! — Nieopanowana cierpkością głosu zganiała go za to, że zastawił na nią pułapkę. Czyż on nie ma zamiaru rozmawiać z nią szczerze?

Trochę zaskoczony irytacją dziewczyny Dawid popełnił jeszcze jeden

błąd. Mruknął przepaszająco, że zaszło nieporozumienie.

- Myślałem, że jesteś Idumejką — powiedział.
- Nie myślałeś tak, panie! — wykrzyknęła. Po chwili spytała błagalnie: — Czy nie możemy być wobec siebie uczciwi? Miałaś nadzieję, że zwierzę się tobie. A sam mi to utrudniasz. Bardzo potrzebuję twojej rady... i życzliwości. Jestem samotna... zagubiona.

Wskazał drewnianą ławkę przy ścieżce. Usiedli.

- Wybacz, moje dziecko — rzekł łagodnie. — Zatem opowiedz mi o sobie tyle, ile chcesz, żebym wiedział. Uszanuję twoje zaufanie.
- Skrócimy tę opowieść, jeśli powiesz mi, panie, co ci już o mnie wiadomo.

Dawid powiedział. Kilkanaście lat temu, gdy kształcił się w Atenach, zainteresowany przede wszystkim współczesnymi wydarzeniami politycznymi, musiał poznać dokładnie sprawę niesłychanego przymierza Żydów i Arabów, zawartego w nadziei, że wobec połączenia ich sił Rzymianie przestaną myśleć o najeździe. Zadokumentowaniem tego paktu miało być spowinowacenie obu rodzin królewskich przez małżeństwo. Antypas poślubił królową Arabii, ale wkrótce potem obszedł się z nią wręcz haniebnie. Było tam dziecko, córeczka.

- Nie znam jej imienia — powiedział Dawid.
- Nie Estera — zaryzykowała dziewczyna, spuściwszy oczy.
- Zapewne nie. — Udawał, że rozważa tę sprawę. — Estera to imię zdecydowanie żydowskie, a wtedy, gdy ona

się urodziła, jej matka, Arabka, raczej nie pragnęła mieć jeszcze na dokładkę takiej pamiątki.

- To prawda. Na imię mi Fara. — Zawahała się. — Ale może lepiej, żebyś nadal nazywał mnie Estera?

192

Dawid przytaknął, pochwalając jej decyzję. Bezpieczniej dla niej w Galilei mieć imię Żydówki.

—I skoro już o tym mowa — ciągnął — czy zechcesz mi powiedzieć, co cię tu sprowadziło? Chyba nie myślisz onawianiu stosunków z ojcem?

Wolno potrząsnęła głową. Po namyśle oznajmiła:

—Wszystko ci wyznam... Dawidzie.

I wyznała. To była długa historia. Dawid nieczęsto jej przerywał pytaniem bądź komentarzem. Gdy opowiadała, jak uparcie Jona uczyła ją greckiego, oczy mu rozbłysły.

- Doskonale! — wykrzyknął. — Od dawna nie rozmawiałem z nikim tym pięknym językiem.
- Mnie też będzie przyjemnie rozmawiać z tobą po grecku — odpowiedziała.

Dawid uśmiechnął się, widząc, jak skwapliwie przeszła z języka aramejskiego w płynną, melodyjną grekę. Od tej chwili opowiadała śmieiej. Zachwycony patrzył na ruchy jej warg. Mówiła po grecku bez wysiłku, z całą swobodą przydając temu językowi wdzięku.

A jednak gdy skończyła mówić, smętnie potrząsnęła głową.

- Och, moje dziecko, postanowiłaś dokonać rzeczy

niemożliwej. Jesteś bardzo odważna, ale w tym wypadku największa nawet odwaga będzie bezsilna.

- Radziłbyś mi, panie, złamać przysięgę? — zapytała rozczarowana.
- Mam nadzieję, że nie poprosisz mnie o pomoc w wysłaniu cię na pewną śmierć — mruknął Dawid.

Oczy jej się rozszerzyły. Ten człowiek nie chce, żeby go prosiła o pomoc. Czy to znaczy, że mógłby pomóc, gdyby chciał?

—Proszę, pamiętaj, panie — powiedziała błagalnie — że w Arabii spaliłam za sobą wszystkie mosty, a na ziemi żydowskiej jestem bezdomna. Przysięgłam pomścić matkę  
1 zamierzam tej przysięgi dotrzymać. Gdybym straciła życie... no, lepiej umrzeć z honorem niż żyć bez celu... niepotrzebnie, i tylko sprawiać kłopot ludziom, których kocham.

Dawid długo siedział z oczami przymkniętymi, gładząc się po brodzie. Nagle ku zaskoczeniu Estery zaczął mówić, jak się jej zrazu wydawało, zgoła nie na temat.

13 — Wielki Rybak , 193

—Mój przyjaciel i klient, Jair, mówił mi, że tetrarcha nabył prywatną bibliotekę jakiegoś zbankrutowanego Koryntianina. Te papirusy... głównie dzieła greckich klasyków... są w opłakanym stanie. Niszczały, gdyż ich właściciel ostatnie lata życia przesiedział w rzymskim więzieniu.

Estera słuchała uważnie z oczami szeroko otwartymi, z ustami rozchylonymi.



- Może tetrarcha — zapytała — przyjmie kogoś do posklejania tych podartych zwojów i uporządkowania jego biblioteki?
- Może. Zobaczymy — odpowiedział Dawid. — Porozumiem się z Lizjaszem, zarządcą.

Debora i Hanna już szły do nich.

—Spotkamy się znowu — rzekł Dawid. — Pojutrze.

Szymon od dwóch dni nie pokazywał się w domu. Hanna szalała z niepokoju.

Przy śniadaniu w pierwszy poranek jego nieobecności próbowała wyciągnąć coś od jego małomównego brata, ale Andrzej, który odznaczał się jedynie tym, że potrafi! nie wtykać nosa w cudze sprawy, poprzestał na przytaknięciu: Tak, Szymon spał tej nocy na „Abigail”.

Rankiem trzeciego dnia Hanna rozpaczliwie zdecydowała się dowiedzieć prawdy, choćby nawet Andrzej odpowiedział jej niegrzecznie. Podała śniadanie, usiadła naprzeciw niego i przyglądała mu się uparcie, dopóki nie podniósł niechętnie wzroku.

— Nie zniosę tego ani chwili dłużej! — wykrzyknęła. —  
Andrzeju, powiedz mi zaraz, co się z nim dzieje!

Andrzej przełknął powoli ostatni kęs. Spojrzał w jej stronę i udzielił odpowiedzi dosyć wymyślnej, jak na swoje możliwości:

- Ja też chciałbym wiedzieć.
- Może czymś go obraziłam, Andrzeju?
- Wiedziałaabyś, gdyby tak było.
- Może Estera?...

- Ją powinnaś zapytać.
- Już ją wybadałam.

194

Andrzej uśmiechnął się lekko, ale nie był ciekaw rezultatów owego badania. Milczeniem dał do zrozumienia, że to nie jego sprawa. Hanna załamano się i rozplakała. Jej łzy go zmartwiły. Nie widział Hanny płaczącej od dnia, gdy Abigail umarła. Wstając popatrzył jej w oczy ze współczuciem.

- Nie wiem, co trapi Szymona. Łodzie wypływają co dzień jak zawsze. Ryb jest dużo, pogoda sprzyja. Nie ma żadnych kłótni między ludźmi. Szymon robi swoje należy cie. Tylko że prawie nie rozmawia z nikim. Serca w pracę nie wkłada. Coś mu doskwiera.
- I ty nie wiesz, co? — zapytała Hanna, ledwie skończył tę zdumiewająco długą jak na niego wypowiedź.
- Nie wiem. On sam nie mówi, ja go nie pytam.
- Dlaczego?
- Nie mam zwyczaju pytać ludzi o ich myśli.
- Ale Szymon to twój brat!

Brat Szymona przyjął do wiadomości to oświadczenie powolnym przytaknięciem i odszedł od stołu. Na to Hanna znów rozplakała się żałośnie. Andrzej więc usiadł przy stole z powrotem, mnąc swoją wełnianą czapkę. Wreszcie powiedział:

- Jak wiesz, Hanno, on bardzo lubi Jana, syna starego Zebedeusza, traktował chłopca prawie tak, jakby to był jego

własny syn. Parę dni temu Jan wybrał się na wieś, żeby zobaczyć i usłyszeć tego Cieślę, który podobno czyni cuda. Tyś chyba słyszała dziwne opowieści o Nim. Mówią, że uzdrawia chorych.

- Gadanie! — zaopiniowała Hanna ocierając oczy.
  - Oczywiście — zgodził się Andrzej. — No... Jan wrócił i powiedział przy nas wszystkich, że widział, jak Cieśla uleczył komuś sparaliżowaną rękę.
  - Nie uwierzyliście mu, mam nadzieję?! — wykrzyknęła Hanna.
  - Ja nie... nie uwierzyłem... ale Szymon nie jest sobą, odkąd Jan to powiedział.
  - Ale... chyba... Szymon by się nie przejął czymś takim!
- Hanna zdumiona szeroko rozwarła spuchnięte powieki.
- Już kto jak kto, ale Szymon...

195

- Chyba nie — zgodził się Andrzej. — Zdaje mi się, że to chodzi o Jana. Ten chłopiec rzucił pracę. Z Jakubem, swoim bratem, wynajął starą łajbę i będą łowić na własny rachunek.
- I Szymon o tym nie mówi?
- Ze mną nie.
- Ale... Co my zrobimy, Andrzej?
- My? Nic. Ty, Hanno, sama możesz zrobić, co chcesz.

Ja nie mam zamiaru się wtrącać. Mój brat jest dorosły i, o ile wiem, zdrowy na umyśle. Jeśli zechce mojej rady, zwróci się do mnie. — Andrzej wstał, żeby tym razem odejść zdecydowanie, włożył swoją rybacką czapkę. Hanna wyszła za nim przed dom.

- Ale jemu niewygodnie spać tam na łodzi — powie działa.
- Tak jest zgryziony — odrzekł Andrzej — że niewygodnie byłoby mu wszędzie. Nie troszcz się o to! — zawołał. — Szymon jest dostatecznie dorosły, żeby zadbać o siebie... bez niczyjej pomocy!

Hanna ruszyła za nim do furtki.

— Łatwo powiedzieć: „Nie troszcz się”. A cóż mi pozostaje jak nie troska o Szymona? Nawet Estery tu nie ma. Odeszła wczoraj... do pałacu.

Andrzej powoli otwierając furtkę zmarszczył brwi.

- Myślałem, że to przyzwoita dziewczyna — mruknął.
- Czy nie może pracować w pałacu i nadal być przyzwoita?
- Może... chwilowo — przyznał Andrzej — teraz, gdy tetrarcha z rodziną wyjechał i zabrał większość służby.
- Pewnie dlatego Estera dostała tę pracę — wysunęła przypuszczenie Hanna. — Mam nadzieję, że nie wpadnie w jakieś tarapaty. Naprawdę to jest takie niegodziwe miejsce, Andrzej? Nie wiedziałam. Szymon dostarcza ryby do pałacu dzień w dzień. Przecież by tego nie robił...

- Mój brat — przerwał jej Andrzej — nie jest rabbin. Jest rybakiem. Nie jego rzecz, jak prowadzi się tetrarcha... dopóki lubi ryby. — Andrzej uśmiechnął się zadowolony, że wie o tym, o czym Hanna nie ma pojęcia. — Gdyby Szymon wniknął w osobiste życie klientów, zanim zacznie

196

sprzedawać im ryby, musiałyby szybko zaniechać rybołówstwa.

—Lepsze to, niż mieć do czynienia z niegodnymi ludźmi — prychnęła Hanna. — Ja bym właśnie to zrobiła, poniechałabym rybołówstwa.

Rozbawiony jej niepraktycznością, Andrzej zapytał rzeczowo:

—I do czego byś się wzięła? — Nie czekał na odpowiedź, zamknął furtkę za sobą i odszedł żwawo, bo wyruszył z domu później niż zwykle, a nie chciał swoim spóźnieniem zirytować i tak dosyć rozdrażnionego brata.

Po wydaniu ostatnich poleceń młodemu Samuelowi, który pełnił nocną służbę, Szymon przygotował się do odpłynięcia na ląd, chociaż ledwie świtało.

—Nie będzie mnie chyba przez cały dzień — oznajmił. — Powiesz Andrzejowi, żeby mnie zastępował, żeby wysłał kogoś z rybami do pałacu dziś po południu. Połowa zwykłego zamówienia, skoro tetrarcha wyjechał.

Zszedł do łódki i zawołał:

—Samuelu! I niech Tadeusz, czy ktoś tam, przyniesie mi z mojego domu drugą derkę na koję!

Przez dwie godziny miał gościniec prowadzący do Kany wyłącznie dla siebie. W Betsaidzie jeszcze wszyscy spali, gdy przechodził cichymi uliczkami. Kręta droga na wysokie wzgórze za Betsaidą też była pusta. Na wzgórzu zatrzymał się i powiódł wzrokiem po krajobrazie wesołym w barwach jesieni. Zobaczył, że bliżej drogi wśród wielkich białych głazów oszroniona trawa jest stratowana niezliczonymi chyba stopami.

Droga w dół zaczęła skręcać na zachód. Od wielu lat Szymon nie wędrował przez ten obszar małych gospodarstw i winnic. Gleba, uprawa gleby nigdy go nie pociągała. Powszechnie żartowano z tego, że ci, którzy czerpią utrzymanie z morza, wciąż mówią o spokoju i bezpieczeństwie życia na wsi, planują sobie nieraz bardzo poważnie, jak to kiedyś wydzierzawią kawałek ziemi i zajmą się uprawą zboża. Szymon śmiał się z nich, bo uważał, że nie ma mniej

197

interesującego narzędzia niż motyka. A przecież teraz pogodny wiejski krajobraz urzekał jego buntowniczego ducha.

Było po żniwach, ale rolnicy krzątali się, zajęci opatrywaniem domostw na zimę, znoszeniem koszy pełnych warzyw do krytych darnią piwnic; stare kobiety zrywały zioła i układały w wiązki, żeby je suszyć.


Nieco dalej po drugiej stronie gościńca trzej chłopcy opieszale kładli snopki pszenicy na grzbiety trzech kudłatych osłów jucznych. Szymon pomachał im ręką, ale oni tylko gapili się na niego. Zwykła rzecz na wsi. Ludzie myślą powoli. Pewnie gdybym stał i machał do nich przez pół godziny, może by mi jakoś odpowiedzieli — rozmyślał

Szymon. — Żyją tu w otepieniu. Zastanowił się, jak wieśniacy przyjmują pogląd Cieśli, że pożywienie jest mniej ważne niż kwiaty.

Na skraju innego pola, większego, gospodarz i jego synowie młócili jęczmień. Gospodyni za pomocą naprawianego wielokrotnie wiejadła oddzielała plewy, a dwie córki zmiatały oczyszczone ziarno na konopną matę.

Szymon przystanął, popatrzył, zboczył do nich z gościńca, przyjaźnie ich pozdrawiając. Wcześniej rozpoczynają pracę, powiedział. Kobiety usiadły na ziemi, żeby odpocząć, chłopcy, z których jeden był już wzrostu ojca, wyprostowali się.

- Chcemy zrobić rankiem, ile tylko zdążymy — wyjaśnił gospodarz. Podszedł do Szymona i potrząsnął strzechą siwych włosów. — Niewiele się teraz pracuje w naszych stronach; wszyscy biegną, żeby posłuchać tego człowieka z Nazaretu.
- Gdzie On jest dzisiaj? — zapytał Szymon. — Chciał bym Go zobaczyć.
- Właściwie nie wiadomo — odpowiedział gospodarz. — Gdzieś jest w okolicy.
- Wczoraj był sześć mil stąd — odezwał się starszy chłopiec — za Hammat.
- Wyście tam byli? — zapytał Szymon.
- Rodzina była po południu — odpowiedział gospodarz. — Ja słyszałem, jak przemawiał na wzgórzu mniej



więcej tydzień temu. Nie bardzo mi się to podobało. Mówił, że powinniśmy kochać naszych wrogów. Nie podoba mi się takie mówienie. Chociaż przyznaję, że jest dobrym mówcą. Wprost oczu nie można od Niego oderwać.

- Dużo ludzi było wczoraj? — zapytał Szymon chłopca.
- Z dnia na dzień jest coraz więcej — odpowiedział młodzik chełpliwie, jak gdyby sam brał udział w tym widowisku. — Tak tłoczno nigdy nie było w naszej okolicy.
- Opowiedzcie mi o Nim — poprosił Szymon, przysiadając na piętach.

Otoczyli go i usiedli. Wszyscy skwapliwie zabierali głos. Bardzo dziwny człowiek, dziwne czyny, dziwne słowa — co do tego się zgadzali. Jeśli chodzi jednak o szczegóły, świadectwa różniły się.

- To dlatego — wyjaśniła gospodyni — że w tej ciżbie nie można było się precyzyjnie, żeby dobrze widzieć, co się dzieje.
- Ja widziałem, kiedy uzdrowił jakiegoś starca, głuchego jak pień — wtrącił młodszy chłopiec. — Ten starzec tańczył i podskakiwał, tak się radował.
- Ale nie wiadomo, czy był przedtem głuchy — wysunął zastrzeżenie jego ojciec. — Mógł udawać.
- Mówił, że był głuchy... i że już słyszy na nowo —



upierał się chłopiec.

- Wszyscy starzy mają mniej albo więcej kłopotu z uszami — zauważyła jego matka.
- Czasem słyszą lepiej, czasem gorzej — dodała jego mała siostrzyczka. — Tak jak tata.
- Nie zawracaj głowy — skarciła ją matka.
- Ale ta chora kobieta na noszach — powiedział wysoki chłopiec — była naprawdę sparaliżowana. Nie udawała, rękę za to.
- Właśnie — przytaknął jego brat. — A gdy Jezus do niej przemówił, wstała i poszła.
- Ale niezbyt żwawo — stwierdziła krytycznie gospodyni. — Wsparła się na ramieniu syna.
- No, pewnie — powiedziała starsza z dziewcząt. — Od dawna przecież nie chodziła.

199

- Skąd takie tłumy przyszły? — zapytał Szymon.
- Zewsząd chyba — odrzekł gospodarz. — Handlarz wełną mówił mi w zeszłym tygodniu, że widział znajome rodziny aż z Samy, Szumenu i Nain. Przybyły z namiotami i z dojnymi kozami.
- Musi też być dużo ludzi z Nazaretu — powiedział Szymon — skoro On tam mieszka.
- Nie. To mnie dziwi. Z Nazaretu przyszło niewiele. Myślałbym, że jeśli On jest taki nadzwyczajny...

- Może w Nazarecie przywykli do oglądania nadzwyczajności — podsunął młodszy chłopiec.
- Sąsiedzi nigdy za bardzo nie zwracają uwagi na człowieka, który czyni coś nadzwyczaj dobrze: rzeźbi w drzewie... czy tka kobierce... czy śpiewa... — powiedziała matka. — To dlatego, że go znają od dziecka... w głowie im się nie mieści, że on może być kimś znacznym.
- Właśnie — przytaknął mąż. — Nieraz wieśniacy szydzą z tego, co się dzieje wokół nich na wsi, a wychwalają to, co się dzieje w Betsaidzie, a znów ludzie w Betsaidzie śmieją się ze swojego miasta i zazdroszczą ludziom w Kanie, a znów...

Szymon parsknął śmiechem i dokończył za niego: ludziom w Kanie wydaje się, że weselej żyć w Jerychu, a ludzie w Jerychu pragną oglądać ciekawsze widoki w Jerozolimie.

- Sam chciałbym zobaczyć Jerozolimę — mruknął wysoki chłopiec.
- Weźmy na przykład tę naszą Judytę. — Gospodyni położyła opaloną brązową dłoń na ramieniu starszej córki, która najwidoczniej przewidując, co nastąpi, spuściła oczy i uśmiechnęła się nieśmiało. Matka mówiła: — Ona gra na harfie rzeczywiście pięknie. I to na biednej starej harfie, którą mamy w rodzinie już od trzech pokoleń. Ale myślisz, że ludzie tutaj doceniają jej muzykę? Nie, panie, oni, żeby usłyszeć, jak się gra na harfie, muszą pójść do dużego miasta.
- Chciałbym posłuchać twojego grania, Judyto — po

wiedział Szymon.

Dziewczyna zarumieniła się wdzięcznie.

— Nie czas dziś na to — rzekł ojciec odwracając się w stronę klepiska.

200

— Kazałam jej zabrać tę starą harfę... i grać dla ludzi... gdy Cieśła nie przemawia — powiedziała matka.

Szymon grzecznie pochwalił ten pomysł. Z ociąganiem rodzina zabrała się znów do pracy. Pożegnał ich i ruszył dalej na zachód. A więc nazaretariczycy nie są zbyt zdziwieni. To niedobry znak. Najwidoczniej kryje się coś podejrzanego w tej całej sprawie — rozmyślał. Nawet ci wieśniacy nie są jednomyślni co do tych dziwnych zdarzeń. Wciąż jeszcze roztrząsają, czy Cieśła z Nazaretu jest uzdrowicielem. Może dzisiaj coś się wyjaśni. Szymon miał taką nadzieję. Miał nadzieję, że Cieśła z Nazaretu okaże się po prostu krasomówcą, który pięknymi słowami podnosi chorych na duchu. Pragnął, żeby tak było: człowiek pewniej się czuje na świecie, gdy nikt nie próbuje wywracać porządku tego świata. Ponuro zamyślony Szymon wędrował gościńcem, zastanawiając się również nad tym, czy ta dziewczyna, Judyta o pełnych powagi wielkich oczach, gra na harfie rzeczywiście dobrze. Doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne.

Od godziny na gościńcu napływało coraz więcej ludzi z bocznych dróg i ścieżek. Pojazdy mieli różnorakie. Niektórzy siedzieli stłoczeni w wozach targowych na wysokich kołach; podstarzałe pary małżeńskie jechały wózkami zaprzężonymi w osły; tu i ówdzie gorliwymłody

wieśniak wioził na taczkach wątłą, słabą staruszkę albo blade niedorozwinięte dziecko. Niesiono też chorych na noszach: wychudzone młodziutkie dziewczyny bądź kaleki z wyrazem cierpienia w oczach. Gromady pieszych dziesiątkami, dwudziestkami doganiały i wyprzedzały tych chorych. Z każdego szlaku, z każdych otwartych wrót, z każdego rozstaju dróg wylęgali na gościniec.

Szymon przedtem pragnął, żeby Cieślę wkrótce zdemaskowano jako zwyczajnego człowieka, który co najwyżej ma piękny głos i pewność siebie i potrafi pozyskać zaufanie słuchaczy. Ale teraz, gdy patrzył na te smutne, a pełne nadziei gromady cierpiących, zaczął pragnąć, żeby jednak dało się coś dla nich zrobić. Jeśli Cieśla jest oszustem, to

## 201

zbiorowisko nieszczęścia wygląda doprawdy tragicznie. Może Cieśla nie zdaje sobie sprawy z odpowiedzialności, jaką przyjął. W takim razie niechże się opamięta.

Zbyt żalony to widok! Dlaczego ten Nazarejczyk nie siedzi spokojnie w swoim ciesielskim warsztacie? Po co budzić nadzieje, które się nie spełnią, które przyniosą tylko gorzkie rozczarowanie? Ci nieszczęśnicy już się nauczyli znosić swój ciężki los, większość z nich już wszystkie łzy wypłakała, już skórę ma zgrubiałą w miejscach, gdzie ją uciskało jarzmo. Teraz oni rzucają swoje brzemie u stóp człowieka z Nazaretu! Jakież to okrutne, jeśli po przybyciu do Niego, będą musieli dźwignąć je znów, żeby już bez żadnej nadziei powędrować mozolnie do domów.

W odległości pół mili na wschód od Hammat gościniec się rozwidłał: droga w prawo biegła do Hammat i dalej do Kany, droga w lewo biegła na południe przez prowincję Samarię do Jerozolimy. W trójkątnym

rozwidleniu zwijano nieduży obóz. Namioty służby już złożone ładowano na zwierzęta juczne. Namiot pana, wspaniały, biało-błękitny, właśnie składano. Sześć pięknych koni w kosztownej uprzęży niecierpliwie czekało na jeźdźców, którzy wyszli z tego namiotu.

Szymon zaciekawiony zwolnił kroku i wyraźnie zagapił się. Przewodził im młodzieniec chyba osiemnastoletni, jego towarzysze niewiele byli starsi, a wszyscy odznaczali się przepychem ubiorów. Szymon zszedł z gościńca, usiadł na kamiennym ocembrowaniu studni i leniwie oglądał barwne widowisko. To ludzie możni, co do tego nie miał wątpliwości. Po chwili ku jego zdumieniu młody pan wskazał go i wydał jakiś rozkaz pachołkowi, który skierował się ku studni. Szymon zmarszczył brwi, gdy zobaczył pachołka przed sobą. Uważał, że ma wszelkie prawo w tym miejscu na odpoczynek.

— Mieszkaś tu gdzieś blisko, panie? — Pachołek wysoki, brodaty, zanim zadał to pytanie, w języku będącym judejską odmianą aramejskiego, ukłonił się z szacunkiem.

Szymon potrząsnął głową.

- Mieszkam w Betsaidzie.
- Ale Betsaida jest niedaleko stąd — rzekł pachołek. —

202

Może wiesz o tym Cieśli, który wywołuje tyle podniecenia? — Machnął ręką w stronę zatłoczonego gościńca.

- Wiem niedużo — odpowiedział Szymon. — Widziałem i słyszałem Go parę dni temu, mam nadzieję, że dziś znowu Go zobaczę.

- Czy mógłbyś teraz porozmawiać z moim panem?
- A twój pan to kto?

— Józef... ksiązę Arymatei — oznajmił pacholek z dumą.

Szymon wstał i poszedł za nim.

Książęcy namiot leżał na ziemi i służący starannie go zwijali, pierwsze zwierzęta juczne już wyszły na drogę do Jerozolimy. Młody ksiązę stał przy białym koniu i wesoło gawędził z przyjaciółmi. Urodziwy, promienny, pełen wdzięku sprawiał tak miłe wrażenie, że Szymona opuściły złe przeczucia co do tej rozmowy.

Pacholek grzecznie przepraszając ruszył pierwszy do swego pana. Złożył krótki meldunek zniżonym głosem, po czym skinął na Szymona. Wielki Rybak podszedł dosyć nieśmiało.

- Przyjacielu — zagaił Józef. Musiał zadzierać głowę, żeby patrzeć na tego Galilejczyka, wyższego od nich wszystkich. — Jesteśmy ciekawi człowieka, do którego podobno zdążają ogromne rzesze. Ci wędrowcy mówili nam, że przemawia publicznie i uzdrawia chorych. Jesteś, jak widzimy, wysokiego wzrostu, zapewne możesz dobrze słyszeć i widzieć, co się dzieje.
- Niewiele mogę ci powiedzieć, panie — odrzekł Szymon. — Słyszałem, jak Cieśła przemawia. Ma dziwny głos. Ludzie słuchają, uczeni Jego słów jak żeglarz liny w czasie burzy.
- To dowcipne! — pochwalił Józef. — Temu czło-  
wiekowi — zwrócił się do swoich towarzyszy — nie  
brak wyobraźni. Pewnie sam jesteś żeglarzem? — zapytał

Szymona.

- Jestem rybakiem — Szymon uśmiechnął się przelotnie. — Cokolwiek On mówi, ludzie wstrzymują oddech, żeby nic z tego nie uronić, a przecież mowa Jego jest prosta.
- Co mówi, na przykład? — zainteresował się Józef.
- To, że ludzie powinni być dobrzy dla siebie nawzajem,

203

i właściwie na tym koniec — odrzekł Szymon. — Każdy powinien być dobry i usłużny, ten na górze i ten na dole, ubogi czy... — zawahał się.

Józef marszcząc brwi dopowiedział szorstko to oczywiste słowo. W rozdrażnieniu wyzywająco zapytał:

- A więc... On próbuje siać wśród ludu niepokój? Wszyscy mają być szczodrobliwi, tak? Ubodzy są nie gorsi niż książęta, tak? O to chodzi?
- Nie, jeśli należycie zrozumiałem. — W głosie Szymona brzmiała teraz nuta urażonej godności. Bruzda na jego czole pogłębiła się. Nazbyt butny ton przybiera rozpieszczony młodzieniaszek. Ostatecznie — pomyślał — nie ja chciałem tej rozmowy ani też nie jestem na sądowym przesłuchaniu. — Przeciwnie — ciągnął odważnie — Cieśla pragnie, żeby spokój panował wśród ludzi. I mówi: Jeśli cię wykorzystuje ciemieżca, szukaj szczęścia w sobie samym.
- Niezły pomysł — stwierdził Józef trochę szyderczo, chociaż już się pohamował. — I w jakim to sposób człowiek ma... znaleźć szczęście w sobie samym?

- Ma nie przywiązywać wagi do rzeczy, których nie posiada — wyjaśnił Szymon. — I mniej troszczyć się o rzeczy, które posiada. Wtedy wolny jest od obawy, że złodziej ucieknie z jego dobytkiem.
- On tak mówi, radzi ludziom nie dbać o mienie — szydził Józef — i zaraz potem pewnie idzie z miseczką przez tłum, żeby ludzie płacili za tę dobrą radę.

Wszyscy zaśmiali się rozbawieni jego cynicznym żartem. Wszyscy, oprócz Szymona, który zauważył spokojnie:

— On nie ma żadnej miseczki.

Nastąpiła chwila milczącego zakłopotania, bo mimo woli wprowadził do tej rozmowy niepokojącą szczerłość.

- A te jego dziwne postęпки? — zapytał Józef.
- Różnie słyszy się o tym — rzekł Szymon. — Niektórzy opowiadają, jak On czyni cuda, inni usiłują je wytłumaczyć, jeszcze inni wątpią.
- Nasz pacholek powiedział, że idziesz posłuchać znowu jego przemówienia. Czy to znaczy, że uważasz go za uczciwego? Chyba by ci się nie chciało drugi raz wędrować, gdybyś uznał, że on jest po prostu szachrajem!

204

— Mam nadzieję zbadać to, panie — wyjaśni! Szymon.  
Zobaczył zniecierpliwienie towarzyszy księcia i zapytał z szacunkiem: — Wolno mi już odejść?

Józef wzruszył ramionami i niedbałym gestem dał do zrozumienia, że



mało go obchodzi, czy ten wielki, krzepki rybak pójdzie sobie zaraz, czy też zostanie tu, na rozstaju, do końca życia. Położył zdobną w pierścien dłoń na łęku swego siodła.

- Zaczekaj! — powiedział. — Jeszcze jedno! Mówiono nam, że jakiś domorosły samozwańczy prorok został ostatnio wtrącony do więzienia u naszego przyjaciela, tetrarchy, bo przepowiadał przybycie mściciela, który obali trony, wyzuje możnych z ich bogactw, uwolni niewolników i całą hołotę posadzi na rumakach. Czy ludzie tutaj myślą, że ten cudotwórca ma to uczynić?
- Zgoła niemożliwe, panie — oświadczył Szymon. — Chyba nikt z tych, którzy Go słyszeli, tak by nie myślał. O ile mi wiadomo, Cieśla nie ma żadnych zatargów z możnymi; chyba tylko się nad nimi lituje.
- Lituje się! — wykrzyknął Józef, a jego towarzysze uśmiechnęli się z niedowierzaniem. — Bezczelny! Za kogo się uważa ten żebrak, ten włóczęga, że aż lituje się nad lepszymi od siebie?!

Szymon nie śmiał skomentować tej uwagi pełnej zadufania, ale skrzywił usta i zmarszczył brwi dosyć pogardliwie. Józef natychmiast spostrzegł jego rozdrażnienie.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu — nastawał — zadam ci pytanie, mój miły siłaczu. Co ty sam myślisz o możnych? Widać, że majątku nie posiadasz. Wyznaj szczerze, litujesz się nad bogaczami?

Ta wyraźna urągliwość rozgniewała Szymona.

— Nie, panie — odparł patrząc młodzieńcowi prosto w oczy. — Ja się nad nimi nie lituję. Ja im zazdrościć akurat tak, jak oni tego wymagają. Zaglądam przez szpary w ich wysokich ogrodzeniach i ubolewam, że nie mam takich wspaniałych rzeczy... ubolewam, bo to im sprawia przyjemność. — Podniósł głos i mówił dalej zgrzytliwie, niebacznie: — Ilekroć my, ubodzy, przestajemy zazdrościć bogatym, oni nas karzą za to, że pozbawiamy ich największego zadowolenia!

205

Józef już dosiadł wierzchowca. Wyprostował się i wrzasnął:

- Na tak bezecne zuchwalstwa nikt jeszcze się nie poważył w naszej przytomności!
- No — burknął Szymon — sam mnie o to zapytałeś!
- W naszym mieście, rybaku, dostałbyś za to trzydzieści dziewięć batów.
- Tak, panie... i w moim mieście też — odparł Szymon, nadal szczerzy, skoro nie miał już nic do stracenia. — Wszyscy możni wszędzie są jednacy. Wiem, że z batogami w rękach stawiają czoło prawdzie!
- Idź precz! — wrzasnął Józef.
- Nie, nie, uspokój się! — powstrzymał go przyjaciel siedzący na koniu u jego boku.

Józef trzepnął pejczem swojego konia. Odjechali. Z kipiącą wściekłością Szymon patrzył, jak oddalają się galopem. Nigdy dotąd nie odczuwał tak zawziętej pogardy dla swego bliźniego. Odważny

młodzieniec, ten księżę, gdy jest wśród wspaniałych druhów i dwudziestu zbrojnych strażników. Bez nich byłby potulny jak baranek. Szkoda, że nie może dopaść tego zuchwałego żółtodzioba. Nie po to, by mu zrobić krzywdę, tylko żeby go chwycić za utrefione pięknie włosy, przyprzeć do cembrowiny studni i porządnie wyłoić mu skórę. Zapamiętałby takie upomnienie. Szymon był rozżalony. Dotychczas nie miał nic przeciwko bogatym. Teraz gardził nimi. Nimi wszystkimi! Oni wszyscy są tacy sami. Niech piekło ich pochłonie! Wszystkich!

Wrócił na gościniec prowadzący do Hammat i wszedł w tłum pielgrzymów. Patrząc w stronę gościńca jerozolimskiego zobaczył, że księżę i jego towarzysze zatrzymali się i nad czymś rozprawiają. Po dosyć długim debatowaniu zawrócili galopem na rozstaje i wjechali w tłum podążający do Hammat. Ludzie rozbiegali się z krzykiem, gdy ci weseli jeźdźcy torowali sobie wśród nich szeroką drogę. Ratowano się, jak kto mógł, przed tym pogromem. Oni zaś parli przed siebie tratując starych, przewracając wozy. Dzieci płakały. Rozwrzeszczana z uciechy księżęca kawalkada sunęła dalej.

Szymon patrzył na tę haniebną scenę znieruchomiały.

206

Ale mięśnie mu się napięły, wielkie pięści zacisnęły się w bezsilnej wściekłości.

— Na koniach! — ryknął wniebogłosy. — Tacy odważni na koniach!

Senna wioska Hammat stała się miastem liczącym pięć tysięcy mieszkańców i ta liczba wzrastała. Każda zarośnięta trawą ścieżka była jak ospały strumyk, który nagle zmienił się w wezbraną rzekę.

Ogromny tłum zalegał rzysko trochę na północ od gościńca. Wokół stłoczonej rzeszy kwitł handel, ustawiono wielkie kosze wędzonych ryb, bułek, słodczy, fig suszonych w słońcu i chociaż roіło się na nich od much, kupowali je chętnie ludzie stojący zbyt daleko od ośrodka zainteresowania, żeby patrzeć, co się dzieje.

Józef i jego towarzysze podjechali na skraj zgromadzenia i wyraźnie się niecierpliwili, zatrzymani tłokiem, odgradzeni przez ciżbę od miejsca, gdzie był Cieśła. Cała ta sprawa wydawała im się zabawą, wiejskim cyrkiem, oczekiwali powitania: „Zaszczycił nas dziś swoją obecnością dostojny gość, Józef z Arymatei. Zrobić przejście dla niego i jego świty. Witamy cię, panie!”

Cieśła przemawiał głosem cichym, niedosłyszalnym z daleka. Śmiejąc się szlachetni młodzieńcy popędzali swoje wierzchowce, aż piana z przygryzanych wędzideł kapiała na ramiona ludzi, którzy z dłońmi stulonymi przy uszach usiłowali dosłyszeć słowa Cieśli.

— Z drogi! — wrzasnął konny z książęcej straży. —  
Z drogi przed dostojnym Józefem z Arymatei!

Ludzie odwracali głowy i gniewnie patrzyli, ale się nie ruszali.

— Hej! Ty! Rybaku! — zawołał jeden z druhów księcia, gdy Szymon wchodził w ciżbę. — Utoruj drogę jego wysokości!

Szymon nie odpowiedział, nie odwrócił się do nich, tylko dalej szedł przed siebie. Zdumiewająco wiele noszy i wozów z chorymi czekało, aż Cieśła skończy przemawiać. Przy posłaniu, na którym leżała, osłaniając zapadnięte oczy

kościstą ręką, wynędniała staruszka, stał młody rozczochrany rolnik; popatrzył na Szymona i pozdrowił go z uśmiechem.

- Twoja matka? — szeptem zapytał Szymon.
- Babka — powiedział młody wieśniak.
- Sprowadziłeś ją, żeby została uzdrowiona?
- Taką mam nadzieję.
- Myślicie, że coś w tym jest?
- Niechby tylko nie było! — mruknął wieśniak wojow niczo i wskazał dużą połąć rżyska zapełnioną chorymi i kalekami. — Jeśli jest oszustem, będzie ukamienowany!
- Długo mówi? — zapytał Szymon.
- Dostyc długo. Babcia się zmęczyła czekaniem.

- Co jej dolega?

Wieśniak zniżył głos:

- Starość.
- Myślicie, że Cieśla potrafi uleczyć starość?

— Ja nie... ale babcia tak. Jest trochę słaba na umyśle.

Szymon stopniowo bokiem wsunął się w ciżbę. Nadstawiając uszu mógł już wyłapać coś niecoś z przemowy Cieśli, było to jednak trudne w tym zamięcie, gdy napierano z tyłu, chorzy jęczeli, dzieci płakały. Musiał zadowalać się urywkami zdań. Sam głos był przemożny, czarowny, uspokajał, koił i pocieszał.

Z tego, co Szymon zdołał zrozumieć, wynikało, że człowiek może żyć w duchowej łączności z Bogiem. Gdy jest zdecydowany znaleźć szczęście w sobie, sięga po siłę większą niż jego własna... jak dziecko raczkujące,

które pragnie stanąć i chodzić... podnosi swoją maleńką rękę... i ujmuje ją ręką silniejszą... Nauczywszy się chodzić z Bogiem, człowiek chce z Bogiem rozmawiać. Zbyt często ludzie chcą rozmawiać z Bogiem tylko w świątyni... A gdy się jest tylko z Nim... słyszy się Jego głos wyraźniej... Osobiste przymierze z Bogiem... wewnętrzne życie z Bogiem... porozumienie... ty sam z Bogiem... w twojej alkowie... przy zamkniętych drzwiach... On cię wysłucha... On cię pobłogosławi.

Ktoś niskiego wzrostu trącał Szymona w plecy. Szymon odwrócił się i zobaczył zdesperowaną kobietę z sześcio-

208

może pięcioletnią dziewczynką na ręku. To dziecko było niewidome.

- Błagam — szepnęła kobieta — pomóż mi, panie, podejść tam! Jesteś duży i mocny! Musisz mi pomóc.
- Stój za mną. W stosownej chwili zrobię, co tylko będę mógł.

Cieśla mówił o czynieniu dobra bliźniemu. Także i to lepiej czynić po cichu... Gdy się ofiarowuje dary... nie przy trąbach. Sekret... taki sekret, żeby nie wiedziała lewica... Tylko Bóg zobaczy... tylko Bóg będzie wiedział, a On cię pobłogosławi.

Cieśla skończył mówić, nastąpiło ogólne poruszenie. Teraz w myśl swego zwyczaju miał przyjmować chorych. Tłum napierał, pchał się, żeby to widzieć. Nie okazywano sobie względów. Słabszych i lękliwych szturchańcami usuwano z drogi. Współzawodnictwo nawet między tymi, którzy nieśli ciężko chorych na noszach, było wprost niewiarygodne. Szymon żałował, że nie jest na przodzie — już on by ich nauczył, jak trzeba się zachowywać. Spodziewał się ufnie, że Jezus skarci

natrętów. Ale ostatecznie nie można zbyt wiele mieć im tego za złe — pomyślał. — Ludzie nie potrafią być grzeczni, gdy waży się kwestia życia czy śmierci ich bliskich.

Ta wątła kobieta stojąca za nim rozpaczała. Płakała histerycznie. Kazał jej iść za sobą krok w krok i zaczął się przepychać, ale nie mogła korzystać z jego pomocy. Inni, tłoczący się za jego szerokimi plecami, spychali ją brutalnie na bok. Uznał, że pozostaje tylko jedno wyjście: musi to dziecko zanieść sam. Odwracając się wyciągnął poprzez ludzi ręce i splakana kobieta z wdzięcznością podała mu swoje brzemię.

Żmudna była przeprawa wśród zbitej ciżby. Prosił, upominał, wrzeszczał, przedzierał się.

— Dziecko jest ociemniałe! — powtarzał raz po raz swym tubalnym głosem. — Przepuście mnie. Dajcie przejść!

Aż wreszcie... wreszcie Szymon stanął przed Człowiekiem z Nazaretu twarzą w twarz, tak blisko, że mógłby Go dotknąć. W porównaniu z Szymonem, wysokim i tęgim, Cieśla był drobnej budowy, ale coś z Niego promieniowało, przydawało Mu majestatu. Szymon poczuł się kimś gorszym, poślednim. Chociaż starszy od Jezusa, poczuł się niezdarnym, nad wiek wyrośniętym chłopcem. Patrzył w te pytające, spokojne, żarliwe oczy. Zatrzymywały jego wzrok, uśmiechały się przyjaźnie jak do druha spotkanego po długiej rozłące. Twarz Cieśli była blada, krople potu lśniły na czole — skutek zmęczenia i upału.

Lekko, delikatnie, nieomal pieszczotliwie Jezus położył rękę na oczach dziewczynki. Dziecko, przerażone zamieszaniem, dotychczas przeżyło się

przyciskając rączki do piersi, jak gdyby chciało uchronić się przed uderzeniami. Teraz pod dotknięciem Jezusa uspokoiło się i wydało westchnienie ulgi. Szymonowi oczy nagle zaszły mgłą, gdy poczuł dotknięcie. Ogarnęło go dziwne uczucie, takie właśnie uczucie ukoło dziewczynkę, uwolniło ją od lęku. Teraz Szymon już wiedział.

Jezus modlił się. Z oczami zamkniętymi modlił się cicho, prawie szeptem. Kierował modlitwę do swego Ojca zupełnie tak, jakby był tylko z Nim w odosobnieniu. Ufnie, tonem, jakim serdeczny przyjaciel mówi do serdecznego przyjaciela, prosił swego Ojca, żeby dał małej dziewczynce wzrok, bo to nie jej wina, że ona nie widzi. A potem — i zabrzmiała w Jego głosie nuta smutku i tęsknoty — modlił się, żeby wszyscy ludzie, błądzący w mroku, zostali poprowadzeni w słoneczną jasność miłości Jego Ojca. I jeszcze — co Szymona poruszyło do głębi — modlił się za wszystkich, którzy teraz i w przyszłości prowadzą i prowadzić będą ślepców w Światłość Wiekuistą.

Gdy stało się, Szymon myślał, że tego nie zniesie. Tchu mu zabrakło, zdławił mimowolny szloch. To było niemożliwe, a jednak stało się naprawdę! Jezus delikatnie odjął rękę od oczu dziewczynki i czubkami palców dotknął mokrych kędziorów na jej czole. Wolno podniosła zdumione oczy ku Jego oczom i uśmiechnęła się. Odwracając główkę w oszołomieniu zapatrzyła się w twarz Szymona i na widok łez tego brodacza zapłakała.

Jezus już odwracał się do człowieka o kulach. Szymon zwlekał z odejściem, usiłował wyrazić wdzięczność. Jezus

**210**

spojrzał na niego, skinął głową i uśmiechnął się przyjaźnie, jak gdyby



zrozumiał.

Cichy szmer zdumienia przebiegł po tłumie, gdy Szymon odwrócił się z dzieckiem w objęciach. Dziewczynka płakała cicho z przerażenia. Jej matka wrzeszczała:

— To jest moje dziecko! Och, przepuście mnie do mojej dzieciny! — Popychana, prawie unoszona przez podnieconych ludzi, była zbyt przejęta, żeby podziękować Szymonowi bodaj uśmiechem, gdy ostrożnie podał jej dziewczynkę w złąknione ramiona.

Dławiąc się wzruszeniem, prawie nie widząc przez łzy, Szymon przedarł się z powrotem wśród ciżby znieruchomiałej w oczekiwaniu następnych dziwów. Nagle ktoś chwycił go za rękaw. Stał przy nim Józef z Arymatei, blady i poważny.

— Rybaku — zapytał ochryple — czy to dziecko było rzeczywiście ślepe?

— Tak, panie — odpowiedział Szymon. — I przejrzało.

Księżę zaciskał palce na rękawie Wielkiego Rybaka, oczami szeroko otwartymi w oszołomieniu błagał o świadectwo tej sprawy, ale Szymon nie dał się zatrzymać. Skrajem rzeszy przeszedł na tyły i stamtąd na gościniec. Poruszał się jak we śnie, jak gdyby został przeniesiony w jakieś inne światy. Dziwne poczucie bezpieczeństwa, które go ogarnęło, nie znany mu dotąd spokój przekraczały jego zrozumienie.

## 8

Lizjasz poczuł się nie byle kim, gdy dostał uprzejmy liścik od

wyniosłego starego saduceusza, Dawida Ben-Sadoka.

Może by się przydała w pałacu (pisał Dawid) do uporządkowania zniszczonego korynckiego księgozbioru, który ostatnio nabył jego wysokość tetrarcha, pewna bystra młoda Żydówka, czytana w literaturze klasycznej, sierota, szukająca pracy. List był napisany po grecku, co jeszcze bardziej

211

pochlebiło rządcy, bo świadczyło, że Ben-Sadok uważa go za człowieka kulturalnego.

Niemniej fakt, że ten nieprzystępny uczony w Prawie saduceusz, pełen nie ukrywanej pogardy dla tetrarchy, interesuje się odświeżaniem jego cennych, chociaż szpetnie zaniedbanych papirusów, pozostawał dla Lizjasza sprawą niejasną. Jedno wiadomo: stary nie trudził się, żeby czymkolwiek zaznaczyć sympatię do Antypasa. Może po prostu pod tym pretekstem chce obejrzeć księgozbiór. Lizjasz bezwiednie lekko przesuwając palcem po starej bliźnie na uchu, bo jakoś pomagało mu to w głębokich rozmyślaniach, uznał, że coś musi się kryć za uprzejmością Dawida.

Wszelako bez względu na powody, dla jakich chytry saduceusz zaproponował uporządkowanie uszkodzonych zwojów papirusu — wielką ulgą będzie pokazać panu po powrocie z Rzymu na wiosnę jego kosztowny księgozbiór w lepszym stanie. Lizjasz wolał nie pamiętać, że sam doradził i załatwił ów zakup i że tetrarcha gniewnie wyraził wówczas swoje niezadowolenie.

Bardzo strapiony opłakanym stanem papirusów Lizjasz daremnie usiłował wyjaśnić tetrarsze znaczenie ich starożytności. Grzebiąc w

najgorzej zachowanym koszyku z wikliny wyciągnął zwój mocno spleśniały i podał Antypasowi, który zmarszczył nos i schował ręce za siebie.

- Wasza wysokość, to jest dzieło Arystotelesa pod tytułem *Kierunki i nazwy wiatru*. I wcale nie kopia sporządzona przez skrybę, lecz oryginał. Własnoręcznie napisał to sam mistrz Arystoteles.
- No, ktokolwiek to napisał — burknął tetrarcha — ten papirus cuchnie. I nie chcę nań patrzeć. — Po czym widząc strapienie rządcy dodał: — Niektórzy zapewne byliby dumni posiadając mumię kota Arystotelesa... W złotej obroży wysadzonej szmaragdami. — Odwrócił się, podszedł do drzwi prowadzących na taras i wybuchnął śmiechem. — I gdy już ta mumia kota Arystotelesa postoi u nich przez dwadzieścia lat, przyjdzie uczony znawca martwych kotów i powie: „Niech to lichy! Ten kot nigdy nie należał do Arystotelesa! Jest z czasów znacznie późniejszych! Poza

**212**

tym... Arystoteles nie cierpiał kotów! No i tego kota nawet nie kopnął! To kot sprzed niecałych pięćdziesięciu lat!"

- Co więc rozkażesz, miłościwy panie, uczynić z tymi zwojami? — zapytał Lizjasz potulnie.
- Zwal je wszystkie gdzieś w suchym miejscu, gdzie nie będą dalej butwiały. Może kiedyś rozkażę doprowadzić je do porządku.

Lizjasz wiedział, że odetchnie z ulgą, gdy ten koryncki księgozbiór zostanie odświeżony. Niezależnie od odpowiedzialności, jaką ponosił za tak lekkomyślne kupno, zależało mu na tym z powodów natury sentymentalnej, bo również pochodził z Koryntu; mając lat dwadzieścia utracił dom, rodzinę i dostał się do niewoli w czasie tego samego najazdu rzymskiego, który okazał się katastrofą dla jego sąsiadów z rodu Tymoteusza, bogatego armatora, hojnie popierającego sztuki piękne.

Z rodziną Tymoteusza i jego bogactwami Rzymianie obeszlili się bezlitośnie. Sam Tymoteusz został skazany na śmierć, jego niezwykle piękna żona popełniła samobójstwo, dwaj starsi synowie: Leander i Filetus, koledzy szkolni Lizjasza, wzięci do niewoli pracowali jako skryba i rachmistrz w kancelarii prefekta Achai. Najmłodszy syn, Demetriusz, dosyć już sławny w Koryncie atleta, tak zawzięcie się buntował, że nie nadawał się na służącego, i ostatecznie w kajdanach został wywieziony do Rzymu. Lizjasz często dumiał, co się stało z tym porywczym, urodziwym Demetriuszem: pewnie zatłukli go na śmierć za krnąbrność.

Rzymscy łupieżcy nie wiedzieli, co zrobić z księgozbiorem. Mnóstwo było tych zwojów papirusowych, nikt wśród najeźdźców nie znał literatury dostatecznie, żeby rozpoznać cenne dzieła i otoczyć je specjalną opieką. Złożono papirusy w wilgotnej piwnicy, gdzie wiele z nich zbutwiało, ale pomimo zniszczenia były to przeważnie skarby historyczne. Pomyśleć tylko! Rękopis Arystotelesa!

Oczywiście — rozmyślał Lizjasz — trudno się spodziewać, żeby Antypas żywił szczególny szacunek dla starych papirusów. Antypas ulega wpływom Rzymu, a Rzym nie szanuje przeszłości. Starymi papirusami i grobowcami, i epitafiami niech zajmują się marzycielscy Grecy!

Odpisał czcigodnemu saduceuszowi niezwłocznie. Uniżenie dziękował Dawidowi Ben-Sadokowi za łaskawą troskę o dobro jego pana, tetrarchy, i wyrażał gotowość zobaczenia się w sprawie księgozbioru z tą młodą osobą, gdy tylko jej będzie dogodnie.

Lizjasz był szczery. Cieszyła go perspektywa ciekawszego towarzystwa niż to, które mógł mieć w kuchni. Siedziba tetrarchy stawała się miejscem dosyć smętnym, gdy państwo wyjeżdżali na dłużej. Doświadczenie nauczyło rządcę, że im mniej zadaje się ze służbą, tym lepsze sprawozdanie ze swoich rządów może złożyć po powrocie pana. Ilekroć okazywał życzliwość ogrodnikom i robotnikom z winnic, ci ludzie pozwalali sobie na opieszałość w pracy i nieposłuszeństwo. Jeśli chodzi o dziewczyny z kuchni, przekonał się, że ich odpłatą za bodaj trochę swawoli jest bezczelność.

Nowa pracownica będzie się zaliczać do wyższej kategorii z racji swej uczoneści. Służebne to zrozumieją bez słów. Lizjasz postanowił zaprosić tę pannę do spożywania posiłków przy jego stole. Miał nadzieję, że jest urodziwa. Dawid napisał, że to dziewczyna odczytana w literaturze klasycznej. Otóż ładne dziewczęta nie czytają. W istocie te naprawdę piękne są zupełnie głupie — wszystkie oprócz Salome, oczywiście. Salome ma bystry umysł. Lizjasz ją uwielbiał. Ale też i bał się jej. Kiedyś, gdy wypła za dużo wina, zachęciła Lizjasza, żeby ją pocałował. Przejęła panowanie nad tym pocałunkiem tak, że Lizjaszowi zakręciło się w głowie i kolana się ugięły. A potem nagle okrutnie uderzyła go wierzchem dłoni w usta. Wielkie kamienie w jej pierścionkach pokrwawiły mu wargi. Śmiała się. Wyjaśniła, że lubi być brutalna. Nie

karze go za to, że ją obraził — przeciwnie, jest zachwycona jego pieszczotami. Ale widok bólu i zapach ciepłej krwi wywołują w niej dziwny rozkoszny dreszczyk, powiedziała ocierając mu usta.

Nieraz i tetrarcha przez kilka dni nie wychodził ze swoich komnat, czekając, aż skaleczenia na twarzy mu się zagoją. Tylko stary Glaukus mógł wtedy usługiwać jego wysokości. Lizjasz przypuszczał, że Glaukus jest powiernikiem i zna bardzo dużo sekretów — świadczyłaby o tym wściekła, wprost zwierzęca nienawiść Herodiady do niego.

214

Było też coś ostrzegawczego w zuchwalstwie Glaukusa. Herodiada nienawidziła go nie bez powodu. Najwidoczniej wykorzystując bezwiednie swoją sytuację, Glaukus z pucharem wina pod ręką, ze starym psem śpiącym u jego stóp przesiadywał w ciepłe popołudnia w najwygodniejszym fotelu, w najzaciszniejszym zakątku atrium, jak gdyby miał ze wszech miar prawo do wszystkich pałacowych luksusów. Taka buta mogła, zdaniem Lizjasza, oznaczać tylko jedno: Glaukus coś wie o Antypasie. Herodiada zapewne domyśla się, co to jest. Dlatego staje się wymizerowaną jędzą, zjadliwą i porywczą. Czasami przez cały tydzień Herodiada i Salome wyraźnie unikają się nawzajem, chociaż zadają sobie fatygę, żeby traktować się grzecznie w obecności służby.

Kiedyś — rozmyślał Lizjasz posypując piaskiem i pieczętując list do Dawida — kiedyś będzie w pałacu wielka awantura... ba, Herodiada wybuchnie jak wulkan i ktoś padnie ofiarą.

Życie w pałacu okazało się nie tylko znośne, ale przyjemne i ciekawe. Pozycja Estery ustaliła się szybko i korzystnie dla niej. Lizjasz, chociaż rozczarowany, nie utyskiwał, gdy dziewczyna odrzuciła jego szczególną

gościnność, wyjaśniając, że przykre by jej były łaski wzbudzające zawiść otoczenia. Mile ujęty poświęcił całe popołudnie wdzięcznej Esterze, oprowadzając ją po pałacu, kazał zdjąć pokrowce z mebli w wielkiej sali biesiadnej i zaproponował, żeby usiadła w wysokim wykładanym złotem fotelu tetrarchy. Z tego tronu zadała krótkie nieme pytanie królowi Arabii: „Czy jeszcze uważasz, że to niemożliwe?”

W kuchni, ledwie się pojawiła, gotowa do zawarcia przyjaźni, ale zarazem tak powściągliwa, że niemal łaskawa, natychmiast została oceniona bardzo wysoko. Po posiłku, gdy sprzątnęła po sobie ze stołu i poszła do swojej pracy, Klaudia oświadczyła:

— Ona mi się podoba. Gdyby była trochę lepsza ode mnie, pewnie byśmy obie się nie cierpiały. Ale jest lepsza ode mnie tak znacznie, że nie cierpieć się nie ma potrzeby.

Praca nad korynckim księgozbiorem była urzekająca, jak gra do rozegrania. Estera miała już o swoim zadaniu niejaki

215

pojęcie. Stare pisma, które Zendi przywiózł z Petry, przecież także wymagały naprawy. Ostrożnie rozwijała długie, wąskie pasy papirusu i odłączała w całości bądź częściowo od szpul. Następnie kładła je pod przyciskami na podłodze biblioteki i w miejscach porozrywanych podklejała. Jeśli tekst był uszkodzony, przepisywała tyle, ile mogła, i dolepiała objaśnienie, ile brakuje. Czyściła piaskiem zbutwiałe stare szpule, zeskrobywała z nich farbę aż do gołego drewna, powlekała je na nowo czernią i złotem.

Często przychodziły dziewczyny z kuchni i pomagały przytrzymywać kawałki papirusu. Często też Lizjasz zaglądał wyrażając aprobatę.

Rankiem trzeciego dnia tej pracy Klaudia po śniadaniu i zmywaniu naczyń powiedziała, że musi teraz iść „do więzienia, żeby nakarmić dzikiego”.

- Dzikiego! — wykrzyknęła Estera. — Nie boisz się?
- Nie, nie, nie! Ja tylko, jak wy to nazywacie, stroję żarty. On nie jest dziki, tyle że wygląda na dzikusa... z tymi kudłami i kościsty jak zagłodzony kot. Taki chudy, bo nic nie je. I bardzo smutny. Obawiam się, że umrze, jeśli nie będzie jadł.
- Za co siedzi w więzieniu? — zapytała Estera.
- Ach... nie wiem. — Klaudia zgrabnym machnięciem ręki skwitowała swoją obojętność wobec tej sprawy. — Może mówi za dużo?
- To prorok — odezwała się Anna bez przekonania. — Mówi, że zbliża się koniec świata.
- I za to go zamknęli? — zapytała Estera, na pozór wcale nie zainteresowana.
- Za coś więcej — wyjaśniła Murza. — On przepowiada, że władcy pospadają z tronów i Cesarstwo runie, i biedni staną się bogaci, i...
- Właśnie — przerwała Klaudia. — Tak on mówi. Sama słyszałam! Że będzie sądny dzień!... A może ty byś chciała zanieść mu śniadanie, Estero? Żeby tego posłuchać? I może on zje za twoje zdrowie: jesteś taka ładna. I nie bój się go. Nic złego nie zrobi.

Estera udawała, że nie chce, zastanawiała się głośno, czy ten prorok jest



aby pod dobrą strażą.

216

—Pod strażą? — Klaudia parsknęła śmiechem. — Jeden groźny legionista z twierdzy pilnował go przez cały pierwszy dzień, ale od tamtej pory się nie pokazał. Gdzieś sobie wesoło hula. Ale ten więzień jest dobrze zamknięty i nie ma tam nikogo, kto by mu pomógł uciec.

Uznając, że Estera się zgadza, Klaudia przygotowała tacę ze śniadaniem: apetyczne czerwone jabłka, talerz jagód, wędzonego okonia i kilka małych placków jęczmiennych.

- Proszę — powiedziała. — Tu masz klucz do drzwi więzienia. Otworzysz je i wyjdiesz na mały korytarzyk. To cela pierwsza z brzegu. W drzwiach jest zakratowane okienko. Dasz mu śniadanie przez kraty. Nie próbuj się do niego zalecać. To na nic, bo on zimny.
- Raz wyjątkowo — zawołała Murza ze spiżarni — Klaudia mówi prawdę! Na nic się tam nie zdadzą zalecanki. Już tego próbowała... mistrzyni.

Alarmujące „psst”, przypuszczalnie Anny, poważnej Żydówki, uciszyło złośliwą Murze.

—Jej wysokość — wyjaśniła Klaudia naiwnie — jest niespokojna i samotna. Tyś nigdy jej nie widziała, co? — I gdy Estera potrząsnęła głową, Klaudia westchnęła. — Jej wysokość — dodała poufnym półszepcetem — nie lubi myśleć o tym, że się starzeje. No, ale... kto lubi?... Chodź, podprowadzę cię.

Za okrągłym podwórcem wąska, długa pergola wiodła do solidnego kamiennego budynku. Klaudia udzieliła drobiazgowych wskazówek i zawróciła do pałacu; Estera poszła dalej sama. Serce jej biło szybko, gdy dochodziła do niskiego murku wokół więzienia. Zastanawiała się, czy Jan Chrzciciel ją pozna. W murze były wnęki z szerokimi kamiennymi ławkami, niewątpliwie dla wygody strażników. Stawiając tacę na ławie najbliższej drzwi, wetknęła ogromny klucz w zamek, ale ani rusz nie dawał się przekręcić. Nagle ku jej zaskoczeniu czyjś dźwięczny głos z głębi zza ściany więzienia doradził:

— Klucz jest skrzywiony. Przyciśnij go... trochę w lewo.

Nie ulegało wątpliwości, czyj to głos. Wyteżając siły w walce z opornym kluczem, napierała na ciężkie, masywne drzwi, aż z wolna się otworzyły.

217

— Tutaj, córko! — zawołał głos. — Jesteś tu po raz pierwszy!

Stanęli twarzą w twarz po dwóch stronach zakratowanego okienka i patrzyli na siebie w mroku.

- To ty, panie — szepnęła Estera.
- Czyż nie umówiłaś się ze mną tutaj?
- Jest tak ciemno. Rozchorujesz się, panie.
- Rzeczywiście brak mi blasku słońca.
- Nie próbowałbyś uciec, gdybym podała ci śniadanie na zewnątrz?
- Mogłoby cię to narazić na kłopoty.

- Nikt w pałacu nie będzie wiedział, nikogo by to nie obchodziło... jeśli nie zechcesz próbować ucieczki.

Wyciągnęła zardzewiały klucz z zamka głównych drzwi i otworzyła celę. Jan wyszedł osłaniając swoje zapadnięte oczy przed światłem, od którego odwykł. Usiedli na szerokiej kamiennej ławie, taca stała pomiędzy nimi.

— Powiedz mi, jak się tu znalazłaś.

Jadł łąpczywie, ale słuchał uważnie, gdy opowiadała, co przeżyła jako samotny włóczęga w drodze do Tyberiady.

- I widziałaś Tego, o którym ci mówiłem? — zapytał.
- Nie... ale słyszałam o Nim. W dniu, gdy przybyłam do Betsaidy, życzliwy mi młody rybak opowiadał innym rybakom na swojej łodzi o jakimś dziwnym Cieśli, który leczy chorych, pociesza ludzi i łagodnie ich upomina, żeby dźwigali brzemiona własne i cudze.
- Łagodnie?
- Wprost nie mogłam uwierzyć, że Cieśla to ten Wielki, o którym mówiłeś. — Zawahała się żałując, że poruszyła temat dosyć dla niej trudny. — Może źle rozumiałam tego młodego rybaka... czy może przedtem ciebie nie zrozumiałam. Wyobrażałam sobie, że to ktoś chmurny o surowym głosie... mający dokonać zemsty. Najwidoczniej myliłam się.
- Powiedz mi więcej, córko! — zażądał Jan z powagą.

Estera powtórzyła wszystko, co tylko zdołała sobie przypomnieć z relacji marzycielskiego młodego rybaka. Cieśla mówił głosem dziwnie kojącym, jak gdyby nie z tego świata. — Nie — nie było mowy o karze

Boskiej ani gróźb zagłady, doprawdy nie było karcenia. Ten Człowiek nama-

## 218

wiał ludzi, żeby znajdowali szczęście w swych sercach, bowiem na zawsze pozostaną w niewoli u obcych panów.

—I... wcale nie było mowy o tym, że możni zostaną  
zrzućeni ze swoich tronów... i o wyniesieniu ubogich?

Estera potrząsnęła głową. Po chwili niezdecydowanie powiedziała:

- Pójdę Go posłuchać. Z pewnością pozwolą mi wyjść z pałacu na dzień czy dwa. Jeśli ten człowiek nie jest zbyt daleko...
- Uczyń to — poprosił Jan. — Zbadaj. A potem przyjdź i opowiedz mi.

Wstał, ruszył z powrotem do celi. Estera przekręciła w zamku duży klucz.

—Przykro mi, że cię zamykam — powiedziała cicho.

Było południe, gdy doszła do domu w Betsaidzie. Z okrzykiem radosnego zdumienia Hanna wybiegła jej na spotkanie. Uściskały się czule.

— Przyszłaś — radowała się Hanna. — Mam nadzieję, że oni tam ciebie źle nie traktują.

Nie, traktują nawet bardzo dobrze i Estera wróci do pracy jutro. Ale teraz ma specjalne zadanie, najdziwniejsze ze wszystkich zadań.

Po obiedzie — bo Hanna uparła się i podała obiad — Estera opowiedziała o pustelniku, o jego strasznych przepowiedniach i

dopytywaniu się o Cieślę.

— Chyba wszyscy są Nim przejęci — powiedziała Hanna.

— Wczoraj wieczorem sąsiedzi mówili, że wyszedł z Hammat i idzie w naszą stronę.

— Czy poszłabyś ze mną, żeby Go posłuchać, Hanno?

— zapytała Estera.

Hanna wyraźnie się zmieszała. Odpowiedziała dopiero po chwili:

— Może bym poszła, moja kochana. Ale... biedny Szymon... On teraz nie wiadomo dlaczego mieszka na „Abigail”... Mógłby się opamiętać i wrócić do domu, a wtedy powinnam być tutaj. Nie czułabym się w porządku. I lękam się, że bardzo by się gniewał... gdyby mnie nie zastał

219

i dowiedział się, że poszłam posłuchać tego Cieśli. Uznałby to za wielką obrazę. — Chodźmy dziś po południu, Hanno — błagała Estera.

—Zdążyłybyśmy tu być z powrotem przed wieczera.

Szymon na pewno nie wróci wcześniej.

Wkrótce już były na gościńcu. Wydawało się, że cała Betsaida wędruje na południe gnana tą samą myślą. Starsi szli wolno, ale zawzięcie, wbijając laski w piaszczystą drogę; młodszy ich doganiali i mijali; chorych w każdym wieku niesiono na noszach, ociemniałych prowadzono tak szybko, że się potykali.

Rozmów było niewiele. Najwidoczniej żadne słowa nie pasowały do tej dziwnej pielgrzymki. Pośpiech się udzielał. „Prędzej! — ponaglały bezgłośnie rzesze. — Prędzej! Dzieje się coś, co nie zdarzyło się nigdy przedtem i może się już nigdy nie zdarzyć! Nie może nas ominąć ten

cud! Prędzej!" Estera i Hanna raz po raz spoglądały na pełne napięcia twarze ludzi wokoło, po czym patrzyły sobie z powagą w oczy, ale nie wymieniały żadnych uwag. W gardle im zasychało od kurzu i od oczekiwania graniczącego niemal z przerażeniem... Tak, ten Cieśla —czy On jest Cieślą Jana, czy nie jest — rozbudził senną małą Galileę i wywraca nieruchawą małą Galileę na opak, i doprowadza ostrożną małą Galileę do zupełnego szaleństwa!

Nie było potrzeby pytać o drogę. W odległości mili od Betsaidy biegł z gościńca na zachód świeżo wydeptany szlak. Przecinał lasek i winnicę, rozbijał kamienny murek, mącił strumyk, wiodąc na otwarte pastwisko, gdzie tłoczyły się teraz tysiące ludzi.

Na pagórku otoczonym przez napierającą ciżbę stał ten Człowiek. Widocznie dopiero co przyszedł, bo jeszcze nie przemawiał. Czekał z rękami założonymi, ze wzrokiem skierowanym w dal, jak gdyby spokojnie przyglądał się odległym górcom. Nie wydawał się zdumiony czy rad z tego, że tak wielka rzesza oddaje Mu cześć. Z wolna podniósł ręce. Ludzie już ucichli. Opuścił ręce, prosząc ich gestem, żeby usiedli. Nie słuchali, chcieli widzieć wszystko, co może będzie się działo. Spokojnie powtórzył ten gest i wtedy

220

ci, którzy stali najbliżej pagórka, usiedli. Po chwili, jak gdyby cofała się fala przyływu, usiedli odruchowo wszyscy. Podniósł dłoń i zaległa całkowita cisza. Szczególna cisza. Nie było to po prostu ustanie hałasów i zamieszania, tylko żywa cisza, wytwarzająca między ludźmi więź. Nikt nie unikał przypadkowych dotknięć łokcia swego sąsiada, choćby ten był

nawet w brudnych łachmanach.

Gdy Cieśla zaczął mówić, Estera natychmiast przypomniała sobie, co opowiadał o Jego głosie młody Jan. Rzeczywiście Cieśla mówi bez wysiłku, a przecież Jego słowa dolatują wyraźnie na tyły tego wielkiego zgromadzenia. Niesamowite, że ten głos przemawia do mnie! Do mnie tylko! I brzmi spokojna prośba w tym głosie: „Proszę, rozważmy to wspólnie”.

Jezus mówił o życiu szczęśliwym, o pełni życia. Mało kto sięga wzrokiem dość daleko, żeby zasłużyć sobie na życie doskonałe. Życie wolne od lęku i złych przeczuć, wolne od utrapień i podejrzeń. Wolne od chciwej gonitwy w pocie czoła za rzeczami, które niszczą. Takie życie On ofiarowuje, trwały pokój wśród rozgwaru i zamętu świata.

Estera poddawała się temu. Widziała i czuła, że ludzie wokół odprężają się podobnie jak ona, posłuszni temu głosowi. Nigdy dotąd nie uświadamiała sobie, że ciało i umysł są nieustannie w napięciu. Spływał na nią spokój. Cieśla mówił teraz, jaki jest warunek. Każdy może osiągnąć takie życie. Może je mieć, jeśli chce, ale musi starać się pracować na nie, i, jeśli trzeba, cierpieć. Choćby kosztowało cię to wiele ofiar, warte jest swojej ceny. Estera w rozmarzeniu uznała, że żadna cena nie byłaby wygórowana. Kto wie, czy ona nie zmieni zdania jutro, ale teraz wydaje się to dosyć łatwe, osiągalne teraz... tutaj... dzisiaj... pod urokiem łagodnego głosu.

Duchowy pokój, mówił Jezus, daje duchową moc, nie taką moc, jaką świat ma do ofiarowania tobie za twoje wysiłki w dążeniu do władzy, sławy, zaszczytów, tylko moc pokoju Królestwa Niebieskiego. Jeśli musisz zostawić wszystko, żeby osiągnąć ten pokój, zostaw! Jeśli

ciemiejca zechce ci zabrać płaszcz, daj mu go — i swoją tunikę także, ale zachowaj swoją moc pokoju. Nie domagaj się

221

sprawiedliwości. O wiele za dużo mówi się o sprawiedliwości, a za mało o miłosierdziu.

— Krąży wśród nas takie stare powiedzenie — ciągnął — stara zasada, którą nasi przodkowie wyznawali i stosowali: „Oko za oko, ząb za ząb”.

Estera została wychowana w myśl tego pradawnego przysłowia. Ktoś ci zrobi krzywdę, prosta sprawiedliwość nakazuje odpłacić mu tym samym. Ale Cieśla powiedział, że powinniśmy z tą sprawiedliwością „oko za oko” skończyć w imię miłosierdzia i pokoju. Odtąd — jeśli osiągniesz szczęśliwe życie — musisz czynić ludziom to, co chcesz, żeby ludzie czynili tobie... Szczęśliwe życie brzmi bardzo nęcąco. Estera westchnęła, przymknęła oczy i bezwiednie potrząsnęła głową, ponieważ miała dotrzymać przysięgi „oko za oko”.

Cieśla umilkł. Ku wyraźnemu zdumieniu rzeszy usiadł na porośłym trawą pagórku, najwidoczniej bardzo znużony. Niektórzy zmieniali pozycje, prostowali grzbiety, poruszali zdrętwiałymi nogami, ale wszyscy siedzieli nadal. Estera ocknęła się z zadumy i spojrzała na Hannę pytająco.

- Estero — szepnęła Hanna, oszołomiona — nigdy nie było nikogo takiego jak On... nigdy, nigdy dotąd... na tym świecie!
- Jest coś bardzo dziwnego w tym wszystkim — przyznała Estera.



Hanna pochyliła się ku niej, żeby to omówić, gdy nagle zwróciło ich uwagę jakies poruszenie w ciżbie koło pagórka.

Dwoje małych dzieci — chłopczyk chyba sześćioletni i czteroletnia dziewczynka — wbiegło na zbocze i usadowiło się koło strudzonego Cieśli. Może dał im znak. Ale nie — bo już ich matki podbiegały, chciały je zabrać. Cieśla potrząsnął głową, chyba nalegał, żeby pozwoliły dzieciom zostać przy Nim. Teraz inne małe dzieci wyrywały się od rodziców i gramoliły na pagórek. Tłoczyły się wokół Niego. Coraz ich więcej dołączało do tej gromadki. Siedziały mrugając w blasku słońca, zasłuchane w to, co im mówił głosem zniżonym, niedosłyszalnym dla rzeszy.

Z całego ogromnego tłumu dziesiątki brzdąców, jak gdyby na jakies nieodparte zaproszenie, biegły do Niego, deptały

## 222

niebacznie po nogach dorosłym. Chudziutki, mizerny malec kuśtykał z trudem o kuli. Cieśla mówił dalej, ale skinieniem nakazał dzieciom zrobić przejście dla kulawego chłopczyka. Rozsunęły się.

Rozbrzmiał mimowolny okrzyk ludzi będących dostatecznie blisko, żeby dobrze widzieć, co się dzieje. Nie przerywając swej łagodnej przemowy, Cieśla sięgnął ręką po kulę małego. Chłopczyk po chwili wahania dał mu ją i oto stał na obu nogach, wyprostowany, spokojny. Przeszedł kilka próbnych kroków. I raptem ogarnięty zdumieniem, że może chodzić bez kuli, ukląkł, przytulił buzię do kolan Cieśli i rozplakał się. Wszyscy wokół też płakali.

Głosem podniesionym Cieśla przemówił do rzeszy:

—Te dzieci przyszły do mnie, bo w swojej niewinności

one są z Królestwa Niebieskiego. Kto chce być w Królestwie Niebieskim, musi wejść w nie sercem dziecka.

I powiedział jeszcze coś już tylko do tych maleństw. Dzieci wstały. Chłopczyk, który przed chwilą był kulawy, maszerował z pagórka promiennooki, spieszył do rodziców, przepychających się przez tłum ku niemu. Ludzie nie od razu zorientowali się, że Cieśla odszedł przeciwnym zbochem. Siedzieli pewni, że gdy odpocznie — bo wydawał się do cna wyczerpany — wróci i przemówi znowu. Wkrótce jednak stało się jasne, że tego dnia nie będzie nic więcej. Gromadkami rzesza zaczęła wstawać. Prawie bez słowa wielki tłum rozchodził się, podążając w stronę gościńca.

Hanna i Estera, zbyt głęboko wzruszone, żeby rozmawiać, szły ręką w rękę powoli wraz z innymi zdjętymi czcią i bojaźnią ludźmi, którym w przebłysku ukazało się Królestwo nie z tego świata.

Daleko przed nimi zgarbiony i z głową pochyloną kroczył samotnie Szymon. Zobaczyły go i spojrzały sobie w oczy niepewnie. Po długiej chwili Hanna szepnęła:

— Teraz wiemy, co mu dolega. To ten Jezus.

Gdy nazajutrz rano Estera przyszła ze śniadaniem do Jana, wysoki, dziarski i urodziwy młody strażnik przechadzał się tam i z powrotem przed więzieniem. Pozdrowił ją uniesieniem prawej ręki i zmierzył wzrokiem bystrym, pełnym uznania.

223

- Przyszłaś, panienko, nakarmić więźnia? — zapytał zgoła zbytecznie, na co uśmiechnęła się tylko. — Szczęściarz z niego! — dorzucił.

- Tak... prawda? — wycedziła. — W takim miłym miejscu spędzać te śliczne jesienne dni.
- Pozwól, wezmę tacę — powiedział opierając włócznię o mur i wyciągając ręce. — Zaniosę mu i podczas gdy on będzie jadł, my się zaznajomimy. Jestem Algeriusz.
- A ja Estera. — Uśmiechnęła się, ale nie wypuszczała tacy z rąk. — A dziewczyna w kuchni, która czeka na ciebie, to Klaudia. Chce, żebyś skosztował jej miodowych ciastek. Przez ten czas mogę sama podać twojemu więźniowi śniadanie.
- Nic o tym nie wiem — rzekł strażnik z wahaniem. Zdjął ciężki hełm, otarł spocone czoło. — Gdyby tu był mój dowódca i usłyszał o tym, dostałbym chłostę. Zresztą... — dodał półgłosem — wolę zostać tutaj i porozmawiać z tobą.
- O czym? — zapytała nagle oziębła. Algeriusz włożył hełm i wziął włócznię.
- Mówisz, że jej na imię Klaudia?
- Tak, i nie musisz się spieszyć z **powrotem. Przypilnuję ci więźnia.**
- No, to proszę, weź klucz.
- Mam drugi.
- Na pewno się go nie boisz?
- Tego więźnia?... Nie. Jest pełen uszanowania. — Po

stawiała tacę na kamiennym murku.

- A ja nie jestem? — ociągając się mrugnął z uśmiechem.
- Mógłbyś być, myślę, gdybyś miał trochę więcej ogłady

i dobrych chęci.

Poczekala, aż strażnik odejdzie daleko, otworzyła drzwi z klucza, zaprosiła Jana w blask słońca.

- Słyszałem, córko, jak powiedziałaś temu strażnikowi swoje imię — rzekł Jan, gdy usiedli.
- Zechcesz nazywać mnie Esterą, panie?

Podala mu kubek soku z winogron. Powachał sok nieufnie.

— Nie jest sfermentowany — zapewniła. — Wycisnęłam

224

go przed przyjściem tutaj. Klaudia mi mówiła, że nie możesz pić wina.

- Jestem nazirejczykiem. — Dotknięciem warg sprawdził zawartość kubka, po czym z przyjemnością zaczął popijać.
- Ludzie z Nazaretu nie piją wina?
- Nie powiedziałem, że jestem z Nazaretu. Jestem nazirejczykiem, to zupełnie inna sprawa. Nazireat... Ślubuje my... czy też, jak w moim przypadku, ślubuje się za nas przy naszych narodzinach... czystość, ubóstwo, wstrzemięźliwość.

Estera podała mu talerz z pszennymi plackami. Odstawił kubek, wziął jeden placek i przełamał.

- To chyba się nie godzi — zaprotestowała — narzucać

człowiekowi ślubowanie, gdy jest niemowlęciem.

- Nigdy tego nie żałowałem — powiedział. — Takie życie jest dobre. — Niespodziewany łagodny uśmiech rozjaśnił jego głęboko osadzone oczy. — Mnie na imię Jan. Byłoby mi przyjemnie... tak długo przebywam z dala od stron rodzinnych... usłyszeć moje imię z ust kogoś życzliwego.
- Smutne masz życie... Janie.
- Dopiero od niedawna. Wiele lat spędziłem w samotności stosownie do ślubowania, ale to były lata pod otwartym niebem. Nie czułem się nieszczęśliwy. Dopiero tu, w tym mrocznym więzieniu, jestem rzeczywiście samotny, odosobniony i dziwnie mnie dręczy przeczucie czegoś złego. — Odwracając się Jan popatrzył na nią z niepokojem. — Powiedz mi, córko, zdołałaś zobaczyć Go?

Nie chciała dopuścić do tego pytania możliwie jak najdłużej, bo nie miała gotowej odpowiedzi, która by Jana zadowoliła.

—Tak... Janie... Widziałam i słyszałam Go wczoraj po południu. Zebrała się tam ogromna rzesza. Wszyscy tłoczyli się wokół Niego... na łące... niedaleko Betsaidy. Zdumiał mnie widok aż tylu ludzi. Zastanawiałam się, skąd oni wszyscy przyszli. To było...

Przyglądał się jej uważnie, gdy usiłowała tak opóźnić nieuniknione następne pytanie: Jaki jest Ten, którego widziała.

Nagle przerwał jej:

- Pewnie się rozczarowałaś.

- Nie, Janie, ale obawiam się, że ty będziesz rozczarowany. Ten Człowiek nie sprawia wrażenia mściciela. Mówi najłagodniejszym, najmiłszym głosem, jaki w życiu słyszałam... tak kojąco uspokaja... serce. Nie zapowiadał kary dla winowajców ani tego, że możni będą zrzuceni ze swoich tronów, a maluczcy zostaną ponad nich wyniesieni. On głosi pokój, dodaje odwagi ubogim. — Umilkła na chwilę. — I małe dzieci tłoczyły się przy Nim... i uleczył kulawego chłopczyka.

Jan zapatrzył się w drzwi swego więzienia. Westchnął.

— Zaczynaj od początku — rzekł ochryple. — Wszystko mi opowiedz.

Zaczynając więc od początku Estera opowiedziała mu wszystko: o tęsknej gorączkowej pielgrzymce na gościńcu, o ciżbie na łące, o pogodnym głosie, który rozchodził się daleko, docierał prosto do serc, o cichej, żarliwej, bez tchu zasłuchanej rzeszy, o niezwykłym uczuciu spokoju.

- Trochę tego jeszcze czuję teraz — ciągnęła w rozmarzeniu. — Gdy On mówił, ten dziwny spokój ogarnął mnie tak cudownie, że ponad wszystko pragnęłam zachować to na zawsze. — Uświadomiła sobie, że Jan ocknął się z ponurej zadumy i słucha jej ze skupieniem. — Wiem, Janie. Chyba każdy w tym ogromnym tłumie odczuwał to samo... Gdy On mówił, serce mi ucichło... i wszystkie sprawy, które mnie kiedykolwiek dręczyły, odeszły w nie pamięć. Aż zaczęłam mieć nadzieję, że to się nie skończy.

- Widocznie On głosem rzuca jakiś urok na ludzi — zastanowił się Jan.
- Z pewnością znasz się na tym — powiedziała. — Słyszałam, jak przemawiałeś do wielkiego tłumu, wszyscy ze skupieniem słuchali twojego głosu.
- Głos Cieśli jest jednak inny?

Skinęła głową powoli, szukając słów, którymi mogłaby określić tę różnicę tak, by go nie urazić.

— Twój głos, Janie, oszołamiał mnie... budził lęk przed przyszłością. A głos Cieśli mnie uspokajał. Odczuwam to jeszcze dzisiaj, ale już mnie ten spokój opuszcza i żal mi...

226

- Znow umilkła na chwilę. — Wierzę — powiedziała nagle
- że gdyby się dało poznać Go osobiście... i być przy Nim... przez pewien czas... można by się nauczyć za chowywać ten spokój.

—Może innym też to przyszło na myśl — zastanawiał się Jan. — Ma On jakichś przyjaciół przy sobie?

Nie wiedziała. Nie zauważyła, żeby ktoś Mu towarzyszył na pagórku czy później odszedł razem z Nim.

- Może byś spróbowała spotkać się z Nim twarzą w twarz, Estero? Jeśli jest tak łagodny i życzliwy, czyż nie zechciałby porozmawiać z tobą?
- Nie mam prawa Mu się narzucać, już i tak jest tym wszystkim znużony.

- Idź do Niego z wiadomością.... ode mnie! — rzekł Jan rozkazująco. — Powiedz Mu, że poświęciłem życie na zwiastowanie nadejścia Pomazańca. Zapytaj, czy On wie coś o tym... o mnie! Zapytaj Go... w moim imieniu.... czy On jest Tym... zwiastowanym, czy też mamy się spodziewać innego!

Estera uśmiechnęła się lekko i potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że nie mogłabym tego zrobić, Janie. To nie jest człowiek, do którego się podchodzi z takimi pytaniami.
- Ale ja muszę wiedzieć! Czy nie rozumiesz, że moje życie zależy od tego? Nie spróbujesz?
- Daj mi pomyśleć — odrzekła z powagą. — Zlecasz zadanie bardzo ważne... jak na możliwości dziewczyny.
- Zgadzam się — przyznał Jan. — Zaiste to ważne zadanie... jak na możliwości dziewczyny... Czy nawet rabbiego, czy arcykapłana, czy samego tetrarchy. Ale tyś już podjęła się sprawy poważnej i niebezpiecznej, co świadczy o twojej odwadze. Uczynź to... dla mnie! — Pałającymi oczami rzucał wyzwanie jej niezdecydowaniu i czekał.

Tegoż dnia — dwudziestego szóstego dnia miesiąca Tiszri, pamiętna data — bardzo wczesnym rankiem Szymon wstał ze swej niewygodnej, wąskiej koi na „Abigail”, postanawiając pójść znowu na wieś, żeby posłuchać Jezusa.



I postanowił także, jeśli okoliczności pozwolą stanąć blisko Niego, odpierać samolubne tłumy, pchające się, męczące Go swoją bezmyślną natarczywością. Tej nocy prawie nie zmrużył oka, wciąż myślał o tym, wyobrażał sobie, jak stoi opiekuńczo u boku Cieśli i chroni Go przed naporem ciżby, upomina niosących nosze, żeby nie spiesząc się czekali w kolejności i nie odpychali tych, którzy przyszli pierwsi. Chyba ktoś powinien pomagać Jezusowi — czemuż bym nie miał pomagać Mu ja? Jestem wysoki, silny, ludzie chyba mnie usłuchają, gdy będę przywoływał ich do porządku.

Był sam na łodzi, odkąd wyprawił młodego Tadeusza do domu poprzedniego dnia wieczorem. Wolał być sam, bo swoich myśli nie mógł wyjawiać, a nie chciał przygnębiać chłopca posepnym milczeniem.

Szarosina światłość na wschodzie zapowiadała brzask. Mgła jesienna wisiała nad jeziorem, zasnuwała wybrzeże.

Poszedł na dziób łodzi, spuścił wiadro i napełnione wodą zaniósł do ciasnego kambuza, gdzie umył sobie twarz. Potem przełamał jeden z placków jęczmiennych, które przysłała mu Hanna, i wynurzył się na pokład, jedząc chleb sumiennie, ale bez apetytu, pochłonięty myślą o swoich planach.

Z rufy przeszedł na prawą burtę „Abigail”. Przeskoczył reling, po czym już z pokładu „Sary” popatrzył na wschód, na dalekie góry. Cały ich łańcuch wkrótce się zaróżowi. Spojrzał w stronę brzegu północno-zachodniego. Jeśli mgła się trochę podniesie, może będzie widać, czy stara łajba Jafeta jeszcze jest na wodzie.

Doznał wrażenia, że czyjś głos dolatuje z brzegu, odwrócił się więc, zmrużył oczy, żeby zobaczyć poprzez mgłę, kto to, ale nic nie było widać.

- Hej! — zawołał przykładając do ust stuloną dłoń, żeby wołanie rozległo się donośniej.
- Heeej! — doleciał ów głos.

Nie wiedział — może to echo jego głosu, ale chyba nie. Serce biło mu dziwnie. Czekał i nasłuchiwał, trzymając teraz dłoń przy uchu.

Świtało. Jasność dnia nasuwała się na góry, rozlewała się po powierzchni wody. Wychylony za burzę, patrzył z na-

228

pięciem w coraz rzadszą mgłę. Wypatrzył jakąś mglistą postać na piasku tuż przy brzegu.

Owa postać podniosła rękę, więc on też po chwili wahania podniósł rękę i pomachał nią w odpowiedzi. I wtedy ów ktoś zawołał:

—Szymonie!

Nie ulegało wątpliwości, czyj to jest głos. Bo drugiego takiego głosu nie było i nie miało być na świecie nigdy.

—Idę! — wrzasnął Szymon zachrypnięty ze wzruszenia.

W gardle mu zaschło, wielkie ręce drżały, gdy zeskakiwał do łódki. Był dobrym wioślarzem, ale widząc go teraz nikt by tego nie powiedział, tak niezdarne były jego nerwowe ruchy, tak wysoko tryskała rozchlapywana woda. Droga do brzegu wydawała się nieskończenie długa, w końcu jednak dopłynął wielce zdyszany, wciągnął łódkę na piasek.

Potykając się, przejęty, z twarzą rozedrganą, nagle stanął w oszołomieniu przed Jezusem, nagle spojrzął w Jego spokojne, przyjazne oczy. Padł na kolana i dotknięcie' tych dłoni czyniących cuda nagle poczuł na zgarbionych barkach, i przebiegł go taki sam dreszcz jak wtedy w Hammat.

Jezus przemówił cicho, ale żarliwie.

—Szymonie synu Jony, jesteś mi potrzebny.

- Ale ja wiele grzechów popełniłem, Panie — wyznał Szymon ochryple.
- Synu, przybyłem, żeby zbawić grzeszników — powiedział Jezus.
- W czym, Panie, mogę Ci pomóc? Jestem tylko rybakiem. — Głos Szymona zdławiony wzruszeniem był prawie niedosłyszalny.
- Pozostaniesz, Szymonie, rybakiem na zawsze — powiedział Jezus. — Wszelako od dzisiejszego dnia będziesz łowił ludzi!

Pokornie, ze skruchą Szymon głęboko się skłonił, oczy miał pełne łez. Jezus położył mu na rozkuślanej głowie swe kojące dłonie. I wtedy dziwne rozradowanie ogarnęło Szymona.

—Chodź — powiedział Jezus cicho. — Wstań, Szymonie, i chodź ze mną!

Szymon wstał i poszedł za Jezusem.

229

Cieśla jednak nie poprowadził Wielkiego Rybaka — wbrew jego przewidywaniom — do gościńca i przez Betsaidę na południe w okolice Hammat. Szedł wzdłuż brzegu Morza Galilejskiego na północ.

Wiódł Szymona za sobą i Szymon był Mu posłuszny, idąc po piasku w odległości kilku łokci od Niego, nie próbując zrównać z Nim kroku, chociaż On szedł powoli.

Pół mili przeszli tak w milczeniu.

I dziwił się Wielki Rybak, że może z takim zadowoleniem, tak ulegle iść za Cieślą nie pytając Go, dokąd. Miał dzisiaj zamiar pójść do Niego i tylko służyć .Mu jako strażnik przyboczny, tylko bronić Go przed natarczywością rzeszy, nie zmieniając swoich przekonań, swego postępowania. Ale teraz już wiedział, że w całej pełni przystąpił do sprawy Jezusa i będzie „łowił ludzi"... Jeszcze tydzień temu, gdyby ktokolwiek — ta służebnica Anna, na przykład — gdyby Anna zapytała go, czy chce pójść z Jezusem, przecież odparłby cierpko, że skądże znowu?! I splunąłby na ziemię.

Ale teraz szedł za Jezusem dziwnie spokojny. Tajemnicze ukojenie, jakie przez chwilę odczuwał poprzedniego dnia po południu, wróciło.

Wysłużona łódź Jafeta kołysała się na kotwicy nawet dosyć daleko od brzegu, u jej rufy podskakiwała łódka. A więc synowie starego Zebedeusza pewnie są tam na pokładzie, przygotowują się do wypłynięcia rankiem na łowisko.

Jezus zwolnił kroku i przystanął. Odwrócił się, spojrzął na Szymona pytająco, z uśmiechem, po czym skierował wzrok w dal. Przez długą chwilę Szymon stał przy Nim niepewnie gładząc się po brodzie. Nagle ruszył do jednej z płaskodennych łódek na piasku, zepchnął ją na wodę, wskoczył do niej, ujął wiosła i popłynął w stronę łodzi Jafeta.

Siedząc tyłem do dziobu łódki nie odrywał oczu od Jezusa stojącego na brzegu. Już podpływał do tej starej łodzi, na której Jakub i Jan witali go wychyleni zza burty, gdy Jezus nagle pomachał ręką, odwrócił się i ruszył w kierunku gościńca, na południe.

Po dwóch tygodniach pilnych poszukiwań Fary zrezygnowali wszyscy — oprócz Woldiego.

Niezmordowanie wierny chłopiec, chociaż jego nadzieja gasła, szukał swojej dziewczyny dalej, badając starannie okolice, przez które może jechała, gdy tak niebacznie wypuściła się na nocną przejażdżkę. Nawet schodził w głębiny wąwozów porośniętych jeżynami, przetrząsał wszystkie ich zakamarki. Wypytywał pasterzy na łąkach tak daleko w górach, że sam wątpił, czy mogą coś o niej wiedzieć. I dręczył pytaniami nieszczęsną Jonę, aż zaczęła uciekać na jego widok.

Dola tej dotychczas zrównoważonej, opanowanej Jony stała się doprawdy godna pożałowania. Po śmierci Arnon i zniknięciu Fary król Zendi zabrał ich bezradną służbę do swojej siedziby, gdzie ludzie starsi natychmiast świetnie się przystosowali do warunków obozowiska królewskiego. Ale zrozpaczona niewolnica Greczynka straciła zupełnie równowagę ducha.

Jak mówiono, Jona całymi dniami siedziała w jednym z namiotów dla służby i od czasu do czasu wybuchała histerycznym płaczem. Gdy ktokolwiek podchodził do niej, kuliała się jak gdyby w obawie przed ciosem. Woldi słysząc o jej stanie stracił wszelką nadzieję, że mogłaby go na prowadzić na jakiś trop.

Oczywiście przypominano sobie fantastyczną dziecięcą przysięgę Fary, ale ze wszech miar nierozsądne wydawało się przypuszczenie, że dziewczyna wyruszyła samotnie, by dokonać czegoś tak niemożliwego.

Chcąc rozwiać atmosferę bezpodstawnych domysłów i przede wszystkim odwieść rozgorączkowanego chłopca od

jego prawie podjętej decyzji szukania Fary w dalekiej Galilei, król i jego doradcy zebrali się, żeby tę sprawę dokładnie omówić. Potem wezwali Woldiego.

Przygnębiony i chory wskutek bezsenności i zmęczenia Woldi wysłuchał niechętnie ich jednomyślnego zdania, które przekazał mu król Zendi.

231

— Sądźmy — oświadczył Zendi — iż żadna młoda dziewczyna przy zdrowych zmysłach, a przecież Fara była chyba przytomna, nie odważyłaby się wyruszyć samotnie do wrogiego kraju z zamiarem zabicia jego dobrze strzeżonego władcy. Rada Królewska po dokładnym rozważeniu sprawy uznała, że poszukiwanie Fary w tamtych stronach byłoby dowodem czystego obłędu. Gdyby twierdza trarchy Antypasa znajdowała się w odległości dwudziestu mil od rzeki Jordan — ciągnął Zendi — tysiąc doświadczonych jeźdźców mogłoby zaryzykować niespodziewane natarcie. Wszelako przypuszczenie, że siedemnastoletnia dziewczyna przejedzie samotnie ponad siedemdziesiąt mil przez krainę pełną rozbójników po to, by zemścić się na królu w jego świetnej twierdzy, wydaje się po prostu nedorzeczne. Nie powinien przypuszczać tego nawet odważny zakochany młodzieniec, który w swojej rozpacz gotów jest na wszystko.

Po przemówieniu Zendiego zaległa cisza. Woldi mógł bronić swego pomysłu, ale nie zabrał głosu. Wreszcie stary Dumah odchrząknął i

powiedział:

— Nawet gdyby Fara była na tyle szalona, by się na to poważyć, już dawno mogło ją spotkać coś złego.

Woldi podniósł głowę.

- Myślisz, panie, że gdzieś ją pojмали?
- Albo i gorzej — mruknął Dumah.

Woldi podbiegł do króla, padł na klęczki i wykrzyknął:

— Nie zniosę dłużej tego niepokoju. Wasza królewska moc, chcę jej szukać na ziemi żydowskiej!

Siedzący obok stary Miszma coś szepnął królowi. Zendi skinieniem nakazał Woldiemu wstać, wyjść i czekać na zewnątrz. Upłynęła cała godzina, zanim wezwano chłopca z powrotem. Doradcy już wstawali, gotowi odejść.

— Na prośbę twojego czcigodnego dziadka, Woldi, pozwalam ci wyjechać. Damy ci świadectwo obywatelstwa arabskiego, żeby ci zabezpieczyć przejazd przez cały kraj żydowski. Ale chyba rozumiesz, że ten dokument nie będzie tam miał takiej wartości, jaką miałby w Macedonii, w Petrze, na Cyprze czy w Rzymie. Jeśli wpakujesz się w jakieś tarapaty w Judei albo w Galilei, będziesz, niestety, zdany

232

sam na siebie. Życzymy ci jak najlepiej, synu, ale jeśli nie wrócisz, nikt z nas szukać ciebie nie będzie.

Gdy Zendi to mówił, Woldi z wdzięcznością patrzył na dziadka, na jego oblicze pełne powagi. Cóż to za wspaniały starzec, Miszma! Król umilkł. Woldi złożył mu niski ukłon. Kładąc chłopcu rękę na ramieniu, Zendi

życzył mu szczęśliwej podróży i dodał:

- Nie powinienem pozwolić ci na to, Woldi.
- Wasza królewska mość, gdybyś był na moim miejscu — powiedział Woldi zuchwale — też byś się na to poważył.
- Jaką broń weźmiesz ze sobą? — zapytał Zendi.
- Tylko sztylet, miłościwy panie.
- Doskonale. Lepiej nie mieć okazałej broni. I staraj się unikać sporów, nawet błahych. Nie dobywaj sztyletu, dopóki nie będziesz musiał go użyć... I jeszcze jedno: powinieneś być dobrze zaopatrzony w pieniądze!

Serce Woldiego zamarło. O pieniądzach dotąd nie myślał. Nigdy ich nie nosił przy sobie ani nie miał sposobności wydawać. Ale natychmiast odezwał się jego dziadek:

—Będzie miał dostateczne fundusze, miłościwy panie.

Odruchowo Woldi chwycił dziadka za rękę i uścisnął.

Zendi zszedł z podwyższenia.

—Arabia powinna być dumna z was obu! — powiedział odchodząc.

Miszma zabrał wnuka ze sobą. Od dawna Woldi nie widział dziadka w siodle, serce więc wzbierało mu podziwem, gdy patrzył, jak ten starzec zręcznie, bez wysiłku radzi sobie z niecierpliwym gniadym ogierem. Miszma na koniu wydawał się o dwadzieścia lat młodszy niż jego pomarszczona twarz. W drodze prawie nie rozmawiali, dopiero u wrót obozowiska podjechali do siebie.

- Pożegnamy się teraz, dziadku?
- Nie teraz.



Zsiedli z koni i weszli do wspaniałego namiotu Miszmy. Starzec poszedł do swojej sypialni. Po chwili przyniósł Woldiemu świeżo zrobiony pas z sakiewkami tak wypchanymi złotem, że Woldi, biorąc od dziadka ten ciężar, omal go nie upuścił.

—Suma, którą byś po mnie odziedziczył, chłopcze.

233

- Chyba niebezpieczne było dla ciebie, dziadku, trzymanie tego złota w namiocie?
- Niebezpieczne... ale niedługo je tu miałem.
- A więc przygotowałeś to... specjalnie dla mnie?
- Od dwóch tygodni wiedziałem, że pojedziesz za nią. Wielce nad tym boleję, ale nie mogę, Woldi, ciebie za trzymywać!

Pamiętna chwila. Obaj byli głęboko wzruszeni.

—Wątpię, czy jeszcze cię zobaczę. Jestem stary — Miszma mówił prawie niedosłyszalnie. — Marzyłem, że zostaniesz królewskim doradcą. Teraz musimy z tego zrezygnować. Czy odnajdziesz Farę, czy nie... i tak już utraciliśmy tę sposobność. Nie mogę jednak zdobyć się na to, by cię ganić. W miarę jak się starzeję, moje pojęcie o wartościach ulega zmianie. Ta dziewczyna jest odważna. Kochasz ją i nic dziwnego, że gotów jesteś wszystko dla niej poświęcić... Może jej nie odnajdziesz. Ja osobiście nie przypuszczam, żebyś ją odnalazł. Jeśli zginęła, nie śpiesz się z powrotem... masz dostatecznie dużo pieniędzy na podróżowanie po

obcych krajach. Jeśli się spotkacie, pojmiesz ją za żonę. Nie wracaj z nią tutaj. I ty, i ona bylibyście nieszczęśliwi. — Miszma wstał ociężale, ujął Woldiego za ramiona. — Jedź... natychmiast... zuchu... tylko przedtem pociesz jakoś swoją biedną matkę.

Po smutnym pożegnaniu w domu — smutnym, bo Kitra, chociaż usiłowała dzielnie panować nad sobą, ostatecznie się załamała — Woldi pogalopował do króla, żeby złożyć mu uszanowanie i otrzymać dokument tożsamości.

W ostatniej chwili przyszło mu na myśl pożegnać się z Joną, ale służebnie wiedziały, gdzie ona jest. Dosiadł swego wysokiego karego wałacha i szybkim klusem ruszył na szlak biegnący w dolinę Esne.

Nagle o kilka kroków przed nim jakaś kobieta wyszła z gęstwiny machając ręką. To była Jona, chuda i mizerna, ale zdumiewająco ożywiona. Niezbadane są kaprysy chorego umysłu. Kobieta, która osunęła się na dno melancholii, teraz wydawała się prawie radosna. Woldi powściągnął konia i zatrzymał się przy niej.

—To świetnie, Woldi! — wykrzyknęła Jona w pod-

234

nienieniu. — Jedź, odzyskaj ją! Tu jest mały podarunek dla ciebie.

Podła mu jakąś paczkę. Niedużą, miękką jak poduszka dziecięca. Pewnie szalik jej własnej roboty — pomyślał — ale dlaczego w pokrowcu z cienkiego płótna, zeszytym ze wszystkich stron?

- Mam to rozpakować teraz, Jono? — zapytał.
- Nie, nie! Szkoda czasu! To tylko mały podarunek. —

Odwracając się, znów pomachała ręką uśmiechnięta. —

Niech bogowie czuwają nad tobą, Woldi! — zawołała.

Pojechał dalej. Ale to dziwne pożegnanie Jony wzbudziło w nim ciekawość. Parę dni temu była nieprzystępna, przygnębiona, zalękniona, wręcz nieprzytomna. Teraz dowiedziała się o tym, że on będzie szukać Fary w Galilei, i szaleje z radości. Może Jona więcej wie, niż powiedziała o wydarzeniach tamtej nocy, gdy Fara zniknęła. Usiłował to zgłębić. Jona przyrzekła zachować tajemnicę! I właśnie to doprowadziło ją do obłądu! Wbrew przypuszczeniom wszystkich Fara na pewno wyruszyła do Galilei zamierzając dotrzymać swojej przysięgi! A więc jestem na właściwym tropie — niewątpliwie. Myśl o tym sprawiła, że Woldi ponaglił konia, pełen nowej nadziei. Ale gdy rozważył liczne możliwości nieszczęść na drodze Fary, ogarnęła go rozpacz. Czy odnajdzie ją żywą, czy nic złego jej się nie stało?

Wieczorem zatrzymał się na posiłek i nocleg w oazie z małym, zgoła nie obiecującym karawanserajem na wysuniętym najdalej na południe cyplu Morza Martwego. Po niesmacznej wieczerzy, którą mu podała bardzo ponura staruszka, zapytał rozdrażnionego gospodarza, zapewne jej męża, czy przypadkiem nie przejeżdżała tędy urodziwa młoda Arabka na gniadej źrebicy. Może nocowała tutaj — jakieś dwa tygodnie temu? Gdy ten gburowaty starzec marszcząc brwi i wydymając wargi potrząsnął głową, trzeba było skuteczniej podziałać na jego pamięć. Czy jest tego pewny?

—Oczywiście! Czyż mógłbym — warknął — zapomnieć, gdybym zobaczył coś tak niezwykłego w tych stronach?! Młoda kobietka podróżująca samotnie w tej okolicy? Nie,

panie, już kto jak kto, ale ja bym zapamiętał przejazd urodziwej młódki! — zachichotał szelmowsko i gdy jego zwiędła stara połowica spojrzała na niego spode łba, parsknął obelżywym śmiechem.

Potem Woldi spróbował zbadać pamięć staruszki, ale ona w życiu swoim nie widziała ładnej młodej kobiety na koniu ani tutaj, ani nigdzie indziej, co chyba wykluczało ją jako świadka.

Chociaż wieczór był jeszcze wczesny, pozostawało Wol-diemu tylko udać się na spoczynek. Dali mu kaganek i wskazali nędzną szopę, w której miał nocować. Z jukami na ramionach wszedł tam, dosyć znużony, ale jeszcze nie senny. Usiadł na brudnej pryczy i zdecydował się w braku innego zajęcia zobaczyć, co mu podarowała Jona.

Wyciągnął paczkę z juku, czubkiem sztyletu zaczął rozpruwać drobny szew. Była to żmudna, irytująca robota, bo Jona szyła bardzo starannie. W końcu jednak rozpruł płótno. Zdumiał się. Płócienna koperta zawierała długi, gruby warkocz włosów! Czyich — jeśli nie Fary?

Ujął warkocz oburącz, przytulił do policzka. Ucałował. Oczy mu zaszczyły łzami. Stopniowo wyłaniało się znaczenie podarunku Jony, aż wykrzyknął nagle w olśnieniu. Fara przebrała się za chłopca! W ten sposób Jona naprowadza go na trop. Nie ma sensu pytać o dziewczynę! Trzeba szukać chłopca! Czy Fara odważyłaby się tak zaryzykować? A przecież tu jest niezbity dowód, że się odważyła! Wbrew pozorom biedna Jona jest całkiem rozsądna. Woldi ucieszył się, ale zaraz ogarnęły go obawy. Jakże Fara mogła liczyć na to, że nic jej nie zdradzi w tak trudnym przebraniu? Wcześniej czy później ktoś się zorientuje i sytuacja jej będzie jeszcze gorsza.

Zasnął wreszcie po godzinach bezsenności, trzymając swe miłe sercu

trofeum na poduszce. Zbudził się o brzasku. Mrukliwego gospodarza zastał przed stajnią.

- Zadam ci jedno pytanie — rzekł surowo. — Czy widziałeś młodzieńca Araba... w tych stronach? Może dwa tygodnie temu... Na gniadej klaczy.
- Takiego widziałem — odpowiedział gospodarz. — Urodziwy chłopiec i dostatnio przyodziany. Zatrzymał się tutaj, spał w tej samej izbie co ty.

236

—Uuch... ale mi izba! — warknął Woldi.

Stary bezwstydnie zachichotał.

— Tamtemu młodemu Arabowi też się nie podobała.

Warto go było wtedy posłuchać, słowo daję. Kłął jak pijany żeglarz. W życiu swoim nie słyszałem tylu przekleństw naraz. Niektórych nawet nie znałem.

Woldi osłupiał. Po chwili roześmiał się.

- Młody gbur, co?
- Jako żywo. I widać bardzo bogaty, przywykł mieć zawsze to, co chce. Rozkazywał nam, jakbyśmy byli niewolnikami, chociaż, muszę przyznać, grosza nie poskapił.
- Dlaczego wczoraj wieczorem, gdy cię pytałem, nie mówiłeś mi o nim?

Stary rozdziawił usta. W jego chytrych oczach błysnęło zrozumienie.

— Pytałeś o młodą kobietę! — odparł. — Mógłby ten chłopiec, o którego pytasz dzisiaj, być dziewczyną, o którą

się dowiadywałeś wczoraj? — Jak stare ptaszysko piskliwie gdakał, ubawiony. — Nam przyszło na myśl, że on jest jakiś dziwny! On! On! Nie... ja dalej powiadam, że jeszcze nikt w tej oazie nie klął tak siarczyście... a my tu gościmy wielu poganiaczy wielbłądów.

Woldi jadąc do Engedi kilkakrotnie parsknął głośnym śmiechem, ale miał też chwile poważnej zadumy. Fara rzeczywiście gra wysoko. Mogła oszukać dwoje stetryczących staruszków w brudnym karawanseraju, do Galilei jednak droga jest daleka.

W Engedi szybko sobie przypomniało młodego Araba sprzed dwóch tygodni.

- Dumny, wyniosły młodzieniec? — zapytał właściciel gospody i na przytaknięcie Woldiego rozgadał się: — Czy ja go pamiętam?! Bogaty panicz! Jechał na rozbrykanej gniadej źrebicy... Za samo srebro w uprzęży i drogie kamienie w rękojeści bacika można by kupić mój dom ze wszystkim, co mam.
- Nie był trochę... niemiły? — drażył Woldi.
- Trochę? — Właściciel gospody uśmiechnął się kwaśno.

237

— Sklął mnie trzema językami: po aramejsku, po arabsku i po grecku. Stajennych i dziewczki służebne sklął po łacinie. Nic mu tutaj nie dogadzało.

Woldi, chociaż usiłował zachować powagę, nie zdołał powstrzymać chichotu.

- To ten, którego szukam — powiedział. — Jest porwoczy... niewątpliwie! Widziałeś może, dokąd się stąd skierował?
- Na stary Szlak Solny. Mówił, że jedzie do portu...  
Jeśli go nie obrabują po drodze, to z pewnością tam w Gazie obłupią go do cna. Tylko głupiec przejeżdża sam jeden przez to zapowietrzane miasto... nawet w biały dzień!
- Nie ostrzegłeś go?
- Nie, nie ostrzegłem! — burknął właściciel gospody.

— Był tak wściekle pewny siebie! A bo to moja rzecz, pomyślałem, jeśli popadnie w tarapaty?

- Mój przyjaciel potrafi dawać sobie radę! — powiedział Woldi z większą ufnością w głosie niż w sercu.
- I owszem, językiem dobrze obraca.
- Tak... i sztyletem również! — Woldi bardzo chciał, żeby to była prawda.

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem jechał dalej ruchliwym gościńcem, znów dręczyły go obawy. Tyle niebezpiecznych przygód mogło spotkać Farę. Ci leniwi chudzi obszarpańcy, poganiacze wielbłądów w długich karawanach, czyż daliby spokojnie przejechać samotnemu jeźdźcowi nie ukrywającemu swoich bogactw i wysokiego stanu? Przewodnicy karawan, o nosach orlich, oczach jak paciorki, przyglądają się podróżnym na gościńcu bezczelnie i badawczo — ich nie zmyliłoby przebranie Fary, gdyby się uparli porozmawiać z nią dłużej. Jej widocznie się wydaje, że odgrywając swoją nową rolę musi być hałaśliwa i butna. Woldi miał nadzieję, że ona w tym nie przesadza. Komuś mógłby się nie

podobać jej zuchwały sposób bycia. Kochane biedactwo, byłoby z nią krucho, gdyby doszło do bójki.

W starym Hebronie wypytywał w dwóch gospodach, ale nie widziano młodego Araba na gniadej źrebicy. Po dwóch godzinach daremnych pytań uznał, że Fara przejechała przez to historyczne miasteczko nie zatrzymując się. Na-

238

karmił i napoił swego konia, zjadł szybko obiad w lepszej gospodzie i ruszył w dalszą drogę. Okolice były żyźniejsze, na gościniec wjeżdżały wozy zaprzężone w osły, załadowane melonami, winogronami, zbożem, sianem.

W odległości kilku mil na zachód od Hebronu, nie opodal rozstaju, zwrócił szczególną uwagę na pewnego jeźdźca, rozczochranego prostaka, jadącego na pięknej, znacznie za dobrej dla niego gniadej klaczy, bardzo podobnej do Saidi, źrebicy Fary. Zwolnił do stępa, jadąc mu naprzeciw, i podejrzenie się potwierdziło. Ten obszarpany, kudłaty człowiek ze zmierzwioną brodą nie mógłby sobie kupić tak kosztownego wierzchowca. Jest krępy, kolor skóry ma ciemnobrązowy — Idumejczyk oczywiście, co nie przynosi mu chluby. Jedzie na oklep. Uzda spleciona z rzemyków i brudnego konopnego sznura zgoła nie pasuje do konia czystej krwi.

Podjeżdżając, ten Idumejczyk o rozlatanych oczach, już świadom, że Woldi baczenie mu się przygląda, uderzył piętami w boki źrebicy, żeby szybko go minąć. Ale Woldi natychmiast ustawił Darika w poprzek gościńca, tak że Saidi zatrzymała się raptownie.

- Co wyprawiasz? — wrzasnął prostak gardłowym



głosem syna na pół dzikiej Idumei.

- Skąd masz tę źrebicę? — zapytał Woldi.
- Kogo to obchodzi? — odparował Idumejczyk.
- Mnie obchodzi, człowieku! — ryknął Woldi. — To klacz mojego znajomego... No, Saidi!

Wyciągnął rękę. Saidi rozdeła chrapy. Zastrzygła uszami i niepewnie ruszyła ku niemu. Idumejczyk szarpnął uzdę, żeby ją powściągnąć.

- Ta klacz jest moja — warknął rozjuszony. — Kupiłem ją wiele miesięcy temu! Łapy precz od niej... bo pożałujesz!
- Nie, została ukradziona! Nie jest twoja! Widzę, że siodła i uzdy już się pozbyłeś. Może mi powiesz, co się stało z młodym Arabem, jej właścicielem!
- Dużo ci z tego przyjdzie, złotodzie! — zaszydził Idumejczyk rozwijając zniszczony bat. — Dasz przejechać czy nie dasz?
- Nie dam, dopóki mi nie odpowiesz na pytanie.

239

Idumejczyk w odpowiedzi zamierzył się i chlasnął batem. Woldi zdążył ręką przysłonić twarz, ale rzemień ostro wciął mu się w szyję. Następne chłaśnięcie pozostawiło pręgę na kłębach Darika. Wałach stanął dęba i cofnął się.

Ani Arab, ani Idumejczyk nie kwapili się do zejścia z koni, wszczęcia bójkę na gościńcu. Już zatrzymały się dwa wozy targowe z ludźmi ciekawymi tej kłótni. A od zachodu zbliżał się sznur wielbłądów. Najwidoczniej bojąc się awantury, Idumejczyk zakreślił źrebicą bijąc ją

bezlitośnie. Pomknęła.

Na rozstaju Idumejczyk zboczył w lewo na nie używaną drogę polną. Woldi gonił go pełnym galopem. Oba konie świetnie potrafiły się ścigać. Przebiegły pół mili, zanim Darik znalazł się z Saidi łeb w łeb. Droga się zwięzała, obrośnięta gęsto krzakami. Gdy Darik wyprzedzał Saidi i konie były tak blisko, że ocierały się o siebie, Woldi odwracając głowę zobaczył, że Idumejczyk pochylony do przodu zamierza się w jego plecy sztyletem. Zareagował błyskawicznie, batem uderzył w twarz krzepkiego opryszka.

Skierował swego konia na Saidi, żeby pchnąć ją w zarośla. Po krótkiej chwili oporu zatrzymała się, cała drżąca. Idumejczyk nie próbował jechać dalej. Obaj zsiadli z koni. Nie ulegało wątpliwości, że Idumejczyk będzie bardzo niehono-rowym przeciwnikiem — już tego zresztą dowiódł.

Zrzucili tuniki, Woldi dobył sztyletu i stanęli przed sobą. Idumejczyk ostrożnie pomacał czerwoną pręgę na policzku i uśmiechnął się.

—Rad jestem, żeś pojechał za mną, żółtodziobie — warknął. — Tu dobre miejsce na to, co chcę z tobą zrobić.  
— Zgarbiony jak gniewny byk zbliżał się krótkimi wyliczonymi kroczkami. Woldi stał wyprostowany, nawet nie przyjął pozycji obronnej.

Krępy Idumejczyk wyprostował się nagle i w oszołomieniu załamał rękę.

—Będiesz tak stał... i dasz się zabić, palca bodaj nie podniesiesz? Myślałem, że Arabowie to wojownicy!

Woldi zdawał się nie słyszeć tego urągania. Szeroko otwartymi oczami patrzył ponad ramię Idumejczyka na drogę.

— Zobacz! — wykrzyknął ze zdumieniem.

Jego smagły wróg natychmiast odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, a on wtedy doskoczył, mocno chwycił przegub ciemnej ręki ze sztyletem. Idumejczyk zamierzył się drugą ręką i uderzając nadział się swą wielką pięścią na ostry czubek sztyletu arabskiego.

Teraz uwolnił prawą rękę, podniósł swoją broń, gotów ugodzić Woldiego w serce, ale sztylet arabski zwinnie odparował to pchnięcie i ostrzem rozplątał mu przedramię. Krew kapłała też z palców obu rąk rzezimieszka. Znów uderzył rozpaczliwie, ale bezskutecznie — zbyt ciężko był ranny. Woldi wykręcił mu zboczony krwią przegub i zabrał sztylet. Potem ujął go za brodę, przyłożył ostrze do jego odsłoniętego gardła.

— Gdzie ukradłeś tę źrebicę?! — wrzasnął. — Mów szybko, bo cię zabiję!

Idumejczyk zgrzytnął zębami. Spróbował wyrwać się, mażąc sobie brodę zakrwawioną dłonią. Czubek arabskiego sztyletu przesunął się trochę, ukłuł go w brudną szyję.

To zakończyło walkę. Kolana ugięły się pod Idumejczykiem, upadł na ziemię, zaczął głośno wymiotować. Woldi otworzył jeden ze swoich juków, rozdarł ręcznik i owiązał mu krwawiące przedramię.

— Wcale nie chcę ratować ci życia, ty koniokradzie — wyjaśnił — ale też nie chcę, żebyś umarł, zanim mi powiesz, gdzie tę źrebicę ukradłeś.

Słabym głosem Idumejczyk przyznał się. Opowiedział dziwną historię — tak dziwną, że chyba nie mógłby jej wymyślić. Ale cóż by Fara robiła

w wielkim tłumie, który zgromadził się na łące nad Jordanem, żeby posłuchać jakiegoś wędrownego proroka. To niepodobne do Fary!

Nie, dyszał wyczerpany Idumejczyk, on nie widział właściciela tej klaczy. Przyszedł za tłumem i o zmroku natknął się na klacz spętaną w pewnej odległości od innych koni. Nie, uzdy ze srebrem ani siodła tam nie było. Począł, aż ludzie w obozowisku zasną, i zabrał klacz, chociaż się opierała, co groziło wykryciem.

— Dobrze — powiedział Woldi spokojnie. — Gdy

241

uznasz, że już masz dosyć rzygania, pojedziemy tam, skąd ukradłeś tę źrebicę.

- Nie mogę — wykrztusił Idumejczyk. — Za bardzo mi słabo.
- Powinieneś być, koniokradzie, przewidzieć, że tak będzie, gdy spróbujesz pchnąć mnie w plecy! Prędeż! Wstawaj... bo zerwę ci ten opatrunek i zostawię, żebyś wykrwawił się na śmierć!

Uciążliwa była jazda z powrotem do Hebronu. Na gościńcu przyglądano się im z ciekawością. Przy pierwszym korycie z wodą Woldi pomógł Idumejczykowi trochę obmyć zakrzepłą krew. Szczęściem dla nich obu nie spotkali żadnego patrolu. Na wschód od Hebronu zjechali z gościńca kierując się na północ. Późno po południu dotarli na pastwisko na wysokim brzegu Jordanu. Trawa była wyraźnie stratowana przez ogromną rzeszę.

— Tam — wskazał obolały koniokrad. — Tam stała

spętana ta klacz.

Woldi zsiadł z konia i rozglądając się przeszedł po łące. Co Fara mogła zrobić, gdy stwierdziła, że Saidi zniknęła? Czy ma przy sobie dosyć złota, żeby kupić innego wierzchowca? Na pewno ma — w taką długą podróż nie wyruszyłaby bez pieniędzy. I oczywiście nie próbowałaby po zniknięciu Saidi odbywać dalszej drogi pieszo. Jej wyprawa jest dostatecznie ryzykowna bez narażania się na dodatkowe niebezpieczeństwa. Tak, niewątpliwie Fara kupiła konia.

Zastanawiał się, co zrobić z Saidi. Nie jest jej właścicielem. Nie może sprzedać jej w dobre ręce ani też nie może jej zabrać ze sobą. Po namyśle dosiadł swego konia i podjechał do ledwie zipiącego Idumejczyka. Poklepał źrebicę Fary po aksamitnym pysku.

— Żegnaj, Saidi — rzekł ignorując jej szubrawego jeźdźca. — Przykro mi cię zostawić... ale nie ma na to rady.

Oszołomionemu Idumejczykowi nie powiedział nic. Odjechał pełnym galopem. Ale gdzie, kiedy, zadawał sobie pytanie, i czy w ogóle dogoni Farę?

Mając dosyć wrażeń jak na jeden dzień, Woldi wrócił do starego Hebronu. Nocował tam, ale już o świcie był znowu w drodze na zachód. Minął rozstaje, gdzie poprzedniego

242

dnia spotkał idumejskiego złodzieja, i jechał dalej przez senne miasteczko Adoraim, którego krwawa historia — gdyby ją znał — może by wzbudziła w nim zainteresowanie. Często się zatrzymywał, żeby pytać wieśniaków w wozach i pracujących na polach, czy przypominają sobie młodego Araba przejeżdżającego tędy niecałe trzy tygodnie temu. Nie

tylko nie uzyskał żadnych informacji, ale cierpkość odpowiedzi świadczyła o zgoła nieprzychylnym stosunku do podróżnych z Arabii. Tłumaczył to sobie nieokrziesaniem tych wieśniaków, dopóki nie przyszło mu na myśl, że gdyby Żyd na dobrym wierzchowcu zapytał arabskiego pasterza, czy nie widział przejeżdżającego tędy innego Żyda, ów pasterz przecież obrzuciłby wyzwiskami zarówno samego Żyda, jak jego rodziców, wuja, dziadka i ich potomnych, wszystkich co do jednego... Nie ma co mówić, miło jest na tym świecie!

Takie postoje od czasu do czasu, chociaż krótkie, sprawiały, że jechał wolniej, niż zamierzał, toteż dopiero pod koniec dnia dotarł do brudnego miasteczka Lachisz, skąd jeszcze miał piętnaście mil do Gazy. Poświata księżycy, który ledwie co wzeszedł, była zbyt słaba, by rozjaśnić dalszą drogę w wieczornym mroku. Zajechał więc na podwórze stajenne jedynej gospody w Lachisz — prawie pustej, co uznał za niedobry znak. Już się przekonał, że w gospodach, gdzie jest dużo wolnych miejsc, zawsze można odkryć powód po temu.

Dwóch gburowatych stajennych wyszło mu na spotkanie, ale zdecydował się zadbać osobiście o wygody swego konia. Gdy z zapamiętaniem wycierał wiernego wałacha, odpowiadającego kiwaniem łba na jego czułe słowa i skubiącego go filuternie, nagle zorientował się, że ktoś cicho stoi w pobliżu i patrzy na niego. Odwracając się napotkał pełen rozbawienia wzrok przystojnego, dobrze ubranego mężczyzny, lat około czterdziestu, wyraźnie Rzymianina.

Wyprostował grzbiet i pozdrowili się uprzejmie.

- Jesteś chyba Arabem — zauważył Rzymianin.
- Tak, panie. Nazywam się Woldi.

- A ja Mencjusz. Karawana, z którą jadę, obozuje przy drodze o milę stąd. Mój koń okulał... czy może udaje, że

243

okulał. Miałem nadzieję dostać tu końskie pijawki, ale ich nie ma, a ci stajenni nie wiedzą nawet, czy jest dzień, czy noc.

- Pozwolisz mi, panie, obejrzeć twojego konia?
- Właśnie chciałem cię o to poprosić — odrzekł Mencjusz. — Wy, Arabowie, podobno wiecie o koniach wszystko.
- Nie wszystko — sprostował Woldi. — Ale rzeczywiście wiemy, że konie w czasie długiej podróży męczą się i im są zmyślniejsze, tym bardziej kuleją.
- Racja — Mencjusz roześmiał się. — Czasami zapominają, na którą nogę. Wtedy się zdradzają. Wszelako... Mój koń chyba nie chce mnie oszukiwać.

Przeszli na drugą stronę zagrody, gdzie spokojnie chrupał obrok lśniący biały ogier. Woldi bez słowa utkwiał w nim wzrok.

Po chwili ogier podniósł prawą przednią nogę i postawił ją niezwykle ostrożnie. Woldi natychmiast podszedł, poklepał go po kłębach, pomacał tę nogę i delikatnie uniósł kopyto, żeby je obejrzeć.

— Źle podkuty — zaopiniował. — Lewa krawędź kopyta głębiej ostrugana niż prawa. Pozbawia to równowagi staw pęciny.

Przywołał jednego ze stajennych i zapytał, czy jest w okolicy kowal. Gapiowaty stajenny przytaknął, że owszem, jest.

- Niestety — westchnął Mencjusz — żaden kowal

tutejszy chyba nie potrafi zbyt nam pomóc.

- To prawda, ale jego narzędzia nam pomogą — powie dział Woldi. — Tylko dostańmy się do kuźni, a już ja sam podkuję ci, panie, tego konia na nowo.
- Chcesz przez to powiedzieć, że znasz się na kowalstwie?

Zdumienie Mencjusza było szczere. Woldi parsknął śmiechem. Gdy szli do kuźni, wyjaśnił, że w Arabii każdy chłopiec instynktownie jest końskim lekarzem.

—Nigdy nie pozwalałam kowalowi tknąć kopyt mojego Danki — powiedział. — A mamy niejednego mistrza w tym rzemiośle. — Znów parsknął śmiechem, widząc zdumienie Rzymianina, i dodał: — Nasi kowale są o wiele

244

lepiej płatni niż nasi skrybowie... Może dlatego Arabia piękniej jeździ konno, niż czyta.

Na ten żart Mencjusz uśmiechnął się półgębkiem, najwidoczniej niezupełnie pewny, czy apróbować beztrosko obojętny stosunek młodego Araba do wykształcenia; od pierwszej chwili polubił Woldiego i nie chciał, by okazał się on chłopcem, który nie tylko jest niepiśmienny, ale w dodatku wcale się tego nie wstydzi. Zawsze dobierał sobie towarzystwo ludzi wykształconych.

Woldi zdjął tunikę, Mencjusz wziął ją do potrzymania i patrzył, jak ten młody Arab, za zgodą oszołomionego kowala, wybiera kilka spośród zardzewiałych narzędzi, zręcznie zrywa źle przybitą podkowę i dopasowuje na nowo, ściskając przednią nogę ogiera między kolanami,



żeby unieruchomić obolały staw pęciny.

Zajęty swym zadaniem Woldi spojrział na Mencjusza dopiero wtedy, gdy usłyszał przyciszoną rozmowę prowadzoną po grecku. Do Mencjusza podszedł jakiś Rzymianin, równie wytworny, chociaż od niego młodszy i chyba jego podwładny. Mencjusz myśląc, że Woldi nie rozumie, mówił:

—Widzisz, jak sprawnie on to robi, Pinkusie? Kocha konie, chce im oszczędzać zbytecznego bólu. Konie! On dla nich żyje! Dziwni ci Arabowie! Umysły bystre, a o świecie poza koźmi nie mają pojęcia!

Woldi skończył wbijać hufnale, wolał jednak nie przerywać tego rzymskiego wywodu o umysłowości arabskiej. Trzymał nogę ogiera między kolanami, rozcierał ją delikatnie i słuchał.

- Na przykład ten młody chwata, Pinkusie. Widać, że zamożny, niewątpliwie należy do któregoś z ich najszlachetniejszych rodów, ujmujący w obejściu, rozgarnięty. Ale założę się z tobą o pięćset sestercji, że nie umie napisać swojego imienia!
- Chętnie przyjmę zakład — powiedział Pinkus. — Tylko jak my to sprawdzimy?
- Można by go zapytać — z uśmiechem podsunął Woldi po grecku.

Niezręczność sytuacji, chociaż mogła spowodować poważną obrazę, w rezultacie przypieczętowała miłą znajomość.

Mencjusz, człowiek obyty, przyznał pokornie, że wszelkie przeprosiny tylko by pogorszyły sprawę. Wobec czego Woldi powiedział:

— Miałeś rację, panie, co do Arabii. A ja nie powinienem był się przysłuchiwać, ale... przecież nie mogłem odejść. Mowy greckiej nauczyłem się przypadkowo, zapewniam cię.

Pinkus usiłował zachować powagę, nie zdołał jednak powstrzymać się od śmiechu. Całe to zdarzenie było zbyt zabawne, żeby je traktować serio. Woldiego również rozśmieszyło. Mencjusz powoli otrząsnął się z zakłopotania. Z godnością i szacunkiem dokonał prezentacji: Pinkus jest kierownikiem karawany, z którą on podróżuje.

Gdy młody Rzymianin dowiedział się, że ma nazajutrz prowadzić dalej karawanę do Gazy, żeby tam czekać w porcie, i odszedł, Mencjusz i Woldi zaczęli rozmawiać. Zjedli razem wieczerzę. Rozstali się późno. Znajomość ich szybko przeradzała się w przyjaźń.

Mencjusz, być może nie zdając sobie z tego sprawy, otworzył bramy świata przed młodym Arabem, który nigdy dotąd nie wyjeżdżał z rodzinnych stron. Urzeczony Woldi zachęcił Rzymianina do opowiadania o dalekich podróżach. Mencjusz wyznał otwarcie, że jest wysłannikiem cesarza do różnych zleceń. Teraz jest w podróży okrężnej od wielu już miesięcy; kierując flotą, złożoną z dziesięciu statków Cesarstwa, popłynął z Brindisi na Krete, gdzie zapędził opieszłych Kreteńczyków do kopalń po żelazo, które następnie dziewięcioma statkami wysłał do Rzymu. Sam dziesiątym statkiem popłynął na Cypr, gdzie zorganizował karawanę, żeby przywieźć miedź z głębi tej wyspy, po czym, gdy tamtych dziewięć statków wróciło z Rzymu, popłynął do Cezarei z załadowaną na nie tą cypryjską miedzią, potrzebną do budowy rozległych cezarejskich doków.

- Powinieneś spędzić kilka dni w Cezarei, Woldi, skoro i tak jedziesz na wybrzeże — doradził. — Cesarstwo

dokonuje tam wielkich rzeczy! Dwumilowy falochron, wspaniały port, który ma być jednym z największych portów nad naszym morzem...

- Nie wiedziałem, że Żydzi mają tyle towarów do wysyłania statkami — powiedział Woldi.

246

- Bo też nie mają — zgodził się Mencjusz zniżając głos.  
— Ale nadejdą czasy, gdy Cesarstwo zajmie się rozwojem ziemi żydowskiej. Wtedy handel zagraniczny zakwitnie.
- A więc Rzym zamierza całkowicie podporządkować sobie Judeę?
- No... — Mencjusz zaczął dobierać słów — gdy zobaczysz te nowe nabrzeża w Cezarei, chyba dojdiesz do takiego wniosku. Wszelako... nie przypuszczam, byście wy, Arabowie, przejmowali się nieszczęściami grożącymi Żydom.
- Ach — odrzekł Woldi — przed laty przekonali nas, że powinniśmy się przejmować. Zawarliśmy wtedy z nimi krótkotrwałe przymierze, czego żałujemy.

Mencjusz przytaknął i wzruszył ramionami.

— Oczywiście, pamiętam. Herod się zląkł. Ożenił tego szubrawca Antypasa z waszą śliczną małą królewną; Antypas złamał jej serce, odesłał do Arabii... Raz widziałem ją przelotnie. Piękna! Zawsze było dla mnie zagadką, Woldi, dlaczego Arabowie nie zrobili o to więcej wrzawy!

Woldi lekko się zaczerwienił. Wymamrotał, że Arabowie czasami zwlekają z płaceniem swoich zobowiązań. Po chwili dodał:

- To długa historia, Mencjuszu.
- Chciałbym ją usłyszeć — powiedział Mencjusz z nie spodziewanym zapałem.

Trochę tym zaniepokojony Woldi szybko zmienił temat.

- Opowiedz mi jeszcze o swojej podróży. Wyładowałeś miedź w Cezarei i...
- Nie, nie wyładowałem miedzi. Jak ci już mówiłem, zabrałem z Rzymu mojego ogiera, Brutusa. Okropnie to konisko nie lubi pływać po morzu! Zostawiłem flotę w rękach Fulwiusza, jej dowódcy, i pojechałem konno na południe do Gazy. Tak jak zostało przedtem ustalone, spotkałem w Gazie mojego młodego towarzysza, Pinkusa, z karawaną wielbłądów gotową wyruszyć do Engedi. Bo myśmy wysadzili Pinkusa w Gazie, zanim popłynęliśmy dalej na północ do Cezarei. Chciałem zobaczyć, ile siły roboczej mamy przy odparowywaniu soli i czy nasze zasoby są dostateczne.

247

- Teraz jesteś w drodze powrotnej do Rzymu? — za pytał Woldi.
- Nie... jeszcze niezupełnie. Ładujemy sól i wysyłamy. To zajmie nam pewnie cały tydzień. Dopiero potem pojedę z powrotem do Cezarei, żeby się przyłączyć do mojego

przyjaciela Antoniusza, który popłynie do Rzymu statkiem „Augusta”. Dostyc mam już tych statków towarowych. „Augusta” to wycieczkowy statek cezara, piękny statek w dodatku.

Rozstali się przed północą serdecznie, jak gdyby byli przyjaciółmi od lat. Mencjusz zamierzał wyjechać o świcie, przewidując, że może przez większość dnia będzie musiał iść pieszo, prowadzić konia. Przykro im było się rozstać. Jeden drugiemu położył prawicę na lewym ramieniu w braterskim pożegnaniu.

- Jeśli kiedykolwiek zawitasz do Rzymu, Woldi... — zaczął Mencjusz.
- Mało prawdopodobne, panie, ale z pewnością starał bym się tam znaleźć ciebie. Skoro o tym mowa... gdzie miałbym cię szukać?
- Zapytasz o pretorium. Stamtąd cię do mnie skierują. Zapytasz o prokonsula Nikatora Mencjusza.
- A gdy ty, Mencjusz, przyjedziesz do Arabii, mój namiot będzie twoim domem. W obozowisku króla wskażą ci drogę.
- Czy słusznie wnoszę, Woldi, że jesteś ze znakomitego arabskiego rodu?
- Mój dziadek Miszma — odpowiedział Woldi — jest głównym doradcą króla Zendiego.

Minęło południe, zanim Woldi wyruszył. Nie wątpił, że Fara musiała jechać przez Lachisz. I skoro nie zatrzymała się w Hebronie, prawie na pewno musiała zatrzymać się tutaj.

Właściciel gospody chciał być usłużny, ale niestety nic nie wiedział o młodym Arabie, który by mógł tędy przejeżdżać. Z pewnością ów młodzieniec nie zatrzymał się na noc w jego gospodzie. Oczywiście mogło być tak, że pytał o nocleg w jakimś domu i tam go przyjęto. Pełen dobrych chęci właściciel gospody nawet poprowadził swego hojnego

248

gościa do domów, w których chętnie goszczono podróżnych. Nikt jednak nie udzielił żadnych przydatnych informacji, chociaż Woldi poświęcił na wypytywanie wiele cennego czasu. Z ciężkim sercem wreszcie zrezygnował i pojechał dalej.

Jazda była jednostajna. Po przebyciu pierwszej mili na zachód zobaczył ślady obozowiska pozostawione przez karawanę Pinkusa. Po przebyciu jeszcze trzech mil trafił do nędznej wioski, która się nazywała Melissa. Zgoła bez nadziei zatrzymał się, żeby zadać swe zwykłe już pytania, ale zamiast odpowiedzi, wieśniacy tylko gapili się, marszczyli brwi i soplali na ziemię.

Słońce zachodziło, gdy odczytał na kamiennym drogowskazie, że do Gazy ma jeszcze osiem mil. Zmierzch zapadł bardzo szybko. Sierp księżycyca przyświecał trochę, ale osiem mil to szmat drogi, a do Gazy lepiej było nie przyjeżdżać w nocy, skoro nawet w dzień zdarzały się tam przypadki poderżnięcia gardła.

Jadąc wolno w gęstniejących ciemnościach dojrzał na gościńcu o jakieś dwieście kroków przed sobą grupę skłębionych postaci. Dolatywał szczepek broni, przerywany krótkimi warknięciami przestrogi bądź zachęty.

Przez chwilę Woldi wahał się, czy wjechać w tę bijatykę, być może,

rozgrywkę pomiędzy współzawodniczącymi bandami zbójów. Zatrzymał wałacha. Teraz zobaczył białego konia, którego ktoś ciągnął z gościńca w zarośla. Przyczyna zamieszania stała się jasna. Spiał Darika do galopu. Z bliska zobaczył Mencjusza, mężnie, ale beznadziejnie broniącego się przed trzema przeciwnikami.

Zeskoczył z siodła prosto w wir bójk. Jeden z tych rostrych rabusiów odwrócił się do niego i podniósł miecz. Nie czekając na uderzenie Woldi natarł. Lewą dłonią chwycił tego człowieka za przegub ręki z mieczem, prawą wbił mu sztylet głęboko w ramię. Rozbójnik wrzasnął z bólu i wściekłości, ale jeszcze spróbował uderzyć. Tym razem został ugodzony sztyletem w pierś. W samo serce. Woldi odrzucił go zwiotczającego na bok i ruszył do Mencjusza, który wyraźnie przegrywał. Jeden z pozostałych

249

dwóch napastników przebiegł za Rzymianina, gotów atakować od tyłu.

— Za tobą, Mencjuszu! — zawołał Woldi. — Ja się zajmę tym tutaj!

Gdy Mencjusz odwracał się, żeby odparować cios, drugi rozbójnik skierował uwagę na nowo przybyłego. Najwidoczniej uznał, że kamrat da sobie radę ze znużonym Rzymianinem, więc nawet się nie spieszył, bo czyż to nie bagatela zabić tak młodego intruza?

— Co ty tam masz, żółtodziobie... tylko sztylet? Czego spodziewasz się nim dokonać?

Natychmiast Woldi pokazał, czego. Wściekle, zadane z całej siły pchnięcie tym sztyletem było tak błyskawiczne, że rabuś nie zdążył przyjąć postawy obronnej. Atak młodego Araba zdezorientował go.

Niegodziwiec, chociaż chciał się morderstwem zabawić, nie miał już czasu na zbytki. Tylko krótki mały sztylet był bronią przeciwko dużemu mieczowi, a przecież ten sztylecik, ruchliwy i zuchwały, rozplątał rękę z mieczem, przebił dłoń, która odruchowo podniosła się do tej rany, i głęboko półkolistą naciął twarz od czoła do podbródka. Wszystko to w jednej chwili oszołomienia. Potem Woldi uskoczył przed ostatnim rozpaczliwym pchnięciem, czubkiem miecza jednak został draśnięty w przedramię. Poczł ciepłó krwi, zwilżającą mu rękaw. Uznał, że zbój musi zapłacić za to; ale gdy przyskoczył, żeby zadać ostateczny cios, drągał osunął się na ziemię.

Tymczasem Mencjusz zmusił swojego przeciwnika do zejścia z gościńca i przyparł go do niskiego kamiennego murku; rozbójnik upuścił broń i zaczął błagać o łaskę, czemu Rzymianin chętnie zadośćuczynił, bo był ranny i wyczerpany. Woldi obejrzał jego zakrwawioną rękę. Z radością stwierdził, że rana jest powierzchowna.

- Gdybyś nie zjawił się akurat w odpowiednim momencie, oni by mnie zarabali. — Mencjusz jeszcze dysząc oparł się o przyjaciela.
- Zabrali ci pieniądze? — zapytał Woldi.
- Tak... i konia.
- No, ty! — wrzasnął Woldi do rabusia siedzącego bezwładnie na murku. — Jeśli masz sakiewkę tego Rzymia-

250

nina, dawaj ją! Jeśli nie, obszukaj swoich kamratów i znajdź! Nie zwlekaj!

Rozbójnik posłusznie dźwignął się na nogi. Pieniądze Mencjusza



odnalazły się w zbroczonej tunice pierwszego napastnika, którego Woldi pokonał. Ten leżał nieruchomo, gdy odbierali mu sakiewkę. Mencjusz uniósł jego bezwładną rękę.

— Łotr nie żyje, Woldi! — mruknał.

Woldi pochylił się, żeby popatrzeć na zszarzałą twarz leżącego, ale Mencjusz do tego nie dopuścił. Odciągnął Woldiego od zwłok.

- Chyba nie chcesz mieć trwałego wspomnienia — powiedział. — Od razu widać, żeś nigdy dotąd nikogo nie zabił.
- Czy to znaczy... że mógłby mi się ukazywać?
- No, tobie nie, bo nie widziałeś jego twarzy po śmierci. Oni powracają... w nocy... budzą ze snu. Czasami wiodą ze sobą małe dzieci i płaczące kobiety.
- Ależ, Mencjuszu! — wyjąkał Woldi. — Ten człowiek nie miał prawa żyć!
- Tak jest! Ale to bez znaczenia. Oni powracają!... Chodź... zobaczymy, co się tu dzieje!

Lżej ranny rozbójnik taszczył swego ciężko rannego kamrata z gościńca przez kamienny murek na łąkę, gdzie stały ich spętane konie. Czwarty zbój — owa mglista postać, która zabrała białego ogiera — wybiegł im na spotkanie. Pozostawiony sam sobie Brutus nie ruszył się z miejsca, zaraz więc odzyskał swego pana.

- Podsadź mnie, Mencjuszu — prosił Woldi po daremnych staraniach, żeby dosiąść Darika.
- Tyś też ranny, Woldi! — wykrzyknął Mencjusz. — Dlaczego mi nie powiedziałeś? Rękaw masz mokry od krwi.

- Wiem. Może trzeba by to obwiązać.
- Zatrzymamy się w twierdzy Minoa — powiedział Mencjusz, obwiązując Woldiemu krwawiącą rękę. — Znam dowódcę. Stary mój znajomy, legat Witeliusz. Dawniej zwykle zatrzymywałem się tam w czasie podróży, ale ostatnio już nie. Ta twierdza fatalnie podupadła, brudno, brak dyscypliny. Biedny stary Witeliusz: żłopie za dużo wina,

251

nigdy nie jest pijany na umór, nigdy nie jest zupełnie trzeźwy, od rana do wieczora chodzi ogłupiały.

Północ minęła, gdy dojechali do ogromnej, szpetnej, prostokątnej budowli, otoczonej wysokim wałem ze splewiałymi rzymskimi sztandarami nad bramą. Senni wartownicy wpuścili ich prawie nie wypytujac. Legat Witeliusz, roztrzęsiony, markotny, ale trzeźwy na tyle, że zdołał być uprzejmy, chociaż zerwano go z łoża, wysłuchał historii nieoczekiwanych gości i kazał zbudzić wojskowego lekarza, który opatrzył im rany.

Dostali wspólną wygodną izbę sypialną. Nie chciało im się spać. Jeszcze odczuwali podniecenie po stoczonych walce.

—Wydaje mi się, Woldi, że znam cię od niepamiętnych czasów — powiedział Mencjusz. — Ocaliłeś mi dzisiaj życie! Jestem do głębi serca twym dłużnikiem! Czym mógłbym kiedykolwiek odwdziaczyć się za twoją szlachetność, przyjacielu?

Poniekąd ku własnemu zdumieniu, Woldi odruchowo unosząc się na łokciu wyznał:

—Potrzebuję rady. Mam poważne kłopoty. Chcę się tobie zwierzyć!

Oparty o poduszki Mencjusz z całą uwagą wysłuchał niewiarygodnej prawie opowieści Woldiego: o ślubowaniu Fary w dzieciństwie, o jej zniknięciu i o jego rozpaczliwych poszukiwaniach.

—Nie wiem, Woldi — powiedział, gdy młody Arab umilkł. — Wątpię, czy ona w czasie takiej podróży uniknęłaby pojmania. Ale szukać jej chyba warto i jeśli miłość i odwaga mogą ją odnaleźć, tobie się to uda!

Zanim usnęli, Woldi zgodził się czekać w Gazie, dopóki Mencjusz nie wyprawi stamtąd swojej floty, po czym z nim razem pojechać do Cezarei.

- Musisz jednak coś mi przyrzec. — Ton Mencjusza był poważny.
- Oczywiście — zapewnił chłopiec. — Co tylko chcesz!
- „Augusta” ma w Cezarei zabrać do Rzymu pewną rodzinę królewską. Nie okazuj, że się interesujesz kimkolwiek z tego królewskiego domu.

## 252

- Ale... Czemuż bym w ogóle miał się interesować?! — wykrzyknął Woldi.
- Ten człowiek jest władcą Galilei.
- Antypas!
- Właśnie! Pamiętaj, że mi przyrzekłeś. Śpij dobrze!

Nigdy dotąd Woldi nie spotkał człowieka posiadającego tak szeroki zasób wiedzy jak jego nowy przyjaciel z Rzymu. Prokonsul Nikator Mencjusz wiedział o wszystkim, o dawnych czasach i współczesności.

Arabowie nie przejmowali się zbytnio historią, nawet historią ojczystego kraju. Tu i ówdzie w wysokich górach były na masywnych grobach bohaterów narodowych przesadne epitafia, ale prawie nikt nie usiłował ich odczytać, ponieważ to twarde potomstwo Izmaela uważało, że umiejętność czytania i pisania tak samo jak nieporadność w jeździe konnej jest dowodem zniewieściałości. Takie niemęskie zajęcie pozostawiono zawodowym skrybom, którego to zawodu imali się przeważnie cherlacy, kulawi bądź chorzy na piersi.

Historii pisanej wcale nie było. Wędrowni pieśniarze — zaliczani do kategorii co najwyżej sztukmistrzów — włóczyli się po kraju i bywając na targach, jarmarkach, różnych uroczystościach monotennie wyśpiewywali pradawne legendy, bełkotali bez końca wiersze eposów, w których sławili waleczność znakomitych królów i szermierzy Arabii. Nie było jednak nic bodaj zbliżonego do wszechstronnej, zachowującej ciągłość i logicznej historii narodu arabskiego. Tak samo i o świecie poza Arabią przeciętny Arab właściwie nie miał pojęcia.

Arab wiedział, że powinien nienawidzić i lekceważyć Żydów. Uprzedzenie wchłaniał z mlekiem matki. Nie zastanawiał się nad tym nigdy. Ta nienawiść wydawała mu się naturalna, jak bicie serca i oddychanie. Podobnie też nie

cierpiał Rzymian, chociaż wynikało to raczej z braku zaufania i z podejrzliwości niż z czystej pogardy, jaką czuł dla dzieci Izraela. Inne

obce narody — Egiptu, Grecji, Persji, Macedonii, Pamfilii, Cypru czy Krety — to były tylko cudzoziemskie nazwy, rzadko kiedy przychodzące mu na myśl czy wymawiane. Arab nic o nich nie wiedział i nie chciał wiedzieć.

Woldi, wnuk doradcy królewskiego, pobierał naukę czytania i pisania po arabsku, niewiele mu to jednak dało, bo literatura arabska prawie nie istniała, a sytuacje, w których mógłby się tą umiejętnością pochwalić, zdarzały się nieczęsto. Na delikatne naleganie Fary — jak również po to, by mieć pretekst do dłuższego przesiadywania wieczorem w jej towarzystwie — uczył się greckiego pod nadzorem Jony i zachęcony uznaniem ze strony ich obu rzeczywiście się do tego przykładał. Ale treść szacownych starych zwojów papirusowych, służących mu za podręczniki, niezbyt go interesowała. Grzeczność zamykała mu usta, w głębi ducha jednak uważał, że Ajschylos to schorzały stary puchacz, Pindar niepoprawny marzyciel, Herodot męczący nudziarz, a Homer bezwstydnym kłamcą.

I oto teraz Mencjusz ukazywał Woldiemu nowy nie znany świat. Nie popisywał się wiedzą. Co więcej, wydawało się nawet, że gotów byłby przeproszać za niedostatek swoich wiadomości. Ale to, co wiedział o dawnych i współczesnych sprawach świata, było dla jego młodego przyjaciela skarbnicą bogactw.

W ten poranek, gdy trzymając się dość daleko w tyle za karawaną, by nie wdychać najgorszego jej kurzu, jechali wolno do Gazy — teraz odległej już tylko o dwie mile — Mencjusz ku oświeceniu Woldiego zabawiał się zwracaniem mu uwagi na różne punkty orientacyjne wzdłuż starego gościńca.

- Widzisz tam na łące ogromną stertę ociosanych kamieni? — wskazał Woldiemu palcem. — Szczątki wielkiej twierdzy, w której Filistyni po raz ostatni stawiali opór Aleksandrowi.
- Kiedy to było? — zadał Woldi pytanie nie przynoszące mu chwały.

254

- Oczywiście wiadomo ci o zwycięstwach Aleksandra na całym świecie — powiedział Mencjusz.
- Tak trochę — bąknął Woldi z nadzieją, że nie będzie musiał dokładniej określać stopnia swej wiedzy.
- No, więc jak sobie niewątpliwie przypominasz, Aleksander umarł jakieś trzysta lat temu. Tutaj dokonał jednego ze swoich podbojów. Filistyni bronili się dzielnie. Ale skończyło się to dla nich... tam.

Zatrzymali konie, żeby przyjrzeć się ruinom.

- Te kamienie nie wyglądają na takie stare — zauważył Woldi.
- Granit wytrzymał dłużej niż ci, którzy go wydobywają z kamieniołomów — powiedział Mencjusz na pół do siebie. — Gdy się widzi parszywych rzeźmieszków, jacy teraz zamieszkują ten rejon, trudno pojąć, że to są potomkowie tamtych dzielnych mężów, budowniczych twierdzy i bohaterskich jej obrońców.
- Dziwne, że nie wywieziono tych kamieni, żeby ich

użyć do innych budowli — zastanowił się głośno Woldi.

- Och... zrobią to... kiedyś — ciągnął swój monolog

Mencjusz. — To leży w naturze narodów: podnosić się... harować... i cierpieć... i kwitnąć... i tuczyć się... i upadać.

— Po długiej chwili milczenia mówił dalej: — Potem leżą powaleni w pył, aż nagle pojawia się wśród nich jakiś mocarz... i rozkazuje starym kamieniom i starym kościom powstać znowu. Tylko tego tym łajdackim żebrakom potrzeba... żeby ktoś ich dźwignął na nogi... jakiś wielki przywódca. On przyjdzie... kiedyś. Przeznaczeniu się nie spieszy.

- Mencjusz, masz umysł proroka — oświadczył Woldi z powagą. — Czy może po prostu zgadujesz?

Ponaglił konie i w milczeniu jechali dosyć długo, zanim Mencjusz odpowiedział:

— Nie, Woldi, nie jestem prorokiem ani też nie zgaduję. Ziemia to olbrzymi teatr o wielu scenach, na których poszczególne zespoły aktorów grają jedną i tę samą sztukę... tragedię... w pięciu aktach. Czasami jakaś grupa odgrywa ją do końca z zawrotną szybkością, jeśli aktor w roli głównej jest bardzo odważny i porywczy. Aleksander na przykład.

255

To był monodram. On podbił cały świat, ale gdy umarł, jego państwo... jako potęga militarna... zniknęło z dnia na dzień. Z całej wielkiej armii pozostała garstka żołnierzy, za mało, by ochronić jego własne miasto.

- Myślałem, że Grecy czczą jego imię — zauważył

Woldi.

- Owszem, czczą — przytaknął Mencjusz — ze wszech miar słusznie w dodatku. Utracili pozycję zdobywców, ale zyskali coś znacznie cenniejszego... szacunek świata. Wszędzie, dokąd docierali, przynosili swoją kulturę. Dali się poznać jako mędracy ziemi! Co więcej... stosunki z innymi narodami otworzyły im oczy na fakt, że umysłowo górują nad wszystkimi. Grecy są świadomi swojej kulturalnej wyższości i może kwapią się bardziej niż kiedykolwiek przedtem do rozwijania swych uzdolnień. — Po chwili dodał: — Pod względem militarnym, oczywiście, ta trąba powietrzna, jaką była wyprawa Aleksandra, dała niewiele. Jego dynastia istniała bardzo krótko.
- A zwykle to trwa dłużej... aktorom zabiera więcej czasu odegranie tej starej sztuki do końca? — wysunął przypuszczenie Woldi, pragnąc jeszcze posłuchać tych niezwykłych dla niego wywodów.
- Zwykle trwa od stu do sześciuset lat — powiedział Mencjusz. — Rozważ przypadek Filistynów: koniec ich sztuki jedenaście stuleci temu był dosyć dramatyczny. Słyszałeś chyba o Samsonie.

Woldi z uśmiechem potrząsnął głową. Mencjusz więc zaczął opowiadać mu tę historię. Filistyni przez kilkaset lat panoszyli się, jak chcieli. Aż tu raptem na sąsiedniej ziemi żydowskiej pojawił się pewien potężny przywódca.

— Wystarczy jeden mocarz, żeby przesądzić sprawę —



ciągnął Mencjusz. — Jeśli jest dostatecznie śmiały i ma dostateczne szczęście w swoich poczynaniach, no i jeśli jego rodacy idą za nim. Ale powinien zostać w siodle! Na tym właśnie polega jedyny kłopot z monodramem. Mocarz tak się rozmiłowuje we własnych podbojach, że nie myśli o powołaniu kilku następców, którzy by przejęli jego władze, gdyby coś mu się stało. Filistyni byli zupełnie nie przygotowani do walki z kimś takim jak Samson. Zbyt pewni

256

siebie... bogaci, rozpieszczeni zbytkiem i oczywiście zepsuci. Samson pokonał ich swoją odwagą, swoim głosem potężnym jak ryk wściekłego byka... Mnóstwo jest legend o Samsonie: przeważnie to kłamstwa, ale ogromnie zajmujące. Jest stara opowieść o tym, jak sam jeden zabił trzystu filistyńskich wojowników kością szczękową osła.

- Dziwna broń — zauważył Woldi.
- Tak... ale nie powiem, żeby tak zupełnie do niego nie pasowała. Ten olbrzym był hałaśliwym pyszałkiem i błaznem bez odrobiny godności czy zdrowego rozsądku. Ogromnie lubił płatać figle wyniosłym Filistynom. Jego tubalny śmiech słychać było w promieniu mili.
- Jakie figle? — zapytał Woldi.
- Och... popisывał się swoją siłą fizyczną. Pewnej nocy wyważył bramę miasta Gazy z zawiasów i przeniósł ją na barkach w inne miejsce... Potem, gdy już podbił Filistynów i okrył ich wstydem, popełnił zwykły błąd zwycięzców,

spoczął na laurach. Pysznąc się paradował po mieście, zadzierał nosa. Aż rozkochała go w sobie piękna wyrachowana kobieta.

— Z Filistei? — zapytał Woldi.

Mencjusz przytaknął ponuro.

- To zdumiewające — rzekł z zawziętością — jak wielu mocarzy ulega kobietom. Nie tak dawno nasz waleczny Marek Antoniusz, gdy jeszcze w uszach mu brzmiały owacje Cesarstwa, przehandlował swoją sławę za uśmiechy tej chytrej egipskiej ladacznicy, Kleopatry! A był znakomity... dopóki się nie zmarnował.
- Wnoszę, że twój podziw dla Kleopatry jest powściągliwy — wycedził Woldi, żeby coś powiedzieć.

Mencjusz burknął coś niezrozumiale i opowiadał dalej o Samsonie.

- Filistynka, Dalila, szybko doprowadziła do tego, że ten wielki błazen jadł jej z ręki. W odpowiedniej po temu chwili wydała go zdradziecko w ręce swoich rodaków. Jego kohorty nie próbowały go odbić.
- A zatem... taki był koniec piątego aktu? — zapytał Woldi.
- Ależ nie! — wykrzyknął Mencjusz. — To był koniec

aktu czwartego! Filistyni posunęli się za daleko w pełnym mściwości świętowaniu zwycięstwa nad Samsonem. Normalna rzecz. Uczynili to gruntownie: związali go i ponieśli, wypalili mu oczy, zaprzęgli go w

młynie królewskim jak osła, żeby obracał żarna. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu ten nieszczęśnik dreptał w kółko i w kółko, ciągnąc ciężką belkę, aż swymi bosymi wielkimi stopami wyżłobił rów na dwa łokcie głęboki i na trzy szeroki.

- Nudne zajęcie... dla bohatera — zauważył Woldi.
- Pewnego dnia — opowiadał Mencjusz — i to był właśnie ostatni akt tej sztuki, na wspaniałej galerii wokoło filistyńskiego pretorium... czy też jak tam oni nazywali swój kapitol... ucztowali księżęta, wodzowie, doradcy i bogaci obywatele, bo było święto... na cześć Dagona, jeśli się nie mylę, czy też jakiegoś innego z ich niemądrych bogów...
- Tacy pobożni byli ci Filistyni? — przerwał Woldi.
- Tylko w dni ucztownia. Myślę, że to się odnosi do wszystkich religii... jeśli chodzi o najwyższe stany. Możni lubią dawać dobry przykład. Wtedy pospólstwo bardziej ufa swym bogom.
- I jest bardziej zadowolone ze swych łachmanów i głodu — dorzucił Woldi.
- Z głodowania do pewnych granic... owszem — zgodził się Mencjusz. — Ale to już inna historia... A więc ci brzuchaci Filistyni bawili się hucznie przy biesiadnym stole, gdy raptem jakiś dowcipny głupiec zaproponował, żeby wprowadzono biednego starego Samsona na plac, gdzie wszyscy będą mogli go zobaczyć i setnie się uśmieć. Młyn więc zatrzymano i Samsona przyprowadził mały

chłopczyk. Nagle ten ślepy olbrzym poczuł przypływ swojej dawnej siły, długimi, kościstymi rękami objął marmurowe filary podtrzymujące galerię... i zwałił cały budynek.

- Nie do wiary! — wykrzyknął Woldi. — Chyba w to nie wierzysz!

Mencjusz, nadal poważny, nie zaraz odpowiedział:

— Nie we wszystko, Woldi, nie w te fantastyczne szczegóły. Ale faktem jest, że ślepy stary Samson rozbił

258

Filistęę, która w rezultacie przez sześćset lat podlegała innym narodom. Najwyraźniej skończył na tym. Jechali długo milcząc.

- Doprawdy dziwna historia — powiedział wreszcie Woldi zadumany.
- Nie... nie taka dziwna... ale trochę przerażająca. Czasami, Woldi, zastanawiam się, czy Cesarstwo Rzymskie nie zejdzie ze sceny bardzo podobnie. My, Rzymianie, może zbliżamy się do końca czwartego aktu. — Mencjusz mówił teraz do siebie. Woldi musiał nastawiać uszu. — Docieramy prawie wszędzie, bierzemy w niewolę, związujemy, oślepiamy cudzoziemskich olbrzymów i zmuszamy ich, żeby obracali nasze żarna. Kiedyś... jeśli wierzyć historii... oni zwałą nasz dom. Mam nadzieję, że już nie za mojego życia.
- Czy to znaczy, że podbita ludność waszych prowincji zaczyna być niespokojna?

- Niewolnicy zawsze są niespokojni, Woldi. Nasi jeszcze pozostają bezradni. Ale... nadejdzie dzień... i jakiś mocarz... Wtedy odegramy ostatni akt! Przepowiednia, kiedy i skąd ów mocarz przyjdzie, to już zadanie dla lepszych proroków niż ja.

Blask słońca w zenicie odbijał się od zmatowiałej dalekiej baszty. Gościniec opadał ku miastu. Mencjusz wskazał je.

- No... dojeżdżamy, przyjacielu. Gaza, słynna stara twierdza Filistei!
- Czeka, żeby ukazał się mocarz... przywrócił jej dawną chwałę — powiedział Woldi tak, jakby recytował wyuczoną lekcję.
- Czeka bezwiednie — poprawił Mencjusz. — Jest za głupia, by wiedzieć, że na cokolwiek czeka. Dopiero wtedy, gdy mocarz się pokaże, będzie świadoma, że czekała. Tymczasem... skoro przeznaczenie jeszcze jej nie oczyściło... nie będziemy pić jej cuchnącej wody ani nędznego wina, nie tkniemy też jej splugawionego jadła. Przejedziemy prosto do portu. Flota już tam zawinęła. Jeść i pić możemy na statku.
- I to będzie czyste jadło, zdrowe wino, zważywszy, że dostarczone przez Rzymian. — Woldi mrugnął znacząco.

259

Mencjusz uśmiechnął się.

—Tak! — oświadczył z dumą. — Czyste i zdrowe!

Widzisz, my, Rzymianie, odgrywamy teraz czwarty akt...  
i spisujemy się dobrze.

Nagle ku zdumieniu Woldiego jego tak spokojny, opanowany towarzysz zmienił oblicze. Koniec długiej karawany mieli tuż przed sobą.

— Trzymaj się teraz za mną! — szczechnął przez ramię, ponagłając konia do szybkiego kłusa.

Butnie wyprostowany w siodle minął karawanę, przy czym nie patrzył ani w prawo, ani w lewo. Przed Woldim dojechał do portu, zeskoczył z konia i wrzasnął coś rozkazująco do Pinkusa. Potem sztywno, wyniośle pomaszerował na przystań, gdzie czekał już statek. Woldi, idąc za nim, czuł się trochę jak skazaniec w drodze do więzienia. Marynarze i tragarze kłaniali się unizenie, ale prokonsul nie zwracał na nich uwagi. Wkroczył na pokład. Przeszedł władczo wzdłuż załogi stojącej w dwuszeregu i zatrzymał się przed niemłodym kapitanem, też lodowato ceremonialnym. Woldiego nie przedstawił. Dowódca z ukłonem odwrócił się i obaj szybkim krokiem ruszyli na rufę. Woldi trochę obrażony, czując się niezręcznie, poszedł wolno za nimi.

Ale w przestronnej kajucie dowódcy, ledwie drzwi się zamknęły, Rzymianie zaniechali ceremonii. Wesóło jeden drugiego chwycił za ramię.

- Fulwiuszu! — wykrzyknął Mencjusz. — To przyjemność być znowu z tobą!
- W porę się zjawiłeś, ty leniwy włóczęgo! — ryknął kapitan. — Ja tu gniję w tej zapowietrzonej Gazie już od tygodnia!
- Dobrze ci tak! Jesteś zepsuty zbytkiem! — Mencjusz

zjął togę i rzucił na koję Fulwiusza. — No, przywitaj się z moim znajomym z Arabii... Woldi, poznaj mojego zacnego Fulwiusza.

Kapitan, nie ukrywając braku zainteresowania, ściągnął usta i skinął głową.

— Chyba powinienem dodać, Fulwiuszu — ciągnął Mencjusz — że Woldi z narażeniem życia obronił mnie w krwawej walce z rozbójnikami.

260

Na to oczy Fulwiusza złagodniały, miły uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Witaj na moim statku, Woldi.

Mencjusz nabrał krasomówczej swady.

- Oto zetknęli się dwaj z naj świetniej szych zuchów tego świata! — wykrzykiwał. — Oto zeszła się góra z górą! Oto rycerski Arab, który wie wszystko o koniach i sztyletach, spotyka Rzymianina, który wie wszystko o statkach i nawałnicach morskich! Oto...
- Jeśli chcesz układać odę, Mencjusz — przerwał mu Fulwiusz — lepiej oblejmy ją winem, żeby łatwiejsza była do strawienia. — Uchylił drzwi i jak rozdrażnione stare psisko warknął na niewolnika. Po chwili niewolnik przyniósł wino.
- Naprawdę krew się lała? — zapytał Fulwiusz ciekaw mocnych szczegółów.
- Musiałem bić się z trzema zbójami sam i po ciemku

— wyjaśnił Mencjusz. — Nagle Woldi nadjechał, pokazał, jak się walczy. Wykończyliby mnie raz dwa, gdyby nie ten śmiałek.

Fulwiusz serdecznie i żartobliwie zwrócił się do Wol-diego:

—No, chociaż wtykasz nos w nie swoje sprawy, do stanesz tego kiepskiego wina.

Potem przy wieczerzy toczyła się przez całe trzy godziny rozmowa o ostatnich przeżyciach obu Rzymian, zaprawiona gęsto kpinami. I wreszcie Woldi znalazł się z Mencjuszem w przydzielonej im na sypialnię kajucie.

- O czym rozmyślasz z taką powagą? — zapytał Mencjusz, ściągając buty.
- O tobie — odrzekł Woldi. — Zdumiewasz mnie dzisiaj, Mencjuzu. Grasz tyle ról... i wszystkie bardzo dobrze.
- Mówisz o tym, że przestrzegamy form, a prywatnie jesteśmy naturalni? — zapytał Mencjusz rozbawiony.
- Chwilami wprost nie mogłem uwierzyć, że to ty — powiedział Woldi.
- To nasz dobry rzymski zwyczaj — wyjaśnił Mencjusz — sposób narzucania dyscypliny. My, zwierzchnicy,

261

musimy być bezwzględni wobec naszych podwładnych. Poważną i trudną sprawą, Woldi, jest utrzymywanie najemników i niewolników w ryzach. Woldi zaryzykował pytanie:



- Próbowaliście kiedy robić to inaczej? Zaznajamiać się ze swoimi ludźmi, okazywać, że im ufacie?
- Ja osobiście nigdy nie próbowałem — przyznał Mencjusz. — Ale takie próby już były i wiadomo, że to nie odnosi skutku. Daj przeciętnemu człowiekowi jedną piędź, a on zabierze ci całą staję. Niech dowódca przejawia trochę życzliwości, a natychmiast żołnierze zaczną podejrzewać, że jest miękki... czy nawet, że się ich boi.
- U nas w Arabii dostojnicy nie są wyniośli i nie krzyczą — powiedział Woldi.
- Oczywiście! — zgodził się Mencjusz. — Bo i czemuż by mieli być tacy? Wasz król Zendi może jadać z pasterzami i oni go za to kochają. Ale wy, Arabowie, jesteście jedną wielką rodziną! A my, Woldi... tylko pomyśl, z kim musimy mieć do czynienia! W samej mojej karawanie zobaczysz szubrawych Filistynów, posępnych Partów, Macedończyków z naciętymi uszami i wszelkiego rodzaju chytrych awanturników! A tu na statku... no, gdyby zacny stary Fulwiusz bodaj na chwilę zaniechał czujności, ta hołota wyrzuciłaby go z nożem w plecach za burtę! Dlatego jesteśmy zimni, wyniośli, surowi! Rzymska metoda rządzenia... stosowana od góry do dołu... poczynając od cesarza i na nadzorcy mojej karawany kończąc.

Woldi zastanowił się nad tym.

- A co by było — zapytał — gdyby hołota w całym Cesarstwie się zorganizowała?

- Niewolnikom trudno się zorganizować, Woldi. Partowie by się upierali, żeby ich wyzwolicielem był Part, zbóje z Sycylii poszliby za Sycylińczykiem. Na to, by zorganizować motłoch cesarskich prowincji, trzeba by kogoś bardzo mocnego!
- Jak Aleksander? — zapytał Woldi.
- Znacznie potężniejszego niż Aleksander! On by musiał znaleźć coś, co by przemówiło do wszystkich. Ale nie wiem, co by to mogło być. — Mencjusz wychylił się z koi

262

nad stół i zgasił dwoma palcami knot lampy. — Śpijmy już — powiedział sennie. — Zbyt wielkie to zagadnienie, żeby znaleźć odpowiedź dziś w nocy. Po chwili zapytał:

- Masz sztylet przy sobie?
- Nie — odrzekł Woldi.
- Lepiej weź do koi — poradził Mencjusz.
- Czy to także rzymski zwyczaj? — Woldi stłumił chichot.
- Tylko zubożały i opuszczony Rzymianin — odpowiedział Mencjusz z powagą — waży się zasnąć bez sztyletu pod ręką.

Teraz jechali na północ ruchliwym szerokim traktem nadmorskim, konie ich rączo biegły po trzech dniach wypoczynku w porcie — pamiętnych dniach dla Woldiego, który nigdy dotąd nie widział statku i

nie znał ludzi morza.

Nieskończone, zdawałoby się, szeregi niewolników, dźwigających na ramionach bryły soli z Morza Martwego, sunęły mozolnie w górę po schodach na pokłady, a potem w dół po drabinach do ciemnych ładowni jedenastu masywnych statków. Nie było pośpiechu, ale też ani chwili wytchnienia nie mieli ci zaharowani ludzie o pustych twarzach. Pilnowali ich nadzorcy, od czasu do czasu trzaskając z batów jak gdyby po to, by nie wyjść z wprawy.

Każdy statek, już załadowany i z lukami uszczelnionymi, odpływał wolno, żeby przycumować o pół mili dalej na redzie spokojnej zatoki, a na jego miejsce wprowadzano następny. Woldi przeważnie sam spędzał godziny na rufie statku dowódcy, w rozmarzeniu wsłuchiwał się w wizgi mew i w plusk fal omywających pale obrosłe kępami skorupiaków. Doprawdy był rad z tej możliwości odwrócenia uwagi od harówki niewolników. Twarde arabskie wychowanie nie uczyniło go chłopcem wrażliwym, a przecież jednostajne szur-szur-szur-szur sandałów nabrało jakiegoś złowieszczonego znaczenia. Kiedyś — w myśl przewidywań Mencjusza — to beznadziejne, bezradne szuranie niewolniczych sandałów nagle stanie się szybsze!

263

Odruchowo zmieni się w bieg! Jak grzmot zahuczy wołanie opomstę! I tak rozpocznie się piąty akt Cesarstwa.

Pierwszego dnia Woldi długo stał oparty o kabestan na dziobie, patrzył i słuchał, aż zaczęły go dręczyć halucynacje: Miarowe szur-szur-szur-szur już jest przyspieszone, lada chwila to będzie groźne s z u r-s z u r-s z u r-s z u r, po którym nastąpią końcowe sceny odwiecznej

tragedii. Usiłował pocieszać się tym, że ostatecznie zasłużony upadek Cesarstwa Rzymskiego nie musi obchodzić Arabię. Ale po namyśle doszedł do wniosku, że rozbitcie Cesarstwa będzie sprawą obchodzącą wszystkich: Arabię także.

Oszołomiony, markotny odwrócił się od symboli owej groźby i zaczął szukać ukojenia w widoku błękitnego nieba i jeszcze bardziej błękitnego morza. Niebo i morze oglądały wiele przedstawień nieuniknionego dramatu i w przyszłości na pewno zobaczą wiele jego powtórzeń. Narody będą powstawać i upadać, ale zawsze na te perturbacje będzie patrzyło to samo spokojne, obojętne niebo. Przyptyw morza będzie się przetaczał dwa razy na dobę, choćby wymor dowwały się nawzajem wszystkie narody świata. To dobrze, że można oprzeć wzrok na czymś, co będzie trwało wiecznie.

W samo południe trzeciego dnia ostatni załadowany statek był gotowy do wypłynięcia z portu. Mencjusz i Woldi stali razem na przystani, patrzyli, jak statek dowódcy wciąga cumy i odbija.

Fulwiusz dostał list do doręczenia osobiście żonie Mencjusza z wyjaśnieniem, dlaczego Mencjusz wróci później; teraz przyłożył stuloną dłoń do ust i zawołał pod rześki morski wiatr:

—Co jej powiedzieć, jeśli mnie zapyta, kiedy się ciebie spodziewać?

— Powiedz jej, że nie wiem! — zawołał Mencjusz.

Coraz więcej płótna powoli rozwijało się na przednim maszcie. Marynarze wszyscy jak jeden mąż ciągnęli za liny. Bloki linowe skrzypiały. Fulwiusz i Mencjusz naprzeciw siebie stanęli z powagą na

baczność, sztywno wyciągając prawicę. Woldi bez ceremonii machał Fulwiuszowi ręką na pożegnanie. Dalej w zatoce inne statki już podnosiły kotwice. Flota odpływała do Rzymu.

264

W niecałą godzinę później Woldi i Mencjusz jechali przez krainę coraz żyźniejszą i lepiej zagospodarowaną, zgoła niepodobną do jałowych, ubogich okolic na wschód od Gazy. Domy i stodoły były większe. Na łąkach pasło się bydło tłuste i lśniące. Mencjusz mówił o bogactwie tej ziemi.

- Tego właśnie chciał Aleksander, gdy przystąpił do podboju Filistei. Zawsze ten kraj budził czyjaś zawiść, bo rzeczywiście to jeden wielki ogród. Właściciele tych gospodarstw i winnic chwilowo mają spokój, ale nie będą się nim cieszyć długo. Wiesz, Woldi, jeśli się pragnie mieć spokój na świecie, powinno się rozbić sobie namiot wśród pustyni tak jałowej, że nawet robak by tam padł z głodu.
- Czym więc tłumaczyć spokój, który ci zamożni ludzie mają obecnie? — zapytał Woldi.
- To ciekawa i zabawna historia — odpowiedział Mencjusz. — Od jakiegoś czasu kwitnie w Jerozolimie pewien ród potężny, o wpływach politycznych... Machabeusze. Są bogaci jak Midas i bardzo chytry. Przed laty udało im się schlebaniem i darami wkraść w łaski Heroda. Przypomnieli sobie wtedy, że zniszczone wojną miasteczko Aszkalon jest miejscem jego urodzenia, i ofiarowali się wspaniale je odbudować. Wkrótce zobaczysz, czego dokonali. Za zgodą

Heroda namówili kolonię bogatych uchodźców z Aten, żeby się tu wprowadziła i wykupiła ten zaniedbany obszar.

- Teraz, gdy jest już tak świetnie zadbany — zauważył Woldi — dziwne, że Cesarstwo nie...
- Otóż właśnie następuje zabawna część historii — przerwał mu Mencjusz. — Tyberiusz chciałby mieć tę ziemię, ale gdyby ją zagarnął, natychmiast znalazłby się w stanie wojny z Machabeuszami. Na to jeszcze nie pora. W obecnej sytuacji cesarzowi bardziej się opłaca pobierać od Machabeuszów ogromne podatki, niż narazić się na kosztowną wojnę. Do wojny jednak dojdzie... później.
- Za naszych czasów?
- Odpowiesz sobie, że tak, gdy zobaczysz, co się dzieje w porcie Cezarei.
- Czy Żydzi nie potrafią tego przewidzieć?
- Potrafią, oczywiście! Ale brak im jedności, mają swoje sekty i stronnictwa. Jest to odwieczna sprawa frakcji

265

i sporów wewnętrznych. Uparcie nie chcą ze sobą współpracować, nawet w nagłej potrzebie ratowania własnej skóry. — Mencjusz przez chwilę milczał zadumany. — Może pamiętasz, jak parę dni temu mówiłem, że siła narodu zależy od przewodnictwa jednego mocnego człowieka, który potrafi połączyć wszystkie niezgodne elementy, poprowadzić cały naród! Otóż... Żydzi nikogo takiego nie mają. Każde ich fanatyczne stronnictwo ma swojego przywódcę, ale żaden nie zdoła przemówić do przekonania

całemu narodowi. Od wieków Żydzi spodziewają się, że przyjdzie ktoś wielki i wyzwoli ich spod panowania wrogów. Prorocy żydowscy nazywają owego wymarzonego wyzwoliciela Mesjaszem. Czasami w którejś z sekt wybucha płomień przewrotu wzniecony przez kogoś, kto jednak nie jest wielki i nigdy nie utrzyma się długo jako Mesjasz nawet w oczach swojego stronnictwa. Zawsze kończy jako niepozorny mały męczennik. I następne pokolenia już nie pamiętają, co się stało z popiołami tego bohatera.

- Prawdziwy Mesjasz, jeśli w ogóle przyjdzie, będzie miał chyba trudne zadanie — wysunął przypuszczenie Woldi.
- Prorocy żydowscy twierdzą, że będzie on obdarzony mocą od Boga. Boskość mogłaby mu się przydać — powiedział Mencjusz z ironią.

Woldi w głos parsknął śmiechem.

- Wnoszę, że nie jesteś zbyt religijny, Mencjusz — powiedział z żartobliwą powagą.
- Chodzi ci o tradycyjny zastęp bogów? Nie. Nie interesuję się nimi, jeszcze mniej w nich wierzę. Jeśli z bogów jest jakiś pożytek, to tylko taki, że można nimi straszyć małe dzieci, gdy są niegrzeczne.

Z północy zbliżała się obładowana ciężko karawana, zjechali więc na ocienioną cyprysami ścieżkę, żeby przepuścić ten długi pochód. Mencjusz zaczął zgadywać: to pewnie ładunek ziarna do wysłania statkiem z Gazy, Woldi jednak nie dał mu tak zakończyć poważnej rozmowy, którą rozpoczęli.

— Ale chyba, Mencjuszu, wierzysz w jakąś siłę wyższą?  
— zapytał.

266

— Och, tak — przyznał Mencjusz. — Jasne jest, że jakiś Wielki Umysł... czy też zespół Wielkich Umysłów... stworzył świat. Ale wątpliwe, moim zdaniem, czy jakakolwiek Siła Wyższa jeszcze nad światem panuje. Błazeństwa ludzkości raczej nie świadczą, żeby czuwał jakiś rozsądny Nadzorca... Nieraz jednak łapię się na tym, że w skrytości ducha przecież oddaję cześć pewnemu bogu, którego nazywam: „Ten, który niesie pochodnię”.

Oczy Woldiego się rozszerzyły nowym zainteresowaniem. Dlaczego „Ten, który niesie pochodnię”?

- On krąży po świecie od wieków, Woldi — rzekł Mencjusz powoli, odmierzając słowa — tam i z powrotem... po całym świecie. I w każdej epoce... w każdym kraju cierpliwie poszukuje ludzi z lampami w rękach... z większymi lampami niż lampy ich bliźnich i przodków. I daje światło... dotyka knotów owych niezwykle dużych lamp swoją boską pochodnią. — Umilkł. Najwyraźniej skończył tę dziwną wypowiedź, liczył teraz ponure, kiwające łbami wielbłądy, w miarę jak przechodziły.
- Mów dalej, proszę — nalegał Woldi.
- To już raczej wszystko, nad czym rozmyślałam — rzekł Mencjusz wymijająco. — Mój ulubiony bóg Niosący Pochodnię chce, żeby na świecie było więcej światła... żeby



ludzie lepiej widzieli... ciągle więc szuka lamp. Z pewnością jest to poszukiwanie pełne rozczarowań. Jego wytrwałość mnie zadziwia. Tak nieliczni na przestrzeni tylu mil i w ciągu tylu stuleci niosą lampy godne tego, by jaśniały ogniem boskim... i takie światło, jakie oni zapalają, oświetla drogę tylko garstce ryzykantów. Rzesze natomiast nadal potykają się w dawnych ciemnościach. Kiedyś „Ten, który niesie pochodnię” zapali jakąś większą lampę, która przyciągnie inne lampy mniejsze. Platon przyniósł swoją lampę tam, gdzie kroczył z lampą Arystoteles, i na tym szlaku po dziś dzień jest jasność niezwykła... dla niewielu przez chwilę. Przez krótką chwilę.

- Ale... rzesze... dalej będą błąkać się w ciemnościach?  
— spytał cicho Woldi. — Tak myślisz?
- Wolałbym tak nie myśleć, oczywiście — westchnął Mencjusz. — Przyjemnie byłoby mieć nadzieję, że Niosący

267

Światło natknie się na jakiegoś wielkiego człowieka... z tą jedyną potężną lampą... która oświetli szeroki trakt... dla nas wszystkich! Ale historia świata nie budzi w nas takiej nadziei.

Karawana wielbłądów już przeszła, tuman kurzu opadł. Milcząc wjechali z powrotem na gościniec. Mencjusz wskazał piękną wieżę w dali.

- Aszkalon — powiedział prawie z szacunkiem. — Za raz zobaczysz, co pieniądze Machabeuszów uczyniły z tej walącej się nędznej miejsciny.

- Machabeusze to ród bardzo wielkoduszny — zauważył Woldi.
- Zależy, pod jakim kątem patrzy się na nich — wycedził Mencjusz. — Powszechnie uważa się Machabeuszów za tyranów. Bogaty mecenas sztuk pięknych — dodał — nie koniecznie jest wielkoduszny. Najwspanialsza architektura, najdoskonalsze rzeźby na świecie znajdują się w Rzymie, ale mnóstwo ludzi może zaświadczyć, że Rzymianie nie są dobroczyńcami.

W dwa dni później o zachodzie słońca dwaj podróżni przybyli do Cezarei. O ile Woldi po wyjeździe z brudnej, znikczemniałej Gazy Filistynów, z zaduchu podupadłej Joppy Judejczyków, był oszołomiony widokiem marmurowej świetności pięknego Aszkalonu, o tyle teraz ogarnęło go jeszcze większe zdumienie na widok gorączkowej krzątaniny w tej błyskawicznie powstającej metropolii, z której kiedyś, jak twierdził Mencjusz, rzymski podbój miał rozszerzyć się na całą ziemię żydowską.

Dotychczas cesarze tylko wymagają danin w gotówce. Żydzi są owcami do strzyżenia co rok, jeszcze nie baraniną. Bliski jednak jest dzień, gdy Rzymianie zechcą czegoś więcej niż izraelskie runo. Wtedy wkroczą i zabiorą wszystko, mówił Mencjusz. Na pytanie Woldiego, czy ta groźba to tajemnica, odpowiedział:

— Tajemnica?! Ależ skąd! Żydzi wiedzą, że będzie najazd. Przecież wyraźnie czynimy przygotowania.

Zanadto zmęczeni w ten wieczór, żeby zwiedzać, pojechali

poprzez uliczny tłok prosto do głównej gospody „Agryppa”, zbudowanej niedawno przez Rzymian w samym sercu miasta. Powiedziano im, że wszystkie izby gościnne w tym dużym zajeździe, gdzie mogło się pomieścić trzysta osób, są zajęte, ale Mencjusz miał tu znajomości, toteż dla niego i jego towarzysza sypialnia się znalazła.

Po wyśmienitej wieczerzy przeszli do przestronnego, świeżo urządzonego triculum, w którym stali grupkami bądź siedzieli rozparci wygodnie pewni siebie, bogato ubrani Rzymianie. Nie znana dotąd atmosfera rzymskiego zbytku zrobiła na Woldim duże wrażenie. Chłopiec nie wiedział, czy jest urzeczony, czy wzbiera w nim gniew. Wszyscy tutaj wystrojeni, wymuskani. Powietrze ciężkie od pach-nideł. Na wypielegnowanych rękach drogie kamienie. A więc to prawda: Rzymianie są nie tylko ludźmi z wielkiego świata; są ludźmi z wielkiego świata znacznymi, imponującymi! Świat należy do nich!

Mignęło Woldiemu, zaprawione poczuciem lekkiej nielo-jalności, wspomnienie króla Zendiego i jego doradców, przyodzianych w zwykłe, bez żadnych ozdób burnusy; oni, poważni i twardzi, gardzą okazałością. Jakżeby teraz roz-dymali swe cienkie nozdrza, pełni niesmaku wobec tego krzykliwego widowiska! Ale czy takie pogardzanie tymi, którym się dobrze wie, nie kosztuje Arabii zbyt dużo? Woldi zastanowił się: Może dumne ubóstwo jest — na dłuższą metę — kosztowniejsze niż sznury pereł.

Nagle jakiś krótko ostrzyżony, wysoki, urodziwy Rzymianin w tunice z czarnym orłem cesarskim, wyhaftowanym na lewej piersi oderwał się od gromadki przyjaciół i radośnie podszedł do Mencjusza.

— Nikator! Jesteś nareszcie! Bogom chwała, żeś dojechał

szczęśliwie! Już zaczynałem się niepokoić.

Położyli jeden drugiemu prawice na ramionach.

- Dlaczego, Antoniuszu? Nie spóźniłem się. Byliśmy umówieni na dzisiaj.
- Nie... tyś się nie spóźnił. Ale moi znakomici podróżni przybyli na statek dziś po południu, o kilka godzin wcześniej, niż się spodziewałem, i w każdej chwili mogliby zechcieć, żebym podniósł kotwicę. Życzeń jego wysokości

269

nigdy nie da się przewidzieć... Mam nadzieję, że załatwiłeś wszystkie moje sprawy i jesteś gotów wrócić z nami do Rzymu?

Mencjusz przytaknął. Sięgnął do tyłu po rękę Woldiego, pociągnął go naprzód.

—Antoniuszu — przedstawił — poznaj mojego młodego przyjaciela z Arabii. Woldi, przywitaj się z moim druhem szkolnym sprzed lat. To Antoniusz Lukan, dowódca „Augusty”, statku cesarza.

Woldi ukłonił się. Dowódca przymrużył oczy. Podniósł niedbale rękę i mruknął, że przyjaciele prokonsula Nikatora Mencjusza są jego przyjaciółmi, po czym odwrócił się do starego druha i z żartobliwym zgorszeniem unosząc swe szpakowate brwi zapytał, skąd raptem Arab w takiej chwili. Mencjusz szybko odpowiedział: Woldi natknął się na niego w nocy, gdy on bronił się sam jeden przed kilkoma rozbójnikami, a ten nierozważny Arab ni mniej, ni więcej ocalił mu życie!

Wobec tego dowódca „Augusty” w uznaniu tak bezcennej przysługi oddanej jego przyjacielowi ukłonił się Woldiemu. Mencjusz opowiedział

przebieg walki i dodał:

—Nadzwyczajna jest zręczność tego młodzieńca we władaniu sztyletem. Jego rodzice chyba, gdy był niemowlęciem, dawali mu nóż do zabawy.

Z uśmiechem dezaprobaty Woldi lekko wzruszył ramionami, nie ukrywając, że chce zmienić temat rozmowy. Wyczuwał nieufność starego żeglarza. W tejże chwili napięcie osłabło, bo podszedł jeszcze jeden Rzymianin, wytworny, w średnim wieku, ubrany na dawny sposób. Skinął głową Antoniuszowi i spokojnie, uprzejmie przywitał się z Mencjuszem.

- Co cię tu sprowadza, Mencjusz, tym razem? — zapytał leniwie. — Znowu miedź?
- Teraz ten człowiek nie jest przekupniem, Atriuszu — odpowiedział za Mencjusza Antoniusz. <— Podróżuje dla przyjemności, bez żadnych towarów. Na pokładzie „Augusty” popłynie ze mną do kraju. Zabierzemy też jego wysokość Antypasa wraz z rodziną na ich doroczne wywczasy.

Atriusz postarał się aż nazbyt dobitnie zaznaczyć brak szacunku: prychnął głośno i pokręcił nosem.

270

- Chciałbym — oświadczył — żeby mi ktoś wyjaśnił, z jakiej racji władca skromnej małej Galilei może co rok odbywać podróż za darmo wycieczkowym statkiem cesarza!
- Psst! — ostrzegł Antoniusz. — Mnie nie wolno słuchać takich rzeczy. — Zniżając głos dorzucił: — Nie

martw się, tetrarcha w końcu zapłaci za przejazd... a stać go na to... gdy Tyberiusz wystawi mu rachunek.

Mencjusz przerwał tę rozmowę, żeby Atriuszowi przedstawić Woldiego. Znow opowiedział, w jakich okolicznościach połączyła ich przyjaźń. Potem zwrócił się do chłopca:

—Pamiętaj, Woldi, gdybyś w Cezarei popadł w jakieś kłopoty, nasz znakomity Atriusz, najbardziej wzięty obrońca sądowy w tym mieście, pomoże ci bezinteresownie.

Brodaty Atriusz, który nie tając ciekawości przyglądał się Woldiemu, parsknął śmiechem nieomal grubiańsko.

- Arab, co? Krewki ze swoim sztyletem? Nie pyta, o co bójka, byleby tylko się w nią wdać... i kogoś wypatroszyć.

— Śmiał się rozbawiony. Kciukiem szturchnął Antoniusza w bok. — Miał kiedy tu się pokazać arabski gladiator!

Z której strony Arabii zawitałeś, synu?

- Z gór południowych, panie.

- Z okolic niedaleko domeny króla?

- Niedaleko, panie.

- Wasz król Zendi cieszy się podobno serdecznym szacunkiem.

- Tak, panie.

- Znasz go zapewne? — sondował Atriusz.

Tamci dwaj zaczęli się niecierpliwić. Dowódca machinalnie zacierał upierścienione ręce. Mencjusz przestępował z nogi na nogę i marszczył brwi.

- Dziadek Woldiego, Miszma, jest głównym doradcą

króla, Atriuszu.

- Ach, tak? — Atriusz uśmiechnął się. — No, Woldi... jeśli będzie można ci w czymś pomóc, dopóki jesteś w Cezarei, służę chętnie. Bądź zdrow, Antoniuszu. I ty, Mencjuszu, szczęśliwy, że wracasz do kraju. Żałuję, że nie jadę z wami. Zawitacie tam akurat na Saturnalia.

Po odejściu Atriusza rozmowa się nie kleiła. Woldi

271

przypuszczając, że Mencjusz i Antoniusz chcieliby porozmawiać sami, przeprosił ich grzecznie i wyszedł na półkolisty taras nad basenem z piękną fontanną. Usiadł na miękkiej tachcie zamyślony. Znajomość z Atriuszem może się przydać.

Tymczasem dwaj Rzymianie jeszcze przez chwilę usiłowali mówić o czekającej ich podróży. W końcu spytał Antoniusz:

- Co ten chłopiec robi w Cezarei, Mencjuszu?
- Jest w drodze na północ.
- Dla przyjemności... czy może ma coś do załatwienia?
- Chyba jedno i drugie po trosze.
- To znaczy, że mi nie powiesz? — W głosie Antoniusza brzmiała irytacja.
- Zwierzył się, jaką ma sprawę — przyznał Mencjusz.

— Nic takiego, co by mogło ciebie niepokoić. On szuka pewnego zbiega. Będę ci wdzięczny, jeśli na tej informacji poprzestaniesz. Dałem chłopcu słowo.

- Dobrze — zgodził się kwaśno Antoniusz. — Ale bacz,

żeby ten twój krewki Arab trzymał się z daleka od mojego statku. Jeśli ktoś zakłuje nożem tetrarchę, gdy on nie będzie pod moją pieczę, zgoła się tym nie przejmę, ale... na Jowisza! Nie dam go zamordować na „Auguście”!

- Dziwne są te jego podróże — zauważył Mencjusz.

- Nie mógłby gnić w Galilei przez cały okrągły rok!

Dostałby bzika! Nudno mu tam. I nie ma żadnych przyjaciół wśród poddanych. Wszyscy nim pogardzają... Co prawda teraz może miałby tam wrażeń aż za dużo. Jego główny skryba mówił mi dziś po południu, że gotuje się jakiś przewrót...

- W śpiącej małej Galilei? — zapytał Mencjusz drwiąco.

— Żartujesz!

- Zdaniem tego skryby, Pamfiliosa, to nie jest powstanie przeciwko władzy, przynajmniej na razie. Jakiś młody Cieśla przemawia do wielkich tłumów. Jak dotąd, nie powiedział nic podburzającego ludzi. Przeciwnie, nalega, żeby przestrzegali praw i byli radzi ze swojego ubóstwa.

- Czyż można taką łagodną przemową przyciągnąć tłum? — zastanowił się Mencjusz.

272

- Pamfilios mówi, że ten człowiek dotknięciem rąk uzdrawia chorych — ciągnął Antoniusz. — To oczywiście jest bzdura. Pamfilios tylko powtarza, co słyszał. Niemniej pogłoski krążą i w całej Galilei szumi od nich jak w ulu.



- A więc nie czas, żeby tetrarcha teraz wyjeżdżał — zauważył Mencjusz.

Antoniusz przytaknął.

- Tak też myśli Pamfilios. Ale Antypas nie odmówiłby sobie tych dorocznych wywczasów. Przez sześć miesięcy w Tyberiadzie żyje oczekiwaniem drugiej połowy roku w Rzymie. Skryba opowiadał, jak kilka dni temu delegacja kapłanów czekała na jego wysokość i błagała go, żeby uciszył Cieślę. Antypas jednak zbył ich krótko. Niech doprowadzą do tego, powiedział, żeby synagogi przyciągały lud, wtedy nie będzie tłumów wokół Cieśli na pastwiskach.
- Rada nie najgorsza — zauważył Mencjusz chichocząc.
- Każda rada byłaby dobra w przekonaniu tetrarchy, byleby nie musiał odwlekać wyjazdu do Rzymu. Nie darowałby sobie nieobecności na obchodach i igrzyskach Saturnaliów, nawet gdyby Morze Galilejskie wyszło!

Mencjusz myślał przez chwilę. Spoważniał.

— Słyszałeś kiedy o żydowskim Mesjaszu? — zapytał raptownie.

Antoniusz potrząsnął głową. Nachmurzył się i mruknął, że już zrezygnował z wysiłków, by zrozumieć Żydów. Mencjusz wyjaśnił mu pokrótce sprawę owych przepowiedni, ale Antoniusz nie okazał zainteresowania. Żydzi zawsze byli zbyt nabożni, co im nic wychodzi na dobre, powiedział.

- Jestem zdumiony, że ty tak się interesujesz tą bzdurą

— ciągnął niecierpliwie. — Za dużo czytasz! Za dużo rozmyślasz! Wiesz za dużo! Nie dziwiłbym się, gdybym kiedyś usłyszał, że porzuciłeś wszystko, zamieszkałeś w jaskini gdzieś w górach, żeby tam rozprawiać się z bogami... i pchłami.

- Przyznaję — powiedział Mencjusz — że człowiek wie, że życie o wiele szczęśliwsze, jeśli w ogóle nie myśli. No, idę spać. Cały dzień siedziałem w siodle. Ty pewnie też udasz się na spoczynek.

273

- Jeszcze nie — burknął Antoniusz. — Mam przedtem coś do załatwienia. Muszę pójść do portu, postawić strażę, żebyśmy przypadkiem nie zabrali nieproszonego arabskiego gościa.
- Kłopotysz się tym zbyt — powiedział Mencjusz.
- Obym tylko taki kłopot miał przez twojego przyjaciela — powiedział Antoniusz.

Dosyć już długo Woldi siedział zadumany na tarasie, gdy usiadł przy nim Atriusz, wyrażając nadzieję, że nie przeszkadza.

- Zamierzasz spędzić u nas czas jakiś? — zapytał niedbale.
- Jutro rano wyjeżdżam stąd, panie — odrzekł Woldi. Przyszło mu na myśl, że częściowa szczerość uczyniłaby jego wyjaśnienie bardziej przekonującym. — Zlecono mi

wyjazd do Galilei. Na poszukiwanie mojego przyjaciela, który uciekł z domu przypuszczalnie gdzieś nad Morze Galilejskie. Mam go namówić do powrotu... jeśli go odnajdę.

- Wiadomo ci coś o Tyberiadzie?
- Niewiele. To siedziba tetrarchy. Rzymska twierdza jest w pobliżu.
- Będziesz pytał w tej twierdzy?
- Dopiero, gdy to będzie konieczne. Wolałbym odszukać mojego przyjaciela bez zwracania na niego uwagi władz. Zaoszczędzić mu niepotrzebnego zakłopotania. Czy ty, panie, znasz Galileę?
- Trochę. Pozwól, że coś ci poradzę, Woldi. Jest tam pewien dyskretny człowiek, mój znajomy. Mieszka w miasieczku Betsaida, tylko kawałek drogi od Tyberiady. Były obrońca sądowy. Życzliwy ludziom, bardzo roztropny. Mógłbyś mu się zwierzyć.

Woldi chętnie przyjął tę radę. Wyciągnął z kieszeni małą łupkową tabliczkę i czerwoną kredą zapisał wskazówki Atriusza, żeby trafić do jego znajomego. Atriusz z zaciekawieniem patrzył, jak Arab pisze.

- Mieszkałeś w Grecji? — zapytał, gdy Woldi schował tabliczkę.
- Nie, panie. Nigdy w Grecji nie byłem.

274

- Czy wielu Arabów zna grekę?
- Chyba nie. — Woldi wstał, podziękował Atriuszowi

za uprzejmość i powiedział, że musi przed pójściem na spoczynek znaleźć Mencjusza.

- Byłoby mi bardzo miło dowiedzieć się o rezultatach twojej misji — rzekł Atriusz na pożegnanie. — Proszę, przekaż pozdrowienia ode mnie mojemu przyjacielowi... dawnemu koledze... Dawidowi Ben-Sadokowi.

Ledwie zaczęło świtać, Woldi wymknął się po cichu, żeby nie budzić Mencjusza, z którym pożegnał się o północy po długiej rozmowie o prawdopodobieństwie znalezienia Fary w Galilei.

Mencjusz szybko zasnął, najwidoczniej nie zakłócały mu snu hałasy na ulicy poniżej, gdzie ogromne wozy, pełne materiałów budowlanych, zgrzytały żelaznymi obręczami kół o kocie łby bruku, woźnice wrzeszczeli i trzaskali z batów nad grzbietami swych zaharowanych wołów. Te okropne hałasy wcale go nie drażniły. Powiedział Woldiemu, że jest do nich przyzwyczajony. To samo słyszy się co noc od wieczora do rana w Rzymie. Cesarz nie chcąc, by ruch na ulicach hamowały w ciągu dnia wozy z budulcem, zarządził, że przewóz wszelkich ciężkich materiałów ma się odbywać tylko w czasie od zachodu do wschodu słońca. Cezarea, teraz miasto rzymskie, ściśle tego przestrzegała. Mencjusz nie tylko nie narzekał — tak tęsknił do kraju, że ten straszny harmider nawet działał na niego kojąco. Czego nie dałoby się powiedzieć o Woldim, który po raz pierwszy był w dużym hałaśliwym mieście. Nieustanne zgrzytanie, wrzaski i świsty nie pozwalały mu spać. Leżał bezsennie i dzień jutrzejszy wydawał mu się tak mroczny jak noc wokoło.

W dobrze utrzymanej stajni, gdzie Darik czekał oporządzony starannie,

pięknie połyskliwy, jeszcze raz potwierdziła się sprawność rzymskiej dyscypliny. Nie zdziwiła zbytnio Woldiego obecność uzbrojonego legionisty, który miał go eskortować poza miasto. Mencjusz uprzedził go o tym: Antoniusz Lukan będzie czuł się spokojniejszy, gdy dostanie

275

meldunek, że młody Arab z urazą w sercu wyjechał wschodnią bramą cezarejską i zniknął na drodze wiodącej prosto do Galilei.

W pół godziny potem Woldi znalazł się na tej drodze, pożegnany przez legionistę pełnymi szacunku życzeniami bezpiecznej i przyjemnej podróży, chociaż obaj dobrze wiedzieli, czemu na młodego obywatela Arabii spłynął zaszczyt, jakim jest rzymska eskorta. Oglądając się przez ramię, Woldi pomachał legionście ręką i parsknął śmiechem na myśl o tym małym dramacie, w którym narzucono mu tak poważną rolę. Rzymianie, chociaż słyną z pychy i zacieklej bezwzględności, są pod wieloma względami godni podziwu. Świetnie zorganizowani. Sprawni. Okrutni, owszem, ale nie dlatego, że lubią okrucieństwo. Wolą spotykać się z życzliwym odzewem niż z wrogością. Wolą prowadzić niż poganiać. Nawet gdy pilnują, potrafią pilnować tak łaskawie, że chce się przyjaźnie pomachać ręką swojemu stróżowi na pożegnanie, gdy on już zrobi swoje.

Gościniec, ostro skręcający na północny wschód, nie był tak uczęszczany jak trakt nadmorski. Toteż był węższy. Mając przed sobą całodzienną jazdę, Woldi powściągał Darika. Otaczała go teraz równina, rozległa równina Ezd-relon, zbyt jednostajna, żeby jej krajobraz zainteresował skłopotanego cudzoziemca... Jeden fakt dawał Woldiemu iskierkę nadziei: tetrarcha prawdopodobnie żyje. Oczywiście nie zasługuje na to, by żyć, ale przynajmniej Fara nie popadła w wielkie

tarapaty, w jakich niewątpliwie by się znalazła, gdyby go zabiła. I z pewnością nie usiłowała go zabić, bo przecież Antoniusz Lukan wiedziałby o tym, a wiedząc nie omieszkałby powiedzieć.

Nadchodziły mozolnie, jeden za drugim, osły objuczone małymi zatłuszczonymi beczułkami, zapewne z sezamem i oliwą do załadunku na statek do Cezarei. Poganiacze tych osłów, obszarpani, posepni, gniewnie spluwali, gdy mijali Woldiego.

Ale co Fara robi teraz, skoro swego zadania wykonać nie może? Powiedzmy, że dotarła w okolice Tyberiady, żeby szukać sposobności do rozrachunku ze swym niegodziwym ojcem; czy będzie czekała na powrót Antypasa z Rzymu?

276

Jakiś samotny podróżny przejechał wolno na nędznym wielbłądzie o kaprawych oczach, a potem przeszedł na-srożony garbaty staruszek niosąc na kościstym ramieniu siekiere.

Woldi kolejno ich pozdrowił. Żaden nie odpowiedział. Czy dlatego, że on jedzie na dobrym koniu i to budzi w nich zawiść? Dlatego, że jest Arabem? Dlatego, że jest obcy... po prostu obcy? Czy też są z natury niegrzeczni? Z drugiej strony, czy Arabowie byliby grzeczniej si dla przejeżdżającego Żyda?

Może Fara zdecydowała się wrócić do Arabii zważywszy, że jej plan zawiódł? Ale wśród tylu niebezpieczeństw dotarła tak daleko — może więc wytrwa, będzie czekała na powrót tetrarchy? Po śmierci matki właściwie do czego w Arabii miałyby wrócić? Do mnie, oczywiście, ale może wykreśliła mnie z pamięci. Odjechała bez słowa pożegnania — może myśli, że już o niej zapomniałem i pokochałem inną dziewczynę?

Teraz szła przed nim gęsiego cała rodzina. Niechętnie ci wędrowcy zeszli z gościńca i stanęli wśród zakurzonych chwastów czekając tępo, aż przejedzie. Ojciec na czele ich gromadki, rosły mężczyzna ze wspaniałą czarną brodą, przyodziany w podartą czarną szatę, nie trudził się dźwiganie czegokolwiek. Matka jedną ręką tuliła do siebie śpiące niemowlę, w drugiej trzymała duży koszyk pełen pszenicy. Syn ciągnął dojną białą kozę. Dorastająca córka dźwigała na plecach pękaty worek jabłek. Woldi przejechał powoli, ustępując im miejsca. Uprzejmie skłonił przy tym głowę. Ojciec i koza unieśli z pogardą podbródki, tak podobni do siebie w tym geście, że Woldi musiał się uśmiechnąć. Matka za przykładem swego pana i władcy zrobiła brzydką minę. Syn zagapił się dobrodusznie. Dziewczyna podniosła ładne oczy i nieśmiało pozwoliła sobie na uśmiech.

To wina starszych, że plemiona ludzkie wzajemnie się lekceważą — pomyślał Woldi. — Kto wie, czy na świecie nie byłoby większej harmonii, gdyby wszystkich starych usunięto, wszystkich, powiedzmy, powyżej lat dwudziestu. Nastaliby wtedy nowy ład, w którym obcy sobie ludzie na gościńcach witaliby się uśmiechem, a nie splunięciem.

277

I

Tylko że wszyscy musieliby pozostawać w wieku do lat dwudziestu... nikt nie mógłby się starzeć. Chyba to pomysł niewykonalny.

No, może już wkrótce będzie wiadomo o Farze coś więcej. Młody Arab nie przejdzie nie zauważony przez małe rybackie wioski, gdzie każdy zna każdego. Ktoś sobie przypomni, że widział chłopca z Arabii.

Woldi zastanowił się, czy Fara potrafi dobrze udawać chłopca. Ryzykowna to sprawa!

Przy rozstaju, z którego widać było wieś, zwaną, jak głosił drogowskaz, Megiddo, leżeli wygodnie na ziemi czterej legioniści pochłonięci grą w kości. Ich włócznie i tarcze stały oparte o kamienny murek. Woldi spodziewał się, że go zatrzymają, i już gotów był wyjaśnić, że tetrarcha kupił konia w Cezarei i on właśnie dostarcza tego karego wałacha do Tyberiady. Ale żołnierze tylko popatrzyli na niego, gdy przejeżdżał. Najwidoczniej dyscyplina wojskowa nieco tu *zelżała* z chwilą wyjazdu tetrarchy. Czy może uwagę dowódców odciągnęły owe duże zgromadzenia,

4których mówił Mencjusz. Jakiś Cieśla przemawia do ludu  
5podobno leczy wszelkie choroby. Trudno uwierzyć w te  
uzdrowienia, mało więc prawdopodobne, żeby ten Cieśla  
jako ludowy przywódca utrzymał się długo. Tak mówił  
Mencjusz. Żadnego podburzania ludu w tym nie ma,  
inaczej tetrarcha przecież by teraz nie wyjechał z kraju.

Czy Fara zainteresowałaby się takim człowiekiem? Chyba nie, a przecież faktem jest, że zboczyła ze swojej drogi za Hebronem po to, by posłuchać przemowy innego wędrownego proroka.

Niesmaczny obiad — wędzoną rybę i czerstwy jęczmienny chleb — ponuro smyrgnięto Woldiemu na stół w jedynej gospodzie Megiddo. Prawie nie tknąwszy tego nieapetycznego jadła, Woldi dał ospowatej gospodyni sykla. Wydała mu resztę — garść miedziaków, jakich nigdy dotąd nie widział. Zostawiając te monety na stole tam, gdzie je cisnęła, wziął sobie tylko jedną, żeby obejrzeć później. Wyszedł z gospody i



podprowadził swego konia do publicznego koryta z wodą. Wokoło zebrała się gromadka małych chłopców w brudnych łachmanach. Natychmiast

278

z drzwi pobliskiej chaty rozległo się wołanie jakiejś kobiety i najstarszy chłopiec pobiegł do niej, po drodze spluwając w stronę Woldiego. Na wołanie innej kobiety w sąsiedztwie rozbiegła się już prawie cała gromadka. Przy korycie ociągało się tylko dwóch chłopców. Mniejszy miał oczy zaropiałe. Woldi sięgnął do kieszeni, wyjął miedziaka otrzymanego w gospodzie i chciał dać kaprawemu malcowi. Chłopczyk nie wziął.

— Jest ślepy — wyjaśnił jego brat. — Mnie daj, panie.

Ale gdy dostał od Woldiego tę monetę, rzucił ją na ziemię.

—Fuj, fuj! — wrzasnął. — Zły pieniądz! Do niczego!

Fuj! Fuj!

I odszedł ciągnąc młodszego braciszka, niewątpliwie gotów opowiedzieć wszystkim o tym incydencie. Woldi dosiadł konia i odjechał. Oburzeni ludzie już się gromadzili wokół chłopca dotkniętego zniewagą, jaką było ofiarowanie mu monety bez wartości. Lżyli Araba, gdy ich mijał. Wioska Megiddo okazała się niemiłą wioską. Czy to typowe dla społeczności galilejskich? Woldi miał nadzieję, że nie. Biedna Fara!

Popołudnie mijało. Przejeżdżał przez okolice coraz żyźniejsze, ale widać było, że miejscowa ludność nie gospodaruje należycie. Doprawdy zacofana kraina. Kiedyś — rozmyślał — wejdą tu Rzymianie, gospodarka zakwitnie. Galilejczycy zostaną faktycznie niewolnikami, ale będą mieli więcej do jedzenia, niż mają teraz.

O zachodzie słońca Woldi zobaczył Nazaret. Z daleka, gdy w

przedwieczornych blaskach przysadzisty dach synagogi jaśniał i domy połyskiwały bielą, miasteczko wyglądało malowniczo. Ale gdy podjechał bliżej, doznał rozczarowania. Domy były małe, odrapane, nędzne. Jak wszędzie indziej główna ulica miasteczka rozszerzała się w samym jego środku, tworząc plac wokół niezbędnej studni publicznej. Było to również targowisko; kramy i małe warsztaciki walczyły ze sobą o miejsce. Za targowiskiem stała gospoda. Właściciel gospody nie powitał Araba gościnnie, ale gdy usłyszał brzęk monet, zgodził się utyskując przyjąć go na noc. Po spożyciu, a raczej rozgrzebaniu niesmacznego posiłku Woldi wyszedł na pustą ulicę, bo była pora wieczery.

279

I

Przechadzając się trafił do kuźni, gdzie szpakowaty, stary, co najmniej pięćdziesięcioletni kowal naprawiał złamane koło od wozu, z czym zapewne musiał się pospieszyć. Zawsze ciekaw kuźni, Woldi zatrzymał się w otwartych wrotach. Kowal podniósł wzrok i skinął uprzejmie głową. Życzliwe powitanie było przyjemną niespodzianką. Woldi wszedł.

- Pierwszy raz w naszych stronach? — zapytał kowal.

Szarpnął znów sznurem miecha i gestem zaprosił gościa, żeby usiadł na zniszczonej skrzyni z narzędziami.

- Tak. Jestem Arabem. — Woldi uznał, że ten kłopot liwy temat lepiej poruszyć od razu.

- Nie widzimy tu wielu Arabów — powiedział kowal.

— Zostaniesz u nas, panie, jakiś czas?

- Tylko przenocuję. Jadę z Cezarei do Tyberiady.

- Tetrarcha przejeżdżał tędy dwa dni temu. To dopiero był pochód. Jechał do Rzymu. Chyba wiesz o tym.

Woldi odpowiedział, że wie.

- Byłeś kiedy w Tyberiadzie? — zapytał kowal.
- Nie. Ty pewnie byłeś nieraz.
- Nigdy. Ale wybieram się jutro. Dlatego dziś jeszcze pracuję, chociaż pora późna. Dużo tam się dzieje. Może słyszałeś po drodze. Nasz prorok, Jezus, przemawia do wielkiej rzeszy.
- Wasz prorok? Czy to znaczy, że wierzysz w jego przepowiednie? Słyszałeś je?
- Znam Go od małego! Tu zawsze mieszkał! — Kowal odłożył młot i oparł się wygodnie o kowadło mile podniecony zainteresowaniem obcego przybysza.
- Czy to prawda, że on czyni cuda? — zapytał Woldi.

— Słyszałem takie pogłoski.

— To właśnie chcę wiedzieć — powiedział kowal.

— Nie zdziwiłbym się za bardzo, chociaż On tutaj w Nazarecie nigdy nic cudownego nie robił. Jest cieślą, i to dobrym cieślą. — Wskazał otwarte okno za plecami Woldiego. — Tam naprzeciwko jest warsztat Jego ojca. A przedtem ojca Jego ojca. Jezus pracował w tym warsztacie od chłopięcych lat... przestał kilka miesięcy temu.

- Miał w sobie coś dziwnego? — zapytał Woldi.
- To był marzyciel — zaczął wspominać kowal, zapat-

rzony gdzieś przed siebie. — Inne dzieci lubiły Go jednak. Lubiły słuchać Jego opowiadań.

- O czym?
- Ja sam nigdy ich nie słyszałem. On przy dorosłych był małomówny, jakiś nieśmiały. Ale Efraim... mój imienik... syn mojego najstarszego brata, Labana, mówił, że to przeważnie opowiadania o jakimś dalekim kraju, gdzie nie ma zimy i ciemności... gdzie rzeki nie wysychają ani nie wylewają... i nigdy nikt nie jest chory... nikt nie umiera... i nikt nie płacze. I wszyscy kochają Króla.

Woldi w milczeniu czekał, żeby kowal ciągnął dalej.

- Wydawało się to dziwne... chłopaczek ledwie od ziemi odrósł, a taką ma wyobraźnię — monologował Efraim. — Jak wiem od bratanka, Jezus zawsze mówił o tym dalekim kraju, jak gdyby ten kraj naprawdę istniał, prawie tak, jakby On tam był kiedyś. Mówił, że to kraj pokoju. Nie ma tam żołnierzy ani twierdz, ani więzień, ani przytułków dla ubogich. Każdy wykonuje swoją pracę, ale nie dla pieniędzy. Pieniądzy w ogóle tam nie ma. Nikt nie jest bogaty, nikt nie jest biedny. I kwiaty wciąż kwitną wszędzie... ale się ich nie zrywa... Jezus bardzo dbał o kwiaty. Odkąd zaczął chodzić, przynosił wodę ze studni publicznej do swojego ogródka. Wszyscy myśleliśmy, że niewiele z Niego będzie pożytku, skoro tak się lubuje w kwiatkach. Ale... potem okazał się dobrym cieślą: lepszym niż Józef, Jego ojciec.

- Ale nigdy nie zbierał wokół siebie tłumu... nie przemawiał? — zapytał Woldi.
- Nie. Już powiedziałem, jeśli mówił dużo, to tylko do młodszych dzieci; a gdy już był chłopcem kilkunastoletnim, prawie się nie odzywał, chodził przeważnie samotny. Pewnie dlatego, że starsze dzieci śmiały się między sobą z tych opowiadań. Podobno raz któryś z tych wyrostków dokuczał Mu, kpił z Jego dalekiego kraju i obraźliwie zarzucił Mu kłamstwo. Jezus odrzekł, że nie kłamał: że jest taki kraj i że On wie o tym kraju więcej, niż opowiadał.
- I wtedy ludzie pewnie uznali, że jest pomyłony — powiedział Woldi.
- No... nie mogliśmy nie uznać, że jest inny niż wszyscy, i może On wyczuwał, co o Nim myślimy... bo poza tym, że

281

pracował w warsztacie, przeważnie trzymał się od ludzi z daleka.

- A co myślała o Nim Jego rodzina?
- Nie bardzo wiedzieli, co o Nim myśleć. Chodził sam na długie przechadzki po wzgórzach. Matka niepokoiła się 0 Niego. Zanim ostatecznie odszedł z Nazaretu, zniknął 1 nie było Go całe dwa miesiące, a gdy wrócił, wydawało się, że kroczy we śnie. Coś Mu leżało na sercu... do skwierało. Chyba nikomu nie wyjawiał, skąd wraca. Może tylko rodzicom. Ale myśmy wszyscy wiedzieli, że jest czymś bardzo poruszony. Rankiem tamtego dnia w szabat,

gdy odszedł z Nazaretu, obawiam się, że na zawsze, był w synagodze. Siedział z rodzicami, jak zwykle. Nasz zacny stary rabbi Ben-Nabot czasem prosi, żeby ustęp ze Świętych Ksiąg odczytał któryś spośród wiernych, tych starych, znanych ze swojej pobożności. Tamtego dnia rabbi wywołał Jezusa. Niezwykła to rzecz, żeby czytał Święte Księgi ktoś tak młody. W synagodze zrobiła się zupełna cisza.

- Spodziewaliście się czegoś nadzwyczajnego? — zapytał Woldi.
- A ty byś się nie spodziewał? — odparował Efraim. — Zważywszy, jaki Jezus był nadzwyczajny?... Więc On wystąpił naprzód i wziął w ręce zwój papirusu z pismem proroka Izajasza... Chyba słyszałeś — przerwał sobie pytaniem — o naszym słynnym proroku Izajaszu?
- Nie — przyznał Woldi. — Niewiele wiem o waszych wielkich ludziach od czasów naszego ojca Abrahama. Obaj się uśmiechnęli.

— O ile pamiętam — ciągnął Efraim — Jezus czytał mniej więcej tak: „Duch Pana spoczął na mnie; dlatego namaścił mnie, abym niósł dobrą nowinę ubogim. Posłał mnie, bym zwiastował wolność uwięzionym, a ślepym, że przejrzą; abym uciśnionych dźwignął z ponizenia i ogłosił rok zmiłowania Pańskiego...” Potem Jezus zwinął papirus, oddał słudze i powiedział: „Dzisiaj wypełniły się słowa Pisma, które dopiero co słyszeliście”. I wrócił na swoje miejsce. Wszyscy patrzyli na Niego. Nawet rabbi wydawał

się oszołomiony i nie od razu poprowadził dalej modły...

Potem wszyscy tłoczyli się wokół Jezusa przed synagogą

282

i pytali Go, co to znaczyło, czy naprawdę ktoś nadchodzi... tutaj do Nazaretu, żeby otworzyć więzienie, uwolnić niewolników, dać wzrok niewidomym?

- I nikomu z was nie przyszło na myśl, że Jezus mówi o sobie... że to On jest tym zapowiedzianym uzdrowicielem?
- Nie. Rozumiesz, Jezus dorastał wśród nas. To, że ktoś z naszego miasteczka mógłby mieć taki dar, czynić takie rzeczy, w głowach by się nam nie mieściło.
- Co Jezus wtedy ludziom odpowiedział?
- Oświadczył, że Jego zadaniem jest głosić dobrą nowinę. A ludzie milczeli, nie wierzyli., zezem patrzyli na siebie nachmurzeni. Pewien starzec wykrzyknął ze złością: „Wy daje Ci się, że otworzysz oczy ślepcom... tutaj w Nazarecie?!”
- I wszyscy, ręczę, nadstawili uszu, ciekawi, co On odpowie na to — powiedział Woldi.
- Nadstawili uszu jako żywo. Odpowiedź bardzo ich rozgniewała. Jezus rzekł: „Nie tutaj... nie w Nazarecie. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju". Rozeszli się gniewni, szemrali, wiele osób się odwracało, żeby jeszcze na Niego spojrzeć z grymasem albo z pogardliwym

śmiechem.

- A później... źle Go traktowali?
- Nie. Nie dał im po temu sposobności. Odszedł z Nazaretu zaraz, ani chwili nie zwlekał, nawet nie zjadł obiadu z rodzicami. Odszedł... i nie wraca.
- Może — wysunął przypuszczenie Woldi — jeśli On rzeczywiście robi wielkie rzeczy dla ludzi gdzie indziej, wasze miasteczko zacznie Go błagać, żeby wrócił.

Efraim potrząsnął głową. Podsycił ogień w kuźni.

- Nie — odpowiedział. — To nie byłoby po nazareńsku.
- Nawet po to, by wasi ślepcy przejrżeli? — zapytał Woldi.

— Tak, nawet po to, by nasi ślepcy przejrżeli!

Efraim już pilnie pracował znowu. Woldi zrozumiał, że rozmowa się skończyła, wstał więc i ruszył do wyjścia. Przy wrotach odwrócił się.

283

— A co twoi sąsiedzi pomyślą o tobie — zapytał z uśmiechem — gdy pójdziesz zobaczyć Jezusa? Będą ci mieli to za złe?

Efraim klepnął dwa razy kowadło, chichocząc pod nosem.

— Nie bardzo mogą — powiedział. — Jestem jedynym kowalem w Nazarecie. Gdyby było dwóch kowali, chyba bym się nie narażał sąsiadom.



Woldi pożegnał go i wrócił do niegościnniej gospody. Zaraz po północy obudziła go gwałtowna burza, połączona z ulewnym deszczem padającym już do końca nocy i przez cały poranek. Dopiero przed południem zaświeciło słońce. Wtedy wyruszył w dalszą drogę jadąc najszybciej, jak tylko mógł, po śliskim, błotnistym gościńcu, żeby przybyć do Betsaidy przed zapadnięciem zmroku.

## II

Nocna ulewa jeszcze nie ustała, gdy Jair obudził się rankiem. Usiadł w łóżu i zmarszczył brwi. W normalnych okolicznościach wcale by się tym nie przejmował. Zadowolony z siebie, nie miał zwyczaju narzekać na złą pogodę. Poza tym tej niezwykle słonecznej jesieni ziemia potrzebowała deszczu.

Ale odświeżająca ulewa, chociaż zbawienna dla ukochanych ogrodów i winnic Jaira, powinna była już ustać. Jair zirytował się tak bardzo, że gdy Adiel, jego nad wyraz powabna żona, weszła do komnaty, siedział z głową pochyloną i obiema rękami szarpał się za potargane włosy. Powitał ją mruknięciem. Adiel delikatnie pogłaskała go po ramieniu. O co chodzi? Żle, że deszcz pada?

- Och, nie. Tylko szkoda — wyjaśnił — że się zgodziłem na to zebranie dzisiaj. Ich rozwlekłe dyskusje zawsze mnie nudzą, a dziś nawet nie można przejść z nimi do ogrodu. Cały dzień.... w domu... bez żadnej możliwości ucieczki. Ale nie obrazimy mistrza Ben-Szolema. To zacny starzec.
- Tak, mój mężu, naprawdę zacny — przyznała Adiel.

— Zapomniałam, że mamy dziś gości. Co to będzie? Znów to okropne całodzienne zebranie zarządu synagogi?

- Jeszcze gorzej — westchnął Jair. — Z Jerozolimy przyjeżdża delegacja kapłanów, skrybów, radców prawnych, żeby zdecydować, co zrobić z tym kaznodzieją Jezusem.
- Może nie przyjadą — powiedziała Adiel z nadzieją — w taki deszcz.
- Przyjadą na pewno! — burknął Jair. — Od trzech dni są w drodze. Przyjadą. — Odwrócił wzrok i nagle rozpromienił się na widok uśmiechniętej twarzyczki w szczelnie powoli uchylających się drzwi. Dwunastoletnia dziewczynka ośmielona skinieniem ojca podskakując wbiegła do komnaty.
- Już jest śniadanie — oznajmiła wesoło. — I Rachela mówi, że mamy zaraz przyjść i zjeść, bo ma być dużo gości na obiedzie. Jacy goście, ojcze? Czy mili? Będą się śmiać i żartować, czy będą tacy jak tamci?

Jair machinalnie pogłaskał córkę po kędziorach i odpowiedział smętnie, że niestety to właśnie tamci.

- Nie licz na żarty, Szaron.
- Biegnij do Racheli, powiedz jej, że zaraz przyjdziemy, kochanie — poleciła matka i gdy dziecko odeszło, zapytała:

— Co oni zamierzają uczynić z tym dziwnym człowiekiem? Mówiłeś, że to nie przestępca. Jakie oskarżenie wysuną przeciw Niemu?

- Nad tym będą dziś debatować — odpowiedział Jair. — Nie mogą Go pojmać za zakłócanie spokoju. Jeśli zakłóca spokój tym, że przemawia do tłumów, pojmanie Go jest rzeczą władz prowincji. Rozmawiałem z Antypasem kilka dni temu, zanim wyjechał. Mówił, że wysłał swoich ludzi na wieś, żeby się zorientowali, do czego ten Cieśla zmierza, i dostał od nich sprawozdanie. Nic buntowniczego On nie mówi. Antypasowi chyba wystarczył fakt, że ten człowiek nic złego nie czyni, tylko napomina ludzi, że powinni być zadowoleni... i żyć w zgodzie ze wszystkimi wokół.
- To nie powód do sprzeciwu rabbich — rozmyślała głośno Adiel. — Może ich niepokoją te opowieści o cudach.

—Nagle spoważniała i popatrzyła mężowi w oczy. —

Nie sądzisz, że mogłoby być trochę prawdy w tych

285

opowieściach? Nikt tutaj nie mówi o niczym innym! Cała służba jest podniecona!

- No... — rzekł Jair przeciągle — ty wiesz, jacy są ci ludzie. Ogromnie lubią takie niestworzone historie. To nie do wiary, że Cieśla uzdrawia chorych. Czy ktoś spośród służby mówił ci, że został uzdrowiony?
- Nie... ale nikt z nich nie wątpi, że ten człowiek czyni nadzwyczajne rzeczy.

Adiel podała mężowi zszywaną z różnobarwnych pasów szatę poranną. Dźwignąwszy się z łoża, Jair włożył szatę i ruszył żwawo do przestronnej izby kąpielowej. W drzwiach zatrzymał się, żeby powiedzieć:

— Uważam, że niegodne uczonych z Jerozolimy jest wszczynanie tyle hałasu o to. Jeśli nie będą na tego człowieka zwracać uwagi, On wkrótce usunie się w cień. Ludzie o Nim zapomną... i będzie mógł wrócić do ciesiołki. Wstyd mi, Adiel, że pod moim dachem ma odbywać się taka narada.

Zwlekąca na korytarzu czekając na niego. Gdy wyszedł, ujęła go pod ramię i powiedziała trochę niepewnie:

- Chciałabym, żebyś porozmawiał z niektórymi z naszych rolników. Ze starym Symeonem przede wszystkim. Jemu można wierzyć. Otóż on mówi, że naprawdę widział, jak ten Jezus obdarzył wzrokiem kogoś niewidomego od urodzenia!
- Phi! — zlekceważył to Jair dobrodusznie. — Nie bądź niemądra! Musi być jakieś rozsądne wytłumaczenie tych opowieści.

Szli do komnaty śniadaniowej. Ta sąsiadująca z dużą jadalnią komnata od wschodniej strony willi była bardzo słoneczna. W piękne dni lata odciągano i zwijano ochronne kilimy nad otworem pośrodku stropu, tak że widać było błękit nieba. Dzisiaj tego nie uczyniono, komnata w szarości deszczowego dnia wyglądała ponuro, nawet piękne mozaiki na ścianach jak gdyby zmatowiały.

Przed wysokimi łukowatymi drzwiami Jair zwolnił kroku i, zanim weszli, powiedział:

— Jeśli nasi ludzie chcą takiej rozrywki, ja nie mam nic przeciwko temu. Plony już zebrane, roboty niewiele. Słu-

chanie kazań Cieśli z pewnością jest dla nich lepsze niż przesiadywanie w winiarniach Kafarnaum... Witaj, Rachelo! Zjemy szybko. Ty i dziewczęta służebne musicie dziś dobrze się uwijać.

Rachela prychnęła:

- Tak, panie, goście. — Skinęła na dziewczyny, żeby zaczęły usługiwać przy stole. I, poufale z racji swego starszego wieku, dorzuciła kpiąco: — I jeść będą mnóstwo.
- Dlaczego tak myślisz? — zapytał Jair spodziewając się ciętego żartu.
- Bywali tacy u nas, panie. Ci, którzy mówią wielkie słowa, zjadają wielkie kęsy.
- Jakoś nigdy nie zwróciłem na to uwagi, Rachelo. — Jair zaśmiał się. — Ale na Jowisza, chyba masz rację! No, dopilnuj, żeby wszystkiego było w bród.

Szaron znad czarki z mlekiem oświadczyła poważnie:

- Ojczy, mama mówi, że „Najowisza” to jest zaklęcie Rzymian.
- Jeśli już musimy wzywać imienia boskiego nadaremnie — powiedziała matka — może lepiej, żeby to było któreś z imion pogańskich bogów.
- Co to za bogini ta „Najowisza”? — zainteresowała się Szaron.
- Pij mleko, maleńka — upomniał ją Jair łagodnie. — I tak — zwrócił się do żony — uszy dziś będziemy mieli pełne słów o Bogu. Po co zaczynać z tym teraz?

- Ja mogę darować sobie ten obiad, prawda? — zapytała Adiel.
- Możesz, jeśli chcesz — odrzekł. — To sprawa urzędowa. Możesz w ogóle się nie pokazywać. Właściwie będą to goście rabiego Ben—Szolema. My im tylko dostarczamy jadła i pomieszczeń.

Przed południem deszcz przestał padać. Coraz większe były na niebie łaty błękitu, kałuże odbijały blask słońca. Jair zaczął przechadzać się po ogrodzie. Gdyby wszystko podeszło dostatecznie — rozmyślał — uczeni mężowie najadłszy się do syta mogliby ze swymi ważnymi zagadnieniami

287

wynieść się z domu. Od razu zrobiliby się lżej. Można by tylko dopilnować, żeby usadowili się wygodnie, po czym odejść ukradkiem. Ci mędracy nawet by nie spostrzegli, że gospodarza nie ma.

W altanie obrośniętej winoroślą woda jeszcze kapała, ale podniosła się para, trzcinowe sprzęty wysychały szybko. Jair był więc prawie dobrej myśli, gdy zobaczył rabiego Ben-Szolema, kroczącego z laską, która pozostawiała dołki w mokrym żwirze. Rabbi przejawiał niejako ożywienie.

- Zapowiada się interesujący dzień, synu — powiedział, tak jakby obiecywał Jairowi dużą przyjemność.
- Świetnie — przytaknął mu Jair bez entuzjazmu. — Mam nadzieję, że w ogrodzie będzie po południu dość sucho, by goście mogli odbywać swe narady na świeżym

powietrzu.

- No... co do tego... nie jest to świąteczna okazja — rzekł Ben-Szolem — nie czas na ogrodowe przyjęcie. Sprawę, która czeka nas dzisiaj, należałoby załatwić przy drzwiach zamkniętych.
- Och! Więc to aż tak poważne?
- Tak. Cieśla ma przybyć tutaj.

Jair przestał strząsać wodę z winorośli.

- Doprawdy! — wykrzyknął zadowolony. — To rze czywiście interesujące!
- Tak... dwaj nasi młodzi przyszli kapłani wytropili tego człowieka wczoraj i...
- Wytropili? — cierpko zapytał Jair. — To musiało wymagać sporej chytryści, zważywszy, że Cieśla otwarcie przemawia do tłumów. Czyżby tym razem gdzieś się skrył?
- Nie... nie ukrywał się — odpowiedział lodowato starzec. — Bezwstydnie spożywał wieczerę w domu Symona syna Jony.

Jair uśmiechnął się. Ben-Szolem zmarszczył brwi, zgorszony jego rozbawieniem.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, rabbi, że był u Wielkiego Rybaka! Myślałem, że Cieśla to swego rodzaju kaznodzieja, uczący ludzi o sprawach Bożych. On niezbyt wybrednie dobiera sobie towarzyszy. Wielki Rybak jest akurat tak pobożny jak pies!

— Między innymi o tym będziemy z Cieślą rozmawiać  
 — powiedział Ben-Szolem. — On prawi rzeszom o świętości  
 i jednocześnie zadaje się z ladacznicami i bluźniercami.  
 Parę dni temu niektórzy z naszych widzieli go wśród  
 celników... siedział i gawędził z Lewim... tym wstrętnym  
 poborcą daniny dla Rzymu!

- Może próbuje nawrócić Lewiego, żeby Mu obniżył podatki. — Jair roześmiał się. — Muszę Lewiego zapytać, jak on sobie radzi.
- To nie temat do żartów, synu — powiedział Ben-Szolem surowo.
- Przepraszam — mruknął Jair. Po chwili kłopotliwego milczenia zapytał: — Czy ci młodzi mieli trudności z za- /  
 proszeniem Cieśli tutaj? Oczywiście, nie mogli Mu rozkazać, /  
 żeby się stawił! /
- Jednak mu rozkazali! — oświadczył Ben-Szolem. — ' /  
 Z upoważnienia synagogi!
- On wcale nie musi przyjść, jeśli nie zechce — powie  
 dział Jair szorstko. — Zapewne Mu wiadomo... jak i tobie,  
 rabbi... że synagoga nie ma prawa Go pojmać... ani wezwać  
 przed sąd.
- Tak czy owak — przerwał Ben-Szolem rozdrażniony  
 — on przyjdzie. Bezcelnie powiedział, że będzie miał czas  
 na to, gdyż burzliwa pogoda dziś po południu raczej  
 zatrzyma ludzi w domach.



Jair otworzył usta i brwi mu się ściągnęły.

- Wczoraj to przewidział... gdy nie było ani jednej chmurki na niebie? A więc przepowiada pogodę.
- Niezbyt dobrze — zauważył rabbi z przelotnym uśmiechem. — Dziś po południu będzie słońce.
- Chyba tak — zgodził się Jair. — Ale, ale... czy wasi zmyślni młodzieńcy zaprosili Cieślę przy tej okazji do nas na obiad?
- Jasne, że nie! — warknął Ben-Szolem. — Przecież nie będzie tu gościem! Muszę przyznać, Jairze — ciągnął zapalczywie — że jestem zdumiony twoim podejściem. Ty, jeden z zarządców synagogi, najmożniejszy człowiek w tej okolicy, mający świecić dobrym przykładem, nie dbasz, jaką naukę głosi się ludowi. Nawet mówisz o ugoszczeniu

tego bluźniercy w swoim domu, chociaż wiemy, że on zadaje się z bezbożnikami, ucztuje z Szymonem zabijaką, który otwarcie urąga synagodze i od lat nie bierze udziału w modlitwach!

Rabbiemu, gdy kończył tę namiętą przemowę, głos się załamał, toteż Jair miał sobie za złe, że dopuścił do tak nieprzyjemnego obrotu rzeczy. Może oburzenie starego Ben-Szolema nie jest bezpodstawne. Zwierzchnik synagogi powinien interesować się głębiej poglądami społeczności. Chcąc zatuszować ujawnioną obojętność Jair zrobił smętną minę i okazał, że mu zależy na nawróceniu krnąbrnej duszy Wielkiego Rybaka.

- Mistrzu — zapytał poważnie — czy rozmawiałeś

z Szymonem o jego niedowiarstwie?

- To by się na nic nie zdało — odpowiedział Ben-Szolem. — Znam tego upartego człeka od dziecka. Niewątpliwie swoim odstępstwem przyspieszył śmierć ojca... Kiedyś dwaj młodzi z synagogi zapytali go z uszanowaniem, dlaczego nie płaci dziesięciny, a on zaczął z nich szydzić. Skarcili go, co było ich obowiązkiem, i wtedy chwycił obu za włosy i stuknął ich głowami. Wiedząc, jak ciężko zawinił, do krzywdy dodał obelgę: ofiarował im w darze koszyk okoni!

Jair słuchał ze zmarszczonymi brwiami. Wydawało się że napiętnuje tak niewybaczalne postępowanie, gdy nagle ku zgorszeniu Ben-Szolema parsknął wbrew woli głośnym śmiechem.

- Jairze, zdumiewasz mnie! — wybuchnął starzec.
- Siebie także, rabbi — przyznał niewczesny wesolek natychmiast poważniejąc. — Ale nie mógłbym się po wstrzymać... nawet gdybym leżał teraz na łożu śmierci. Proszę, wybacz!
- Mam szczerą nadzieję, Jairze — karcącym tonem powiedział Ben-Szolem — że jednak do niefortunnej sprawy Cieśli odniesiesz się z należytą powagą. Gdy on dziś wejdzie pod twój dach, musisz zaznaczyć, że przyszedł na życzenie synagogi!
- Lepiej zatem, żebyście Go zabrali do synagogi — odparł Jair. — Nie podoba mi się rola, jaką mam odgrywać. Ten młody człowiek przyjdzie do mojego domu, ode mnie

więc, gospodarza, na pewno nie usłyszysz niegrzecznego słowa! Myślałem, że zapraszacie Go tu na rozmowę. Teraz się dowiaduję, że został wezwany, by wysłuchać słów potępienia. Nie będę brał w tym udziału! Co więcej, jeśli przyjdzie tu sam, bez przyjaciół, możesz się, panie, spodziewać, że stanę po Jego stronie! Chcesz powiedzieć, że wszyscy uczeni z okolicy zbiorą się tutaj, żeby sądzić Jezusa nie dając Mu skorzystać z możliwości obrony? Wszyscy jednak jak jeden mąż jesteście przeciwko Niemu?

- Tego człowieka trzeba uciszyć, Jairze — oświadczył Ben-Szolem stanowczo. — Wszyscy zgodziliśmy się co do tego. Wszyscy oprócz... — Zawahał się, po czym powiedział niechętnie: — Nie mogę zrozumieć stanowiska, jakie zajął rabbi Elimelech z Betsaidy. Wczoraj mnie uprzedził, że dziś tu nie przybędzie.
- Czy powiedział, dlaczego? — zainteresował się Jair.
- Elimelech się starzeje — wyjaśni! leciwy Ben-Szolem. — Dziecinnieje na starość. Zaiste mówią, że godzinami opowiada różne historie dzieciom. Co poważniejsi spośród wiernych nie bardzo wiedzą, jak się do tego ustosunkować.
- I on nie chce wziąć udziału w skarceniu Cieśli?
- Był na tyle nieroztropny, że wyruszył na wieś, żeby osobiście usłyszeć tego Jezusa. Wierni nie pochwalają takich wypraw swojego nauczyciela, sam to przyznał. Nawet zabrał tam ponad dziesięcioro ich dzieci. Elimelech powinien być ostrożny, bo łatwo mogą uznać, że należy mu się już

odpoczynek.

- Muszę porozmawiać z tym czcigodnym starcem — powiedział Jair. — Może warto wiedzieć, co naprawdę myśli o Nazareńczyku. Co mówił... o Nim?
- Mówił, że można by tego człowieka uznać za Mesjasza na podstawie tego, co o Mesjaszu wiemy. Na takie wypowiedzi nie wolno pozwalać!
- Oczywiście, że nie — mruknął Jair z roztargnieniem.

Obiad włókł się. Dzielnie, ale na próżno Jair czynił wysiłki, żeby jego powściągliwi goście trochę się ożywili. Z początku zagał rozmowę, którą mogliby przecież

291

podtrzymywać bodaj przez grzeczność, ale mu nie pomagali. Jedli w milczeniu.

Zwracając się do Natana, przedstawiciela arcykapłana, zapytał, jak Piłat ostatnio odnosi się do Sanhedrynu. Po długiej chwili Natan sztywno rzekł:

—Jak zwykle.

Ta lodowata odpowiedź wyraźnie znaczyła, że stosunki pomiędzy rzymskim prokuratorem i żydowskim trybunałem to z pewnością nie rzecz Jaira. Dotknięty tak bezceremonialną odprawą Jair jednak opanował gniew.

Zwrócił się z kolei do Obadiasza, najstarszego skryby, siedzącego z lewej jego strony. Zapytał, czy w Jerozolimie już ukończono przebudowę przedstawicielstwa Galilei. Starzec potrząsnął głową i nie od razu

wymamrotał, że nie wie. Chociaż nie zadał sobie trudu, by dodać, że nawet nie chce wiedzieć, dość jasno dał do zrozumienia, że gospodarz mówi za dużo. Jair poczuł się samotny i nie na swoim miejscu. Może jest bezczelny siedząc przy stole z tymi czcigodnymi mężami? Zrobiłby lepiej, gdyby włożył fartuch i pomagał usługiwać. Kilka razy spojrzał z nadzieją na Ben-Szolema, ale ten, ponuro jedząc baraninę, nie podnosił oczu.

W końcu przyszło coś Jairowi na myśl: Ben-Szolem chyba zdążył przed obiadem szepnąć w poufnej rozmowie gościom z Jerozolimy, że ich gospodarz nie jest chętny przesłuchaniu, mającemu się odbyć w jego domu. Otóż to! Oni rozmyślnie go lekceważą. Teraz Jair już tylko pilnował, żeby misy i puchary napełniano na nowo, i zwracał się wyłącznie do służebnic.

—...Jeszcze jedno udko kurczaka, Rachelo — mówił cicho, przysłaniając usta dłonią — dla jego miłości wysłanika najwyższego kapłana... i przynieście więcej wina. Trzeba tu wywietrzyć. Duszno jest... i zapalcie lampy.

Może to się przyczyniało do okropnego nastroju. Było coraz bardziej parno, coraz ciemniej. Nadciągała sroga burza. I już wkrótce cały dom zatrzęsł się od grzmotu. Poczerniałe niebo rozjaśniły błyskawice. Zerwała się wichura. Deszcz lał jak z cebra, aż bębniło na ułożonych w szachownicę płytach tarasu.

292

Jair pośpiesznie wstał od stołu i ruszył do wysoko sklepionego atrium. Zawsze w czasie burzy myślał z niepokojem o stropie atrium podpartym, wbrew zapewnieniom budowniczych, dosyć słabo. Wszedł do tej

mrocznej teraz, ogromnej sali, gdy znowu huknął grzmot.

Spokojnie siedziało tam czterech ludzi. Najwidoczniej Józef, najstarszy sługa, wpuścił ich, po czym zajęty umacnianiem drzwi przed wichurą zapomniał oznajmić o ich przybyciu. Wszyscy czterej wstali na widok gospodarza. Brodaty olbrzym, w którym Jair od razu poznał Wielkiego Rybaka, uklonił się i z szacunkiem wskazał ruchem głowy ich niewątpliwego przywódcę.

— Panie — swym grubym głosem rzekł Szymon — to jest Jezus... z Nazaretu.

Przedstawił przyjaciela z takim przejęciem, że w każdych innych okolicznościach Jair odpowiedziałby mu co najmniej skinieniem i uśmiechem, było jednak w Nazareńczyku coś, co przykuło całą jego uwagę. A więc to jest Cieśla! No, łatwo zrozumieć, dlaczego ludzie idą za Jezusem. To nie jest zwykły człowiek. Podchodząc, Jair uklonił się, pełen uszanowania.

- Mile witam Ciebie i Twoich przyjaciół w moim domu — powiedział. Znow zagrzmiało. Z obawą spojrzął w górę na strop. — Czy wolno Ci doradzić, Panie, żebyś wycofał się spod tego sklepienia? Nie jesteśmy tu bezpieczni!
- Nie potrzebujesz się lękać o to — rzekł Jezus spokojnie.
- Przecież strop może się zawalić! — nalegał Jair.
- Może — powiedział Jezus — ale nie nade mną i nie nad tobą, gdy jesteś przy mnie. Mój czas jeszcze nie nadszedł.

Jair, któremu rzadko kiedy brakowało słów, w tej chwili po prostu

oniemiał. Patrzył, musiał patrzeć, w spokojne oczy Cieśli, dziwne oczy, badawcze, pytające bez cienia zuchwalstwa: Jakim on jest człowiekiem? — jak gdyby miał prawo to wiedzieć. Znów straszliwie zagrzmiało, ale tym razem Jair nie podniósł wzroku. Widocznie wyczuwając ulgę swego gospodarza, Jezus uśmiechnął się, spojrział przelotnie w górę i przytaknął. Jair też się uśmiechnął, ale potrząsnął głową

293

trochę tak, jakby chciał powiedzieć, że tego, co się dzieje, nie pojmuje.

Cieśla spoważniał. Odwrócił się i ruszył wolno ku wysokim otworom okiennym, z których widać było gościniec. Tamci trzej ruszyli za Nim. Szymon wskazał swoich dwóch młodszych towarzyszy, jeszcze nie przedstawionych gospodarzowi.

—To Jakub i Jan, panie. Bracia. Rybacy.

Jair skinął głową machinalnie. Myślał o pobożnych mężach z Jerozolimy. Czekają, prawdopodobnie zniecierpliwieni, żeby wypytywać Nazareńczyka. Może siedząc teraz ' z pochylonymi głowami układają drobiazgowo pytania, jakich w ich przekonaniu nieuczony Cieśla na pewno nie zrozumie, mają nadzieję wykazać, że to ciemny kmiotek... A On może im sprawić niespodziankę!

Wyrzwał na gościniec. Pod cyprysami i drzewami oliwnymi przy gościńcu tłoczyli się, uciekając przed ulewą, skuleni, zgarbieni ludzie.

Szymon głosem znizonym wyjaśnił:

- On ich prosił, żeby nie szli za Nim tutaj, panie.
- Czy ci wszyscy to Twoi przyjaciele? — zapytał Jair

Jezusa stojącego u jego boku.

Jezus odpowiedział skinieniem głowy i dalej patrzył ze współczuciem

na rzeszę. Po chwili rzekł jak gdyby do siebie:

—To owce... bez pasterza.

Jair postanowił:

—Nie będziemy tam ich trzymać w taką burzę! Zaproś ich — polecił Wielkiemu Rybakowi — niech wejdą!

Szymon podszedł wielkimi krokami do drzwi wiodących na taras i machnięciem ręki zaczął przywoływać ludzi. Zmoknięta rzesza nie mogła uwierzyć, że wolno jej wejść do pałacu Jaira. Szymon nie przestawał machać ręką. W końcu z okrzykiem wdzięczności wbiegli na porośniętą trawą zboczę. Jezus patrzył na nich jeszcze, po czym odwrócił się i uśmiechnął po bratersku do gospodarza.

—Sprowadzasz błogosławieństwo na swój dom, Jairze

— powiedział łagodnie.

Uradowany, ale nieco zakłopotany tym uznaniem Jair westchnął żartobliwie:

294

—Oby tak właśnie przyjęła to moja żona!

Jezus uśmiechnął się jeszcze promienniej.

Ludzie ociekając wodą dosłownie wlewali się do atrium. Szymon przy rozwartych drzwiach upominał zmuszającym do posłuchu, donośnym głosem, żeby się zachowywali należycie, nie pchali się i nigdzie nie siadali w swojej mokrej odzieży. Jair uznał, że czas zabrać niezwykłego gościa z tej ciżby. Dotknął ręki Jezusa i poprowadził Go na korytarz. Gdy wchodzili do komnaty śniadaniowej, zobaczył przez otwarte drzwi, że przybysze z Jerozolimy patrzą, jak tłoczy się rzesza. Przepuścił Jezusa przed sobą i poprosił Go, żeby usiadł. Deszcz jeszcze padał



ulewny, ale burza ustępowała, coraz cichsze jej pomruki dolatywały z gór.

Podchodząc do swych dostojnych gości, Jair oznajmił Ben-Szolemowi:

— Wasz Cieśla jest tutaj.

Wszyscy się odwrócili.

— Miło mi przedstawić wam Jezusa, którego tu za prosiście — powiedział Jair.

Jezus wstał i ukłonił się z szacunkiem. Jerozolimczycy patrzyli ponuro. Wszyscy usiedli. Tłum był teraz nie do opanowania i ci na przedzie posuwali się wolno długim korytarzem do drzwi komnaty, gdzie rozpoczęto konferencję.

Ben-Szolem z rumieńcem irytacji wstał i powiedział surowo:

- Jairze, rzesza nie została zaproszona na nasze spotkanie! Żądam stanowczo usunięcia tych ludzi z domu!
- Oni schronili się przed deszczem — wyjaśnił Jair.
- Ale nie ich miejsce tutaj — zganił go Natan.

Jair już miał powiedzieć, że — o ile zdołają — mogą sami wyrzucić tych ludzi, gdy nagle jakiś ruch na górze sprawił, że wszyscy spojrzeli na strop. Ktoś od zewnątrz odciągał i zwijał ochronne kilimy, deszcz lał strugami przez otwór; pośpiesznie odsuwając swoje fotele mężowie z Jerozolimy osłupieli na widok tego, co działo się ponad nimi. Do komnaty spuszczone nosze. Leżał na tych noszach wychudzony młody człowiek, przemoknięty i drżący. Wszyscy

teraz stali. Nikt się nie odzywał. Jair daremnie usiłował zrobić srogą minę. Sytuacja wprost śmieszna. Jasne, że przyjaciele chorego zmówili się ze służącymi, żeby mu umożliwić tak niezwykle wejście do

zatłoczonego domu. Wygląda to na pomysł starej Racheli, prawdopodobnie przyczynił się też Józef, podobno bardzo zainteresowany Cieślą.

W tym momencie Jezus wystąpił i spojrzał oszołomionemu kalece prosto w oczy. Od razu było widać, co dolega temu nieborakowi o skręconych, uschniętych kończynach. Budząca grozę epidemia paraliżu, którym niewytłumaczalnie zarażały się dzieci i młodzież, co kilka lat pozostawiała po sobie dziesiątki, setki kalek. Nikt nie znał przyczyny... ani lekarstwa.

Jair podsunął się bliżej, zaciekawiony. W komnacie panowała cisza pełna napięcia. Główną postacią stał się Jezus. Wszyscy patrzyli na Niego.

—Synu — powiedział łagodnie — odpuszczają ci się grzechy twoje.

Wśród nieprzyjawnie do Niego nastawionych przybyszów z Jerozolimy nastąpiło gwałtowne poruszenie, rozległ się głośny szmer protestu. Natan, przedstawiciel najwyższego kapłana, wykrzyknął gniewnie:

—To bluźnierstwo!

Stary Obadiasz, główny skryba Świątyni, zawołał:

—Jak może człowiek odpuszczać grzechy?!

Ben-Szolem ochryple rzekł:

— Nie po to ten chory tu przybył! Chce być uleczone z paraliżu!

— Właśnie, ulecz chorego! — zawtórowali wszyscy.

Jair słuchał z sercem łomocącym. Od pierwszej chwili czując dziwny pociąg do Nazareńczyka, miał nadzieję, że Jezus da dobre

świadeństwo o sobie wobec tych zgryźliwych pedantów, ale On teraz sam zajął pozycję nie do obrony. Mądrale z Jerozolimy mają rację. Człowiek nie może odpuszczać grzechów człowiekowi — to czyste bluźnierstwo. Cieśla po prostu gra na zwłokę, i to w najgorszy sposób, jaki tylko jest możliwy. Czyżby się spodziewał, że Jego wrogowie — a także przyjaciele — przyjmą spokojnie

296

świętokradztwo? Jezus musi uczynić coś niezwykłego, jeśli ma nadzieję zbić zarzuty tych, którzy Mu uwłaczają.

Nagle w komnacie znów zrobiło się cicho, gdy Nazareń-czyk podnosząc rękę nad paralitykiem odwrócił się do szemrających.

— Podajecie w wątpliwość moją władzę odpuszczania grzechów. Pozwólcie, że was zapytam: czy łatwiej rzec „odpuszczają ci się grzechy”, czy „wstań i chodź”? Żeby zapewnić was, że jest mi dana ta władza... — urwał i całą uwagę poświęcił sparaliżowanemu. Opuszczając rękę dotknął jego chudego ramienia. Rozkazał: — Wstań, synu, i chodź!

W ciszy pełnej napięcia rozległo się chóralne: „Och!”, okrzyk zdumienia ludzi stłoczonych w otwartych drzwiach. Paralityk podniósł rękę, przytrzymał się wyciągniętej dłoni Jezusa i podparłszy się na łokciu usiadł wyprostowany. Po chwili z trudem stanął.

Jairowi zaschło w gardle, poczuł nieomal mdłości. Wśród mężów ze Świątyni panował zamęt.

- Oszustwo! — krzyczeli szyderczo. — Uknute!
- Ten człowiek nie był kaleką!
- Precz z oszustem!

Za drzwiami na szerokim korytarzu tłum niemo rozstępował się przed uzdrowionym, który szedł niepewnie, drobnymi kroczkami. Miał w oczach łzy, dolna warga mu drgała. Gawiedź z ustami rozdziawionymi patrzyła na jego wykrzywioną wzruszeniem twarz, cofając się, by zrobić przejście, deptając sobie po nogach. Nikt się nie odezwał, nie uśmiechał do nikogo. Jak gdyby przechodził ktoś, kto powstał z martwych.

Deszcz już nie padał i świeciło słońce. Powoli, cicho rzesza zdjęta czcią i bojaźnią opuszczała dom Jaira. Goście z Jerozolimy stali zwartym kręgiem i patrzyli za odchodzącymi. Natan mówił coś zniżonym głosem, stary rabbi Ben-Szolem uroczyście potakiwał. Jairowi jedno spojrzenie wystarczyło, by uznał, że został zwolniony z obowiązków gospodarza, teraz niech szacowny Ben-Szolem zajmuje się tymi gośćmi.

Jezus siedział w fotelu nie opodal drzwi tak, jak się osunął, całkowicie wyczerpany. Łokcie opierał na szerokich

297

poręczach, schylone czoło oparł na drżących białych dłoniach. Ale podniósł głowę i słabo uśmiechnął się do Jaira. Kropelki potu perliły się na Jego bladym czole.

- Pójdę już — rzekł ochryple — jeśli przesłuchanie się skończyło.
- Bardzo proszę, nie odchodź, Panie — powiedział Jair.  
— Wydajesz się bardzo zmęczony. Zostań jeszcze u nas...  
odpocznij. Chodź ze mną.

Znużony Jezus skinieniem głowy wyraził zgodę. Podniósł się wolno i przeszedł za gospodarzem przez długi korytarz i atrium do biblioteki. Gdy tam wchodzili, Adiel i Szaron, które najwidoczniej nic nie wiedziały

o zdumiewającym wydarzeniu w domu, wstały zmieszane.

—Moja żona, Panie — przedstawił Jair. — Adiel, to jest Jezus... z Nazaretu.

Adiel wyszeptała uprzejmą odpowiedź na tę prezentację, Szaron z małą harfą w objęciach stała zapatrzona w obcego przybysza. Jezus uśmiechnął się do jej zdumionych oczu.

- Nasza córeczka Szaron — przedstawił Jair.

Szaron przytaknęła z powagą, nadal oszołomiona.

- Chodź, kochanie. — Matka ujęła ją za rękę.

—Niech ona zostanie, Adiel — powiedział Jezus. —

Opowiem jej coś.

Adiel słysząc z Jego ust swoje imię — poufałość, na jaką nikt obcy by sobie nie pozwolił — poczuła w sercu falę ciepła. Wydawało jej się, że są od dawna przyjaciółmi, ale później pojęła, że nie, to nie to, że po prostu On zwrócił się do niej jak do dziecka, chociaż jest zapewne trochę starsza od Niego. Jair zauważył jej radosne zdumienie i przypomniał sobie, że sam dziwnie się ucieszył, gdy Jezus wypowiedział jego imię. A rzecz to niesłychana: wiejscy cieśle nie odważyliby się mówić mu „Jairze”.

—Czy ja też mogę zostać? — zapytała Adiel.

Wszyscy usiedli. Przez krótką chwilę Jezus miał głowę zwieszoną, oczy przymknięte. Widać było, że jest bardzo wyczerpany.

Tam, w komnacie śniadaniowej powstała kwestia, czy łatwiej jest odpuścić człowiekowi grzechy, czy uleczyć go z paraliżu. Patrząc ze współczuciem na wyczerpanego

tajemniczych rzeczy, trzeba mieć ogromną siłę. Sądząc z krążących wszędzie, ale na ogół nieuzasadnionych wieści o cudach Człowieka z Nazaretu, można by wnosić, że pewny siebie magik przechodzi od jednej efektownej sztuki do drugiej bez żadnego uszczerbku, a jednak się okazuje, że takie szafowanie siłą witalną kosztuje bardzo dużo.

Szaron, którą zwykle ogarniało naturalne dziecięce onieśmienie w obecności nieznanym dorosłych, teraz ku zdumieniu rodziców przyciągnęła swój niski stołeczek do fotela Jezusa, który otworzył wtedy oczy. Westchnął, uśmiechnął się i ujął ją za rękę. Dziewczynka przysiadła na piętach i oparła pulchne łokcie z dołeczkami na szerokich poręczach fotela. Jair i Adiel wymienili znaczące spojrzenia.

- Ta opowieść — zaczął Jezus cicho, jakby mówił tylko do Szaron — jest o Królestwie w innej krainie.
- Czy to baśń? — zapytała Szaron z nadzieją.
- Nie... to jest prawda, moje dziecko.

Spokojnym głosem, słowami prostymi Jezus opowiadał o Królestwie, gdzie wszyscy, którzy zapragną, mogą żyć wiecznie szczęśliwi. Od czasu do czasu mała Szaron ku zakłopotaniu rodziców przerywała Mu jakimś pytaniem, a On żadnego z tych pytań nie zostawiał bez odpowiedzi.

W czasie opowiadania Jezusa Jair stwierdził nagle, że ulega jakiemuś oczarowaniu ową wizją przyszłego idealnego życia w krainie bez burz, bez kłótni, bez sądów, więzień, bez niewolników, łez i lęków. Gdy Szaron zapytała, czy wszyscy tam pójdziemy, Jezus odpowiedział, że nie każdy zechce tam pójść, bo to jest miasto rześście oświetlone, a sporo ludzi tak przywykło do przebywania w ciemnościach, że ciągła jasność by im przeszkadzała. Inni znów, dumni ze swej władzy nad życiem bliźnich, nie

czuliby się dobrze w krainie powszechnej wolności.

Jego spokojny głos ucichł, gdy ktoś lekko zastukał do drzwi. To był Józef. Jair ocknął się jak z pięknego snu, wstał i wyszedł zamykając drzwi za sobą.

—Wielki Rybak, panie — szepnął Józef. — Nie wie, jak się Jezus czuje... i czy on ma czekać.

299

— Jezus jest bardzo zmęczony — odpowiedział Jair. — Odpocznie, a potem każę Go odwieźć wygodnie, dokąd będzie chciał. Powiedz Wielkiemu Rybakowi, że nie potrzebuje zwlekać z odejściem.

Po wydaniu tego polecenia Jair, już gotów otworzyć drzwi biblioteki, nagle zawahał się, czy tam wrócić. Wtargnięcie Józefa jakoś sprawiło, że dziwne, kojące zauroczenie minęło. Jair spadł z obłoków i znów mocno stanął na ziemi. Znów chciał normalnie rozumować. Stanowczo za dużo było tej tajemniczości jak na jeden krótki dzień. Biernie, nie pytając o nic, dawał się ponosić fali oszołomienia. Teraz, gdy raptownie został wyciągnięty na brzeg powszedniości, spróbował — nieco jeszcze oszołomiony — zebrać myśli.

Jedno jest pewne: jego łatwowierność przeszła zbyt ciężką próbę. Zawsze był człowiekiem praktycznym, nie mającym dość wyobraźni, by wierzyć w rzeczy, których nie można zobaczyć, usłyszeć, skosztować czy wziąć w rękę. Dziś pozwolił sobie pozostawać pod wrażeniem szeregu niejasnych wydarzeń, które spowodował Cieśla.

Zaczęło się od tego, że przychylnie zajął się Jezusem w myśl swojej niezłomnej zasady, iż w jego domu nikt nie będzie źle traktowany. Potem, gdy panowało podniecenie, zamieszanie wskutek nagłej burzy, nastąpił

ów szczególny incydent w atrium. Cieśla spokojnie zapewnił, że strop się nie zawali. Ale to samo mówił budowniczy. Na pewno nie było się czego obawiać. Burza minęła, Jair wstydził się swego zaniepokojenia.

Potem nastąpił cud, czy też coś, co wydawało się cudem — dotychczas nie miał on możliwości rozpatrzyć tego rzeczowo. Ten młodzieniec bez wątpienia był chory i kaleki. Doprawdy wcale nie czuł się dobrze, gdy odchodził, blady

i słaby. Czy rzeczywiście był przedtem bezwładny i chodzić nie mógł? No, gdzie szukać dowodu na to? Posępni goście z Jerozolimy, chociaż różnie można by nazwać ich niesłuszną wrogość wobec Cieśli, oczywiście mają prawo badać tę kwestię. W jakim stopniu on był sparaliżowany?

I jeszcze coś. Opowiadanie Cieśli o dziwnym Królestwie czekającym na wszystkich, którym przypuszczalnie może odpowiadać życie w krainie, gdzie nie ma burz, gdzie nikt

300

nigdy nie jest chory ani smutny, gdzie nikt nie posiada nic na własność, gdzie wszyscy są równi w obliczu Króla...

Chyba ta opowieść może uspokajać ludzi, którzy nigdy w życiu doczesnym nie posiadli majątku. Jair wolałby, żeby Jezus nie porywał się na takie opowiadania: każdy niech ma własne nadzieje i złudzenia, gdy myśli o świecie przyszłości. Zmartwiło Jaira to, że Jezus okazał się wizjonerem. Najwyraźniej wysiłki, żeby ujrzeć Niewidzialne, zamąciły Jezusowi wyobraźnię.

Jair odwrócił się od drzwi biblioteki i przez atrium wyszedł na stratowaną alejkę, wiodącą do ogrodu róż. Zaraz miał wrócić, zajmować



się dalej Jezusem, swoim gościem, nagle jednak zapragnął odpocząć pod gołym niebem. Już był gotów prosić Cieślę z Nazaretu, żeby został na wieczerzy i nocował, jeśli zechce — a przecież lepiej będzie zobaczyć, jak ten marzyciel, wyobrażający sobie przyszłe królestwo, odchodzi. Co on by robił z Jezusem, gdyby Jezus został?

O czym by rozmawiali? Czyż mają ze sobą cokolwiek wspólnego? Tak — obecność tego człowieka jest tutaj kłopotliwa.

Ogród różany ucierpiał w czasie burzy. Gdzieś tam krzewy się połamały, obwisły. Jair ruszył na przełaj ku uszkodzonej altanie, którą stary Abner, główny ogrodnik, doprowadzał teraz do porządku, wzmacniając kratę, odcinając złamane gałązki, przywiązując na nowo nie naruszone. Życie — rozmyślał Jair — jest właśnie czymś takim. Ulegamy nieszczęśliwym wypadkom, uszkodzeniom, ale przeważnie możemy podwiązać to, co zostaje,

1 spodziewać się, że znów zakwitnie, będzie wydawać owoce. Pomimo wszelkich szturchańców losu nasze życie na tym padole warte jest pracy i trosk, jakie są jego ceną. Bywają chwile strachu, chwile rozpacz i burz, ale też mamy swoje satysfakcje — konkretne satysfakcje, które możemy mieć tylko tutaj i teraz. Cóż za szaleństwo! Trawić dni na zadumie i wyczekiwaniu królestwa na tamtym świecie, gdzie zawsze będzie ładna pogoda! Jair wątpił, czy cieszyłaby go taka pewność jutra, nawet gdyby była osiągalna. Przyzwyczał się do niepewności, umiał sobie z nią radzić. Nie bardzo natomiast wierzył, czy

potrafi uporać się z pewnikami. Zapowiadana nieskończoność, nawet szczęścia, grozi człowiekowi sposobem życia, do którego nie został przygotowany. Znacznie dla nas lepiej — rozmyślał — zadowalać się tym, co każdy dzień przynosi. Niech Cieśla marzy o swoim pogodnym królestwie. Bardziej swojsko jest na świecie wśród szalejących burz.

Gdy powoli wracał do domu, przyszło mu na myśl, że powinien poważnie omówić z budowniczym sprawę stropu nad atrium. Nieopatrznością byłoby to zaniedbać.

Ciężkim krokiem i z jeszcze cięższym sercem Szymon przeczłapał błotnistą milę drogi do Kafarnaum. Był sam i czuł się osamotniony. Osobliwy dzień pełen podniecenia zakończył się bezbarwnie.

Wcześniej tego dnia Szymon ze zdumieniem i otuchą stwierdził, że potrafi oddawać Jezusowi usługi rzeczywiście przydatne. W trudnej chwili zapanował nad natarczywością tłumu, trzymał w ryzach to stado zmokniętych obdartusów i skutecznie wymagał należytego poszanowania niezwykłych przywilejów, jakich łaskawie im udzielił znakomity Jair.

Był zaskoczony ich ochoczym posłuszeństwem. Nie wrzeszczał, nie karmił ani nie prosił. Jak gdyby miał prawo kierować nimi, spokojnie rozkazywał, a oni wszyscy — młodzi i starzy — ulegali. W poważnych zdziwionych oczach tych, których znał od dawna, widział oszołomienie wobec jego władzy; niewątpliwie zastanawiali się, jaki dziwny czar sprawił, że ten nieokrzesany ogromny rybak stał się takim przywódcą — bo przecież wiedzieli, że wcale nie muszą być mu posłuszni.

Po raz pierwszy w życiu Szymon wydawał rozkazy tłumowi.

Dotychczas rządził tylko podwładnymi na swoich łodziach rybackich. Dzisiaj nagle odkrył coś, czego w sobie nie podejrzewał: zdolność do pozyskiwania zbiorowego szacunku i posłuchu. Gawiedź się tym zdumiewała, ale nie bardziej niż on sam.

Nawet Jair wyraził mu wdzięczność uśmiechem i przytaknięciem. A Józef, najstarszy sługa Jaira, powiedział z uszanowaniem:

302

— Nie rozumiem, jak ty to robisz. Mnie na pewno by tak nie słuchali.

Gdy stłoczony tłum w końcu znalazł się pod dachem, Szymon poczuł nie znaną sobie dumę. A więc to dlatego Jezus go wezwał... najwidoczniej odgadł, że natura obdarzyła go talentem potrzebnym do zawiadywania rzeszami. Nic dziwnego, że do niego zwrócił się o pomoc.

I później po owym nadzwyczajnym wydarzeniu, gdy deszcz ustał i nadeszła pora, żeby z domu usunąć kłopotliwych gości, Szymon znów nimi pokierował spokojnie, ale z pewnością siebie. Własne słowa jeszcze brzmiały mu w uszach na błotnistym dziedzińcu w Kafarnaum. Powiedział po prostu:

— Wychodzimy już.

I od razu wyszli składnie, bez żadnego zwlekania. Wyprawiwszy ostatnich, Szymon natknął się na Jakuba i Jana, którzy czekali na tarasie, nie wiedząc, co mają zrobić.

— Jezus jest z Jairem — wyjaśnił im. — Odpoczywa... Ja tu zaczekam. Niebo już czyste, myślę, że Andrzej wypłynie na połów przed wieczorem. Może byłby rad, gdybyście mu pomogli.

Bracia przytaknęli i pośpieszyli za odchodzącą rzeszą. Ci także usłuchali go pełni gotowości.

Podciągnął pas i przybierając pozę, w której można by go mylnie wziąć za pana tego domu, Szymon oparł się o jeden z marmurowych filarów. Z roztargnieniem patrzył, jak ludziska wytrwale wędrują pod górę. Ogarnęła go litość: tacy oszołomieni i bezradni. Oni są jak owce, mówi Jezus. Wyprostował się zadowolony.

— Owce — mruknął.

Gdy tak rozważał dużą i pochlebną dla niego różnicę pomiędzy ich sytuacją a swoją, zobaczył Józefa z zastępem służących, którzy nieśli ścierki, wiadra i motły.

- Czekam na Jezusa — wyjaśnił Józefowi niedbale. —  
Nie wiesz przypadkiem, jak długo jeszcze On tu zabawi?
- Nie wiem, panie — odrzekł Józef z szacunkiem.
- Postaraj się dowiedzieć.

Szymon powiedział to spokojnie, ale tak władczo, że zmieszany Józef po chwili wahania przyjął jego polecenie.

303

Wkrótce potem wrócił. Z niejakim zakłopotaniem powiedział, żeby Szymon nie czekał.

Odprawa raczej krótka i chłodna. Oczywiście Szymon nie miał prawa się spodziewać, że sam Jezus wyjdzie do niego i powie: „Nie czekaj, ja tu jeszcze zostanę”. Ani też nie było prawdopodobne, żeby z tą wiadomością zjawił się Jair. Schodząc ociężale z kamiennych stopni prowadzących z jednego tarasu na drugi, Szymon usiłował nie czuć się

dotknięty. Jezus jest bardzo znużony. Jair zajął się Nim jak trzeba. Może to dobra sposobność do zawarcia przyjaźni. Niemniej Szymon był upokorzony. Tak wydatnie pomagał, tak zręcznie opanował sytuację i oto odprawił go sługa. Poniżające!

Z oczami utkwionymi w błocie gościńca, wlokąc się krok za krokiem, Szymon rozpamiętywał swoje przeżycia z kilku ostatnich dni. Nie wszystkie były po jego myśli, nie wszystkie też rozumiał. Przede wszystkim to głębokie wzruszenie na brzegu jeziora o świcie, gdy Jezus położył mu ręce na pochylonej głowie i rozkazał pójść za sobą. To była wzniosła chwila! Ale dokąd Jezus go poprowadził? Nie do jakiegoś cichego zakątka, żeby z nim porozmawiać czy pouczyć go 6nowych powinnościach. Nie, w milczeniu wiódł go w stronę starej łodzi wydzierżawionej przez chłopaków Zebedeusza 7wskazał niemo, że on ma tam sprawę do załatwienia.

Pojednanie z Janem i Jakubem sprawiło mu chwilową przyjemność. Ale teraz zarumieniony z rozczarowania nagle uznał, że jeśli po oziębieniu stosunków należały się komuś przeprosiny, to właśnie jemu, i byłoby stosowniej, gdyby Jezus przysłał Jana do niego. Bo to Jan zawinił. Niezupełnie to sprawiedliwe, że on, Szymon, musiał pierwszy wyciągnąć rękę. Teraz to jasne — myślał rozżalony odprawą z domu Jaira.

I nazajutrz też. Zaprosił Jezusa na pokład swojej „Abi-gail” i zaproszenie zostało przyjęte. Był uszczęśliwiony. Wyobrażał sobie, jak Jezus się zdziwi, gdy zobaczy jego piękne łodzie. Może wtedy oceni ofiarę, jaką on złożył zgadzając się poświęcić nowej sprawie.

— Panie — powiedział Jezusowi — pokażę Ci najwspanialsze żaglowce na tym jeziorze.

Ale Jezus nagle się rozmyślił.

— Któregoś innego dnia, Szymonie — rzekł z roztargnieniem, tak jakby nie dbał o to, czy w ogóle kiedykolwiek je zobaczy.

Ponuro zamyślony Szymon przemaszerował przez Kafarnaum i odpowiadając tylko skinieniem głowy na pozdrowienia znajomych szedł dalej w kierunku Tyberiady. Jego łodzie, jak zobaczył, wypłynęły na jezioro. Był rad z tej decyzji Andrzeja i zarazem nierad. Może przy pracy minęłoby mu przygnębienie.

Zwolnił kroku, zatrzymał się. Z dumą patrzył na swoje dalekie już żaglowce. Są rzeczywiście piękne, pomimo że Jezus nie interesuje się nimi i nie spieszy, żeby je obejrzeć. Szarpnęło Szymonem tęskne wspomnienie beztroskich, radosnych, słonecznych dni na wodzie; żagle łomoczą w podmuchach kapryśnego wiatru, rozbrzmiewa żeglarska piosenka, mieszają się zapachy mokrych konopi, nagrzanej smoły, świeżej farby. Wzdychając głęboko, zastanowił się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie znów rzeczywiście szczęśliwy.

A może w domu znalazłoby się trochę pociechy? Hanna z pewnością powita go serdecznie. Na Hannę można liczyć zawsze. Ta kobieta potrafi okazać współczucie w sposób nie drażniący. Chyba nie będzie go wypytywała, dlaczego nie wracał do domu. Pogawędzi z nim mile i zaraz lżej mu się zrobi na sercu. Rozchmurzył się nieco.

Zastał Hannę przy frontowej furtce. Naprawiała złamaną kratę z pnączami róż.

— Szymonie! — wykrzyknęła. — To dopiero była burza!

To dopiero był dzień dla ciebie! Powinieneś być dumny!

Tkliwie położył jej na ramieniu swą dużą dłoń.

- Dumny? — zapytał. — Z czego?
- No, jak to... kierowałaś tym tłumem w domu Jaira!  
Nikt nie mówi o niczym innym! Sąsiedzi do mnie przychodzą! Dużo osób z sąsiedztwa tam było! Jak bardzo musisz być szczęśliwy, że tak dobrze pomagasz Jezusowi!  
Od ciebie chcę usłyszeć o Nim więcej!
- Co już wiesz o Nim, Hanno? Widziałaś Go?
- Tak, Szymonie. Wybrałam się na wieś, żeby Go

20 — Wielki Rybak

3°5

zobaczyć i usłyszeć. Już dawno bym to zrobiła, tylko lękałam się, że byłoby ci przykro. Estera chciała, żebym poszła. To naprawdę cudowny człowiek. Ruszyli wolno do domu.

- Chyba się zdziwiłaś — powiedział Szymon — że ja mam z Nim coś do czynienia.
- Owszem, zdziwiłam się.

Czekała na wyjaśnienie, jak doszło do tej przyjaźni, ale Szymon milczał, dopóki oboje nie usiedli. Patrzyła wyczekująco, oczy jej błyszczały.

Chociaż nie miał zamiaru zwierzyć się ze swoich ostatnich przeżyć, odruchowo zaczął opowiadać, jak musiał porzucić swoje uprzedzenia, przyznać dziwnemu młodemu człowiekowi z Nazaretu cudowną moc. Opowiedział Hannie o niewidomym dziecku. Opowiadał, jak Jezus powołał go w czas świtania na swego przyjaciela i pomocnika. To była wzruszająca opowieść. Gdy skończył, Hanna miała łzy w oczach. Oboje

długo milczeli.

- Ale... nie jest łatwo, Hanno — szepnął, potrząsając głową. — Iść za Jezusem nie jest łatwo.
- Powiedz, dlaczego? — poprosiła cicho.

Odwrócił wzrok od niej i powoli zwierzył się ze swych rozczarowań i upokorzeń. Właśnie — iść za Jezusem, powtórzył, nie jest łatwo. Odtworzył wydarzenia tego dnia w domu Jaira, uniesienie, jakie go ogarnęło, gdy zapanował nad zmokniętym, samolubnym, chciwym wrażeń tłumem; dziwne poczucie władzy i nagłą przerażającą odprawę, która sprawiła, że odszedł sam wlokąc się po błocie, do głębi świadom, że ostatecznie jest nikim!

W oczach Hanny błysnęło zrozumienie.

—Szymonie! — wykrzyknęła. — Czy nie przyszło ci na myśl, że Jezus może chce od ciebie jakiejś wielkiej usługi? Może cię przygotowuje do tego! Wiesz... tak, jak się ćwiczy żołnierzy, żeby potrafili wytrzymywać trudy i znoje... i byli posłuszni, nie pytali o nic! Dowódca daje im ciężkie rzeczy do dźwigania... i muszą daleko maszerować... i nigdy im nie mówi, dokąd maszerują ani po co!

Przez długą chwilę Szymon patrzył markotnie w okno, zanim spróbował odpowiedzieć:

306

- Byłbym szczęśliwszy, Hanno, gdybym w ogóle Go nie spotkał. Wystarczyło mi być... tylko rybakiem. Teraz nie wiem, kim... czym jestem!



- A może byś popłynął z Andrzejem na kilkudniowy połów... żeby zapomnieć!
- Nawet tego nie chcę! — burknął Szymon przygnębiony. — Z tym także cały kłopot, Hanno. Nawet moje łodzie nic już dla mnie nie znaczą... Jestem jeńcem tego człowieka! Nie wiem, co ze mną będzie.
- Jesteś zmęczony i głodny — łagodnie rzekła Hanna. — Przygotuję ci wieczerzę. Pod jesz, wypoczniesz i od razu poczujesz się lepiej. Chodź... przyniesiesz mi kilka jajek.

Pragnąc odprężenia Szymon ruszył za nią do kuchni. Wziął koszyk i miskę ziarna. W kurniku kury trzepotały się u jego stóp, dziobały to ziarno. Były śmiałe, niefrasobliwe. Ich świata nic nie mąciło. Szymon zazdrościł im.

Hanna z progu kuchni patrzyła na niego zamyślona. Intuicja jej mówiła, że spokojne, jednostajne życie z Szymonem pod wspólnym dachem kończy się. Wielki Rybak nigdy nie będzie taki, jak był dawniej.

## 12

Zważywszy niebezpieczeństwa, które zagrażały, a których przecież dało się uniknąć w czasie ryzykownej podróży z gór południowej Arabii nad Morze Galilejskie, młoda córka tetrarchy uważała, że odbyła tę wyprawę nadzwyczaj pomyślnie.

Chociaż nędznie potraktowali ją bogowie, napełniając jej żyły niemożliwym połączeniem krwi dwóch wzajemnie sobą gardzących narodów, i nie czuła się dobrze ani w jednym, ani w drugim kraju, to

jednak było jasne, że jej dążenie do zemsty nie zostało potępione na górze Olimp, gdzie (jeśli wierzyć Jonie) te bóstwa mają swoją siedzibę.

Co prawda brakowało samego dotrzymania przysięgi, ale Fara chyba mogła ufać, że bogowie, skoro już pobłogosławili

307

jej przygodę, nadal będą jej sprzyjać i udzielać pomocy. Choćby to się skończyło szybko i bardzo źle dla mnie, lepiej przedwcześnie umrzeć — myślała Fara — niż długo, długo żyć w świecie, który nie zatroszczył się o to, żebym była szczęśliwa.

Ale jakkolwiek wyrobiła w sobie stoicyzm, nauczyła się godzić z losem, bywały dni, gdy czuła, że odwaga ją opuszcza. Żeby temu zapobiec, szukała oparcia w braterstwie tych, których żywoty najeżone niebezpieczeństwami — przeważnie krótkie — stanowią przykłady walki w obronie godności. Tego właśnie dnia potrzebowała takiej podpory.

**Jak** dziecko zwinięta w kłębek w miękkim skórzanym fotelu, sporządzonym specjalnie ku wygodzie Antypasa, toteż o wiele za dużym dla jego córki, Fara usiłowała dodać sobie otuchy, czytając swego ulubionego pisarza. Jakże dzielny był Demostenes! Nie ugiął się pod żadnym brzemieniem, nie zatrzymywał się przed żadną przeszkodą. Przygotowując się do zuchwałego natarcia na zachłannych kupców i nikczemnych polityków, którzy doprowadzali do ubóstwa i deprawowali jego ukochane Ateny, on także ślubował. I także jak ona miewał niedobre dni. Czasami doznawał uczucia, że niepotrzebnie marnuje młodość, bo jego przedsięwzięcie jest beznadziejne. Tylko dzięki surowej dyscyplinie mógł trwać przy swoim postanowieniu.

Najbardziej podobała się Farze opowieść o tym, jak zgolił włosy z

jednej strony głowy, żeby nie ulec pokusie porzucenia nauki i towarzyszenia wesołym druhom w łaźni i w teatrze. Ona podobnie przecież obcięła warkocz. Uważała, że sporo ją łączy z młodym Demostenesem.

A jednak tego dnia po południu, gdy deszcz padał od rana nieprzerwanie, nawet Demostenes nie był pociechą dla Fary. Przeglądając stare papirusy, wychwalające jego męstwo, zastanawiała się, czy te słynne osiągnięcia nie kosztowały za dużo. To prawda, Demostenes poruszył Grecję, skłonił naród do hałaśliwych wysiłków w kierunku poprawy, ale źle czyniący przeżyli Demostenesa. Dotrzymał przysięgi, jednak za cenę życia. Fara zsunęła papirusy z kolan i zadała sobie pytanie: Co komu z tego przyszło? Może ona i Demos-

308

tenes to dwoje głupców, którzy zamiast tańczyć, wkroczyli w młodości na samotną wyboistą drogę, tam, gdzie w końcu musi czekać nieszczęście?

Popołudnie wolno mijało i w tej ponurej, wysoko sklepionej bibliotece, gdzie nigdy, nawet w słoneczne dni nie było jasno i wesoło, gęstniały cienie. Pozłacane zwoje papirusów na górnej półce w kącie błyszcząły jak oczy pytaniem, czy długo jeszcze Fara siedząc w tej przygniatającej ciszy, w tym upiornym półmroku zachowa zdrowe zmysły.

Wczoraj zaplanowała, że wyjdzie dziś z pałacu wczesnym rankiem i cały dzień spędzi z Hanną. Tęskniła do macierzyńskiej serdeczności tej kobiety. I może Hanna da się namówić i pójdą we dwie na wieś, żeby znów zobaczyć i usłyszeć Cieślę.

Nazajutrz po przeżyciu, jakim było dla niej słuchanie Jezusa po raz pierwszy, chodziła jak we śnie pod urokiem Jego kojącego głosu. Gdy

siedziała wśród ogromnej rzeszy, znieruchomiałej, chłonącej słowa Cieśli, stopniowo udzielił się jej Jego spokój, tak że odchodząc uniosła ze sobą tę nową własność. Później przez wiele godzin znaczenie miał dla niej tylko błogi nastrój ufności w namacalnym nieomal kręgu spokoju.

Ale ponieważ nigdy dotąd nie czuła się rzeczywiście szczęśliwa i beztroska, nie była teraz wolna od złych przeczuć i coś jej mówiło, że do takiej ulgi nie ma prawa. W dzieciństwie Fara wciąż się czymś martwiła — słabym zdrowiem matki, niegodziwością lekceważącego je obie ojca. A nad wszystkimi zgryzotami górowało uczucie, że nigdzie nie jest potrzebna. Mała Arabka, właściwie niezbyt mile widziana w Arabii, mała Żydówka zgoła nie pożądana na ziemi żydowskiej.

I oto czarem swego głosu Jezus rozładował jej napięcie, zdjął z niej brzemień. „Niech się nie trwoży serce twoje ani nie lęka” — powiedział zupełnie tak, jakby przemówił wprost do niej, w pełni rozumiejąc, co leży jej na skołatanym sercu.

Cóż, kiedy po jednym dniu tego szczególnego upojenia spokój z wolna ustąpił przed dawnym niepokojem. Fara

309

znowu dźwigała swój ciężar. I nie bolała nad utratą dziwnej pogody ducha — bo czyż Przeznaczenie nie zrządziło, by spadły na nią nie tylko pewne troski, ale i powinności, za których wypełnienie jest odpowiedzialna? Bardzo dobrze mieć serce radosne, jeśli się te kłopoty uczciwie przezwyciężyło. Czy spokój to cnota nabywana na drodze uchylania się od obowiązku? Co by się stało z Demostenesem, gdyby się zdecydował nie dopuszczać kłopotów do serca? Z pewnością wiele jest szczęśliwych ludzi, którzy mogą odpychać od siebie troski, ale Demostenes nie mógł

— i nie może ona. Chociaż wracając tamtego dnia po dziwnym doznaniu obecności Jezusa stwierdziła, że jakoś wcale ją nie obchodzi złożona przysięga; i tamtej nocy sztylet pięknie wypolerowany, z wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią, wydał jej się rzeczą wstrętną.

Tak to więc Fara z owego szczególnego spokoju zrezygnowała w imię powinności. Ale błagalny głos Cieśli jeszcze brzmiał w jej uszach i coraz bardziej pragnęła usłyszeć Go znowu. Raz po raz zastanawiała się nad tym dziwnym człowiekiem. Jest Żydem, mieszkańcem Galilei, rzemieślnikiem, a przecież te fakty — myślała Fara — niczego nie wyjaśniają. On wyraźnie żyje gdzieś poza nakazami i uwarunkowaniami swojej rasy, swojej narodowości. Ten świat nie jest Jego światem. Fara czuła się dziwnie spowinowacona z Jezusem — bo to również nie jest jej świat.

Rankiem, gdy się obudziła i zobaczyła, że deszcz pada, była rozczarowana i przygnębiona. Nawet niezawodna wesołość Klaudii nie poskutkowała.

— Sama zaniosę śniadanie temu pluskwojadowi — o-świadczyła Klaudia ochoczo. — Nieborak już i tak markotny, lepiej mu dziś oszczędzić widoku twojej miny.

Prędko przytaknąwszy Fara poszła do ponurej biblioteki, gdzie spędziła cały ten paskudny dzień, teraz już u schyłku.

Od wielu godzin w pałacu panowała cisza jak w grobowcu, toteż piskliwy głos Klaudii wyraźnie podnieconej sprawił, że Fara natychmiast ocknęła się z apatycznej zadumy. Poniżej krętych schodów Klaudia wołała coś niezrozumiale. Może wybuchł pożar? Fara podbiegła do drzwi i wpadła prosto w objęcia Woldiego.

Przez długą chwilę radość ich była zbyt ogromna, by mogli znaleźć słowa powitania. Zupełnie obezwładniona zdumieniem, Fara bezsilnie opierała się o Woldiego, wtulając twarz w fałdy jego burnusu. W końcu wydała ni to przeciągłe westchnienie, ni to zdławiony dziecięcy szloch i delikatnie pogłaskała go po policzku. Przyciągnął ją mocniej do siebie, tak blisko, że musiała stanąć na palcach. Wolno zarzuciła mu rękę na szyję i podniosła oczy wezbrane łzami. Pochylił się, pocałował ją w usta. Natychmiast zadrżała. Poczuł to z przyspieszonym biciem serca. Nie po raz pierwszy pocałował Farę, ale ona dotychczas nie całowała go nigdy. Przyjmowała jego pocałunki bez niechęci, ale biernie. Teraz sama go całowała. Łapczywie! Był upojony, wstrząśnięty, wprost dławiło go wzruszenie. Całowali się i całowali, aż drżąca, bez tchu zwiotczała w jego objęciach.

— Teraz jesteś moja, kochanie! — wyszeptał ochryple.

— Należymy do siebie... na zawsze!

Fara powoli przytaknęła. Głęboko poruszony jej całkowitym poddaniem uznał, że może od razu mówić o ich wspólnej przyszłości.

— Zapomnijmy o zemście, to zbyt niebezpieczne — powiedział, pieszcząc czubkami palców mocno skrecone kędziorki na jej czole. — Zabiorę cię do domu, najdroższa, i już nigdy się nie rozstaniemy.

Milczała, więc mówił cicho dalej. Nad jej bladą twarzą uniesioną ku niemu, nad jej przymkniętymi oczami. Opowiedział jej o swoim bólu, o udęcie niezmordowanego poszukiwania jej na szlakach górskich, o dniach samotności i bezsennych nocach, o karkołomnych zjazdach w głąb wąwozów i nawoływaniu bez końca...

— Ale znalazłem cię! Wrócimy w nasze piękne góry! Nic już nie może nas rozdzielić. Nic... dopóki żyjemy!

Nagle Fara ku jego zdumieniu, bo nigdy nie widział jej płaczącej, rozsłochała się niepoohamowanie, konwulsyjnie. Trzymając ją w objęciach czekał oniemiały, oszołomiony, aż ta burza minie. Szłochy zmieniły się stopniowo w ciche łkanie. Wreszcie Fara stanowczym ruchem wyprostowała się, otarła ostatnie łzy i wysunęła się z jego objęć.

— No... Woldi — powiedziała jeszcze niewyraźnie —

**311**

usiadźmy... porozmawiajmy spokojnie... jeśli zdołamy... a powinniśmy!

Ujęła go za rękę i poprowadziła do ogromnego skórzanego fotela, zapraszając gestem, żeby usiadł. Chciał wziąć ją na kolana, ale łagodnie oparła mu się. Przysunęła niski podnóżek i usiadła, kładąc mu na kolanach ręce. Przez chwilę milczała, gdy łzy znów popłynęły jej z oczu. W końcu odezwała się cicho, nieledwie szeptem:

- Woldi... najdroższy... ja nie mogę wrócić z tobą do Arabii. Nie, nie, ukochany — ciągnęła uparcie nie bacząc na jego protesty — musisz mnie wysłuchać! Woldi, gdybym kochała cię bodaj trochę mniej, niż cię kocham, może bym usłuchała mojego samolubnego serca... i ciebie. Naprawdę niełatwo mi złożyć taką ofiarę. Rozumiesz... nie jesteś zwykłym pasterzem, wolnym od zobowiązań. Jesteś jednym z wyróżnionych synów Arabii, zostaniesz doradcą króla... jeśli nie obarczysz się mną.
- Chętnie zrzeknę się wszystkiego dla ciebie! — przerwał

Woldi gorąco. — Nic nie ma znaczenia... tylko ty!

- O to właśnie chodzi, kochany! — ciągnęła Fara. — Dla mnie zrzekłbyś się godności i obowiązków. Myślisz, że byłabym kiedykolwiek szczęśliwa, wiedząc, że przeze mnie nie możesz służyć królowi i ojczyźnie?

I gdy Woldi szeptał niecierpliwie, że droższa mu jej miłość niż wszelkie godności z nadania króla, Fara ostrzegła:

- Tak ci się może wydawać teraz... ale kiedyś byśmy pojęli, że cena naszej miłości była zbyt wysoka... Woldi, pomyśl o rodzicach, jesteś ich chlubą!
- Oni by zrozumieli.
- Może staraliby się zrozumieć, ale zawsze czuliby żal... A ten mądry, szlachetny doradca Miszma! Jakież on pokłada nadzieje w tobie! I byłaby jeszcze jedna bardzo trudna sprawa. — Fara zniżyła głos. — Mie libyśmy dzieci.
- To przecież cudownie, Faro! — wykrzyknął Woldi.
- Tak, kochany, cudownie... ale nie dla nich. One szybko by pojęły, że... czymś różnią się od innych dzieci... znów przeze mnie! Woldi... może by nawet znieawidziły mnie za swoją niedolę!

312

Dosyć długo siedzieli w milczeniu. Woldi szukał odpowiedzi na argumenty Fary. W końcu powiedział:

— Dobrze więc. Nie wrócimy do Arabii. Osiedlimy się



gdzie indziej. W Rzymie.

Fara potrzęsnęła głową i westchnęła.

— Mój drogi, przecież wiesz, że byłbyś tam nieszczęśliwy — powiedziała. — Nie cierpisz dużych miast, tak samo jak ja. Bylibyśmy jak na wygnaniu: my i nasze dzieci... ludzie bez ojczyzny.

W tym momencie przyszła Klaudia. Wieczera gotowa, oznajmiła. Czy oni zejdą na dół, czy też podać tutaj? Fara wybąkała słowa podzięk. Zaraz zejdą — powiedziała. Klaudia widząc, że przeszkadza, odeszła.

- Przykro mi, kochanie — mruknął Woldi — ale ja nie będę jadł chleba tego łotra!
- To jest dom mojego ojca — powiedziała Fara. — Chyba jego córka ma prawo ugościć przyjaciela.

Woldi spojrzał jej w oczy szukając iskierki drwiny, zobaczył jednak powagę i szczerłość. Nedorzeczność sytuacji rozbawiła go, parsknął śmiechem.

- Cóż w tym takiego śmiesznego? — zapytała Fara.
- Przybyłaś tutaj, żeby ojca zabić, czyż nie?
- Tak... ale jeszcze nie zabiłam. — Chociaż ton Fary nadal był poważny, na jej ustach zadrgał uśmiezek.
- A zatem, póki się nie nadarzy okazja po temu — Woldi uśmiechnął się — uważasz, że wolno ci rozciągać jego gościnność na twoich gości! Wiesz, to bardzo zabawne!

Wstała i ujęła go za rękę.

— Cieszę się, kochanie, słysząc twój śmiech — powiedziała — pomimo że śmiejesz się ze mnie. Chodź, zoba

czy, co Klaudia nam przygotowała. Hm... czy robiła do ciebie oko, gdy przyjechałeś?

— Tak, trochę — przyznał Woldi.

Ruszyli ramię w ramię ku schodom.

— Byleby ci się nie przewróciło w głowie — rzekła Fara przeciągle. — Nasza Klaudia jest przymilna jak zabłocony pies i niezbyt wybredna w doborze przyjaciół.

Oboje parsknęli śmiechem. To rozładowało ich napięcie.

313

Nazajutrz dzień wstał słoneczny, ale chłodny. Nadchodziła dwumiesięczna zima, ponury okres zacinającego wiatru i lodowatych deszczów, gdy ludzie najlepiej czuli się w czterech ścianach. Mógł to być ostatni dzień jesieni.

Z łaskawą pomocą Lizjasza Fara namówiła Woldiego, by został w pałacu na noc. Powiedziała zarządcy, że Woldi przyjechał z Petry; studiuje klasyków, chciał zobaczyć słynny księgozbiór. Ponieważ tego przystojnego młodzieńca skierował do pałacu tak znakomity obywatel jak Dawid, Lizjaszowi to wystarczyło. Każdy z Petry mógł liczyć na gościnność tetrarchy. Piękny, rasowy Darik znalazł się w stajni należycie oporzędzony, podziwiany.

Po wczesnym śniadaniu Fara i Woldi omawiali w bibliotece swoją sytuację. Szybko stało się jasne, że dziewczyna nie ustąpi i nie wróci do Arabii. Nie ma zamiaru, powiedziała, zniszczyć życia Woldiemu i ściągnąć nie kończące się upokorzenia na siebie, zostając jego żoną i matką jego dzieci. Przyznała, że istotnie to nie jej wina, ta obca krew w

jej żyłach, jest to jednak coś, czego należy zaoszczędzić potomnym jeszcze nie narodzonym. Krótko mówiąc, Fara już powzięła bezapelacyjną decyzję.

— Pozwól mi poczekać jakiś czas i dobrze to sobie przemyśl — błagał Woldi. Gdy Fara wykazała, że nie mógłby mieszkać ani w Tyberiadzie, ani w Kafarnaum, ani w Betsaidzie, powiedział: — Wrócę do Cezarei i zabawię tam jeszcze kilka tygodni. Potem chciałbym przyjechać tu znowu, zobaczyć się z tobą.

Usiłowała go przekonać, że to byłoby tylko posypywanie jej ran solą i doprawdy dla obojga lepiej, żeby odjechał, zajął się innymi sprawami, ale błagał ją żarliwie, więc ostatecznie zgodziła się na jego przyjazd wiosną. Widząc, że przecież jest zadowolona ze swego ustępstwa, zaczął ją całować. Potrząsnęła skromnie głową, ale nie broniła się, tylko szepnęła bezradnie, że nie powinni...

W końcu niechętnie wyzwoliła się z jego objęć. Woldi ruszył za nią. Delikatnie objął ją ramieniem.

— Wyjdźmy w blask słońca — powiedziała. — Przejdźmy się. — Oczy jej zajaśniały na radosną myśl. — Odwiedzimy Hanne!

314

Woldi zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy nie będzie nieroztropnością zdradzić w ten sposób arabskie pochodzenie Fary. Hanna mogłaby mimo woli wygadać to sąsiadce, po czym Fara byłaby narażona na domysły ciekawych. Jak się to dzieje, że młodą Żydówkę odwiedza jakiś jej przyjaciel z Arabii? Głośno wyraził swój niepokój.

- Hanna nic nie powie — zapewniła Fara — zachowa mój sekret tak samo jak Dawid, a ty sam mówiłeś, że jemu można w pełni zaufać.
- Ten saduceusz to co innego — powiedział Woldi. — On wie, kim jesteś... i dlaczego tu przybyłaś. Twoja przyjaciółka Hanna nie wie. Skoro uważasz ją za godną zaufania, wyznaj jej wszystko.

— Jeśli przyrzeknę, że to zrobię, czy pójdziesz ze mną?

Bez pośpiechu powędrowali krętą aleją wjazdową. Woldi prowadził Darika, który szarpał i potrząsał łbem niecierpliwie, bo nie lubił ani być prowadzony, ani ukrywać swego rozdrażnienia. Wkrótce wyszli z okazałej bramy na szeroki gościniec i przyłączyli się do ludzi licznie podążających na południe.

- Dokąd oni idą? — chciał wiedzieć Woldi. — Wszyscy w jedną stronę. Czy dziś jest jakiś jarmark, czy święto? Nikt jednak nie wydaje się szczególnie wesoły.
- Żydzi nigdy nie są weseli — zauważyła Fara wymijająco.
- Chyba to prawda — zgodził się Woldi. — Poważny naród. Ale ci tutaj wydają się zafrasowani, przerażeni! Może stało się jakieś nieszczęście? Zapytajmy.

Przez chwilę patrzyła na niego niepewnie, jak gdyby się wahała, czy mu to wyjaśnić, ale milczała ku jeszcze większemu jego zdumieniu.

- Bardzo dużo kalek jest w tym kraju — zauważył. — Tam znów kobieta prowadzi niewidomego. — Zeszli na bok, żeby przepuścić dwóch mężczyzn niosących młodzieńca

dziewczynę.

- Co to wszystko znaczy, Faro? — pytał natarczywie.
- Oni idą na wieś, niedaleko od Betsaidy — powiedziała Fara. — Pewien wiejski Cieśla przemawia tam prawie co

315

dzień do wielkich tłumów. Wywołuje ogromne wrażenie. Podobno uzdrawia z chorób.

- Cieśla! — wykrzyknął Woldi. — Człowiek z Nazaretu?
- Więc słyszałeś o Nim? — Fara badawczo spojrzała mu w oczy.
- Zaiste, tak! Przez całą drogę! Mówią o Nim aż w Cezarei! To dziwne, że nie próbowałaś Go zobaczyć... chociaż taka jesteś ciekawa proroków.

Woldi uśmiechnął się do Fary przekornie: czyż nie utraciła cennego konia, bo zanadto się zainteresowała jakimś wędrownym kaznodzieją? Fara odpowiedziała na drwinę lekkim uśmiechem, zaraz jednak spoważniała mówiąc, że widziała i słyszała Cieślę. Woldi zwolnił kroku. Ujął ją pod łokieć, przyciągnął do siebie bliżej.

- Ale dlaczego robisz z tego tajemnicę? — zapytał. — Przecież wstydzic się nie ma czego. Nie chciałaś, żebym wiedział?
- Wolałam nie wspominać ci o tym, Woldi — wyznała. — Wiem, jak odnosisz się do czarów... i cudów... i do głupoty przesądnych ludzi, którzy wierzą w takie rzeczy... nie chciałam, żebyś pomyślał, że zwariowałam.

- Wyraźnie jesteś pod wrażeniem tego człowieka. Wi działaś, jak czynił coś niezwykłego?
- Jeżeli chcesz, możemy pójść i zobaczyć Go — za proponowała Fara. — Może Hanna pójdzie z nami. Będziesz mógł sam osądzić.
- Wolisz o Nim nie opowiadać... dopóki Go nie zobaczę?
- Powiem ci tylko, Woldi — odrzekła z namysłem — że On ma głos jak nikt inny na świecie. I tego, co On mówi, jeszcze nie mówił nikt... w taki sposób... nigdy dotąd. Nie karci, nie potępia, nie grozi... spokojnie bierze słuchaczy w posiadanie. Sam zobaczysz, kochany... To człowiek nie z tego świata. — Zniżając głos do cichego szeptu dodała: — On jest nie stąd.

Niewiele było do powiedzenia na dziwne oświadczenie Fary. Woldi patrzył w jej oczy ze szczerym niepokojem.

—Zastanawiam się — mruknął — czy ty wiesz, co mówisz. Chyba nie myślisz, że ten Cieśła jest jakimś bogiem?

316

— Nie wiadomo — rzekła wymijająco po długiej chwili.

— Nie zdziwiłabym się, gdyby to była prawda...

Na północnym skraju Betsaidy skręcili z ruchliwego gościńca w cichą, zaśmieconą liśćmi uliczkę. Fara wskazała domek Hanny i powiedziała, że Hanna mieszka z rybakami, Szymonem i Andrzejem.

— Tych braci teraz nie będzie. A chciałabym, żebyś

mógł poznać Szymona. Jest właścicielem trzech żaglowców i to naprawdę olbrzym. Nie ma żadnego wykształcenia i zna się tylko na rybołówstwie, ale na pierwszy rzut oka wiadomo, że gdyby miał jakieś możliwości, mógłby być kimś znacznym.

Przed domkiem Woldi zatrzymał się przy furtce. Niech Fara najpierw zapyta, czy jej przyjaciółka gotowa jest ich przyjąć.

Nie było odpowiedzi, gdy Fara zastukała do drzwi frontowych. Stała więc w sionce i zawołała wesoło. Słaby głos odezwał się, żeby weszła. Hanna, całkowicie ubrana, leżała na posłaniu. Usiłowała powitać Farę uśmiechem.

- Hanno! — wykrzyknęła dziewczyna. — Jesteś chora?
- Nic mi nie dolega, Estero — zaprotestowała Hanna niepewnie. — Jestem bardzo zmęczona, nic poza tym. — Spróbowała usiąść, ale opadła z powrotem na poduszki. Szare jej oczy były zamglone, policzki płonęły, żyłki pulsowały na skroni. — Pomóż mi — wymamrotała ochryple. — Może zdołam podnieść się teraz. — Uczyniła znów daremny wysiłek, a potem już bez protestu posłuszna Farze leżała nieruchomo.

Czas dłużył się Woldiemu, a także Darikowi, którego niespokojne brykanie sprawiło, że z pobliskich domów przyglądali im się sąsiedzi. Wreszcie Fara wróciła do furtki. Hanna jest chora, powiedziała zaniepokojona, chyba ciężko chora. Woldi powinien zaraz wezwać lekarza, starego Gerszona, on mieszka tuż przy synagodze.

— Znajdę tego lekarza i przyślę go tutaj, a sam już

odjadę — powiedział Woldi. — Nie ma tu dla mnie nic do roboty. Ty przecież będziesz musiała zajmować się Hanną. Zwlekaniem tylko bym sprawił kłopot twoim przyjaciółom... i tobie.

317

Fara z żalem, ale i z ulgą przytaknęła niemo. Woldi obiecując powrócić, gdy zakwitną kwiaty wiosną, wskoczył na siodło. Darik, jak gdyby już spóźniony na jakieś ważne spotkanie, przygryzł wędzidło i pogalopował. Dopiero na rogu ulicy Woldi mógł pomachać Farze ręką na pożegnanie. Nie był to dobry sposób rozstania — czyż jednak mógł być jakiś lepszy? Im szybciej się odjeżdża, tym mniej dotkliwy jest ból rozłąki.

Trafić do domu lekarza było dosyć łatwo. Małomówny białobrody Gerszon sztywno, wyniośle przyjął młodego Araba, ale gdy usłyszał, o co chodzi, dźwignął się z fotela, pośpiesznie napchał starą skórzaną torbę niezbędnymi przyborami i ruszył do Hanny. Nawet nie obejrzał się za siebie. Woldi odprowadził go wzrokiem aż do rogu ulicy.

Gościniec wydawał się jeszcze bardziej niż przedtem zatłoczony bezładnym pochodem sunącym na południe. Gapiów prawie nie było. To ciekawe — pomyślał Woldi. — Wszelkie parady i pochody nawet niezbyt znaczne przyciągają zazwyczaj gawieź, choćby tylko zatrzymujących się tu i ówdzie wałkoniów. Tymczasem tutaj na głównym gościńcu do Betsaidy nie ma prawie nikogo, gdy przechodzi tak duży tłum. Odważył się zapytać zgarbionego, pomarszczonego, bezzębego starowinę, który stał przy gościńcu i patrzył ponuro.

—Gdzie są wszyscy?



Chociaż podniósł głos, stary przyłożył do ucha stuloną dłoń, żeby lepiej słyszeć. Odpowiedział gniewnie:

—Tam! — wskazał ruchem głowy. — Cała Betsaida tam jest i słucha bluźniercy z Nazaretu, z tego siedliska złodziei, z którego nic dobrego nie wyszło! — Splunął wzgardliwie, ale niezręcznie, otarł płwocinę z brody wie rzchem rozdygotanej ręki, a następnie tę rękę o spłowiałą szatę. — Śmieję się, Arabie, skoro widzisz, jak Izrael odrzeka się swego dziedzictwa! Ten dzień dzisiejszy powinien być dniem radości w namiotach Izmaela! Biada Betsaidzie! Nawet nasz rabbi Elimelech przyłączył się do tych odstępców!

Woldi nie przejął się jego tyradą.

—Daleko oni idą? — zawołał.

318

- Idą na zatracenie! — wrzasną! stary.
- Ale ja pytam, czy daleko... jedną milę czy pięć?
- Jedną niecałą. Pojedź tam, pojedź. W sam raz miejsce dla ciebie, Izmaelito. Potem będziesz mógł na tym pięknym rumaku wrócić do Arabii i powiedzieć, żeś widział, jak dom Izraela się wali! — Z gniewnych starczych oczu spłynęły łzy.

Trudno było podtrzymać tę rozmowę. Woldi uklonił się więc z szacunkiem raczej dla wieku niż dla poglądów starszaka, dosiadł konia i skrajem gościńca podążył za tłumem, przy czym Darik chyba widział, że teraz na żadne głupstwa nie może sobie pozwalać.

To było coś zupełnie innego niż pielgrzymki, jakie Woldi kiedykolwiek widział. Jak wezbrana rzeka, z wartkimi prądami żłobiącymi jej główny nurt i z niemrawymi wirami wdzierającymi się w zarośla na jej brzegach, ciżba parła naprzód z cichym, znojnym, rozpaczliwym pośpiechem. Niezgrabne, domowego wyrobu kule chromych wbijały się w luźny żwir, powykręcane nogi, wykrzywione stopy wlokły się w kurzu. Na wózkach i taczkach wieziono cherlawych, ludzi starych, wychudzonych, blade, tępoogie dzieci, na noszach leżeli bezradni chorzy z zapadniętymi oczami, zamkniętymi przed jaskrawym blaskiem słońca wśród kamiennie obojętnych spojrzeń mijającego ich motłochu. Bo

8wiele szybciej, niż posuwali się z trudem ci nieszczęśnicy,  
9o wiele liczniejsi od nich szli, popychając się i szturchając,  
ludzie zdrowi, najwyraźniej pragnący zaspokoić swoją  
ciekawość. Było to bardzo przykre widowisko — tyle  
człowieczej niedoli potracanej przez niedbałych bliźnich,  
których zachowanie się aż nadto przypominało pęd spło  
szonego bydła.

Przyspieszano teraz kroku. Kto zwinniejszy, ledwie doszedł do miejsca, gdzie jego bezwzględni poprzednicy zwalili kamienny murek, puszczał się biegiem przez stratowane rżysko. Darik z łatwością przeskoczył ocalałą część murku. Woldi jednak zamiast na rżysko skierował go ku starym zabudowaniom gospodarskim. Na podwórzu przed stajnią krępy, szpakowaty, niemłody mężczyzna natychmiast się zainteresował połyskliwym arabskim wierzchowcem.

- Zdaje się, że lubisz konie — stwierdził Woldi przy

jaźnie.

- Nie bardzo znam się na nich — odpowiedział wieśniak. — Nigdy konia nie miałem. Takiego wspaniałego jak ten widzę pierwszy raz w życiu.

- Czy zechciałbyś go wziąć na krótki czas pod opiekę?

— Woldi zsiadł z Darika, który podrzucił łbem i chrapnął.

- Jest narowisty? — zapytał wieśniak z wahaniem.
- Przy bliższym poznaniu potulny jak kociak. Macie tu pszczoły? Wystarczy dać mu kawałek plastra miodu, a będzie serdecznym przyjacielem... Oczywiście ja zapłacę.
- Idziesz posłuchać Cieśli?
- Taki mam zamiar. Jak wszyscy. Trzeba zobaczyć, co się dzieje. Jakaś nowa nauka, co?
- Ja Go nie słyszałem — przyznał wieśniak. — Siedzę w moim obejściu i pilnuję, żeby te łobuzy mi czegoś nie zabrały. Jeśli to jest nowa nauka, nie stają się przez nią lepsi. Wszystko po drodze tratuja.

- Mógłbyś ich zaskarżyć o wchodzenie na twoje grunty

— poradził Woldi.

- Chyba tak, ale przez to Cieśla miałby kłopoty. On tu wstąpił w zeszłym tygodniu, żeby napić się wody.
- I odniosłeś dobre wrażenie?
- Wprowadź swego konia do zagrody — powiedział wieśniak puszczając mimo uszu pytanie Woldiego. — Mam dać mu miskę ziarna?
- Och, nie. Wkrótce wracam.

- Nie byłbym tego zbyt pewny. — Wieśniak zaśmiał się rubasznie. — Jeśli On zacznie uzdrawiać, może zechcesz zabawić tam dłużej.
- Czy to znaczy, że... ten człowiek rzeczywiście uzdrawia chorych?
- No, mój syn, teraz chłopiec czternastoletni... był głuchy jak pień, odkąd chorował na czerwoną gorączkę, gdy miał dziewięć lat. Pokazałem mu na migi, żeby wyciągnął wiadro ze studni i przyniósł wody do picia temu obcemu. Cieśla wziął kubek z wodą i powiedział: „Dziękuję ci, synu”, a Jakub to usłyszał. Szkoda, żeś nie widział, jak wybałuszył wtedy oczy!
- I... teraz słyszy?

320

— Nie gorzej niż ty! Lepiej niż ja! Też tam poleciał, słucha, co mówi Cieśla. Lubi o tym opowiadać, gdy sąsiedzi go pytają. — Wieśniak roześmiał się dobrodusznie. — Teraz niewiele pożytku mam z niego w gospodarstwie. A przedtem ten chłopiec nieźle mi pomagał. Zresztą nikomu się nie chce pracować, odkąd Cieśla pokazał się w naszych stronach. Albo wylegają na łąki i słuchają, co On mówi, albo siedzą w domach i omawiają to, co słyszeli. Podobno właściciele dużych majątków nie mogą sobie poradzić ze swymi robotnikami. Mnóstwo plonów wciąż jeszcze nie zebranych... Będzie też mnóstwo pustych brzuchów w zimie.

W Cezarei Woldi zamieszkał w tym zbyt kownym nowym zajezdzie, gdzie od razu go sobie przypomniano i powitano życzliwie. Dowiedział się, że jeden ze statków cesarskich po wyładunku żelaza i innych materiałów

budowlanych ma nazajutrz odpłynąć do Rzymu, nie zabierając żadnych towarów, żeby tam dotrzeć jak najszybciej. Postarał się dostać do kapitana i poprosił o przekazanie listu Menc-juszowi. Kapitan, stary znajomy prokonsula, chętnie się zgodził. Woldi skończył pisać ten list o północy.

Odnalazł Farę (napisał), która pracuje teraz w pałacu tetrarchy — czy Mencjusz w to uwierzy? Spotkanie ich było czułe, ale przyniosło rozczarowanie. Fara stanowczo chce dotrzymać swojej przysięgi. Przedsięwzięcie niewykonalne, a nawet gdyby jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności jednak się udało, to tylko za cenę jej życia. Woldi zrobił wszystko, co mógł, żeby Farę odwieść od tego i żeby zgodziła się pojechać z nim do Arabii; ale na nic wszystkie jego błagania i argumenty... zamierza odwiedzić ją znowu za kilka tygodni i jeszcze spróbować.

Gdy już złożył sprawozdanie ze swego spotkania z Farą, poruszył inną sprawę, ogromnie, jak przypuszczał, interesującą Mencjusza.

*Wczoraj widziałem tego nazareńskiego Cieślę i Jego poczynania. Mówiono, że było tam ponad trzy tysiące osób. Tłum zgromadził się na otwartej łące. Wielu niewidomych*

21—Wielki Rybak

321

*odzyskało wzrok i tak cieszyło się swoim szczęściem, że nie sposób było nie wierzyć w prawdziwość ich uzdrowienia.*

*Później tych szczęśliwców otoczyli zdumieni sąsiedzi i przyjaciele, którzy dawali wyraz swemu zdziwieniu z pewnością szczerze. Jeden z uzdrowionych, człowiek trzydziestoletni, wyraźnie się zirytował, gdy go*

wypytywano. Skrybowie i młodzi kapłani zagrodzili mu drogę i jeli go wypytywać. Jego dosyć starzy rodzice byli zakłopotani, a nawet przerażeni podejrzliwością owych niedowiarków. Gdy syn uparcie milczał, sami musieli odpowiadać na pytania, jak to się stało. Odpowiadali ostrożnie: „My nie wiemy, nasz syn jest pełnoletni, pytajcie jego”. Wtedy kapłani wznowili atak na młodego człowieka. Usiłował zbyć ich. Aż w końcu wykrzyknął rozpaczliwie: „Nie wiem, jak On to uczynił! Wiem tylko, że byłem ślepy, a teraz widzę!... Żle się dzieje na tym niegodziwym świecie, gdy ci, co rządzą, potępiają obywatela ślepego od urodzenia za to, że przyjął dar wzroku”.

Moje własne zdanie o tym tajemniczym Nazareńczyku trudno mi sformułować. W pierwszej chwili trochę mnie rozczarował. Nie wygląda na bohatera. Zacząłem się zastanawiać, jak On by wyglądał na koniu; prawdopodobnie niezbyt okazale. Myślę wszelako, że mój Darik spokojnie by Mu pozwolił się dosiąść, a taką grzeczność nieczęsto robi swojemu właścicielowi. Ten człowiek ma zniewalający głos. Nie zdołałbym opisać tego głosu ani jego oddziaływania. W każdym razie jednoczy, zmienia wielki tłum nieufnych wobec siebie nawzajem ludzi w zwartą gromadę krewnych.

To, co Jezus czynił wczoraj, jeśli nie było cudami, wymaga szczegółowego wyjaśnienia. A przecież nie tyle czyny Jezusa, ile Jego słowa wzbudziły we mnie chęć pisania Ci o Nim.

Gdy już obdarzył wzrokiem kilkunastu niewidomych, powiedział, że cała ludność ziemi kroczy po omacku w ciemnościach, czy to król, czy wieśniak, czy filozof, czy głupiec. I że On właśnie został zesłany, żeby ślepcy przejrzeni. „Ja jestem światłość” — powiedział i dość to dziwne, ale nikt nie śmiał się ani nie szydził.

*Naturalnie takie twierdzenie może się wydawać chępliwością fanatycznego pomyłeńca; gdybym nie słyszał tego na własne uszy, gdyby ktoś napisał mi o tym w liście, dziwiłbym się, że ów ktoś traktuje poważnie bzdury.*

322

*Przyznaję, byłem zdumiony, gdy Cieśla popełnił to zuchwalstwo, ale nagle mi się przypomniało, jak mówiłeś kiedyś o swojej wierze w „Tego, który niesie pochodnię”.*

*Wspomnienie Twoich uwag na ten temat poruszyło mnie jeszcze bardziej, gdy Cieśla dodał, że światłość, jaką On niesie, ogarnie tych, którzy w Niego uwierzą; oni również będą wędrowcom zbłąkanym w ciemnościach wskazywać drogę jak miasto na szczycie wzgórza rzeńsiście oświetlone.*

*Każdy, kto ma lampę swoją zapaloną od pochodni Nazareń-czyka, powinien dbać, by jaśniała. Nie może jej ukrywać w ciasnym kącie do swego wyłącznego użytku. Bo lampa jest własnością tego, kto ją trzyma, ale jej światło należy do ludzkości!... Mam nadzieję, że należycie streściłem przemówienie Cieśli. Szkoda, że Ciebie tam nie było, Mencjuszu. Ty byś to sobie cenił i rozumiał.*

*Wątpię, czy uczeni, politycy i kapłani pozwolą Jezusowi długo prowadzić taką działalność. On przyciąga całą prowincję. Zamożni obywatele skarżą się, że ich Itldzie, zamiast pracować na roli i w winnicach, są nieobecni całymi dniami, zaniedbują swoje powinności. Wkrótce władze pojną Jezusa jako mąciciela spokoju — czym oczywiście jest — i będzie miał szczęście, jeśli skazą Go tylko na długie lata więzienia. Może On być, jak mówi, światłością, ale świat chyba nie chce światłości. Pragnąłbym wiedzieć, co myślisz o tym.*

*Pozostanę w Cezarei przez zimę. I wiosną pojedę znowu — bez dużej nadziei, przyznaję — do Tyberiady na dalsze rozmowy z Farą. Jeśli Fara nadal nie będzie chciała wrócić do Arabii, sam zapewne tam nie wrócę. Serdecznie wspominam Twoją łaskawość...*

## 13

Teraz, gdy słoty uniemożliwiły, zgromadzenia pod gołym niebem, Jezus dostał wygodne mieszkanie w dobrze utrzymanym domku, będącym spuścizną po Jonie i Racheli.

To była propozycja Andrzeja. Małe przytulne domostwo

323

w Kafarnaum, chociaż należało do obu synów Jony, pozostawało pod szczególną pieczę starszego, ponieważ Szymon zajmował się przede wszystkim swoimi łodziami; zresztą Andrzej zachował pogodniejsze wspomnienia z dzieciństwa.

W głębi duszy Andrzej zgadzał się ze swoim zapobiegliwym bratem, że ich zacny stary rodzic zbyt dużo czasu poświęcał synagodze, wołał jednak przesadną pobożność ojca niż hałaśliwe niedowiarstwo Szymona.

Przez dwa lata po śmierci rodziców, gdy Abigail, urocza, wątła Szymonowa żona, jeszcze żyła, Andrzej mieszkał sam w rodzicielskim domku. Gdy Abigail umarła, przeniósł się na naleganie Szymona do domu Hanny w Betsaidzie, ale nie przestał dbać o dom w Kafarnaum; bywał tam jeśli nie codziennie, to co parę dni, doglądał kwiatów matki, odkurzał skromne, ale ukochane sprzęty.

Nieraz przychodzili ludzie, którzy chcieli kupić bądź wydzierżawić tę



posiadłość. Szymon uznał, że rozsądek nakazuje przyjąć taką propozycję, i wielkodusznie zrzekł się wszelkich wpływów ze sprzedaży czy dzierżawy na rzecz swego mniej zamożnego brata, Andrzej jednak nie chciał, żeby dom przeszedł w ręce obcych.

Ogólne podniecenie wywołane przez Cieślę z Nazaretu nie poruszyło go zbyt. Raczej nieufnie odnosił się do nowych idei. Stare pojęcia bez wątpienia miały swoje niedoskonałości, ale nowe na ogół przemijały rychło. Od czasu do czasu odszczepiericy tu i ówdzie wywoływali zamęt, w wyniku którego starzy przyjaciele skakali sobie do oczu, ale ogień sporów im był większy, tym szybciej się wypalał, i wszystko dalej toczyło się tak samo jak przedtem. Co prawda, krążące opowieści o Jezusie budziły zdumienie, konserwatywny Andrzej jednak nie wątpił, że wkrótce cała ta sprawa przeminie. Cieśla zostanie uciszony, a ci, którzy szli za Nim, rozczarują się i wrócą do wypełniania swoich porzuconych obowiązków.

Nawet gdy już wszyscy wiedzieli, że Szymon — kto jak kto, ale właśnie on! — poważnie zainteresował się Cieślą, Andrzej milcząc trwał w przekonaniu, że ta wrzawa jest wariactwem, i trzymał się na uboczu. Skrycie był rozbawiony i wcale się nie dziwił, że brat w jego obecności

324

gniewnie unika rozmowy na ten temat. Mógł to zrozumieć. Szymon dotychczas wyrażał się źle o Nazareńczyku, urzeczonymi „byle czym” półgłówkami gardził, oczywiście więc czuł się teraz głupio. Tak jest — myślał Andrzej — wypowiada się przyprawione zbyt ostro słowa potępienia, a palą one w gardle, gdy trzeba później je przełykać. Medytując nad tym uśmiechał się. Nie zadawał żadnych pytań, nie czynił

uwag, tylko czekał na nieunikniony upadek nowego ruchu.

Ale gdy kiedyś wieczorem Szymon przyprowadził Jezusa do domu na wieczerzę i nocny spoczynek, Andrzej pojął, że znalazł się w obliczu człowieka niezwykłego. Chociaż nigdy nie podróżował dalej niż w okolice odległe o dzień drogi od Betsaidy i nie znał nikogo spoza Galilei, to przecież, siedząc przy stole naprzeciw Cieśli, czuł pewność, że drugiego takiego człowieka nie ma nigdzie na świecie.

Hanna, zakłopotana niespodziewanymi odwiedzinami Jezusa w porze wieczerzy, rumieniła się i przeproszała wylewnie za skromność swego biednego domku, który wbrew jej oświadczeniu wcale nie był zaniedbany, i za niedostatek posiłku, który w istocie był bardzo obfity, bo spodziewała się przybycia Szymona, być może zgłodniałego po paru dniach spędzonych z dala od jej kuchni.

Najwidoczniej Jezus słyszał już nieraz takie przeprosiny — dobre gospodynie cierpią na nadmiar skromności — ale uwagi Hanny dały Mu sposobność do wypowiedzenia się o sprawach rzeczywiście ważnych. Żeby określić, czym jest ubóstwo, opowiedział pokrótce historię rolnika, któremu świetnie się wiodło, dopóki nagromadzone bogactwo nie stało się dla niego kłopotem. Jego pola dawały tak wielki plon, że stodoły były za małe. Zburzył je więc i postawił nowe, większe. Ale plony nadal się mnożyły, wymagały coraz więcej pomieszczeń, aż myślał już tylko o coraz większych stodołach. Gdy pewnej nocy anioł przyszedł po jego duszę i zapytał, co on zabierze ze sobą, nie miał nic oprócz stodół napęczniałych od zboża. A tam, dokąd ten rolnik odchodził, nie było targowiska zbożowego.

Chociaż Jezus opowiadał to raczej poważnie, Andrzej lekko się

uśmiechał. Taką prostą przypowieść nawet

325

dziecko by zrozumiało. Kapłani — myślał Andrzej — może by uznali, że to błaha historyjka, ale gdy Jezus ją opowiada swym spokojnym głosem, wydaje się prawdą! Wprost się widzi, jak ten stary sknera, któremu wszyscy zazdrościli bogactwa, siada w swym łożu o północy, siwy, rozczochrany pod przekrzywionym czepkiem i mruga ze zdumieniem patrząc w oczy anioła. „Zboże? — mówi anioł potrząsając głową. — Nie, nie możesz zabrać ze sobą zboża... ani stodół. Wolno ci zabrać tylko to, co darowałeś.”

Jezus skończył opowiadać. Szymon, który jadł z apetytem, parsknął cichym śmiechem, podniósł wzrok znad talerza i powiedział:

— Obawiam się, że ja bym nie był za dobrym rolnikiem, Panie. Gdyby anioł przyszedł po mnie, nie miałbym dla niego nawet stodół.

W kłopotliwej ciszy, jaka nastąpiła, Andrzejowi wstyd było za brata: Szymon wysilił się na żart, jak gdyby chciał pokazać rodzinie, że jest z Jezusem w dość dobrej komitywie, by razem z Nim trochę sobie żartować. Ale jeśli tak, Jezus spokojnie przywołał Szymona do porządku pytaniem:

— Więc może... łodzie?

Szymon nie ważył się na to odpowiedzieć. Po długiej chwili zaczęła się rozmowa o czym innym.

Z natury nieśmiały i powściągliwy Andrzej zwykle przy gościach Hanny i Szymona (sam nigdy nie zapraszał nikogo) uważał się po prostu za stołownika, który płaci za miejsce przy stole, i nie przejawiał żadnego

zainteresowania towarzystwem. Zawsze wtedy jadł milcząc, wpatrzony w talerz, aż można by myśleć, że jest głuchy.

Ale teraz nie panował nad swoim urzeczeniem, przestał jeść, przysłuchiwał się bacznie. Nagle już patrzył w te przedziwne oczy i chociaż odruchowo uczynił wysiłek, żeby odwrócić wzrok, było to niemożliwe. I rzecz szczególna. Gdy minęło oszołomienie, nie chciał wzroku wyzwolić ani też nie był onieśmielony. Jezus sprawił, że on poczuł się biesiadnikiem wśród biesiadników. Na pytanie Jezusa, czy lubi zawód rybaka, ku zdumieniu własnemu i rodziny odpowiedział z uśmiechem, że rybołówstwo to przyjemność dla tych, którzy mają inne środki utrzymania. Wszyscy

326

roześmieli się wesoło, a jego ogarnęło, zamiast zwykłego zakłopotania, jakieś miłe, ciepłe zadowolenie.

Nazajutrz rano, gdy już Jezus i Szymon wstali od śniadania i odeszli, Andrzej spróbował niezdarnie opowiedzieć Hannie swoje wrażenia. Potem oboje długo milczeli.

- Andrzeju — zapytała nagle Hanna — co jest w tym człowieku, co czyni Go innym niż wszyscy?
- No... — odpowiedział Andrzej po namyśle — każdy z nas to ciało... z duszą. On zaś jest duszą... z ciałem.
- Ale chyba, Andrzeju, nie myślisz, że Jezus jest... ponadludzki?! — wykrzyknęła Hanna.
- Nie wiem — wymamrotał Andrzej wstając od stołu.  
— Ale myślę, że On wie.

Zostało więc ustalone, że Jezus będzie mieszkał w starym domu w Kafarnaum. Szymon ucieszył się niepomiernie z tej propozycji Andrzeja. Rzeczywiście bracia zbliżyli się teraz do siebie, jak nigdy od lat wczesnego dzieciństwa. Dotychczas albo Szymon był opiekuńczy wobec swego\* skromnego brata, albo stosunki między nimi, zdaniem rybaków i wszystkich innych, którzy widywali ich razem, układały się akurat tak jak stosunki pomiędzy wspaniałomyślnym pracodawcą i zaufanym pracownikiem. Nikt nigdy nie słyszał, żeby Szymon powiedział Andrzejowi przykre słowo, ale też nikt obcy nie domyśliłby się, że są to dwaj rodzeni bracia. Teraz ich znajomość z Jezusem sprawiła, że poczuli swą braterską więź, przy czym Szymon okazywał tę nową serdeczność, a Andrzej w jej ciepłe promieniał.

Jezus, gdy oprowadzili Go po domu w Kafarnaum, zapytał, czy nie mają nic przeciwko temu, by przyjmował lekką robotę ciesielską. Zgodzili się obaj skwapliwie. Krytykowano już Jezusa, wielu zamożnych ludzi wyrażało pogląd, że Nazareńczyk zamierza żyć na koszt kraju. Nie widzi potrzeby pracy. Łatwo nawoływać, żeby ludzie żyli jak lilie strojniejsze niż królowe albo jak ptaki, które karmi Bóg, chociaż nigdy nie przędą i nie tkają. Może dobre to dla kwiatów i dla ptaków, ale ojciec rodziny nie powinien się łudzić, że to jest dla niego wykonalne.

327

Nawet Jair, który okazał Jezusowi życzliwość, wygłaszał takie zdanie. Słyszano, jak powiedział, że jeśli Nazareńczyk chce żyć nie pracując, to rzecz wyłącznie Nazareńczyka; niechże On jednak nie przywabia ludzi, tak że porzucają wszystko i chodzą po kraju za Nim. Jair stawiał sprawę jasno. No, ale teraz Jezus pokaże im wszystkim, że widzi potrzebę pracy.

Wiedząc, że Ebenezer, cieśla za stary już do roboty, od dawna nie prowadzi swego warsztatu w sąsiedztwie, Andrzej zaproponował mu opłatę za wynajęcie wyposażenia na użytek Jezusa.

Wrócił do domu w deszczu, przemoknięty, pchając taczki załadowane wysoką stertą wszelakich narzędzi ciesielskich, z których większość, niestety, nie nadawała się do użytku. Tylko topór, ośnik i trzy różnej wielkości strugi były w porządku. Ciężkie, bardziej skomplikowane narzędzia należało albo naprawić, albo wyrzucić. Stara tokarnia, kiepska nawet za dobrych swych czasów, gdy Ebenezerowi jeszcze nie dokuczały bóle reumatyczne w nogach, zbyt dawno wyszła z użycia, ostrza jej zardzewiały i stępiały. Ale Jezus, zgoła tym nie strapiony, powiedział, że tokarnię Ebenezera można odnowić.

Opróżnili frontową izbę i sprzęty z niej wynieśli do piwnicy. W ciągu jednego dnia urządzili warsztat ciesielski. Jezus zaczął reperować narzędzia. Andrzej przygotował małą izdebkę gościnną dla Jezusa i jeszcze kilka dni spędził przy Nim. Nastaly chłody i słoty.

W tym zmienianiu rodzicielskiego domu w warsztat Szymon nie brał udziału. Nie ruszał się z domu teściowej. Hanna była chora od wielu dni i nic nie wskazywało na to, że stan jej ulegnie poprawie.

Opiekował się Hanną skwaszony, stary lekarz Gerszon, cóż kiedy jego leki nie działały. Rabbi, gdy przyszedł ją odwiedzić, zdumiał się, że aż tak zmizerniała. Nieubłagana gorączka wyniszczała ją, spalała swoim ogniem. Estera, która robiła wszystko, co tylko mogła, żeby przynieść chorej ulgę, z każdą godziną niepokoiła się o nią coraz bardziej. Hanna leżała na pół przytomna, nie reagowała na nic, tyle że przyjmowała zimną wodę na spieczony język.

Szymon nieporadnie starał się pomagać Esterze w gospodarstwie. Przeważnie chodził z izby do izby, pocierał dłonią zarośnięty podbródek i usiłował zmusić Esterę, by powiedziała, że Hanna czuje się trochę lepiej.

Rzecz dość dziwna, nie przyszło Wielkiemu Rybakowi na myśl wezwać Jezusa. Jakoś wydawało mu się, że Jego moc uzdrowicielska jest przeznaczona dla dobra ogromnych rzesz nieszczęśliwych ludzi obcych. Bo Szymon wierzył z całego serca, że Jezus uzdrawia. Czyż nie widział tego wielokrotnie? Doprawdy tak już przywykł do tych zapierających dech uzdrowień, że nawet w chwili, gdy się dokonywały, spokojnie upominał tych, którzy towarzyszyli chorym, że trzeba cierpliwie czekać na swoją kolej.

— Proszę się nie tłoczyć — mówił — Jezus zajmie się wszystkimi.

Właściwie zachowywał się nieomal tak, jakby prowadził widowisko i zatrudniał Jezusa, zdolnego uzdrowiciela. Przyjemnie mu było, gdy znajomi prosili go z uszanowaniem, żeby wstawił się za nimi u Cieśli.

Teraz, w tej okropnej potrzebie ratunku skuteczniejszego niż pomoc starego Gerszona, Szymon nie zwrócił się do Jezusa. Później przyznał się sam przed sobą — nie widząc głupoty swojej próżności — że to było podejście zawodowe. Jezus potrafił czynić i czynił zdumiewające rzeczy dla ludzi, a Szymon, wspólnik, jeśli nie kierownik owego nadzwyczajnego przedsięwzięcia, dopuścił, by uzurpowana godność uderzyła mu do głowy. Publiczność słuchała tego, co mówił, i była mu posłuszna.

Nie wiadomo, kiedy wreszcie i po jak długich namysłach pojąłby fakt, że to on sam potrzebuje pomocy Jezusa w swoim własnym

domostwie. Siedział strapiiony, gdy nagle w otwartych drzwiach ukazała się Estera.

— Niestety, panie — powiedziała — Hanna jest coraz słabsza.

Wstał z pośpiechem, mamrocząc, że pójdzie po Gerszona. Przytrzymała go za owłosioną ogromną rękę.

— Nie pomyślałeś, żeby wezwać Jezusa? — wyszeptała.

To pytanie pełne wyrzutu brzmiało mu w uszach przez całą drogę do Kafarnaum. Doszedł do gościńca szybkimi,

329

długimi krokami i puścił się biegiem. Ciężko było biec takiemu olbrzymowi, płuca go rozboleły, a w ustach mu zaschło, ale czuł tylko ciężar w sercu. Dlaczego dotychczas nie wezwał Jezusa? Myśli się kłębiły. Jakże jest słaby duchem... To prawda, wyznał Jezusowi wtedy o świcie nad jeziorem, że jest słaby i grzeszny, lepiej więc, żeby Jezus nie miał z nim do czynienia. W gruncie rzeczy jednak, czy myślał tak? Nie, po prostu wydawało mu się, że należy tak powiedzieć. Już po godzinie uznał to samoponiżenie za przesadne. Jezus powołał go do pomocy; Jezus wie, co robi. Jezus by go nie powołał, gdyby on był rzeczywiście słaby i niegodny. No, ale teraz Szymon widział swoją słabość i niegodziwość.

Od rana Jezus pilnie pracował przy naprawie starej tokarni Ebenezera. Deszcz, padający przez całą noc, ustał, więc Andrzej na podwórku podwiązywał obwisłą winorośl. Mijając okno zobaczył, że Jezus przerwał pracę i siedzi na starej skrzyni do narzędzi, wyprostowany, zapatrzony gdzieś przed siebie stroskanymi oczami. Zaniepokoiło to Andrzeja. Po chwili zdecydował się wejść i dowiedzieć, co się stało. Ku jego uldze, gdy



wszedł do warsztatu, Jezus znów był zajęty pracą — owo napięcie widocznie minęło. Wkrótce potem wstał i ruszył do drzwi. Stał w drzwiach, patrząc na ulicę wyczekująco.

Szymon przybiegł zbyt wyczerpany i zdyszany, by wykrztusić bodaj słowo. Rzucił się na zydel.

—Co się stało? — zapytał Andrzej, pochylając się nad nim.

Jezus już nakładał opończę.

—Chodźmy szybko, Andrzeju — rzekł spokojnie. — Szymon przyjdzie tam za nami, gdy odpocznie.

Pośpiech był konieczny. W domu tłoczyły się sąsiadki, ich mężowie stali w ogrodzie, rozmawiając cicho pod drzewami, z których kapały ciężkie krople niedawnego deszczu. Wszyscy rozstępowali się, gdy Jezus przechodził.

Gerszon ostentacyjnie pakował swoją torbę. Z brwiami zmarszczonymi spojrzał ponuro na wchodzącego Nazareń-czyka. Często zwał Go obelżywie oszustem bez sumienia.

330

—I cóż ty mógłbyś tu zrobić? — zapytał wyniośle.

Rabbi Elimelech stanął pomiędzy nimi tak, jakby chciał interweniować.

— Mówię, że ta kobieta umiera! — zwrócił się oburzony Gerszon do rabiego. — Czy jeszcze ma ją dręczyć ten... ten Cieśla? — pogardliwie znów spojrzał na Jezusa.

Jezus milczał.

- Ale jeśli Hanna umiera, przyjacielu Gerszonie — zaryzykował Elimelech — to i tak nic już jej nie zaszkodzi. Proszę, pozwól temu młodemu człowiekowi ją zobaczyć.
- Dobrze! — wrzasnął Gerszon chwytając za swoją torbę. — Wszyscy jesteście głupcy! — Przepychał się łokciami wśród oniemiałych sąsiadek w sieni. — Głupcy! — Odwrócił się od otwartych drzwi. — Wy wszyscy! Głupcy!
- Musimy wybaczyć Gerszonowi — wyjaśnił rabbi łagodnie. — Starzeje się... i niedomaga.

Jezus położył rękę na jego chudym ramieniu i z serdecznym uśmiechem popatrzył mu w oczy.

— Oto — powiedział — właściwy duch. Jesteś błogo sławieństwem dla tych ludzi, rabbi.

Elimelech odchodząc miał oczy pełne łez, twarz wykrzywioną wzruszeniem. Kobiety zagapiły się w niego, gdy je mijał. Coś — nie wiedziały, co — stało się z ich zacnym starym kapłanem!

Jezus szybko i pewnie przejął panowanie nad sytuacją. Gestem odprawił kobiety z sypialni, zamknął drzwi. Esterę, która chciała wyjść z sąsiadkami, jednak zatrzymał.

— Ty zostaniesz, córko — powiedział.

Przez jakiś czas ze smutkiem i niepokojem w oczach stał, wpatrując się w woskowo białą twarz Hanny. Potem przysunął krzesło do jej łóża i usiadł. Skinął na Esterę, żeby uklękła przy łóżu. Po krótkiej chwili wahania — bo nie bardzo rozumiała — uklękła, podparła się łokciami, ujęła rękę Hanny w obie dłonie.

— Jest taka zimna, Panie — szepnęła.

Jezus ujął Hannę za drugą rękę i zaległa zupełna cisza.

— Czy umiesz się modlić, Faro? — zapytał cicho po długiej chwili.

Przestraszona spojrzała na Niego szeroko otwartymi oczami, po czym opuściła wzrok.

- Nie, Panie — szepnęła drżącym głosem.
- Nie modlicie się w... Arabii? — zapytał.
- Niektórzy chyba tak — odpowiedziała. — My nigdy... u mnie w domu.... tylko Jona. — Nie wyjaśniła, kim jest Jona, zakładając, że Jezus przecież wie. — Jona modliła się często. Miała wielu bogów.
- Jest tylko jeden Bóg, Faro. Jona modliła się do wielu, przekonana, że wielu ich jest... Mam cię nauczyć, jak trzeba się modlić?

Skinęła głową bez słowa.

- Powiedz: „Ojcze nasz...”
- Ojcze nasz — wyszeptała głosem wezbranym łzami.
- A teraz powiedz Mu... w skrytości ducha... że kochasz Hannę i pragniesz jej wyzdrowienia.

Fara rozplakała się. Potrząsając głową rozpaczliwie spojrzała przez oślepiające łzy.

- To nic nie da, Panie — rzekła ochryple. — Ode mnie nic. Ja jestem niegodna.
- Więc może... powinnaś Go prosić najpierw, żeby oczyścił twoje serce. Dźwigasz ciężkie brzemie, Faro. Ciebie też trzeba uzdrowić.

Znów spojrzała w Jego współczujące oczy.

—Wiesz... wiesz o mnie, Panie?

Jezus głęboko westchnął.

—Proś naszego Ojca, żeby cię uwolnił, Faro. A potem proś Go, żeby pomógł Hannie.

Przytuliła twarz do ręki Hanny, wstrząsały nią konwulsyjne szloch. Stopniowo jednak się uspokoiła.

—Hanno! — przemówił Jezus tonem rozkazującym.

Wstał i znowu ujął ręce zmarłej w swoje dłonie. — Hanno!

— powtórzył. — Zbudź się!

Z przeciągłym westchnieniem Hanna otworzyła oczy. W oszołomieniu spojrzała na Jezusa, uśmiechnęła się i zasnęła. Fara patrzyła zdumiona z rozchylonymi ustami.

—Ugotuj dla niej trochę owsianki — powiedział Jezus.

— Ona znów się obudzi, już wkrótce. — Pot spływał Mu po twarzy, ręce drżały. Gdy Fara doszła do drzwi, rzekł surowo: — Jeśli złożyłaś dziś nową przysięgę, postaraj się jej dotrzymać! Z Boga nie wolno kpić!

332

Po kilku deszczowych dniach spędzonych w domu Dawid zdecydował się wyjść na przechadzkę. Było jeszcze mokro i szaro pod ołowianym niebem: brzydka pogoda, ale już miał dosyć przebywania w czterech ścianach.

Idąc mozolnie po błocie zastanawiał się, dlaczego — skoro wcale nie musi — spędza w Galilei te nudne, przygnębiające tygodnie zimy. Oczywiście ze względu na siostrę. Debora za skarby świata nie ruszyłaby

się z rodzinnej Betsaidy. Dawid nie chciał pozostawić jej w towarzystwie tylko służby.

Na rogu ulicy ze zdumieniem zobaczył tłumek ludzi przed domem Hanny. Wszyscy byli przejęci, co świadczyło, że to jakaś poważna sprawa. Przystanął i już miał skinąć na jednego z tych strapionych mężczyzn, gdy zobaczył Wielkiego Rybaka idącego powoli od strony gościńca.

Widząc swego znakomitego sąsiada, Szymon podszedł do niego i wyjaśnił, co się dzieje. Hanna jest ciężko chora, śmiertelnie być może. Dawid potrząsnął głową, szepcząc wyrazy współczucia.

- Chyba stan jej się pogorszył — dodał Szymon, niespokojnie wodząc wzrokiem po milczącym zgromadzeniu. — Nie było mnie całą godzinę. Poszedłem po Jezusa.
- Ach, po tego Cieślę? — Dawid się zdziwił. — Czyżbyś pokładał wiarę w tym człowieku?

Szymon milczał. Dawid rzekł oziębło:

—W czasie burzy każda przystań dobra, co?

Szymon przygryzł dolną wargę, jak gdyby szukał odpowiedzi, ale milczał nadal. Zrozumiał, że ten cyniczny stary saduceusz nie słyszał o jego powszechnie znanym przywiązaniu do Jezusa.

- Cieśla już jest tam u Hanny? — zapytał Dawid.
- Chyba tak — odpowiedział Szymon prawie obojętnie.  
— Darujesz mi, panie... — odwrócił się — wejdę tam... zobaczę, jak ona się czuje.

Odszedł szybko za róg i właśnie otwierał furtkę, gdy gromadę przed domem roztrącił stary Gerszon. Kipiąc oburzeniem, lekarz prawie biegł alejką. Szymon zastąpił mu drogę.

—O co chodzi, Gerszonie? — zapytał.

333

- Głupcy! — wrzasnął piskliwie starzec.
- Co z Hanną? — Szymon chwycił Gerszona za rękaw.
- Umiera! Puść mnie! Wszyscy jesteście głupcy!

Gerszon gniewnie wyrwał mu się omal nie upadając.

Przy furtce stanął twarzą w twarz z nadchodzącym Dawidem. Natychmiast się opamiętał, złożył ukłon i głosem jako tako opanowanym wyjaśnił powód swojej wściekłości.

Dawid słuchał niewzruszenie, dopóki Gerszon nie skończył.

- Skąd wiesz, że On nie zdoła? — zapytał. — Najwidoczniej wiesz tylko, że ty nie zdołasz! Może powinieneś poczekać... sprawdzić, czy masz rację.
- Przecież — wybełkotał Gerszon — ten człowiek nie jest lekarzem! Jest cieślą!

Odchodził ponuro, rozczarowany rozmową z najmożniej-szym panem w Betsaidzie, gdy z domu Hanny doleciała radosna wrzawa. Przedziwną nowinę powtarzali sobie ludzie tłocząc się wokół ganku. Szymon z sercem łomoczącym przepychał się do domu i do sypialni. Andrzej wyszedł stamtąd, płakał i jednocześnie uśmiechał się promiennie. Więc to prawda! Stało się! Hanna, gdy Szymon wszedł, usiadła w pościeli. Estera klęczała przy łóżku, karmiła ją owsianką z miseczki. Szymon stanął jak wryty, do oczu napłynęły mu łzy.

- Hanno! — wyszeptał.
- To Jezus uczynił! — rzekła wyraźnie Hanna.

- Gdzie On jest? — zapytał Szymon.

Estera podniosła wzrok. Odpowiedziała, że Jezus chyba jest gdzieś w domu, był tutaj jeszcze przed chwilą. Szymon ruszył na poszukiwanie. Spotkał Andrzeja i zapytał go.

- Jezus odszedł — odpowiedział Andrzej.
- Czy mówił, dokąd?
- Nie. Może z powrotem do Kafarnaum.

— Nie odprowadziłeś Go do furtki?

Andrzej potrząsnął głową.

—On... Jezus — Szymon zawahał się — o mnie **nie** pytał, prawda?

Andrzej znów potrząsnął głową.

—Czy daliście Mu coś do jedzenia? — zapytał Szymon.

334

- Pewnie nie chciałby jeść — odpowiedział Andrzej. —  
Był bardzo zmęczony.
- Spróbuję Go dogonić na gościńcu — oznajmił Szymon  
odchodząc.

Do gościńca doszedł szybko. Przysłonił oczy dłonią, żeby lepiej widzieć, wyteżył wzrok, ale daremnie.

Niespokojny, samotny, zawstydzony, ze ściśniętym sercem, powędrował do Kafarnaum. Zbliżając się do starego domostwa, zwolnił kroku. Drzwi były otwarte. Zobaczył Jezusa przy tej starej tokarce. Wszedł i usiadł na skrzyni z narzędziami. Czekał, aż Jezus przemówi.

Jezus w końcu odłożył popsutą tokarkę Ebenezera i z westchnieniem

powiedział:

— Szymonie, szatan młóci cię na swoim klepisku.

Skruszony Szymon nie znalazł na to odpowiedzi. Zwiesił głowę i przygryzł wargi.

Wzdychając Jezus pochylił się znów nad tokarką i podjął pracę. Po chwili odwrócił się do Szymona i z uśmiechem pełnym współczucia, łagodnie jak do skarconego dziecka, rzekł:

— Ale ja nadal modłę się za ciebie.

Nigdy jeszcze Dawid nie był tak zdezorientowany. W życiu jest mnóstwo tajemnic, których nikt nie próbuje kwestionować ani zrozumieć, które jednak wołają o wytłumaczenie.

Dotychczas pogłoskami o cudach, czynionych przez Cieślę, raczej nie zaprzętał sobie głowy. Nie wykluczał możliwości, że sprytny sztukmistrz potrafi przekonać łatwowiernych prostaczków, zainteresować ich swoją szarlatanerią. Czyż nie widział, jak działo się to raz po raz na ulicach Aten? Nawet uzdrowienia, rzekomo dokonywane przez Nazareńczyka, są zrozumiałe. Znamy fakty, że paralitycy, przykuci do łóżek, wstawali, gdy dom się palił, i uciekali o własnych siłach, żeby ratować życie. Obląkani pod wpływem wstrząsu odzyskiwali zmysły. Niewątpliwie uzdrawiającą działalność Cieśli można by wytłumaczyć, gdyby ktoś sobie zadał trud wnikliwego jej zbadania.

335

A przecież sprawa Hanny jest czymś innym. Sąsiedzi zachowują się zastanawiające. Nie wszyscy z nich są głupcami, ich spontaniczność zdumiewa, dowodzi, że na pewno nie zmówili się z Nazarejczykiem,



żeby stwarzać pozory cudu.

Długo Dawid stał i patrzył na ludzi przed domem, na ich twarze pełne napięcia, oszołomienia, radości połączonej ze strachem; większość z nich bełkotliwie zadawała pytania, na które nikt nie usiłował odpowiedzieć, grupki się rozpadały i znów łączyły, jedni tłoczyli się do drzwi, drudzy przepychali się do wyjścia i gdy ich pytano, tylko potrząsali głowami. To, co się stało z Hanną, może dałoby się jakoś rozsądnie wytłumaczyć, ale oni wszyscy byli innego zdania.

Dawid uznał, że nie wypada mu tak czekać przy płocie — ciekawość nie licuje z jego godnością. Rozejrzał się po tłumie, wypatrując kogoś znajomego, na kogo mógłby skinąć, cóż kiedy nikt nawet nie spojrzał w jego stronę. Wielki Rybak wyszedł z domu, zbliżył się szybko do furtki, ale nie patrzył ani w lewo, ani w prawo. Dawid spróbował, bez skutku jednak, zwrócić uwagę na siebie. Szymon najwidoczniej nie chciał rozmawiać z nikim.

W drzwiach domu ukazał się rabbi Elimelech. Gromada przed drzwiami ustąpiła mu z drogi, gdy podpierając się laską ostrożnie zszedł z dwóch schodków. Patrzył na zagapionych ludzi i starał się uśmiechać do nich mile, po ojcowsku, ale widać było, w jakim jest napięciu. Długą chudą ręką trzymał się za brodę, może chciał powstrzymać drżenie podbródka. Dawid ruszył mu naprzeciw.

- Ach... Dawidzie! Rad jestem, że cię spotykam. Mam nadzieję, że czujesz się dobrze — powiedział rabbi zdawkowo.
- Nie — odparł Dawid. Nie dał się zbyć błahą uprzej

mością. — Wcale się dobrze nie czuję. Ledwie trzymam nerwy na wodzy. Rabbi, co tam się dzieje u Hanny?

- Może pójdziesz ze mną, Dawidzie — mruknął starzec.

— Nie mogę długo stać. Wiesz, moje nogi. Muszę wrócić do domu. Weź mnie, przyjacielu, pod rękę.

Dawid usłuchał i stwierdził, że ręka Elimelechowi się trzęsie. Żeby coś powiedzieć, zauważył żartobliwie:

336

— Twój wierni pewnie pomyślą, że wpadłeś w złe towarzystwo, panie.

— Nieważne — powiedział ochryple Elimelech. — Nic już nie jest ważne. Moim wiernym się nie podobało, że interesuje mnie Nazareńczyk, ale teraz... sami nie wiedzą, co myśleć... o wszystkim.

Nie byli sobie obcy: ten rabbi i ten saduceusz. Dawid nie miał żadnych powiązań z synagogą, nie chodził na jej nabożeństwa i wiadomo było, że nią gardzi, ale też stanowił główną jej podporę finansową. Przysyłając swoje dary nigdy nie omieszkał zaznaczyć, że nie jest to dowód jego najlżejszej bodaj sympatii do synagogi — tylko wyraz uznania dla dobroci, jaką rabbi Elimelech okazuje ubogim Betsaidy. Zarządcy synagogi ponuro przyjmowali to wsparcie i oburzeni mówili, że następnym razem odmówią przyjęcia, nigdy jednak nie odmawiali.

Kiedyś zacny stary Elimelech wszedł na wzgórze i spędził całe popołudnie w domu saduceusza. Przyjemne były to odwiedziny dla nich obu. Jednakże odchodząc Elimelech rzekł trochę zakłopotany:

- Żałuję, że nie możemy widywać się częściej, ale...

- Doskonale rozumiem — powiedział Dawid. — Dostyć masz, panie, przykrości, nawet gdy nie musisz usprawiedliwiać się ze swojej przyjaźni z saduceuszem.

Teraz Dawid chciał usłyszeć zdanie tego starca o rzekomo cudownym uzdrowieniu Hanny, uzbroidł się w cierpliwość i nie dręczył go pytaniami po drodze. Ramię w ramię szedł z nim powoli. Bardzo długa wydawała się ta wędrówka do dużego starego domu nie opodal synagogi. Ale w końcu delikatnie pomógł rabbiemu wejść na schodki, przeprowadził go przez próg. Grzeczność wymagała, żeby rabbi zaprosił przyjaciela na pogawędkę, a ciekawość nakazała to zaproszenie przyjąć.

Gdy Elimelech przestał sapać, Dawid zapytał:

- Jak myślisz, panie? Czy wyzdrowienie Hanny jest cudowne?
- Tego słowa często używa się bez umiaru, Dawidzie — rzekł starzec, najwidoczniej w nadziei, że uchylając się od odpowiedzi zapobiegnie dalszym pytaniom.

337

Dawid wzruszył ramionami, wobec czego rabbi musiał rozwinąć swoją myśl.

- Nieraz o nowych przeżyciach mówimy, że są cudowne.
- Nie frasujmy się teraz, panie, nadużywaniem wielkich słów — powiedział Dawid z wyrzutem. — To jest poważna sprawa!

Elimelech uznał daremność zbaczania z tematu. Przymknął oczy i

wolno pokiwał głową.

- Tyle wiem, co ty, Dawidzie. Hanna była na granicy śmierci. Tak mówił Gerszon. Wszyscy to powtarzali. Jezus był przez kilka zaledwie minut u jej łoża, a ona usiadła, rozpoznała obecnych, zaczęła jeść. Jeśli to cud... — zająknął się i dokończył niezręcznie: — To rzeczywiście cud.
- W takim razie ten człowiek jest Boży — nie ustępował Dawid. — Tak uważasz, panie?
- Skąd mogę wiedzieć? — Kropelki potu wystąpiły na blade czoło starca, ale saduceusz dopytywał dalej:
- Jeśli jest Boży, mógłby być tym zapowiadany Mesjaszem?
- Wielu już mesjaszów przychodziło i odchodziło, przyjacielu. Żaden nie był spełnieniem proroctwa.
- Istotnie! — zgodził się Dawid. — I każdy z nich miał swoich wiernych popleczników, i przeważnie byli to uczciwi i nieustraszeni ludzie dobrej woli, podobnie jak ten Jezus. Ale wszyscy oni zawiedli w wykonaniu swego jedyne go zadania. W myśl proroctwa Mesjasz ma przywrócić królestwo Izraelowi. Żaden z nich tego nie uczynił.

Elimelech milczał, Dawid zapytał:

- Rabbi, dawno byłeś w Cezarei?
- Nigdy w życiu tam nie byłem. A bo co?
- Hm... jeśli ten człowiek myśli o przywróceniu królestwa Izraelowi, powinien zabrać się do tego jak najprędzej. Rzymianie przygotowują Cezareę do lądowania

wojsk. I na pewno nie będą zwlekać... Powiedz mi, rabbi, tyś słyszał, jak ten Nazareńczyk przemawia... Czy mówi coś o królestwie?

- Prawie o niczym innym nie mówi — odrzekł Elimelech spokojnie.
- Ale cóż on może powiedzieć? — Dawid pochylił się

338

ku rabbiemu zainteresowany. — Ten ubożuchny Cieśla spodziewa się przeciwstawić najazdowi Rzymian?

- Jego Królestwu najazd rzymski nie grozi, Dawidzie.
- Obawiam się, że nie rozumiem, panie.
- Tak — westchnął starzec — ty tego nie rozumiesz.

Królestwo tego człowieka jest w Jego duszy. On naucza, że nasze Królestwo to nasze dusze. Rzymianie nie mogą zagarnąć ich ani nie mogą zburzyć ich spokoju... Powinieneś sam usłyszeć, jak On mówi o tym, Dawidzie. Wtedy może byś zrozumiał.

Po tych słowach rabiego Dawid wstał, żeby odejść; nie miał ochoty prowadzić takiej rozmowy. Zresztą dosyć już długo męczył zacnego starego Elimelecha. Ruszył do drzwi.

— Przyjdź, powiedz mi, co o Nim myślisz, przyjacielu — rzekł Elimelech przez ramię. — Kto wie, czy Cieśla nie ma dla ciebie jakiejś niespodzianki.

Dawid z saduceuszowego rodu Sadoków tak dalece dał się ponieść ciekawości, że postanowił odwiedzić Cieślę z Nazaretu od razu.

Podobno Cieśla otworzył warsztat w Kafarnaum i w porze słońca zimowych będzie przyjmował robotę. Czy Mesjasz uczyniłby coś takiego? Żaden z kandydatów na Mesjasza nie kłał rąk pracą. Jednakże — rozmyślał Dawid — Jezus niekoniecznie musi brać przykład z tamtych niedoszłych. Może przejawia mądrość, jednocząc swoją sprawę ze sprawą ludzi w znoju i trudzie zarabiających na życie; może prorokowi zrogowaciała skóra na rękach większą przynosi chlubę, niż ukryte zrogowacenia, których by się nabawił w gorszych okolicznościach. Przez chwilę Dawid chichotał gotów ułożyć złośliwy epigram na ten temat.

Zbiegowisko przed drzwiami Hanny było już nieco mniejsze, gdy wracając do domu przechodził tamtędy. Nie zatrzymał się, żeby pytać. Szedł prędzej niż zwykle, bo zamierzał odwiedzić Cieślę jeszcze tegoż dnia po południu. Chociaż spieszyło mu się do tych odwiedzin, uznał, że przystojniej będzie pójść do Cieśli z jakimś konkretnym zleceniem. Dlatego musiał przedtem wrócić do odmu.

339

Za ostatniej swojej bytności w Atenach przed sześciu laty Dawid kupił antyczną, prześlicznie rzeźbioną szafkę, która ku jego wielkiemu rozczarowaniu została fatalnie uszkodzona w drodze. Wzywał już kilku doświadczonych stolarzy, żeby ją naprawili, ale żaden z nich nie chciał się tego podjąć. Mówili, że nie mają odpowiednich narzędzi. Właśnie tę szafkę zdecydował się zabrać do Nazareńczyka.

Służący odkurzyli ją starannie, załadowali na wózek i ruszyli za swoim panem do Kafarnaum powoli, bo starzejący się adwokat roztropnie wolał nie przemęczać serca. Było już dobrze po południu, gdy dotarli do starego domostwa Jony.

Drzwi otworzył Wielki Rybak wyraźnie zdumiony przybyciem Dawida i trochę zakłopotany. Pod ścianami siedziało na zydlach i ławkach kilku mężczyzn, którzy w milczeniu odwrócili się w stronę gościa. Szymon zaczął ich przedstawiać znakomitemu Dawidowi. Wstali i każdy, gdy padło jego imię, kłaniał się z szacunkiem: sześćdziesięcioletni o inteligentnej twarzy Nataniel Bartłomiej, smukły, blado-licy czterdziestoletni Filip...

- Grek? — zapytał Dawid.
- To dosyć dawne dzieje — odpowiedział Filip. — Moi przodkowie uciekli z Macedonii sto lat temu.

Szymon przedstawił młodych braci: Jakuba i Jana.

—Cieśle? — Dawid skierował to pytanie szczególnie do Jana.

— Rybacy — odpowiedział Jan i dodał: — Ale nie dzisiaj. Jego towarzysze roześmiali się.

—Z Jana rybak nie najlepszy — odezwał się Szymon — nawet przy świetnej pogodzie. Bierzemy go jako balast.

To było zabawne, bo Jan, młodzieniec lekkiej budowy, nie ważył zbyt wiele. Gdy tamci śmieli się głośno, on uśmiechał się uprzejmie, pocierając podbródek.

Wszedł Andrzej przynosząc z sąsiedniej izby fotel, wyraźnie przeznaczony dla czcigodnego gościa. Dawid podziękował i wszyscy usiedli. Po chwili milczenia Dawid wyjaśnił Szymonowi cel swojej wizyty.

—Przyszedłem do tego Cieśli Jezusa. Mam dla Niego robotę.

— Jezus odpoczywa, panie — powiedział Szymon.

Dawid uniósł brwi, jak gdyby się dziwił, że Cieślę stać na odpoczynek w godzinach pracy. Szymon jednak nie pospieszył z wytłumaczeniem. Filip zapytał:

— Może my, panie, możemy coś zrobić?

— Nie, jeśli nie jesteście wprawnymi cieślami — odrzekł Dawid chłodno. Ale podszedł do drzwi i kazał służącym wnieść szafkę.

Wszyscy stanęli wokół zachwycając się wspaniałym rzemiosłem, ubolewając nad uszkodzeniami. Niepostrzeżenie Jezus przyłączył się do tej gromadki, stanął z boku za Dawidem. Ich rękawy przy tym się musnęły. Dawid pełen godności, stateczny, ociążały ruszał się zwykle z rozmysłem, ale po tym przypadkowym muśnięciu mimo woli cofnął się i odwrócił gwałtownie i oto patrzył w spokojne oczy człowieka młodego, a przecież dziwnie dostojnego.

Szymon przedstawił:

— Panie, to nasz gość, Dawid z rodu Sadoków.

Saduceusz milcząc ukłonił się z szacunkiem.

— Witaj, przyjacielu — powiedział Jezus. — Co mogę zrobić dla ciebie?

Dawid wskazał szafkę, Jezus nawet nie spojrzał w jej stronę. Widać było, że szafka Go nie obchodzi.

- Nie będę próbował oszukiwać Cię, Panie — powiedział Dawid. — Ta szafka rzeczywiście wymaga naprawy, ale mówiąc szczerze nie w tej sprawie przyszedłem. Słysza



łem wiele o Twoich słowach i uczynkach, zapragnąłem więc zobaczyć Ciebie.

- Powiedziałaś prawdę, Dawidzie — rzekł Jezus. — Jeśli taki jest twój obyczaj, powinienesz rozumieć to, co mówię. Ludzie, którzy miłują prawdę, są moimi przyjaciółmi... Zechcesz usiąść?

Wszyscy wrócili na swoje miejsca, Jezus usiadł pośrodku. Schylając się podniósł jedną część zniszczonej tokarki, potrząsnął głową i upuścił ją. Stuknęła o podłogę.

— Pomówmy o odkupieniu — powiedział — i o zbawieniu. — Wskazał najpierw tę odłamaną część tokarki, potem szafkę Dawida. Zniżonym głosem, niemal jak do siebie, zaczął mówić o rzeczach, które można i których nie można odzyskać naprawiając. Są rzeczy nie do naprawienia. Życie z nich uszło i już nic tylko nowe życie może je uratować.

- Nie ma po co — ciągnął — przyszywać nowych łat do starej odzieży. Przetarta tkanina jest za słaba, żeby utrzymać nowe płótno. Nic nie da nalewanie nowego żywego wina w stary, zeschnięty, zeszywniały bukłak. — Zwrócił się do Dawida: — Co powiesz na to, przyjacielu?
- W pełni zgadzam się z Tobą, Panie — odpowiedział Dawid. — I czyż to nie odnosi się tak samo do starych sposobów myślenia, starych praw, starych przekonań?

Tamci pod ścianą patrzyli na siebie z ukosa, przeciągle, niespokojnie. Może chytry adwokat zarzuca przynętę, żeby Jezus skrytykował nieroztropnie władzę albo Sanhedryn?

Ale Jezus, najwidoczniej nie żywiąc podejrzeń co do szczerości saduceusza, rozwinął jego pytanie. Prawa i doktryny wszelkich starych instytucji doprowadzają stopniowo do nagromadzenia się znaków, symboli, pamiątek, uświęconych naczyń, amuletów i zaklęć, aż zduszą one życie owej instytucji i zagubią jej cele. Bez końca debatuje się nad błahostkami: ile kroków wolno prawowiernemu przejść w szabat... czy wolno w szabat przenieść zydel przez izbę... czy krawiec łamie prawo szabatu, jeśli ma igłę wpiętą w swą opończę — nigdy jednak nie określa się prawem, jak wysoką opłatę może pobierać gospodarz od ubogiego dzierżawcy, lichwiarz od znekanego dłużnika. Po długich sporach ustala się ilość poszczególnych ziół zmieszanych na kadzidło — ile dosypać mięty, ile anyżu, ile ruty. Trawi się dni na rozważaniu, jakiej wielkości powinna być filakteria, jak szerokie oblamowanie szaty kapłana, gdy tymczasem nędzarze konają z głodu u progów bogaczy i nikogo to nie obchodzi. Jezus podniósł głos z oburzeniem, opowiadając 10 gromadach nieszczęśników stłoczonych niedaleko siedzib, w których syci uczeni całymi dniami rozszczepiają włos na czworo, wdając się w najdrobniejsze szczegóły obrzędów 11 ceremoniałów. I nikt nie zwraca uwagi na niedolę biedaków, tylko bezdomne psy przystają, żeby lizać ich owrzodzenia. Nikt nie mówi o miłosierdziu, o braterskiej dobroci. Władzy tak już bezowocnej nie da się naprawić. Trzeba, żeby powstała nowa.

342

- Myślisz więc — zapytał Dawid z szacunkiem — że stare prawa należy obalić?

- Nie, Dawidzie! — wykrzyknął Jezus. — Nie obalić...  
tylko spełnić!

To rzekłszy wstał i odszedł od nich do swojej sypialni. Wyraźnie był bardzo znużony. Po chwili wahania saduceusz ruszył ku drzwiom frontowym, żeby wezwać służących. Ale oni gdzieś zniknęli. Rozejrzał się i raptownym skinieniem przywołał ludzi siedzących w izbie. Zerwali się i wybiegli za nim. Od strony synagogi wzbijały się w niebo ogromne kłęby czarnego dymu. Podnieceni popędzili tam środkiem ulicy, doganiając i mijając Dawida — wszyscy z wyjątkiem starego Nataniela Bartłomieja, który miał słabe nogi i krótki oddech. Ogień buchał, trzaskał i ryczał, gdy zbliżali się do placu przed synagogą. Wybiegając zza rogu zobaczyli, co się pali — dom rabiego Ben-Szolema.

Szymon zwolnił kroku. Tchu mu zabrakło wskutek podniecenia i wysiłku, zatrzymał się więc i stał przez długą chwilę zziębnięty. Gryzący dym bił w nozdrza. Niewiele pozostawało nadziei na ugaszenie pożaru. W każdym razie — pomyślał Szymon — nie moja to sprawa. Rabbi Ben-Szolem źle potraktował Jezusa. Może kara spada na domostwo wyniosłego starca? Może to wola Boga? Jeśli tak, kimże jestem, by mieć czelność wtrącać się do tego?

W ciągu tych bezradosnych dni zimy Wielki Rybak przekonał się, że o ile cudownym przeżyciem było pomagać Jezusowi, gdy tłumy zagapionych, natrętnych, spoconych ludzi tłoczyły się tratując wzajemnie, za wszelką cenę pragnąc dobrze słyszeć i widzieć Cieślę, o tyle nudno jest trwać przy Jezusie w zaciszu, gdy pada bez przerwy deszcz.

Wydawało się, że każda okoliczność doświadczeń Szymona w tym ponurym okresie stanowi część diabelskiego spisku, żeby złamać jego wiarę i hart ducha.

Deszcz lał nieubłaganie, zimny, wsiąkający w odzież, przenikający do szpiku kości. Starzy, którzy nie musieli wychodzić w tę słotę zbyt często, doradzali cierpliwość.

— Taka obfitość deszczu — mówili — okaże się

343

I

blógosswieństwem dla naszej ziemi, kiedy tylko przyjdzie lato.

Rybołówstwo nie przynosiło żadnych zysków. Oczywiście, trudno się spodziewać dobrego połowu w burzliwy dzień, ale nawet marny połów dawał przynajmniej utrzymanie i godziwe zajęcie. Zła pogoda zwykle nie działała przygnębiająco na rybaków Szymona. Żartowali sobie z niej i związanych z nią kłopotów. W tym roku jednak było inaczej. Wypływanie na połów nie opłacało się. Rybacy nie mogli miejsca sobie znaleźć, markotni i drażliwi.

Szymon, który nigdy nie poczuwał się do winy, gdy coś szło na opak, tym razem wiedział, że sam spowodował tak nieszczęsny stan rzeczy. Nie, nie chodziło o to, że deszcz pada dniami i nocami i że połowy są kiepskie — to nie była wina Wielkiego Rybaka. Ale tę zgorzkniałość i zgryźliwość

załogi spowodowało przecież jego zobojętnienie. Szymon przestał interesować się swoimi łodziami, czemuż nie mieli utracić zainteresowania i oni?

Spędzał czas samotnie i nie chciał z nikim rozmawiać. Ciężko mu było na sercu. Odkąd spotkał Jezusa, coraz mniej myślał o swojej pracy. Może to nieuniknione. Odkąd zajął miejsce u boku Cieśli jako Jego najważniejszy przyjaciel i pomocnik i zaczął kierować spokojnie tłumem, sprawnie utrzymywać porządek wśród rozgorączkowanych ludzi, dawna praca na łodziach — naprawianie sieci, splatanie lin, szorowanie pokładów — już go nie pociągała. Posiadanie żaglowców już go nie cieszyło, nie napawało dumą.

I co najgorsze, widział, że zraził sobie tych mężczyzn i chłopców, których przywiązanie i lojalność tyle dla niego znaczyły. W swym oddaniu dla niego poważnie się zachwiali. Hałaśliwy, bluźnierca, świętokradca, porywczy, wymagający Wielki Rybak był ich bożyszczem. Szymon urzeczony łagodnym głosem Jezusa zgoła im nie imponował.

Ale nie był to jedyny powód przygnębienia Szymona. Chociaż Szymon za nic nie wyznałby tego, w głębi serca nie pochwalał zanadto ostatnich poczynań Jezusa. Ciesiołka, na przykład. Wydawało się rzeczą właściwą, żeby Jezus jął się pracy zarobkowej na czas krótkiej zimy. Mógł dowiedzieć

### 344

się J<sup>e</sup>§° warsztacie ciesielskim można Jair, wyrazić uznanie, nawet przyjść któregoś dnia do Niego, oddać jakiś sprzęt do naprawy, zostać na pogawędkę.

Cóż, kiedy sprawy potoczyły się inaczej. Kto by przewidział, że Jezus

zgodzi się pracować w domu starego Ben-Szolema? Nie tylko poświęcał na to cały czas, dzień w dzień, ale z wyraźnym upodobaniem wykładał ściany i strop w bibliotece rabbiiego deseczkami z drzew oliwnych 12pięknym słoju — deseczkami tak doskonale dopasowanymi 13połączonymi, że ta płaszczyzna wyglądała, jakby była zrobiona z jednej ogromnej, wspaniałej tafli.

Szymon nie chciał, żeby Jezus to robił — przecież nic Jezusa nie zobowiązuje do oddania rabbiemu takiej przysługi. Co więcej, zapłata skąpa. Budowniczy miał czelność powiedzieć, że pracę w „świętobliwym domu” każdy powinien poczytywać sobie za wielki przywilej, nawet gdy nie dostaje żadnej zapłaty. Tak to właśnie jest z synagogami: zmuszają najlepszych rzemieślników, żeby pracowali za darmo. Rabbi jest biedny? Czyż nie ma swojego udziału z dziesięciny?

Ale jeszcze coś wielce rozjątrzało Szymona. Ben-Szolem nadal wzgardliwie odnosił się do Jezusa. Kiedyś po południu Szymon wstąpił do domu Ben-Szolema, żeby zobaczyć, jak postępuje praca Cieśli. Wkrótce potem przyszedł rabbi z Jairem, któremu chciał pokazać odbudowę domu. Widząc Szymona, zgryźliwie zapytał budowniczego:

— Czy ten człek jest tu zatrudniony?

I gdy zapytany potrząsnął głową przecząco, rabbi nasrożył się i rzekł:

— W takim razie powinien iść w swoją stronę.

Szymon odszedł zaczerwieniony z upokorzenia. Uważał, że Jezus mógłby stanąć w obronie przyjaciela. On na miejscu Jezusa cisnąłby narzędzia i porzucił pracę.-i niechby ten wstrętny stary rabbi zaczął szukać innego cieśli dość zdolnego, żeby ukończyć tę piękną wykładzinę!

Och, gdybyż Jezus był nieustępliwy! Posiada taką cudowną moc, mógłby z niej czasem korzystać, broniąc siebie i swojej sprawy. Właśnie! A także swoich przyjaciół, którzy dla Niego poświęcają wszystko.

345

Przypomniało się Szymonowi, co służebne w pałacu mówiły o dziwnym jakimś pluskwo jądzie, pustelniku uwięzionym za przepowiadanie, że nadchodzi Mściciel — ktoś, kto możnych zrzuci z ich tronów i podniesie ludzi niskiego stanu. Będzie miał topór i cep! niesprawiedliwych zetnie! Zmłóci! Obali! Teraz już widać, że Jezus nie żywi takich zamiarów. Chyba nadejdzie inny Pomazaniec.

Tamtej nocy Szymon okrężną drogą przez winnice tetrarchy podkraść się do nie strzeżonego więzienia i długo poważnie rozmawiał przez zakratowane okienko z wychudzonym więźniem. Stwierdził, że służebne mówiły prawdę. Jan wierzy w rychły sąd nad postawionymi wysoko złoczyńcami. Wstrząśnie to całym światem. Nie tylko prefekci i wysocy kapłani poniosą karę! Sam Cezar poczuje bicz gniewu.

Nazajutrz rano pytające spojrzenie Jezusa sprawiło, że Szymon opowiedział wszystko o swojej rozmowie z uwięzionym Janem. Ku jego zdumieniu i uldze Pan wysłuchał tego pogodnie. Milczał przez długą chwilę i w końcu powiedział:

- Rozmawiałeś z jednym z najodważniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek ten świat wydał. Ale Jan... przy całym swoim męstwie... nie rozumie, co to jest Królestwo... moje Królestwo. On sądzi, że aby wykorzenić wszelkie zło, Mesjasz uderzy i ześle karę na złoczyńców. Raz po raz od

początku świata ludzie gorliwi próbują zaprowadzić ład siłą. Moje Królestwo pokona zło dobrem. To droga niełatwa, przyjacielu, lecz jedyna.

- Trudno zrozumieć te słowa, Panie — wymamrotał Szymon.

Jezus uśmiechnął się łagodnie.

—Idź i porozmawiaj z Janem znowu — rzekł. — Po wiedz mu, co widziałeś na własne oczy: jak niewidomi odyskują wzrok, głusi zaczynają słyszeć, kaleki chodzić, ubodzy są pocieszeni dobrą nowiną... I powiedz mu, żeby nie czuł się rozczarowany.

Po południu zaświeciło słońce, niebo było błękitne. Wyglądało na to, że długa pora deszczów już minęła. Jezus ukończył swoją pracę w domu Ben-Szolema. Andrzej

346

załadował pożyczone narzędzia na wózek i obaj poszli zwrócić je Ebenezerowi. U starego cieśli Jezus zatrzymał się dość długo, mile z nim pogawędził i dał mu połowę zapłaty, którą otrzymał od rabbiego.

W drodze powrotnej Andrzej, wzruszony szczodrobliwym gestem Jezusa i wdzięcznością rozrzewnionego Ebenezera, wreszcie odzyskał głos.

- Niebawem będziesz znów przemawiał do rzeszy, panie? — zapytał.
- Jutro — odrzekł Jezus. — W Hammat. A potem pójdziemy do Kany.



Jak przewidywano, wiosna po długiej porze deszczów nastąpiła raptownie — zdawałoby się, chcąc nadrobić zwłokę — piękna i wonna.

Najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby tak obficie kiedykolwiek kwitły najróżniejsze polne kwiaty przy drogach i na zboczach wzgórz. Mało tego, kwieciami zajaśniały wesoło nawet miejsca, gdzie zwykle nie było roślinności, a jałowe obszary w dolinie Ezdrelon zmieniły się w pastwiska.

Pracę na roli ledwie zaczynano, gdyż pola nie obeschły dostatecznie, by je orać, ale na zachodnim wybrzeżu jeziora Genezaret ktoś żywy, z wyjątkiem obłożnie chorych, wybiegał uradowany z domu. Spośród wszystkich jednak serc w Galilei witających tę wiosnę najbardziej radosne było serce Estery.

Jak dotąd Estera wyznała powód swego upojenia tylko Dawidowi, który na to nalegał. Chciała powiedzieć Hannie i przyrzekła sobie, że któregoś dnia powie, ale wiedziała, że będzie to opowieść długa i trudna do uwierzenia, a Hanna wciąż jeszcze była przejęta tajemnicą swego cudownego powrotu do życia. Pomimo to Hanna widziała zmianę w sposobie bycia Estery; nieraz badawczo patrzyła swymi piwnymi oczami na rozpromienioną dziewczynę. Również i Szymon, napotykając świetlisty wzrok Estery,

zaintrygowany patrzył badawczo. Andrzej domyślał się, że ta promienność pozostaje w związku z uzdrowieniem Hanny, chociaż nie mógł odgadnąć,

w jakim, i z pewnością wolał o to nie pytać. Przecież Estera sama powie mu, jeśli zechce. Wiedział tylko, że ona od tamtego dnia zupełnie się zmieniła.

Nie od razu Esterze przyszło do głowy, że już nic jej nie zatrzymuje w Galilei. O tym, że tak nagle i ostatecznie zrezygnowała z niebezpiecznej zemsty, właściwie nie myślała w nie znanym dotąd poczuciu wolności. Nie żywiła też żadnych obaw, jakie mogłyby ją dręczyć, skoro wyrwała się z niewoli swojej przysięgi. Jezus rozkazał jej zdjąć to nieznośne brzemie, a Jezusa trzeba słuchać. Cokolwiek On mówi, ma rację.

Ale zdawała sobie sprawę, że wkrótce będzie potrzebować rady co do przyszłości. Zapewne rady samego Jezusa, powinna jednak czekać na odpowiednią sposobność. Tymczasem może się przydać Hannie jeszcze osłabionej po chorobie.

W pierwsze popołudnie bez deszczu Hanna zaczęła nalegać, żeby Estera odetchnęła świeżym powietrzem. Dziewczyna z wdzięcznością jej usłuchała i wyruszyła na przechadzkę w stronę siedziby Sadoków. Nie zamierzała pójść tam w odwiedziny; przynajmniej tak sobie mówiła wchodząc do ogrodu. Wkrótce jednak spotkała przechadzającego się Dawida. Wyraźnie rad, że ją widzi, Dawid podszedł do niej, poprowadził ku ławce.

- Bardzo chciałbym porozmawiać z tobą, moje dziecko — powiedział. — Byłaś, zdaje się, obecna przy tym dziwnym wydarzeniu z Hanną. Ciekaw jestem twojego zdania. Sąsiedzi wierzą, że stał się cud. Co ty powiesz, Estero?
- Hanna była umierająca, panie — odrzekła Estera stanowczo. — Wszyscy o tym wiedzieli. Wystarczyło ją

zobaczyć, żeby nie mieć co do tego żadnych wątpliwości.

- Myślisz więc, że ten Cieśla Jezus ją uzdrowił? Wi działaś to? Co On zrobił? Co powiedział?
- Cieszę się, panie, że pytasz mnie o to. — W ochryłym głosie dziewczyny brzmiało podniecenie. — Ja widziałam. Tylko mnie jedną poprosił, żebym została, gdy ją uzdrawiał. I mnie uzdrowił także — dodała impulsywnie.

348

—Ciebie?! — wykrzyknął Dawid. — A co ci dolegało?

Zdecydowała się wyznać całą prawdę. Słuchał pochylony, z brwiami ściągniętymi. Raz przerwał pytaniem: — Powiadasz, że nazwał cię Farą? Przytaknęła powoli.

- Nazwał mnie Farą, jak gdyby znał mnie od dawna i był przyzwyczajony do nazywania mnie tym imieniem.
- Pewnie więc myślisz, że On wszystko wie o tobie... i o twojej sprawie w Galilei.

Zwlekąca z odpowiedzią. Patrzył jej w oczy.

- Ja myślę, panie — szepnęła — że Jezus wie wszystko! Wszystko o mnie! Wszystko o każdym!
- Mów dalej, proszę. Już nie będę ci przerywał.

Tak zachęcona Estera zaczęła opowiadać o swoim przeżyciu, ale gdy skończyła mówić i spojrzała w przymrużone oczy starego prawnika, potrząsnęła głową, rozczarowana.

- Obawiam się, że mi nie wierzysz, panie — powiedziała z westchnieniem.

- Obawiam się, że ci wierzę, córko — wyznał Dawid.  
— Chociaż cały mój umysł protestuje przeciwko wiarygodności takich rzeczy, dowód, który widzę tutaj, jest zbyt mocny. Cokolwiek się stało z Hanną, nie ulega wątpliwości, że z tobą również coś się stało! Masz to w oczach, w głosie, w uśmiechu! Jesteś nową istotą! Przeobrażoną!

Rozmawiali dotychczas po aramejsku. Estera bowiem chciała powtórzyć słowa Jezusa tak, jak zostały wypowiedziane. Teraz na tę niespodziewaną uwagę Dawida odpowiedziała po grecku. Ze szczerą przyjemnością Dawid wpatrywał się w jej ruchliwe usta. Nieczęsto w ostatnich czasach słyszał ten melodyjny język, ale też zachwycił go i bawiła nowa, swobodna pewność siebie, brzmiąca w głosie Estery.

Co począć dalej? To jest pytanie. Zwierzała mu się, jak gdyby była jego córką. Hannie wkrótce już nie będzie potrzebna. Do pałacu wrócić nie chce. Nie ma dla niej nic do roboty w Galilei.

— Przecież twój przyjaciel Woldi wkrótce znów tu przyjedzie — podsunął Dawid. — Wróc z nim do Arabii.

Estera spochmurniała.

349

- Nie mogę tego zrobić Woldiemu.
  - No, nie musisz się decydować zaraz — rzekł — Dawid uspokajająco. — Gdy się nie wie, co uczynić, zwykle najroztropniej jest nie czynić nic, tylko czekać na oświecenie. Może powinnaś porozmawiać z Jezusem... Tak czy inaczej zostań tu, dopóki Woldi nie przyjedzie. Wszakże mu to

obiecałaś.

Ale Woldi niestety nie mógł przyjechać.

- Tyle uprzejmości okazano mu w Cezarei w czasie jego pierwszego tam postoju, że pewna okoliczność uszła jego uwagi — otóż swobodę, jaką się tam cieszył, zawdzięczał swoim powiązaniom z prokonsulem Mencjuszem.

Teraz wrócił do Cezarei sam, nic więc dziwnego, że władze zaczęły na nowo interesować się jego posunięciami. Mile został powitany w zajezdzie „Agryppa” i dostał

najlepszy pokój, ale gdy na pytanie, jak długo zamierza zostać, odpowiedział, że do końca zimy, uznano za swój obowiązek zawiadomić o jego przyjeździe prefekturę, która

lubiała wiedzieć, co mają do załatwienia przyjezdni cudzoziemcy.

I Z zasady prefektura interesowała się każdym Arabem, nawet niepozornym. A Woldi rzucał się w oczy. Sprawiał wrażenie uprzywilejowanego, był dobrze ubrany, jeździł na wspaniałym, kosztownie przyozdobionym koniu. Miał mnóstwo pieniędzy. Ale nie miał żadnych znajomości wśród kupców i nic nie kupował.

Toteż trzeciego dnia po przybyciu do Cezarei Woldi otrzymał grzeczny list z prośbą o stawienie się w kancelarii prefekta w pretorium. Rozmowa ni mniej, ni więcej tylko z samym prefektem Sergiuszem rozpoczęła się w nastroju raczej serdecznym, wkrótce jednak okazało się, że to nie przelewki. Na wezwanie przyszedł kapitan straży pretoriańskiej, żeby się

przysłuchiwać, a jakiś uczenie wyglądający skryba zaczął notować. Prefekt pytał grzecznie, jak przystało badać cudzoziemca szlachetnie urodzonego, już bowiem ustalono, że ten przyjezdny jest wnukiem Miszmy, głównego doradcy króla Arabii.

350

prefekt rad byłby wiedzieć, po co i do kogo młody Arab przyjechał do Cezarei i jakie są jego dalsze plany.

Na takie śledztwo Woldi nie był przygotowany. Wymyślona naprędce historyjka nie trafiła do przekonania chytremu staremu Rzymianinowi, który dosyć już w życiu nasłuchał się kłamstw i dosyć sam nakłamał, żeby poznać się w lot na nieudolnej improwizacji.

— A zatem... przyjechałeś, panie, do Tyberiady po to, by obejrzeć stare rękopisy, będące własnością tetrarchy — powiedział Sergiusz oziębłe — ale wiadomo ci było, że jego wysokość wyjechał. Na jakiej podstawie zakładałeś, że zostaniesz dobrze przyjęty pod nieobecność jego wysokości?

Woldi udając zakłopotanie wyjaśnił, że pragnął nade wszystko zobaczyć owe zwoje papirusów, które przecież powinny znajdować się w jakimś miejscu dostępnym dla ogółu; dodał, że Lizjasz, zarządca, przyjął go bardzo uprzejmie.

Stary prefekt cynicznie prychnął i wycedził:

— Twoje zainteresowanie literaturą jest, jak widać, poważne. Dotychczas nie słyszałem, żeby mężom z twojej ojczyzny tak bardzo zależało na oświeceniu. Powiadasz, że wśród tych zwojów, które przyjechałeś obejrzeć, są podobno rękopisy Arystotelesa. Iluż to Arabów wie cokolwiek o pis

mach Arystotelesa? Założę się, że nawet wasz król Zendi nie zna greki na tyle, by porozmawiać z gubernatorem Petry.

Woldi uśmiechnął się i odpowiedział:

— Na tyle chyba zna.

Sergiusz parsknął śmiechem, ale zaraz znów z powagą podjął badanie.

- No cóż, młody przyjacielu, wszystkim wiadomo, że Arabia żywi urazę do tetrarchy Antypasa, i to uzasadnioną, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Wasza rodzina królewska została przez niego poniżona, a ty chcesz korzystać z gościnności jego pałacu. Tego nie rozumiem. Czy aby na pewno nie byłeś tam na zwiadach w jakimś szczególnym celu? Powiedz mi, proszę, dokąd zamierzasz się udać, gdy wyjedziesz z Cezarei?
- Pojadę z powrotem do Arabii, panie — skłamał Woldi.
- Dobrze — warknął prefekt. — Bacz tylko, żeby nic

351

nie pokrzyżowało ci tego planu. W obrębie miasta możesz poruszać się swobodnie. Gdybyś jednak się zdecydował pojechać znów do Tyberiady, okazałbyś bardzo kiepskie rozeznanie. — Wstał i zwrócił się do kapitana straży: — Dostałeś rozkaz, Malusie. Ten młodzieniec ma wyjechać z Cezarei zgodnie ze swym zamiarem prosto do ojczyzny.

Potem Woldi wciąż miał niemiłe uczucie, że czyjeś oczy go obserwują, i na każdym kroku przyjmował pełne uszanowania saluty straży miejskiej. Strażnicy uśmiechali się uprzejmie podnosząc

włócznie, gdy spacerował w okolicy portu. I nieodmiennie spotykał konne patrole, gdy jeździł na Dariku, co zdarzało się prawie co dzień.

W pewien ponury poranek, przechadzając się po ogólnych salach zajazdu „Agryppa”, nagle zobaczył przed sobą starannie ubranego urodziwego Rzymianina, swego rówieśnika, który zapytał bez ogródek:

- Ty jesteś tym Arabem, prawda?
- No, tym może nie — wycedził Woldi — ale owszem, jestem Arabem.
- Na imię mi Feliks — powiedział młodzieniec.
- Tak?! Mogę ci w czymś pomóc? — zapytał Woldi niedbale. — Jeśli mogę, chętnie to uczynię. Nie mam zbyt wiele do roboty.
- Ojciec mówił mi o tobie. Mówił, że nikogo nie znasz w Cezarei, więc pewnie odczuwasz brak kogoś, kto by poświęcił ci trochę uwagi. Mój ojciec jest prefektem.

Woldi uśmiechnął się szeroko.

— Feliksie, to zacne z twojej strony — powiedział. — Czuję się samotny i miejsca tu sobie nie mogę znaleźć, chociaż muszę przyznać, że twój ojciec poświęcił mi już mnóstwo uwagi. Ilekroć się odwrócę, trudno mi nie nadeprnąć na nogę strażnikowi.

Z kolei młody Rzymianin był rozbawiony.

— Niech cię to nie trapi! Zamożni cudzoziemcy w Ce



zarej zawsze są pod nadzorem. Ale ja nie jestem strażnikiem i osobiście mnie nie obchodzi ani dokąd jedziesz, ani co knujesz... Tak mi przyszło na myśl, że może byś się przejechał ze mną po mieście... dla zabicia czasu.

352

I

— Bardzo chętnie! — Woldiego ucieszyła ta propozycja. — Ale nie wolno mi wyjeżdżać z Cezarei żadną z dróg na północ.

Feliks przytaknął, co znaczyło, że dobrze wie o tym.

— Podejrzewają, że bardzo ci zależy na poznaniu tetra rchy Galilei. Mój pater się zastanawia, dlaczego... i tak dalej. Antypas to szubrawiec, wrzaskliwy, butny stary pozer. Z pewnością nie przypadłby ci do serca.

Rzymianin mówił ironicznie i błyskiem oczu zachęcał Araba, żeby podobnie wypowiedział się o Antypasie. Woldi jednak niczym nie okazał zrozumienia. Ten życzliwy syn prefekta może nie jest donosicielem, lepiej jednak nie ryzykować.

— Możliwe — rzekł Woldi obojętnie. — Trudno się spodziewać, żeby każdy przypadł do serca każdemu.

Feliks zachichotał ubawiony tak otwarcie wykrętną odpowiedzią.

— Pokonałeś mnie! — stwierdził. — No, ruszajmy na przejażdżkę. Trochę się rozpogodziło. Przyrzekam, że nie będę cię zadrecał Antypasem. I gdy go spotkasz, możesz mu poderżnąć gardło... daję ci na to moje błogosławieństwo.

Siedziba prefekta była niedaleko. Prowadząc Darika, poszli do przestronnych stajen Sergiusza, gdzie stajenny wyprowadził z boksu piękną gniadą źrebięcę. Feliks sprawdził, czy popręg nie za ciasny. Woldiemu to się podobało. Powszechnie uważano w Arabii, że Rzymianie nie troszczą się o swoje konie, Feliks się troszczył.

- Chyba widzisz, że ta klacz to arabka — powiedział.
- Tak — odrzekł Woldi. — Wiem, z jakiej stadniny. Prawdopodobnie kupiłeś ją w Damaszku.
- Ojciec kupił. — Dosiedli wierzchowców i skierowali się ku ulicy. — Słyszałem, że kiedyś co rok w Jerozolimie ustalonego dnia wy, Arabowie, wystawialiście na sprzedaż znakomite zwierzęta, teraz jednak już tego nie robicie.
- Wielbłądy zaczęliśmy znów wystawiać na tej aukcji w Jerozolimie... w żydowską Pięćdziesiątnicę — wyjaśnił Woldi. — Ale konie nadal sprzedajemy w Damaszku.
- Dlaczego? — chciał wiedzieć Feliks.
- Może dlatego, że Żydzi nie interesują się końmi tak

23 — Wielki Rybak

353

bardzo. — wysunął przypuszczenie Woldi. — Syryjczycy płacą lepsze ceny.

Wolno jechali traktem przybrzeżnym, biegnącym na południe.

- Opowiedz mi o aukcji wielbłądów — poprosił Feliks.
- Nigdy na niej nie byłem — przyznał Woldi. — W ogóle nigdy nie byłem w Jerozolimie.
- Co to jest Pięćdziesiątnica?

- Nie wiem. Jakieś żydowskie święto w pięćdziesiąt dni po... po czymś tam, zapomniałem, po czym.

Feliks przez chwilę liczył na palcach i uznał, że to może być pięćdziesiąt dni po święcie Paschy. Woldi przytaknął bez zainteresowania. Zniecierpliwione wierzchowce zaczęły zwawo kłusować. Po dość długim milczeniu Feliks ściągając wodze klaczy powiedział:

—A wiesz, skąd ja przypadkiem wiem o tych dorocznych ceregielach z Paschą? Tetrarcha zawsze wraca na to święto wiosną. Kiedy tu jest zima, on siedzi w Rzymie, gdzie zjawia się razem z jaskółkami około Id Marcowych, a potem jeszcze bardziej okazale wraca do Jerozolimy. Myślałby kto, że to sam cesarz przyjechał. Ma tam swoje niby przedstawicielstwo; sprawuje sąd przez parę tygodni, świętuje Paschę i śpieszy z powrotem do Tyberiady na lato... Ale przypuszczam, że tobie o tym wiadomo.

Woldi słuchał nie okazując ani trochę zaciekawienia i raptownie zmienił temat rozmowy. Stajenni w zajeździe „Agyryppa”, stwierdził, dobrze zajmują się Darikiem.

- Widzisz, jak mu skóra błyszczy.
- Prawdopodobnie karmią go jajkami — powiedział Feliks. — Słono zapłacisz za ten połysk Darika... Antypas już lada dzień przyplynie. Barką cesarza. Może będziesz miał okazję go zobaczyć.
- Tyle wysiłków marnujesz dla mnie, Feliksie — oświadczył Woldi gniewnie. — Moja sprawa w tym kraju nie ma nic wspólnego ze starym Herodem Antypasem. Zakładasz, że

skoro jestem Arabem, muszę żywić jakieś zamiary wobec tetrarchy. Ale ja tu przyjechałem w zupełnie innej sprawie.

- Widzę, że nie chcesz mi powiedzieć — w głosie Feliksa brzmiał wyrzut. — A może mógłbym ci pomóc.

354

— Może tak... może nie — powiedział Woldi. — Zoba czymy. Tymczasem nie mówmy już o Antypasie. Cóż mnie on obchodzi?

Feliks żartobliwie nadąsa— się jak dziecko.

- Mnie byś nie kłamał, prawda, Woldi? — zapytał.
- Niemądryś — burknął Woldi. — Oczywiście, że kłamałbym i tobie, gdybym miał powód po temu.
- No... w każdym razie jesteś szczery. — Feliks parsknął śmiechem.

— Nie bądź tego zbyt pewny, synu — ostrzegł Woldi.

Feliks pojął, że próbował zaspokoić ciekawość w sposób niewłaściwy. Ten Arab, chociaż dosyć sympatyczny, nie da się wyciągnąć na żadne zwierzenia. Stanowcza powściągliwość Woldiego sprawiła, że syn prefekta poczuł się smarkaczem przy swym małomównym znajomym ze wschodnich gór.

Przyjaźń dojrzewała powoli. Po szermierce słownej, w której młody Rzymianin zbyt pochopnie wypytywał Woldiego, zmuszając go do upartej obrony, stwierdzili, że niełatwo im rozmawiać swobodnie. Feliks na prośbę Woldiego zaczął mówić o sobie. Jego ojciec został mianowany prefektem Cezarei przed pięciu laty po długiej służbie w stopniu

kapitana straży pretoriańskiej w Rzymie. Feliks ukończył tam kursy w Akademii Wojskowej i niedawno przyjechał do rodziców. Wyznał Woldiemu, że nie cierpi Cezarei i nudzi się śmiertelnie. Ojciec obiecuje, że pozwoli mu wrócić do Rzymu „za rok, za dwa lata”, ale chce, żeby on dobrze poznał warunki życia w Cezarei. Nie powiedział, po co. Woldi jednak mógł się domyślić. Cesarstwo czyni przygotowania do pełnego podboju Palestyny i Feliks prawdopodobnie ma brać w tym udział.

Podtrzymując tę rozmowę, Woldi zauważył, że istotnie w Cezarei musi być nudno w porównaniu z pełnym wrażeń życiem w stolicy.

- Ja umieram z nudów! — westchnął Feliks po chwili smętnej zadumy. — Może dlatego tak niedyskretnie wnikam w twoje osobiste sprawy. Instynkt mi mówi, że wplątany jesteś w jakąś walkę, przygodę i...
- I chcesz w niej uczestniczyć — dopowiedział mu Woldi.

355

Od tej chwili chyba rozumieli się lepiej. Złożyli broń. Feliks codziennie przychodził do zajazdu „Agryppa” i czuł się w izbie Woldiego jak w domu. W pogodne dni jeździli konno. Było to niezwykle koleżeństwo, wynikające głównie z ich samotności, znudzenia i potrzeby jakiejś odmiany. Feliks bardzo źle mówił po aramejsku i nie ukrywał, że gardzi tym językiem; był uszczęśliwiony, gdy Woldi popisywał się swoją greką.

- Wybierzesz się kiedyś do Rzymu — powiedział pewnego dnia Feliks. — Pokażę ci jedyne miasto, które się rzeczywiście liczy... na całym świecie jedyne! Znasz tam kogo?

- Nikatora Mencjusza — odrzekł Woldi.
- Naprawdę? To jeden z najserdeczniejszych przyjaciół  
mojego ojca. Jak go poznałeś?

Woldi pokrótce mu opowiedział, zadowolony w głębi duszy z przyjaźni prokonsula z prefektem. Może mu się przydać, gdyby popadł w jakieś tarapaty.

Długa nieznośna zima wreszcie dobiegła końca i nastąpiła wiosna. Woldi wprost szalał z niecierpliwości, biedząc się, w jaki sposób pojechać do Fary. Przecież Fara spodziewa się jego przybycia — będzie czekała na próżno i myślała, że z niej zrezygnował, wrócił do Arabii.

W pewne słoneczne popołudnie w salach zajazdu „A-gryppa” rozeszła się wiadomość, że wypatrzone na horyzoncie „Augustę”. Wszyscy pospieżyli do portu, żeby zobaczyć, jak zawija ten piękny statek cesarza, gdyż interesowano się przyjazdem tetrarchy wraz ze świtą i jego paradnym wyruszeniem w podróż do Jerozolimy.

Woldi uznał, że to warto obejrzeć. Ale gdy dotarł do zatłoczonej przystani, „Augusta” stała na kotwicy i dostojni pasażerowie już odjeżdżali ze swymi gośćmi — jak wynikało z czyjejś prowadzonej półgłosem pogawędki w tłumie — Rzymianami zaproszonymi na lato.

Feliks tego dnia rankiem nie odwiedził Woldiego w zajeździe. Teraz szedł w jego stronę, ale tak jakby go nie znał. Mijając go, nieomal ocierając się rękawem o jego rękaw, szepnął:

— Tu nie miejsce dla ciebie. Lepiej stąd idź!

356

Ta szorstka odprawa zirytowała Woldiego. Miałby odejść pokornie jak pies, któremu każą wracać do domu? Nigdy! Rzymianie strasznie lubią

rządzić, nawet Feliks, też jest dobry! Woldi rozzłościł się, ale po chwili przestał myśleć o tym, tak urzekło go paradne widowisko na przystani. Cyrk tetrarchy odjeżdżał, publiczność się rozchodziła. Nagle, gdy Woldi wolno posuwał się z ciżbą, dwaj wysocy strażnicy pretoriańscy podeszli do niego z obu stron.

- Proszę wrócić do zajazdu „Agryppa” — powiedział starszy z nich — i pozostawać tam aż do odwołania.
- Wolno wiedzieć, co ja zrobiłem? — zapytał Woldi, rozdrażniony.
- Nic, panie — odrzekł strażnik. — Prefekt wszelako woli trzymać cię pod ścisłą obserwacją, dopóki tetrarcha Antypas nie wyjedzie z miasta.

Woldi wzruszył ramionami, jednak nie protestował — czuł się jak mały chłopiec, który dostał porządne lanie i wie, że we własnym interesie powinien być już grzeczny. Spokojnie szedł ku ulicy, gdy ci dwaj pretorianie go eskortowali — w oddaleniu pełnym uszanowania, to musiał przyznać. Zważywszy okoliczności, Sergiusz nie obszedł się z nim zbyt surowo. Woldi pojął, jak bardzo był nieroztropny, przychodząc na przystań, i teraz przeklinał tę lekkomyślność. Przyspieszając kroku wrócił do zajazdu, gdzie natychmiast udał się do siebie. W kilka minut później zapukał służący, żeby przyjąć zamówienie na wieczerzę.

—Jeśli się nie mylę, mamy ci podawać w twoich komnatach, panie — powiedział służący.

Przez całe trzy dni, gdy uprzejmie, wśród zbytku trzymano Woldiego w zamknięciu, Feliks się nie pokazywał — nie wiadomo, czy wskutek ojcowskiego zakazu, czy może dlatego, że oburzyło go zuchwalstwo

przyjaciela. Rankiem czwartego dnia służący stawiając przed Woldim tacę ze śniadaniem powiedział:

- Jeśli się nie mylę, panie, obiad będziesz dziś jadł w sali.
- Tak — odrzekł Woldi, jak gdyby już go o tym zawiadomiono.

357

Jeszcze siedział przy śniadaniu, gdy przyszedł Feliks. Ponuro skinął głową, syn prefekta usiadł przy nim.

—Narobiłeś sobie nieliczego kłopotu tym, że przyszedłeś do portu — warknął. — Teraz wciąż będą cię śledzić. I ojciec będzie zły, gdy mu doniosą, że przebywam w twoim towarzystwie. Dla mnie to jest najgorsze.

Woldi lekko poczerwieniał słysząc tę reprimendę. Chciał odciąć się gniewnie, ale w braku argumentów odpowiedział tylko:

—Popełniłem błąd, Feliksie. Ze względu na własny spokój chyba powinieneś unikać mnie, dopóki twój ojciec omnie nie zapomni.

—Mój ojciec o niczym nie zapomina — oświadczył Feliks. — Ma pamięć słonia... No, pójdę już. Jeśli przez kilka dni się nie pokażę, będziesz wiedział, dlaczego. — Wstał i już od drzwi powiedział: — Spodziewam się, że teraz nabierzesz rozsądku, Woldi. Nudno mi bez ciebie.

Woldi przytaknął, uśmiechnął się ze zrozumieniem. Gdy drzwi za Feliksem powoli się zamknęły, zaczął rozpatrywać straszną sytuację, w którą tak niebaczenie się wpakował. Uświadomił też sobie, że koleżeńska



życzliwość młodego Feliksa znaczy dla niego więcej, niż myślał.

Piękne wiosenne dni były nieskończenie długie i puste. Co dzień rano, nieraz o świcie, Woldi dosiadał Darika i wyruszał na przejażdżkę po trakcie przybrzeżnym. W porze śniadania wracał do „Agryppy”. Studiował mapę okolic. Pragnąc nade wszystko, żeby Fara nie poczuła się zwolniona od podjęcia decyzji co do swojej przyszłości z nim, zaczął planować szybki wypad do Betsaidy. Wyruszając wczesnym rankiem i pędząc z największą szybkością, na jaką stać Darika, może by zdołał odbyć tę podróż tam i z powrotem w ciągu trzech dni. Będą go poszukiwać, to nie ulega kwestii, ale on wróci do „Agryppy”, zanim go znajdą; taką miał nadzieję.

W myśl starannie obmyślonego planu tej zuchwałej wyprawy Woldi przemknął koło zaspanego nocnego stróża, gdy jeszcze było ciemno, i wolnym kłusem wyjechał z miasta drogą biegnącą na południe. Potem już galopem zboczył na nie uczęszczaną ścieżkę, która zakręcała ostro na wschód do

358

Antipatis, skąd skierował się na północ zarośniętym starym szlakiem osłów. Dzień był upalny, a Darik nie zaprawiony do takich wycieczek, ale Woldi go nie oszczędzał. Jak dotąd, wszystko dobrze. Nie ścigają.

Późnym wieczorem poprosił o nocleg w brudnej gospodzie podobnej do pamiętnej nędznej budy w Megiddo. po wytarciu i nakarmieniu wyczerpanego Darika rzucił się w ubraniu na słomę i zasnął.

Nazajutrz rano dwa patrole konne aresztowały go, gdy wyjeżdżał z

gospody, i powiodły najkrótszą drogą z powrotem do Cezarei. Zaprowadzono go do więzienia, gdzie oskarżony o pogwałcenie zarządzenia prefekta miał czekać na proces. Nie zakuto go w łańcuchy i celę dostał stosunkowo wygodną. Jedzenie dawano mu proste, ale znośne. Okienko z grubą kratą było za wysoko, by mógł wyrzeć przez nie. Nie miał nic do czytania.

Gdy zapytał, czy rychło stanie przed sądem, strażnik odpowiedział:

— Niedobry czas wybrałeś na sprzeciwianie się prefektowi. On dzisiaj rano popłynął na „Auguście” do Rzymu. Jednakże — dodał dowcipnie — jesteś jeszcze młody, a zresztą lepiej jest tutaj niż tam, gdzie może znajdziesz się później. Prefekt Sergiusz, chłopcze, to nie jest człowiek, z którym można igrzać. Niejednego już kazał stracić za mniejsze przewinienie niż twoje.

## 15

Tydzień dorocznych świąt Paschy miał zacząć się nazajutrz. Antypas, który zawsze niecierpliwie i z przyjemnością czekał na świąteczne uroczystości, igrzyska i pochody, tym razem był perspektywą tych świąt strapiony. Jego goście z Rzymu podejmowani w przedstawicielstwie Galilei tak już się nudzili, że swego niezadowolenia wcale nie kryli przed gospodarzem. Antypas zrozumiał, że popełnił błąd zapraszając tylu

359

Rzymian. Wystarczyłoby przecież parę osób, ale on — pomimo protestów Herodiady, nie przyjaźniącej się zbytnio z żadną kobietą w tym towarzystwie — przywiózł ich aż piętnaścioro.

Byli to: Marek i Aurelia Warusowie i ich córka, do niedawna żona konsula Narro, który rozwiódł się z nią, bo za dużo czasu poświęcała Gajusowi; Juliusz i Paulina Fronto, ostatnio odwołani z Krety, gdzie Juliusz był prefektem; senator Maniusz Cotta, Neriusz i Brusilla Hispo; szczebiotliwa Waleria Flacca, przyjaciółka Salome; prokon-sul Fabiusz Tiro z żoną, plotkarką Amelią, i kapryśną, niespokojną młodziutką córką Flawią; Juniusz Meniliusz, legat w stanie spoczynku, długoletni przyjaciel tetrarchy; Tulusz Fadilla, bogacz niemłody i nieżonaty, oraz podstarzała, ale zalotna Julia Druzus, doprowadzająca Fadillę do szału natrętnym okazywaniem mu względów. Na pewnej uczcie w Rzymie mocno podpity Antypas zaprosił wszystkich w zasięgu swego głosu, żeby towarzyszyli mu w podróży powrotnej statkiem „Augusta”, i oto płacił za ten brak umiaru.

Zwykle tetrarcha bardzo przyjemnie spędzał miesiąc Nisan w Jerozolimie. Przedstawicielstwo Galilei dzięki temu, że Antypas nie szczędził na nie pieniędzy, było jedną z najpiękniejszych budowli publicznych w mieście, zbyt ogromną, nawiasem mówiąc, jak na swoje potrzeby. Tetrarcha cieszyłby się, gdyby poświęcano więcej uwagi jego przedstawicielstwu i jemu. Łaknął uznania tłumów. Łaknął tak dalece, że nawet kazał podejmować na wielkim placu przed wozownią patrole nocne po zejściu ze służby i w chłodne noce dostarczać drewno, żeby legionieści mogli się rozgrzać przy ognisku. Dowodem jego gościnności było też podawane im jadło. Nie da się jednak powiedzieć, żeby szczodroblliwość przysporzyła temu głupcowi wiele chwały. Żołnierze co noc ogrzewali sobie ręce, pałaszowali poczęstunek tetrarchy, pili jego wino i podszczyrywali służące, a przecież nadal uważano, że przedstawicielstwo

Galilei jest niepotrzebne.

Wspaniałomyślny tetrarcha udawał, że nie wie, jak oceniają go masy. Co rok przez miesiąc usiłował nadawać tej

360

instytucji doniosłe znaczenie. Z dumą i przyjemnością zabawiał się w sędziego. Przedkładane mu sprawy rzadko kiedy były rzeczywiście ważne, a jeśli takie się zdarzały, strona przegrywająca zawsze apelowała do Piłata, który gardząc Antypasem i jego pompatycznym małym trybunałem, z reguły wydawał wyrok wprost odwrotny.

Tetrarcha nie zrażony rozdmuchiwał to, co mu przyszło sądzić, ze śmieszną powagą roztrząsał zwykle pograniczne bójki Galilejczyków i Samarytan i wymierzał takie kary, jak, powiedzmy, obowiązująca obie strony naprawa drewnianego mostku na nie uczęszczanym szlaku osłów, której koszt miał wynieść pięćdziesiąt sykli. Zresztą Samarytanie i Galilejczycy często odwoływali się do sądu w sprawach jeszcze bardziej błahych. Co najmniej od pięciuset lat serdecznie się nienawidzili, chętnie więc korzystali ze sposobności, by w atmosferze napuszonego sądowego dostojeństwa obrzucać się wzajemnie wymyślnymi obelgami, nawet jeśli zadowolający wyrok kosztował więcej, niż był wart.

W ciągu wielu sezonów zimowych w Rzymie Antypas, nieraz odpowiadając na pytanie, jakie właściwie są powinności urzędowe tetrarchy Galilei, szczerze przyznawał, że gdy przebywa w Tyberiadzie, obowiązki jego nie są uciążliwe. Co innego, oczywiście, ten miesiąc, który co rok spędza w przedstawicielstwie. Pytany o szczegóły, zawsze przymykał oczy, potrząsał głową i podnosił rękę dając do zrozumienia, że są to nad wyraz poważne zadania. Tak też głupio pozwolił, by urosła

legenda o jego sądzie w Jerozolimie, skazującym zbrodniczych desperatów wszelkiego rodzaju, wywrotowców i zdrajców na straszliwe kary.

Teraz niemądry sekret Antypasa został odkryty. W przedstawicielstwie nie ma krwawych egzekucji. Goście z Rzymu przyszli pewnego dnia rano na rozprawę w sądzie i bardzo szybko gęsiego wyszli, przy czym aż po sklepienie wykładanej mozaiką wysokiej sali rozbrzmiewał ich szyderczy śmiech. Sąd tetrarchy, stwierdzili zgodnie z prawdą, jest kiepskim widowiskiem.

Już od trzech tygodni Antypas męczył się ze swymi nieznośnymi gośćmi. Nie cierpiał ich. Czy w Jerozolimie

361

nie mieli nic do roboty, nic do oglądania? Większość znała Grecję, wszyscy jeździli już do Egiptu. Cóż w świętym mieście mogło zainteresować tych, którzy widzieli Akropol czy ruiny Karnaku?

Antypas wychodził z siebie, żeby wynajdywać rozrywki znudzonym Rzymianom. Wydusił zaproszenie dla nich na obiad w Insuli, ale nie był to dobry pomysł. Poncjusz Piłat i jego żona Kalpurnia bynajmniej nie ukrywali, że ich gościnność jest obowiązkiem urzędowym, a nie przyjemnością. Poza tym atmosferę zatruwała od dawna jątrząca się wrogość pomiędzy Piłatem i Fronto; również Kalpurnii zgoła nie było potrzebne do szczęścia towarzystwo Herodiady, której niejednokrotnie już publicznie czyniła afronty. Prokurator, zawsze dosyć wyniosły, tym razem nawet nie zadał sobie fatygi, żeby udawać uprzejmość. Jeśli w ogóle okazał zainteresowanie gościom, to tylko Fadilli, któremu

spojrzał przeciągle w podpuchnięte oczy i powiedział:

—Tuluszu, brzuch ci rośnie, prawdopodobnie pijesz za dużo. Lada dzień dostaniesz udaru.

A teraz zbliżała się Pascha. Antypas wiedział, że od tych pogan trudno wymagać szczególnego przejmowania się świętem żydowskim. Najroztropniej będzie wywieźć ich z Jerozolimy, nim zaczną robić mu wstyd swymi lekceważącymi uwagami o starych obrzędach. Co prawda, wyjazd w takiej chwili będzie przejawem wielkiej obojętności ze strony tetrarchy. Trzeba jednak zaryzykować. Przedstawił Herodiadzie swój pomysł, ale jej aprobata raczej go nie uspokoiła.

—Można i tak — powiedziała Herodiada — przecież nie masz nic do stracenia.

Zwykle rodzina tetrarchy wraz ze switą wyjeżdżała po tygodniu Paschy, eskortowana do Tyberiady przez legion z Kafarnaum. Byłoby lekkomyślnością odbywać bez ochrony tę podróż górskimi szlakami Samarii, gdzie roiło się od rozbójników. Teraz, zważywszy, że tydzień świąteczny w Jerozolimie był zawsze czymś w rodzaju wakacji dla legionistów Juliana, Antypas miał wątpliwości, czy legat zechce odkomenderować ich z miasta w przeddzień świąt, nawet jeśli prokurator Piłat na to zezwoli.

362

I

Uznał jednak, że warto spróbować. Zwrócił się do Juliana, który, jak było do przewidzenia, stanowczo odmówił. W desperacji tetrarcha powiedział legatowi, że jeśli dostanie jedną centurię na swoje usługi,

będzie płacił każdemu z tych żołnierzy trzydzieści sykli dziennie. Nad tą kuszącą propozycją Julian obiecał się zastanowić. Tegoż dnia po południu odpowiedział, że nazajutrz o świcie odkomenderuje stu legionistów pod dowództwem zaufanego centuriona. Z głębokim westchnieniem ulgi Antypas wyjechał ze swoją karawaną z miasta przez Bramę Damasceńską. Teraz jego malkontenci, zamiast narzekać na nudę w murach przedstawicielstwa, będą mogli zabawiać się, jak tylko zechcą — jeździć konno, kąpać się we wspaniałym basenie, opalać się w ogrodach — i tym samym uwolnią gospodarza od odpowiedzialności za ich rozrywki.

Cóż, kiedy w kilka dni po przybyciu do Tyberiady okazało się, że goście również i tu grymaszą. W marmurowych stajniach tetrarchy było mnóstwo dobrych wierzchowców, ale oni utyskiwali, że nie ma dokąd jeździć, bo okolice nieciekawe. Panie chciały wiedzieć, dlaczego nie pływa się po uroczym jeziorze Genezaret: można by przecież odbywać wycieczki barką w poświęceniu księżycy przy muzyce, tańczyć. To dziwne, powiedziały, że tetrarcha dotychczas nie pomyślał o tym. No, teraz już za późno.

Pod koniec miesiąca Nisan wszyscy się ze sobą kłócili. Salome rozeszła się z Walerią, która, żeby ją ukarać, przeniosła swoje względy na młodą pannę Tiro, co z kolei oziębiło stosunek Salome do Flawii. Wobec tego Amelia Tiro stając w obronie córki zauważyła — w obecności kilkorga próżniaków, nad słynnym basenem — iż Salome w żadnym razie nie jest odpowiednim towarzystwem dla młodej panienki, i oczywiście ten komentarz, chociaż nie wywołał niczyjego zgorszenia, nie przyczynił się do poprawy ogólnego nastroju, bardzo już burzliwego.

Julia Druzus, okrutnie odtrącana przez rozjątrzonego Fadillę, zaczęła okazywać poniewczasie siostrzane zainteresowanie Herodiadzie, która pamiętając doznane afronty brała teraz na niej odwet.

363

Antypas udawał, że jest zajęty zakładaniem nowej winnicy, i w duchu gardził nimi wszystkimi.

Zdana na własną pomysłowość Salome szukała pociechy w towarzystwie ojczyma i czyniła to tak ostentacyjnie, że wszyscy złośliwie komentowali ich wzajemne przywiązanie, a Herodiada była niemal gotowa ich oboje zabić. Ostatecznie ta nieszczęśliwa, spragniona męskich względów kobieta zaczęła odwiedzać pustelnika Jana w jego celi, przynosić owoce, kwiaty i schlebiać mu. Gdy stało się dla niej jasne, że prorok jest zbyt pochłonięty medytacjami, żeby ocenić ją należycie, wyzbyła się resztek fałszywej przyzwoitości i spróbowała uwieść ascetę, który wpadł wtedy w straszliwą furję. Rozgniewana jak jeszcze nigdy, uderzyła go w usta i zatrzaszcząc drzwi celi wrzasnęła, że dla niej on może tam zostać na zawsze — zgnić! Z oczami pełnymi łez litości nad sobą szła prawie na oślep przez nową winnicę. „Do czego to dochodzi — mamrotała. — Jakiś kudłaty obdarty dziad, nie wiadomo skąd, ośmiela się wrzeszczyć mi prosto w twarz, że jestem zwykłą ladaczną!” Fakt, że ów zarzut był zgodny z prawdą, nie łagodził jej oburzenia. Już ona się postara, żeby ten pluskwojad dostał za swoje!

Gdy znalazła Antypasa, który z zadowoleniem doglądał budowy altanek w drugim końcu winnicy, już ochłonęła z gniewu i była całkiem opanowana. Mąż powitał ją skinieniem głowy. Uśmiechnął się i zapytał, o co chodzi.



—Doprawdy, mój kochany — zaczęła — coś trzeba zrobić z tymi twoimi nieborakami.

Antypas przytaknął.

- Wiem — powiedział. — Z każdym dniem jest gorzej.  
— Po chwili rozchmurzył się nieco. — Może by wydać ucztę. Zorganizować coś zabawnego. Zaprosić kilka osób z miejscowej elity.
- Kogo na przykład?
- No... Jaira i jego ładną żonę, Adiel. Legata Juliana oczywiście. I może młody Józef z Arymatei mógłby przyjechać ze swoją siostrą, Tamar. I stary Dawid saduceusz... To uczony, bywał wszędzie. Jego znakomity przyjaciel Nikodem Ben-Gorion, który na starość zamieszkał w Kanie, chyba też przyjmie zaproszenie.

364

— Sami nudziarze.

— Można ich czymś rozruszać — zauważył Antypas.

W ciągu godziny rozesłał gońców z zaproszeniami, jak również zapłatę z góry dla kilku zawodowych komediantów, znanego magika z Cezarei, trupy harfistów w Jerychu, sławnej rodziny damasceńskich akrobatów i obdarzonej podobno niezwykłym głosem śpiewaczki w Kanie. Uczta miała się odbyć w dniu dwudziestym drugim miesiąca Igar, na urodziny tetrarchy, czyli za trzy tygodnie.

Taki był entuzjazm gospodarza, że goście z Rzymu nieco się ożywili słysząc o jego projekcie. Fadilla powiedział, że chętnie porozmawia ze starym światowcem, Dawidem saduceuszem. Julia Druzus nadal, pomimo

wielu odtrąceń, niepoprawnie romantyczna, przyparła do muru Herodiadę, żeby ją zasypać pytaniami o bogatego młodego Józefa, księcia Arymatei, na co Herodiada odrzekła lodowato:

— Julio, ze wszystkich idiotek, jakie kiedykolwiek znałam, ty jesteś najgłupsza.

Gdy gońcy wrócili, okazało się, że zaproszeni artyści są do dyspozycji — tylko śpiewaczka z Kany nie przybędzie, lęka się bowiem trudów podróży.

Gorzej było z zaproszonymi gośćmi, Józef, księżę Arymatei, i jego siostra Tamar żałują (czy też twierdzą, że żałują), ale nie mogą przyjechać. Znakomity Ben-Gorion cierpiąc na reumatyzm w ogóle nie opuszcza domu.

Legat Julian w myśl przewidywań przysłał odpowiedź, że czuje się zaszczycony, chociaż Antypas wiedział, że to jest kłamstwo i że jeśli kiedykolwiek będzie miał poważne kłopoty, Julian nawet palcem nie ruszy, żeby mu pomóc. Jair i Adiel przyjęli zaproszenie „z przyjemnością”, tak samo jak Dawid saduceusz, który nadmienił, że jego leciwa siostra Debora z uwagi na swe dolegliwości nie będzie mogła mu towarzyszyć. Antypas wobec tego wysłał do Dawida zdumiewająco miły list — podobno rodzina Sadoków ma uroczą młodą wychowanekę, będzie ona serdecznie w pałacu przyjęta. Stary prawnik odpisał, że w jego domu nie ma takiej osoby. Tetrarcha zirytował się, ale ostatecznie machnął na to ręką! W miarę jak zbliżała się data przyjęcia, sama myśl o tej

zabawie setnie go nużyła. Ci przekłęci Rzymianie będą kręcili nosami na taką mdłą, nieciekawą rozrywkę. Harfiści?! Akrobaci?! Kuglarze?! Też

coś!

Tymczasem — gdy Woldi martwił się w więzieniu, Antypas zaś nieświadomie przygotowywał wydarzenie, w wyniku którego jego imię miało być po wsze czasy wymawiane wszędzie z odrazą — całą Galileę poruszyła wieść, że Cieśla z Nazaretu pokazał się wraz z wiosennymi kwiatami i znowu przemawia do rzesz.

Nigdy jeszcze nie było takiego tłoku na gościńcach palestyńskich prowincji. Gromadziły się zdezorientowane i powodujące zamieszanie tłumy o wiele większe niż te, które szły za prorokiem i cudotwórcą w lecie poprzedniego roku. Napływały teraz z bardzo daleka, z głębi północnej Galilei i Perei, i z Samarii także, chociaż Samarytanie nie znosili Galilejczyków i tylko sprawy niezwyklej wagi mogły ich skłonić do przejścia przez granicę.

Ludzie przybywali pieszo i na osłach, w wozach i na noszach. Niektórzy roztropnie zabierali ze sobą namioty i prowiant, niektórzy mieli tylko derki i sypiali na ziemi, kupując, żebrząc albo kradnąc jedzenie. Zapobiegliwi handlarze korzystali z okazji, po bardzo wygórowanych cenach sprzedawali stęchły chleb, nieświeże ryby, słodczyce upstrzone przez muchy. Przy tych przekupniach ustawiali się wędrowni śpiewacy, wynędziali cudzoziemcy z oswojonymi niedźwiedziami i sparszywiałymi małpami. A tłumy rosły z godziny na godzinę.

Każda ścieżka, każda polna droga, każdy zarośnięty trawą szlak ośli były niejako dopływami gościńców, jak rzeki zlewających się w małej Kanie, gdzie ludność miejscowa gapiała się na coraz większe hordy obcych,

oszołomiona, niespokojna, czy stara studnia na rynku wytrzyma napór tej ciżby. Przedtem, gdy Jezus przychodził, witano Go serdecznie. Tym razem było trochę inaczej. Miejscowi nadal okazywali Mu życzliwość, ale woleliby mieć Go tylko dla siebie.

Nagle rozeszła się wszędzie zdumiewająca nowina, że

366

Cudotwórca z Nazaretu oczyszcza trędowatych! Latem zeszłego roku Jezus uzdrawiał ślepców, głuchych, kaleki. Takie kalectwa były godne ubolewania, ale nie zaraźliwe. Trąd to zupełnie inna sprawa! Trędowaty jest nie tylko skazany: jest niebezpieczny! Samo to słowo budziło strach! Nikt nie może się przed trądem zabezpieczyć — nikt, nawet ci możni, przyzwyczajeni do życia w czystości. W żadnym razie nie jest to wyłącznym monopolem brudnych obszarpańców. Żeby się zarazić, wystarczy wypić trochę wody z chochli bodaj dotkniętej przez jakiegoś trędowatego bez sumienia albo przypadkowo nadepnąć na wyrzucony bandaż.

Och, tak, są ustawy, wiele ustaw ma chronić ogół. Człowiek zarażony tą chorobą, choćby był wysokiego stanu, staje się na zawsze wyrzutkiem. Wolno mu zadawać się tylko z trędowatymi. Gdy spotka kogokolwiek na drodze, musi zboczyć w przydrożne zarośla i wołać: „Nieczysty!” Trąd to śmierć za życia, niszcząca stopniowo ciało.

Naturalnie więc na wiadomość, że Jezus leczy trąd, skwapliwie wyruszyli do niego trędowaci. Z dala od swych obozowisk mieli zwyczaj wędrować grupami po kilkanaście osób. Ilekroć taka gromada nadchodziła, w tłumie następowała zrozumiała konsternacja. Okrzyk: „Nieczysty!” na tyłach tłumu sprawiał, że nikt nie próbował tych chorych

zatrzymać. Legioniści, którzy mieli utrzymywać porządek, *zjeżdżali* z drogi, rzesza nie bacząc na zachowanie godności rozstępowała się szeroko. Wszyscy jednomyślnie uznawali konieczność' przepuszczenia trędowatych.

Toteż gdy pierwszy raz tak się stało, tylko dwaj ludzie czekali spokojnie, aż owa nieszczęsna gromadka podejdzie. Byli to Jezus i Szymon. Szymon zagryzł wargi i zacisnął swe duże pięści dla dodania sobie odwagi, ale został u boku Jezusa. Potem, gdy padły słowa, które trędowatych oczyściły, w przystępie radosnego uniesienia chwycił ich przywódcę za rękę. Oni już się odwracali, żeby odejść, z twarzami wykrzywionymi, nie wiadomo czy śmiejąc się ze szczęścia, czy płacząc. Jezus popatrzył na Szymona z serdecznym uśmiechem i wtedy łzy napłynęły Wielkiemu Rybakowi do oczu. Jezus nie powiedział mu nic, ale ten

367

uśmiech wyrażał uznanie. Andrzej, Jan, Jakub, Filip i Tadeusz, którzy wycofali się na bezpieczną odległość, podbiegli teraz do Szymona. Na ich twarzach malował się podziw. Nie ulegało już wątpliwości, że to on zasługuje na to, by stać najbliżej Pana.

Cichy, bojaźnią zdjęty tłum powoli zwarł swoje szeregi i słuchał znowu słów Jezusa. Nie nawiązując do cudu uczynionego przed chwilą, Jezus dalej mówił o bezpieczeństwie życia w wierze. Są, powiedział, dwie siedziby, z których jedną człowiek może wybrać jako miejsce dla swojego ducha. Pierwszy z tych domów jest zbudowany na opoce wiary: choćby padał ulewny deszcz i nawałnica szalała,

ten dom będzie stał mocno, bo jest wzniesiony na skale...

— Na petros — dodał dla Greków, którzy może byli wśród słuchaczy... — Drugi dom jest zbudowany na piasku: dobry na ładną pogodę, ale nie przetrwa burzy.

Wieczorem po odprawieniu ludzi do ich domostw czy obozowisk Jezus z gromadką towarzyszy zjadł wieczerzę, po czym wszyscy odpoczywali w zacisznym gaju na stoku wzgórza. Jezus siedział sam na uboczu, ponieważ był bardzo zmęczony. Ale przysłuchiwał się im, gdy zniżonymi głosami omawiali nadzwyczajne wydarzenia dnia.


Filip, zawsze dumny ze swoich greckich przodków i znajomości ojczystego języka, zastanawiał się:

— Gdzie on mógł sobie przyswoić greckie słowa? Wtrąca je tak często. Zauważyliście?... rzekł „petros”, gdy mówił o opoce.

Zbyli to milczeniem. Dostyc mieli greki Filipa.

Po chwili znów zaczęli omawiać cudowną moc Jezusa i snuć domysły, skąd ją bierze.

- Słyszałem dziś taką rozmowę w tłumie — odezwał się Andrzej. — Jeden ze starców z Nain powiedział, że Jezus na pewno jest wielkim prorokiem Eliaszem, który wrócił w człowieczej postaci.
- Dlaczego Eliaszem? — zapytał od niedawna należący do ich gromadki niejaki Judasz z miasteczka Iskariot.
- Może dlatego, że Eliasz kiedyś oczyścił z trądu — wyjaśnił Andrzej. — Nie pamiętasz? W Piśmie Świętym



jest o tym, jak Elizeusz oczyści! Naamana, możnego Syryjczyka; kazał mu się wykąpać w Jordanie.

Alfeusz zachichotał cicho na wspomnienie tej starej legendy.

- Naaman — rzekł — sprzeciwiał się zrazu, chciał się wykąpać... ale nie w Jordanie.
- Masz dobrą pamięć, Alfeuszu — stwierdził Jakub.
- Ojciec często nam to opowiadał — wyjaśnił Alfeusz. — Uważał, że to jest zabawne.
- Nasz ojciec — rzekł Andrzej powoli — uważał, że w Piśmie Świętym nie może być nic zabawnego.

Najwidoczniej nikt nie chciał rozważać tej kwestii. Milczeli długo, zanim rozmowa potoczyła się znowu.

— Prawie każdy chyba myśli — powiedział Jan — że Jezus jest przywróconym do życia jednym z tych dawnych proroków.

Mówił niegłośno, żeby nie zakłócać Jezusowi tak bardzo potrzebnego wypoczynku. Nagle usłyszeli zaskoczeni Jego pytanie:

— A wy? Co wy o Mnie myślicie? Kim Ja jestem?

Wszyscy spojrzeli na Szymona, który swoją odwagą wykazaną tego dnia po południu zasłużył, żeby zostać ich rzecznikiem. Po długim namyśle Wielki Rybak wstał i oświadczył:

— Panie... ja wierzę, że Ty jesteś Synem Bożym!

Cisza spadła na nich.

—Szymonie synu Jony — powiedział Jezus. — Odtąd imię twoje będzie Piotr. Petros... Opoka! Na twojej wierze zbuduję moje Królestwo!

O zmierzchu szóstego pełnego wydarzeń dnia w Kanie zdumiał Jezus swych towarzyszy oznajmieniem, że nazajutrz musi wrócić do Kafarnaum. Nie podał powodów tej decyzji ani też oni nie pytali, chociaż niezwykle się im wydawało to, że Pan, zamiast głosić dalej swoją naukę zadziwionej Jego czynami i słowami rzeszy w Kanie, postanowił odejść.

O brzasku wyszli z Jezusem na gościniec. Tylko Wielki Rybak został, żeby powiedzieć ludziom, gdy się zgromadzą,

24 — Wielki Rybak

że Jezus musiał niespodzianie udać się do Kafarnaum, ale wróci za parę dni. Kto chce, niech czeka, kto chce, niech zabiera się do domu. Przyjęto tę wiadomość rozmaicie. Ci, którzy przybyli ze swoimi chorymi z daleka, woleli czekać w Kanie. Wielu spośród niezadowolonej gawiedzi szukającej wrażeń wyruszyło z powrotem do domów. Setki jednak mężczyzn młodszych, zwinniejszych, pospieszyły natychmiast do Kafarnaum. Mogło tam wydarzyć się coś ciekawego, nie darowałyby sobie, gdyby ich to ominęło. I przez cały ten poranek coraz to nowe grupy decydowały się podążyć za nimi: tak więc długi rozwleczonej pochód w blaskach prażącego słońca sunął z Kany na północ, na zachodnie wybrzeże Morza Galilejskiego.

Piotr, wyczerpany pieszym marszem, dogonił Jezusa i Jego towarzyszy w pobliżu Hammat. Spodziewał się, że Jezus wyznał cel tej wędrówki, ale najwidoczniej tak nie było. Jezus szedł prędko na przedzie,



pograżony w myślach. Tamci, zbyt zmęczeni, milczeli.

Im dalej szli w ciszy, która wydawała się złowieszcza, tym bardziej niepokoiła Wielkiego Rybaka możliwość kłopotów w Kafarnaum. Niewątpliwie Jezus będzie przemawiał i kto wie, co może powiedzieć. Już tam wrogowie czyhają na sposobność zaszkodzenia Mu. Kapłani, starzy i młodzi, prawie jednomyślnie są przeciwko Niemu, debatują, odwołują się do Sanhedrynu, wysłali delegację do tetrarchy... No, i jest rabbi Ben-Szolem! Czy rabbi pamięta z odrobiną bodaj wdzięczności, jak pięknie Jezus przyozdobił jego dom? Oczywiście, że nie! Uparty, próżny, stary faryzeusz!... I Jair! Robotnicy we włościach Jaira często porzucają swoje motyki, żeby przyłączyć się do rzeszy, stłoczonej wokół Cieśli, ilekroć On przemawia. Niewątpliwie Jair był rad z tego, że Jezus odszedł z okolic Kafarnaum; teraz będzie się gniewać, że Jezus wrócił. Jair, gdyby tylko chciał, mógłby Jezusa uciszyć.

Na północnym przedmieściu Betsaidy Jezus szedł już wolniej i wtedy Piotr zrównał z Nim krok.

— Zatrzymam się na chwilę u Hanny — powiedział Jezus. — Ty możesz iść dalej z nimi. Spotkamy się w domku Andrzeja.

To mówiąc zboczył w cienistą ulicę.

Czołówka tłumu spieszącego za Jezusem z Kany, już prawie doganiając tę małą gromadkę, zatrzymała się teraz zdezorientowana. Wielki Rybak odwrócił się i dosyć szorstko zawołał, że Jezus poszedł do domu przyjaciół, żeby trochę odpocząć, niech nikt za Nim nie idzie. Większości to wystarczyło, ale kilkadziesiąt osób odłączyło się od pochodu i pobiegło cienistą ulicą. Wkrótce jeden po drugim wracał z niepewną miną. Jezus zniknął im z oczu, jak gdyby zapadł się pod ziemię. Ci, którzy nie brali udziału w tym polowaniu, dopytywali się: Co się stało z Cieślą? Odpowiedzi na to nie było... Sprawa została nie wyjaśniona. Zniknął w biały dzień! Przy dobrej widoczności we wszystkich kierunkach! Bardzo dziwne!

Andrzej zamyślony, z brwiami zmarszczonymi odwrócił się do starego Bartłomieja, prawie do cna wyczerpanego szybką wędrówką, i zapytał po cichu, niemal bojaźliwie:

— Jak ty to rozumiesz?

Bartłomiej potrząsnął głową, bezradnie przesunął językiem po spieczonych wargach i zachrypnięty odpowiedział:

— Chyba On nie chciał, żeby ktoś poszedł za Nim.

Rzeczywiście, jak Piotr dowiedział się później, Jezus\* wstąpił do domu jego teściowej, żeby odpocząć i zobaczyć się z Hanną po raz pierwszy od dnia jej uzdrowienia, ale to nie był główny cel tych odwiedzin. Po zapytaniu Hanny o stan jej zdrowia Jezus zwrócił się do Estery. Hanna

wyczuwając, że jest przy ich rozmowie zbędna, znalazła jakąś wymówkę i odeszła.

— Zależało mi na tym, żeby z Tobą porozmawiać, Panie — rzekła Estera. — Nie widzę powodu do pozostawania tu dłużej. Co powinnam zrobić? Dokąd pójść? Nie mam już ojczyzny ani żadnych planów, ani przyszłości.

Jezus nie odpowiedział na jej żarliwe pytania, tylko zaczął mówić o wielkich tłumach, które idą i będą szły za Nim dzień po dniu przez całe lato. Te rzesze wzbudzają współczucie. Tyle jest osób chorych sprowadzanych z daleka w upale, tłoku i zamęcie. Zrozpaczone młode matki, ze

371

swymi niewidomymi i kalekimi niemowlętami na ręku, przychodzą umęczone, głodne i brudne. Coś trzeba dla nich zrobić... — Urwał patrząc na dziewczynę błagalnie.

- Ja powinnam, Panie? — wyjąkała.
- Tak, Faro — odrzekł spokojnie. — Daję ci zadanie...  
i ojczyznę także.
- Ojczyznę? — zapytała.

—W moim Królestwie.

Odpowiedziała dopiero po długiej chwili:

- Będę się starała robić dla nich, co tylko zdołam,  
Panie. Ale wolałabym, żebyś mnie poprosił o oddanie  
jakiejś przysługi Tobie! Tak wiele Ci zawdzięczam!
- Moje dziecko — powiedział Jezus łagodnie — cokol

wiek zrobisz dla najmniejszej bodaj garstki tych potrzebu  
jących, uczynisz to dla mnie.

W ciągu paru godzin tłum coraz bardziej się powiększając dotarł do Kafarnaum. I cała wieś zbiegła się z pól i winnic, podwoiła tę rzeszę: było wiadomo, że stanie się coś doniosłego.

Nazajutrz wczesnym rankiem Piotr, Jakub i Jan stanęli na szerokich kamiennych schodach synagogi i czekali. Duży brukowany plac przed synagogą już się zappełnił niecierpliwymi ludźmi. Gdy trzej towarzysze Cieśli się pokazali, tłum zaczął napływać z bocznych uliczek i z nad pobliskiego jeziora.

Nagle wspaniałe drzwi świątyni się otworzyły. Ben-Szolem stanął na szczycie schodów i surowo rozkazał rzeszy rozejść się.

Nikt nie usłuchał. Tu i ówdzie w tłumie zabrzmiał bezczelny śmiech. Poblądły, drżący z gniewu starzec zawołał, że na tym placu stać nie wolno; nie wolno kalać świętego miejsca.

Gawiedź zaprotestowała groźnym pomrukiem. Ten i ów rozdrażniony, przykładając stulone dłonie do ust, wykrzykiwał:

- Odkąd ten plac jest świętym miejscem?
- To plac publiczny!

372

Jakiś podpity włóczęga z twarzą czerwoną od wina (pewnie Samarytanin, pomyślał Piotr) miał czelność wrzasnąć:

— Idź precz, siwobrody!

Ben-Szolem w bezsilnym oburzeniu potrząsnął pięścią, zebrał skraj szaty wokół swych chudych nóg i wycofał się, żegnany jeszcze

głośniejszym szyderczym śmiechem.

Piotrowi było przykro i smutno. Nie miał żadnego powodu, żeby Ben-Szolema lubić, ale takie znieważenie starca i uświęconego urzędu wprost go zabolalo. Tego już za wiele! Szkoda — myślał — że Jezus nie może sobie dobierać słuchaczy, wykluczyć nieokrzesanego motłochu, tej grubiańskiej hołoty z Samarii, tych nicponi macedońskich, tych brudnych, na pół dzikich Damasceńczyków. Słowo Pana marnuje się dla takich ludzi. Co przyjdzie z opowiadania o Królestwie miłości, o dobrej woli, o pokoju?

Rozwścieczony Ben-Szolem — a z pewnością ma on o co się gniewać — zwoła wszystkich swoich doradców i zażąda, żeby coś zrobili. Jair będzie musiał zawiadomić Juliana, dowódcę twierdzy. I Jezus zostanie pojmany, uwięziony niewątpliwie i poddany chłóście... Powinien był poprzestać na tym, czego dokonał w Kanie.

Wkrótce potem Jezus ukazał się na schodach synagogi i zaczął mówić. Najwyraźniej wiedział o grubiaństwach rzeszy i ubolewał nad nimi. Jego zadaniem, powiedział, jest pokazać światu — czyli każdemu człowiekowi — jak znaleźć zbawienie. Zważywszy wielkość celu, nie ma tu co rozmyślać o kosztach ani o marnotrawstwie. Jego posłannictwem, powiedział, jest zasiać wśród ludzi ziarno dobrej woli z nadzieją, że ostatecznie wszędzie plon pokoju. Wiele ziarna się zmarnuje. Część spadnie między chwasty i jeżyny, które je zaduszą, ale siewca nie może się zatrzymać i patrzeć za siebie żałując tego nadmiaru. Część ziarna spadnie na

kamienisty grunt, gdzie nie ma dość ziemi, która by je karmiła, młodziutkie rośliny uschną i zginą; ale siewca niech się nie przeraża. Część życiodajnego ziarna wszędzie! Przyjmie je życzliwie urodzajna gleba! Cisza była zupełna. Teraz nikt się nie uśmiechał, nawet najbardziej nieokrzesani

373

rozumieli, co Jezus daje do zrozumienia, mówiąc z naciskiem:

—Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha.

Nagle na skraju tłumu zapanowało poruszenie. Rozstępowano się, żeby przepuścić kogoś najwidoczniej dostojnego, kto chciał się dostać do Cieśli. Piotr, stojąc obok Jezusa o jeden stopień niżej, wykręcał szyję, żeby sprawdzić, czy go wzrok nie myli. Czyż możliwe, że ten energicznie rozpychający się pięknie przyodziany człowiek to Jair? A jednak to był Jair. Szedł do Jezusa. Na jego twarzy malowało się wzburzenie. Piotr patrzył z niepokojem. Zaraz spadnie cios.

Jezus umilkł i czekał. Jeśli się lękał, to niczym tego nie okazywał. Rzesza znieruchomiała, cicha, wyczekująca. Jair spojrział w przyjazne oczy Cieśli i podszedł tak blisko, że tylko ci, którzy stali tuż przy schodach, mogli usłyszeć, gdy powiedział:

—Panie... moja córeczka jest ciężko chora. Boimy się, że umiera. Błagam, pomóż nam!

Zanim Jezus *zdażył* odpowiedzieć, podbiegł zziajany Józef, zaufany sługa Jaira.

—Ona umarła, panie! — wyszeptał.

Jair zwiesił głowę, twarz miał zalaną łzami, gdy odwrócił się, żeby odejść. Jezus położył mu rękę na ramieniu i rzekł łagodnie.

- Pójdę z tobą, Jairze.
- Już za późno, Panie — głos Jairowi załamał się. —  
Umarła!
- Chodźmy! — rzekł Jezus.

Zdumiewające wskrzeszenie córki Jaira było znakomitą triumfem Cieśli. Nikt nie doceniał tego bardziej niż Piotr, który przedtem wątpił, czy Jezus czyni roztropnie wracając do Kafarnaum, gdzie mogą czekać Go poważne kłopoty. Teraz się okazało, że w Kafarnaum Jezus nie tylko nie jest zagrożony, ale dalej może nauczać bezpiecznie i spokojnie, jak nigdzie indziej w całej Galilei.

Możny Jair był wdzięczny Jezusowi niepomieranie. Jasno,

374

otwarcie opowiedział się za Cieślą, a zdanie Jaira miało swoją wagę. Znano jego mądrość i niezachwiany pogląd, że sprawiedliwość należy się każdemu. To, w co wierzył Jair, jCafarnaum przyjmowało bez zastrzeżeń.

Ben-Szolem znalazł się w niezręcznej sytuacji — przynajmniej na razie straciło wagę jego wrogie nastawienie. Gdy rozjątrzony obelgami, którymi go obsypały tłumy czekające na Cieślę, wycofał się ze sceny swego upokorzenia, bezzwłocznie wysłał gońców do doradców synagogi z wezwaniem na natychmiastową konferencję. Przybyli wszyscy z wyjątkiem Jaira, dowiadując się po drodze, że Jezus uczynił cud w domu głównego doradcy. Sam rabbi, jeszcze zanim zebrali się w jego pięknej bibliotece, też usłyszał tę dziwną nowinę, ale jak zwykle uparty zażądał osądzenia Jezusa jako odszczepieńca i mąciciela spokoju. Doradcy, pozbawieni swego rzecznika, milczeli zakłopotani.

Ben-Szolem, oburzony teraz ich widoczną obojętnością i niechęcią do podjęcia drastycznych kroków, porywczo złożył rezygnację. Nie wątpił, że w ten sposób postawi na swoim — przecież oni nie mogą dopuścić, żeby odszedł z ich synagogi!

Ku jego osłupieniu wszyscy dość długo milczeli, po czym wcale nie dyskutując wyrazili zgodę. Starzec zapłakał, gdy po cichu odeszli. Przez godzinę roztkliwiał się nad sobą, ledwie jednak łyzy mu wyschły, postanowił przedłożyć sprawę wyższemu trybunałowi. Wezwał służących, poczynił spieszne przygotowania i wyruszył do Jerozolimy.

Jednym z najbliższych jerozolimskich przyjaciół Ben-Szolema był stary Annasz, najwyższy kapłan, który niedawno przekazał stanowisko swemu zięciowi, Kajfaszowi. Przez wiele lat uczył się razem z Ben-Szolem w kolegium kapłanów. Od tamtych czasów łączyła ich przyjaźń tak serdeczna, że Ben-Szolem co rok z okazji tygodnia Paschy zajeżdżał do domu tego znakomitego przyjaciela. Annasz wciąż jeszcze miał wpływ na Sanhedryn, w którym zasiadali starzy ludzie, przywykli do słuchania uważnie wszystkiego, co mówił.

Ben-Szolem mógł liczyć na to, że Annasz odniesie się do

375

jego skargi ze zrozumieniem: we dwóch opowiedzą całą tę historię Kajfaszowi. A potem zobaczymy, czy bezczelny młody Cieśla z nędznego Nazaretu ma prawo szkodzić synagodze w Kafarnaum, podjudzać Galileę do szydzenia z wiary przodków! I nie wystarczą bogactwa i popularność Jaira, żeby uchronić tego szarlatana przed sprawiedliwym gniewem Sanhedrynu!

Piotr nie wiedział o ustąpieniu rabiego ani o jego wyjeździe i planach



zemsty — zresztą nawet gdyby wiedział, zbytnio by się tym nie przejmował, bo Jezus był bezpieczny, Jezus potrafi dać sobie radę zawsze.

Pod wieczór gromadka przyjaciół czekała w domu Andrzeja na powrót Piotra. Wreszcie Wielki Rybak przyszedł, bardzo podniecony wydarzeniami dnia. Usiadł na zydlu, otarł wierzchem dłoni pot z czoła i rzekł:

- Wiecie, nie chciałem, żeby Jezus wrócił do Kafarnaum, ale On wiedział, co robi. Nigdy już nie będę powątpiewał o Jego mądrości... w żadnej sprawie! Jezus wie najlepiej.
- Dobrze, żeś to wreszcie odkrył! — zauważył Andrzej.  
— A teraz opowiedz nam dokładnie, co się działo. Tyle już krąży pogłosek.

Piotr zaczął od początku. Jak pamiętają, Jezus skinieniem polecił mu pójść także, gdy Jair ze sługą ruszył przez tłum. Trzy wysokie wyścigowe wielbłądy pod opieką poganiaczy czekały na bocznej ulicy.

- Chcesz powiedzieć, że jechałeś na wielbłądzie?! — wykrzyknął Jan.
- Tak — potwierdził Piotr. — Ale nie chciałbym jechać znowu.
- A Jezus? — zapytał Filip. — Dosiadł wielbłąda? Jak sobie radził?
- Chyba doskonale — Piotr uśmiechnął się. — Nie widziałem, tak byłem przejęty jazdą. To była jazda kar kołomna... ale dojechaliliśmy. W domu Jaira usłyszeliśmy

okropny lament. Dwadzieścia zawodowych płaczek kręciło się tam od wielu godzin i czekało, żeby je najęto. Gdyśmy przyjechali, stłoczyły się przy drzwiach. W tych swoich czarnych kapturach, zasłaniających im twarze, wyły jak

376

psy. Jezusa drażniło to wycie. Kazał im się uciszyć i odejść.

- Pod tym względem biedakom lepiej niż bogaczom — odezwał się Jakub. — Gdy śmierć jest w biednym domu, nie ma kłopotu z najętymi płaczkami.
- Poszliśmy zaraz do łożnicy, gdzie leżała ta mała dziewczeczka — ciągnął Piotr. — Jezus pierwszy, Jair i jego żona Adiel szli za Nim. Poprosili, żebym poszedł z nimi, Jezus usiadł na krawędzi łoża i długo ze skupieniem wpatrywał się w tę małą. Jej twarzyczka była śmiertelnie biała. W końcu Jezus powiedział cicho, jak gdyby nie chciał jej obudzić: „Ona śpi”.
- To znaczy — wykrzyknął Tadeusz — że nie umarła?!
- Nie wiadomo — odrzekł Piotr. — Tam wszyscy myśleli, że umarła. Z pewnością wyglądała na martwą. Jezus powiedział, że ona śpi.
- Może miał na myśli sen śmierci — zauważył stary Bartłomiej.
- Może — mruknął Piotr wymijająco. — W każdym razie tak powiedział. Adiel najwidoczniej myślała, że Jemu się tylko wydaje, bo zaczęła głośno płakać i potrząsać

głową. „Nie, Panie — szlochała — moja najdroższa Szaron nie żyje!” Na to Jezus schylił się, delikatnie pogłaskał dziewczynkę po policzku i rzekł: „No, Szaron, obudź się!Ł

•

- Wielki Rybak odchrząknął, żeby opanować drżenie głosu.
- To wszystkich bardzo wzruszyło — mówił dalej ochryple.
- Szaron powoli otworzyła oczy i gdy Adiel z krzykiem radości rzuciła się na podłogę przy łożu., dziecko uśmiechnęło się sennie i wyszeptało: „Wszędzie były piękne kwiaty, tak jak On nam opowiadał”.

- To był sen — szepnął Andrzej.
- Kto może wiedzieć? — mruknął Piotr. Po chwili milczenia dodał: — Według mnie, to dziecko nie żyło!

Przez cały czas jego opowiadania siedzieli nieruchomo. Teraz się poruszyli.

- Co mamy robić? — zapytał Filip. — Jezus powiedział ci?
- Dziś nocuje u Jaira — odrzekł Piotr. — Jutro będzie wypoczywał tu, w tym domu. Jest bardzo zmęczony.

377

Pojutrze wyruszymy z powrotem do Kany, na noc rozbijamy obóz w Hammat.

- Dlaczego On chce zatrzymać się w Hammat — zapytał Jakub — gdy w Kanie tyle ludzi czeka na niego?

- Właśnie., i tłumy pójdą za Nim z Kafarnaum, i wiele osób przyłączy się po drodze — powiedział Filip. — Będzie musiał przemawiać w Hammat, a to męczące.
- No — powiedział Piotr — tak ma być. Zatrzymamy się w Hammat.
- Chyba pójdę teraz do Betsaidy — oznajmił Andrzej, wstając. — Chciałbym zobaczyć się z Hanną, zanim wyruszymy.
- Ja sam chętnie prześpię się wygodnie. — Piotr ziewnął. — Powiedz Hannie, żeby na mnie czekała z wieczerzą. Przyjdę... za dwie godziny. Obiecałem staremu Manaseszowi, że do niego wstąpię. Gotów jest wydzierżawić jedną z moich łodzi... tylko na to lato, oczywiście.  
—Byle nie „Abigail”! — zaprotestował Tadeusz.

Wielki Rybak poklepał Tadeusza po ramieniu, ale nic nie odpowiedział. Wszyscy już się rozchodzili. W drzwiach Tomasz przystanął i jak gdyby rozmyślał głośno, powiedział:

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego Jezus chce odejść z Kafarnaum teraz, gdy ma takie mocne poparcie Jaira... i ludzie tutaj pragną, żeby został.
- Pamiętaj — upomniał go Piotr — że tak samo nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego chciał odejść z Kany i przyjść do Kafarnaum.
- Wtedy to co innego — mruknął Tomasz. — Czuł, że jest tutaj pilnie potrzebny.
- Może teraz czuje, że jest potrzebny gdzie indziej —

powiedział Andrzej.

Jakub dorzucił:

- Myślę, że On zanadto się nie przejmuję tym, czy my Go rozumiemy, czy nie rozumiemy.
- Masz zupełną rację, Jakubie — huknął stary Bartłomiej. — On nas uczy, żebyśmy pokładali w Nim wiarę.
- Ale... czyż nie można pokładać wiary... i jednocześnie rozumieć? — spierał się Tomasz.
- Nie! — oświadczył Bartłomiej dobitnie. — Po to

378

właśnie jest wiara, mój synu! Wiara jest wtedy, gdy nie możemy zrozumieć!

- To prawda! — przytaknął Piotr. — Gdy się rozumie, wiara nie jest potrzebna.
- Wolałbym nie być trzymany w ciemnościach — odezwał się Filip.
- Jeśli się ma dosyć wiary — odpowiedział mu Piotr — można w ciemnościach zobaczyć swoją drogę... bo wiara jest lampą.

16

Bez pośpiechu kończyli jeść śniadanie. Po raz pierwszy od wielu tygodni jedli posiłek we czworo.

Piotr przy tym kwadratowym stole siedział jak zwykle na wprost drzwi kuchni. Hanna siedziała naprzeciwko niego, Andrzej po jej prawej

stronie, a Estera naprzeciw Andrzeja, z tym, że co chwila wychodziła do kuchni, bo uparła się, że sama będzie podawać do stołu.

Już przyniosła duszone figi, kubki z mlekiem dla Hanny, Andrzeja i dla siebie, wysoki dzbanek soku z granatów dla Piotra, gotowane jajka i bochenki pszennego chleba dla nich wszystkich.

Ilekcio Estera wstawala, Wielki Rybak patrzył na nią z takim nie ukrywaniem podziwem, że Hanna, której uwagi nigdy nic nie uchodziło, była zdumiona tym i rozbawiona. Zastanawiała się, czy Andrzej też to widzi, i ukradkiem zerkala na niego porozumiewawczo, ale ten flegmatyczny stary kawaler nie podnosił oczu znad talerza. Nigdy Hanna nie znała nikogo tak rozjątrzająco obojętnego na ważne rzeczy, które dzieją się tuż pod jego nosem.

Estera miała skromną białą płócienną suknię domową jego zmarłej żony, ale urzeczenie, z jakim otwarcie śledził harmonijne, wdzięczne ruchy dziewczyny, zgoła nie świadczyło o tym, że nagle przypomniał sobie z bólem o swojej żałobie. Suknia, która na wątlej, chorej Abigail zwisała

379

luźno, bez fasonu, teraz pięknie podkreślała figurę Estery, aż Piotr się zdziwił, że Abigail posiadała taki wspaniały strój. Estera jest prześliczna! Po prostu urocza! Patrzył na nią tak, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy.

Nigdy nie starał się zbliżyć do Estery. Ich znajomość źle się zaczęła. Pierwszego dnia bardzo go zirytował swoim przybyciem na jego łódź na pó— zagłodzony obdarty Józef, poganiacz wielbłądów, który wkrótce potem okazał się Estera, tajemniczą dziewczyną nie mniej irytującą opo-

wieściami o sobie, tak sprzecznymi, jakby je naprędce wymyślała.

Wielki Rybak nie wiedział, co myśleć o Esterze ostatecznie, więc nie myślał o niej wcale. Miał wówczas wiele innych spraw na głowie. Odtrącił swego ulubieńca Jana, pogardliwie naśmiewał się z nazareńskiego Cieśli, nie wiedząc, że w rezultacie odda się w niewolę cudownej mocy tego człowieka. Jego uporządkowany, spokojny, powszedni świat wywrócił się na opak. Nic dziwnego, że na to, by interesować się losami Estery, zabrakło mu czasu i chęci. Jeśli Hanna samotna przez cały Boży dzień, spragniona towarzystwa, zaczęła matkować zagadkowej cudzoziemce, to była jej sprawa i chociaż nie wysuwał żadnych zastrzeżeń, to nie ukrywał, że nie lubi tej obcej w domu. Hanna najwyraźniej uznała, że to bezdomne tajemnicze stworzenie zasługuje na gościnność, i ostatecznie mogła przecież gościć w swoim domostwie, kogo chciała. Może ta dziewczyna, przypuszczał Piotr, pomaga Hannie przeboleć utratę Abigail. Co więcej, trzeba przyznać, że Estera zarabia na swoje utrzymanie i że swoją obecnością nie przeszkadza. Ale Piotr rzadko kiedy odzywał się do Estery poza niedbałymi mruknięciami przy śniadaniu, a dziewczyna nie czyniła najmniejszych bodaj wysiłków, żeby zaskarbić sobie jego życzliwość. Dopiero w czasie ciężkiej choroby Hanny i po jej cudownym powrocie do zdrowia stosunki między nimi dwojgiem się poprawiły. Estera prowadziła gospodarstwo, stała się członkiem rodziny. Było też widoczne, że Jezus się nią interesuje. Jeśli Estera ma jakiś sekret, Jezus na pewno go zna, a przecież mimo to — czy może dlatego — właśnie jej polecił zostać przy cudownym uzdrowieniu Hanny. Co

I

stało się wtedy, nie wiadomo, ale owo wydarzenie sprawiło, że w dziewczynie nastąpiła zmiana. Jej nowy sposób bycia niełatwo dawał się określić. Było z nią trochę tak, jak gdyby wypuszczono ją z więzienia.

Wielki Rybak musiał więc innymi oczami spojrzeć na swego coraz bardziej interesującego gościa i nawet zaczął niezdarnie okazywać Esterze sympatię, chociaż jej obojętność na jego uprzejme słówka bardzo go peszyła.

W ten poranek, ilekroć Estera siadała przy stole, Piotr zwracał się do niej z miłym uśmiechem, którego nie kwitowała ani zdziwieniem, ani wdzięcznością. Gdy zabierała jego pustą miseczkę po figach, pochwalił, że figi były bardzo smaczne, ale odpowiedziała niedbale, że to zasługa Hanny. W parę minut później powiedział, że jajka ugotowane są akurat tak, jak on lubi, ale ona tylko skinęła głową w stronę Hanny, jak gdyby i ta pochwała należała się jego teściowej.

Po śniadaniu odważył się powiedzieć, że włosy Esterze szybko rosną i już nie mogłaby uchodzić za chłopca, przy czym roześmiał się cicho na wspomnienie jej przebrania. Grzywka z kędziorkami na czole — dodał — z pewnością jej nie szpeci.

Odpowiedziała cieniem uśmiechu jak małemu chłopcu, który mówi za dużo. Zaraz zwróciła się do Hanny, pytając, czy mogłaby już pójść do ogrodu, nazrywać kwiatów. Odeszła od stołu. Hanna ruszyła za nią do kuchni.

Piotr nerwowo potarł się po podbródku, wyraźnie nie w humorze.

— Dlaczego jej się wydaje, że stoi wyżej niż my wszyscy?

— zapytał Andrzeja mrukliwie.



- Może stoi wyżej — odpowiedział Andrzej.
- Obawiam się, że z początku potraktowałem ją jak psa — przyznał Wielki Rybak raczej ku zdumieniu ich obu, bo nigdy nie kwapił się do usprawiedliwiania.

Andrzej milczał. Piotr, który spodziewał się czegoś bardziej pocieszającego niż milczenie, dorzucił rozczarowany:

- Ale ona nie musi mieć mi tego za złe... wiecznie!
- Jeżeli czekasz, żeby jak piesek przyszła polizać ci rękę

381

— zauważył Andrzej — powinieneś się uzbroić w trochę cierpliwości.

- Chciałbym jakoś wynagrodzić jej moją szorstkość, zanim odejdziemy — mruknął Piotr na pół do siebie. — Nie będzie nas przez całe lato. Może już jej tu nie być, gdy wrócimy. Nie wiadomo, co zamierza robić dalej. Może nigdy jej nie zobaczę.
- Och, będziesz ją widywał codziennie, Szymonie. — Andrzej jeszcze nie przywykł do nowego imienia brata — Estera pójdzie z nami.
- Co? — zdumiał się Piotr. — Z nami? To niemożliwe! Kto ci to powiedział?
- Hanna. Estera chce pomagać, opiekować się chorymi niemowlętami... i ich matkami.
- Przecież — wybełkotał Piotr — na to nie możemy pozwolić! Ta dziewczyna... no... to już nie jest dziewczyna, Andrzeju. To jest młoda kobieta! Piękna, powabna młoda

kobieta! Na jakież zniewagi byłaby narażona! W tłumie jest wielu brutalnych prostaków! Jeśli będzie podobnie jak w zeszłym roku, czekają nas przykre zajścia... i bez kłopotów z Ester! — Nurtowało go to, po chwili więc zapytał: — Kto w ogóle podsunął jej taki głupi pomysł?

- Jezus — odpowiedział Andrzej.
- Pytała Pana, czy może iść z nami?
- Nie... To On ją prosił.

Piotr zbity z tropu przeciągle westchnął. Potrzęsnał głową, nie rozumiejąc.

—Nasz Pan czyni czasami dziwne rzeczy, Andrzej.

Brat przytaknął.

- Wszyscy to zauważyliśmy, Szymonie. Ale jak dotąd, cokolwiek On czyni...
- Wiem! Wiem! — przerwał Piotr z niecierpliwym machnięciem ręki. — Cokolwiek On czyni, jest słuszne!... Jednakże... czy to się godzi, żeby ta śliczna dziewczyna obozowała przez całe lato z dwunastoma mężczyznami?

Andrzej uśmiechnął się i wycedził, że to chyba lepiej, niż gdyby miała przez całe lato obozować z jednym z nich. Piotr zmarszczył brwi przyjmując jego uwagę do siebie, wzruszył ramionami i raptownie wyszedł z izby.

382

Łagodny stary kawaler popatrzył na odchodzącego brata i zachichotał cicho.

A więc to Szymona boli — pomyślał — Estera coś dla niego znaczy. Zrobił się na jej punkcie drażliwy. No, no... kto by to przypuszczał. Z kuchni, gdzie od pewnej chwili było bardzo cicho, przyszła Hanna. Zaczęła sprzątać ze stołu.

- Ciekawe, czy Szymon lubi Esterę — powiedziała, skrzętnie zgarniając okruchy.
- Dlaczego miałby jej nie lubić? — zapytał Andrzej, jak gdyby nigdy nic. — Wszyscy ją lubimy.

Hanna ściągnęła usta. Po chwili zdecydowała się uśmiechnąć i przymilnie, poufnie szepnęła:

— Chyba wiesz, Andrzej, że ja nie wygadam.

Andrzej przytaknął.

— To moja zasada także — powiedział. — I na pewno sposób, żeby unikać kłopotów, prawda?

Hanna nie odpowiedziała, tylko drzwi kuchni głośno trzasnęły, gdy je zamykała za sobą.

Zgodnie z obyczajem utrzymującym się od wielu pokoleń każdy władca Arymatei przestrzegał postu i świąteczny tydzień Paschy spędzał w Świętym Mieście.

Te coroczne święta pierwotnie miały upamiętniać koniec okropnej niewoli Żydów w Egipcie. Stopniowo jednak zatraciły swój poważny charakter i nabrały wielu cech nie związanych z upamiętnieniem cudownego wyzwolenia. Był to Tydzień Powrotu dla wszystkich Żydów, którzy mogli przybyć do Świętego Miasta. Setki ich ściągały nawet z obcych krajów, przywożąc wszelkie towary: egzotyczną żywność i

przyprawy korzenne, klejnoty, zwoje kosztownych tkanin. Karawany obozowały na otaczających Jerozolimę wzgórzach. Wąskie ulice były zatłoczone, roiło się od magików, komediantów, akrobatów, wróżbitów, sprzedawców słodczy i ziół. Wielką Noc nadal świętowano uroczyście w ciszy i odosobnieniu słabo oświetlonych żydowskich domostw, ale tydzień Paschy był dla większości przyjezdnych już nie surowym obrzędkiem, lecz karnawałem.

383

Józef, młody władca Arymatei, zawsze z radosną niecierpliwością gotował się do tej pielgrzymki. To łączyło się z wiosną. Kraj cieszył oko wiosennym pięknem. Nawet gdyby u celu podróży nie czekały przyjemności, Józef czułby się wynagrodzony samymi jej urokami. Godnie reprezentując swoje bogactwo i pozycję, jechał z gromadą wesołych młodych druhów i ze wspaniałą świtą.

Jerozolima wydawała się Józefowi miastem z baśni. Pokolenia jego przodków przyczyniły się do tworzenia historii tego miasta, jak stwierdzały to wymownie napisy na masywnych grobowcach w Ogrodzie Grobów. Wiedział, że musi nadejść dzień, gdy on też tam się znajdzie — jego własny grobowiec, wymyślnie zaprojektowany, był teraz w budowie, mającej potrwać nie dłużej niż przez lato. Do wiecznego spoczynku Józef się nie spieszył, bo życie go cieszyło, ale otuchą napawała świadomość, że w dalekiej przyszłości grobowiec będzie czekał gotowy.

Ponadto Józef miał w Jerozolimie wielu możliwych przyjaciół, którzy przyjmowali go serdecznie. Nawet gdy składał swoje uszanowanie w rzymskiej Insuli, gburowaty, zapalczywy prokurator Poncjusz Piłat

częstował go ciastkami i winem i zwracał się do niego po imieniu.

Już nie tak przyjemna była obowiązkowa wizyta w przedstawicielstwie galilejskim. Zgodnie z obyczajem wszystkie międzyprovincialne sprawy Galilei i księstwa Arymatei rozstrzygał tetrarcha. Józef był rad, że takie sprawy zdarzają się rzadko — nie lubił Antypasa i nie ufał mu. Przed wizytami w przedstawicielstwie wzdrygał się też i dlatego, że zawsze tam spotykał tę bezwstydną, podzwaniającą klejnotami, zanadto umalowaną Salome, której nie cierpiał. A raz nawet musiał spędzić całą nieszczęsną godzinę w towarzystwie Herodiady, damy o tak fatalnie nadszarpniętej reputacji, że byle dowód jej życzliwości wywoływał gorszącą obmowę.

Teraz Józef wracał z Jerozolimy. Wieczorem przerwali podróż, rozbili obóz na noc jak zwykle przy rozstaju nie opodal wioski Hammat.

Nazajutrz wszystkich w obozie zbudziły wczesnym rankiem niespodziewane hałasy na gościńcu. Wielki tłum

384

podążał na pobliską łąkę. Okazało się, że ma tam przyjść Cieśla z Nazaretu.

Zirytowani wtargnięciem tej hałastry towarzysze Józefa chcieli zwinąć obóz natychmiast, a śniadanie zjeść już w drodze, gdy natrafiają na jakieś spokojne miejsce. Józef jednak nie widział powodu do takiego pośpiechu.

— Chciałbym go znów zobaczyć — powiedział. —  
Najwidoczniej to nie jest zwykły oszust, skoro takie rzesze chodzą za nim.

Przyjaciele pamiętając, jak oziębłe przyjęła ich eskorta Cieśli przed

kilkoma miesiącami, odradzali Józefowi narażanie się na jeszcze jedną odprawę, aż w końcu stracił cierpliwość. Oznajmił, że obejdzie się bez nich i bez wahania wszedł w gęstniejący coraz bardziej tłum.

Zaległa zupełna cisza, gdy Jezus stanął na małym pagórku, gdzie pozostawiono Mu wolną przestrzeń.

Dzisiaj, powiedział Jezus, będzie mowa o życiu wiecznym. Obywatele Jego Królestwa nie muszą czekać do śmierci, żeby zaznać błogości i spokoju. Jeśli pragną być kiedyś nieśmiertelni, niech wiedzą, że nieśmiertelni są już teraz.

— Wszyscy jesteście dziećmi Boga — mówił — i chociaż jeszcze nie widać, jacy stać się możemy, z pewnością gdy ujrzemy Go i poznamy, jaki On jest, stwierdzimy, że jesteście na podobieństwo Jego. A jeśli zaprawdę jesteście dziećmi Boga, jesteście Jego dziećmi dzisiaj. Wiedzieć to, znaczy być z Królestwa, albowiem Królestwo jest teraz, tutaj, jest wasze!... Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie! Która matka spośród was, który ojciec swemu dziecku proszącemu o chleb da kamień? A jeśli wy, niebaczni i samolubni, dajecie dobre dary waszym dzieciom, o ileż więcej błogosławieństw nasz Ojciec w niebiesiech ześle na wszystkich, którzy Go proszą! I oto zaczyna się życie wieczne, zaczyna się teraz, tutaj... dla was, dla wszystkich!

Zszedł z pagórka. Piotr skinął na najbliższych spośród tych, którzy przynieśli swoich chorych. Cuda miały się zaraz rozpocząć.

Józef stopniowo torował sobie drogę do pagórka. Ludzie się rozstępowali, żeby go przepuścić, może z racji jego kosztownej odzieży,

klejnotów, władczej postawy. Już był w odległości tylko kilkunastu kroków od Nazaret}czyka cudotwórcy. Nie — to nie jest oszukaństwo! Ostatecznie możliwe, że ten wychudzony człek, który nagle wstał z noszy oszołomiony, ze łzami wdzięczności i cichym łkaniem, zmówił się z Cieślą, żeby odegrać tę dramatyczną scenę; ale absurdalne byłoby przypuszczenie, że to niemowlę w objęciach rozczochranej młodej matki przyłączyło się do spisku celem oszukania tłumu.

Serce biło szybko Józefowi i w ustach mu zaschło. Ludzie usiłując lepiej widzieć, co się dzieje, napierali na niego zgrzani, spoceni, ale on nie baczył na te dotknięcia, chociaż w każdym innych okolicznościach uznałby, że są nie do zniesienia. Mało tego, nagle nie miał nic przeciwko spoufaleniu się z pospólstwem i poczuł, że nieomal jakaś więź połączyła go z tymi prostaczkami. Wszyscy są dziećmi Boga, powiedział Cieśla. Na chwilę Józef w to uwierzył.

Krople potu zraszały blade czoło Cieśli. Widać było, że jest do cna wyczerpany. Olbrzymi Galilejczyk, który stał przy Nim, już zatrzymał zbliżający się pochód kalek oznajmieniem, że Jezus musi odpocząć. Po tych słowach Cieśla z niewielką grupą swoich uczniów ruszył w stronę gościńca. Józef poszedł za nimi.

Wchodząc na gościniec, Cieśla odwrócił się i — ku zdumieniu Józefa — przystanął. Zmęczony był tak bardzo, że ręce Mu drżały, ale powitał księcia serdecznym uśmiechem.

— Panie — zapytał Józef niepewnie — co mam zrobić, żeby osiągnąć to życie wieczne?

Piotr zmarszczył brwi. Od razu rozpoznał księcia Aryma-tei. Więc o to

chodzi? Księżę będzie chciał życia wiecznego na warunkach specjalnych, warunkach zastrzeżonych dla możliwych tego świata.

- Wychowano cię, przyjacielu, tak, żebyś znał przykazania — rzekł Jezus dobrotliwie.
- To prawda, Panie — potwierdził Józef. — I przestrzegam przykazań od dzieciństwa, kocham Boga całym sercem, myślą i uczynkiem.
- Nie ustawaj w tym, przyjacielu — polecił Jezus.  
Teraz się nie uśmiechał. — Jest jeszcze jedno przykazanie:

386

kochaj bliźniego swego jak siebie samego... Ujrzałeś dziś przelotnie Królestwo i chciałbyś się w nim znaleźć. To będzie trudniejsze dla ciebie niż dla tych ubogich. Niełatwo bogaczom odziedziczyć Królestwo. Nazbyt wiele posiadają rzeczy. Józef skłonił głowę niechętnie przytakując i milczał.

— Jeśli chcesz być z mojego Królestwa, przyjacielu, zrzuć z siebie ciężar swoich bogactw. Pozbądź się go! Rozdaj je między ubogich!... A potem przyjdź i chodź za Mną!

Przez długą chwilę wszyscy czekali, co powie Józef, ale on nie miał nic do powiedzenia. Z głową nadal pochyloną, odszedł powoli gościńcem. Jezus ruszył jak gdyby za nim, ale po paru krokach zatrzymał się i tylko patrzył za odchodzącym wzrokiem pełnym zadumy i żalu. Nikomu w tej gromadce nie trzeba było mówić, że Nauczyciel jest rozczarowany.

Po chwili Jezus odwrócił się i wskazał drogę do Kany. Piotr szedł u Jego boku.



- Panie — rzekł ze smutkiem — myśmy zrezygnowali ze wszystkiego, żeby pójść za Tobą.
- Tak, Piotrze — odpowiedział Jezus, znużony. — Wiem. I będziecie wynagrodzeni.

Stary Bartłomiej, idąc mozolnie za nimi, szepnął do Andrzeja:  
— To pierwsza rzecz, Andrzeju, na którą nie stać tego wielmoży: miejsce w Królestwie Pana.

Wbrew nadziejom Piotra Estera nie przyłączyła się do nich, gdy idąc do Hammat przechodzili przez Betsaidę.

Przedtem wątpił, czy roztropny jest pomysł, żeby dziewczyna im towarzyszyła, ale teraz, gdy to już zostało ustalone, nie mógł się doczekać jej widoku. Szedł z Jezusem na czele rzeszy, która zebrała się ponownie na placu targowym Kafarnaum i już przed rogiem ulicy, gdzie mieszkała Hanna, rozglądał się wszędzie. Nie wiedział, że Estera dostała polecenie pójścia do Kany dopiero nazajutrz.

Następnego dnia rano Estera, serdecznie uściskawszy

387

Hannę, trochę popłakującą przy tym pożegnaniu, wyruszyła w drogę, ale nie sama, bo nadal przez senną małą Betsaidę zdążyły na południe tłumy.

Po przybyciu na rozległą łąkę w odległości pół mili na wschód od Kany, nie próbowała przyłączyć się do gromadki towarzyszącej Jezusowi, tylko pozostała wśród rzeszy, z godziny na godzinę coraz liczniejszej, i całą uwagę poświęciła znużonym głodnym kobietom, które przyniosły do uleczenia swoje dzieci chore, niewidome, kalekie.

Trudne to było zadanie. Estera już przedtem widywała niedolę ubogich,

ale nigdy aż tak z bliska; nigdy też nie poczuwała się do obowiązku, żeby ulżyć tej niedoli. Zawsze myślała, że ubodzy i potrzebujący współczują sobie nawzajem: to jej się wydawało logiczne. Teraz stwierdziła, że tak nie jest. Znała odwieczną obojętność bogaczy wobec ubogich, ale oto i sami ubodzy niewiele okazywali względów swoim nieszczęśliwym bliźnim. Kobiety, którym usiłowała przyjść z pomocą, wcale nie były solidarne, każda chciała dostać coś do zjedzenia, schronienie na noc, pierwsza przed wszystkimi innymi. Gniewała je prośba, żeby spokojnie czekały na swoją kolej. Każda ledwie trzymająca się na obolałych nogach matka uważała, że jej dzieckiem należy zająć się natychmiast.

Z początku Estera była oburzona. Gdy prosiła kilka z tych kobiet, żeby poszły z nią do miasteczka, gdzie chodząc od drzwi do drzwi opowiadała o nich niezbyt życzliwym gospodyniom domowym i błagała tu o parę bochenków chleba, tam o garniec koziego mleka, gdzie indziej o koszyczek fig suszonych w słońcu, każda się opierała. A te, które prosiła, żeby opiekowały się dziećmi matek, idących z nią do miasteczka, uważały, że są wykorzystywane, i czuły się pokrzywdzone. Gdy wróciła z żywnością, od razu pokłóciły się przy podziale zdobyczy. Bardzo ją to zniechęcało.

Tracąc cierpliwość, uciszyła jedną rozwrzeszczaną gromadkę.

— Nikt mi nie płaci za to, że wam pomagam! — krzyknęła. — I nie robię tego dla przyjemności! Przestańcie wreszcie się kłócić... posłuchajcie, co mówi Jezus!

388

Popatrzyły na nią niechętnie, ale ostatecznie odwróciły głowy w stronę Cieśli i zaczęły udawać, że Go słuchają.

Chwilami ta wrażliwa dziewczyna podziwiała spokój ducha, z jakim Jezus mówił o dobroci i dobrej woli wśród ludzi, o tym, że powinni wspólnie dźwigać swe ciężary i dzielić się dobrodziejstwami, gdy tymczasem niecierpliwa, ciekawa cudów gawieź deptała sobie po nogach, szturchała się i pchała, byle tylko zająć miejsce, z którego lepiej widać.

Pod wieczór czwartego dnia niespodziewanie Wielki Rybak przyszedł Esterze na ratunek — i to w samą porę, bo dziewczyna była już zupełnie zniechęcona, gotowa przyznać, że nie potrafi sprostać swemu zadaniu. Tylko słowo, które dała Jezusowi, powstrzymało ją od ucieczki.

Piotr trzymał się z daleka, chociaż ciągnęło go do Estery i myślał o niej bezustannie. Tego dnia, gdy ludzie już się rozchodzili i Pan ze swoimi uczniami udał się do odosobnionego obozowiska w cieniu akacji na zboczu wzgórza, on zwlekał jeszcze niezdecydowany. Przez jakiś czas chodził wśród chorych na noszach, których przyniesiono późno i dla których teraz przygotowywano schronienie na noc. Próbował dodać im otuchy. Na pewno Jezus zajmie się nimi jutro. Muszą tylko cierpliwie poczekać.

Serce zaczęło mu bić szybciej, ledwie doszedł do namiotów dostarczonych dla matek z chorymi dziećmi. Najwidoczniej one już zjadły wieczerzę i położyły się spać — Estera siedziała sama przed jednym z namiotów osowiała, zmęczona całodzienną krzątaniną.

Podniosła wzrok i wstała na widok Piotra, witając go bladym uśmiechem. Dobrotliwie zagadnął, jak się jej powodzi.

—Chyba męczące są te kobiety — dodał.

Pokiwała głową, jak gdyby nie znajdowała słów na określenie swoich

trudności.

—Czy masz czas — spytała — żeby chwilę ze mną porozmawiać, Szymonie?

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, i takie zadeklarowanie przyjaźni ogromnie go wzruszyło. Sprawilo mu też przyjemność to, że nazwała go dawnym imieniem.

389

Nowe imię postarzało go, czyniło bardziej statecznym i powściągliwym, wynosiło ponad towarzyszy.

- Czemu nie — odpowiedział szybko. — Albo... mogę cię zaprowadzić do Pana, jeżeli jesteś strapiona.
- Pan ma dosyć trosk. — Westchnęła. — Pozwól, że tobie o tym powiem, Szymonie. Może będziesz mógł mi pomóc.
- Chodźmy — rzekł łagodnie — pójdziemy gdzieś, gdzie można porozmawiać na osobności.

Poszli krętą ścieżką pod górę w stronę obozowiska Jezusa. Estera szła pierwsza, bo stary głęboko wydeptany szlak był wąski. Idąc za nią powoli, dużymi krokami, Szymon w urzeczeniu patrzył na jej gibką postać, ruchy swobodne i pełne wdzięku. Nie próbowali rozmawiać, dopóki nie doszli do płaskiego głazu, sterczącego poziomo ze zbocza nad doliną, w której każdy gościniec, każdą drogę polną zapełniali pielgrzymi wracający mozolnie do swoich obozowisk wśród wzgórz.

Wielki Rybak teraz, gdy usiadł przy pięknej Esterze, nieświadomej, że zaprzęta mu myśl i zakłóca sen, nie wiedział, jak — i czy w ogóle — przerwać milczenie. Ale dziewczyna po chwili odwróciła się do niego,

mówiąc porywczo:

- Kłopot polega na tym, Szymonie, że cała ta praca wydaje się beznadziejna, tak żałośnie beznadziejna. One są takie nieokrzeseane, takie podłe jedna dla drugiej.
- Owszem — zgodził się Szymon — ale trzeba mieć dla nich zrozumienie. Kobieta, która rozpacza nad kalectwem czy ślepotą swojego dziecka i nagle widzi możliwość, że ono zostanie uzdrowione, gotowa jest zrobić wszystko. Będzie kłamała, kradła i walczyła, byle zająć pierwsze miejsce w kolejce do uzdrowienia go. Ich postępowanie jest godne nagany... ale rozumiały.
- Ty masz wiele cierpliwości, Szymonie — szepnęła Estera.
- Nie, moja droga — wyznał. — Jeśli może się wydawać, że mam cierpliwość, to tylko dlatego, że Pan im współczuje. Uczę się od Niego powściągać język, panować nad sobą, to niełatwe.

390

- Może ja bym mogła nauczyć się większego współczucia, gdyby to przynosiło dobre rezultaty!
- On uzdrawia ich chore dzieci, Estero, chyba to jest dobry rezultat.
- Wiem — ustąpiła znużona. — On otwiera biednym ślepym dzieciom oczy, żeby widziały, ale cóż one zobaczą? Tylko brak dobroci i chciwość!

Zdławione oburzenie teraz znalazło ujście, słowa pełne pasji wyrwały się Esterze z ust niebacznie, bełkotliwie a Szymon, zdumiony tym wybuchem, patrzył, jak wielkie łzy zbierają się w jej oczach i wolno spływają po zaczerwienionych policzkach. Usiłował łagodnie zaprotestować, ale nie dała sobie przerwać.

- A On tak stoi — wykrztusiła głosem załamującym się ze wzruszenia — dzień po dniu! I prosi, żeby wszyscy byli dobrzy, miłowali się wzajemnie, żyli w zgodzie...
- Myślę, że niektórzy starają się tak czynić — powiedział Szymon.
- Niektórzy, ale to za mało — upierała się Estera. — Serce mi krwawi z żalu nad Nim. Szymonie! Czeka Go okropne rozczarowanie! Gdyby był zwyczajnym człowiekiem, łudzącym się, że może zbawić cały świat nauczaniem ludzi, żeby byli miłosierni i szlachetni, niechby sobie tak marzył. Ale Jezus ma Boską moc w swoich rękach. Daje dowody tego... raz po raz! Ja naprawdę wierzę, że mógłby zbawić świat... albo położyć kres, jeśli zechce, ale nie w ten sposób!
- Więc w jaki? — zapytał Szymon z powagą.
- Jan Chrzciciel mówił o Kimś, kto przyjdzie i rozbije ten świat... i zacznie się wszystko od początku... z lepszymi ludźmi u władzy. Pójdzie przez lądy i morza, obali stare świątynie i trony, poniży bogaczy, wyzwoli ubogich, wyrów na drogę dla wszystkich ludzi. Może taki plan daje jakąś nadzieję! Jezus ma Boską moc, żeby to uczynić... gdyby

zechciał... Ale... jak może się spodziewać, że zbawi świat, odwołując się do tych bosych, na pół zagłodzonych wieśniaków z Galilei!... Powiedz mi, Szymonie! Tobie nie brak wiary. Nazywają cię teraz „Petros”. Czy ty naprawdę wierzysz, że jest jakaś nadzieja na Jezusowe Królestwo

391

miłości? — Z wyrazem dziecięcego zaufania patrzyła mu spod długich mokrych rzęs prosto w oczy. — Będę usiłowała wierzyć... jeśli ty tak powiesz!

Wielki Rybak pojął, że jest to jedna z przełomowych chwil w jego życiu. Gdy spojrział w pytające oczy tej dziewczyny, poczuł się tak, jakby mu przybyło wzrostu i godności. Ta młoda kobieta, która budziła w nim pożądanie, nagle stała się ufną córką.

Dotknął swą dużą ręką jej małej dłoni i powiedział tkliwie:

— Wierzę, drogie dziecko, że Jezus jest Zbawicielem świata! — Umilkł, po czym mówił dalej dobierając słów: — Co do ubogich... niewielu możliwych zostanie powołanych w służbę Pana. Jezus nie odwołuje się do możnych, bo to oni czynią ten świat takim, jaki jest. I nie spodziewa się zmienić świata od razu w ogród, tylko sieje ziarno. Musimy być cierpliwi... pokładać w Nim wiarę.

Estera wstała, uśmiechnęła się.

— Dobrze, Petros — rzekła cicho. — Będę cierpliwa... i będę pokładała wiarę!... Pójdziemy już.

Wracali w milczeniu. Przed wejściem do namiotu szepnęła:

- Bardzo mi dziś pomogłeś, Petros.

- A tyś mnie umocniła — powiedział Piotr.

Nazajutrz po południu — jak gdyby na potwierdzenie tego, co Piotr mówił o zaufaniu Jezusa do ubogich i wartości ubogich dla Niego — Pan opowiedział przypowieść. Król chciał wydać ucztę weselną dla księcia, swojego syna, i zaprosił wszystkich wielmożów ze swego państwa i państw sąsiednich, lecz oni to zlekceważyli. Więc król wysłał służących na gościniec i między opłotki, żeby tam znaleźli gości na tę ucztę.

Gdy rzesza się rozeszła przed wieczorem, Piotr przechodząc zatrzymał się przy namiocie Estery i przyjaźnie zaczął z nią gawędzić.

—Czy powiedziałaś Panu o naszej wczorajszej rozmowie?

— zapytała.

Potrząsnął z uśmiechem głową.

—Myślę, że zapamiętałaś Jego przypowieść o ucztie tego króla... i o gościach sprowadzonych z gościńców

392

i spomiędzy opłotków... Nie, nie powiedziałem Mu o naszej rozmowie. Nie potrzebowiałem. On i tak wiedział. Zdumiała się.

- To znaczy, że Jezus wie... nawet się nie dowiadując... o czym my mówimy i myślimy?
- Tak — odrzekł. — Mnóstwo jest dowodów na to. — Uśmiechnął się powoli i dodał: — Zawsze wiem, kiedy On potępia moje myśli. Nie karci mnie, ale nazywa wtedy Szymonem.

Estera roześmiała się i oświadczyła, że nigdy dotąd nie słyszała o czymś tak dziwnym.



- A kim ty jesteś dzisiaj? — zapytała — Piotrem czy Szymonem?
- Dzisiaj jestem Piotrem — powiedział uśmiechnięty.

Tak zaczęła się przyjaźń cenna dla nich obojga. Stosunek Wielkiego Rybaka do tej ufnej dziewczyny był ojcowski i opiekuńczy, chociaż czasami niespokojnie zaborczy. Szymon potrafił być zazdrosny jak kochanek.

Pewnego dnia po południu — w przeddzień ich odejścia z Kany drogą na wschód — Filip poprosił Esterę ku jej zdumieniu, by poszła z nim odwiedzić jego sędziwą matkę. Ta samotna staruszka, powiedział, nie rusza się ze swej izby i rzadko miewa gości.

- Matka nie nauczyła się mówić dość płynnie po aramejsku — wyjaśnił. — Dlatego nie może gawędzić z sąsiadkami i one do niej nie przychodzą. Myślę, że ucieszyłyby się z twoich odwiedzin, nawet jeśli trudno wam będzie rozmawiać.
- Jakim językiem ona mówi, Filipie? — zapytała Estera, gdy szli do tego domku.
- Jesteśmy Macedończykami — odpowiedział Filip.

Najwyraźniej uprzedzi! w domu, że postara się przyprowadzić Esterę, bo jego owdowiała siostra, która otworzyła drzwi, nie była zdumiona. Matka również przygotowała się na przyjęcie gości i czekała siedząc na posłaniu. Estera zajęła podsunięty jej zydel, pogłaskała po chudej ręce staruszkę, która podziękowała serdecznie uśmiechem i skinieniem siwej głowy.

- Ja nie mówić waszym językiem — wyjąkała.
- W takim razie będziemy mówiły twoim językiem, matko — powiedziała Estera po grecku. — Sama też nigdy nie jestem pewna, czy dobrze mówię po aramejsku.

Staruszka oburącz ujęła Esterę za ręce i wykrzyknęła:

— Bądź błogosławiona, dziecino! Bądź błogosławiona!

Siostra Filipa śmiejąc się radośnie przysunęła swój zydel bliżej. Filip osłupiały usiadł po drugiej stronie posłania i tylko przysłuchiwał się, gdy Estera i jego uszczęśliwiona matka gawędziły żywo. W końcu skorzystał, że umilkły na chwilę, i zapytał:

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że znasz grecki?

— Wcale mnie o to nie pytałeś — odrzekła Estera.

Wszyscy parsknęli śmiechem, Filip jednak zaraz spoważniał.

- Przecież nie jesteś Greczynką. Gdzie się nauczyłaś mówić po grecku tak dobrze?
- To długa historia, Filipie — powiedziała. — O wiele za długa do opowiadania. Zresztą musimy już iść.
- Ale mi ją opowiedz, Estero — prosił. — Czy Jezus z tobą rozmawia po grecku? On, zdaje się, zna ten język.

Na to Estera wstała i znów serdecznie pogłaskała staruszkę po ręce.

Widząc, że Filip czuje się trochę dotknięty, szepnęła:

— Nasz Pan wie wszystko, Filipie. Wie wszystko o wszystkim!

W drodze powrotnej na łąkę — skąd ludzie, którzy już wiedzieli, że zebrania z Jezusem się skończyły, tłumnie ruszyli do swych domów —

Filip wciąż jeszcze wypytywał bezskutecznie Esterę o jej pochodzenie. Zajęci rozmową nie zauważyli — ani on, ani ona — że Piotr idzie przez tłum tuż za nimi. Filip mówił coś, gdy nagle Piotr ich zagadnął. Odwrócili się, żeby go powitać. Minę miał ponurą.

— Estera mówi po grecku! — powiedział Filip, pewny, że Piotr mile się zdziwi.

Ale Piotr był zirytowany i nie próbował tego ukrywać.

— Hm! — chrząknął. — No, to powinieneś się uczyć, Filipie. Mnie wystarcza nasz własny język.

Nie bardzo było wiadomo, co odpowiedzieć na to.

394

Zaskoczeni niespodziewaną niegrzecznością Wielkiego Rybaka, Filip i Estera wymienili oszołomione spojrzenia, odwrócili się i odeszli.

Piotr, gniewnie przygryzając dolną wargę, szedł jeszcze kawałek za nimi. Zobaczył, jak się rozchodzą przy małym namiocie Estery, po czym wolno wszedł na wzgórze. Na wapiennym występie skalnym zatrzymał się, usiadł i przeczesując palcami swe rozkudłane włosy głośno siebie skłął.

Nazajutrz wczesnym rankiem zwinęli obóz, wyruszyli w drogę. Piotr kroczył daleko na przedzie. Jan zapytał Jakuba:

- Myślisz, że ktoś mu sprawił przykrość?
- Bardziej prawdopodobne — odpowiedział Jakub — że to on sprawił przykrość komuś.
- Dogońmy go — zaproponował Jan. — Może zrzuci ten kamień z serca.
- Ty go dogoń... jeśli chcesz — powiedział Jakub.

Odwrócił się i zawołał do idącego za nim Filipa: —  
Filipie... chcesz pójść naprzód z Janem i dowiedzieć się, co  
doskwiera Piotrowi?

- Nie chcę — burknął Filip. — Nie moja to rzecz!
- Niech Piotr idzie sam — doradził Andrzej. — On to przeboleje, cokolwiek go trapi. Gdyby potrzebował pomocy, Jezus już by do niego podszedł.

Odruchowo się obejrżeli. Jezus szedł pomiędzy starym Bartłomiejem i Esterą. Idąc przed Nim młody Tadeusz popychał wózek na wysokich kołach, załadowany namiotami i sprzętem Estery.

- Skąd ona wzięła te namioty? — zapytał Filip.
- Szymon je kupił — odpowiedział Andrzej — gdy dostał od starego Manaseusza pieniądze za „Rachele”. Całą resztę tych pieniędzy dał Hannie. — To było długie przemówienie jak na Andrzeja, słuchali więc uważnie. — Mój brat jest czasami dziwaczny — dodał — ale nigdy nie jest skąpy.
- Chodź, Janie — powiedział Filip impulsywnie — dogonimy go.

—Pójdę z wami — powiedział Jakub.

Przyspieszyli kroku.

395

- Dobrzy z nich chłopcy — zauważył Andrzej.
- Nie wiesz, ile on wzięł za „Rachele”? — zapytał Judasz.

—Wiem — odrzekł krótko.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

—Przypuszczam, że stary Manaseusz nabył ten żaglowiec prawie za darmo — odezwał się Judasz.

Gdy doszli do Nain, gdzie mieli na jeden dzień się zatrzymać, setki ludzi już zdążyły za nimi. Wieczorem tłum pragnąc posłuchać Jezusa zebrał się na błoniach. Ledwie jednak Jezus wstał, żeby przemówić, jakiś niemłody człowiek wrzasnął zgrzytliwie:

—Panie, słyszałem w Kanie twoją przypowieść o uczie króla, na którą sprowadzono ubogich, ponieważ bogacze wzgardzili zaproszeniami! — Podnosił swój szorstki głos coraz wyżej, aż niespokojna rzesza ucichła. — Wierzę ci, Panie! — wrzeszczał. — Najwyższy czas, żeby ubodzy, a jest ich więcej niż chciwych bogaczy... zasiedli przy stole biesiadnym! Powtórz tę opowieść ludziom z Nain, którzy harują niewolniczo za dziadowskie grosze, po to, by stary Szymon Ben-Edom tarzał się w zbytku.

Nastąpił szmer protestu w tłumie, gdy zuchwalec skończył swoją rewolucyjną przemowę. Było jasne, że ludność z Nain uważa go za awanturnika. Potem wszyscy w ciszy czekali, co Jezus powie. Piotr wysunął się naprzód, patrząc groźnie na samowolnego mówcę. Jezus lekko dotknął podniesionej już ogromnej ręki Piotra i powstrzymał go. Życzliwie powtórzył przypowieść o uczie króla, na którą zostali zaproszeni ubodzy z gościńców i spomiędzy opłotków.

Teraz była to przypowieść dłuższa niż przedtem w Kanie.

Król zamierzał powitać zwołanych obszarpańców w pięknej sali

biesiadnej, ale nie chciał, żeby czuli się skrepowani. Na jego rozkaz przeto słudzy dali każdemu z nich czystą świąteczną odzież.

Jeden wszakże ponury człowiek, chcąc okazać, że lekce sobie waży króla i jego pałac, i ucztę, nie przyjął szaty, którą miał zasłonić brudne łaachmany: „Zaprosili mnie tutaj takiego, jaki jestem — warknął — więc teraz niech mnie

396

przyjmą takiego, jaki jestem, albo niech wyrzucą". Toteż go wyrzucono.

Zebranemu tłumowi bardzo się to spodobało. Wszyscy śmieli się i wiwatowali. Po zebraniu Piotr zwrócił się do Estery.

— Cisi i pokornego serca odziedziczą tę ziemię... —  
rzekł z serdecznym uśmiechem.

Nowina, że Jezus idzie do Jerycha, rozeszła się szybciej, niż On wędrował, toteż witały Go tam wyczekujące wielkie tłumy. Było to największe zgromadzenie, jakie napotkał. W ciągu dwóch tygodni ponad piętnaście tysięcy ludzi z całej Samarii i Judei, jak również zastęp, który szedł za Nim z Galilei, zmieniły otwartą przestrzeń na północ od starożytnego Jerycha w duże miasto namiotów. I pamiętne to były dni dla towarzyszy Jezusa. Czasami po całodziennych mokołach Piotr szukał wytchnienia w towarzystwie Estery. Któregoś wieczoru, gdy siedzieli na trawie przed jej namiotem, zapytał, czy trudno się nauczyć greckiego.

— Tobie, Petros, nie powinno być trudno — odpowie  
działa. — Chcesz, żebym nauczyła cię kilku słów?

Uśmiechnął się i przytaknął. Smukłą swą dłonią dotknęła  
ziemi.

— Ge — rzekła — to znaczy ziemia. Powtórz, Piotrze, ge.

Powtórzył.

Klepnęła się po głowie.

— Kephale. — Położyła rękę na sercu. — Kardia. —

Dotknęła pasa. — Zone. — Wskazała jedną z gwiazd rozmigotanych w górze. — Astron... No, jak jest po grecku głowa?

Piotr nie mógł sobie przypomnieć, zapamiętał jednak, jak jest po grecku serce, i wyraźnie był rad ze swych postępów. A więc uczy się greckiego — i to jak szybko! Ciekawska mała jaszczurka przemknęła po jego zniszczonym sandale. Wskazał ją pytająco.

- Sauros — otrzymał odpowiedź.
- A jak jest po grecku Bóg?
- Który? — zapytała Estera niewinnie.
- Ten Jedyny — odrzekł surowo.
- Theos — powiedziała po krótkiej chwili.

397

I odtąd tak właśnie spędzali większość wieczorów w ciągu tych męczących tygodni pod Jerychem. Piotr, nie znający ani słowa w żadnym języku poza ojczystym —■ którego zresztą w pełni też nie opanował — teraz z zapalem chłonał grekę i chlubił się swoimi postęпами. Estera gorąco go zachęcała. Już wkrótce Wielki Rybak układał greckie słówka w zdania. Przedtem był zazdrosny o Filipa. Teraz zabiegał o względy tego Macedończyka i chętnie zaczynał rozmowę po grecku, chociaż nieraz Filip śmiał się i poprawiał go.

Lato mijało. Od czasu do czasu czuło się w wietrzyku wczesnego poranka powiewy jesieni. Aż nadszedł dzień triumfalnego wkroczenia Jezusa do Jerycha. Tłumy witały go na ulicach i czekał obiad w wielkim domu, w którym mieszkał Zacheusz, samotny wśród przepychu, otoczony pogardą współobywateli miasta, czujących lęk przed nim. I oto po rozmowie z Jezusem Zacheusz oświadczył publicznie, że zamierza wynagrodzić ludowi w czwórnasób podatki, jakie niegodziwie ściągał.

Tamtego dnia wieczorem w obozowisku na wzgórzu Jezus powiedział swym dwunastu towarzyszom, że praca letnia już się skończyła. Jutro, powiedział, wyruszą z powrotem do Kafarnaum. Byli radzi, ale też nieco zdumieni, bo pora deszczowa miała nastąpić nie rychlej niż za miesiąc, a tu Jezusowi spieszy się z powrotem do Kafarnaum. Nie pytali, dlaczego: już wiedzieli, że nie należy Go wypytywać.

## 17

Dopiero po tygodniu — najdłuższym w życiu Woldiego — Feliks przyszedł z wizytą do więzienia.

Przyszedł po wieczery. Zapadał zmierzch. Lampka oliwna już się paliła. Woldi siedział apatycznie na posłaniu, gdy usłyszał dolatującą z korytarza sprzeczkę.

— Prefektowi to nie będzie się podobało, paniczu — skomlał otyły dozorca więzienny.

398

— Czy dostałeś rozkaz, że masz nie pozwalać na odwiedzanie tego Araba? — doleciał głos zirytowanego Feliksa.



— N...ie, paniczu, nie — przyznał dozorca. — Ale twój ojciec mnie ukarze, jeśli dowie się o tym.

— Więc lepiej mu nie mów. Otwórz te drzwi i uciekaj. Możesz wrócić za dwie godziny.

Doleciało jeszcze jedno skomlenie protestu, po czym zgrzytnął klucz w zardzewiałym starym zamku. Feliks wszedł. Woldi wstał z pryczy i uściskali się milcząc.

- Niezupełnie rozumiem — powiedział Feliks z powagą, gdy obaj usiedli. — Chyba coś bardzo naglącego zmusiło cię do tej wyprawy na tereny zakazane. Nie chodziło o tetrarchę, rzecz jasna, bo przecież wiesz, że wyjechał do Jerozolimy.
- Zaslugujesz na to, bym wyznał ci, Feliksie — powiedział Woldi. — Tam jest moja dziewczyna, czeka na wiadomość ode mnie. Musiałem pojechać, nie bacząc na następstwa. Nie udało się, ale warto było spróbować.
- Twoja dziewczyna? — Feliks się rozchmurzył, zainteresowany. — Jednakże postąpiłeś nieroztropnie. Widocznie to jakaś nadzwyczajna dziewczyna. Nigdy nie spotkałem takiej, dla której chciałbym narażać się na więzienie. No, więc teraz ponieważ wyznasz mi wreszcie prawdę. Słucham cię.

Przez całą godzinę Woldi opowiadał Feliksowi swoją historię. Zrazu chciał pominąć wyjaśnienie, jak i dlaczego Fara, ta niezwykła pół-Żydówka, pół-Arabka, trafiła do Galilei, ale gdy zobaczył, że Feliks niezadowolony marszczy brwi, wyjawiał wszystkie szczegóły. Opowiedział o niezwykłej przysiędze Fary, o jej śmiałej samotnej podróży w bardzo

ryzykownym przebraniu, o niewykonalności jej zadania, o tym, że nie chciała wrócić do Arabii. Skończył swą opowieść i spojrzał w bystre oczy Rzymianina, niemo prosząc go o współczucie, przyjazne zrozumienie.

Feliks odetchnął głęboko. Jak gdyby z bardzo daleka powiedział:

— Po prostu bym ci nie uwierzył, Woldi, gdyby nie to, że czegoś tak fantastycznego nie dałoby się wymyślić! Nikt by nie ułożył takiej baśni! Córka Antypasa! Przysięgła, że zabije tetrarchę Galilei! Samodzielnie! Szesnastoletnia

399

dziewczyna! Nadal zamierza to uczynić... No, albo jest pomyłona... albo najodważniejsza ze wszystkich istot pod słońcem!

— Nie uważałbyś jej za pomyłoną, gdybyś ją poznał — powiedział Woldi. — Co do odwagi, ona po prostu nie ceni sobie życia. Fara to dziewczyna bez ojczyzny. Jej wszystko jedno, czy będzie żyła, czy umrze. Rzec w tym, że niewątpliwie rozumie beznadziejność swojego przedsięwzięcia... a dobrowolnie już odcięła się od Arabii... Wiem, że Fara mnie kocha, Feliksie, i życie bym oddał dla niej... Czyż to dziwne, że zaryzykowałem?

Feliks, który siedział opierając łokcie na kolanach, przeczesując palcami swe krótko przystrzyżone kędzierzawe włosy, teraz wolno podniósł głowę.

- Ale co można zrobić w tej sytuacji? — zapytał.
- Już nic, jak widzisz — powiedział Woldi zniechęcony.

—Gdybym zdołał wysłać list do Fary z wyjaśnieniem, dlaczego nie mogę przyjechać, ten list z pewnością zostałby przechwycony i naprowadziłby śledztwo na cel jej pobytu w Galilei.

— Wiem! — wykrzyknął Feliks. — Napisz. Ja sam list zawiozę.

Dopiero po chwili Woldi odpowiedział. Żaden z nich — ani ten Arab, ani ten Rzymianin — nie lubił okazywać wzruszenia. Kładąc rękę na kolanie Feliksa, Woldi szepnął:

- Jesteś doprawdy wiernym przyjacielem! Mam na dzieję, że nie narobisz sobie kłopotu.
- Już czas, żebym miał kłopoty. Mała przygoda wyjdzie mi tylko na dobre... A ta dziewczyna warta jest ryzyka.
- Co prefekt będzie myślał o tobie?
- Rozzłości się, przypuszczam. Ale wiem na pewno, że on na moim miejscu postąpiłby tak jak ja... Prefekt — dodał Feliks z synowską dumą — to bardzo rozsądny człowiek!

Przez następne pół godziny poważnie omawiali sposoby doręczenia listu. Feliks zastanawiał się, czy w małej Bet-saidzie nie wzbudziłoby zbytnej ciekawości przybycie obcego Rzymianina w odwiedzinach do młodej kobiety, której obecność tam nadal niezupełnie jest wyjaśniona. Ostatecznie

400

zdecydowali, że Feliks powinien osobiście doręczyć list jnądremu

staremu saduceuszowi, Dawidowi z rodu Sado- Woldi ufał, że Dawid doręczy list Farze.

W tydzień później Feliks wrócił z podróży. Gdy wszedł do celi, Woldi przyjrzał mu się niespokojnie. Ku jego uldze Feliks był wyraźnie zadowolony z siebie.

Doręczył list Dawidowi tak, jak zaplanowali. Zachwycony mądrością starca, chciał opowiedzieć Woldiemu, jak gościnnie został przyjęty.

- Ale... co z Farą? — zapytał Woldi.
- Jej tam nie było — odrzekł Feliks. — Fara wędruje po okolicy z tym cudotwórcą Cieślą i jego towarzyszami.
- Przecież... to niemożliwe! — zaprotestował Woldi. — Imponował jej ten młody prorok, ale nie wyobrażam sobie, żeby poszła za nim. Fara wcale nie jest pobożna!
- Może nie — ustąpił Feliks — ale świata nie widzi poza Cieślą. Wtedy, gdy ty tam byłeś, ta kobieta Hanna, która Farę przygarnęła pod swój dach, ciężko zachorowała. W kilka dni po twoim wyjeździe życie jej wisiało na włosku. Cieśla przyszedł, uzdrowił ją. Fara uwierzyła, że to cud. Wyznała Dawidowi, że Cieśla uzdrowił ją także.
- Uzdrowił Farę? A co jej dolegało?
- To właśnie jest raczej zagadkowe — odpowiedział Feliks. — Mówiła Dawidowi, że Cieśla uzdrowił jej umysł, że uwolnił ją od nieznośnego brzemienia. Ten zacny starzec nie chciał powiedzieć, co to za brzemień. Może nie wie. Ale bardziej prawdopodobne, że wie, tylko nie chciał powie

dzieć... Mnie się zdaje, że Cieśla wyperswadował jej tę przysięgę zemsty.

- Niewykluczone. Oby tak było!
- Zostawiła Dawidowi ustną wiadomość dla ciebie, w razie gdybyś przyjechał pod jej nieobecność. Bardzo jej zależy na tym, żebyś wrócił do Arabii. Sama zamierza zostać w Galilei i pomagać temu Jezusowi.
- Pomagać mu? Jak?

Dawid mówi, że Fara opiekuje się chorymi dziećmi, które ludzie przynoszą do Cieśli w nadziei, że je uzdrowi. 401 Zdaniem Dawida, ona w ten sposób chce płacić dług wdzięczności za cud, jaki Cieśla uczynił dla niej. Po długim milczeniu Woldi powiedział:

- A więc to już koniec. Fara odda życie za tego Jezusa. No... Mogłoby być gorzej. W żadnym wypadku nie udałoby się jej... zrobić tamtej rzeczy.
- Och, może by się nawet udało — rozmyślał głośno Feliks. — Fara dosyć łatwo mogłaby dostać pracę w pałacu tetrarchy, stać się zaufaną służebnicą i wtedy go zabić. To byłoby samobójcze, oczywiście, ale... mogłaby go zabić.
- Hańba dla Arabii, że temu szubrawcowi dane jest żyć! — wymamrotał Woldi.
- Zgadzam się z tobą — przytaknął Feliks.
- Pewnie uważasz, że teraz ja powinienem podjąć się

tego? — pytał Woldi.

Feliks zbył to milczeniem. Wstając powiedział, że przyjdzie nazajutrz.

— Uważasz tak, prawda? — nalegał Woldi chwytając przyjaciela za rękaw.

Feliks uśmiechnął się tajemniczo i tylko potrząsnął głową — niech Woldi myśli sobie, co chce.

— Ale... ale — powiedział od drzwi. — Darik jest w świetnej formie. Codziennie objeżdżany. Gdy się stąd wydostaniesz, zawiezie cię... wszędzie!

Tak jak Herodiada przepowiadała, ta uczta, chociaż wystawna, była okropnie nudna. Rzymianie wcześniej, bo już po południu, zaczęli bez umiaru oblewać urodziny tetrarchy, teraz więc bardzo apatyczni pokładli się wokół stołów biesiadnych. Magik z Cezarei pokazywał swoje sztuczki na pół pijany, bezczelnie ordynarny. Akrobaci napracowali się setnie, aby zyskać słabiutki poklask. Harfiści jeszcze nie wystąpili. Ledwie przybyli w południe, zabrała ich Salome obiecując ojczymowi, że razem z tymi muzykantami będzie miała dla niego niespodziankę.

Nastąpiła ubolewania godna przerwa, gdy czekano na dalszy ciąg programu. Senator Cotta ziewał potwornie i pytał:

402

- Co teraz, wasza wysokość?

Tiro zaproponował:

- Może niech ktoś wygłosi przemówienie...
- Może by — wycedził Marek Warus — ten prorok,

którego trzymasz pod kluczem, Antypasie?

- Niezły pomysł — poparł go Fadilla. — Sprowadź go tu! Niech przemówi!

Antypas krótko się sprzeciwiał. Wypił już więcej niż zwykle i gotów byłby zgodzić się prawie na wszystko, a przecież uznał, że ta propozycja wymaga rozważenia. Zwrócił się do Fadilli, spoczywającego nie opodal:

—Wśród naszego ludu, Tuluszu, krąży stara legenda o tym, jak więźnia, niejakiego Samsona, sprowadzono z lochu, żeby zabawił gości tych, którzy go pokonali i pojмали. Zwalił on wtedy cały pałac im na głowy.

- Tetrarcha jest przesądny — zauważyła Aurelia, żona Warusa. Antypas zmarszczył brwi, skinął na przybocznego strażnika i po cichu wydał mu jakiś rozkaz. Strażnik wyszedł z sali, a on podnosząc głos oznajmił:
- Mamy kogoś w naszym więzieniu. Ten pomyleniec mieni się prorokiem. Rozkazaliśmy sprowadzić go tutaj, żeby do nas przemówił. Nie mamy pojęcia, co powie, ale posłuchajmy. Okazujmy mu szacunek... inaczej może nie będzie chciał się odezwać.

Nagle zaległa cisza, gdy wychudzony, rozczochrany więzień wszedł między strażnikami, mrużąc oczy w migotliwym świetle ogromnych lamp stojących wzdłuż ścian na kamiennych podstawach. Ci dwaj wysocy strażnicy wprowadzili go na podwyższenie przed stołem tetrarchy.

—Proroku Janie — powiedział Antypas — zostało tu

wyrażone życzenie, żebyś wygłosił przemowę. Wolno ci wybrać jej temat. Jeśli chcesz wiedzieć, dzisiaj są nasze urodziny. Gdybyś przemawiał o tym wydarzeniu, bylibyśmy zadowoleni. Może nawet... gdyby twoje słowa nam się spodobały... dalibyśmy ci wolność.

Znów zapanowała cisza, wszyscy czekali w napięciu, ciekawi, czym ich uraczy kudłaty pustelnik. Gdy zaczął mówić, w jego niskim głosie nie zabrzmiała nuta wzburzenia

403

czy zakłopotania ani też wcale nie wydawał się dotknięty takim wystawianiem go na pośmiewisko.

— Miłościwy panie — powiedział — w dniu urodzin przystoi rozważyć twe lata i uczynki. Na pewno każdy ze świetnych uzdolnionych wielmożów tu obecnych potrafiłby to zrobić bardziej wymownie niż skromny więzień, wszelako chyba nie bardziej zgodnie z prawdą.

Rzadko, miłościwy panie, w historii tego nieszczęśliwego świata bywa dane jednemu człowiekowi pojednać dwa wielkie narody od dawna sobie wrogie. To zadanie, aby uleczyć nienawiść pomiędzy Izraelem i Izmaelem, zostało poruczone waszej królewskiej mości.

Tetrarcha, ponuro marszcząc czoło, bębnił czubkami palców o stół. Hispo szepnął do Pauli Fronto:

- Ten człek to wariat!
- Nie jest rzeczą więźnia waszej królewskiej mości —  
ciągnął Jan — snuć domysły, dlaczego do tej doniosłej sprawy nasz Bóg w mądrości swojej powołał człowieka tak



próżnego i samolubnego jak wasza królewska mość; ale drogi Boga są tajemnicze i nie do zgłębienia. Któż wie, kiedy... jeśli w ogóle kiedykolwiek... będzie znów czyimś przywilejem i powinnością usunąć rozłam pomiędzy Żydami i Arabami!

- Wystarczy, ty wściekły psie! — wybełkotał Antypas wstając chwiejnie. — Wracaj do swojej budy!

Strażnicy pochwycili więźnia i brutalnie pchnęli ku drzwiom.

W całej sali podniósł się szmer oburzenia, który miał zapewnić tetrarchę, że to były brednie głupiego pustelnika, niegodne jego uwagi. Prawie wszyscy obecni — zwłaszcza starsi — jednak wiedzieli, że Jan powiedział prawdę. Antypas mimo woli spróbował spojrzeć w oczy Dawidowi, wyczytać w nich pogląd na tę niezręczną sytuację, ale stary saduceusz, z powagą gładząc się po brodzie, nie podniósł wzroku.

Salome, która wcale nie wiedziała, co się stało w sali biesiadnej, przyszła z nieoczekiwaną pomocą osłupiałemu, zmieszanemu Antypasowi. Na czele dwudziestu dobrze wyuczonych harfistów wkroczyła z wdziękiem, złożyła

404

głęboki ukłon przed ojczymem i postukując kastanietami puściła się w szaleńczy płas. Tańczyła lekka jak piórko, nie obciążona żadną szatą, gdyż prócz tego, że miała wieniec z rubinów na głowie, wymyślny naszyjnik z pere— na szyi i opaskę ze sznurków szafirów na biodrach, była zupełnie naga.

Antypas raptownie ochłonął z bezsilnego gniewu, urzeczony gracją pięknej pasierbicy. Wprost nie posiadał się z zachwytu. Gdy z

ołsniewającym uśmiechem, przeznaczonym tylko dla niego, skończyła swój taniec, zawołał, żeby poprosiła o wszystko, czego zechce, a na pewno to dostanie! Rozległy się huczne brawa. Salome uratowała sytuację, wszyscy byli radzi ze względu na tetrarchę.

Herodiada wymknęła się na korytarz i czekała, gdy córka wyszła z sali, promieniejąc zadowoleniem z odniesionego sukcesu.

—Słyszałaś, co on powiedział? — zapytała Salome jeszcze zdyszana. — O co by go poprosić? O diadem szmaragdowy? — Wpadła na lepszy pomysł. — Już wiem! Poproszę go o paradną barkę wycieczkową, żeby pływać po jeziorze!

Herodiada stała przed nią gniewna.

—Nie! — zaprotestowała. — Ja ci powiem, o co masz go poprosić.

Przyciągnęła dziewczynę do siebie i coś jej szepnęła. Salome cofnęła się przerażona.

- Ależ... tyś oszalała! — wykrztusiła. — Jaką przyjemność może ci sprawić śmierć tego biednego głupca?
- Tym razem, córko — wrzasnęła Herodiada — będzie tak, jak ja chcę! Obdarowana jesteś dostatecznie! A to, czego ci nie ofiarowano, ukradłaś! Usłuchasz mnie teraz... W przeciwnym razie ukarzę cię! Naprawdę! Mówisz, że oszalałam, no, możliwe! Ale tym bardziej sroga może na ciebie spaść kara!... Idź!... W tej chwili!

Już nie ta sama dziewczyna weszła do sali biesiadnej powoli, niepewnym krokiem, z oczami spuszczoneymi. Stała przed tetrarchą zakłopotana. W sali nagle ucichło.

—Miłościwy panie — zaczęła ochryple. — Pragnę, żebyś mi podarował srebrny półmisek, który dostałeś od cesarzowej Julii.

405

- Ależ... oczywiście — odpowiedział Antypas z ulgą, trochę jednak zdziwiony. — Mogłabyś poprosić o coś więcej, moje dziecko.
- Miłościwy panie... istotnie proszę o więcej. — Głos Salome się załamał. — Proszę, żeby mi podano głowę Jana, więźnia, na tym srebrnym półmisku.

Wszyscy wstrzymali oddech. Błady, pełen zgrozy Antypas z twarzą wykrzywioną opadł na poduszki.

- Ależ my... nie możemy tego zrobić!
- Obiecałeś! — oświadczyła Salome rzeczowo, nieodwołalnie.

Jak osaczone zwierzę Antypas rozejrzał się po twarzach wokoło, żałośnie szukając jakiegoś rozwiązania, ale nie znalazł ani odrobiny współczucia w oczach rozbawionych cynicznych Rzymian. Po dłuższej chwili niezdecydowanie skinął na dowódcę straży i wybełkotał ohydny rozkaz.

Jair nabazgrał pospiesznie wiadomość do przekazania swemu gospodarzowi. „Małżonka moja Adiel — napisał — nagle poczuła się niedobrze — czy wolno nam więc będzie odejść?” Nie czekając na zgodę, oboje szybko wyszli.

Potem nastąpiła długa, przykra cisza, przerywana krótkimi, wątlými próbami wymuszonej pogawędki. Herodiada już wróciła na swoje miejsce

między Maniliuszem a Fadil-lą. Salome zniknęła. Wreszcie drzwi się otworzyły. Wszyscy skierowali wzrok w tamtą stronę. Makabryczny dar został wniesiony i złożony przed tetrarchą. Antypas wzdrygnął się na ten widok.

Młoda Flawia Tiro powoli osunęła się w objęcia senatora Cotty i zwymiotowała. Senator miał na sobie szkarłatną tunikę z rozpostartym czarnym orłem wyhaftowanym na lewej piersi. Odepchnął wymiotującą dziewczynę i wyszedł z sali, zwracając Markowi Warusowi, który zachichotał.

Goście małymi gromadkami opuszczali salę, po czym wkrótce znów się zebrali nad basenem. W sali biesiadnej zrobiło się pusto: został tylko tetrarcha i gotujący się do wyjścia saduceusz.

— Dawidzie! — zawołał ochryple Antypas. — Jesteś

406

prawnikiem. Czy tetrarcha ma prawo skazywać człowieka na śmierć?

— Myślę, że nie, wasza wysokość — odpowiedział Dawid. — Życzę dobrej nocy.

Nie minęła godzina, gdy wstrząsająca opowieść z niewiarygodną szybkością rozeszła się po okolicy z dziedzińca pałacowego, gdzie było pełno ludzi. Odpoczywali tam pachołkowie i żołnierze, tragarze z lektykami Jaira, służba Dawida, dwudziestu legionistów z eskorty Juliana, małe oddziały uzbrojonych strażników, towarzyszące sztukmistrzowi z Cezarei, rodzinie akrobatów z Damaszku i zespołowi harfistów z Jerycha. I już wkrótce karawana, która w drodze na południe zatrzymała się na noc niedaleko Kafarnaum, poniosła dalej w świat ponurą wiadomość o

zbrodni. W ciągu tygodnia ta wiadomość dotarła przez Perea na drugi brzeg Jordanu i powszechnie ją powtarzano w najdalszych zakątkach Judei. Przeniknęła nawet grube mury cezarejskiego więzienia, dokąd przyniósł ją Feliks.

Tysiące ludzi, którzy trwożnie słuchali niebacznego przepowiedni szalonego pustelnika o rychłej zagładzie niegodziwego świata, mającej obalić świątynie pełne chciwości i pyszne trony, a potem prawie już zapomnieli, zarówno o jego przepowiedniach jak o nim, teraz zakipiały gniewem wobec tego potwornego bestialstwa.

Kudłaty kaznodzieja z grotty na pustkowiu, gdzie jadał pieczoną szarańczę, niewątpliwie się mylił — zuchwale zapowiadany przez niego kataklizm nie nadchodził. Ale jakim prawem ten nadęty władca Galilei kazał mordować bezbronno więźnia tylko gwoli zabawienia garstki spasionych Rzymian?! Odpowiedzi na to nie było. Piłat mając wiele innych kłopotów wzruszył ramionami i mruknął:

— Nie moja sprawa. Niech Galilejczycy się nim zajmują.

Galilejczycy się zajęli — nie stosując przemocy, którą tetrarcha łatwo by pokonał, tylko okazując mu jednomyślnie niewysłowioną pogardę, przeciwko której nie miał żadnej broni. Czyż można ukarać wieśniaka za to, że stoi tyłem do gościńca, gdy tetrarcha przejeżdża na swym karym ogierze,

407

czy może on całą wioskę postawić przed sądem za to, że w czasie jego codziennych przejazdów wszystkie drzwi są zamknięte, żywej duszy nie widać?

Wczesnym rankiem, następnego dnia po haniebnej uczcie urodzinowej,

ledwie winogradnicy i cieśle jak co dzień przybyli do pracy w nowej winnicy, usłyszeli, co się stało. Nie tknąwszy swoich narzędzi, złowrogo zebrali się wokół zwłok proroka leżących przed więzieniem. Tetrarcha nie uczynił nic, żeby zapobiec buntom. Zamiast tego rozkazał wycofać stamtąd strażników i ogłosić, że jeśli ktoś z przyjaciół chce zabrać zwłoki Jana, może to zrobić bez przeszkód. Niespodziewane ustępstwo wyraźnie miało być pierwszym krokiem do pojednania, ale oburzeni Galilejczycy — bynajmniej nie głupcy, za jakich Antypas ich uważał — wytłumaczyli sobie, że wyrozumiałość świadczy o strachu możnowładcy, jeśli nie o wyrzutach sumienia.

Jezus, który po dziesięciu pracowitych i pełnych podniecenia tygodniach przemawiania do ogromnych rzesz w Kanie, Efraim Betę, Jerychu i wsiach okolicznych wrócił do Kafarnaum, dowiedział się o tej tragedii późną nocą. Andrzej zbudził Go, żeby Mu o tym powiedzieć. O wschodzie słońca przybiegł z Betsaidy Piotr.

— Pochowają go dziś po południu, Panie — powiedział — na cmentarzu w Betsaidzie. Ludzie są poruszeni. Ściągają tam tłumnie. Nie uważasz, Panie, że byłoby dobrze, gdybyś nad grobem Jana powiedział im parę słów ku pocieszeniu?

Po chwili namysłu Jezus potrząsnął głową. Do oburzonej gawiedzi na cmentarzu nie dotarłyby słowa pociechy. Cokolwiek by powiedział tym gniewnym ludziom, byłoby to rozumiane opacznie. Gdyby ubolewał nad zbrodnią tetrarchy

— co byłoby nieuniknione — myśleliby, że On pochwała powszechny bunt przeciwko rządowi, choćby prosił ich gorąco o spokój i uległość. Ani też nie usłuchaliby spokojnej

rady, że powinni miłować nieprzyjaciół swoich i modlić się za tych, którzy ich wykorzystują i prześladują. Jan doprawdy zapłacił wysoką cenę za odwagę i prawdomówność, ale...

- Przecież, Panie — przerwał Piotr porywczo — mówiłeś nam nieraz, że prawda uwolni ludzi!
- Tak — odrzekł łagodnie Jezus — Jan więc jest wolny...

408

Chodź, przeprawimy się przez jezioro w jakieś ustronne miejsce, z dala od rozniewanych ludzi. Powiedz naszym towarzyszom, że spotkamy się z nimi na brzegu. Mam wam wiele do powiedzenia.

Chociaż słońce ledwie wzeszło, hałaśliwie buntowniczy tłum już zebrał się na placu przed synagogą. Gdy Jezus przechodził, podniesiono wrzawę, domagając się, żeby przemówił. On jednak udał się nad jezioro, gdzie Piotr i inni uczniowie czekali na Niego.

A więc w tej krytycznej chwili, chociaż Jego rada była tak bardzo potrzebna, nieoczekiwanie wycofał się. Oniemieli ze zdumienia ludzie patrzyli, jak trzy wypożyczone łódki odpływają w stronę beczynnych od dawna żaglowców Piotra, a potem, jak pasażerowie tych łódek wspinają się na pokład „Sary”. Żagle szybko zostały rozwinięte i „Sara” zaczęła się oddalać.

- Ciekawe, dlaczego popłynęli na „Sarze” — zauważył jeden z zaintrygowanych gapiów, ocieniając oczy ręką przed blaskiem słońca.
- Pewnie płyną gdzieś na płytką zatokę — wysunął przypuszczenie jakiś rybak. — Patrzcie! Kierują się na

północ... tam, gdzie pustkowie.

- Pójdźmy za nimi! — ktoś wrzasnął.

Usłuchano skwapliwie. Tłum ruszył w drogę brzegiem jeziora, nie zorganizowany, bez przywództwa, ale gotów odnaleźć Jezusa.

Wszyscy zziajani, zmordowani przewędrowali mozolnie po piachu, poprzez trzciny i zielsko osiem długich mil. Tylko przezorniejsi, wiedząc, jaka ich czeka wyprawa w odludne okolice, w których nie znajdą pożywienia, pobiegli przedtem do swych pobliskich domów lub do sklepików, żeby ponapychać sobie kieszenie wędzonymi rybami i bochenkami pszennego chleba.

Pięć tysięcy ludzi wyczerpanych i brudnych, w rozpadających się sandałach, w odzieży postrzępionej podczas przedzierania się wśród głogów i jeżyn, dotarło do Jezusa i Jego towarzyszy późno po południu. Już nikt nie wykrzykiwał — byli zanadto zmęczeni, żeby podnieść głos, nie mieli już siły kogokolwiek nienawidzić.

409

Wielki Rybak natychmiast objął dowództwo. Pewny siebie, tubalnie kazał im wszystkim usiąść możliwie jak najciaśniej, w półkolistych rzędach naprzeciw wydmy, na której czekał Jezus ze swymi towarzyszami. Dopiero gdy przybyli ostatni maruderzy, Jezus wstał, żeby przemówić. Cisza spłynęła na wyczekujących ludzi, łagodny głos uniósł ukojenie.

Powiedział, że widzi ich jako wielką rodzinę, braci i siostry, którzy utrudzeni przyszli do Niego, żeby odpocząć. Nie ma już obcych, wszyscy to jednej krwi dzieci Ojca w niebiesiach, połączone nie gorącym pragnieniem zemsty czy zadośćuczynienia, lecz wzajemnym dla



siebie współczuciem... I gdy tak przemawiał spokojnym głosem, stał się dziwny cud, serca ludzkie wezbrały ciepłym poczuciem pokrewieństwa.

Tymczasem cienie na wschodnich zboczach się wydłużyły. Gdy skończył mówić, urok trzymający rzeszę w bezruchu i milczeniu uleciał, ludzie odetchnęli głęboko, prostowali się, odwracali. Co dalej? Czy rozejść się? Byli głodni. W każdych innych okolicznościach ci bardziej przezorni, zaopatrzeni w prowiant, zaczęliby jeść, nie bacząc na głodnych wokół siebie. Ale tutaj, chociaż niejeden zerkał ukradkiem na sąsiada, nikt nie sięgał w zanadrze.

Towarzysze Jezusa odbyli szeptem naradę, a potem zwrócili się do Niego. Na ich twarzach malowało się strapienie. Jezus jednak zgoła się nie strapił.

- Nakarmcie ich! — powiedział.
- Czym? — zapytali. — Nawet gdybyśmy mieli pieniądze na zakupienie takich ilości jadła, nigdzie tu nic kupić nie można.

Ludzie wykręcali szyje i starali się usłyszeć, o czym mówią. Jakiś chłopczyk wystąpił z tłumu, podszedł i wręczył Panu swój koszyczek z żywnością. Jezus podziękował malcowi. Unosząc koszyk w ręce, oznajmił rzeszy:

—Teraz spożyjemy wieczerzę.

Wszyscy się roześmieli. Dotychczas tego dnia nie śmiał się nikt. Ale Jezus nawet się nie uśmiechnął. Podniesieniem ręki nakazał ciszę. Z pochyloną głową modlił się, dziękując Bogu za to jedzenie i za dobre serce szlachetnego dziecka,

które chce się podzielić z bliźnimi. Potem zaczął łamać pięć małych bochenków i dwie ryby chłopca na maleńkie kawałeczki i polecił towarzyszom, żeby rozdali je między ludzi.

Mężczyźni i kobiety, którzy zadbali uprzednio o posiłek dla siebie, zakłopotani wyciągali to, co mieli, i częstowali swoich sąsiadów... Iście był to dzień cudów!

Wkrótce potem tłum się przerzedził. Popołudnie prawie minęło, niebo na północy już ciemniało. Z pośpiechem ruszano w drogę powrotną.

Andrzej odwracając się do Bartłomieja rzekł poufnie:

- Teraz chyba wiem, dlaczego Pan przywiódł nas tutaj.
- Słusznie, Andrzej — powiedział bystry starzec. — On wiedział, że tłum pójdzie za Nim, a chciał, żeby ci zapaleńcy mieli możliwość ochłonać.
- I żeby musieli myśleć o czymś innym niż o nienawiści do Antypasa — dorzucił Andrzej. — No, ochłonęli, gdy dotarli tutaj, to pewne.
- Tak. — Bartłomiej wskazał groźną chmurę na niebie. — Ja ochłonę jeszcze bardziej, zanim dotrzemy do Kafarnaum.

Rzeczywiście wędrówka brzegiem jeziora była bardzo ciężka. A potem na jeziorze wśród szalejącej burzy „Sara” omal nie zatonała!

Tymczasem, gdy na pustyni Jezus cudownie nakarmił pięć tysięcy ludzi chlebem i rybami z koszyczka dziecka, garstka ludzi z Betsaidy spokojnie pochowała Jana na wiejskim cmentarzu tam, gdzie leżeli jego dawno

zmarli rodzice. Wąty sędziwy rabbi Elimelech drżącym głosem zaintonował starą modlitwę o spokój duszy proroka. Estera, która poprzedniego dnia wróciła po uciążliwej pracy wśród zgłodniałych i spragnionych tłumów, idących za Jezusem na wschód, została razem z Hanną przy grobie, dopóki nie został zasypany ziemią.

Tak więc Galilea uniknęła rewolucji. Ale stosunek ludu do tetrarchy, jego domostwa i gości - pogan, chociaż nie było żadnych wrogich demonstracji, stał się wprost

411

obelżywy. Nie czekając na „Augustę”, która miała przy. płynąć dopiero za miesiąc, Antypas zebrał swoją świtę i wczesnym rankiem wyruszył do Cezarei z nadzieją, że szczęśliwym trafem zastanie tam jakiś statek, mający wkrótce popłynąć do Rzymu. Tym razem gapie nie wylegli na gościniec, żeby oglądać paradny poczet.

Na szczęście dla udręczonego tetrarchy brudny, mocno sfatygowany statek towarowy „Ostia” po wyładowaniu w nowej przystani w Cezarei ładunku miedzi z Cypru za kilka dni miał popłynąć z powrotem do Rzymu.

Wśród nielicznych pasażerów, którzy przybyli do Cezarei na pokładzie „Ostii”, był prefekt Sergiusz. Powitał go serdecznie dowódca straży Malus, który spodziewając się jego powrotu przyjechał do portu.

- Jak tam Feliks? — zapytał prefekt, gdy jechali do pretorium.
- Bardzo dobrze. Będzie się cieszył ogromnie, gdy cię zobaczy.
- Pewnie czuł się samotny — powiedział Sergiusz. —

Czym zapełniał sobie czas?

- Jeździ konno, panie — zameldował kapitan. — I często odwiedza Woldiego, tego młodego Araba, w więzieniu.

Sergiusz zmarszczył brwi.

—To mi się nie podoba, Malusie. Jak mogłeś na to pozwolić! Ja zamykam tego chłopaka za lekceważenie zakazu, a mój syn go odwiedza. Położę temu kres. Co by było, gdyby tetrarcha się o tym dowiedział?

Malus wyjaśnił, że nie dostał zarządzenia, by wstrzymać odwiedziny w więzieniu.

- I przecież nie miałem prawa mówić Feliksowi, gdzie mu wolno, a gdzie nie wolno chodzić w czasie twojej nieobecności. Chyba nic złego się nie stało — dorzucił. — Ten Arab jest w więzieniu nadal. A skoro już o tym mowa... Antypas ze swoją świtą właśnie przyjechał do miasta. Popłyną do Rzymu na „Ostii”.
- Na tej starej brudnej „Ostii”! — wykrzyknął Sergiusz. — Tetrarcha, widać, bardzo się spieszy.
- Tak, panie. Antypas popełnił błąd. Cała Galilea aż kipi, bliska buntu. Najwidoczniej zrobiło się za gorąco.

prefekt zażądał szczegółów tej historii. Malus więc mu opowiedział o wstrętnej zbrodni tetrarchy: o ścięciu nieszkodliwego fanatyka dla zabawienia gości przy biesiadnych stołach, o przyniesieniu jego zakrwawionej głowy na półmisku.

Sergiusz zsiniał z oburzenia, słuchając tej ponurej opowieści. Nie żywił ani odrobiny szacunku dla Antypasa, nadętego zromanizowanego Żyda, teraz na myśl o nim czuł nieomal mdłości. Sam kazał ściąć niejednego człowieka, ale nigdy gwoli zabawy!

- Kraży plotka — ciągnął Malus — że to był pomysł Herodiady.
- Możliwe — warknął Sergiusz. Rozgniewany, milczał przez chwilę, po czym nagle wybuchnął: — Mam dosyć tego podłego tetrarchy! Tym razem nie będzie się tracić czasu na żadne porady i ceremonie! Nie zamierzam go odprowadzać do portu! I nie musisz trudzić się daniem mu ochrony! Jeśli będzie chciał zobaczyć się ze mną, powiedz mu, że leżę chory... na trąd! I, Malusie, jedź do więzienia, wypuść tego Araba. Oddaj mu konia. Powiedz chłopakowi, że jest wolny, może jechać, dokąd chce!

Podjechali pod pretorium, wysiedli z rydwanu. Feliks przybiegł i serdecznie uściskał ojca.

- Witaj, synu — powiedział Sergiusz. — Rad jestem, że cię widzę! Malus mi mówił, że sprawowałeś się dobrze.

- Dziękuję; Malusie! — wykrzyknął Feliks tak żarliwie, że bystry stary ojciec uśmiechnął się rozbawiony.

Wszyscy trzej równym krokiem ruszyli ku marmurowym schodom, prowadzącym do drzwi z brązu. Przed schodami Sergiusz zatrzymał się i popatrzył na syna z powagą. Feliks aż zamrugał. Zaczny Malus — pomyślał — ostatecznie zrobił mi świństwo.

- Chłopcze — rzekł prefekt i twarz Feliksowi się wydłużyła, bo to „chłopcze” zawsze wróżyło coś niedobrego. — Chłopcze... Przypuszczam, że pod moją nieobecność nadal widywałeś się ze swoim przyjacielem, tym nierozważnym młodym Arabem.
- Tak, ojcie — przyznał Feliks pełen skruchy. — Widuję się z nim... prawie codziennie.

413

— Zupełnie słusznie! — oświadczył prefekt. — Mężczyzna powinien być wierny przyjaciołom, zwłaszcza w tarapatach.

Feliks wciągnął oddech i zamrugał parę razy, zanim pozwolił sobie na niepewny uśmiech ulgi.

- Właśnie poleciłem Malusowi zwolnić tego nieboraka — ciągnął Sergiusz. — Ale Malus jest zbyt zajęty, żeby to zrobić dzisiaj. Nie zechciałbyś więc sam zawiadomić swojego przyjaciela, że może jechać w każdym kierunku, jaki mu odpowiada? — Wyciągnął stylus, nabazgrał rozkaz dla dozorczy więziennego i dał synowi.

- Jesteś bardzo dobry, ojcie — wyjąkał Feliks. —  
Dziękuję, ojcie!... Czy mogę już iść?

- Czemuż by nie?

Prefekt i dowódca straży weszli na schody pretorium. Feliks miał wrażenie, że słyszy cichy śmiech, ale nie obejrzał się za siebie, biegnąc po swego konia i po... Darika.

W więzieniu Woldi bardzo się zdumiał, gdy Feliks zaczął go ścisnąć prawie histerycznie, do utraty tchu. Dobrą wiadomość bełkotał tak niezrozumiale, że dopiero po długiej chwili stała się jasna. Walili się nawzajem po plecach i wrzeszczeli z radości. Wkrótce potem więzień wyszedł w blask słońca, mrużąc oczy odwykłe od takiego światła, i czule pogłaskał Darika po lśniącej szyi.

Feliks nagle spowaźniał.

- Dokąd teraz? — zapytał. — Cieszyłem się, że jesteś zwolniony, nie miałem więc czasu pomyśleć o tym, że wyjedziesz. Będzie mi ciebie brakowało, Woldi!
- I mnie będzie brakowało ciebie, Feliksie — powiedział Woldi z głębokim wzruszeniem. — Coś mi mówi, że powinienem wrócić do Arabii i zdać sprawę mojemu królowi, co się dzieje z Farą. Wiernej Jonie też trzeba powiedzieć. I muszę zobaczyć się z moimi rodzicami.
- Ale... chyba przyjedziesz tu znowu — powiedział Feliks.
- Na pewno — odrzekł Woldi. — Król Zendi zgodzi się na mój powrót tutaj... w misji specjalnej.
- Czy ja wiem, jaka to misja?

- Wiesz.

414

Dosiedli koni i pojechali do „Agryppy” po zdeponowane tam osobiste rzeczy Woldiego.

- Jeśli będzie coś, co mógłbym zrobić... gdybyś miał kłopoty... gdybyś nagle potrzebował przyjaciela... — zaczął Feliks.
- Ufam ci jak nikomu, Feliksie — powiedział Woldi. — Ale to jest samodzielne zadanie... i powinność arabska... Będę starał się być ostrożny — dodał.
- Ostrożny! — prychnął Feliks. — Dziwnie to brzmi w twoich ustach!

## 18

Znów — wcześniej niż zwykle — nadeszła pora deszczów, ale nie tak ulewnych i ciągłych jak ubiegłej zimy.

Czasami przez dwa albo i trzy dni nie padało, chociaż niebo uparcie zasłaniały chmury, nikt więc zanadto nie oddalał się od domu, jeśli nie miał po temu pilnych powodów.

Jezus rad wycofał się do domku Andrzeja w Kafarnaum i pod starym dachem znów zrobił sobie kwaterę główną dla najbardziej oddanej gromadki, która zostawiła wszystko, żeby pójść za swoim Panem.

Nie wszyscy jednak towarzysze Jezusa tam byli. Judasz wrócił do Iskariotu, żeby zająć się jakąś zaniedbaną sprawą. Filip powędrował w odwiedziny do sędziwej matki w Kanie. Tomasz nie mając mieszkania



przyjął pracę przy gręplowaniu lnu u Jaira, a Tadeusz strapiony zaniedbywaniem żaglowców mieszkał sam na „Abigail”, gdzie pilnie uszczelniał spojenia pokładu pakułami i smołą.

Inni, niespokojni, bez zajęcia, co dzień przychodzili do Cieśli. Zniszczone narzędzia Ebenezera, który zmarł latem, znów zostały pożyczone i zaimprovizowany warsztat służył ludziom, chociaż niewiele z tego było zysku. Często rozmawiali między sobą o planach wędrówek na nadchodzącą wiosnę. Niektórzy opowiadali się za pójściem ponownie do

415

Hammat i do Kany, niektórzy byli zdania, że należy pójść do Jerycha. Pytali Jezusa, jakie ma zamiary, ale On tylko potrząsał głową i szeptał:

— Nie teraz.

Ta zagadkowa odpowiedź studziła ich zapał. Było jasne, że Jezus już zdecydował, co będzie robił. To, że nie chce się z tego zwierzyć, wielce ich martwiło. Przewidywali różne niebezpieczeństwa... Iść za Jezusem nie jest łatwo.

Pewnego dnia rano, gdy żółtawe słońce słabo świeciło przez poszarpane szczeliny w szarej ławicy chmur, Jan odważył się powiedzieć, że bardzo dużo ludzi chętnie naraziłoby się na zmoknięcie, gdyby im oznajmiono, że Pan na rynku przemówi do nich, ale ta propozycja nie spotkała się z aprobatą. Zauważywszy rozczarowanie swego młodego przyjaciela, Jezus wyjaśnił krótko, że nie chciałby spowodować epidemii poważnych zaziębień.

Po południu Jan powtórzył tę rozmowę Bartłomiejowi.

- Przecież On z łatwością — dodał — mógłby wyleczyć wszelkie zaziębienienia.

- Znacznie łatwiej im zapobiegać — zauważył Bartłomiej. Po chwili mówił dalej: — Te cudowne uzdrowienia, synu, pozbawiają Go sił. Czyżbyś tego nie widział?
- Wiem — przytaknął Jan — to prawda. Aż pot Go oblewa.

Bartłomiej siedział w zadumie, głaszcząc brodę, wreszcie powiedział: — Janie... czuję nieraz, że On bierze na siebie każde brzemię, jakie z ludzi zdejmuje. Zrozum mnie dobrze: nie mówię, że gdy uzdrawia trędowatego, bierze na siebie trąd; mówię, że ilekroć podnosi cudze brzemię, dodaje ten ciężar do własnego brzemienia. Nasz Pan dźwiga bardzo ciężkie brzemię... Wciąż mi się przypomina proroctwo Izajasza. Izajasz zapowiadał, że Mesjasz będzie człowiekiem znającym smutek i żal.

Przymusowa bezczynność w dniach słoty, jakkolwiek przykra dla wszystkich, szczególnie denerwowała Piotra, który latem był nieustannie zajęty. Jakże wtedy wyczekiwał pory odpoczynku i nabierania sił! Teraz jednak — już po kilku dniach bezczynności — zaczęła go drażnić apatia

416

Betsaidy i chociaż radował się towarzystwem swego pana, długie popołudnia w domu w Kafarnaum, gdy siedział z założonymi rękami, stawały się coraz bardziej przygnębiające.

W tamtym zgiełkowym okresie parnych miesięcy Sivan i Tammuz odpowiedzialność, jaką było kierowanie wielkimi rzeszami

zdesperowanych ludzi, była nieraz prawie nie do zniesienia. Często o zmroku, ledwie tłumy rozeszły się do domów czy też do rozbitych naprędce obozów na sąsiednich łąkach i wzgórzach, Wielki Rybak rzucał się na ziemię, wtulał głowę w opalone ręce, zanadto wyczerpany, żeby zjeść wieczerzę. Gdyby nie troskliwość Estery i przykład, jaki mu bezwiednie dawała swym zdumiewającym męstwem, nie zdołałby dźwignąć tego brzemienia. Powiedział jej o tym szczerze.

Łączyła ich niezwykła przyjaźń. Ktoś obcy, kto by znał każde z nich osobno, ale nigdy nie widywał ich razem, z pewnością uważałby za nedorzeczne, a nawet niemożliwe to, że ten ogromny, zawadiacki, nieobyty, prosty rybak i ta wrażliwa dziewczyna, która wzrosła w wyjątkowym uprzywilejowaniu, mogą mieć ze sobą coś wspólnego. Właściwie dzieliła ich przepaść. Szymon Piotr nie miał o czym mówić z Esterą ani ona nie miała o czym mówić z nim, dopóki bezgraniczne przywiązanie do Jezusa i niezmordowana służba dla Niego nie zbliżyły ich do siebie.

Często omawiali to otwarcie, zgadzając się, że ich szczególna przyjaźń jest po prostu cudem, przy czym Piotr wyrażał przekonanie, że przyjaźń z Jezusem może połączyć wszystkich, którzy Go miłują, choćby się różnili rasą, kolorem skóry, językiem, charakterem czy sposobem życia. Jeśli miłują Jezusa, miłować się będą nawzajem. Jezus tak powiedział — oboje zrozumieli, co miał na myśli.

Estera opowiedziała Piotrowi swe dzieje i odtąd Piotr — na jej prośbę — ilekroć byli sami, nazywał ją Farą. W pewien wieczór, gdy siedzieli przy Panu, mimo woli zwrócił się do niej tym imieniem. Jezus uśmiechnął się wtedy łagodnie.

Nieraz wokół nich dwojga zbierali się inni uczniowie Jezusa. Estera była dla nich jak siostra. Naprawiała porwane

27 — Wielki Rybak

rzemienie u sandałów starego Bartłomieja, bandażowała Janowi pokaleczoną kolcami rękę, łątała opończę Andrzeja i nawet przyszyła guzik Judaszowi, którego intuicyjnie nie lubiła i nie darzyła zaufaniem. Tadeusz wciąż chodził za nią, pomagając przy rozkładaniu i składaniu namiotów, nosząc zapasy żywności, oddany jak wierny pies. Kiedyś w czasie pospiesznej powrotnej wędrówki do Galilei, gdy Estera nie nadążała, chciał, żeby usiadła i jechała w jego wózku na wysokich kołach, już i tak przeładowanym namiotami i sprzętem. Nie przyjęła tej propozycji, ale idąc obok niego powiedziała z wdzięcznością, że gdyby każdy dla każdego był tak dobry jak on dla niej, świat wkrótce stałby się piękną siedzibą wszystkich ludzi.

Nieśmiały chłopiec spłonął rumieńcem zadowolenia, połączonego z zakłopotaniem. Po chwili namysłu oświadczył, że świat jest dostatecznie piękny dzięki Esterze i odważył się rzucić jej spojrzenie pełne podziwu.

Dni zimowe wlokły się ponuro. Piotr mieszkając u Hanny w Betsaidzie co dzień rano człapał po błocie do Kafarnaum i wracał po południu, zmoknięty i milczący. Andrzej rzadko przychodził do domu, ale poprzedniego dnia wieczorem towarzyszył bratu, gdyż Jan i Jakub przyszli do Jezusa na noc.

Rano domownicy Hanny zebrali się przy stole. Było to poniekąd uroczyste śniadanie — dostali smażone okonie, których nie jedli od dawna.

- Słyszałam przed chwilą skowronka — oznajmiła Han na wesoło — i wśród chmur widać błękit nieba. Może już niedługo będziemy mieli ładną pogodę — ciągnęła — chociaż mnie się do ładnej pogody nie spieszy, bo wtedy wszyscy znów mnie opuścicie... Wiesz, Estero, wołałabym, żebyś tym razem nie poszła, to za ciężkie dla ciebie.
- No, co do mnie... — zaczął Piotr i wziął sobie jeszcze jedną rybę. — Będę rad, gdy ten czas nadejdzie. Zbyt długo siedzę w czterech ścianach. I chcę, żeby Pan wyszedł już z tego warsztatu. Ludzie Mu się narzucają... okropnie! Nie uważasz, Andrzeju?

Andrzej opieszale zgodził się, że to jest „jeden sposób patrzenia na to”.

I ni stąd, ni zowąd nawiązując do uwag

418

Hanny o pogodzie dodał, że zobaczył wczoraj sójkę ze słomką w dziobku. Estera nie mogła się nie uśmiechnąć. Ale Hanna nie zainteresowała się sójką Andrzeja. ■— Jak to, narzucają się? — zapytała.

- No, choćby te krosna dla starej Rebeki. — Piotr się rozgadał. — Ludzie byli poruszeni zbrodnią tetrarchy i tych bardziej zapalczywych aż podrywało, żeby kogoś ukarać, ponieważ Antypas złamał prawo, a nie da się nic zrobić jemu, postanowili zmusić wszystkich innych do przestrzegania prawa. Stara nędzarka Rebeka mieszkała samotnie w szopie na skraju Magdali. Nikt jej nie lubił. Wiele osób uważało ją za czarownicę, bo rzeczywiście szpetna była starucha. Dzieci ciskały w nią kamieniami, ilekroć pokazała

się na gościńcu. Rzuciła urok na krowy sąsiadów, tak że przestały dawać mleko.

- Śmieszne! — wykrzyknęła Estera. — Ty w to wierzysz?
- Pewnie, że nie — powiedział Piotr — ale ja nie jestem ważny w tym wypadku. Mnóstwo ludzi w to wierzyło... czy też mówiło, że wierzy... Ale mogli zarzucić Rebecę tylko to, że nigdy nie chodzi do synagogi.

Aż tu w szabat rano, w przededniu naszego powrotu usłyszeli, jak stukają jej rozklekotane stare krosna. Żeby pokazać, jacy są prawowierni, całą gromadą wpadli do jej chaty i połupali te krosna na podpałkę.♦♦ Nazajutrz Rebeka przyszła w tej sprawie do Jezusa.

- Byłeś tam wtedy? — zapytała Hanna.
- Byłem, Jan też był. Rebeka otworzyła drzwi i weszła jak do własnego mieszkania. Z gołą głową, rozczochrana, w sukni starej i brudnej, bosa, zabłocona. Podeszła prosto do Jezusa i bez słowa usiadła przy Nim. Trzęsła się z oburzenia. Ale Pan zwrócił się do niej z życzliwym uśmiechem: „Dzień dobry, córko, co mogę zrobić dla ciebie?” Patrzymy, a ona łagodnieje. Podniosła swoje kościste ręce do oczu i rozplakała się- Jezus zapytał: „Cóż to za zmartwienie, Rebeko?”
- Wtedy na pewno szlochała już wniebogłosy — ode zwała się Hanna, sama bliska płaczu.
- Po trochu wydobył z niej, o co chodzi — ciągnął Piotr

— i gdy skończyła mówić, powiedział: „Nie powinno się pracować w szabat... chyba że to jest konieczne dla czyjegoś dobra. Gdyby w szabat wół wpadł do jamy, trzeba mu przyjść na ratunek... Ale ty powiadasz, żeś tkła dywan na sprzedaż. Źle czyniłaś, jak ci wiadomo. Wszelako spotkała cię kara o wiele za surowa... Zrobię ci nowe krosna, Rebeko”.

Słuchali uważnie dalszego ciągu opowiadania Piotra. Jezus przez dwa tygodnie robił krosna; gdy były gotowe i chłopcy zawieźli je na wózku do chatki Rebeki, a On poszedł z nimi, Rebeka uprzątnęła izbę i zadbała także o swoją schludność. Sąsiedzi przyszli tłumnie. Już nie wydawała im się taka szpetna. Zmieniła się i widzieli, że Jezus jest jej życzliwy, zaczęli więc mieć dla niej względy.

- Kilka dni temu — opowiadał Piotr — stara Rebeka przyniosła Panu w darze szatę, którą sama dla Niego utkała.
- A On, żeby jej nie urazić, będzie z pewnością tę szatę nosił — westchnęła Hanna — nie bacząc, jak wygląda!
- Wyglądała bardzo dobrze — powiedział Andrzej. — Jemu się podoba!
- Tak — potwierdził Piotr. — Wciąż nosi tę szatę... Myślę, że naprawdę z dumą. Ale ostatecznie nie powinien tak ciężko pracować, nie powinien dla takich ludzi jak stara Rebeka.
- Ja uważam, że to piękna historia — powiedziała Estera cicho. — On dał jej coś więcej niż te nowe krosna: uczynił z niej nową Rebeke!

Piotr jednak podał drugi przykład narzucania się Jezusowi. W zeszłym

tygodniu przyszła do Pana kłótniwa i skąpa Noemi Zebedeuszowa ze skargą, że Jan i Jakub przesiadują w domu i nic nie robią. W małych izdebkach jest ciasno. Biedny stary Zebedeusz wprost nie ma gdzie usiąść!

— No i wiecie, co Jezus na to?! Ni mniej, ni więcej tylko obiecuje Noemi, że zrobi dla Zebedeusza nowy zydel, i od razu zabiera się do tej pracy. Piękny to zydel, przy którym wszystkie inne tam u nich wyglądają brzydko i nędznie. Cały tydzień na to poświęcił. Wczoraj Noemi przyszła, myśleliśmy, żeby podziękować, ale nie, ona znowu ze skargą. Lamentowała, że synowie powinni być bardziej

420

łobitni wobec rodziców. Oni cześć oddają tylko Panu <sup>c</sup>o będzie, jeśli się nie poprawią! — Piotr prychnął, pełen

czym mówiła, jakie należą się jej i Zebedeuszowi

honory? — zapytała Hanna.

Owszem — burknął Piotr. — Chciała, żeby chłopcy

starali się o najlepsze miejsca w Królestwie Pana również dla nich.- Ta głupia kobieta palnęła to przy nas wszystkich. rż nie, Andrzeju? A ci dwaj młodzi tam siedzieli, czerwoni ze wstydu, i nawet nie próbowali jej uciszyć! Nic, tylko siedzieli tam z nosami spuszczoneymi i liczyli sobie palce, gdy Noemi paplała. Po raz pierwszy wtedy wyłoniła się sprawa, kto jest wśród nas najważniejszy.

— I co Jezus jej powiedział? — zapytała Hanna.



\_ jej bezpośrednio nic — odrzekł Andrzej. — Nam wszystkim.

\_ Noemi z pewnością poczuła się bardzo mała i nie znacząca — ciągnął Piotr. — Jezus wcale nie zwracał na nią uwagi, zupełnie jakby jej nie było, rozejrzał się, ogarnął wzrokiem naszą zwartą zaufaną gromadkę i rzekł: „Kto się wywyższa, będzie poniżony”.

\_ Co potem? — zapytała Hanna.

\_ No... Noemi wyszła i nikt z nas nie wiedział, co powiedzieć. Jan i Jakub bardzo zawstydzeni już zrozumieli, że to, czego dokonują, niekoniecznie zapewnia im poczesne miejsce.

\_ To była niezręczna chwila — dorzucił Andrzej. — Nawet mój brat — mrugnął do Estery — oniemiał.

\_ Ktoś powinien był wtedy zacząć mówić o czymś innym — zauważyła Hanna.

Piotr przytaknął.

\_ Tak też się stało. Sam Jezus zaczął. Zwrócił się do chłopców Zebedeusza uśmiechnięty i powiedział, że od dawna nie jedliśmy świeżych ryb. A oni w lot to podchwycili, bo chcieli wyjść stamtąd. Wstali i wybiegli z pośpiechem, żeby wypłynąć na połów. To było dla nich najlepsze wyjście... w tych okolicznościach.

Wydawało się, że Piotr jeszcze coś powie, ale najwidoczniej uznał, że powiedział dosyć. Wstał od stołu.

—To jeszcze nie wszystko — rzekł Andrzej przeciągle.  
—Gdy za Jakubem i Janem drzwi się zamknęły, Jezus

zapytał, czy Szymon nie chce iść z nimi.

Brodaty Piotr przygryzł dolną wargę i przytaknął niemo.

- Przypuszczam, że dzięki temu mieliśmy dziś okonie na śniadanie — roześmiała się Hanna.
- Oczywiście — powiedział Andrzej. — Nie ma lepszego rybaka na jeziorze niż mój brat.

Obaj bracia włożyli grube opończe i pomaszerowali do Kafarnaum. W warsztacie ciesielskim, gdy tam przybyli, panował tłok, wszyscy gawędzili zadowoleni z oznak powracającej wiosny. Jezus właśnie ukończył stół, podarunek dla Lidii, wdowy po Ebenezerze, dowód wdzięczności za narzędzia, które mu wypożyczyła. Było oczywiste, że nie planuje już żadnej pracy. Może teraz im powie, kiedy i dokąd powędrują.

Piotr odważył się poruszyć ten temat.

—Pewnie wkrótce już wyruszymy, Panie — powiedział.

— Zapowiada się ładna pogoda.

—Tak — odrzekł Jezus — wyruszymy pierwszego dnia tygodnia i będziemy na święcie Paschy w Jerozolimie.

Nastąpiła ponura cisza, dość długą chwilę milczeli z zapartym tchem.

—Nie, Panie, nie! — poprosił Piotr. — Wszędzie, byle nie do Jerozolimy! Masz tam groźnych wrogów! To wykluczone!

Jezus surowo spojrzał Wielkiemu Rybakowi w oczy.

—Muszę cię przestrzec, żebyś się nie wtrącał, Szymonie — rzekł stanowczo. — Twoja rada nie jest radą wiernego i odważnego przyjaciela. Idę do Jerozolimy... w sprawie

poruczonej mi przez mojego Ojca!

Jeden po drugim ci oszołomieni Galilejczycy — wszyscy oprócz Wielkiego Rybaka, który trzymając się za kudłatą głowę siedział nieruchomo — wyszli po cichu. Zebrali się przy frontowej furtce. Milczenie przerwał Andrzej.

—Najwidoczniej On tak chce. Na nic się nie zdadzą wysiłki, żeby Mu odradzić. I tak pójdzie do Jerozolimy.

Stary Bartłomiej wyszeptał ochryple:

—My także pójdziemy... i umrzemy z Nim.

422

Nastająca pora zimowa nie bardzo, jak dotąd, dawała się wce znaki w Cezarei; często padały przelotne ulewne deszcze, nie było jednak zimno i nie zanosilo się na śnieg.

Woldi zamierzał w drodze do ojczyzny zwiedzić Jerozolimę- Ale na gościńcu wiodącym na południe zdecydował wybrać trasę, którą przebył w towarzystwie Mencjusza.

W Joppie spędził cały dzień oglądając port. Zdumiewało go tempo, w jakim Rzymianie prowadzili tam prace budowlane, podobnie jak w porcie Cezarei, chociaż nie na tak wielką skalę.

O tym, że Cesarstwo planuje inwazję, wyraźnie świadczył rozmach prac w Cezarei; teraz okazało się, że strategia rzymska nie hołduje zasadzie wkładania wszystkich jajek do jednego koszyka. Zatechłą Joppę również obracano w łatwo dostępny przyczółek tak gorliwie, z tak nie ukrywanym pośpiechem, jakby owa od dawna zagrażająca rzymska

ofensywa miała nastąpić lada dzień. Palestyna jednak, przejęta wewnętrznymi odwiecznymi sporami, udawała, że tego nie zauważa. Może Jahwe, który nakarmił dzieci Izraela na pustyni manną z nieba, odwróci i to niebezpieczeństwo. Oby odwrócił — rozmyślał Woldi — bo inaczej Ziemię Obiecaną czeka marny los. Właśnie, i Arabię także, jeśli Rzymianie uznają, że warto ją podbić — chociaż może nie zechcą, bo nie lubią koczownictwa. Może zadowolą się tylko nałożeniem wysokiego podatku na Arabów i zostawią ich ze stadami bydła i owiec w spokoju. Arabia powinna liczyć się z groźbą najazdu. Woldi pojął, że ma sporo wiadomości do przekazania swojemu królowi.

1 tak jadąc dzień po dniu, z krótkimi przerwami nocą na odpoczynek, dotarł poprzez piękny Aszkalon drzemiący w niezwykłym dla tej pory słonecznym blasku do nieszczęsnej starej Gazy, której smrodów, nędzy i podłości nie wynagradzała błogość klimatu; i dalej jechał przez starożytny Hebron do spieczonego słońcem Engedi i szlakiem nad Morzem Martwym. Zatoczył półkole brzegiem tej słonej wody, oślepiająco białej, i zboczył znowu na wschód po pęczkastej, zaskorupiałej równinie solnej w dolinę Esne.

Darik był teraz tak zmęczony, że zamiast zgrabnie jak zwykle podnosić nogi, szurał i potykał się niczym otepiały



juczny osioł. A przecież, gdy przecięli dolinę Esne i już mieli przed sobą krętą drogę pod górę, rozpoznając rodzinne strony nabrał nowej siły. Na wysokich północnych zboczach zobaczyli śnieg. Woldi ucieszył się. Arabia może być pewna dobrobytu wiosną i latem! Bydło i owce będą tłuste. Najedzone wielbłądy będą miały połyskliwe silne potomstwo.

Oddychał świeżym, zdrowym powietrzem górskim głęboko, łapczywie, jak gdyby je pił. Chłopciami okrzykami wywoływał echa na szczytach wzgórz. Dopiero teraz zrozumiał w pełni, czym jest dla niego Arabia. Darik prychając hałaśliwie szarpał uzdę, podrzucał łbem i pędził wielkimi susami.

Późno po południu ukazało się z daleka obozowisko króla Zendiego i już wkrótce Woldi, serdecznie witany przez zdumionych strażników, zsiadał z Darika przy głównym wejściu. Otoczyły go dziesiątki służących i stajennych, głaskano i poklepywano jego spienionego konia.

Powoli przykustykał pomarszczony stary Kedar,\* przepychając się łokciami przez ciżbę. Woldi czule położył mu rękę na przygarbionych plecach.

- Wymęczyłeś Darika, paniczu! — burknął stary szorstko, żeby ukryć wzruszenie.
- To był jego własny pomysł, Kedarze — odpowiedział ze śmiechem Woldi. — Z chwilą gdy znalazł się na swojskim szlaku, nie mogłem go powściągnąć... Ale mów, jak się

mają ich królewskie moście.

- Mają się dobrze, paniczku, tylko że bardzo dziś za smuceni. Wróciłeś jeszcze nie za późno. Doradca Miszma jest chory, ciężko chory. Król i królowa są teraz u niego. Musisz tam jechać... natychmiast. Dam ci świeżego konia.

Jona, wychudzona i blada, wsunęła się lękliwie w krąg witających. Woldi objął ją ramieniem. Pochylił się nad nią i szepnął:

—Fara jest cała i zdrowa, Jono. Przysyła ci najserdeczniejsze pozdrowienia. Wszystkiego się dowiesz, gdy wrócę. Teraz muszę jechać... do mojego dziadka.

Ani trochę nie zwlekając pogalopował do odległego o pięć mil obozowiska Miszmy. Na wielkim wygonie pełno było

424

pięknych koni, z których sporo znał. Bez zapowiedzi poszedł od razu do przestronnej łożnicy głównego doradcy, gdzie szmerem zdumienia i ulgi powitali go stłoczeni u wejścia starzy domownicy o twarzach poważnych i zatroskanych. W otoczeniu dostojnych członków Rady Królewskiej, nieruchomych jak posągi, stał przedwcześnie posiwiał król Zendi. Wszystko wskazywało na to, że zgon Miszmy nastąpi lada chwila.

Kitra pomimo wielkiego smutku wydała cichy okrzyk radości i podbiegła, żeby uściskać syna. Ujęła go za rękę, podprowadziła do umierającego.

— Ojcie — oznajmiła — Woldi przyjechał!

Bezsilny stary tytan z trudem otworzył oczy i uśmiechnął się słabo. Woldi padł na kolana. Miszma z ogromnym wysiłkiem zapytał ochryple:

— Znalazłeś ją?

Woldi, oślepiiony łzami, przytaknął niemo.

- Ale ona... nie mogła tego zrobić — wyszeptał Miszma, dysząc, i gdy zobaczył, że wnuk potrząsa głową, westchnął zadowolony: — To dobrze. — Umilkł. Dopiero po długiej chwili zapytał gasnącym głosem: — Czy przywiozłeś ją?
- Nie, dziadku — odrzekł Woldi z żalem.
- Ale... przywieziesz ją do domu... do Arabii — poprosił Miszma.
- Mam nadzieję, gdy już wykonam zadanie, które ona chciała wykonać... dla naszego kraju.

Stary Miszma powolnym przytaknięciem wyraził uznanie i zapadł jak gdyby w sen. Podczas tej trudnej rozmowy podszedł Zendi. Nagle, świadom bliskości króla, Woldi wstał z klęczek i złożył ukłon.

Pochylając się nad posłaniem, Zendi wśród ciszy tak głośno, że to przeraziło wszystkich obecnych, zawołał:

— Miszma! Otwórz oczy! Miszma! Słuchaj! Czy masz ostatnią prośbę do swojego króla? Powiedz, Miszma!

Umierający mąż stanu na chwilę się ocknął, niezdarnie zwilżył językiem spieczone wargi.

— Woldi.

Znużona starcza głowa powoli się osunęła. Usta na próżno próbowały złapać powietrze. Miszma skonał.

425

Zendi odwracając się do zebranych, wyprostowany teraz jak struna, oznajmił:

— Niniejszym powołuję Woldiego, by zajął wolne miejsce w Radzie

Kapitan Fulwiusz, dowódca statku „Vestris”, nie mający zwyczaju dawać czczych obietnic, powiedział o zachodzie słońca swemu najważniejszemu pasażerowi, że jeśli porywisty wiatr w ciągu nocy nie osłabnie, to statek może zawinąć do Gazy już o brzasku.

- Świetnie! — wykrzyknął prokonsul. — Zejdę na dół i pocieszę biednego starego Brutusa.
- Lepiej weź garść cukru — doradził Fulwiusz. — Twój biedny stary Brutus robi się niemiły. Wczoraj, gdy tam zszedłem na przyjacielską pogawędkę z końmi, zastrzygł uszami i wyszczerzył zęby. Obawiam się, że jego cierpliwość się wyczerpała.
- Nie mam mu tego za złe — mruknął Mencjusz. —  
Moja też.

Siedem tygodni minęło, odkąd flotylla odpłynęła z Brin-disi w drogę na Cypr, skąd zabrała czekający tam ładunek miedzi do nowego portu w Joppie. Zima była tak łagodna, że Fulwiusz, chcąc nadrobić czas, zaryzykował rejs z balastem zbyt lekkim jak na tę porę roku; ledwie jednak „Vestris” opłynęła półwysep i skierowała się na wschód, huśtało nią okropnie i tym bardziej załoga utyskiwała, że nie wiadomo po co ten rejs jest okrężny.

W normalnych okolicznościach prosto do Joppy wraz z sześcioma statkami flotylli przewieźliby ładunek miedzi, teraz jednak w myśl



rozkazu „Vestris” płynęła sama najpierw do Gazy, bo prokonsul musiał załatwić ważną sprawę w rzymskiej twierdzy Minoa, oddalonej od miasta o kilka mil. Reszta flotylli miała płynąć do Joppy i tam czekać w pogotowiu na „Vestris”, swój statek flagowy.

426

W Gazie miał ponadto wyjść na ląd zdolny dowódca pinkus z oddziałem doświadczonych żołnierzy, żeby wynajętą karawaną wielbłądów odbyć uciążliwą wyprawę po sól do Engedi nad Morzem Martwym.

„Vestris” po krótkiej wizycie w Gazie miała popłynąć do Joppy i przyłączając się do flotylli zostawić tam swój ładunek miedzi, po czym wrócić pospiesznie do Gazy po Pinkusa i jego sól. Nikt nie wiedział, jak długo trzeba będzie czekać na powrót obładowanej karawany. Było wątpliwe, czy flotylla wróci do Rzymu przed początkiem lata.

Mencjusz przechadzał się po pokładzie i liczył dni jak przestępca w więzieniu. Tak często wyjeżdżał w długie podróże do portów palestyńskich, że zupełnie przestały go one interesować. Oczywiście zawsze był rad z postojów w Cezarei, gdzie spotykał wielu dawnych przyjaciół w luksusowym zajeździe „Agrypa”. Ale przecież nie do Cezarei płynął tym razem.

Jedna tylko rzecz interesowała teraz prokonsula. Zlecono mu doręczyć list młodemu legatowi, niedawno mianowanemu — za karę — dowódcą twierdzy Minoa. Mencjusz nie został poinformowany o treści listu i ciekawość wprost go zżerała. Wiedział tylko, że ten grubo pozłaczany papirus zawiera wiadomość dosyć ważną, skoro napisał ją sam cesarz. Cóż ten na pół zwariowany i w pełni nieobliczalny Tyberiusz miał do

przekazania niepoprawnemu synowi senatora Gallia?! Butny młody legat — jak głosiła fama — został wysłany na tę podupadłą daleką placówkę za to, że publicznie obraził regenta Gajusa. I oto teraz cesarz wystosował do bezczelnego Marcellusa list!

Mencjusz uważając, że warto o tym z kimś porozmawiać, omówił szereg prawdopodobieństw ze swym przyjacielem, starym wygą Fulwiuszem.

- Raczej niemożliwe — powiedział — żeby te cesarskie wieści były pomyślne. Tyberiusz nie zadawałby sobie fatygi gwoli uszcześliwienia kogokolwiek, a już z całą pewnością nie tego hałaśliwego syna Gallia, który wciąż jego urzędowi wytyka marnotrawstwo.
- Nie jestem tego taki pewny — odrzekł Fulwiusz. —

427

Gallio nawołuje do oszczędności, ale sam cesarz nie jest utracjuszem. A jeśli chodzi o kpiny, na jakie ten młodzieniec pozwolił sobie wobec Gajusa, stary przecież regenta nie cierpi.

- Zgoda... takie są fakty, jednakże, czy możesz sobie wyobrazić Tyberiusza piszącego miły list?
  - Nie... rzeczywiście nie mogę — przyznał Fulwiusz.
- Ja na twoim miejscu doręczyłbym pismo chłopcu i uciekł.
- Może to nominacja dla Marcellusa na jakieś lepsze dowództwo — zastanawiał się Mencjusz.
  - Och... to może być wszystko! — powiedział Fulwiusz.
- Ten stary dziwak ma zupełnego kręcka! Równie dobrze mógł napisać do młodego Gallia, że odwołuje go i mianuje

jego następcą w Minoa ciebie!

— Świetny pomysł — warknął Mencjusz.

Na tym rozmowa wówczas się zakończyła. Teraz mieli nadzieję, że już wkrótce będą wiedzieli, o co chodzi.

Dzień nastał słoneczny, bezchmurny. Na przystani w Gazie jak zwykle roiło się od brudnych poganiaczy osłów i wielbłądów. Pinkus i jego żołnierze pierwsi opuścili statek i szybko zniknęli w zgiełkowej cizbie właścicieli konkurencyjnych karawan. Wolniej wyszli na brzeg prokonsul i Fulwiusz. Wierzchowce były jeszcze oszołomione po morskiej podróży, ale dosiedli ich od razu. Zdecydowali się nie zwlekać z wypełnieniem zlecenia.

- Chyba coś się tu dzieje — zauważył Mencjusz, gdy otworzono przed nimi ciężkie wrota twierdzy. — Marcellus nauczył tych leniwych prostaków zachowywać się jak przystało na żołnierzy.
- Może cesarz usłyszał o tym — rozmyślał głośno Fulwiusz — i chce, żeby legat wrócił, wniósł odnowę do Rzymu. Przydałoby się Rzymowi trochę porządku.

Zjawił się dziarski młody centurion, pozdrowił ich i zapytał, czym może służyć. Prokonsul powiedział, kim jest, przedstawił też Fulwiusza. Przywożą list dla legata.

- Nasz legat Marcellus, panie, wyjechał wczoraj z oddziałem konnicy na Paschę Żydów do Jerozolimy.
- Dziwne — mruknął Mencjusz. — Odkąd to Minoa stała się żydowska?

Centurion odważył się uśmiechnąć cierpko

- To doroczny obyczaj, panie. Przed Paschą ze wszystkich naszych twierdz w Palestynie wyjeżdżają Odziały do Świętego Miasta, żeby czuwać nad pokojem.
- Pobrzękując bronią — dodał prokonsul. — Przypuszczam, że waszego legata można Zastać u prokuratora w Insuli?
- Tak, panie.
- Wobec tego musimy pojechać z tym listem do Jerozolimy. To pilne.

Mencjusz skierował Brutusa ku wrotom. Centurion prosił, żeby się nie spieszyli, skorzystali z gościny takiej, jaka jest w twierdzy możliwa, ale prokonsul odmówił. Czas im w drogę. Przy wrotach powiedział:

- Inaczej tu wszystko wygląda niż za ostatniej mojej bytności, centurionie. Widocznie wasz nowy legat jest zwolennikiem dyscypliny i mioteł.
- Tak, panie!
- Wymagający dowódca, co?
- Trzyma legion w karbach, ale my wolimy ten sposób. Legat jest twardy... ale sprawiedliwy.
- To doskonale — pochwalił Mencjusz. — Dowództwo w Minoa pewnie sprawia mu satysfakcję.
- Tak, panie. Chyba nie, panie. Sam nie wiem, panie. Tak, panie! Dziękuję, panie!

Ciężkie wrota zamknęły się za nimi. Śmieli się przez całą drogę.

—Ten człowiek ma poczucie humoru, panie — chichotał Fulwiusz, nieźle przedrzeźniając centurion<sup>ona</sup>. Powinien zająć wysoko, panie.

—Tak, panie — podchwycił Menkus. — Chyba nie, panie.

W godzinę potem załoga „Vestris”<sup>3</sup> niezadowolona z krótkiego postoju, na tyle jednak rozsądna, by nie protestować, rozwinęła wszystkie żagle tego starego statku i odpłynęła do Joppy.

- Chcesz pojechać ze mną do Jerozolimy? — zapytał Mencjusz.
- Czemu nie, panie — odrzekł Fulwiusz.

#### 429

Nikt nie prosił Estery, żeby poszła z Jezusem i Jego dwunastoma najbliższymi towarzyszami do Jerozolimy, ale też nikt jej nie powiedział, żeby pozostała w Betsaidzie.

Żadnych planów tej wędrówki nie było, żadnych uprzednich oświadczeń. Złowieszcza decyzja zaskoczyła ich i przeraziła. Jezus w swojej wszechmądrości nie popełniał błędów. Ileż to razy przekonywali się o tym, że nie należy podawać Jego poczynań w wątpliwość. Tym razem jednak wszyscy zgodnie uważali, że On idzie prosto w nieszczęście.

Piotr bardzo przygnębiony, z sercem pełnym złych przeczuć przyniósł tę rozpaczliwą wiadomość do domu w Betsaidzie. Mają wyruszyć jutro wczesnym rankiem — powiedział przy wieczerzy w szabat — zabrać niewiele rzeczy, żeby wędrować szybko.

- Jak wytrzyma to stary Bartłomiej?! — wyszeptała

Hanna.

- Pewnie umrze na atak serca — powiedział Piotr — ale zamierza pójść z nami.
- Myślisz, Piotrze, że ja nie powinnam? — zapytała Estera.
- A cóż byś miała do roboty? — odrzekł Piotr. — Nie będzie zebrań po drodze, nie będzie uzdrowień. Nic, tylko nieprzerwany marsz do Jerozolimy... gdzie mogą być różne kłopoty.

Przez całą godzinę rozmawiali o swoich obawach. Tak, przyznawał Piotr, w mieście będą setki, może tysiące pielgrzymów, którzy słyszeli, jak Jezus przemawia, dziesiątki dziesiątków takich, którzy zaznali Jego cudownych dobrodziejstw, ale ci przyjaciele Jezusa nie są zorganizowani, trudno się spodziewać, żeby Go bronili.

- To przeważnie ludzie ze wsi — powiedział Piotr — tacy jak Andrzej i ja, Jan i Jakub, i Tadeusz. Wieśniacy tracą pewność siebie i odwagę w zamęcie wielkiego miasta.
- Ale... — wykrzyknęła Estera — chyba nikt nie ważyłby się skrzywdzić Pana, skoro Pan jest bez żadnej winy!

Wzdychając z rozpaczą, Wielki Rybak spróbował wyjaśnić, jakie niebezpieczeństwa im zagrażają. Jerozolima jest warownią wszystkich wzajemnie się nie cierpiących sekt

430

i partii politycznych. Czuwają one bezustannie, gotowe zdławić każdy nowy głos, który wyraża niepokój ludu.

Raz po raz deputacje z Jerozolimy, przypominał Piotr, ukazywały się wśród słuchaczy Jezusa, zadawały Mu podchwytliwe pytania, żeby się zdradził jako wywrotowiec. Sam fakt, że ludność chłonie Jego słowa i znajduje w nich pociechę, stanowi podstawę do oskarżenia Go o niewierność wobec starożytnych instytucji żydostwa.

W czasie obchodów Paschy ci zawzięci Żydzi nadzwyczaj czujnie wypatrują wszelkich oznak świadczących, że pospólstwo może wszcząć bunt, bronić powszechnych uprawnień. Co więcej, w tygodniu Paschy, gdy na ulicach Jerozolimy roi się od przybyszów z odległych prowincji, zwykle lekceważonych i zaniedbywanych przez wszystkich urzędników z wyjątkiem poborców podatkowych, podobno patrole rzymskie mogą rozpędzić każde zgromadzenie, nawet jeżeli jest to tylko garstka ciekawych, którzy słuchają śpiewu ociemniałego żebraka! I oto Jezus pokaże się w Jerozolimie. Setki, może tysiące ludzi zaczną tłoczyć się wokół Niego, błagać, żeby przemówił, i bez wątplenia On będzie przemawiał...

—Och, dlaczego tak się chce narażać?

Zaraz po wieczerzy Piotr odszedł do swojej izby i nazajutrz rano, gdy Hanna i Estera wstały, jego już nie było. W milczeniu zjadły skromne śniadanie. Potem Estera krzątała się w gospodarstwie jak co dzień, zaraz jednak po pracy wymknęła się i żwawym krokiem ruszyła na wzgórze porozmawiać z Dawidem, saduceuszem.

Jakimś sposobem stary prawnik już się dowiedział, że Jezus zamierza być na uroczystościach Paschy w Jerozolimie. Esterę powitał z powagą i jego odpowiedzi na jej niespokojne pytania wcale nie były uspokajające. Dawid ze starożytnego rodu Sadoków wiedział lepiej niż Piotr, co może

czekać ludowego proroka na ulicach Świętego Miasta w tygodniu Paschy.

—Tak, moja droga — rzekł Dawid — nasz przyjaciel Szymon ma powody do obaw. Najmoźniejsi obywatele Jerozolimy: bankierzy, prawnicy, bogaci kupcy, nie chcą dopuścić do rozdrażniania ludu. Cieśla zupełnie swobodnie

431

mówi wielkim tłumom o rzetelnym prowadzeniu interesów, o dobrych miarach i należytych wagach na targowisku. Opowiada przypowieści o ubogich, którzy konają z głodu u progów bogaczy.

- To prawda, panie — przerwała Estera — ale On tak samo potępia chciwość i złą wolę wśród samych ubogich. Jemu chodzi tylko o to, żeby każdy był dobry i miłosierny dla każdego!
- Tak, tak, drogie dziecko. Wszelako Jerozolima lepiej będzie pamiętała, jak On śmiało potępia oszustwa i niegodziwości dostojników. Nawet Świątyni nie szczędzi uwag krytycznych!

Estera chciała wiedzieć, czy Świątynia może mieć duży wpływ, zważywszy, że miastem rządzą Rzymianie. Dawid zaczął jej tłumaczyć. Była to historia długa i zawiła.

—Tak — powiedział — Rzymianie rządzą całą Palestyną. I oni decydują. W każdym starciu z Sanhedrynem Insula będzie miała ostatnie słowo, tak jest teoretycznie. Ale Rzymianie unikają teraz starć z Żydami. Bez pośpiechu przygotowują się na dzień, w którym całkowicie zawładną



krajem, splądrują go i wezmą w niewolę. Jeśli nie zrobią tego jutro, to tylko dlatego, że ich armie są jeszcze zajęte w Galii. Wkrótce jednak będą gotowe i uderzą. Do tego czasu Rzym nie chce żadnych zatargów. Poncjusz Piłat robi krzykliwe widowisko ze swojej władzy, ale przestrzega ściśle polecenia, żeby zachować spokój w Jerozolimie kosztem nawet swojej dumy osobistej. Gdy Kajfasz, najwyższy kapłan, zabiera głos, Piłat słucha!

Wydawało się, że Dawid mówi do siebie. Po długiej chwili dodał:

—Piłat wije się, patrzy spode łba... ale słucha. Przy najmniejszej oznace niepokoju wśród ludu kupcy naradzają się z bankierami, bankierzy naradzają się z Sanhedrynem, a Sanhedryn naradza się z prokuratorem.

Estera miała wiele pytań, wołała jednak nie przerywać jego wywodów. Nagle zwrócił się do niej:

—Czy ja ci mówiłem o rabbim Ben-Szolemie z Kafarnaum? — Nie czekając na jej odpowiedź prawił dalej: — Kilka miesięcy temu wielki tłum czekał na placu na

432

przemówienie Cieśli. Rabbi nie posiadając się z oburzenia stanął przed synagogą, żeby potępić tę cizbę, ale obrzucono\* go wyzwiskami i wyśmiano. Jego doradcy nie udzielili mu poparcia, wyjechał więc do Jerozolimy. Ben-Szolem przyjaźni się z poprzednim najwyższym kapłanem jeszcze od czasów, gdy uczyli się razem... Możesz sama wyciągnąć wnioski, Estero. Rabbi nie jest człowiekiem, który puszcza w niepamięć albo wybacza ciosy zadane jego godności.

- W tej nieszczęsnej sprawie Jezus niczym nie zawinił — oświadczyła Estera. — Nawet skarcił tłum za brak szacunku.
- Tak, drogie dziecko, wiem — powiedział Dawid. — To jednak nie uleczy zranionej dumy Ben-Szolema. On nie chciał łaski od Cieśli.

Stary prawnik westchnął i szczelniej otulił się opończą. Było chłodno pod drzewami. Estera wstała z ławki. Skierowali się w stronę wrót.

- Uważam, że powinnam pójść do Jerozolimy — powiedziała.
- Ja na twoim miejscu bym tego nie robił — poradził Dawid. — Dostyc już miałaś kłopotów... i pomoc nie możesz. — Pożegnał się z nią i wolno zawrócił przez gaj.

Zbliżając się do domu Hanny, Estera przystanęła, żeby popatrzeć na gromadki pielgrzymów, wędrujących gościńcem jak co rok do Świętego Miasta. W każdej rodzinnej grupie jeden z młodszych mężczyzn popychał wózek z namiotami i zapasami żywności. Niektóre większe wózki ciągnęły osły. Ludzie szli powoli. Mieli przed sobą daleką drogę, musieli oszczędzać siły.

Hanna w ogrodzie ścinała róże. Rozpłakała się rzewnie, gdy Estera jej powiedziała, że postanowiła wyruszyć do Jerozolimy. W milczeniu zapakowały w tobołek niezbędne rzeczy i po południu płacząc rozstały się na cienistym rogu uliczki przy gościńcu.

—Coś mi mówi — łkała Hanna — że już nigdy ciebie nie zobaczę! Nigdy!

Estera zbyt wzruszona, żeby odpowiedzieć, ucałowała Hannę czule i

przyłączyła się do mozolnie kroczących pielgrzymów. Zagadnięta przez jakąś życzliwą dziewczynę

433

przypadła, że owszem, dzień jest piękny, ale ciężko jej było na sercu.

- Idziesz sama? — zapytała nowa znajoma.
- Tak — odpowiedziała Estera.

Rzeczywiście nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo samotna.

Wczesnym rankiem pierwszego dnia miesiąca Nisan Piotr, gdy wyruszyli z Kafarnaum, pocieszał się nadzieją, że może wejdą do Jerozolimy bez rozgłosu. Miasto będzie zatłoczone tysiącami pielgrzymów, rozpaczliwie poszukujących noclegu w obrębie murów bądź też miejsca pod namiot na przedmieściach. Może zajęci własnymi sprawami nie zwrócą szczególnej uwagi na przybycie Jezusa. Ale już po pierwszej pół godzinie wędrówki nie pojmował, jak mógł ludzić się tak głupio. Powinien być mądrzejszy.

Wszyscy na gościńcu — a wszyscy podążali w jednym kierunku — od razu rozpoznając Jezusa, pozdrawiali Go radosnymi okrzykami, tłoczyli się wokół Niego, błagali, żeby przemówił. Wkrótce już Pan kroczył na czele pochodu, coraz większego z każdą godziną, z każdą milą.

Jakub przeszedł na skraj gościńca, rozejrzał się, po czym wrócił na swoje miejsce pomiędzy bratem i Andrzejem.

— Pamiętacie — powiedział — tamten dzień w Bet-saidzie, gdy On nagle zniknął przed oczu ludziom, którzy za Nim biegli? Chciałbym, żeby to zrobił teraz.

Ale Jezus nie zniknął, a pielgrzymów przybywało z każdej bocznej drogi. Wieczorem, gdy Jezus się zatrzymał, zatrzymali się wszyscy, po czym

dołączyli ludzie z ciężko załadowanymi wózkami i starzy. Nazajutrz rano, gdy ruszył w dalszą drogę, wszyscy byli gotowi, żeby pójść za Nim. Ci zamożni, których stać było na wielbłądy, składali Mu uszanowanie, po czym wyprzedzali pochód pieszych. Mieli dotrzeć do Jerozolimy o wiele godzin wcześniej niż Jezus i niewątpliwie będą opowiadać tam o Nim zdumiewające rzeczy.

Trzeciego dnia rano po zwinięciu obozu w Ramah Piotr

434

zaczął odczuwać dumę wobec tych niezwykłych objawów publicznego zainteresowania.

- Czyż możliwe — wykrzyknął do Filipa — że Jezus zamierza wkroczyć do Jeruzalem triumfalnie?
- Zważywszy wielkość i nastrój tego tłumu, mógłby to być triumf— powiedział Filip.
- Może od początku taki jest Jego plan... — w głosie Piotra zabrzmiała cześć i bojaźń. — Myślisz, że On zamierza przywrócić królestwo Izraelowi?
- Myślę, że On nie chce być królem Izraela — wtrącił się Andrzej.
- Dlaczego? — zapytał ostro Judasz. — Przecież to Jego przepowiadali prorocy! Przecież królestwo ma być przywrócone Izraelowi! Kto inny posiada moc, żeby to uczynić?

Cały szabat spędzili spokojnie w Betfadze, mając już tylko trzy mile drogi do przebycia nazajutrz, czyli w tak zwany przez Rzymian „Dzień

Słońca". Betfage, niewielką wieś, omal nie zdusiło ogromne zbiorowisko pielgrzymów. Po ich obozach krążyły wszelkiego rodzaju pogłoski i domysły. Powszechnie przypuszczano, że Jezus z Nazaretu ogłosi się królem Żydów, Mesjaszem, odnowicielem Izraela!

Niektórzy ze starszych i pobożniejszych pamiętali, że pewien dawny prorok przepowiedział takie wydarzenie. Król wjedzie do miasta na osiołku. Gromada gorliwców wyruszyła na poszukiwanie osła. Szczęśliwym trafem zobaczyli oni młodego osiołka, piękne białe zwierzę, przywiązane u wrót zagrody. Nie miało na skórze blizn od siodła ani żadnych śladów po uprzęży. Nadawało się, ponieważ ci starzy mówili, że powinien to być osioł, na którym jeszcze nikt nie jeździł. Odszukali właściciela, poprosili, żeby pożyczył im tego osła, i wyjaśnili, po co. Jezus, cudotwórca z Galilei, wjedzie do miasta jako król Izraela! Ów człowiek roześmiał się prostacko.

- Możecie go wziąć... proszę bardzo! — powiedział. —  
Pójdę z wami, bo chcę to widzieć! Jasper nie jest ujeżdżony.
- To dobrze! — wykrzyknęli. — Nikt więc nigdy dotąd nie próbował jeździć na nim?
- Nikt! — odrzekł właściciel osła z rubasznym uśmiechem.

435

— Po prostu dlatego, że Jasperowi sam ten pomysł się nie podoba. Zobaczycie!... Nie, nie wezmę pieniędzy za pożyczenie go wam. Chcę tylko pójść z wami!

Nazajutrz, ledwie słońce weszło, rzesza otoczyła dom, w którym Jezus się zatrzymał. Była hałaśliwa, prawie histeryczna, jej przywódcy

wrzeszczeli:

—Cześć królowi! Cześć królowi!

Niesforna rzesza podjęła ten okrzyk.

Piotr nieraz już dawał sobie radę z ogromnymi masami ludzi, ale ta demonstracja stawała się niemożliwa do opanowania. Najbliżsi towarzysze otoczyli Jezusa starając się Go osłonić przed żarliwymi pielgrzymami. Tymczasem wśród cizby przepchnęła się gromadka mężczyzn z białym osiołkiem. Jezus dosiadł go. Rozgorączkowany pochód ruszył za Jezusem i Jego przyjaciółmi, którzy kroczyli z obu Jego stron, pełni bojaźni i niepokoju, a przecież upojeni.

Z Betfagi przeszli do Betanii, najbogatszego ze wszystkich przedmieść Jerozolimy. Czołówka tłumu bezlitośnie okaleczyła stare palmy na ulicy, żeby ich liśćmi wyścielić gościniec dla króla.

Teraz widać było wieże i kopuły miasta za głęboką doliną płytkiej rzeki Cedron. Olbrzymią rzeszę pielgrzymów już przybyłych do miasta powiadomili wysłańcy z nadchodzącego tłumu. I oto setki ludzi wyległy biegnąc z doliny po zboczu Góry Oliwnej. Pochód zatrzymał się, triumfalne okrzyki stopniowo ucichły. Dziwna cisza spłynęła na wszystkich. Król wygłosi oświadczenie. Nadszedł moment, którego wyczekiwali.

Przez chwilę Jezus na osiołku patrzył przygnębiony na tę starożytną warownię swojego narodu. Potem objął wzrokiem tysiące ludzi stojących niemo, w oczekiwaniu na niewiarygodnie wielkie wydarzenie. Król miał w oczach łzy. Wyciągnął ręce jak do uścisku i wykrzyknął:

— Jeruzalem! O... Jeruzalem! Ile razy chciałem zebrać twoje dzieci, jak kura swe pisklęta zbiera pod skrzydła,

a wyście tego nie chcieli!

Ośłupieli wszyscy, własnym uszom nie wierząc. Nazareń-czyk odrzucił królestwo! Potem rzesza zaczęła się rozchodzić. Pędem zbiegano ze zbocza. Pielgrzymi utracili

436

swojego króla, nadal jednak mieli Jerozolimę. Po osła przyszedł właściciel i zabrał go. Towarzysze Jezusa milczeli, niezdolni powiedzieć ani słowa. Piotr przygryzał dolną wargę. Andrzej miał twarz bardzo poważną. Jan i Jakub spojrzeli sobie w zamglone oczy i potrzęsneli głowami. Filip pobladł. Stary Bartłomiej usiadł na ziemi, pocierając dłonią czoło. Tadeusz stał przed nim, trzymał jego tobolek... Judasz odszedł w dolinę.

Mała gromadka z Jezusem pośrodku wolno ruszyła dalej ku miastu. Raz po raz grupy pielgrzymów doganiały ich i mijały patrząc na Pana, jedni współczująco, inni błagalnie, jeszcze inni z rozczarowaniem i pretensją. Dużo osób płakało.

Mówili niewiele, bo też niewiele było do powiedzenia. Wędrowali, każdy zajęty swoimi myślami. Teraz było pewne, że skończyło się obwoływanie Jezusa oczekiwanym Mesjaszem. Jego uczniowie — jakkolwiek zasmuceni — przecież odetchnęli z ulgą. Poprzedniego dnia lękali się, że wielkie zgromadzenie wokół Jezusa na ulicach Jerozolimy przyciągnie uwagę patroli, a wtedy Pan zostanie pojmany i ukarany jako mąciciel spokoju.

Przy Bramie Wschodniej, zanim weszli do miasta, Jezus powiedział, że pójdą od razu do Świątyni. Piotr uśmiechnął się z zadowoleniem. Gdyby Jezus ominął Świątynię, byłoby to godne potępienia, ale On podobnie jak

inni pobożni pielgrzymi odda cześć temu uświęconemu przybytkowi Izraela. Po długim milczeniu znów zaczęli rozmawiać.

- Widzisz, Janie, to sadzawka Siloe — powiedział Jakub. — Właśnie tutaj Nehemiasz rozpoczął odbudowę muru.
- Popatrzcie — wskazał Andrzej — baszta Heroda.

~~~ Wygląda jak nowa — zauważył Filip — w porównaniu z tymi wszystkimi innymi budowlami.

W Świątyni panował ruch. Kto żyw składał zgodnie ze swymi możliwościami ofiarne dary. Dziedziniec Świątyni wykładany piękną mozaiką zapępniały owe dary pielgrzymów: tłuste cielaki i jagnięta, klatki z gołębiami. Powietrze było ciężkie od zaduchu odchodów zwierzęcych, było ryczało, owce beczały; a nad tym zgiełkiem unosiły się ostre

437

głosy bankierów wymieniających pieniądze dla wygody ofiarodawców.

Nieraz bowiem pielgrzym, pewny, że ofiarowuje jagnię bez skazy, dowiadywał się ze zdziwieniem, że jest ono chore, ale że może dostać inne zdrowe w zamian za nie i za pewną sumę w gotówce. Na ogół pielgrzymi mieli tylko pieniądze swoich prowincji, bądź jeszcze odleglejszych krajów, z których przybyli, musieli więc wymienić je u bankierów, którzy oczywiście nie oddawali tych przysług bezpłatnie. Wstrętny to był widok, zwłaszcza dla wieśniaków, nie przywykłych do takich targów w obrębie uświęconych murów. Nawet gdyby to załatwiano uczciwie — a przecież szachrowano — gdzież miejsce po temu!

Widząc to Jezus nagle się rozgniewał. Podnosząc głos ponad harmider i ryki zwierząt krzyknął:



— Dom Ojca mojego jest domem modlitwy. A wyście go uczynili jaskinią zbójców!

Chwytał bicz któregoś z poganiaczy i zaczął wyganiać zwierzęta z dziedzińca Świątyni. Spłoszone uciekały ulicą, ludzie rozbiegali się przed nimi. Otworzył klatki z gołębiami i po chwili ptaki krążyły w przestworzach. Potem przysła kolej na niesumiennych bankierów. Natarł na nich, powywracał ich stoły i kasy.

Towarzysze Jezusa wycofali się pod mur zewnętrzny, posepni, zdumieni Jego postępowaniem.

— To już koniec! — mruczał Piotr. — Oni Mu tego nigdy nie wybaczą.

I nie wybaczyli.

Wędrówka do Jerozolimy okazała się dla Estery nadspodziewanie przyjemna. Po smutnym pożegnaniu z Hanną, której intuicja mówiła — i słusznie — że już nigdy się nie spotkają, dziewczyna szybko pojęła, jakim szczęśliwym trafem było przyłączenie się do życzliwej gromadki pielgrzymów, bogobojnej rodziny z Kafarnaum.

Ładniutka Mira, natychmiast odgadując, że Estera nie cieszy się z pielgrzymki, szybko jej wyznała, że ona sama też wolałaby zostać w domu, bo wszyscy wokoło są o tyle

438

od niej starsi i tacy „nudni ze swoją pobożnością”. Teraz, gdy znalazła przyjaciółkę rówieśnicę, pielgrzymka wreszcie stanie się zabawniejsza.

Ta serdeczna propozycja przyjaźni była nie do odparcia i Estera ku własnemu zdumieniu ochoczo ją przyjęła. Wskutek szczególnych

okoliczności od wczesnego dzieciństwa rzadko przebywała w towarzystwie rówieśnic, a Mira od razu przypadła jej do serca.

Nie mając co ukrywać, dziewczyna z Kafarnaum zapoczątkowała wzajemne zwierzenia swobodnym opowiadaniem o swojej rodzinie. Podpierający się dwiema łaskami, żylasty, pomarszczony i bezzębny dziadek Aszer z patriarchalną brodą był z racji starszeństwa przywódcą i mentorem całej grupy. Ojciec Miry, Gedeon, szczupły, poważny, mało-mówny, siedł u jego boku. Matka nieśmiało uśmiechnięta szła ze starszymi kobietami.

— Mój dziadek — mówiła Mira — jest bardzo pobożny. Myśli tylko o synagodze... i o Świątyni w Świątym Mieście. Wkrótce zaczniesz rozmawiać z tobą. Lepiej okaż zainteresowanie, bo inaczej będzie źły.

Zgodziły się, że starzy są dziwni i dla spokoju trzeba im dogadzać. Po omówieniu cech rodziny Mira opowiadała o sobie, o swoich przyjaciółkach, swojej harfie, swoim tkactwie, o psie owczarku i — głosem zniżonym — o urodziwym młodym Joelu, winiarzu Jaira. Szeptem zaznaczyła, że jej rodzice, a jeszcze bardziej dziadek nie lubią go.

— Ale ty, zdaje mi się, lubisz go nade wszystko — powiedziała Estera.

Policzki Miry się zaróżowiły.

— Teraz porozmawiajmy o tobie, Estero.

To nie było takie łatwe. Estera się przedstawiła: jest sierotą, ostatnio mieszka u dalekich krewnych w Betsaidzie, ale na pytanie, skąd pochodzi, odpowiedziała tak wymijająco, że mogło to wydawać się podejrzane. Mira pospieszyła jej na ratunek, pytając, czy ona mieszka u tej kobiety, która

odprowadziła ją do gościńca.

- Tak — odrzekła Estera. — Na imię jej Hanna.
- Jest w Betsaidzie jakaś Hanna, którą podobno uzdrowił Cieśla na łożu śmierci — powiedziała Mira niedowierzająco.

439

Estera przytaknęła:

— To właśnie moja Hanna. I to był cud. Byłam przy tym, widziałam.

Mira lekko położyła jej dłoń na ramieniu.

— Tylko niech dziadek tego nie usłyszy — szepnęła. — Jego to bardzo gniewa. Tym właśnie Joel mu się naraził.

Stopniowo przyspieszając kroku oddaliły się od swojej gromadki. Mira chciała dalej mówić o Cieśli.

- Nigdy nie słyszałam, jak On przemawia, wiesz — ciągnęła. — Nie dali mi. Ale ja Go nie lubię, bo stanął pomiędzy mną a Joelem.
- Więc Joel wierzy w Niego — wywnioskowała Estera.
- Nie tylko wierzy — użaliła się Mira. — Rzucał pracę i szedł za Nim! I to tak często, że Jair go zwolnił. Dziadek był z tego rad, powiedział, że dobrze tak Joelowi... Ale potem, gdy Cieśla podobno wyleczył z choroby małą Szaron, córeczkę Jaira, Joel został przyjęty z powrotem i Jair podwyższył mu wynagrodzenie. Wszyscy myśleliśmy, że dziadek dostanie ataku.
- Czy twój dziadek widział kiedy Jezusa? — zapytała

Estera.

- A gdzie tam! — Mira zachnęła się. — Dziadek wbił sobie do głowy, że ten Jezus wziął się na synagogę, zachęca ludzi, żeby nie świętowali w szabat, i zadaje się z celnikami i grzesznikami... Nienawidzę bogobożności — dodała gniewnie. — Wszelkich jej przejawów.
- Nie wierzę, że nienawidziłabyś Jezusa, gdybyś Go znała — rzekła spokojnie Estera.
- Ja tam nie będę Go znała nigdy! — palnęła Mira. — Już moja rodzina tego dopilnuje... Porozmawiajmy o czymś przyjemnie j szym.

Rozmawiały więc o Joelu.

Na noc rozbili obóz w Hammat i nazajutrz rano przeszli przez Kanę. Dziadek Aszer dowiedziawszy się, że Estera po raz pierwszy wędruje do Jerozolimy, wziął ją za rękę i pokazywał godne zapamiętania szczegóły krajobrazu. Słuchała uważnie, ale nie zadawała żadnych pytań, które mogłyby zdradzić, że nie zna historii Żydów. Gdy szli przez Samarię, starzec zebrał rodzinę przy Studni Jakuba

440

i zaczął opowiadać. Po raz pierwszy w życiu Estera usłyszała o tej uświęconej studni i o Jakubie, ale zdołała okazać przystojne uszanowanie. Doprawdy była o wiele bardziej przejęta tą historią niż Mira, która przysłaniając usta dłonią ziewała i patrzyła, jak rozochocony pies usiłuje dosięgnąć kota drzemiącego na drzewie.

Tego dnia po południu Aszer chwycił Esterę za rękę

1     wskazał odległy szczyt górski.

— To tam — oświadczył z namaszczeniem — mieszkał wielki prorok Eliasz! Tam, na tej górze, gdzie widać tę szczelinę.

— Widać ją rzeczywiście — wymamrotała Estera.

Stary odwrócił się, żeby poinformować innych, i wtedy Mira podeszła do przyjaciółki.

- Opowiedz mi coś więcej o tym cudownym Eliaszu — poprosiła Estera.
- Żył wiele stuleci temu — zaczęła powoli Mira. — Mieszkał sam i dostojnicy przychodzili do niego po radę. Był bardzo ubogi. Kiedyś znalazł się w takiej biedzie, że kruki przyniosły mu jedzenie.

— Skąd wiedziały, że jest głodny? — zapytała Estera.

Mira zachichotała.

— Chyba stąd, że jadł to, co one uważały za smaczne. Człowiek musi być bardzo głodny, żeby mieć apetyt na przysmaki kruków.

Estera śmiała się.

- Jesteś niepoprawna, Miro. Dobrze, że twój dziadek nie słyszy, co ty pleciesz.
- Tak — przyznała Mira. — To by mu się nie podobało. Dla niego istnieją tylko te stare historie o cudach sprzed wieków przekazane potomności... A Joel prawie wciąż mówi o cudach tego nadzwyczajnego Cieśli... Ja w ogóle w takie rzeczy nie wierzę! Nie cierpię tej całej

sprawy cudów!

W dniu, który dla Rzymian był poniedziałkiem, weszli po południu do Świętego Miasta przez starożytną Bramę Damasceńską i zgodnie z obyczajem pielgrzymów, przybywających na Paschę, skierowali się prosto do Świątyni. Po złożeniu tam uszanowania rodzina z Kafarnaum miała udać

441

się, jak zwykle, do domostwa bogatego krewnego, wuja Boaza w Betanii. Mira za zgodą rodziny zaprosiła tam Esterę.

— Wuj Boaz jest gościnnie — zapewniali wszyscy — przyjmie cię chętnie.

Jerozolima była bardzo stara, poznaczona wieloma bliznami wojennymi. Ulica, którą szli, stanowiła niezwykłą mieszaninę zniszczonych starożytnych budynków z cegły, wypalanej w słońcu, dziwnie małych przy nowych budowlach z marmuru. Na brukowanej polnymi kamieniami jezdni panował ogromny ruch pieszych i pojazdów. Karawany wielbłądów i obładowane osły spychały ludzi na wąskie chodniki. Żebracy skomleli, natarczywie nadstawiali swoje miseczki po jałmużnę. W ciżbę wjechał rzymski patrol konny.

— Zrobić przejście! Zrobić przejście! — wołali żołnierze torując drogę grupie dostojników w czarnych szatach.

Mira, która odbywała pielgrzymkę do Jerozolimy nie po raz pierwszy, rozpoznawała ważniejsze budowle. Wskazała Esterze Insulę, wspaniałą przykład architektury rzymskiej, a następnie pałac najwyższego kapłana, Kajfasza, starą marmurową budowlę, ściemniałą od deszczów, ponurą jak twierdza. Okiennice wysokich okien były

szczelnie pozamykane. Dwunastu wartowników stapało dumnie tam i z powrotem po szerokim tarasie.

- Ten pałac budzi lęk — stwierdziła Estera, uważając, że wypada coś powiedzieć.
- Ale ma ciekawe dzieje — powiedziała Mira. — Przedtem był siedzibą króla Heroda Wielkiego.

Estera zatrzymała wszystkich, żeby popatrzeć dłużej na dawne domostwo swojego dziadka. Ciekawe, zastanowiła się, co by Mira powiedziała, gdyby wyznała jej, że urodziła się w pałacu żydowskiego króla.

W końcu zobaczyli Świątynię. Budowli równie pięknej Estera nie widziała jeszcze nigdy. Stała jak wryta, powoli w zadziwieniu kręcąc głową. Teraz posuwali się krok za krokiem, bo tłok był ogromny. Ostatecznie jednak dotarli do bogato rzeźbionej bramy, wiodącej na dziedziniec Świątyni. Stary Aszer spotkał znajomego, swego rówieśnika. Po

442

7

radosnym powitaniu tamten starzec zaczął szeptać mu coś do ucha. Aszer otwierał oczy coraz szerzej i przytakiwał z zapalem. Wkrótce potem znajomy odszedł.

Podniecony Aszer musiał podzielić się ową nowiną. Zebrał rodzinę wokół siebie i dramatycznie oznajmił:

— Już nie będzie mącił spokoju w Galilei ten Cieśla,

który gardzi wiarą naszych przodków! Przyszedł wczoraj do Świątyni i wywołał zamieszanie, wypędził zwierzęta ofiarne na ulicę! Poprzewracał stoły tych, którzy tu wymieniali pieniądze ku wygodzie pielgrzymów! Teraz władze rozprawia się z nim tak, jak na to zasłużył! — Aszer zacierał swe chude ręce rozpromieniony. — Tym razem — wykrzyknął — Cieśla zapłaci za lekceważenie Izraela!

Estera ciężko oparła się na ramieniu Miry. Kolana się pod nią uginały.

- Źle się czujesz? — szepnęła Mira. — Zaraz stąd wyjdziemy. Trzymaj się mnie.
- Co się stało dziewczynie? — zapytał gniewnie Aszer.
- Słabo jej — odpowiedziała Mira. — Taka tu duchota. Pomóż mi, ojcze!

Gedeon ujął Esterę pod drugą rękę i prawie wynieśli ją na ulicę, gdzie poczuła się trochę lepiej.

- Wstyd mi — wyjąkała — że tyle ze mną kłopotu.
- Musimy znaleźć jakieś miejsce, żebyś mogła usiąść — powiedziała Mira. — Ja się nią zaopiekuję, ojcze. Wracaj do wszystkich. Spotkamy się w Betanii. Wiem, jak trafić.

Gedeon wahał się.

- Dziadek będzie zły, Miro, żeś odeszła.
- Przepróż go, ojcze, za to. Estera w tym stanie przecież nie może tam wrócić! I ja sama nie chcę! Okropnie tam duszno i cuchnie!
- Nie wolno tak mówić — rzekł Gedeon z wyrzutem — o Domu Bożym.



- Wybacz mi, ojcze — powiedziała Mira skruszona — nie chciałam ci sprawić przykrości.

Gedeon niezgrabnie pogłaskał córkę po ramieniu.

— Owszem, tam jest dosyć duszno — przyznał od wracając się. — Tylko nie zabłądźcie. Spotkamy się u wuja Boaza.

443

- Twój ojciec jest łagodny i dobry — powiedziała Estera.
- Tak — zgodziła się Mira.— Gdy dziadek nie widzi, ojciec potrafi być bardzo wyrozumiały. Nieraz chciałabym wiedzieć, co on naprawdę myśli... o pobożności.

Powoli ruszyły w kierunku południowej starej Bramy Owczej. Choć teren Świątyni był zatłoczony, to jednak w porównaniu z dziedzińcem ulica wydawała się prawie pusta. Estera po swym nagłym zasłabnięciu odzyskała siły, ale szła milcząca i przybita.

- Powiedz mi, Estero — zaczęła Mira poufnie — czy rzeczywiście zaduch Świątyni tak podziałał na ciebie, czy może przejęłaś się tym, co dziadek powiedział o Cieśli?
- To był wstrząs, Miro. Wszyscy baliśmy się, że będzie niedobrze, gdy On przyjdzie tutaj. Mam nadzieję, że nie zrobią Mu krzywdy.
- Jeśli czyni cuda, jak ludzie opowiadają, chyba sam się obroni.
- Jestem pewna, że mógłby, gdyby chciał. On nie dba o swoje bezpieczeństwo. Zrobi wszystko dla innych, ale...

- Może wyszedł z miasta — zastanowiła się Mira.
- On by nie uciekał — oświadczyła Estera z przekonaniem.

Zbliżały się już do dwóch bliźniaczych wież Bramy Owczej. Przy końcu ulicy stała brudna stara budowla; grube kamienne kolumny podtrzymywały dach w kształcie pięcioramiennej gwiazdy. Ścian nie było. Estera zapytała, co to jest. Mira udzieliła jej zdumiewającego wyjaśnienia.

Ten cudaczny stary pawilon osłania sadzawkę. Ludzie wierzą, że od czasu do czasu jakiś anioł dotyka tej wody i wtedy każdy chory, jeśli się w niej zanurzy, zostaje uleczony.

- Chyba ty w to nie wierzysz! — powiedziała Estera.
- Ja? Oczywiście, że nie! Ale mnóstwo ludzi myśli, że to prawda. Leżą tu na tych płytach i oczekują anioła. To wprost żalosne! Też mi anioł! Przylatuje raz na jakiś czas, żeby uleczyć jedną osobę, a reszcie pozwala cierpieć dalej!

Weszły na wydeptane schodki pawilonu. Estera zażartowała, że anioł najwidoczniej w dni świąteczne nie pracuje.

—Zwykle tu jest tłoczno — powiedziała Mira. — Teraz

444

pewnie ci wszyscy są pod Świątynią, zebrzą... Ale patrz, jeden tu leży.

Nagle Estera z cichym okrzykiem zdumienia chwyciła ją za rękę. Kilku mężczyzn weszło z przeciwnej strony.

- Miro — szepnęła w podnieceniu. — Tam wchodzi

Jezus! Jakoś dziwnie zobaczyć Go bez tłumów, które idą za Nim.

- Dlaczego dziwnie? — zapytała Mira. — Skoro ma kłopoty, ludzie wolą trzymać się z daleka.
- Chodź — powiedziała Estera. — Muszę z Nim porozmawiać. — Pociągnęła Mirę za rękę.

Jezus, nieco wyprzedzając swoich towarzyszy, szedł brzegiem sadzawki, wpatrzony w wodę. Przystanął teraz przed wynędzniałym inwalidą, leżącym nieruchomo na macie, i zagadnął go. Uczniowie podeszli i stanęli wkoło. Estera i Mira podsunęły się nie zauważone.

- Niestety to dla mnie — mówił chory słabym głosem — że gdy anioł przylatuje, do sadzawki wskakują ci, którym niewiele dolega. Krewni przynoszą mnie tutaj dzień po dniu już od wielu lat, żebym został wyleczony z paraliżu, ale zawsze ktoś inny dosięga tej wody przede mną.
- Pójdź, przyjacielu — rzekł łagodnie Jezus. — Czekałeś dość długo. Możesz już wstać... iść do domu.

Mira zacisnęła palce na ręce Estery i wciągnęła oddech szybko, głośno, jak szlochające dziecko. Paralytyk wstał powoli. Płakał, bełkotał niezrozumiałe słowa podziękowań.

Piotr ze łzami w oczach powoli się odwracając zobaczył Esterę. Podeszedł, żeby ją powitać.

- To jest Mira — przedstawiła Estera przyjaciółkę. — Przyszłam do Jerozolimy z jej rodziną. Jej ojciec to Gedeon z Kafarnaum.
- Znam go dobrze — powiedział Piotr. — Twój ojciec,

Miro, jest prawym człowiekiem. A twój dziadek to Aszer.

— Lekko zmarszczył czoło. — Czy przyszedł z wami? —

I gdy Mira dosyć nieśmiało przytaknęła, zapytał: — Byłaś przed chwilą świadkiem cudu, Miro, prawda to?

- Tak, panie — zaświadczyła Mira. — Prawda.
- Twój dziadek Aszer jest wrogi Jezusowi. Opowiesz mu — zapytał Piotr — o tym, co tu dziś widziałaś?

445

- Nie uwierzyłby mi — powiedziała Mira.
- Ale mu opowiesz? — poprosił Piotr.
- Ja... ja nie wiem, panie — wyjąkała Mira. — Tylko by się rozgniewał na mnie.

Tymczasem Jezus przeszedł wolno przez pawilon i już schodził na ulicę. Jego towarzysze ruszyli za Nim w pewnej odległości.

—Żałuję, że nie mogliśmy porozmawiać z Nim — powiedziała Estera, gdy wyszły w blask słońca. Mira milczała.

Na rogu ulicy spotkały się z Jezusem. Uśmiechnął się i wyciągnął do nich obie ręce, mówiąc:

—Pokój wam, córki.

Estera uściskała jedną z tych wyciągniętych rąk.

—Panie! — wyszeptała.

Mira, wyraźnie zmieszana, spuściła oczy i skubała frędzle swej peleryny. Potem płochliwie podniosła wzrok na Niego. Oczy jej się rozszerzyły i napełniły łzami. Impulsywnie oburącz chwyciła Go za rękę i drżącym

szeptem zapytała:

—Czy będziesz także i moim Panem?

## 20

Na całą godzinę przed zachodem słońca czternastego dnia miesiąca Nisan Jerozolima zapadła w stan spoczynku. Zupełnie tak, jakby cień jakiejś niewidzialnej dłoni przesunął się po Świętym Mieście, żeby ucichło.

Jak na umówiony sygnał zamykały się bazary i targowiska. Ruch kołowy szybko ustał, zniknęły tłumy przechodniów. Pozostały tylko patrole rzymskie.

Stali mieszkańcy, ich żydowscy krewni i goście z odległych stron gromadzili się cicho za zamkniętymi drzwiami domów. Nawet przyjezdni niemożeszowego wyznania, którzy załatwiali w Jerozolimie interesy i nie byli zobowiązani do honorowania uroczystego święta Żydów, spętawszy wielbłądy odpoczywali w namiotach.

446

W taką właśnie wiosenną noc piętnaście wieków przedtem Izraelici uciekli z okrutnej niewoli w Egipcie. Wówczas, jak podaje ich Pismo Święte, anioł śmierci przeleciał nad ziemią faraona, porażając pierworodnego syna w każdym egipskim domu. A po to, by ów anioł zemsty wiedział, które domy oszczędzać, dzieci Izraela zostały pouczone, że mają pomazać boczne framugi swoich drzwi krwią jagnięcia. I gdy czekali na wezwanie do wyjścia z Egiptu w nieznaną swą drogę, milcząc spożywali uroczyście te jagnięta ofiarne.

To właśnie była Pascha, wciąż jeszcze co rok świętowana. Dramatyczne wydarzenie może by dawno poszło w niepamięć, gdyby — taki jest brak konsekwencji w naturze ludzkiej — śmiała ucieczka z niewoli dała zbiegom trwałą spokój i dobrobyt na ich Ziemi Obiecanej. Poprzez stulecia dźwigali jarzma i kajdany, podlegali wielu ciemieżcom, ale pomimo to, czy też właśnie dlatego, sumiennie jedli jagnię paschalne, symbolizujące wolność nie osiągniętą, wyczekiwaną. Żydzi z całym swoim smutkiem byli optymistami. Ronili łzy nad tragiczną przeszłością, nigdy jednak nie tracili wiary w triumfalną przyszłość.

W ten wieczór wolność mogła wydawać się równie nieosiągalna jak sto lat temu. Nawet gdy spożywali tradycyjne jagnię, słyszeli na ulicy przed swymi krwią pomazanymi drzwiami złowieszczy szczeł broni Cesarstwa Rzymskiego.

Pochylony pod brzemieniem lat dziadek Aszer, siedząc na poczesnym miejscu przy rodzinnym stole, z czią ujął w drżące dłonie stary zwój papirusu.

„O Jeruzalem — odczytał — które obwieszczasz dobrą nowinę, podnieś głos! Powiedz miastom Judy: »Pan przyjdzie z silną ręką«."

A podczas czytania tych słów pociechy młody centurion na ulicy szorstko, urywanie, miarowo odliczał kroki maszerujących legionistów.

„...Oczy twoje ujrzą Jeruzalem jako spokojną siedzibę, jako świątynię, która nigdy nie będzie zburzona!"

— Un..J Du...! Tres...! Quat...! — poszczekiwał centurion.

Na zboczu wiejskiego wzgórza w połowie drogi pomiędzy Betfagą i Betanią, znajdując schronienie pod rozłożystymi

gałęziami starego cyprysa, samotna gromadka ludzi z Galilei patrzyła w milczeniu, jak słońce zachodzi.

Oni nie poczynili żadnych przygotowań do święcenia Paschy i za późno już było, żeby nawet w dogodnych warunkach przygotować coś naprędce. Nie mieli jagnięcia ani domu, ani drzwi, których framugę pomazaliby krwią, ani pieca kuchennego, ani stołu.

Nie przejmowałoby się tym — a już na pewno nie przejmowałoby się Wielki Rybak — gdyby ta kłopotliwa sytuacja zaskoczyła ich w Kafarnaum. Wielki Rybak nie przywiązywał wagi do Paschy już od wielu lat, od czasów chłopięctwa w domostwie swego pobożnego ojca. Ale tutaj u bram Świętego Miasta, w którym te obchody były tak powszechnie, z tak wielkim szacunkiem celebrowane, Szymon Żyd czuł się jak na wygnaniu — osamotniony, zagubiony.

—Pomyśl — zwrócił się do zasępionego Andrzeja, który siedział na ziemi obok niego — tam w mieście setki, może tysiące ludzi ze wszystkich prowincji byłyby szczęśliwe i zaszczycone, gdyby gościły dziś Pana na wieczerzy, tylko boją się przyznać, że są Jego przyjaciółmi.

Andrzej przytaknął. Piotr ciągnął w zadumie:

—Zeszłego lata, gdy przynosili chorych, żeby ich uzdrowił, i ze wzruszeniem szukali u Niego pociechy, pragnęli Go zapraszać do swoich domów. Teraz, gdy jest w niebezpieczeństwie...

Cichy monolog Piotra przerwało lekkie poruszenie tuż za nimi. To Jezus, który siedział sam dość daleko, podszedł i usiadł pomiędzy Janem i Jakubem. Wszyscy skierowali wzrok na Niego.

—Będziemy święcić Paschę — oznajmił Jezus. — Wy, dwaj bracia, zajmiecie się tym. Wyjdźcie na gościniec i idźcie przez Betanię, dopóki nie dogonicie człowieka, który z dzbanem wody na ramieniu będzie wchodził do swego domu. Jest tam jedna nie używana izba. Powiedzcie mu, żeby ją przygotował dla waszego Pana i Jego towarzyszy.

Wstali obaj, żeby wypełnić polecenie.

—Czy mamy się postarać o jagnię ofiarne? — zapytał Jan.

448

Jezus zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Pan tego domu da wam chleb pszenny i gąsior wina — powiedział. — To wystarczy.
- Czy wrócimy tutaj na noc, Panie? — zapytał Jakub.
- Nie. Zabierzcie swoje derki ze sobą. Po wieczerzy pójdziemy na spoczynek w ogrodzie Getsemani.
- Czy masz pieniądze, żeby zapłacić temu człowiekowi za użyczenie izby? — zapytał Judasz, pobrząkując sakiewką.

Bracia spojrzeli pytająco na Jezusa, ale On ruchem ręki wyprawił ich w drogę, nic nie odpowiadając Judaszowi, który pojął wtedy niedorzeczność swego pytania, wzruszył ramionami i usiadł z powrotem. Młody Tadeusz, siedzący najbliżej Judasza, wkrótce wstał i wolno podszedł do starego Bartłomieja, żeby okryć go swoją oponczą, bo o zachodzie słońca zrobiło się chłodno.

Spożywali wieczerzę wielce przygnębieni. Potwierdziły się obawy,



dreńczęce ich od wielu dni. Jezus powiedział, że koniec blisko. To będzie, powiedział, nasza ostatnia wspólna wieczerza.

W drodze do tego domu wyprzedził ich na gościńcu, zrozumieli więc, że chce iść sam, i szli wolniej. Wędrowali znowu w stronę miasta, jak w ostatni niedzielny poranek, gdy miał świętą złożoną w tysiący podnieconych ludzi, którym się wydawało, że chcą, by On został ich królem. Teraz w poświęceniu księżycy liście palm leżały uschnięte, porozrzucane przez zawiedzioną rzeszę. Filip wskazał je towarzyszom, a Piotr, oślepiiony łzami, tylko potrząsnął głową. Nie znajdował słów dla wyrażenia swego smutku.

Podeszli pod dom, gdzie Jan i Jakub stali przy furtce. Jezus już tam wszedł i czekał na nich w drzwiach izby na pięterku. Zaopatrzył się w ręczniki, w miskę i wodę. Był taki zwyczaj, że gościom przychodzącym do domu sługa w drzwiach obmywał zakurzone nogi. Uczniowie ze zgrozą się dowiedzieli, że Pan zamierza oddać im służebną usługę. Piotr, gdy przyszła jego kolej, stanowczo się nie zgadzał, ale po chwili niechętnie ustąpił, skoro Jezus nalegał.

W milczeniu zasiedli do stołu. Ta wieczerza nie jest tradycyjną ucztą paschalną, wyjaśnił Jezus. Jest zapoczątkowaniem nowego święta, które ludzie będą obchodzić

## **29 — Wielki Rybak**

**449**

w przyszłości. Ilekroć oni — i inni wierzący w Niego — zasiądą razem, żeby przekazywać sobie kielich, mają pamiętać o Jego ofierze dla zbawienia ludzkości. On umrze po to, by każdy, kto w Niego wierzy, mógł żyć.

Jezus mówił cicho. Uczniowie słuchali z rozpaczą w sercach. Judasz

ukradkiem wymknął się z izby. Wszystkim jego odejście sprawiło ulgę. Jan, który siedział przy Panu, załamał się zupełnie i płakał jak zbłąkane dziecko. Jezus objął go ramieniem, przyciągnął do siebie. Wszyscy płakali.

— Niech się nie trwoży serce wasze ani nie lęka — powiedział Jezus. — W domu Ojca mojego jest mieszkań wiele. Idę przygotować wam miejsce, abyście tam, gdzie Ja jestem, i wy byli.

Dochodziła północ, gdy Jezus wstał od stołu i oznajmił, że pora już odejść. Wieczór, chociaż tak bardzo smutny, minął szybko: uczniowie, zdając sobie sprawę, że wkrótce zostaną bez przewodnictwa Pana, mieli wiele pytań do Niego.

Pytania te były zdumiewające. Pomimo tylu pouczeń, jakie otrzymali o przyszłym Królestwie, teraz, w ostatniej chwili, zbrakło im tej niezłomnej pewności; ich pytania świadczyły, jak niejasno to wszystko rozumieją. Dopóki mieli Jezusa przy sobie, dopóki wędrowali i rozmawiali z Nim, przyszłość wydawała się czymś dalekim, z czym będzie czas się zmierzyć, gdy nastanie. Teraz przyszłość tak bliska wymagała rozpatrzenia na nowo.

Jezus właśnie skończył mówić.

—Wszyscy wiecie, dokąd idę. Chociaż nie możecie pójść ze mną, drogę znacie.

Pierwszy odezwał się Tomasz.

- Ale, Panie, my nie wiemy, dokąd idziesz, jakże więc możemy znać drogę?
- Drogą Ja jestem — odrzekł Jezus cierpliwie. — Idę

do Ojca naszego.

- Powiedz nam o Ojcu — błagał Filip, jak gdyby Nauczyciel nigdy o tym nie mówił.
- Ojciec jest we Mnie — powiedział Jezus. — Moje słowa są Jego słowami. Moje uczynki są Jego uczynkami.

450

Wszyscy przytaknęli, ale to pozorne zrozumienie wcale nie ukoilo ich uczucia całkowitego opuszczenia. Jezus więc zapewnił ich tkliwie: — Nie zostawię was bez pociechy. Przyjdę do was.

W końcu zeszli z pięterka, wyszli w księżycową poświatę. Jezus zatrzymał się, żeby porozmawiać życzliwie z gospodarzem, który ruszył za nimi do furtki tak, jakby mu było żal, że odchodzą z jego domu.

Niedługo potem dotarli na szczyt wzgórza ponad cichym miastem. Jezus stał tam przez chwilę, zanim skręcił z gościńca na twardo ubity szlak biegnący kreto wśród starych drzew gaju oliwnego.

Piotr, Jakub i Jan szli tuż za Jezusem, gdy inni niepewni, czy mają podejść, trzymali się z daleka. W gaju Jezus odwrócił się do nich trzech. Poprosił, żeby poczekał. Odszedł i ukląkł w cieniu dużego głazu nie opodal. Po jakimś czasie oczy zaczęły się kleić czuwającym. Żyli ostatnio w takim napięciu, że nie mogli spać zdrowym, normalnym snem, a ten wieczór pełen smutnych wzruszeń do cna ich wyczerpał. Jeszcze chwila i wszyscy trzej wyciągnęci na ziemi, wtulając głowy w zgięcie łokci, zasnęli.

Po godzinie modlitwy w udreće Jezus wrócił do nich. Ci, którzy znali Go najlepiej i najbardziej kochali, nie czekali gotowi podtrzymać Go

zapewnieniami o swym współczuciu i przywiązaniu. Był teraz sam, bez przyjaciół na tym świecie.

Pojmanie wyraźnie było samowolne, prostackie, niegodziwe. Pojmał Jezusa nie patrol rzymski, tylko sługa najwyższego kapłana, Rzymianin Malchus, na czele zebranej naprędce hałastry.

Wprawny w podsłuchiowaniu Malchus dowiedział się, że jego znakomity chlebowdawca chce postawić Galilejczyka przed sądem. Pragnąc zasłużyć się Kajfaszowi pospieszył bez rozkazu pojmać Jezusa, czego zresztą najwyższy kapłan bynajmniej sobie nie życzył w uroczystą noc Paschy.

Zjawiła się spora gromadka zbirów uzbrojonych w kije i kamienie, jak gdyby przyszli schwytać i na śmierć zatłuc



wściekłego psa. Judasz bezwstydnie też przyszedł z tą zgrają. Był potrzebny Malchusowi do rozpoznania ofiary.

Piotr rzucił się na sługę Kajfasza i uderzył go w głowę, ale Jezus zakazał uczniom stawiać opór. Widząc, że pojmany nie zamierza się bronić, napastnicy, rozzuchwaleni, związali Mu ręce, ciągnęli Go brutalnie w dół po długim zboczach, a potem przez ciche ulice, aż przywiedli Go do pałacu najwyższego kapłana.

Stary Annasz, pomimo że już dawno minęła pora, o której zwykł zasypiać, jeszcze nie udał się na spoczynek. Wraz z kilkunastu innymi dostojnikami z kolegium kapłanów i z Sanhedrynu przyjął zaproszenie

Kajfasza i obchodził Paschę u niego w sali narad. Właśnie dyskutowali z przejęciem, jak by tu pozbyć się Cieśli, nie wywołując sprzeciwu ze strony Jego popleczników, gdy nagle przestraszyła ich niezwykła wrzawa na korytarzu.

Malchus, dumny z pojmania Jezusa i pewny pochwał, wkroczył ze swoją ofiarą do sali. Pchnął przed zebranych sponiewieranego więźnia.

—Ecce homo — oznajmił dramatycznie.

Dostojnicy zaniemówili. To nie było miejsce, a już z pewnością nie był czas na wnoszenie oskarżenia przeciwko temu człowiekowi — ale On stał przed nimi. Coś musieli z Nim zrobić.

—A więc ty jesteś Jezus z Nazaretu! — warknął Kajfasz wzgardliwie.

Jezus odpowiedział, że tak. Po chwili niezręcznego milczenia Kajfasz rzucił pytanie:

- Czego nauczasz?
- Możesz zapytać tych, którzy mnie słuchali — powie dział Jezus.

Stojący przy Nim Malchus uderzył Go w twarz i wrzasnął:

—Nie tak się odpowiada najwyższemu kapłanowi!

Ignorując uderzenie, Jezus mówił dalej:

—Nauczam otwarcie, nie potajemnie. — Rozejrzał się po ich gromadzie i zatrzymał wzrok na twarzy rabbiego Ben-Szolema. — Wiele osób — ciągnął — mogłoby poświadczyć moje słowa.

452

— Hołota! — zapiszczał cienko Ben-Szolem zirytowany.

— Dzikusy! Damascenicy! Samarytanie! Poganiacze wielbłądów!

Jezus nic nie powiedział na to. Zadali Mu jeszcze kilka pytań, ale w tym badaniu nie było zapału. Zamierzali wytoczyć Mu proces, żeby Go osądziły władze rzymskie. Sami mogli Go dręczyć i znieważać, bez żadnego jednak skutku poza uszczerbkiem dla swojej godności. Trudno im było coś tu zdecydować.

Kajfasz rozkazał Malchusowi wyprowadzić więźnia i czekać na dalsze polecenia. Rozkaz został wydany z taką złością, że Malchus, zgnębiony tym, że jednak nie zaskarbił sobie łaski uczonych mężów, wyprowadzał Jezusa popychając Go i szarpiąc, jak gdyby chciał z Nim dzielić niesławę tego odwrotu. Do sali wszedł cicho służący i odwrócił wysoką klepsydrę, stojącą na stole pod łokciem najwyższego kapłana. Była godzina druga po północy.

Milczenie się przedłużało, każdy miał nadzieję, że może ktoś wreszcie wpadnie na jakiś dobry pomysł. Obadiusz, naczelnik skrybów, odchrząknął nagle i zaproponował:

- A gdyby go wysłać prosto do Piłata?
- Co? — warknął Kajfasz. — O tej porze?
- Piłat jeszcze nie śpi — mruknął stary Natan, doradca prawny najwyższego kapłana. — Na pewno przez całą noc dzisiaj pije i opowiada sprośności legatom, których u siebie podejmuje.
- Mógłby nawet być rad z urozmaicenia — zachichotał stary Annasz. — Napisz do Piłata, Kajfaszu. Napisz, że chcemy sądu dla tego człowieka. Bezzwłocznie.

- Dobrze! — wykrzyknął Ben-Szolem. — Całą tę sprawę można by załatwić raz na zawsze, zanim miasto zbudzi się rankiem!
- Nie... niedobrze. — Kajfasz skrzywił się. — W noc Paschy! Co Piłat o nas pomyśli? Jeśli jakieś pismo ma pójść od nas do Piłata, ojciec Annaszu, może ty je napiszesz!
- Nie ja jestem najwyższym kapłanem — burknął starzec. — I czy ten Rzymianin wie, co to jest Pascha, czy w ogóle go to obchodzi?

453

—I niby dlaczego mielibyśmy się przejmować tym, co on pomyśli?! — dodał Natan. — Zrobi tak, jak mu się każe.

Wszyscy się z tym zgodzili. Natan sięgnął po Stylus i wystosował pismo, Kajfasz je podpisał. Malchus dostał rozkaz. Motłoch popędził więźnia do Insuli.

Prokurator nie tylko nie spał, ale w myśl przewidywań Natana ucztował w towarzystwie przyjezdnych legatów i paru prefektów, którzy przybyli do Jerozolimy z legionami z twierdz przy swych prefekturach.

Noc była piękna, dosyć ciepła, prokurator więc podejmował swych druhów na rozległym tarasie Insuli.

- Co znowu? — warknął, gdy tłuszcz wtargnęła na marmurowe stopnie. Marszcząc brwi przeczytał pismo doręczone przez Malchusa i badawczo przyjrzał się więźniowi.

- Co ty wyprawiasz, człowieku? — zapytał. — I to dzisiaj, gdy powinienes świętować Paschę. Bo jesteś przecież Żydem?

Jezus milczał. Malchus szturchnął Go w żebra.

- Mów, człecze! — wrzasnął.

Piłat wydał usta.

- A ty, kto jesteś? — zapytał z pogardą.

- Nazywam się Malchus. Jestem domownikiem naj wyższego kapłana.

- No, muszę powiedzieć, że chluby mu nie przynosisz. Malchus? To nie brzmi po żydowsku.

- Jestem Rzymianinem, panie — oznajmił sługus z już większą pewnością siebie.

- Zgoła niefortunnie — zauważył Piłat. — Nie dotykaj więźnia, stań z boku! — Zmrużonymi oczami, z niesmakiem popatrzył na pismo, trzymając je na długość ręki. — A więc, Jezusie, o co chodzi? Oskarżony o zakłócanie spokoju. Na wszystkich bogów, gdzie w tym swarliwym kraju znalazłeś spokój, żeby go zakłócić?

Ludzie w tłumie już się niecierpliwili. Nie bez racji podejrzewali, że Piłat bardziej stara się zabawić swych uśmiechniętych gości niż wypełnić powinność sędziego. Szemrania na tyłach tłumu stały się głośniejsze. Ktoś wrzasnął:



—Precz z Galilejczykiem!

Prokurator to dosłyszał.

— Jesteś Galilejczykiem? — zapytał Jezusa i powoli odwracając głowę do legata Juliana z Kafarnaum mrugnął szelmowsko.

Jezus odpowiedział, że jest Galilejczykiem.

— A zatem nie tu twoje miejsce — oświadczył Piłat. — Ty... Malchusie, czy jak ci tam, zabierz go do przedstawicielstwa i powiedz, jaki masz kłopot, Herodowi Antypasowi.

Rozległo się wiele gniewnych wrzasków:

— Nie! Nie!

Ale prokurator machnięciem ręki odprawił ich wszystkich i kazał podać więcej wina. Dowódca patroli miejskich podszedł do niego.

— Panie — zapytał szeptem — mam wysłać deputację do przedstawicielstwa dla dopilnowania porządku?

Piłat odpowiedział obojętnie:

— Nie. Niech się tym zajmie tetrarcha. Chyba że — dodał — będzie niespokojnie na ulicach.

Tak więc gorzko rozczarowani, utyskując hałaśliwie poprowadzili Jezusa do przedstawicielstwa. Tłum się powiększał. Uczniowie daleko w tyle za tym wrzeszczącym pochodem kroczyli w milczeniu, bezradni, zdjęci lękiem.

Eskorta Jezusa zaczęła walić do okazałej, kutej z brązu bramy przedstawicielstwa i gdy ją otworzono, wtargnęła do pięknej, sklepionej wysoko sali sądowej, bezczelnie domagając\* się przybycia Antypasa.

Uczniowie wsunęli się do przedsionka — wszyscy oprócz Piotra, który przez chwilę stał niezdecydowany. Potem skierował się powoli do otwartych wrót prowadzących na dziedziniec wozowni i zajrzał tam.

Miłe ognisko paliło się pośrodku dziedzińca, kilku barczystych żołnierzy z patrolu ogrzewało sobie ręce. Było chłodno. Piotr ruszył więc w stronę ogniska. Żołnierze zobaczyli go, patrzyli, jak idzie, i uśmiechali się. Wiedział, że śmieszyc ich jego wieśniacza odzież. Chciał zawrócić, ale nie wątpił, że wtedy parsknęliby wzgardliwym śmiechem. Po raz pierwszy w życiu czuł się obco, czuł się wystawiony na pośmiewisko.

455

Statek „Vestris” szczęśliwie przyplłynął z Gazy. We czwartek, ledwie słońce wzeszło, został przycumowany w jednej z nowych przystani w Joppie. Inne statki z tej flotyli już tam były. Wyładowano je i teraz kołysały się leniwie na redzie.

Prokonsul Mencjusz i kapitan Fulwiusz wyruszyli konno w trzydziestomilową podróż do Jerozolimy. Zamierzali przenocować w Asznie, ale po niesmacznej wieczerzy i zajrzeniu do izb gościnnych w jedynej tam gospodzie zdecydowali się jechać dalej. Konie mieli wypoczęte, księżyc świecił jasno i na gościńcu prawie pustym nie było kurzu. Dojechali do miasta o pół do trzeciej nad ranem.

Ustalili, że zatrzymają się w zajeździe Lewiego, znanym, najlepszym w Jerozolimie. Zajazd ten mieścił się tuż za Bramą Wschodnią na zboczu wzgórza wznoszącym się w stronę Betanii. Ale Mencjusz, gdy mijali sąsiadujące z Insulą otoczone wysokim murem koszary, zastanowił się, czy nie lepiej byłoby zostawić konie w świetnych stajniach wojskowych. Zapytać warto.

Fulwiusz, bardzo zmęczony, nie zainteresował się tą propozycją. Nie miał ochoty iść do odległego zajazdu pieszo. Chciał się czym prędzej położyć spać. Stało więc na tym, że z jukami prokonsula pojedzie sam do Lewiego i zamówi dla niego pokój. Spotkają się przy śniadaniu.

W stajniach wojskowych okazano Mencjuszowi szacunek, jednakże...

- Jak widzisz, panie, nie mamy miejsca. Ale na pewno miejsce się znajdzie w przedstawicielstwie galilejskim. To blisko, tuż za następnym rogiem w prawo. Nie sposób nie trafić, panie. Tam teraz jakaś awantura.
- Od awantur — powiedział Mencjusz — wolę się trzymać z daleka.
- Ale to nie wśród koni. W stajniach będzie spokojnie.
- I o co ta wrzawa? — zapytał Mencjusz.
- Och... to sąd nad jakimś wiejskim kaznodzieją, który źle nauczał — rzekł stajenny. — Konie w tym nie biorą udziału. Rozsądniejsze są od niektórych ludzi.

Prokonsul dał stajennemu dwa sykle, dosiadł znów Brutusa i pojechał we wskazanym kierunku.

456

Istotnie od razu trafił do kosztownej przeładowanej ozdobami siedziby przedstawicielstwa, którą bogaty nicpoń Herod wznosił gwoli zaspokojenia swojej próżności. Z głównej części tej pysznej budowli, rzęście teraz oświetlonej, dolatywał gwar. Głosy były gniewne. Prokonsul roześmiał się. W sądach rzymskich nigdy nie ma takiego zgiełku. O, nie! Sąd Rzymian nie zawsze jest sprawiedliwy, ale zawsze

panuje w nim dyscyplina... Jakiś wiejski kaznodzieja, odstępcą sądzony o trzeciej rano, gdy wszyscy powinni przebywać w domach w święto swojej Paschy. Niewiarygodne!... Wiejski kaznodzieja, co?... Czy możliwe, żeby to był ten Woldiego, „Ten, który niesie pochodnię”?

Mencjusz dojechał do stajen przedstawicielstwa. Były to stajnie niedorzecznie, wręcz wulgarnie okazałe, nadające się w sam raz na urzędową siedzibę posła, ale doprawdy nie jego koni.

Nie pachniało stajniami. Białe marmury lśniły nieskazitelną czystością, co zapewne sprawiało, że kapryśny Brutus bez żadnej zachęty wszedł tam od razu. W drzwiach ukazał się niemłody stajenny z godłem tetrarchy na tunice. Prokonsul zsiadł z konia, powiedział, kim jest i o co chciałby prosić. Prośba została wysłuchana ochoczo.

— Nazywam się Aulus, panie. Pięknego masz konia. Zasługuje na wszystko, co najlepsze. Tetrarcha rad będzie widział go tutaj. Jego wysokość zna się na pięknych koniach.

Aulus zdjął rząd z Brutusa i poprowadził go do dużej przegrody. Mencjusz szedł za nim.

— W sąsiedniej przegrodzie, popatrz, panie — gawędził Aulus — ten wysoki kary arab to nasz najnowszy nabytek. Tetrarcha kupił go... prawie za darmo... przedwczoraj.

Brutus wyciągnął szyję i wsunął pysk między dębowe słupki, które rozdzielały te dwie przegrody. Kary podsunął się i prychnął.

— Na Jowisza! — Aulus roześmiał się. — Zupełnie tak jakby się spotkali znajomi.

Mencjusz stanął przy wysokiej po pas furtce. Darik odwrócił łeb do niego, podszedł, powąchał jego wyciągniętą dłoń.

457

— On lepiej się odnosi do ciebie, panie, niż do mnie —

I II

zauważył Aulus. — To nie jest życzliwy koń, jak my mówimy, koń-przyjaciel.

— Tetrarcha kupił go tanio? — Mencjusz usiłował mówić niedbale. — Jak się to stało? Taki cenny rumak?

Aulus przybrał ton poufny.

- Gdyby mnie kto pytał, panie, myślę, że on został skradziony. Ten młody Arab, który na nim tu przyjechał,

był w łachmanach! Nie miał co robić z takim wspaniałym koniem. Chciał za niego tylko trzysta sykli. Jego wysokość nie wahał się z kupnem.

- Więc tetrarcha nie podejrzewał, że kupuje konia z kradzieży? Dziwne.
- Może i podejrzewał. — Chichot przebiegłego Aulusa nie przydawał chwały jego królewskiemu chlebodawcy. — Ten arabski obszarpaniec jeszcze się tu kręci. Daliśmy mu pracę. Zręczny jest do koni. Jak każdy Arab. Już na koniach to oni się znają, chociaż na niczym więcej. Ale dziwna rzecz z tym wałachem. Chodzi za tym chłopcem wszędzie, naprawdę jak pies. Może to był jego własny koń, chociaż biorąc na rozum, myślę, że nie.
- Czy ten Arab teraz jest w stajniach?
- Pracuje tylko w dzień. Dziękuję, panie. Będziemy dbali o twojego wierzchowca.

Prokonsul już odwrócił się, żeby odejść. Aulus, zadowolony z kilku sestercji pobrzękujących mu w ręce, zawołał:

— Jeżeli zechcesz wstąpić do wozowni, dziewczki kuchenne chętnie ci podadzą miskę tłustego rosołu. Będzie smakować po długiej jeździe.

Mencjusz odpowiedział, że idzie prosto do zajazdu Lewiego i tam zje śniadanie. Poszedł w kierunku północnym i przystanął u otwartych drzwi przedstawicielstwa. Dolatujący stamtąd hałas nie ustawał. Na ulicy stało dwudziestu żołnierzy rzymskich z długimi włóczniami, nie zwracając uwagi na to, co się tam dzieje. Najwidoczniej mieli taki rozkaz.

Wszedł do ogromnego przedsionka. Zobaczył gromadę ludzi, którzy zapewne nie zdołali się docisnąć do sali sądowej. Ruszył do nich. Byli spoceni, cuchnęli. Wydawali się raczej ciekawskimi gapiami niż poplecznikami — wszyscy

458

nędznie ubrani, zapewne robotnicy najemni. Prokonsul nie miał na sobie szat, którymi by się wyróżniał, swoje listy uwierzytelniające trzymał w kieszeni, a przecież ci włóczędzy wywnioskowali z jego postawy, że jest przyzwyczajony do okazywania mu szacunku i rozstępowali się przed nim, gdy szedł do drzwi.

W wysoko sklepionej sali pełno było niespokojnych, hałaśliwych cywilów, chyba niewiele mających ze sobą wspólnego poza rozjątrzeniem wobec postępowania sądu. Przewodniczył, czy też ściślej mówiąc siedział za masywnym stołem na poczesnym miejscu sędziego napuszony wytworny mężczyzna w czarnej szacie. Nie ulegało wątpliwości, że ten sztucznie uśmiechnięty dostojnik to tetrarcha. Tak samo było oczywiste, że już nie panuje nad sytuacją. Proces przerodził się w jakąś ohydą parodię.

Oskarżony siedział naprzeciw tłumowi w fotelu z wysokimi poręczami i oparciem jak na tronie, przyodziany w szatę szkarłatną, nedorzeczenie kontrastującą z Jego bladością, smutkiem i zgarbieniem ramion. Wieniec cierniowy uwity na kształt korony tak brutalnie wciśnięto Mu na głowę, że krew cienkimi strużkami spływała na policzki i plamiła haftowany kołnierz królewskiej szaty.

Nietrudno było odgadnąć, co ma znaczyć ta podła komedia. Wyszydzano nieszczęsnego więźnia jako pretendenta do tronu. Ale jakiego tronu? Mencjusz nie wierzył własnym oczom. Chyba niemożliwe,

żeby ten bierny młody człowiek o mądrym, szlachetnym obliczu, o długich, smukłych dłoniach artysty pożądał władzy królów? Nie widać też, żeby miał stronników. Nikt nie broni Jego sprawy. I czyj tron On próbowałby sobie przywłaszczyć, nawet gdyby szło za nim dziesięć tysięcy żołnierzy? Cezara? Nonsens! Czy może spiskuje, żeby zająć miejsce Piłata? Śmieszne!

Raptem Mencjusz doznał olśnienia. Wrzaskliwi prześladowcy, chodząc przed więźniem i składając Mu pokłony z przesadnym, drwiącym szacunkiem, pozdrawiają Go przecież jako króla Żydów! Otóż to! Ten młody prorok najwidoczniej utożsamia się z Mesjaszem, który przywróci królestwo Izraelowi.

459

Niezadowolony tetrarcha miał już wyraźnie dosyć tej farsy. Wstał i nakazał spokój. Stopniowo wrzawa ucichła. Wszyscy oczekiwali sprawiedliwego wyroku. Czas na to, szemrali.

— Biczowanie i wypuścić go! — zawołał Antypas.

Zerwała się burza protestów. Jakiś rozwścieczony gorliwiec wszedł na zydel i wrzasnął:

— Na śmierć z nim! Żadna mniejsza kara!

Tłum rykiem wyraził aprobatę. Antypas podniósł rozkazująco rękę. Stopniowo znów się uciszyło.

- Wydawanie wyroków śmierci — wyrecytował — nie leży we władzy tego sądu.
- Tak! — zawołał ten, który stał na zydlu. — Ale Chrzyciela skazałeś na śmierć w ogóle bez powodu!

Wrzawa stała się ogłuszająca. Tetrarcha przerażony odwrócił się szybko



i zniknął, wychodząc niedużymi drzwiami za sędziowskim stołem. Więźnia brutalnie ściągnięto z błazeńskiego tronu i krępy siepacz z batogiem zaczął Go bić okrutnie.

Prokonsul chciał odejść od tego oburzającego widowiska, ale wyjście było zatłoczone, musiał więc zaczekać. Przy wymyślnie rzeźbionej ławie sędziowskiej rozpętało się piekło. Podniósł się wrzask, że tetrarcha jest nieczysty, nieodpowiedzialny. Zrywano ze ścian kosztowne obicia, mieczami rozpruwano wyściełane meble, włóczniami niszczone znakomite mozaikowe portrety. Nawet wyniosłe oblicze cesarza Tyberiusza utraciło jedno oko (co nie znaczy, żeby prokonsul choć trochę się tym przejął).

Ostatecznie Mencjusz z trudem przedarł się na ulicę. Naprzeciwko przedstawicielstwa kilkunastu zuchwalców zważyło ogrodzenie i próbowało zerwać rusztowania z budynku w naprawie. Legioniści uznali, że dosyć już tego dobrego; bili po głowach, zatrzymywali bardziej rozzuchwalonych. Motłoch mógł robić, co chciał, tylko na terenie przedstawicielstwa.

Nie mając ochoty wplątać się w zamieszki, Mencjusz odszedł szybko w kierunku północnym i z ulicy, gdzie była Insula, skręcił w prawo. Gdy już *znalazł* się daleko od hałasów i widoku rozszalałego tłumu, zaczął myśleć o ska-

460

zanym Galilejczyku. Żałował, że nie słyszał, jak On mówi. Nigdy dotąd kogoś takiego nie widział. Nic dziwnego, że Woldi był pod wrażeniem. To twarz zastanawiająca — trudno ją zaliczyć do jakiegokolwiek kategorii. Dociekliwy badacz? Marzyciel? Kimże jest ten człowiek? „Tym, który

niesie pochodnię"? Nie. Woldi wyraźnie się pomylił. Ten, który niesie pochodnię, musiałby mieć umysł i wolę jakiegoś Platona, jakiegoś Sokratesa, w żadnym razie nie dałby się postawić w takiej strasznej sytuacji. Może jest nauczycielem, ale to nie znaczy, że jest „Tym, który niesie pochodnię”. Przecież światło, jakie On mógłby rzucić na szlak garstki wieśniaków palestyńskich prowincji, zgaśnie zdmuchnięte jeszcze przed jutrzejszym zachodem słońca. Czyja lampa w tej zacofanej małej Galilei rzuci odbity blask poza granice jej społeczności?

Tak czy inaczej — dumął Mencjusz znużony idąc pod górę do zajazdu Lewiego — ludzkość wcale nie chce światła ani też na żadne światło nie zasługuje, żadne więc światło nie będzie jej dane nigdy, a już z pewnością nie za moich czasów. Ten świat przynosi wstyd swemu stwórcy, kimkolwiek ów stwórca jest, czy też stwórcom, kimkolwiek są oni! Aż dziw bierze, że świat przetrwał tak długo w swoim bydlęctwie. Bydlęctwie? Chyba to niewłaściwe określenie. Bydłota zachowują się jednak z pewną godnością!

## 21

Piotr zbliżał się do płonącego ogniska coraz wolniej, coraz bardziej nieśmiało, pojmując, że niepotrzebnie wszedł na ten dziedziniec.

Kilku rosłych, pewnych siebie żołnierzy w wypolerowanych hełmach i szkarłatno-czarnych tunikach czekało na niego z niepokojącym zainteresowaniem, a przecież gdy stanął wśród nich, wyższy i tęższy niż oni, zobaczył ku swojej uldze niemal życzliwość na ich twarzach.

— Chłodno przed świtem — zauważył najstarszy żołnierz odsuwając się, by zrobić barczystemu przybyszowi miejsce przy ognisku.

Piotr przytaknął, że owszem, jest chłodno, i zaczął ogrzewać sobie ręce.

— Służebne przyniosą za chwilę wino z korzeniami — powiedział inny żołnierz. — Och, już idą.

I oto były one — dziewczyny z kuchni tetrarchy, z którymi Piotr zwykle żartował, dostarczając ryby do pałacu w Tyberiadzie w tamtych prawie zapomnianych czasach, zanim poszedł za Jezusem. Ze skurczem serca poznał je natychmiast: butną małą Rzymiankę Klaudię, Murze, cyniczną Arymatejkę, Annę i Leę, Żydówki.

Klaudia, potykając się z załadowaną tacą, zawołała z daleka:

— Patrzcie! Murza! Lea! Kogóż to ja widzę? Wielki Rybak we własnej osobie!

Odstawiły gąsior, kubki i ciastka miodowe na podręczny stół i podbiegły.

— Wielki Rybak! — wykrzykiwały w podnieceniu.

Klaudia jak dawniej usiłowała oburącz objąć jego muskularne przedramię. Żołnierze ze śmiechem podeszli bliżej.

- Wygląda na to, że znacie tego Herkulesa — zakpił jeden z nich, siwowłosa.
- Czy go znamy?! — wykrzyknęła Klaudia. — Ale oczywiście! I on w dodatku ma zły wpływ na nas, bo dworuje sobie ze wszystkich bogów! Okropny z niego człek.
- Co cię sprowadziło do Jerozolimy, Szymonie? — za

pytała Anna. — Ręcę, że nie zamiar spożycia Paschy.

Piotr, ponieważ nie dawały mu dojść do słowa, stał tylko uśmiechając się głupio, przygryzając dolną wargę.

- Może on tu przyszedł z Cieślą — dokuczała mu Lea.  
— Z tym, który uważa się za Mesjasza.
- Właśnie! — pisnęła Klaudia. — Wielki Rybak stał się nabożny!

Wszystkie parsknęły śmiechem.

- Stuknij się w głowę — warknął Piotr. — Ja nie popieram takich bzdur!
- No, poważnie — zapytała Anna. — Co myślisz o tym Jezusie?

462

- Nie mam żadnego zdania — odrzekł Piotr ochryple  
■— nigdy Go nie spotkałem!
- Osądzają Go tam... za bluźnierstwo... i zradę! —  
powiedziała Murza.
- Doprawdy? — Piotr chrząknął. — I co z tego, to nie  
mój znajomy.

Żołnierze, już znudzeni tą rozmową, przechodzili jeden po drugim do stołu, dziewczęta poszły za nimi. Piotr odwrócił się raptownie, żeby odejść.

—Zaczekaj! — wykrzyknęła Klaudia. — Napijesz się wina!

Ale Wielki Rybak odszedł bez słowa. Chwiejnie, bo miał mdłości i

nogi mu drżały, dotarł do wrót. Za wrotami oparł się o mur. Dyszał i przękał z trudem. Przytrzymując się muru, ruszył niepewnym krokiem ku wyjściu z przedstawicielstwa. Teraz usłyszał gniewną wrzawę. Przystanął. Wrzawa ucichła. Doleciały odgłosy smagnień. Biczowano Pana!

Odwrócił się i wciąż jeszcze macając ręką po murze, zataczając się wyszedł na ulicę. Kolana uginały się pod nim. Zapłakał. Szlochał i krztusił się jak skrzywdzony mały chłopiec.

## 22

Pomimo znużenia Mencjusz nie mógł zasnąć. Uniżony stary Lewi czekał na prokonsula, żeby go poprowadzić do najwygodniejszego, jak zapewniał, łoża w zajezdzie. Wszędzie było cicho, jeszcze nikt się nie krzątał, jeszcze się nie zaczął ruch pojazdów na brukowanej polnymi kamieniami ulicy. A przecież Mencjusz leżał bezsennie i nadal brzmiały mu w uszach świsty batoga, spadającego na skrwawione plecy bezbronnego Galilejczyka.

Nie, żeby nie przywykł do widoku i odgłosów okrutnej chłosty. Rzymska dyscyplina była nieugięta, kary surowe. Trzy czwarte ludności Cesarstwa stanowili niewolnicy.

463

Okazanie choć trochę pobłażliwości wobec ich przewinień mogłoby stanowić zachętę do spiskowania i buntu. Każdy, kto urodził się wolnym Rzymianinem, żył w niebezpieczeństwie, wyczulony na najmniejsze bodaj oznaki buntowniczych nastrojów. Najlepszym sposobem, żeby

zdlawić nieposłuszeństwo — o wiele skuteczniejszym niż więzienie — były kary cielesne wymierzane publicznie. Dlatego więc brutalne biczowanie młodego Galilejczyka nie zrobiłoby na prokonsulu większego wrażenia niż wszystkie inne takie chłosty, jakie widywał na lądzie i na morzu w całym Cesarstwie, gdyby nie to, że ofiarą padł tym razem człowiek dziwny, niepospolity, człowiek, którego należało traktować godnie, uwięzić, być może stracić, ale nie bić.

Mencjusz poprawił poduszkę pod głową i zabronił sobie myśleć o Galilejczyku. Nie jego problem, nie jego rzecz — trzeba się przespać. Tylko że cała ta sprawa w przedstawicielstwie Galilei wymaga wyjaśnienia. Sąd zaczął sprawować motłoch, nie mający cienia szacunku dla nieporadnego sędziego, a ów sędzia hańbiąc się tylko usiłował dogodzić rozwrzeszczanej hołocie, która pojmała człowieka bez nakazu, nawet bez podstaw po temu, gdyż nie było oskarżenia wysuniętego przez jakiegokolwiek uznane władze, wystąpiła więc w imieniu swoim własnym, czyli niczym.

Jasne, że Piłat, na pewno poinformowany o tak gorszącym podeptaniu sprawiedliwości, woli się trzymać od tego z daleka. Ale to znów nie licuje z reputacją Poncjusza Piłata, szanującego się prefekta. Żaden namiestnik nie mógłby przymknąć oczu na beczelne kpiny z prawa. Jedynie pod jakimś bardzo mocnym zakulisowym naciskiem gburowaty prokurator Judei zdecydowałby się zachować postawę bierną i dopuścić, by te zamieszki rozpętały się na dobre. Taka linia postępowania jest dla każdego przedstawiciela rzymskiej władzy drogą wiodącą do upadku.

Już świtało. Zirytowany Mencjusz wygłaszając apostrofę do wszystkich bogów, ponieważ do żadnego specjalnie nie miał nabożeństwa, wstał,

ubrał się i cicho zszedł na tyły czworokątnego dziedzińca. Minał oddzielone żywopłotem małe atrium i wszedł do ogrodu różanego, ciągnącego się prawie pod sam wysoki mur wokół zajazdu. Róże jaśniały

464

w łagodnym blasku świtania. O kilka kroków przed nim szedł powoli jakiś szczupły młody chłopak w wystrzępionej odzieży. Zamiast ustąpić mu z drogi, obszarpaniec odwrócił się i czekał, wyciągając brudną rękę po jałmużnę. Mencjusz zachichotał.

- Może byś mnie zmylił swoimi łachmanami — powie dział — cóż, kiedy wiedziałem, że jesteś tu w mieście. Co to ma znaczyć, Woldi, podobno sprzedałeś konia Antypasowi i pracujesz w jego stajniach?
- Przejdźmy za te krzewy — powiedział Woldi. — Nie trzeba, żeby ktoś nas zobaczył razem. Mam bardzo mało czasu.
- Dobrze. Mów szybko. Będę słuchał. Co to wszystko znaczy?

Woldi wyjaśnił:

- Wiedziałem od Aulusa, gdzie się zatrzymałeś, Mencjuszu.
- Spodziewałem się, że przyjdziesz.
- Wiesz, co się działo tej nocy w przedstawicielstwie?

Motłoch omal nie zburzył budynku. Antypas jest okropnie przerażony, nic zresztą dziwnego. Wybiera się za godzinę z powrotem do Tyberiady. Postarał się, żeby mały oddział

konnicy z twierdzy w Kafarnaum eskortował jego karawanę. On będzie jechał na swoim koniu, ja mam pojechać na Dariku.

- Ale chyba aż do Tyberiady z nim nie dojedziesz? — wtrącił Mencjusz z porozumiewawczym uśmiechem.
- Chyba nie. Rozbójnicy czatują w górach Samarii. Mogą rzucić się na nas. Eskorta nieduża. Ktoś może ucierpi... a ja może będę szukał schronienia... pospiesznie. Jaką podróż planujesz, Mencjusz?
- Przyjechałem tutaj, żeby doręczyć ważny list jednemu z przyjezdnych legatów. Załatwię to dziś rano. Potem jadę konno do Joppy, gdzie jest mój statek. Poczekamy tam na ciebie.
- Macie miejsce w ładowni dla Darika?
- Oczywiście... Ale myślałem, że sprzedałeś Darika tetrarsze.
- Może tetrarcha już nie będzie potrzebował konia...

465

poojutrze w nocy. — Woldi zaczął się niecierpliwić spieszył się.

- Powodzenia — rzekł Mencjusz z powagą — będziemy czekać. Statek „Vestris”. Nowa przystań numer siedem.
- Jeżeli nie przyjadę tam do południa w niedzielę, nie czekajcie dłużej, bo się nie doczekacie... Aha, a jaki jest wasz następny port?



- Gaza... i stamtąd do kraju. Popłyniesz z nami aż do Rzymu?

— To zależy. Nie wiem. Muszę już iść!

Mencjusz chwycił go za rękaw.

- Ten twój „Który niesie pochodnię”, zdaje się, został skazany. Masz jakieś wiadomości o tym?
- Aulus mówił, że powlekli Go do Sanhedrynu w nadziei, że doprowadzą do postawienia Go przed sądem Piłata. Jeśli dopną swego, proces może odbędzie się dziś rano... Widziałeś Go?
- Tak, ale Go nie słyszałem. Widziałem, jak Go biczo wali. Dziwny przypadek. Interesuje mnie ten człowiek. Chyba pójdę do Insuli, żeby zobaczyć, co się dzieje.
- Koniec z Nim, obawiam się.
- Niewątpliwie. Jeśli Piłat w ogóle zechce przyjąć tę sprawę, prawdopodobnie uraczy ich wyrokiem. Jeśli Sanhedryn będzie za tym...
- Otóż to, Sanhedryn narzuca swoją wolę.
- Nadal uważasz, że to jest „Ten, który niesie pochodnię”?
- Możliwe, ja nie wiem.
- Myślisz, że „Ten, który niesie pochodnię” dałby się skazać na śmierć?
- Niewykluczone! Sokrates dał się! Do widzenia w nadzieję... mam nadzieję.

Po zjedzonym szybko śniadaniu Mencjusz wyruszył do Insuli

zostawiając wiadomość dla Fulwiusza.

*Wychodzę wcześniej — napisał — żeby być na szczególnie ciekawym procesie w sądzie Piłata. To sprawa młodego Galilejczyka, który zaintrygował cały kraj i teraz jest skazany*

466

*za bluźnierstwo, zdradę i bogowie tylko wiedzą, co jeszcze. Muszę to zobaczyć. List cesarza jest w Twoim bagażu, ale nie chcę Cię budzić. Trzymaj go w zamknięciu. Wrócę prawdopodobnie za dwie godziny.*

Szerokie marmurowe tarasy prowadzące do wspaniałego portyku Insuli już wypełniał tłum, gdy Mencjusz tam przybył. Ludzie rozstępowali się przed nim, bez trudu więc dostał się na najwyższy taras, gdzie oskarżyciele czekali niecierpliwie z wymizerowanym więźniem, wciąż jeszcze obleczonym w szkarłatną szatę, którą ubiegłej nocy Mu włożono, by szydzić z Jego urojonego królestwa.

Najwidoczniej prokurator miał zwyczaj sprawować sąd na świeżym powietrzu przestronnego portyku, bo właśnie portyk wydawał się ośrodkiem zainteresowania. Jeszcze nie było tam nikogo. Stało tylko ogromne biurko, a za biurkiem wysoki, niemal tronowy fotel pośrodku równego rzędu foteli mniej okazałych.

W normalnych okolicznościach Mencjusz czułby się uprawniony — nawet zobowiązany — do tego, by wejść w progi Insuli i powiedzieć, kim jest. Prokonsul mógł pozdrowić prefekta po bratersku i być pewnym serdecznego przyjęcia. W myśl protokołu mieli stanowiska prawie równorzędne i Poncjusz Piłat mógłby poczytać za uchybienie etykiety to, że Nikator Mencjusz przybył na posiedzenie jego sądu nie zawiadamiając

go o tym. Ale Mencjusz uważał, że ta nadzwyczajna sprawa będzie dla prokuratora dostatecznie kłopotliwa, po cóż więc Piłatowi jeszcze jeden świadek jego kłopotów.

Przyjrzał się grupie głównych oskarżycieli zgromadzonych w pobliżu pojmanego. Była spora delegacja skrybów, ostentacyjnie zajmujących się swymi papirusami; obmierzłe plemię kołtunów i snobów, jakich wszędzie pełno w każdym kraju. Była garstka kapłanów przeważnie młodych, z których żaden nie wyróżniał się dostojnością. Najwidoczniej prawdziwi prześladowcy tylko przysłali tu zastępców. Może też przekazali swoje życzenia i żądanie na piśmie za ich pośrednictwem.

Wkrótce potem rozbrzmiał okrzyk, gdy wielkie drzwi

467

z brązu raptownie się otworzyły i na portyk wyszli dygnitarze w szatach urzędowych. Piłat na czele, za nim kilkunastu legatów, prefektów i innych osobistości. Mencjusz rozpoznał zaledwie kilku. Oto Julian, jego dawny nauczyciel taktyki w Akademii Wojskowej w Rzymie; Julian się postarzał, włosy miał białe jak śnieg, twarz pomarszczoną, ciemną jak podeszwa. I wytworny stary Menelaus, gubernator Petry; Mencjusz płynął z nim kiedyś statkiem... I któż to, jeśli nie prefekt Sergiusz z Cezarei, chociaż co, na wszystkie nieobliczalne bóstwa, Sergiusz robi w czasie Paschy w Jerozolimie? Mencjusz szukał wśród nich młodego legata, który mógłby być niesfornym synem senatora Gallia, ale żaden jakoś na to mu nie wyglądał.

Sąd zasiadł. Tłum ucichł. Piłat ponuro marszcząc brwi i wydymając usta przestudiował pismo, o którego doniosłym znaczeniu świadczyła mnogość zwisających woskowych pieczęci. Uderzył ręką w masywne

biurko i spojrzał surowo na więźnia. Wyraźnie obojętny na to, czy tłum go słyszy, czy nie słyszy, powiedział prawie półgłosem:

— Tu jest napisane, że podajesz się za króla. — Po czym dodał z subtelną ironią na rzecz swoich rzymskich gości: — Chociaż Sanhedryn — stuknął palcami w ozdobny dokument — zapewnia nas, że nie uzna żadnego króla poza Cezarem, niewątpliwie cesarz Tyberiusz, gdy dowie się o tym, będzie mile zdumiony. — Znakomici goście uśmiechnęli się, doceniając jego dowcip. — No, młodzieńcze — ciągnął — raczej nie sprawiasz wrażenia króla, pomimo swego królewskiego stroju. Masz zwyczaj zawsze chodzić w tym śmiesznym przebraniu?

Więzień nie podnosząc wzroku potrząsnął głową.

— Czy oskarżyciele chcą coś powiedzieć o tym? — za pytał Piłat.

Po chwili wahania jeden z młodych kapłanów przyznał nieśmiało:

- Tak go ubrali w przedstawicielstwie Galilei, miłościwy panie.
- A więc natychmiast zwróćcie mu jego odzież! — ryknął Piłat. — Nasz sąd, któremu prawdopodobnie zbywa na poczuciu humoru, nie jest w nastroju do błazeństw.

468

Nastąpiła pewna zwłoka, zanim znaleziono brunatną, zgrzebną szatę oskarżonego. Jego plecy, gdy je obnażono, poznaczone głębokimi cięciami bicia jeszcze krwawiły. Piłat bystrym wzrokiem może zobaczył, że więzień się wzdryga, czy też może zobaczył, że wszyscy patrzą, bo kazał Galilej-

czykowi się odwrócić.

— Jak widać — powiedział — więzień został osądzony, skazany i ukarany. Na jakiej podstawie prawnej stawiacie go przed naszym sądem? Czyżby popełnił nową zbrodnię?

Nikt nie odpowiedział, tylko w gęsto stłoczonym tłumie podniósł się złowrogi szmer. Piłat z niesmakiem, ale też i z lekkim niepokojem znów sięgnął po pismo. Mencjusz poznał z wyrazu jego twarzy, że ten dokument go trapi. Upuszczając papirus na biurko, składając ręce i pochylając się do przodu, Piłat zapytał:

- A więc jesteś królem?
- Jestem.

Po raz pierwszy Mencjusz usłyszał głos Galilejczyka. Ton Jego zadziwiał. Odpowiedź była wprost szalona, a przecież Ten, który tak odpowiedział, szaleńcem nie był. Głos miał spokojny, pełen szacunku i zarazem pewności siebie. Piłat musiał odnieść podobne wrażenie, bo przyglądał Mu się z poważnym zainteresowaniem. Tłum przestał szemrać.

- Powiedz nam o swoim królestwie — rzekł Piłat. —  
Gdzie ono jest?
- Moje Królestwo — odpowiedział Galilejczyk — nie  
jest z tego świata.

Umilkł. Piłat czekał. Panowała cisza.

- Dalej — rzekł Piłat. — Twoje królestwo nie jest  
z tego świata, powiadasz. Więc gdzie ono jest?
- Moje Królestwo nie jest z tego świata, ale jest na tym  
świecie dla każdego, kto szuka prawdy. Ci, którzy miłują

prawdę, słyszą mój głos... i rozumieją to, co mówię.

Słowa te nie miały w sobie nic z ostrej tonacji demagoga. Mencjusz doznał uczucia, że Galilejczyk mówi do niego osobiście. Może Piłat ze swojej strony odczuwał to tak samo. Rzymianie, siedzący po bokach prokuratora, pochyłili się do przodu. Nikt się nie uśmiechał.

469

— Prawda — powiedział Piłat na wpół do siebie. — Co to jest prawda?

Na to nie było odpowiedzi. Galilejczyk patrzył prosto na prokuratora, po czym odwrócił wzrok, zamknął oczy na chwilę i z przelotnym uśmiechem potrząsnął głową, jak gdyby mówiąc: Nie czas i nie miejsce, żeby wyjaśnić, co to jest prawda.

Urok, który nagle padł na tłum, już prysnął, niecierpliwe głosy podniosły się w gniewnym żądaniu wyroku. Piłat uderzeniem pięścią w biurko nakazał porządek, ale bez skutku. Wstał i zawołał, że ma być cisza w sądzie. Dopiero wtedy zgiełk chwilowo ucichł.

Oskarżony, powiedział Piłat, nie jest winny żadnych karygodnych czynów. Nie ma dowodów na to, że popełnił zbrodnię. Został surowo ukarany. Ale tłum nie chciał słuchać.

- Precz z nim! — wrzeszczeli ludzie.
- Na śmierć z nim! Ukrzyżować go! — wrzaski stały się jednogłośnym rykiem. — Ukrzyżować! Ukrzyżować!

Piłat usiadł ociężale. Ręka mu drżała, gdy skinął na jednego ze straży i rzucił rozkaz przez ramię. Wkrótce potem strażnik wrócił przynosząc srebrną miednicę z wodą. Piłat podwinął rękawy.

Załatwione — pomyślał Mencjusz. — Prokurator jest bezradny, więc

rezygnuje. Umywa ręce od tej całej sprawy. Ostatecznie Piłat jest tu nie po to, by kłócić się z Żydami, tylko żeby utrzymać pokój czy przynajmniej coś na podobieństwo pokoju. Mógłby ocalić Galilejczyka, jedynie ryzykując swoją pozycją, i tak już dosyć niepewną.

Piłat zanurzył ręce w wodzie, tłum wiwatował... Mencjusz uznał, że zobaczył dosyć, i zapragnął natychmiast wydostać się spośród tej ujadającej sfory. Zaczął sobie łokciami torować drogę zamierzając iść do zajazdu Lewiego po pismo cesarza i doręczyć je jak najszybciej legatowi z Minoi.

Na przeciwległym rogu ulicy stała samotna gromadka przerażonych ludzi przyodzianych skromnie, po wiejsku. Mencjusz domyślił się, że są to zapewne zrozpaczeni, bezradni przyjaciele skazańca z Galilei. Ruszył do nich. Przejęci swoim nieszczęściem nawet nie zauważyli, że stanął

470

przy nich. Ogromny, górujący wzrostem nad wszystkimi wieśniak ze łzami w oczach i twarzą wykrzywioną bił się pięścią po otwartej dłoni i ciężko dyszał jak wyczerpany szybkobiegacz.

Było w tej gromadce kilka płaczących kobiet, dwie z nich młodziutkie i ładne, chociaż oczy miały czerwone, pod-puchnięte.

Tłum już się wylewał z Insuli i rozchodził. Z tarasów maszerował na dół oddział rzymskich legionistów. Młody urodziwy dowódca z insygniami legata jakoś przesadnie zachowywał postawę wojskową. Urodził się nie do miecza — pomyślał Mencjusz. — Ależ nie... on jest pijany. Właśnie! I stara się, jak może, iść prosto. O kilka kroków przed legatem paradnie kroczył posiwiasty weteran niosąc sztandar. Mencjusz rozpoznał godło takie samo, jakie znajdowało się kiedyś nad wielką bramą twierdzy

Minoa. A więc to jest młody Gallio, jemu zlecono takie haniebne zadanie... Teraz szedł więzień. Legioniści prowadzili Go na powrozie ciągnąc mocno, bo maszerowali szybkimi krokami. Tłuszcza nieomal napierała na nich. Sprawa potoczyła się tak, jak chciał Sanhedryn. Wszyscy będą zadowoleni: bankierzy, właściciele ziemscy, łapownicy, no i Świątynia, która nie może sobie pozwolić na obrażanie ludzi majątnych.

Więzień wleczony koło swoich zapłakanych przyjaciół odwrócił do nich głowę ze współczuciem. Ci wieśniacy powoli, niezdecydowanie, jak gdyby nie wiedząc, co mają robić, ruszyli za tłumem. Tylko olbrzym odszedł prędko, chociaż chwiejnie w odwrotnym, zachodnim kierunku. Najwidoczniej nie chciał być przy straceniu przyjaciela. Czyż pomimo swej siły fizycznej jest tchórzem? — zastanowił się Mencjusz. — Czy może wobec skazania jego bohatera ogarnęła go panika? Nagle jakiś młodzieniec oderwał się od gromadki Galilejczyków i pobiegł za olbrzymem. Nie próbował go dogonić... po chwili zwolnił kroku i szedł za nim w pewnej odległości.

Mencjusz już nie musiał się spieszyć z doręczeniem cesarskiego pisma Marcellusowi Galliowi. Zadanie, które legat ma wykonać, z pewnością zajmie kilka godzin. Co do ukrzyżowania — nigdy takiej egzekucji nie widział i nie zamierzał oglądać.

Skierował się do pobliskich stajen przedstawicielstwa. Było tam prawie pusto. Stajenny osiodłał i wyprowadził Brutusa. Mencjusz konno pojechał do zajazdu. Normalny hałaśliwy ruch panował na ulicach. Na rojnych placach targowych kupujący jak zwykle wyklócali się głośno. Gdzieś na uboczu wbijano gwoździe w dłonie i stopy człowiekowi, którego jedynym przestępstwem było, że — jak wyznał — umiłował



prawdę. Handel na swarliwych targowiskach ze swymi niegodziwymi miarami, niegodziwą wagą, niegodziwie wydawaną resztą i niegodziwą krewkością nadal odbywał się po staremu; kupcy usiłowali sprzedawać niedobry towar, klienci usiłowali płacić niedobrą monetą, i przecież gdyby ktokolwiek z nich — czy to nabywca, czy sprzedawca — trzymał się prawdy, wkrótce by nie zostało mu nic oprócz własnych nieżyciowych zasad. Prawda jest zbytkiem, na który nie stać nikogo. Mnie też — musiał przyznać Mencjusz — nie stać na prawdę. Prokonsul powinien być dyplomata. I Poncjusza Piłata też na to nie stać. Decyzja prefekta, że będzie hołdował prawdzie, pociągnęłaby za sobą rychłe odwołanie go z prefektury. I stary Tyberiusz, gdyby zdecydował się na prawdomówność, utraciłby swoje Cesarstwo. Taki jest świat.

Ten odważny Galilejczyk — rozmyślał Mencjusz — nie dokonał niczego. Poświęcił życie nadaremnie. Świat nie jest przygotowany na to, by usłyszeć Jego głos. Nigdy w historii ludzkości nie było chwili, w której świat by Jego głosu usłuchał. I nigdy takiej chwili nie będzie. Zbyt wysokie to wymaganie. Ludzkość nie potrafi pojąć wielkości moralnej. Ten Jezus przeceniał świat. Dziś o zachodzie słońca, już martwy, zostanie pogrzebany. A w przyszłym tygodniu zapomną o Nim wszyscy z wyjątkiem małej garstki małych ludzi w dotkniętym klątwą ubóstwa małym zapadłym kraiku.

Był późny poranek. Słońce przypiekało. Estera i Mira szły mozolnie pod górę do Betanii. Milczały, wyczerpane fizycznie i psychicznie, splakane tak bardzo, że łez im zabrakło.

Mira, chociaż głęboko bolała nad tą wstrząsającą tragedią,

przecież nadal miała rodzinę, do której mogła wrócić — i miała Joela! Zdecydowanie była teraz po jego stronie, cokolwiek dziadek by na to powiedział. Natomiast Estera utraciła wszystko. Jezus pomimo całej swej nadludzkiej mocy dał się poprowadzić na śmierć. Ratował innych, ale nie zdołał uratować siebie. I nikt z przyjaciół nie przyszedł Mu z pomocą. Nawet Piotr uciekł.

Mirę za parę dni czekał powrót do domu w Galilei. Estera nie miała domu. Nie widziała też powodu, dla którego miałyby wrócić do Galilei — Hannie nie jest potrzebna. I nie bardzo wiedziała, czy chce jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczyć Piotra.

Gościła w Betanii, dowiedziałyby się więc o strasznej nocy i tragicznym poranku Jezusa dopiero po wszystkim, gdyby nie przybył skoro świt z tą wiadomością znajomy rodziny, którego przyjazd z dalekiego Aszkalonu opóźniła jakaś niefortunna przygoda w drodze.

Piskliwy głos dziadka Aszera obudził cały dom. Wcześniej wstający Aszer pierwszy usłyszał wieści. Sanhedryn dzisiaj rano przekaże nazareńskiego bluźniercę pod sąd Piłata, żeby tam był sądzony za zdradę. Stary wrzeszczał, że to będzie koniec Jezusa! I że doprawdy czas na to!

Wuj Boaz nie był tym zbyt przejęty. Słyszając, że jego podniecony ojciec wybiera się do Insuli na proces, przestrzegł go:

- Do Insuli daleko. Będzie upał i mnóstwo tam zamieszania.
- Ale nie mogę tam nie być, synu! Chcę zobaczyć, jak rozprawią się wreszcie z tym siewcą zamętu. Dzień godny

zapamiętania! Historyczna chwila!

Estera przysłuchiwała się i serce jej zamierało. Uważała, że musi tam pójść. Mira na próżno usiłowała odwieść ją od tego, aż w końcu zdecydowała się niechętnie jej towarzyszyć. Nie czekając na dziadka Aszera, wymknęły się ogrodową furtką na tyłach domu. Popędziły przez Betanię drogą w dół do budzącego się miasta — do Insuli. Wielki, hałaśliwy tłum kłębił się przy pałacowej bramie. Nie odważyły się wejść w tę gniewną cizbę, stanęły po drugiej stronie ulicy i czekały. Na rogu stali w zbitej gromadce uczniowie. Dlaczego nie są przy

473

Panu? Zmizerowany Piotr miał oczy szeroko otwarte, przygryzał dolną wargę. Już chyba na Piotrze można by było polegać, że będzie trwał przy Panu, nawet narażając życie! Estera nie wierzyła własnym oczom.

Straszne rzeczy, niewiarygodne rzeczy działy się teraz. Ktoś wrzasnął wściekle:

—Ukrzyżować go!

Motłoch natychmiast to podchwycił:

- Ukrzyżować go! Ukrzyżować go!

Wrzaski przeszły w okropne skandowanie:

- U-krzy-żo-wać! U-krzy-żo-wać! U-krzy-żo-wać!...

Potem zaległa cisza i nagle rozległ się donośny okrzyk zwycięstwa. Tłum zafalował na tarasach, jak woda kaskadami wylał się na ulicę. Oddział rzymskich żołnierzy marszowym krokiem zszedł ze schodów, ciągnąc Jezusa na powrozie. Tłum cisnął się za nimi. Oszołomieni uczniowie dołączyli wszyscy oprócz Piotra, który uciekał! Młody Tadeusz pobiegł za Piotrem.

Mira krzyknęła, że tego już nie zniesie, i zaczęła błagać Estere, żeby wróciła z nią do Betanii. Nic innego nie mogą zrobić. Ale Estera chwyciła ją za rękę i wciągnęła w pochód. Z najbliższej bocznej uliczki wyszło kilku mężczyzn, niosąc ciężką, długą na sześć kroków drewnianą belkę z przybitą w pobliżu jednego jej końca poprzeczką. Pochód zatrzymał się. Estera szarpnęła Mirę za rękę. Ten nie heblowany krzyż oparto na ramieniu Jezusa. Zachwiał się pod tym ciężarem i upadł na kolana.

Ale krzepki dowódca żołnierzy wypatrzył dużego, barczystego człowieka stojącego wśród gapiów.

- Ty, tam! — zawołał. — Podłóż ramię pod ten krzyż i pomóż mu dźwigać!
- Tego nie zrobię! — zuchwale zaprotestował wezwany. — Urodziłem się wolnym obywatelem rzymskim! I to nie moja sprawa!
- Zobaczymy! — wrzasnął młody dowódca. — Jak się nazywasz? Skąd jesteś?

Tłum już ucichł wyczekująco. Sprzeciwianie się rzymskim oficerom nie było rzeczą zwykłą.

— Nazywam się Szymon. Mieszkam w Cyrenajce, w Pół-

474

nocnej Afryce, dziesięć dni szybkiej jazdy stąd. Przyjechałem do Jerozolimy z karawaną ziół i korzeni w handlowych interesach. Protestuję, nie masz prawa zmuszać mnie do tej poniżającej usługi.

Pomimo tragizmu swej sytuacji Jezus przysłuchiwał się odważnej obronie Cyrenejczyka. Podniósł na niego wzrok życzliwy, pełen współczucia. I nagle ku zdumieniu żołnierzy zawadiacki Cyrenejczyk

podszedł i dźwignął krzyż na ramiona. Jezus uśmiechnął się z wdzięcznością, uczynił słaby wysiłek, żeby mu pomóc.

— Nie — powiedział Szymon. — Ja będę niósł. Ty masz dziś do dźwignania wystarczająco dużo.

Pochód ruszył dalej. Estera i Mira stały jeszcze przez chwilę, patrząc. Potem odwróciły się i w milczeniu poszły w swoją stronę. Zmęczone wędrówką usiadły pod starym drzewem oliwnym, nie opodal szczytu wzgórza, żeby odpocząć.

- Już się zdecydowałam, co zrobię — powiedziała Estera. — Wrócę do mojej dawnej piastunki, Jony. Ona jest w południowych górach Arabii, jeżeli jeszcze żyje. Może będę mogła coś dla niej uczynić.
- Myślisz, że... Poszłabyś sama... taki szmat drogi?
- Będzie chyba dość bezpiecznie. Byle trzymać się głównych gościńców... nocować w domach wieśniaków. — Estera głośno myślała. Nakupi jakichś niedrogich świecidełek... i będzie je sprzedawała... Tak, i postara się o łagodnego małego osiołka, żeby niósł jej tobolek. Za dnia w drodze od wsi do wsi nic złego przecież jej nie spotka.
- Potrzebne ci są pieniądze — zauważyła Mira.
- Mam pieniądze — powiedziała Estera. — Niewiele ich, ale wystarczy.

Mira przypomniała sobie, że na wrotach zagrody, którą minęły, widziała tabliczkę z napisem: „Osioł na sprzedaż”. Wstały spod drzewa i zawróciły. Gdy stanęły przed tymi wrotami, wyszedł do nich niemłody wieśniak. Estera zapytała, czy to prawda, że on ma osła na sprzedaż.

- Po co wam osioł? — zapytał podejrzliwie. — Mieszkanie gdzieś w okolicy?
- Nie — odrzekła Estera. — Chcę mieć osła, żeby niósł mój tobolek, bo muszę powędrować... daleko.

475

- Kiedy wyruszasz?
- Jutro wczesnym rankiem.
- Dobrze, bierz go... za dziesięć sykli... jeśli zabierzesz go od razu! — Wieśniak poszedł do szopy i wyprowadził białego osiołka.
- Jakie ma wady — zapytała Estera — że sprzedajesz go za dziesięć sykli?
- Nie ma żadnych wad — odpowiedział — tyle że mógłby ściągnąć na mnie kłopoty. Ciebie, skoro stąd odchodzisz, nie będą się czepiali. Ale ja parę dni temu pożyczyłem go komuś, kto jest oskarżony o zdradę; nie mam chęci być w to wplątany. I ty lepiej nie idź z nim przez miasto, gdy wyruszysz w drogę!

Estera wyciągnęła pieniądze. Dał jej uździenicę. Mały osiołek obwąchał jej dłonie.

—On nazywa się Jasper — powiedział na pożegnanie jego były właściciel.

Mencjusz uwiązał Brutusa przy słupku na stajennym podwórzu zajazdu Lewiego i poszedł do kapitana Fułwiusza, odpoczywającego w swojej

izbie. Zwięźle opowiedział o wydarzeniach tego poranka. Fulwiusz słuchał uważnie. Gdy już wysłuchał wszystkiego, urzeczony historią niebezpiecznej wyprawy młodego Araba zapytał:

- A jeśli ten Woldi znajdzie sposobność, by wykonać swe zamierzenie dziś w nocy w obozowisku? Wtedy musiałby uciec zaraz i przybyłby do Joppy o wiele wcześniej, niż zostało ustalone. Bez upoważnienia nie przyjmą go na pokład „Vestris”. Znalazłby się w trudnej sytuacji, gdyby go ścigano.
- Masz rację! — przyznał Mencjusz. — O tym nie pomyślałem. Może powinienem natychmiast pojechać do Joppy dla pewności, że nie popadnie w tarapaty.
- Ale co z pismem cesarza? — zapytał Fulwiusz. — Młody legat, Marcellus, będzie dziś zajęty przez cały prawie dzień.
- Oddaj mi wielką przysługę, kapitanie — poprosił Mencjusz. — Zostawię ci to pismo. Postaraj się, żeby legat je dostał do rąk własnych, gdy tylko wróci do Insuli.

476

Fulwiusz, aczkolwiek bez entuzjazmu, zgodził się, pro-konsul mógł więc rozpocząć podróż. Ledwie wyjechał z zatłoczonych ulic miasta, spał Brutusa i pogalopował żwawo. W wiosce Emaus, odległej od Jerozolimy o dwanaście mil na zachód, zatrzymał się przed schludnie wyglądającą gospodą, żeby coś zjeść. Tego dnia interes kwitł. W zagrodzie stało kilkanaście spętanych pięknych koni, połyskliwe karych, i na ich derkach widniało dobrze znane godło rzymskie — fasces, różgi liktorskie.

Przy długim stole pośrodku izby posilali się dziarscy żołnierze, okazali w swych czarno-szkarłatnych tunikach. Pod oknem frontowym siedział samotnie prefekt Sergiusz. Na widok Mencjusza wstał z powitalnym uśmiechem, co sprawiło, że jego ludzie zerwali się służyć.

— Na wszystkich bogów, Mencjuszu! — wykrzyknął Sergiusz. — Więc to ciebie, a nie twojego ducha zobaczyłem dziś rano na tym obrzydliwym zebraniu u Piłata... Siadaj, podadzą ci zaraz coś do jedzenia.

Leciwy właściciel gospody postawił przed nowym gościem miszkę parującą soczewicy i talerz z jęczmiennymi plackami.

- Tak, byłem tam, Sergiuszu — odrzekł poważnie Mencjusz. — To haniebna sprawa.
- Wstrząsająca! — przytaknął prefekt. — Tragiczna dla tego człowieka z Galilei, ale jeszcze gorsza dla prokuratora. Gdy ten nieszczęsny Galilejczyk już będzie nieboszczykiem wolnym od kłopotów, Piłata jeszcze czekają wielkie kłopoty. Te chytre lisy z Sanhedrynu przekonały się teraz, że on tańczy tak, jak mu zagrają.
- Dopiero teraz?
- Tak. Piłat chodził po ich linie z pewną godnością. Dopiero dzisiaj stracił równowagę. Nie mieli żadnego oskarżenia przeciwko nieszkodliwemu młodemu marzycielowi i wiedzieli o tym. I wiedzieli, że Piłat wie. Wszyscy wiedzieli. Zażądali, żeby prokurator popełnił morderstwo, a on to zrobił... Nie mogę jednak zrozumieć, Mencjuszu, skąd się wzięła taka straszna masa złości wobec tego



bezbronniego Galilejczyka... Król? Niedorzeczność! Czy można sobie wyobrazić, że ten łagodny młody filozof... czy

477

wariat... czy co tam chcesz, zamierzał dokonać przewrotu? Czy można go sobie wobrazić na koniu? Na czele dziesięciu tysięcy łuczników? — Prefekt odrzucał to wszystko machnięciami łyżki. — Sanhedryn ma za dużo rozsądku, by wierzyć, że ten wiejski kaznodzieja jest niebezpieczny.

- Lepiej nie bądź tego taki pewny — przestrzegł Mencjusz. — Tyś widział Galilejczyka dziś rano, gdy był całkowicie wyczerpany, zboczony krwią, młody idealista w drodze na stracenie. Ale rzeczywiście ten człowiek posiada nadzwyczajną moc. Tysiące wędrowały za nim poprzez prowincje. Istnieje wiele konkretnych dowodów świadczących, że uzdrawiał chorych, ślepych, kaleki.
- Phii! — mruknał prefekt. — Ja nie wierzę w te opowieści, ty też nie wierzysz! Takie rzeczy się nie zdarzają... Kto ci naopowiadał?
- Ktoś, kto byłby ostatni pod słońcem, żeby dać się nabrać na oszustwo... Przypominasz sobie tego bogatego młodego Araba, który przyjechał ze mną do Cezarei po uratowaniu mnie od śmierci z rąk rozbójników?
- Czy przypominam go sobie? — Sergiusz roześmiał się cicho. — Musiałem zamknąć tego żółtodzioba dla pewności, że nie zamorduje naszego umiłowanego tet

rarchy.

- A później go wypuściłeś, żeby z twoim błogosławieństwem pojechał, gdzie mu się żywnie podoba, i zrobił, co zechce. — Mencjusz uśmiechał się.
- No... właściwie Antypas nie powinien żyć — zaczął Sergiusz tłumaczyć się niezręcznie — ale nie mogłem dopuścić do zamachu na niego, dopóki był pod moją ochroną. Gdy wyjechał z mojego obszaru, nie obchodziło mnie, co z nim będzie... No, ale co się stało z tym twoim urodziwym zamachowcem? Czy wrócił do Arabii?

Mencjusz przytaknął i przez chwilę Sergiusz myślał, że może nastąpią dalsze informacje na ten temat, prokonsul jednak zajął się jedzeniem.

— Dosyć się dziwię, że ten twój Woldi nie próbował pomścić krzywdy, jaką Antypas wyrządził Arabii. Nie zbywało mu przecież na odwadze. Mój Feliks bardzo się do tego chłopca przywiązał.

478

- Co porabia Feliks? — zapytał Mencjusz.
- Jest w Rzymie, kształci się w Akademii Wojskowej.
- To dobrze! Zajrzę tam do niego, gdy wrócę do kraju... I mówiąc jeszcze o tym tajemniczym Galilejczyku... Nie łatwiej mi wierzyć w cuda niż tobie, Sergiuszu... c;,y też mojemu cynicznemu młodemu Arabowi, który świata nie widzi poza pięknymi końmi, ostrą stalą i sprawnością fizyczną. Nie ulega jednak wątpliwości, że Jezus dokonywaj

niezwykłych czynów, przechodzących ludzkie zrozumieni<sub>e</sub>

- Dobrze! Dobrze! — burknął prefekt niecierpliwi<sub>le</sub>

— Niech ci będzie! Gwoli dyskusji, powiedzmy, że <sub>te</sub> opowieści o cudach to prawda. Zgódźmy się, że <sub>Q<sub>a</sub></sub>—  
lilejczyk dawał wzrok niewidomym, uszy głuchym, zdt<sub>o</sub>—  
we nogi kalekom. I że oczyszczał z trądu... ozywaj  
umarłych! Co z tego wynika? Dlaczego nie próbo<sup>^</sup>j  
pomóc dzisiaj sobie samemu? Albo miał nadludzką mr<sup>></sup>c,  
albo nie miał! Jeśli miał, czyż nie mógł jej użyć? Zami<sub>as</sub> t  
stać bezradny, uwiązany jak zwierzę w drodze na rz<sub>e</sub>ź,  
nie mógł sprawić, żeby Piłat zeszywniał w ataku ka-  
talepsji?

— Właśnie! — Mencjusz mocno uderzył pięścią w stół.

— Tym bardziej to zagadkowe! Powiedzmy, że On nie był  
zwykłym człowiekiem, że posiadał rzeczywiście moc nad  
ludzką i miał zaprowadzić ład na świecie. Założmy, że  
dokonywał cudów uzdrawiania wyłącznie po to, by przycią  
gać słuchaczy, dać rzeszom konkretną podstawę do wiary,  
że jest głosem Boskim! Chciał od ludzi tylko tego, by  
okazywali sobie nawzajem dobroć. To, powiedział, uleczy  
świat ze schorzeń. — Mencjusz umilkł na chwilę.

- No... mów! — ponaglił go Sergiusz. — Jeszcze nie  
odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Zaraz ci odpowiem. Może Jezus, „Ten, który niósł  
pochodnię”, ostatecznie pojął, że świat nie jest przygotowa

ny na przyjęcie światła, że ludzie są zbyt samolubni i chciwi, żeby dało się z nimi przeprowadzić taki eksperyment. Wszyscy chcą pokoju i dobrobytu, nikt jednak nie stara się na to zasłużyć. Najbliżsi sąsiedzi kłócą się i biją; krewni się nienawidzą, czciciele różnych bogów gardzą nawzajem swoją wiarą.

479

Jezus więc rozejrzał się wokoło i stwierdził, że każda z instytucji na świecie jest wroga przedstawianemu przez Niego Królestwu prawdy, dobrej woli i pokoju. Żaden władca nie chce pokoju, Sergiuszu! Kto z nas miałby stanowisko, gdyby powszechnie zaczęto przejawiać dobrą wolę? Możesz sobie wyobrazić cesarza podejmującego kroki pokojowe?... Fala powszechnej przyzwoitości rozbiłaby Cesarstwo!... Co by się stało ze świątyniami, uświęconymi przybytkami i z samymi bogami, gdyby ludzkość nagle się zdecydowała być uczciwa i miłosierna? To byłaby przegrana sprawa!... Tak więc — zakończył Mencjusz — ten zwiastun, pojawiwszy, że Jego posłannictwo jest beznadziejne, zrezygnował.

- Moim zdaniem, zbyt fantastyczna teoria — zauważył Sergiusz.
- Lepsza taka niż żadna — powiedział Mencjusz.
- Pozwól, że cię o coś zapytam. — Z chytrym uśmiechem prefekt przyjrzał się prokonsulowi. — Czy ty sam stosowałeś tę mazgajską i niemądrą zasadę klepania każdego po plecach... niewolników i wszystkich... i okazywania im tylko dobroci?
- Oczywiście, że nie! — oświadczył Mencjusz. — Nie

stać by mnie było na to. Wkrótce znalazłbym się na ulicy w łachmanach i zebrałbym o kawałek chleba.

- A więc... nauki Galilejczyka to słowa na wiatr?
- Chyba. I właśnie dlatego On zrezygnował. Zastana wiałeś się, dlaczego nie obronił się dzisiaj rano. Moim zdaniem, zrozumiał, że to się na nic nie zda. Świat nie jest przygotowany.
- Myślisz, Mencjuszu, że kiedykolwiek będzie? — Prefekt już wstawał od stołu.
- Szczerze mówiąc, nie! Wydawałoby się, że ów ktoś, kto obmyślił świat, mógłby mieć w zapasie dla ludzkości coś lepszego niż głód, niewolnictwo i rozlew krwi, ale...
- Ale... na razie — Sergiusz uśmiechnął się — będziesz dalej zwoził miedź do naszych portów inwazyjnych, żebyś my mogli zmienić życie w piekło tym biednym Żydom... Powoli tracisz rozsądek, Mencjuszu, za dużo myślisz. Trzeba patrzeć realnie. Świat jest widowiskiem dość ponurym, niestety to jedyny świat, jaki mamy... Pójdziemy już?

480

Na czele żołnierzy prefekta poszli do zagrody, dosiedli koni. Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

— Nie mówiłeś mi, co cię sprowadziło do Jerozolimy — w końcu zaczął rozmowę Sergiusz.

Mencjusz powiedział mu pokrótce o piśmie cesarza do Marcellusa, które zostawił kapitanowi Fulwiuszowi do doręczenia.

— Jak przypuszczasz, czego to pismo dotyczy? — zapytał Sergiusz.

Mencjusz nie miał pojęcia, ale zakładał, że może to być odwołanie do Rzymu.

- Bo chyba nie rozkaz, żeby Marcelim się powiesił — dodał.
- Stary jest pomyłony, nawet taki rozkaz mógłby wydać — powiedział Sergiusz. — Plugawe zadanie Piłat dał temu chłopcu. Ale wątpię, czy nasz legat osobiście bardzo się utrudził. Już te jego nieczułe łotry z twierdzy Minoa wiedzą, co i jak... Był pijany. Miałem zostać na uczenie dziś wieczorem, ale wymówiłem się. Myślę, że Piłat nie będzie dobrze się bawił. Z takim kamieniem na sercu.

Dojeżdżali do rozstaju: gościniec w prawo biegł do Cezarei, gościniec prosto przed nimi — do Joppy.

- Pozdrów ode mnie mojego syna — powiedział Sergiusz.
- Pozdrowię... z przyjemnością — powiedział Mencjusz.
- Kiedy spodziewasz się wrócić do kraju?
- Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, za siedem tygodni.
- No, wszystkiego najlepszego.

Unieśli się w strzemionach, wymienili ceremonialny salut pamiętając, że obserwują ich żołnierze. Potem spięli konie ostrogami i odległość między nimi zaczęła szybko się powiększać. Mencjusz był rad, że wyjechał z Jerozolimy. Po tym, co widział, miał nadzieję, że już nigdy nie zdarzy mu się zawitać do Świętego Miasta. Za siedem tygodni — myślał — będę

w domu z rodziną. Przeraziłby się, gdyby mu powiedziano, że za siedem tygodni przyjedzie do Jerozolimy znowu, i to w sprawie tak tajemniczej, że nawet sam nie będzie wiedział, kto go tam wzywa i w jakim celu.

### 3' – Wielki Rybak

Przez całe przedpołudnie Tadeusz szedł za Piotrem, nie próbując go dogonić, ale nie spuszczać go z oczu. W charakterze Piotra nie leżała taka ucieczka. Może rozpacz nad losem Pana zmała mu rozum.

Cokolwiek to jest, Piotr cierpi, potrzebny mu ktoś, kto by się nim zajmował. Nic już więcej nie można zrobić dla Jezusa.

Piotr szedł prędko długimi, chwiejnymi krokami. Od Bramy Damasceńskiej zaczął biec. Chwilami rzucał się w zarośla przy gościńcu, głowę wtulał w ręce, potem podnosił się ze znużeniem i spieszył dalej.

W wiosce Lebonah Tadeusz kupił pół tuzina małych placków pszennych i parę wędzonych okoni. Gdy wyszedł znów na gościniec, Piotra nie było widać. Zobaczył go dopiero po przebyciu mili. Piotr leżał twarzą do ziemi pod cyprysem. Tadeusz podszedł cicho i usiadł nie opodal.

Po długim czasie Wielki Rybak podniósł głowę. Oczy miał nabiegłe krwią, zapuchnięte. Tadeusz milcząc otworzył torbę i zaofiarował mu jedzenie, ale on potrząsnął głową.

- Nie powinienesz być iść za mną, Tadeuszu — powie  
dział ochryple. — Nie dotykaj mnie! Jestem nieczysty!
- To znaczy... jesteś... trędowaty? — wyjąkał Tadeusz.
- Och, chłopcze, gdyby tylko to!

—Co się stało? — zapytał Tadeusz błagalnie.

Piotr płakał.

—Wyparłem się mojego Pana! — wykrzyknął. — Pytali mnie, czy jestem Jego przyjacielem, a ja powiedziałem: Nie!... Idź z powrotem, Tadeuszu! Przyłącz się do tamtych! Ja się nie nadaję na towarzysza dla ciebie! Wracaj do nich, powiadam! — Wstał i chwiejnie ruszył w dalszą drogę do Galilei.

Tadeusz oszołomiony, ze smutkiem w sercu, szedł dalej za nim.

Zaraz po południu do Insuli przybył Józef z Arymatei, który chciał zobaczyć się z Piłatem. Powiedziano mu, że teraz to niemożliwe, bo prokurator odpoczywa. Józef jednak upierał się, że sprawa jest pilna. Po dość długim zwlekaniu

482

wprowadzono go do komnaty narad, gdzie Piłat siedział przy stole posepny, z oczami podpuchniętymi.

—O co chodzi, Józefie? — burknął prokurator.

— Potrzebne mi jest zezwolenie, czcigodny panie, na pochowanie Galilejczyka... gdy umrze.

—To twój znajomy?

Józef przytaknął powoli.

- Daleki, czcigodny panie. Nie byłem Jego popiecznikiem. Nie miałem na to odwagi. Ale... chcę Go pochować... w moim grobowcu.
- Może uważasz, że Galilejczyk został skazany nie



sprawiedliwie? — zachrypiał gniewnie Piłat.

- Nie przyszedłem tu, by krytykować — mruknął Józef.
- Ale uważasz, że ten człowiek nie był winny — powie dział Piłat. Po chwili dodał impulsywnie: — Ja tak samo, Józefie... cóż jednak mogłem zrobić?

- Czy wolno mi zabrać Jego zwłoki, czcigodny panie?  
Prokurator wziął stylus i napisał zwięzłe upoważnienie.
- Dasz to legatowi z Minoi.

Drzwi otworzyły się cicho. Dowódca straży pałacowej podszedł do stołu.

—Miłościwy panie — zameldował— Sanhedryn przysłał delegację.

—Dobrze — mruknął Piłat ze znużeniem — wprowadzić.

Rzecznik, kapłan jeszcze nie stary, uklonił się głęboko i powiedział:

—Tabliczka, miłościwy panie, o którą prosiliśmy, może wprowadzać w błąd.

- Jaka tabliczka? — zapytał Piłat porywczo.
- Ta, którą przybiliśmy na krzyżu, miłościwy panie.  
Napisałeś: „To jest król Żydów”. Zostało to źle zrozumiane.  
Chcielibyśmy, żebyś napisał: „Twierdził, że jest królem

Sami sobie piszcie wasze tabliczki! — wrzasnął Piłat. — Ja napisałem dosyć. Zupełnie dosyć! I nie chcę już o tym słyszeć! — rozgniewany walnął pięściami w stół. — Ani słowa więcej, powtarzam!

Delegaci ukłonili się. Józef wstał, żeby odejść.

483

— Żegnaj, czcigodny panie — powiedział. — I dziękuję! Piłat, ponuro myśląc o czymś innym, skinął głową, ale nie odpowiedział.

## 23

Prawie zaraz po rozejściu się wstrząsającej wiadomości, że Jezus został ukrzyżowany, zaczęła nagle krążyć niewiarygodna opowieść o tym, że On znowu żyje.

W prowincjach nie wierzono własnym uszom. Wszędzie tam, gdzie On przedtem przemawiał i uzdrawiał chorych, wszelka praca ustała. Ludzie o niczym innym nie rozmawiali, nic innego nie miało znaczenia.

Ani też owo podniecenie nie ograniczało się do ziemi żydowskiej. Tajemniczy Galilejczyk od tak dawna był powszechnym tematem rozmów, że wieści o Nim przeniknęły do wszystkich sąsiednich krajów. Jego słowa i działalność roztrząsano nie tylko na obszarach od Damaszku do Petry i od brzegu Jordanu aż do morza, ale również w dalekiej Kapadocji i w jeszcze dalszej Etiopii.

Wbrew przypuszczeniu prokonsula Mencjusza niezwykle dzieje Cieśli czyniącego cuda śledzili nie tylko wieśniacy, winiarze, rybacy i właściciele winnic w głębi kraju Izraela. Mencjusz miał wkrótce stwierdzić, że niewolnicy, którzy pracowali przy ciężkich wiosłach na jego statkach towarowych, słyszeli już o Jezusie i o zapowiedzi Królestwa, gdzie wszyscy ludzie dobrej woli będą wolni.

Oszłamiająca wiadomość, że Jezus umarł umęczony i

zmarłychwstał, rozeszła się błyskawicznie. Zazwyczaj o bieżących wydarzeniach donosiły karawany w drodze z portów w głąb lądu i z powrotem. Wiadomo było, że większość tych nowin to plotki, na których można polegać akurat tak jak na opowieściach wędrownych pieśniarzy. Ale wieść o zmarłychwstaniu Jezusa wyprzedziła karawany. Po tygodniu Paschy na gościńcach zaroilo się od tłumów

484

wracających z Jerozolimy i każdy wędrowiec miał mnóstwo do opowiadania.

Najpierw zjawili się pogańscy kupcy z dalekich okolic, którzy bez wyrzutów sumienia rozpoczęli podróż w szabat. Mówili o ukrzyżowaniu. Potem napłynęli żydowscy pielgrzymi, którzy wyruszyli w drogę powrotną o świcie w niedzielę. Ci ze smutkiem potwierdzali doniesienia pogan. A potem późnym już rankiem zaczęła krążyć wieść o zmarłychwstaniu, rozchodząc się coraz dalej i dalej, z godziny na godzinę, z dnia na dzień wśród pieszych i jeźdźców, ludzi na wielbłądach i w wózkach zaprzężonych w osły, i w lektykach, na barkach i statkach, aż wszyscy w promieniu tysiąca mil w każdą stronę wiedzieli, że ukrzyżowany cudotwórca galilejski powrócił do życia.

Po raz pierwszy za pamięci tych ludzi dobra nowina była nowiną wstrząsającą, po raz pierwszy dobra nowina była rzeczywiście czymś zupełnie nowym. Nikt nie był pewny życia, ale śmierć każdy uważał za pewnik. Człowiek umiera nieodwracalnie. Nikt nie stanowi wyjątku; nawet żaden z Cezarów, podobno boskich. Teraz się okazało, że ubogi Cieśla pokonał śmierć. A więc ma większą moc niż cesarz. Nie wszyscy wierzyli w tę historię, ale wszyscy o tym mówili. Nawet ci, którzy

powątpiewająco potrząsali głowami, żalowali, że nie mogą w to wierzyć; mieli nadzieję, że to jest prawda.

Wersje podawano różne. Jak wynikało z najprostszej, kilka kobiet, żarliwych wyznawczyń Jezusa, poszło w niedzielę o brzasku do pięknego Ogrodu Grobów, żeby namaścić Jego pokaleczone ciało mirrą. Zstały grobowiec otwarty i pusty. A potem zobaczyły Go przechadzającego się wśród kwiatów. Po chwili, gdy w uniesieniu pojęły, że to rzeczywiście On, powiedział im, żeby zawiadomiły Jego uczniów... i Piotra.

Prokonsul Mencjusz niecierpliwie spacerował po przystani, gdy w sobotę o zmierzchu przyjechał tam kapitan Fulwiusz w towarzystwie legata z twierdzy Minoa, jego niewolnika oraz kilku legionistów.

— Zabieramy legata Marcellusa Gallia ze sobą do Rzymu

485

— wyjaśnił Fulwiusz zsiadając z konia. Po cichu dodał: — Nie spodziewaj się zbyt wiele po tym chłopcu. On jest zupełnie wytracony z równowagi.

Wysilek, by dokonać prezentacji, zawiódł. Młody Gallio, blady, mizerny i oszołomiony, sprawiał wrażenie człowieka zupełnie bez ogłady.

—Legat źle się czuje — uratował sytuację Fulwiusz —  
zaprowadzę go do jego kwatery.

Skinął na niewolnika, który zebrał ich bagaże i poszedł ze swym na wpół przytomnym panem. Mencjusz pomyślał, że nigdy nie widział doskonalszego okazu męskiej tężyzny niż ten urodziwy Grek. Wkrótce potem Fulwiusz ukazał się na pokładzie. Wziął prokonsula na stronę.

• Co za dzień! — Otarł pot z czoła. — Mogłem wczoraj

doreczyć pismo cesarza dopiero wieczorem na uczcie Piłata dla przyjezdnych dowódców.

- Marcellus je przeczytał i... stracił równowagę? — zapytał Mencjusz.
- Już przedtem nie był zrównoważony. Był ogłupiały, ledwie się trzymał na nogach, zgoła nie przejął się odwołaniem do Rzymu. Zapytał, kiedy odpływamy i czy mogę go zabrać. — Fulwiusz potrząsnął głową. — Nie pojmuję. Próbowałem rozmawiać z nim dzisiaj. Ale tylko powtarzał swoje pytanie: „Byłeś tam?”
- Może widok ukrzyżowania przerastał jego siły — podsunął Mencjusz.
- Jest przyzwyczajony do widoku okrucieństwa.
- Ten niewolnik wydaje się inteligentny. Myślisz, że wie, co doskwiera legatowi?
- Możliwe. Martwi się o niego. Powiedziałem Grekowi, że nie płyniemy prosto do Rzymu, a on na to: „Pośpiechu nie ma”.
- Prawdopodobnie chce, żeby legat zdążył odzyskać zmysły i przytomnie stanąć przed cesarzem — domyślił się Mencjusz.

Fulwiusz zachichotał.

—Staremu Tyberiuszowi może bardziej by przypadł do serca, gdyby był trochę zbikowany... Skoro już o tym mowa, nie miałeś wiadomości od swojego Araba?

- Chyba jeszcze nie czas.
- Zapowiada się ciekawa podróż — zauważył Fulwiusz — z pomyłką w jednej kabinie i zbiegiem w drugiej.

W niedzielę dochodziło południe, gdy Woldi cwałem wjechał na przystań, przy której stała „Vestris”. Gdzieś po drodze zrzucił z siebie łańchmany i był teraz w wytwornym stroju do konnej jazdy. Humor miał dobry.

— Tak jak się spodziewałem — wyjaśnił. — O zmierzchu na naszą karawanę napadli z zasadzki rozbójnicy. Musieliśmy stoczyć ciężką walkę, ale odpędziliśmy ich. Utraciliśmy kilku ludzi, wśród nich samego tetrarchę. Ktoś go zakłuł jego własnym sztyletem.

- Może powinieneś już wejść na pokład — doradził Mencjusz rzeczowo.
- To dobra myśl — zgodził się Fulwiusz.

Wkrótce potem statek wypłynął z portu. Darik i Brutus w dwóch sąsiadujących ze sobą przegrodach pocierały się chrapami. Flotyła ruszyła w ślad za „Vestris”.

Woldi przyłączył się do swych rzymskich przyjaciół na pokładzie. Jeden z niewolników podał im obiad. Mencjusz uśmiechnął się szelmowsko i zauważył:

— Ukradłeś Antypasowi konia.

- Wcale nie! — zaprotestował Woldi. — Do kieszeni tetrarchy wepchnąłem trzos z trzystu syklami.

- Tak więc — rzekł Fulwiusz uroczyście — rachunki pomiędzy tobą i tetrarchą zostały wyrównane.
- Właśnie! — oświadczył Woldi — i wyrównane zostały rachunki pomiędzy tetrarchą i Arabią.

•

Była środa. W ten poranek Wielki Rybak już od godziny na klęczkach pracowicie uszczelniał spojenia pokładu „A-bigail”. Stwierdził, że ta jednostajna praca rąk, jeśli oddaje się jej pilnie, przynosi chwilową ulgę jego udręczonemu sercu. Również i to, że wykonywał ją klęcząc, jakoś pomagało.

Tadeusz popłynął na brzeg po zapasy żywności. Ten

487

wierny młodzik prawie nie odstępował Szymona przez cały czas, odkąd wyruszyli tak raptownie z Jerozolimy aż do ich przybycia na „Abigail” w niedzielę wieczorem. Gdy pędzili przez Kafarnaum, Tadeusz błagał Wielkiego Rybaka, żeby poszedł do domu, zjadł porządnie i dobrze wypoczął, ale Szymon nie mógłby spojrzeć Hannie w oczy. Nie, lepiej zaczekać, aż Andrzej wróci. Andrzej niech jej powie.

- Ja będę spał na „Abigail” — powiedział. — Ty jednak idź dziś na noc do rodziców, Tadeuszu. Należy im się to. Odwieszysz mnie łódką i pójdiesz do domu.
- Ale wtedy ty zostaniesz bez łódki, panie.
- Tak właśnie chcę — oświadczył Szymon ponuro. — Łódka uwiązana przy „Abigail” oznaczałaby, że ktoś jest

na pokładzie. A ja chcę być sam.

Tadeusz zaprotestował. Szymon jednak się uparł. Gdy mała łódka odpłynęła w gęstniejący mrok, „Abigail”, zamiast być miłym dla Szymona schronieniem, wydała mu się miejscem zimnym i obcym. Od dawna nie używane derki były wilgotne, zatechłe. Szymon zaczerpnął wody do wiadra i obmył nogi z kurzu, daremnie udając przed sobą, że w swojskim otoczeniu wraca do dawnych nawyków. Rzucił się na koję z nadzieją, że wyczerpany szybko uśnie. Zapadł w drzemkę, ale wkrótce obudził się w popłochu i okropność tego, co się wydarzyło, zaczęła go dusić, aż cały był spocony. Cisza panowała grobowa. Jakże nieopatrznie odprawił Tadeusza.

Długa nieszczęsna noc wreszcie się skończyła, różowy brzask nastał raptownie, rozciągając się zza gór na wschodzie, zapowiadając piękny, słoneczny dzień. Ta chwila zawsze wzruszała Szymona głęboko, ale teraz serce w nim nie drgnęło radością, gdy patrzył na wspaniały wschód słońca. Nagle przypomniały mu się słowa Pana: „Ty jesteś solą ziemi, ale jeśli ta sól straci smak...” Otóż to właśnie. Odtąd już zawsze aż do śmierci moje życie — pomyślał — będzie bez smaku.

Ku swej bezgranicznej uldze zobaczył podpływającą łódkę. Tadeusz dobił do dziobu „Abigail”. Szymon opuścił kosz po przywiezione przez chłopca zapasy: chleb, wędzone okonie i figi suszone w słońcu. Wychylając się daleko

488

za burtę chwycił za jeden koniec pryczę, którą Tadeusz również przywiózł z domu, i wciągnął na pokład <sup>ad</sup> Wielki toból pościeli. Pocieszało go to, że już nie będzie sam.



Przez cały dzień pracowali obok siebie na zaniedbanym od dawna pokładzie. Od czasu do czasu Tadeusz odważał się coś powiedzieć, ale rozmów nie było. Tylko <sup>raz</sup> zwrócił się do swego milczącego zwierzchnika „Pio<sup>trze</sup> > Wielki Rybak odezwał się:

— Na imię mi Szymon. Proszę, nie zapominaj •

We wtorek Tadeusz popłynął na brzeg, żeby przywieźć jeden z namiotów, których Estera używała zeszłego lata-, . wypadek deszczu w nocy chciał mieć schronienie Wrócił z namiotem, podniecony, z oczami błyszczącymi-

— Mówią we wsi — oznajmił — że była napaść na karawanę tetrarchy... zabili go.

Ale nawet słysząc tę wstrząsającą wiadomość Szymon się nie ożywił. Siedział przez chwilę w milczeniu, Po <sup>czy</sup><sup>m</sup> zauważył:

— Więc pałac zamkną. — I jeszcze po chwili dodał  
Już nie będzie im potrzeba ryb.

Teraz była środa. Tadeusz znów popłynął <sup>na</sup> brzeg w jakiejś sprawie. Szymon, nienawykły do długiego pozostawania na klęczkach, miał kolana obolałe, toteż po godzinie tej porannej pracy wstał znużony i przeszedł się po pokładzie, dumając, dlaczego Tadeusz nie wraca. Nagle zobaczył

Trzy płaskodenne łódki. Pływały szybko, wiosła iskrzyły <sup>si?</sup> w <sup>ston</sup>-cu. Mrużąc oczy i ocieniając je stulonymi dłońmi? rozpoznał tych ludzi. Tadeusz płynął jedną łódką z Andrzej<sup>em</sup>- Jakub i Jan zajmowali drugą. Dość daleko za nimi zbliżała <sup>się</sup> trzecia łódka, w której siedzieli Filip, Tomasz i stary Ba<sup>rtłomiej</sup>

Serce podeszło Szymonowi do gardła. Jakże <sup>on</sup> zdoła spojrzeć im w oczy? Byli już dostatecznie blisko i mógłwidzieć ich ożywienie.

Wydawali się uradowani. <sup>^o</sup> co mogło się stać? Rzucił linę do pierwszej łódki i Jan , . wbiegł <sup>s1^</sup> na górę, przełożył nogę przez nadburcie i obja\* uściskał oszołomionego Szymona.

— Ty nie słyszałeś! — wykrzyknął nie posi<sup>a</sup>d<sup>a</sup>)<sup>c</sup> się z radości. — Ty nie wiesz! Posłuchaj! Jezus żyJe- Mówię ci... On żyje znowu!

489

Jakub chwycił Szymona za ramię.

— Widzieliśmy Go, Piotrze! Przyszedł do nas... w nie dzielną noc... do domu Ben-Josefa!

Wszyscy już byli na pokładzie — wszyscy oprócz Bartłomieja, którego Tadeusz jeszcze wciągał na linie. Szymon stał jak wryty, wargi mu drgały, policzki miał mokre od łez.

- Kazał nam wrócić tu czym prędzej — mówił Filip. — Bardzo chciał, żebyś ty wiedział.
- Tak jest — wtrącił Jan. — Powiedział: „Idźcie i powiedzcie Piotrowi”.
- Czy na pewno powiedział: „Piotrowi”? — zapytał Wielki Rybak ochryple.
- A jakże! Tak powiedział! — potwierdził Bartłomiej. — „Idźcie... prędko... i powiedzcie Piotrowi!”
- Gdzie On jest teraz? — zapytał błagalnie Piotr. — Muszę pójść do Niego.
- Mamy czekać tutaj — rzekł Andrzej. — On przybędzie do nas.

Powoli przeszli na rufę i usiedli zwartym kręgiem wokół Piotra. Jeśli

któryś pamiętał o jego niewytłumaczalnym odstępstwie i ucieczce w chwili wielkiej tragedii, to nie okazywał tego. Zresztą zanadto się radowali, żeby pamiętać

0     czykolwiek poza zwycięstwem Pana. Wszyscy mówili naraz. Piotr, rozbłysłymi oczami wodząc od jednego do drugiego, usiłował nadażyć za ich urywanym opowiadaniem.

W końcu zaczął wypytywać.

- To był Jezus? Ten sam, z krwi i kości?
- Bez wątpienia ten sam. Trochę bledszy może. Miał na czole głębokie czarne ślady od cierni i purpurowe rany od gwoździ na rękach i stopach, i ranę od miecza w boku, ale był prawdziwy.
- Więc nie duch — zakonkludował Piotr. — On z krwi

1     kości.

Na to wszyscy raptownie umilkli. Stary Bartłomiej odchrząknął.

— Jest mała różnica, Piotrze — przyznał. — Prawdą jest, jak Tomasz powiada, że On się ukazał w swoim prawdziwym cieie.

490

—I w dodatku zjadł trochę ryby i trochę miodu z plastra — wtrącił Filip.

—Tego nie wiemy na pewno — sprostował Jakub. — Palił się jeden mały kaganek, bo myśmy się ukrywali.

- Ale wziął ten talerz — upierał się Filip. — Mógł zjeść.

Piotr zwrócił się do najstarszego:

- Co ty zacząłeś mówić, Bartłomieju?

Wszyscy słuchali z oczami spuszczoneymi, jak gdyby wiedzieli, co nastąpi.

— Tylko to, Piotrze — odrzekł Bartłomiej — że była mała różnica. On wszedł do tej izby nie otwierając drzwi.

Oczy Piotrowi się rozszerzyły. Tamci nie podnosili wzroku.

- To znaczy... wszedł przez zamknięte drzwi?
- Chyba tak — Bartłomiej zająknął się. — Drzwi się nie otworzyły, a nagle... On tam stał.
- A gdy odchodził od was — zapytał Piotr — czy drzwi otworzył? I czy wiecie, dokąd poszedł?
- To było też tajemnicze — odrzekł Bartłomiej. — Stał tam wśród nas, jak mówię, rozmawiał z nami... w izbie tak, jak Jakub ci powiedział, ten jedyny kaganek dawał niewiele światła. I nagle On zniknął.
- Nie wyszedł drzwiami?
- Nawet nie podchodził do drzwi! Nie ruszał się... Po prostu nagle już Go nie było!

Zapanowała cisza, którą przerwał Jan:

- Podobno jeszcze tego wieczora dwaj ludzie Go spotkali na gościńcu niedaleko Emaus. Dwaj niezłomni wyznawcy Pana; nieraz Go widywali i słyszeli, jak przemawiał. Właśnie omawiali wieść o zmartwychwstaniu, gdy podszedł i przyłączył się do rozmowy. Zaprosili Go na wieczerzę w gospodzie w Emaus. Siedział z nimi przez jakiś czas przy stole...
- Ale nic nie jadł — wtrącił Jakub.

- I zniknął! — zakończył Jan.
- Dziwne było to, że rozmawiał z tymi dwoma w Emaus  
mniej więcej wtedy, gdy ukazał się nam w domu Ben-Josefa
- dorzucił Tomasz.
- A z Emaus do Jerozolimy dobre trzy godziny drogi
- powiedział Filip.

491

Znowu zamilkli na długą chwilę. Piotr w zamyśleniu gładził się po policzku. Andrzej zauważył, że jego czarna broda jest teraz szpakowata, a pasmo włosów nad czołem srebrzyste — Piotr posiwiiał ze zgryzoty.

Tadeusz podchwycił wzrok Jana i skinął na niego. Obaj cicho wstali i poszli do kambuza, żeby przygotować dla wszystkich posiłek.

- Z tego wynika, Piotrze — podsumował rzeczowo Bartłomiej — że nasz Pan pokonał śmierć i może teraz chodzić wszędzie, gdzie zechce i kiedy zechce! Nie jest zależny od odległości... ani od godzin!
- Mógłby nawet być tutaj... na „Abigail”... teraz, w tej chwili! — Andrzej zadumał się.

Piotr obejrzał się z lękiem.

- Ciebie to nie przeraża, Andrzeju? — zapytał, patrząc bratu w oczy.
- Nie — odpowiedział Andrzej. — Ale... odtąd... do końca życia... będę bardziej uważał... na wszystko, co mówię i co czynię... Bo nigdy nie wiadomo, kiedy On może stanąć przy nas.

Nazajutrz wczesnym rankiem — a był to dwudziesty dzień miesiąca Nisan — znów zebrali się wszyscy na „Abigail”. Było mnóstwo roboty z doprowadzeniem tej zaniedbanej łodzi, jak również jej bliźniaczki „Sary”, do stanu używalności, a przecież nie bardzo się do tego przykładali. Pracowali niecierpliwie, z roztargnieniem, przejęci tylko możliwością odwiedzin Pana.

- Myślicie, że On przyjdzie dzisiaj? — pytał od czasu do czasu ten i ów, chociaż wiedział, że mu nie odpowiedzą. Napięcie oczekiwania zaczynało dawać się we znaki. Pod wieczór Andrzej, zwykle daleki od proponowania czegokolwiek, zawołał do brata, który od godziny siedział na ławce sternika, wpatrując się w rozmigotaną wodę.
- Popłynemy jutro na połów! Myślę, że On wolałby zastać nas przy pracy... gdy przyjdzie.

Ta propozycja sprawiła wszystkim ulgę. Zajęli się przygotowaniem sieci i sprzętu żeglarskiego. Napięcie zelżało.

492

W dodatku Jan wpadł do wody, bo zerwała się pod nim wystrzępiona lina na końcu bomu głównego masztu. Wyciągnęli go ociekającego i śmieli się wszyscy. Przyjemnie było nabrać znów chęci do śmiechu, tym bardziej do śmiechu z Jana, który zwykle swą zręcznością budził w nich dobroduszną zawiść.

Nazajutrz zarzucili sieci w pobliżu zatoczki przy północnym brzegu, i to dosyć owocnie; wieczorem wrócili na miejsce zakotwiczenia, napełnili świeżymi rybami wielką skrzynię na pół zanurzoną w wodzie i koszyki, z którymi wyruszyli do swoich domów. Piotr zamierzał też wrócić do

Betsaidy, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Wszyscy inni odpłynęli, nawet Tadeusza wyprawił z rybami dla rodziców. O zmierzchu nie było już żadnej łódki, został sam, ale serce miał spokojne. I spał tej nocy dobrze.

W szarosinym pierwszym przeblysku dnia Wielki Rybak wstał i wyszedł na dziób łodzi. Tak wcześnie jeszcze nie mógł rozpoznać dobrze znanych punktów orientacyjnych. Podobnie noc ustępowała wtedy, gdy stał patrząc na brzeg jeziora w mgiełce przedświtu i usłyszał głos wołający: „Szymonie!”. Z pośpiechem, z sercem łomoczącym wgramolił się wtedy do małej łódki i zaczął co prędzej młócić jezioro wiosłami. I wtedy to otrzymał swoje zadanie — rybaka, który ma „łowić ludzi”.

Niebo trochę pojaśniało, mgła się przerzedzała. Z wolna stawały się widoczne zarysy przystani i chat. Zmrużonymi oczami Wielki Rybak wodził po linii brzegu. Wysoki, cienki słup dymu unosił się z niedużego ogniska nad samą wodą. Przy ognisku ogrzewając sobie ręce stał Jezus. Podniósł rękę i zawołał:

— Szymonie!

W pół godziny później zaczęli po dwóch, po trzech przybywać uczniowie do codziennej pracy. Przybiegli wszyscy tam, gdzie Jezus i Piotr siedzieli obok siebie przy ognisku, i Pan witał każdego serdecznym uśmiechem. Wielki Rybak miał głowę mokrą i był obnażony do pasa; jego koszula schła na piasku. Oczy miał czerwone i spuchnięte od płaczu, ale dziwnie świetliste. Wiedzieli, dlaczego: skruszony płakał nad swoją słabością, która została mu wybaczona. Piotr znów jest towarzyszem Pana.

1 adeusz i Jan pobiegli do chłodni — skrzyni zanurzonej w wodzie — i przynieśli kilka ryb na śniadanie. Ugotowali je w kociołku nad ogniskiem, ze swych dobrze naładowanych koszyków wyciągnęli chleb pszenny. Nastąpiła pamiętna godzina. Jezus powiedział, że wróci do Domu Ojca, a ich zostawi, żeby dalej prowadzili Jego pracę. W końcu On znowu przyjdzie. Tymczasem ci, którzy wierzą w Niego, i ci, którzy w Niego wierzą dzięki ich świadectwu, otrzymają wiele niewątpliwych dowodów Jego obecności duchowej.

- Czy możesz nam powiedzieć, Panie, kiedy spodziewać się Twojego powrotu? — zapytał Filip.
- Nikt nie wie dnia ani godziny, Filipie — odrzekł Jezus.  
— To, co ja mówię wam, mówcie wszystkim. I bądźcie czujni!

Spokojnie wydał im polecenia na najbliższą przyszłość. Dość już rybołówstwa, czas połowów minął. Mają pójść do Jerozolimy i czekać na dalsze rozkazy. Powiedziawszy to wstał, wyciągnął nad nimi obie ręce i tak ich pobłogosławił.

— Pokój mój zostawiam wam.

Wszyscy skłonili głowy, słysząc te wzruszające słowa; gdy po chwili podnieśli wzrok, Jego już nie było.

Przez długą chwilę siedzieli oniemiałi. Piotr wstał pierwszy. Wszyscy się ruszyli i stanęli wokół niego, patrząc wyczekująco. Żaden nie potrzebował pytać, kto został mianowany przywódcą. Piotr poważny, jakby nagle starszy i bardziej dojrzały, przemówił głosem dźwięcznym, władczym, bez cienia jednak dumy czy buty, głosem pełnym serdeczności, tak jak przemawiał Jezus.

Były to prośby, ale Piotr mówił z taką pewnością siebie, że jego próśb nie



sposób byłoby nie spełnić. Przypomniawszy sobie dziwne poczucie siły, jakie ogarnęło go owego dnia dawno temu w domu Jaira, gdy całkowicie panował nad tłumem, który wtargnął tam chroniąc się przed burzą. Wówczas uderzyło mu do głowy przeświadczenie, że zdolny jest do panowania... Dzisiaj władza nie napawała go dumą; czuł ciężar związanej z nią odpowiedzialności. Jezus mu powiedział, zanim przyszli inni: „Jesteś teraz pasterzem! Paś owce moje!”

— Powędrujemy do Jerozolimy — rzekł Piotr. — Jaku  
bie, Janie, Tadeuszu, wy popłyniecie do łodzi, zwiniecie  
sieci i zabezpieczycie luki. Dopiero potem wrócicie do

494

swoich domów i przygotujecie się do wędrówki. Reszta pójdzie od razu  
pożegnać się z rodzinami. Spotkamy się wszyscy w Betsaidzie w godzinę  
po południu.

Wielki Rybak podniósł z piasku koszulę i włożył ją na potężne  
ramiona.

- I pożegnajcie jezioro — dodał odwracając się, żeby  
odejść z Andrzejem. — Wątpię, czy kiedykolwiek znów je  
zobaczymy.
- Co zrobisz z łodziami? — zapytał Andrzej, gdy szli  
w stronę gościńca.
- Dam je Hannie — odpowiedział Piotr. — Będzie  
mogła je sprzedać czy wynająć i wziąć te pieniądze na  
utrzymanie... A twój dom w Kafarnaum, Andrzej?
- Też dam go Hannie.

W Jerozolimie kwaterą główną stał się warsztat starego tkacza Ben-Josefa; uczniowie z niecierpliwością oczekiwali wezwania. Wreszcie dowiedzieli się, że mają przyjść na pobliskie wzgórze wczesnym rankiem dwudziestego czwartego dnia miesiąca Iar.

Posłusznie przybyli, każdy oddzielnie, na to wysokie wzgórze, gdzie Jezus ich powitał i po kilku słowach serdecznej zachęty polecił im zostać w Jerozolimie, dopóki nie dostaną dalszych wiadomości.

Potem wszyscy uklękli, a On modlił się za nich; i gdy podnieśli się z klęczek, Jego już nie było. Nie zobaczyli Go już nigdy więcej, chociaż — do końca swych dni — nieustannie trwali w pogotowiu czekając na Jego powrót.

## 24

Od tysiąca trzystu lat bez mała piąty dzień miesiąca Sivan, czyli pięćdziesiąty dzień po tygodniu Paschy, obchodzono jako Święto Żniw. Była to najweselsza uroczystość w żydowskim roku.

495

Niejeden z ludzi starszych, wierny dawnym tradycjom, powiedziałby, że Pięćdziesiątnica miała pierwotnie być uczczeniem dnia, w którym Bóg dał Mojżeszowi Prawo na górze Synaj; niewiele jednak robiono sobie z tego obecnie. Ten dzień beztroski był jakoś szczególnie oderwany od wydarzeń historycznych.

Pascha łączyła się z okresem, gdy zamykano szczelnie okiennice i wznoszono modły o odzyskanie dawno utraconej wolności, w Dniu Pojednania na klęczkach błagano o wybaczenie grzechów, natomiast

Pięćdziesiątnicę czczono radosną muzyką, barwnymi pochodami i tańcami na ulicach.

To święto następowało zaraz po zbiorach jęczmienia, najbogatszego i najpełniejszego plonu Palestyny. Przez krótki czas, dopóki nie dojrzeją winogrona i inne owoce jesienne, wieśniak żydowski mógł odpoczywać, z dobrze zapracowanymi syklami w zanadrzu mógł wybrać się do miasta.

A Jerozolima zawsze starała się pomieścić tych świątecznych gości. Jej otwarte bramy były przystrojone jaskrawymi chorągiewkami. Bazary i kramy czekały zdobne w girlandy kwiatów. Kupcy chowali kosztowne klejnoty, dywany, a wystawiali sprzęty tanie, towary dostępne dla zachwycającej się byle czym klienteli. Błyskotki, bawidełka, jarmarczne klejnociki, wszystko, co migotało na naszyjniku, bądź podzwaniało przy bransolecie, można było nabyć, zdawałoby się za bezcen. Wąskie stare ulice zapełniali przyjezdni, radośnie oszołomieni. Przekupnie z tacami słodyczy wniebogłosy zachwalali swoje smakołyki. Cukiernicy krzatali się przy rozgrzanych kotłach, nasycając powietrze kuszącymi aromatami mięty i anyżu. Muzykanci z harfami i piszczałkami usiłowali zagłuszyć śpiewy żebraków, żeby zwrócić na siebie uwagę wesołych przechodniów, którzy zatrzymywali się, słuchali przez chwilę, śmiejąc się rzucali groszaki na dywanik i pchali się dalej w tłum. Młodzież Izraela była poważna — ale nie w Pięćdziesiątnicę. Nie wymagano, by każdy zachowywał się przyzwoicie. Na licznych pijanych i ich awantury rzymskie patrole patrzyły przez palce, bo twardy, zahartowany żołnierz rzymski nie zaliczał pijaństwa do głównych przestępstw. Odurzeni winem młodzi wieśniacy, którzy na ulicy zagadywali obcych, raczyli ich

zwierzeniami i obejmowali, byli tylko niedbale upominam pTzez  
legionistów; pojmanie me groziło nikomu Tego fedynego dnia w  
roku Święte Miasto sobie folgowało. Jesh nfe podobało się to  
namaszczone siwym brodaczo,

di7zabawv Ci - przeważnie z większych miast  
HrSach r6dz emnomorskŁh - interesowali się słynna  
TukcTa wielbłądów, które przyprowadzali Arabowie. Cho  
dak jak wszyscy wiedzieli, odwieczna nienawiść me po-  
^ tik Arabom jak Żydom przekraczać wspólnej  
zJani y ich k^t to' ednal od dawna weszło Arabom  
w zwyczaj upominanie w dniu Pięćdziesiąticy o tym, że  
Tero^oS "est żydowska; a Żydzi ze swej strony zapominali,  
K hodowcy wielbłądów są Arabami, i nie mieli mc przeciw  
ko temu, by na starym placu musztry wystawiali oni  
i snrzędawali te niezwykle zwierzęta. . . . . „

Toteż Sędzię spędzali w Jeruzohmie nie tylko młodzi ze  
wsi gotowi wydać swoje groszaki, ale i bogaci

nosci tajemniczym,

przeźreni całej Nieraz

miewali sny, ale nic świecie nigdy przedtem!

32 — Wielki Rybak

497

Szymon z Cyrenajki, ponieważ był najdalej i potrzebował więcej czasu niż inni na niespodziewaną podróż do Jerozolimy, pierwszy z tych stu dwudziestu ludzi dostał zaproszenie.

Przyjął je nierad. Wyjeżdżając ze Świętego Miasta nazajutrz po tragedii, w której bezwiednie odegrał rolę, przysiągł sobie, że nigdy już noga jego nie stanie w Jerozolimie. Nigdy!

Miał zwyczaj, tak jak jego ojciec przed nim, przyjeżdżać na tydzień Paschy do żydowskiej stolicy, żeby sprzedawać tam swoje towary: tropikalne korzenie, zioła aromatyczne i lecznicze, cebulki egzotycznych roślin.

W tym sezonie interesy szły kiepsko. Stali nabywcy byli zajęci czymś innym, niespokojni. Kupowali korzenie jak zwykle, ale cebulki tulipanów ani krzewy kwitnące wcale ich nie interesowały. Zupełnie tak, jakby spodziewali się rychłego najazdu, przed którym muszą uciekać, chociaż każdy widział, że Rzymianie nie są gotowi do rozpoczęcia zapowiadanej od dawna ofensywy. Transakcje Szymona nie były warte trudu i kosztów tej podróży — prawie już postanowił nie przyjeżdżać więcej.

I wtedy, w ten koszmarny piątkowy poranek, Szymon został przypadkowo wciągnięty w ukrzyżowanie młodego Galilejczyka. Coś stało się z Szymonem. Nie był człowiekiem oddającym się rozmyślaniom o

tajemnicach ludzkiego istnienia. Ilekroć próbowano przy nim wgłębiać się w takie odwieczne zagadki jak: Dlaczego jesteśmy tutaj? Po co to komu? Kto tym kieruje? Jaki będzie tego wynik? — śmiał się i mówił, że woli pozostawić to wszystko rozleniwionym mędrkom, którzy mają czas biedzić się nad takimi rzeczami. Bezwstydna niesprawiedliwość wobec niewinnego młodego kaznodziei — zbrodnia uprawomocniona zarówno przez Insulę, jak przez Świątynię, w kraju dumnym ze swej pobożności — świadczyła, że ludzkość nie posuwa się naprzód ku osiągnięciu lepszego świata; ludzkość nawet nie stoi w miejscu! Cofa się z godziny na godzinę! Cyrenejczyk wyjeżdżał ze Świętego Miasta bardzo przygnębiony. Stanowczo zdecydował, że Jerozolima już go nie zobaczy.

Droga do domu dłużyła się. Szymon, zwykle niefrasob-

498

liwy, stał się małomówny i ponury. Ludzie z jego karawany, normalnie rozbrzmiewającej śmiechem i śpiewem, posmutnieli. I jak gdyby podróż była jeszcze nie dość długa i nudna, karawana, żeby przejść na drugi brzeg rzeki, musiała zboczyć prawie do Memfis, ponieważ dolny Nil wylał wcześniej w tym roku. Oznaczało to nałożenie drogi o wiele uciążliwych mil.

Teraz — wreszcie! — mieli przed sobą tylko jeden dzień do celu. Po raz ostatni rozbili obóz na noc. Myśleli już o tym, że nazajutrz pod wieczór będą z powrotem w rodzinnych stronach nad morzem.

Szymon znużony i przygnębiony nie zwlekał z pójściem na spoczynek i od razu zasnął snem tak głębokim, że był zupełnie bezbronny, gdy urodziwy młody goniec zuchwale wjechał konno do jego namiotu. Przybysz lekko zeskoczył z konia, podszedł do posłania i przez długą

chwilę patrzył na śpiącego człowieka, do którego przybył. Rzecz dziwna, Szymona nie przerażyły te nieoczekiwane odwiedziny. Goniec najwidoczniej nie żywił złych zamiarów. Co więcej, był to sympatyczny młodzieniec, chyba niespełna dwudziestoletni. Spod złotej opaski wymykały mu się kędziory na czoło i skronie. Tunikę miał białą, jedwabną, ze zjjptym godłem naszytym na lewej piersi — godło to było Szymonowi nie znane. Piękny biały koń stał spokojnie i czekał. Rząd lśnił na nim, też bardzo kosztowny, uzdę i siodło zdobiło obficie srebro.

Szymon uznał, że powinien zagaić rozmowę z tym niewiarygodnym gościem.

- Niezłe masz wyposażenie, synu — usłyszał własny głos.
- Takie przystoi mojemu zadaniu — odrzekł goniec. — Jestem tu w sprawie mojego Króla.
- Więc mów, przyjacielu — powiedział Szymon — jeśli ta sprawa mnie dotyczy.
- Przynoszę ci wezwanie. Wczesnym rankiem wypraszisz karawanę do domu. Ty, Szymonie, nie pojedziesz z nią. Trzeba, żebyś w dniu Pięćdziesiątnicy był w Jerozolimie.

Szymon zakipiał gniewem.

i

— Nie! — burknął. — Dosyć mam już Jerozolimy! Nie wiem, z czyjego upoważnienia rozkazujesz mi, ale ja tam nie pojedę! Nawet gdyby wzywał mnie cesarz!

Goniec uśmiechnął się i obojętnie wzruszył ramionami.

- Wzywa cię ktoś możniejszy niż cesarz, Szymonie.  
Cesarzowi mógłbyś się sprzeciwić, mógłbyś ukryć się przed nim. Ale mojemu Panu będziesz posłuszny. On chce, żebyś był w Jerozolimie w dniu Pięćdziesiątnicy, i będziesz tam!
- Kto jest twoim Panem! — zapytał Szymon.
- Znasz Go — odpowiedział młodzieniec. — Niosłeś Jego krzyż.
- Przecież On nie żyje! Widziałem, jak umarł!
- Tak. On umarł. Ale wrócił do życia!
- Bzdura! To tylko sen!
- To nie sen, Szymonie.
- Daj mi więc jakiś dowód, jakiś znak, który zostanie, gdy się obudzę.

Młody goniec wsunął rękę w fałdy swej tuniki i wyciągnął długi szorstki gwóźdź, zardzewiały od krwi. Położył go na otwartej dłoni Szymona.

- Widziałeś to już kiedyś? — zapytał z powagą.
- Owszem... ale to także mogło mi się przyśnić. Na pewno nie znajdę go tutaj jutro rano.
- Nie znajdziesz. Może mi być jeszcze potrzebny. —  
Goniec odebrał Szymonowi ten ciężki gwóźdź i schował



z powrotem w zanadrze tuniki. — Do widzenia, przyjacielu Szymonie — powiedział łagodnie. — Jutro pojedziesz konno do Aleksandrii, gdzie wsiądziesz na statek, mający odpłynąć z towarem do Joppy. To skróci twą podróż. Spotkamy się w dniu Pięćdziesiątnicy... przed południem... w sali cechu kotlarzy.

Szymon zaśmiał się cicho.

- Cóż za przedziwny sen — mruknął. — Chyba niemożliwe, żebym wymyślił tyle rzeczy, których nigdy nie widziałem. Z pewnością nie widziałem nikogo takiego jak ty... Z tym godłem złotym na tunice. Co ono oznacza?
- To godło Królestwa Pana.
- Podejź — poprosił Szymon — żebym je zobaczył z bliska.

500

się Szymon zmarszczył brwi i

zadrżał

- W żadnym razie ku ozdobieniu należało wybrać czegoś tak odrażającego — wyszeptał. >>>Ji<<<
- Szymonie — rzekł z naciskiem goniec — to będzie najpiękniejszy symbol na świecie.

Dosiadł konia i wyjechał z fantastycznego snu Cyrenei-czyka.

Potem Szymon spał tak głęboko, jakby już nigdy nie miał się obudzić. Słońce było dość wysoko na niebie, gdy otworzył oczy oszołomiony niejasnym wspomnieniem jakiejś doniosłej sprawy.

Usłyszał rześkie głosy swoich ludzi, którzy radośnie zwijali i pakowali namioty po raz ostatni przed powrotem do domu. Zastanowił się, czy zauważą na jego twarzy ślady oszołomienia. Powinien' wziąć się w garść, zamiast rozpamiętywać, co mu się śniło.

Uchylając klapę swego namiotu, Szymon skinął na służącego. Przyniesiono mu miednicę z wodą i ręcznik. Zanurzył brodą twarz w miednicy, chlusnął sobie wodą w zaspane oczy.

—Skaleczyłeś się w rękę, panie? — zapytał służący. — Jest na niej krew.

Szymon przyjrzał się uważnie swej prawej dłoni. Przecinała ją na ukos szeroka plama krwi. Zanurzył rękę w miednicy, szorował energicznie, ale plama nie znikwała. Służący gapił się, nie miał jednak odwagi nic powiedzieć, widząc, że ręce panu się trzęsą. Przyszedł drugi służący, postawił tacę ze śniadaniem i czekał gotów usłużyć.

—Zabierz to — rozkazał Szymon ochryple. — Wezwij do mnie Enosa.

Służącego najwyraźniej zaniepokoiło dziwne jego zachowanie, bo zarządca przyszedł zatroskany.

- Enosie — powiedział Szymon — okazuje się, że muszę natychmiast wrócić do Jerozolimy. Poprowadzisz karawanę dalej do domu. Ja pojedę konno do Aleksandrii i stamtąd popłynę statkiem.
- Czy... dobrze się czujesz, panie? — wyjąkał Enos. — Może powinienem pojechać z tobą?

— Czuję się zupełnie dobrze, Enosie. Zawiadomisz moją rodzinę, że wrócę, gdy załatwię w Jerozolimie polecenie, jakie dostałem. Każ osiodłać konia, wyruszę zaraz.

Wierny zarządca odchodząc, żeby wypełnić rozkaz, nagle zauważył:

- Ale skaleczyłeś się, panie. Krew masz na ręce.
- Nie martw się, mój zacny Enosie — rzekł Szymon spokojnie. — Nie skaleczyłem się. To nie moja krew.

Daleki od zniewieściałości Józef z Arymatei miał zwyczaj w lecie wstawać bardzo wcześnie, ale tego dnia, chociaż pogoda była wyjątkowo piękna, obudził się z trudem.

Długo siedział na krawędzi łoża, trzymając się za bosą stopę, znieruchomiały przed włożeniem sandałów, i patrzył w otwarte okno. Wciąż jeszcze pozostawał pod urokiem niezwykle żywego snu.

W końcu jednak otrząsnął się z tego, narzucił szatę poranną i wyszedł do atrium, gdzie jego ładna siostra czekała ze śniadaniem.

- Dlaczego tak późno, Józefie? — zapytała. — Hasan okropnie się denerwuje, niecierpliwi; mówi, że już od godziny gotowi są do wyjazdu.
- Do wyjazdu? — wybełkotał zdumiony książę. — Do jakiego wyjazdu.
- Może zacnemu staremu Hasanowi coś rzuciło się na mózg... A może tobie? Dziwiłam się, że nic mi nie powie działałeś o tej nagłej podróży do Jerozolimy. Ale... więc nie zamierzasz jechać?

Senny Józef raptem rozbudził się całkowicie. Opierając łokcie na stole, uważnie popatrzył siostrze w oczy. Potem wolno wierzchem drżącej dłoni potarł się po czole i ochryple kazał służebnicy wezwać Hasana.

- W życiu nie słyszałem, żeby stało się coś tak niewiarygodnego! — szepnął na pół do siebie. — Tamar, co właściwie Hasan mówił?
- Otóż i on — rzekła. — Sam ci powie.

Pełen godności, wysoki, szpakowaty zarządca, już w stroju

502

podróżnym, podszedł do stołu i stanął wyprostowany. Na jego twarzy malowała się troska.

— Hasanie — zapytał Józef — kto ci powiedział że jedziemy do Jerozolimy?

Zarządca przeprosił:

— Błagam o wybaczenie, miłościwy panie! Miałem bardzo szczególny sen tej nocy, coś więcej niż sen. Wydawało mi się to rzeczywiste.

Józef odwrócił się z krzesłem, żeby spojrzeć prosto na zarządcę.

- Mów dalej, Hasanie — rzekł z powagą. — Opowiedz mi swój sen.
- Lękam się, że uznasz to za głupotę, miłościwy panie. Wiem, że ty w sny nie wierzysz.
- Nie bądź tego zbyt pewny! — powiedział Józef. — Opowiadaj!
- A więc, miłościwy panie, przede wszystkim, czy

pamiętasz urodziwego młodzieńca, który pomagał nam tamtej nocy zdejmować ciało Jezusa z krzyża, a potem pomagał nam w grobowcu? Nie mogliśmy zrozumieć: niósł ciało Jezusa pieczołowicie, jak gdyby niósł śpiące dziecko, i uśmiechał się czule... nie okazywał rozpaczy ani trochę.

Józef przytaknął, że dobrze to pamięta.

- Ten młodzieniec — ciągnął Hasan — był w odzieży roboczej, ale gdyśmy przy grobowcu odpoczywali zmęczeni, zrzucił brązowy kaftan i okazało się, że miał pod nim tunikę z białego cudownie tkanego jedwabiu...
- To chyba także sen — zauważyła Tamar.
- Tak było rzeczywiście, siostrzyczko. Chciałem zapłacić temu pięknemu chłopcu za przysługę, ale gdy zobaczyłem jego tunikę, uznałem, że niestosownością byłoby proponować mu cokolwiek... Mów dalej, Hasanie.
- Dużo myślałem o tym dziwnym młodzieńcu. Słyszeliśmy przecież, że kobiety, które wtedy w niedzielę rano poszły do grobowca, zobaczyły anioła w bieli.
- Może za dużo o tym myślałeś, Hasanie, aż w głowie ci to zamąciło — wtrąciła się Tamar.
- Nie, nie, sestro! — upomniał ją książę. — Pozwól mu opowiadać.

— On przyszedł do mnie dziś w nocy, miłościwy panie, i powiedział, że mamy być w Jerozolimie w Pięćdziesiątnicę

przed południem w sali cechu kotlarzy. Odbędzie się jakieś ważne zebranie, na które ty, panie, i Hasan, twój pokorny sługa, zostaliśmy zaproszeni... Powiedział, że ciebie już zawiadomił. Uwierzyłem w to i poczyniłem przygotowania do podróży. Teraz rozumiem, że mi się przyśniło... Błagam cię o przebaczenie!

Józef odezwał się dopiero po długiej chwili. Drżącym głosem rzekł: — Hasanie. On mnie zawiadomił. Był u mnie. Pojedzie my do Jerozolimy tak, jak rozkazał.

Hasan się rozpromienił. Złożył ukłon i odszedł. Milczenie przerwała Tamar.

- Józefie — powiedziała troskliwie — przecież sam mówiłeś, że nie wierzysz w takie rzeczy!... Po prostu to się nie zdarza!
- Żałuję, że nie widziałas go, Tamar. Skądkolwiek on przybył, pewne jest, że tam nie hołdują oszczędności. Takiej tkaniny nigdy nie widziałas. Cudowny biały jedwab ze świetlistym połyskiem! Na piersi miał naszyte insygnia ze złota. — Skinął na służebną. — Podaj mi tabliczkę, stylus... Patrz, Tamaro: to wyglądało tak. Co to jest?

Wstała, przeszła na jego stronę stołu, żeby przyjrzeć się temu, co narysował. Potrząsnęła głową.

- Domyślasz się, co to oznacza? — zapytała.
- Owszem — odrzekł Józef. — To krzyż, na którym ukrzyżowano Pana!... Tamar... Większe to wydarzenie, niż myśmy myśleli.

W ogromnych włościach Jaira co rok robotnicy bez względu na rodzaj swych zajęć musieli przez tydzień pomagać przy zbiorze jęczmienia.

Joel, niedawno mianowany nadzorcą winnic, mógłby z tego tytułu rościć sobie prawo do zwolnienia z ciężkiej pracy na polach, ale nawet mu to przez myśl nie przeszło. W pogodnym nastroju od świtu do zmierzchu codziennie przez cały tydzień harował pospołu z robotnikami, co

504

sprawiło, że tym pilniej pracowali i tym większą cieszył się wśród nich sympatią. Ten dowód jego szczerzej troski o dobro pracodawcy nie uszedł uwagi samego Jaira, który, gdy już ostatni ładunek żółtych snopków odwieziono do stodoły i żniwiarze znużeni wracali do domów, zsiadł z wierzchowca i Joelowi, nowemu nadzorcy, wyraził swoje uznanie.

- Zasłużyłeś na kilka dni wypoczynku, mój chłopcze — powiedział. — Może chciałbyś wybrać się na ryby?
- Jeśliś taki łaskawy, panie — odpowiedział Joel — to chciałbym być w Jerozolimie na obchodach Pięćdziesiątnicy. Nigdy tam nie byłem i... — zawahał się czerwieniejąc trochę pod opalenizną — mam szczególny powód, żeby tego pragnąć.

Jair nagle tak spoważniał, że twarz jego stała się nieomal surowa. Zbity z tropu Joel czekał na upomnienie.

- Cóż to za szczególny powód, Joelu? — zapytał Jair.
- Obawiam się, że nie potrafię jasno tego wytłumaczyć, panie — wymamrotał Joel wielce zakłopotany. — Jeśli nie

zechcesz mnie tam puścić, postaram się zapomnieć o tym.

- Nie! Nie! — burknął Jair niecierpliwie. — Nie powiedziałem, że nie pojedziesz! Zapytałem tylko o powód, dla którego pragniesz być w Jerozolimie... w Pięćdziesiątnicę!

Joel utkwiał wzrok w czubku swego zniszczonego sandała. Po chwili wyznał:

- Śniło mi się, że mam tam być.
- Boże! — wykrzyknął Jair i głos mu zadrżał. — Więc to ci się śniło! Opowiedz mi.

Joel zląkł się, że Jair uważał go dotychczas za człowieka rozsądnego i oto teraz stwierdza, że on jest przesądnym głupcem. Potrząsnął głową i uśmiechnął się niepewnie.

- To właściwie nic takiego, panie — wybąkał. — Już nie pamiętam.
- Może ja ci zdołam odświeżyć pamięć, Joelu — powiedział Jair. — Śniło ci się, że odwiedził cię piękny jakiś młodzieniec... A właśnie, czy przyjechał konno?

Zdumiony Joel wpatrywał się teraz w Jaira.

—Tak, panie, na białym koniu.

505

- Z uzdą wysadzaną srebrem?
- Tak, panie. — Joel głośno przełknął ślinę. — I siodło było ze srebrem! Skąd wiesz, panie? Widziałeś go?
- Wjechał wczoraj w nocy do mojej sypialni — po



wiedział Jair. — Polecił mi udać się na Pięćdziesiątnicę do Jerozolimy. Wydawało mi się, że to jawa, a nie sen. Ale dziś rano, gdy się obudziłem, postanowiłem nie myśleć o tym, chociaż, muszę przyznać, nie myślę przez cały dzień o niczym innym... To dziwna sprawa, Joelu.

- Tak, panie! Bardzo! — Dziwne też, zauważył Joel w głębi duszy, że mogę rozmawiać z moim znamienitym panem tak poufale.
- No, Joelu... — Jair odwrócił się, żeby dosiąść konia — zostaliśmy wezwani. Idź teraz do domu i przygotuj się. Postaramy się wyruszyć jutro o brzasku.

Efraim, dobroduszny kowal z Nazaretu, położył się wygodnie na zniszczonym stole roboczym i czekał, aż ustanie bębniąca o dach letnia ulewa, która zatrzymała go w kuźni, chociaż pora wieczery dawno już minęła.

Od samego rana trudził się nad złamaną sochą, mając nadzieję naprawić ją tego dnia, nagle burza jednak sprawiła, że w kuźni jeszcze przed zmierzchem zrobiło się ciemno, więc zrezygnował, zresztą z zadowoleniem, bo ogrody potrzebowały deszczu bardziej, niż Józefowi potrzebna była ta socha. Znużony codzienną pracą i senny w ciemnościach — ponieważ ognisko wygasił, przygotowując się do odejścia — zasnął tak mocno, że nie usłyszał, jak otwierają się i zamykają wrota od strony ulicy.

Łuna z buchającego znów ogniska kuźni sprawiła, że spojrzał tam, ale

się nie poruszył. Zobaczył w swoim śnie urodziwego młodzieńca, który zręcznie pociągał za sznur miecha. Każdy świeży podmuch z tego starego miecha podsyczał ognisko. W kuźni było teraz zupełnie jasno. Wysoki biały rumak — wspaniałe zwierzę — próbował napić się wody z brudnego koryta przy kowadle, zwyczajnie, jak każdy inny koń, jego młody pan powstrzymywał go od

506

tego też nie inaczej niż każdy inny jeździec, a przecież Efraim wiedział, że to tylko sen, bo ani ten koń, ani ten młodzieniec nie byli zmoknięci.

Wielce zaciekawiony Efraim przewrócił się na bok, podparł głowę zgiętym łokciem i teraz już lepiej mógł przyjrzeć się niezwykłym przybyszom. Piękny młodzieniec był przyodziany wspaniale, cały w bieli i miał na głowie szeroką opaskę z błyszczącego złota, uprząż konia lśniła od zbytkownych ozdób ze srebra.

- Jak się to dzieje, paniczu — usłyszał Efraim własny głos — że odzież masz suchą i twój koń nie zmókł ani trochę, chociaż przybyliście tu prosto z ulewy?
- Przybyliśmy inną drogą — odpowiedział młodzieniec niedbale, nadal pociągając za sznur miecha.
- Ale jest ci zimno — zauważył Efraim — inaczej byś nie rozniecał ogniska.
- Chodzi mi o światło — rzekł młodzieniec, zgarniając węgle ku środkowi.
- Jesteś kimś niezwykajnym — zachichotał Efraim. — Powinieneś widzieć po ciemku.

- Ja może widzę... ale ty nie. Chciałem, żebyś zobaczył, mnie wyraźnie. — Gość wypuścił sznur z ręki i podszedł do Efraima. — Zapamiętaj dobrze to, co ci powiem. Masz być w dniu Pięćdziesiątnicy w Jerozolimie.

Efraim usłyszał swój cichy śmiech. Ależ mu się śnią dziwy!

— A po cóż bym tam jechał?! — zapytał. — Nie potrzebuję kupować wielbłądów. Nie stać mnie nawet na osła.

Młody goniec z powagą przystąpił do wyjaśnień. Sporo przyjaciół i popleczników Jezusa ma zebrać się w Jerozolimie w dniu Pięćdziesiątnicy. To zebranie odbędzie się przed południem w sali cechu kotlarzy.

— I ty zostałeś wezwany, Efraimie. Zawsze Jezusowi od czasów Jego dzieciństwa okazywałeś życzliwość. Nikt w Nazarecie, oprócz Jego rodziców... i ciebie... nie lubił Go, bo On był inny niż wszystkie dzieci. I gdy dorósł do wieku męskiego, nazareńczycy... wszyscy oprócz ciebie... otwarcie kpili z Jego szczególnej mocy. Więc odszedł i przemawiał

507

do ludzi, którzy w Niego wierzyli i miłowali Go. A tyś opuścił swoją kuźnię... i poszedłeś za Nim.

- Tak, panie, tak zrobiłem! — powiedział Efraim. — Słuchałem, jak On mówi przez wiele dni w Kanie, i Hammat, i w Kafarnaum. I widziałem, jak uzdrawia chorych...
- I gdy wróciłeś do Nazaretu — przerwał mu młody goniec — opowiadałeś ludziom wokoło o tym, co słyszałeś

i co widziałeś, a ludzie nazywali cię bluźniercą... Niewątp  
liwie to zaszkodziło twojej kuźni.

- Nie za bardzo — odpowiedział Efraim pogodnie. —  
Gdy łańcuch studziennego wiadra pęknie, Nazaret chce,  
żeby buźnierca go naprawił... Ale muszę Nazaretowi przy  
znać, że ci ludzie szczerze ubolewali słysząc wiadomość  
o ukrzyżowaniu Jezusa.
- Co mówili, gdy nadeszła wiadomość, że On powrócił  
do życia?
- Oczywiście nie wierzyli w to.
- A ty, Efraimie? Czy ty w to wierzysz?
- Nie wiem — odpowiedział Efraim wymijająco po  
chwili wahania. — Niełatwo jest wierzyć, zwłaszcza w takim  
miasteczku, gdzie wszyscy są pewni, że to nie może być  
prawdą... Zastanawiam się nad tym... dzień w dzień.
- Czy byłbyś rad, gdybyś miał niezbity dowód praw  
dziwości tego?
- Zaiste, byłbym rad, panie!
- Więc bądź w Jerozolimie w dniu Pięćdziesiątnicy.
- Może bym i przybył tam, gdybym wiedział, że to  
posłanie jest prawdziwe.

Młody goniec nic nie odpowiedział. Nieszczęlny stary miech sapnął  
parę razy tak głośno, że Efraim się obudził. Usiadł, przetarł oczy. Gościa  
nie było. Ale węgle ogniska jasno płonęły... Efraim wiedział już, że w  
dniu Pięćdziesiątnicy będzie w Jerozolimie.

Dmący nieustannie silny wiatr północny, który skrócił podróż „Vestris” z Gazy do Joppy, spowodował dla odmiany dużą zwłokę w rejsie powrotnym.

Fulwiusz zabrał z Joppy balast bardzo lekki, toteż

508

„Vestris” podskakiwała na falach zgoła nieprzystojnie, zważywszy jej wiek i stan zniszczenia. Podróż dłużyła się ponad wszelkie wyobrażenie. Tylko Woldi nie kwapił się do lądowania, chociaż kapitan i prokonsul przewidywali, że śledztwo w sprawie zamordowania Heroda Antypasa, jeśli w ogóle zostanie wszczęte, będzie bardzo pobieżne.

Dla pewności jednak, żeby Woldiego nie pojmano, co mogłoby zakłócić zawsze delikatną równowagę stosunków politycznych pomiędzy Ziemią Żydowską i Arabią — zdecydowali, że Woldi pozostanie w ukryciu na „Vestris” przez cały czas postoju w Gazie, a potem popłynie z nimi do Rzymu. Miał wrócić do Arabii dopiero wtedy, gdy poruszenie spowodowane śmiercią tetrarchy ucichnie.

Mencjusz i Fulwiusz żywili nadzieję, że karawana z solą z Engedi już będzie w Gazie, gdy statek „Vestris” spóźniony dotrze do tego brudnego starego portu, cóż, kiedy czekało ich rozczarowanie. Oczywiście w gruncie rzeczy nie liczyli na punktualność zmuśnionej posuwającej się, ciężko obciążonej karawany. Upał panował okrutny, wielbłądy musiały coraz częściej i dłużej wypoczywać. Wielbłąda nie da się ponaglać ani apelowaniem do jego poczucia obowiązku, by służył Cesarstwu całym swym sercem, siłą i rozumem, ani też nawet stosując sposób praktyczniejszy, jakim na ogół bywa walenie kijem po zadzie. To roztropne zwierzę, gdy uzna, że swoją pracę danego dnia już wykonało,

nagle siada i nic nie zmieni jego decyzji, że czas na postój. Mencjusz i Fulwiusz wiedzieli z doświadczenia: może trzeba będzie czekać jeszcze dwa tygodnie.

Dla Woldiego zamknięcie na statku, w miarę jak puste dni i upalne noce ciągnęły się nieskończenie w cuchnącej duchocie portu Gazy, stawało się prawie nie do wytrzymania. Przyrzekł jednak, że pozostanie na pokładzie, bo prosili go o to ludzie, którzy mu pomogli. Chodziło im nie tylko o jego bezpieczeństwo: udzielając schronienia zbiegowi sami nie chcieli się narażać.

Ale po tygodniu niecierpliwość arabska wzięła górę-Wiele miał czasu przez ten tydzień na zastanawianie się, zwłaszcza nad Fara. Jezus nie żyje, Fara już nic nie może dla Niego zrobić, dokąd ona pójdzie? Chyba nie do Galilei,

509

żeby się uzależnić od rodziny rybaka Szymona? Będzie się czuła samotna, czyż więc nie zechce wrócić do Jony? Zdana na łaskę losu, może wreszcie usłucha głosu rozsądku. Woldi był pewny, że Fara go kocha. Zaświtała mu nadzieja, że jeśli teraz z nią porozmawia, to ją przekona.

Mencjusz wysłuchał Woldiego ze współczuciem i Fulwiusz również się zgodził, że gdyby władze domyślały się jego obecności na „Vestris”, zdążyłyby już doścignąć statek drogą lądową i pojmać podejrzanego. Po naradzie obaj uznali, że Woldi może bez dużego ryzyka dla nich opuścić statek, co też uczynił natychmiast, o godzinie drugiej po południu, gdy cała Gaza zapadła w drzemkę. W ostatniej chwili Mencjusz impulsywnie oznajmił, że przejedzie z nim kilka mil. Brutus potrzebuje ruchu.

Zatrzymali się w starej twierdzy Minoa, żeby nabrać wody. Strażnik

przy bramie od razu poznał prokonsula i z szacunkiem ofiarował się zawiadomić centuriona Paulusa, chwilowo zastępującego dowódcę. Paulus okazał należyłą gościnność i gdy odpoczywali w cieniu drzew, rozmowa szybko zeszła na temat młodego legata Marcellusa, którego niespodziewanie wezwano do Rzymu.

- Był prawie w stanie obłędu — powiedział Paulus. — Tak się przejął tym ukrzyżowaniem.
- Cała ta sprawa — warknął Mencjusz — to hańba dla Cesarstwa. Temu nieboszczykowi teraz jest lepiej niż ludziom, którzy Go skazali.
- Więc ty myślisz, panie, że Galilejczyk nie żyje? — podchwycił Paulus.
- A cóż innego miałbym myśleć? — zapytał Mencjusz. — Przecież ukrzyżowaliście Go.

I wtedy nastąpiła dziwna opowieść. Oddział z twierdzy Minoa pozostał w Jerozolimie do poniedziałku rano. Miasto już rozbrzmiewało pogłoskami, że ukrzyżowany Galilejczyk wyszedł z grobowca i że widziało Go wielu wiarygodnych świadków. Sanhedryn czynił wielkie starania, żeby tym wieściom urzędowo zaprzeczono, a tych, co je szerzyli, surowo ukarano, ale Piłat nic w tym kierunku nie zrobił.

—Oczywiście — dodał Paulus nie chcąc zdradzić, że sam gotów jest wierzyć — to nie może być prawdą.

510

- Dlaczego nie może? — ku jego zdumieniu burknął prokonsul. — Ten Galilejczyk nie był zwykłym człowie

kiem. Nie ulega wątpliwości, że uzdrawiał chorych, przywracał wzrok niewidomym! Czyż nie mógłby mieć mocy, żeby zmartwychwstać?

- Ale jeśli mógł odzyskać życie po śmierci, to dlaczego dał się zabić? Kosztowało Go to wiele cierpienia. — Paulus czekał na dalsze uwagi posiwiąłego prokonsula, wyższego rangą, ale gdy żadnych uwag nie było, odważył się zapytać: — Myślisz, panie, że w tym jest sens?

— Nie — mruknął Mencjusz — nie ma sensu. I otwieranie oczu ślepcom też nie ma sensu... Dałbym wiele, Paulusie, żeby wiedzieć, czy choć trochę prawdy jest w tej historii... Woldi, jak ci się wydaje?

- Sam nie wiem, Mencjusz. Trudne to do uwierzenia.
- Ale widziałeś Go, widziałeś Jego działalność. Nawet przypuszczałeś, że On jest „Tym, który niesie pochodnię” dla ludzkości.

— Owszem — przyznał Woldi — nie myślałem jednak, że będzie żył wiecznie. Czy nie mógł dać ludziom od razu tyle światła, ile potrzeba, a potem odejść? Co więcej może zrobić teraz, gdy wrócił z grobu? Będzie napominał każde nowe pokolenie?

Jak na Woldiego, który zwykle wypowiadał się krótko, była to długa wypowiedź. Mencjusz popatrzył na niego zainteresowany.

—Wyłania się tu doniosłe pytanie — powiedział. — Jeśli obecne pokolenie zlekceważyło Jego leki na dolegliwości świata, jaka jest nadzieja, że z następnym pokoleniem powiedzie Mu się lepiej?



—Innymi słowy — zabrał głos Paulus — co może dać Jego zmartwychwstanie... zakładając, że zmartwychwstał? Świat Go nie chce, nie chciał Go w zeszłym tygodniu, nie będzie też chciał w przyszłym!

—Cynik z ciebie, Paulusie — przeciągle rzekł Mencjusz.

Paulus uśmiechnął się, wzruszył ramionami i bawiąc się machinalnie rękojęścią sztyletu mruknął, że jego rzemiosło nie służy wyrobieniu w człowieku ani czułości, ani optymizmu.

Woldi miał już dosyć tej bezowocnej rozmowy. Oznajmił, że czas mu w drogę. Paulus doradził, żeby przenocował w twierdzy i wyjechał w chłodzie wczesnego poranka. Mencjusz uznał to za dobry pomysł. Wtedy Paulus objął swym zaproszeniem również i prokonsula, który jednak odmówił. Fulwiusz mógłby się o niego niepokoić. Po wczesnej wieczery w cieniu drzew pożegnali się i o zachodzie słońca Mencjusz wyruszył z powrotem do Gazy.

Robiło się chłodniej, w miarę jak zapadał zmierzch. Brutus kłusował żywo. Po przebyciu pół mili nagle szarpnął łbem, stulił uszy i przyspieszył biegu. Mencjusz zdziwił się, że też koniowi tak inteligentnemu jak Brutus może się spieszyć do dusznej zagrody w ładowni „Vestris”.

Teraz on sam usłyszał daleki tętent za sobą. Brutus pewnie przypomniał sobie pewien niemiły incydent na gościńcu i woli, żeby to się nie powtórzyło. Odwracając się w siodle, Mencjusz zobaczył w mroku jakiegoś jeźdźca na białym koniu, szybko nadjeżdżającego. Brutus zdecydowany, że nie pozwoli się prześcignąć, przeszedł w długi galop, ile tylko sił w nogach, ale już wkrótce jeździec podjechał do jego boku, przy czym najwyraźniej nie miał zamiaru go wyminąć.

Mencjusz przyjrzał się ubranemu na biało nieznanemu i ze zdumieniem stwierdził, że to jeszcze młodzik o ujmującej twarzy. Malowała się na tej twarzy taka życzliwość, że prokonsul ściągnął Brutusa. Jego niespodziewany towarzysz również ściągnął swego wierzchowca. Po chwili, gdy uporali się ze zziąjanymi końmi i jechali stępą, Mencjusz przemówił:

- Wielki to nietakt, chłopcze, doganiać człowieka po ciemku na gościńcu, gdzie roi się od rozbójników, i nie zaznaczyć przy tym, że nie ma się złych zamiarów.
- Nie zrobiłbym tego — powiedział urodziwy młodzian — ale rumaka masz bardzo rączego, prokonsulu Mencjuszu, a Izrafel rzadko miewa okazję do takiego galopowania. Sprawilo mu to przyjemność.
- Tobie zapewne też — zauważył Mencjusz oziębło. — Stwierdzam, że wiesz, jak się nazywam. A kim ty jesteś? Skąd przybywasz? Z pewnością nie pochodzisz z tej do tkniętej ubóstwem krainy. Cóż to za oznakę masz na tunice? Nie rozpoznaję jej.

512

— To krzyż, na którym ukrzyżowano mojego Króla. Zatrzymali konie. Mencjusz odwrócił Brutusa tak, że znaleźli się przed sobą twarzą w twarz.

—Krażą opowieści — rzeki prokonsul drżącym głosem — że On powrócił do życia. Wiadomo ci coś o tym?

— Przybyłem, żeby właśnie o tym ci powiedzieć.

Przez kilka następnych minut młody posłaniec mówił

z powagą, oszołomiony prokonsul milczał i słuchał.

- Wydaje się to przedziwne — powiedział Mencjusz w końcu — ale ja będę tam.
- W sali cechu kotlarzy — rzekł posłaniec zbierając cugle. Szepnął coś do swego konia i natychmiast Izrafel uniósł go w ciemność. Gdy Mencjusz zawrócił Brutusa w kierunku Gazy, tętent, już daleki, ledwie było słycać.

Tak więc się stało, że pod wpływem dziwnie przekonywających snów czy też nakazu intuicji, czy za sprawą wielu innych niewątpliwych sygnałów stu dwudziestu ludzi, wcale się ze sobą nie porozumiewając, wyruszyło do Jerozolimy, żeby zebrać się przed południem w dzień Pięćdziesiątnicy i usłyszeć wieść o przyszłości Królestwa. Jak świat światem nic podobnego nigdy przedtem się nie wydarzyło.

Dopiero w połowie krętego szlaku, który piał się stromo z doliny Aisne, Darik okazał, że poznaje ojczyście strony — szarpał niecierpliwie wodzami, głośno prychał, mimo zmęczenia wyraźnie nabierając świeżego wigoru.

Ubiegłej nocy Woldi wcześniej położył się spać w zajezdzie w Engedi i wyruszył w dalszą drogę przed świtem. W ciągu godziny słońce zaczęło przygrzewać, biel soli na brzegu morza w słonecznym blasku wprost oślepiła, ale nie było drzew, w których cieniu można by odpocząć. Darik wiedział, co robi, kłusując ile sił przez te okolice.

Teraz, dobrze już po południu, wspinali się wąskim wydeptanym szlakiem, biegnącym po zboczu góry. Tu i ówdzie na zakrętach widać było, że podróżni zatrzymywali się na odpoczynek, bo była to ciężka

wspinaczka. Roślinność stawała się bujniejsza na tej wysokości, gdzie coraz słabiej docierał letni skwar.

33 — Wielki Rybak

5'3

**L**

Upojony wonnym od kwiecia powietrzem, Darik tak niecierpliwie spieszył się do swojej stajni, że Woldi w trosce Oniego zsiadł i sprowadził go ze szlaku w dobrze ocienioną

kotlinkę. Płynął tu strumyk wśród kwiatów, omijając płaski występ skalny. Woldi rozluźnił Darikowi popręgi, zarzucił wodze na obwisły konar drzewa i sam poszedł dalej w ten uroczy zakątek. Nad wodą skubał trawę kudłaty biały osiołek. Głębiej w gęstwinie jakaś młoda kobieta, najwidoczniej nieświadoma obecności Woldiego, schylona zbierała jagody i jadła je łapczywie. Zapewne była niedaleko od domu — jej skromny wieśniaczy strój nie nadawał się do podróży. Głowę miała odkrytą, rozpuszczone czarne włosy opadały wijącymi się pasmami na ramiona.

Woldi siedział cicho na omszałym skalnym występie i zwlekał z zagadnięciem dziewczyny — mogłaby się przestraszyć.

Wkrótce jednak ona chyba wyczuła, że nie jest sama. Stała nieruchomo, jak gdyby nasłuchiwała; wolno odwróciła głowę i zerknęła przez ramię. I nagle oczy rozwarła szeroko, zdumiona wyciągnęła poplamione jagodami ręce.

Woldi zerwał się, przeskoczył strumyk, podbiegł i chwycił ją w objęcia. Szeptał coś pełen bezbrzeżnej ulgi, całował jej przymknięte oczy, tulił ją do siebie prawie omdlałą. Wreszcie podniosła głowę, podała mu rozchylone usta i zarzuciła ręce na szyję, przyciskając się do niego tak mocno, że czuł, jak serce jej łomocze. Po długiej błogiej chwili westchnęła radośnie, popatrzyła mu tkliwie w oczy, przytuliła głowę do jego piersi.

— Bałem się, że cię utraciłem, Faro. — Głos drżał Woldiemu, załamywał się jak po wyczerpującym biegu. — Już nigdy się nie rozstaniemy.

Nie odpowiedziała, tylko jeszcze mocniej objęła go za szyję i jeszcze mocniej przytuliła policzek do jego serca.

— Powiedz to, kochana — prosił. — Jesteś już moja... na zawsze.

Milczała, ale podniosła głowę. Porywczo, namiętnie go ucałowała.

— A więc zgodziłaś się! — wykrzyknął. — Co za szczęście cie, najdroższa.

Delikatnie wysunęła się z jego objęć.

514

— Usiądźmy, Woldi... porozmawiajmy.

Objął ją znowu, zaniósł na skalny występ i usiadł przy niej. Posypały się pytania: oboje chcieli wiedzieć, co się z nimi działo ostatnio... Rzecz dość dziwna. Wyruszyli z Jerozolimy wprawdzie innymi drogami, a przecież w ten sam poranek. Woldi wyjaśnił pokrótce, że jechał z karawaną zdążającą do Tyberiady w Galilei.

— I co? — zapytała Fara gwałtownie.

No... rozstał się z tą karawaną tejże nocy w górach Samarii, pojechał do Joppy, wsiadł na statek.

Szczegóły ją nie interesowały. Po krótkim milczeniu Woldi zaczął znów uparcie ją wypytywać. Opowiedziała mu o swojej wędrówce do Jerozolimy, o niegodziwym procesie i skazaniu jej Pana, przy czym płakała rzewnie wspominając, jak widziała Go po raz ostatni, gdy szedł na stracenie. Woldi przytulił ją, próbował pocieszyć.

— Nie słyszałaś nic więcej... o Jego śmierci? — zapytał łagodnie.

Podniosła oczy pełne łez.

- Co bym mogła usłyszeć?
- To wydaje się nie do wiary, ale... uczniowie Jezusa niezłomnie wierzą, że On w niedzielę rano wyszedł z grobowca i żyje znowu!

Fara prostując się z wielką powagą badawczo spojrzała w oczy Woldiemu. Czyż to możliwe? Czy Woldi w to wierzy?... Woldi jednak nie wiedział; nie wiedział, czy to jest możliwe, nie wiedział, czy wierzy w to.

- Wszelako — przyznał — to był człowiek o szczególnej mocy.
- Widziałam, jak przywrócił Hannę do życia — powie działa w zamyśleniu Fara. — Jakże niewierni byliśmy... myśląc, że Jego moc umrze z Nim razem... Woldi, ja w to wierzę! Jestem pewna, że On żyje!
- Jeśli to prawda — zastanowił się — wieść o tym rozejdzie się szybko. Mnóstwo ludzi, nie tylko rolnicy i rybacy z Galilei, interesuje się, czy może być życie po śmierci. Nie jest to sprawa błaha, gdy zmarły... kimkolwiek był za życia... zmartwychwstaje i chodzi po ulicach w biały dzień... i zasiada do wieczerzy ze swoimi przyjaciółmi.

515

- Jezus to uczynił? — Oczy Fary promieniały.
- Tak ludzie mówią, kochana.
- Muszę wrócić... odnaleźć Go! — wykrzyknęła go rączkowo.

- Nie ma pośpiechu — powiedział. — Jeśli On żyje, będzie żył... Teraz musisz zobaczyć się z Joną... i królem, i z królową. — Zerknął w górę na słońce. — Powinniśmy już wyruszyć, żeby tam dojechać przed zapadnięciem zmroku.

Fara wsunęła mu rękę pod ramię.

- Myślisz, Woldi, że oni się ucieszą, gdy nas zobaczą?

Wahał się trochę, zanim odpowiedział:

- Jona się ucieszy. Z pewnością.
- Ale król i królowa? — zapytała.

Woldi już ją prowadził do Darika. Odwrócił się i tonem szucznie obojętnym, wzbudzającym w niej jeszcze większą ciekawość, mruknął:

- Zbyt dużo się nie spodziewaj... wtedy nie będziesz rozczarowana. — Poklepał Darika po pysku, podniósł ją lekko i posadził w siodle. — Jedź do obozowiska króla, niech sprowadzą mi konia. Będę dreptał z tym twoim niemądrym osiołkiem.

- Jeśli powędrujesz z Jasperem — Fara roześmiała się — rzeczywiście będziesz dreptał. On nigdy się nie spieszy.

Ściągnęła wodze w dłoniach. Woldi spoważniał.

— Jeszcze jedno, ukochana — powiedział. — Gdyby

Deran tam był, postaraj się nad sobą panować.

Zdumiona tymi słowami zwlekała z odjazdem, ale Woldi ponaglił ją machnięciem ręki. Spinając piętami Darika wyruszyła w niedaleką już drogę do kraju.

Woldi, gdy zniknęła mu z oczu, zastanowił się, czy nie powinien był



wyrazić się jaśniej, albo też, co byłoby jeszcze lepsze, powstrzymać się od takiego napomknięcia o sytuacji w rodzinie królewskiej. Może intuicja podpowie Farze częściowe wyjaśnienie. Fara chyba pamięta, że Deran okazał się nieżyczliwy. Może więc będzie przygotowana na to, że zazdrosny królewicz powita ją wrogo. Jakoś trudno Wol-diemu było mówić Farze o tym, że Deran w swej zawiści wziął się na niego; wkrótce odkryje to sama.

516

Nieraz Woldi myślał, że król bezwiednie mu zaszkodził, mianując go następcą jego zasłużonego dziadka w Radzie Królewskiej. Królewicz Deran miał to ojcu za złe i głośno z tego szydził. Dawni druhowie Woldiego, którzy pochwalali tę nominację, narażali się na niechęć królewicza.

Na parę dni przed wyjazdem Woldiego kilkunastu jego druhów, synów bądź wnuków doradców i szejków, zaprosiło go na polowanie w głębi górskich lasów. Tamtej nocy przy obozowym ognisku zwierzyli mu się: organizują opozycję przeciwko królewiczowi, który, jak powiedzieli, stał się tak butny i tak wszystkim nienawistny, że jego wstąpienie na tron byłoby nieszczęściem dla narodu. Woldi wtedy próbował złagodzić ich gniew... „On jest jeszcze młody. Cierpliwości. Może się zmieni, gdy dorośnie.”

„Rzecz w tym — wyjaśnili — że królowa świata poza synem nie widzi i tylko zachęca go do wybryków.”

„A król?” — zapytał Woldi.

„Łagodny, miłujący pokój Zendi, cokolwiek myśli o istniejącej sytuacji, nic nie robi, żeby temu zaradzić.”

„Faktem jest — powiedział bez ogródek Musef — że Arabia potrzebuje króla o donośnym głosie i gwałtownym usposobieniu. Kogoś takiego jak brutalny stary Aretas, który potrafił przekrzyczeć i skłać najbardziej zadzierzystych szejków w naszym kraju.”

Na to Woldi odparł spokojnie:

„Zapomnijmy, że poruszaliśmy tę sprawę. Taka rozmowa to zdrada...”

„Ktoś powinien powiedzieć Deranowi — burknął Rabot — że on po cienkim lodzie stąpa.”

Woldi położył kres tej rozmowie, wywołując ogólny śmiech żartobliwym przypomnieniem Rabotowi o owej myszy, która uznała, że trzeba zaopatrzyć kota w dzwonek, ale stwierdziła, że żadna mysz nie chce podjąć się tego zadania.

Przez całą drogę pod górę Fara pamiętała o zagadkowym ostrzeżeniu Woldiego — a więc spotka ją chłodne przyjęcie. Woldi na pewno by nie przesadzał, nie wyolbrzymiałby

517

wrogości ze strony młodego Derana. Królewicz, któremu zawsze było wszystko wolno, jest niepohamowany. Już w dzieciństwie był niegrzeczny i bezczelny. Bez wątpienia Woldi wracając poprzednim razem do Arabii spotkał się z nowym dowodem jego wrogości.

W obozowisku króla Farę natychmiast otoczyli przywiązani do niej słudzy, którzy wylegli ze swoich namiotów, stajni i zagród. Jona, a raczej cień dawnej Jony, płakała ze szczęścia. Stary Kedar wysłał jeźdźca z zapasowym koniem dla Woldiego. Jak dotąd był to powrót radosny.

Ale w godzinę później, gdy Fara i Woldi zasiedli do wieczerzy z rodziną

królewską, radości i entuzjazmu nie było.

Fara wstrząśnięta zauważyła, że król Zendi w ciągu tych trzech lat bardzo się postarzał. Włosy na skroniach mu posiwiały, twarz wychudła i zmizerniała. Uśmiechał się blado, przelotnie i niewiele miał do powiedzenia. Za to Renna rozkwitła, jak gdyby czerpała pożywkę z ubywających sił Zendiego. Arabią nigdy nie rządziła królowa, Arabia była wyraźnie krajem mężczyzn. A przecież Fara widząc, jak władczo królowa patrzy na biernego króla, wywnioskowała, że ten Zendi, miłujący pokój, właściwie już abdykował.

Deran wkroczył dumnie, gdy wieczera dobiegała końca. Rozsiadł się przy stole i dopiero wtedy powitał dwoje gości niedbałym kiwnięciem głowy, tak, jak gdyby rozstał się z nimi nie dawniej niż przed godziną. Widać było, że już wypił za dużo.

— Krąży wieść, doradco Woldi — powiedział z protekcyjnym uśmiechem — że w końcu wyrównałeś rachunki z tym starym łotrem w Galilei. W jaki sposób to zrobiłeś? Pchnąłeś go sztyletem w plecy, gdy spał?

Woldi nie odpowiedział na tę wyraźną obelgę; udał, że jej nie słyszy. Po chwili rozejrzał się i napotkał pełne oburzenia oczy Fary. Ostrzegł ją wzrokiem, że powinna nad sobą panować. Szybko powściągając gniew okazała zdumienie: „Doradca?” Zrozumiał to bezgłośnie pytanie. Jeszcze jej nie powiedział, że został powołany do Rady Królewskiej.

Nastąpiła krótka chwila niezręcznej ciszy, którą przerwała Renna chłodnym, niewesołym śmiechem.

— Może doradcy Woldiemu twoja uwaga nie wydaje się

zabawna, Deranie — wycedziła. Po czym, uśmiechając się sztucznie do Woldiego, dodała: — Królewicz to taki kpiarz -- I zwróciła się do Fary: — Nigdy nie wiadomo, kiedy żartuje — Od razu jednak wiadomo, kiedy nie żartuje — 00d- parowała dziewczyna.

Woldi delikatnie zganił ją ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

Deran teraz miał świetną zabawę. Jeśli Woldi nie jest skory do kłótni, może uda się rozdrażnić Farę tak, by niebacznie okazała brak szacunku królewiczowi Arabii. Z ironicznym uśmiechem odezwał się do niej:

- Widzimy, że księżniczka Fara wraca do nas cięta w języku bardziej niż kiedykolwiek przedtem. A mieliśmy nadzieję, że jej długi pobyt u potulnych żydowskich krewnych...
- Daj spokój, Deranie — przerwała mu zniecierpliwiona matka. — Dostyc już kpin, proszę.

Woldi ku zdumieniu wszystkich zwrócił się do króla, który w czasie przykrej sceny siedział poważny, od czasu do czasu potrząsał siwą głową, ale nie mówił nic.

- Miłościwy panie, jeśli raczysz mi darować, chciałbym pojechać do domu, zobaczyć się z rodzicami.
- Oczywiście, Woldi — odrzekł król z wyraźną ulgą. — Powinieneś pojechać, dopóki świeci księżyc. Przyjmiemy cię jutro.

Woldi wstał od razu. Ukłonił się głęboko ich królewskim mościom, uśmiechnął się do Fary, królewicza zignorował i

wyszedł.

— Czy mogę już odejść? — prawie szeptem Fara prosiła królową. — Widziałam się tylko przez chwilę z biedną Joną. Ona czeka na mnie.

Renna uśmiechnęła się półgębkiem i przytaknęła. Fara złożyła ukłon królowi i wyszła szybko.

Deran rozparł się wygodniej, ziewnął i zachichotał. >

- Było trochę uciechy!
- Jesteś głupcem — mruknął ojciec.
- Na pewno Deran nie chciał nic złego, Zendi — odezwała się Renna. ■\$
- Deran jest głupcem! — wrzasnął Zendi. <

519

Ale teraz ludzie w Arabii mieli większe zmartwienie niż głupota królewicza Derana.

Z długimi przerwami, przeważnie latem występowały bardzo liczne przypadki nagłego paraliżu, pozostawiającego trwałe kalectwo i atakującego głównie dzieci, chociaż zdarzało się, że porażał również osoby dorosłe. Tego lata tajemnicza owa choroba, na którą nie było lekarstwa, przybrała raptownie rozmiary epidemii. Przerażone matki starały się trzymać dzieci przy sobie, to jednak wcale nie zapewniało bezpieczeństwa. Nieszczęście spadało ni stąd, ni zowąd. Spadało na oślep, nie respektując możnych, czego dowodem był fakt, że nie ominęło królewicza Derana. Wieść o tym rozeszła się błyskawicznie. Arabia jednak doskonale panowała nad swymi uczuciami. Szejkowie i pasterze nie

odważyli się mówić: „Dobrze mu tak”. Tylko marszczyli brwi i obojętnie wzruszali ramionami, co wychodziło na to samo, a nie mogło być później wykorzystane przeciwko nim.

## 26

Nigdy nie było w Jerozolimie poranka piękniejszego niż ten w dniu Pięćdziesiątnicy.

O świcie każdą drogą prowadzącą do miasta już zdążali żądni zabawy wieśniacy. Po godzinie gościńce były zatłoczone.

Raz po raz piesi uskakiwali pod żywopłoty, bez niechęci dając pierwszeństwo okazałym karawanom z dalekich krajów i zgoła się nie przejmując wyniosłymi spojrzeniami wytwornych cudzoziemców.

Po wkroczeniu w ozdobione jaskrawo bramy miejskie, świąteczny tłum przepychał się do bazarów, podczas gdy poważni ludzie interesu, obojętni na wesoły nastrój miasta, udawali się Bramą Owczą i pod górę stromą ulicą Betanii do zajazdu Lewiego, gdzie brali orzeźwiająca kąpiel, zmieniali bieliznę i mogli spokojnie odpocząć przed słynną popołudniową aukcją wielbłądów.

## 520

Nie opodal zajazdu Lewiego, nieco niżej na wzgórzu, stała mocna budowla kamienna, która od dawna służyła jako siedziba cechowi kotlarzy. Chociaż szpetna, nie przynosiła ujmy swemu otoczeniu, ponieważ ów cech był jedną z najczcigodniejszych instytucji w Jerozolimie. Pierwszy udzielił dobrowolnie dużej pomocy Nehemiaszowi, gdy odbudowywał on mury miasta przeszło dwieście lat temu.

Wysoko sklepione piętro budowli, na które prowadziły schody zewnętrzne, mieściło salę zebrań. Miejsc w sali było około dwustu i poza tym, że odbywały się w niej zebrania cechu, odnajmowano ją często na zjazdy zrzeszeń, mających wielu członków zamiejscowych.

Tego dnia rano właśnie tam stopniowo zaczęli napływać ludzie wszelkiego pokroju, których, jeśli w ogóle łączyło ze sobą coś widocznego, to tylko wspólna niepewność co do celu przybycia. Na ogół przybywali pojedynczo. Przeważnie byli to niemłodzi, przyodziani skromnie wieśniacy. Wolno, nieśmiało po kamiennych schodach szli do brudnej starej sali i zatrzymywali się nie wiedząc, co mają robić dalej. Nie było służących, nie było nikogo, kto by wyglądał na odpowiedzialnego za to tajemnicze zgromadzenie. Po długiej chwili wahania przy drzwiach wieśniacy znajdowali sobie miejsca, siadali i czekali. Nieliczni dobrze ubrani ludzie wyższego stanu wydawali się pomimo całej swej wytworności tak samo zagubieni jak ci prostaczkowie z prowincji.

Jair odwrócił się do młodego Joela, gdy przystanęli w drzwiach, żeby rozejrzeć się po na pół zapełnionej sali, i zapytał:

—Są tu jacyś twoi znajomi, przynajmniej z widzenia?

Joel potrząsnął głową przecząco, ale zaraz sprostował:

- Tam jest ktoś — szepnął — kogo poznaję. Nazywa się Mika. Pracował w winnicy tetrarchy.
- Ciekawe, co go tu sprowadziło? — mruknął Jair-
- Jego córeczka była niewidoma — powiedział Joel. — Jezus otworzył jej oczy. Widziałem to, panie. Zeszłego lata. Ale słyszałem parę dni temu, że ta dziewczynka niedawno umarła. Na jakąś gorączkę... Może dlatego tu przyszedł.

- Chcesz powiedzieć... może Mika myśli, że Jezus... teraz, gdy żyje znowu..-, przywróci mu córeczkę?

521

- A bo ja wiem, panie — wyszeptał Joel.
- Przypuszczasz, że ci wszyscy ludzie znali Jezusa?
- Możliwe, panie.

Znaleźli sobie miejsce daleko na końcu sali. Wkrótce potem wszedł jakiś dostojny, gładko ogolony Rzymianin o włosach szpakowatych, krótko przystrzyżonych i od razu ruszył na tyły. Usiadł przy końcu rzędu, jednym wolnym miejscem oddzielony od Jaira. Bez słowa spojrzeli na siebie życzliwie. Potem dość długo nie przychodził nikt więcej. Najwidoczniej zebrali się już wszyscy wezwani. Zardzewiałe zawiasy dębowych drzwi w bocznej ścianie zaskrzypiały. Wszyscy odwrócili głowy w tamtą stronę i zaintrygowani patrzyli, jak ciężkie dźwierze otwierają się i zamykają, chociaż nikt ich nie dotknął. Jair rzucił pytające spojrzenie Rzymianinowi, w tej samej chwili Mencjusz uniósł brew, spoglądając na Jaira, żaden z nich jednak się nie odezwał. Zbici z tropu ludzie znów patrzyli przed siebie. W sali zapanowała dziwna cisza.

Nagle olbrzym, siedzący w pierwszym rzędzie, wstał i śmiało wszedł na mównicę. Jedyne kilku z obecnych nie rozpoznało go, ale nawet ci, którzy widywali Wielkiego Rybaka, gdy trwał u boku Jezusa, osłaniając Go przed naporem tłumów, zauważyli natychmiast, że bardzo się zmienił.

Nie zawsze podobała im się jego postawa w tamtych niezwykłych dniach. Utrzymywał porządek, owszem, i pilnował, żeby ludzie przynoszący chorych czekali na swoją kolej. Ale jego postępowanie nieraz



ich drażniło. Zachowywał się tak, jakby miał na własność teatr, w którym Jezus był głównym aktorem. I nierzadko ktoś z obrażonych, bezceremonialnie pchniętych z powrotem w tłum, utyskiwał: „Za kogo się ten siłacz uważa?”

Czyżby jakiś cud stał się z Piotrem?

Piotr miał inną twarz. Dawniej na tej twarzy malowała się nieomal pycha, oczy patrzyły zuchwale, usta były pogardliwie wydęte. Teraz miał twarz uduchowioną, zmarszczki, głęboko wyżłobione przez jego dawną butę i fanfaronadę, zniknęły. Pozostało wiele innych zmarszczek, ale tych nie wyżłobiło zarozumialstwo: Piotr najwidoczniej cierpiał i tym zasłużył na swoje nowe oblicze.

522

Być może, do złagodzenia, wysubtelnienia jego rysów przyczynił się zmieniony kolor włosów. Gęsta czupryna dawniej kruczoczarna, posiwiiała miejscami. Przetykały ją nitki szare, a na skroniach i nad środkiem czoła szerokie pasma włosów bieleły jak śnieg. Czarna broda, dawniej rozwichrzona, teraz była krótsza i w niej też błyskała siwizna. Twarz Piotra zatraciła swą surowość, nabrała godności... Mencjusz, który raz widział tego olbrzyma biegnącego ulicą, poznał go tylko po nadzwyczaj wysokim wzroście. Gdy wrócił na „Vestris”, powiedział Fulwiuszowi, że mocarny Galilejczyk, przewodzący zebraniu w dniu Pięćdziesiątnicy, to najdostojniejszy, najbardziej majestatyczny człowiek, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć.

Ale przede wszystkim ten przeobrażony uczeń Jezusa wyróżniał się swym niezwykłym głosem, donośnym i władczym. Gdy na wstępie oznajmił, że przemawia w imieniu Żyjącego Chrystusa do wybranych,

którzy z szacunkiem czekają na wieść od Niego, było jasne, że nikt nie wątpi o prawdzie posłannictwa Piotra.

Bóg od początku miał nadzieję — powiedział Piotr — że Jego dzieci odziedziczą Królestwo. Bóg nie zmusza swoich dzieci, aby przyjmowały dobrodziejstwa tego dziedzictwa. Daje im wolną wolę, pozwalając sięgnąć po nie bądź je odrzucić.

Wszelako nie pozostawił ich Bóg w niewiedzy o skutkach powziętych decyzji. Każde pokolenie miało natchnionych proroków, którzy błagali ludzi: „Przyjmijcie waszą niebiańską spuściznę, radujcie się nią!” Mało kto jednak zważał na to posłanie. Osamotnionych proroków chciwi, żądni władzy ich wrogowie wtrącali do lochów, katowali i kamienowali.

Bóg okazywał złoczyńcom cierpliwość. Raz po raz w ciągu stuleci ludzkość zbierała tak straszne plony swoich karygodnych czynów, że nawet królowie i wojownicy patrzyli ze zgrozą na tragedie spowodowane przez siebie. I zawsze pośród zniszczenia i lęków, które dręczyły zarówno sprawiedliwych, jak niesprawiedliwych, prorocy wołali: „Teraz zaczniemy na nowo! Odbudujemy ruiny! Naprawimy spustoszenie świata!”

523

Ale gdy krótki dzień pokoju przynosił dobrobyt, powstawali nowi tyrani i zaraz znów grabież, niewolnictwo i rzezie wywoływały nieufność i strach w dzieciach ludzkości. Berło przechodziło z jednej krwią poplamionej ręki do drugiej, gdy narody kosztem bezradnych zmagwały się w walce o coraz większą potęgę.

Tu Wielki Rybak umilkł i dopiero po długiej chwili niczym nie zmaconej ciszy dokończył omawiania nieszczęsnych dziejów ludzkości. Czas nadszedł, by świat wstrząśnięty się przebudził. Bóg zesłał Syna

swojego, aby uzdrawiając chorych, pokrzepiając zbolące serca, otwierając oczy ślepcom, głosił, że nastąpiła nowa era dobrej woli wśród ludzi.

Świat Go nie przyjął. Wzgardzony, biczowany Syn Boży poniósł haniebną śmierć! Ale zmartwychwstał i widziało Go wielu. Teraz powrócił do Domu Ojca. "^^

—Myślicie przeto — zapytał Piotr — że wola Boga poszła na marne? Myślicie, że Duch Jego już opuścił ludzi? Ja wam powiadam, że nasz Chrystus jest Królem! Zaczyna panować! I panować będzie, aż wszystkie królestwa tego świata staną się Jego Królestwem!

Przez chwilę zebrani myśleli, że Piotr skończył przemawiać, bo stał w milczeniu, z głową pochyloną, jak gdyby modlił się. Ale potem ogarnął wzrokiem ich wszystkich, stu dwudziestu, i rzekł:

—My, którzy ufnie wierzymy w Niego, zostaliśmy wezwani tutaj, aby przyjąć niewątpliwe dowody, że Duch Święty przebywa z nami. I od dnia dzisiejszego mamy poruczone głoszenie dobrej nowiny o Jego zwycięskim Królestwie!

Nagle się wyprostował i wzniosł oczy w górę, jak gdyby coś go uderzyło. Słuchacze również spojrzeli w górę. Tuż nad głową Wielkiego Rybaka, dotykając jej, jaśniał kar-mazynowy płomień w kształcie płomienia pochodni!

Grube dębowe drzwi otworzyły się na oścież, mocno uderzając o ścianę. Z ogłuszającym rykiem wdarła się do sali potężna burza. Przestraszeni ludzie trzymali się łań, przywierali do siebie w podmuchach wichury. Było tak, jak gdyby świat się kończył! I nagle

nad głową każdego z obecnych ukazał się płonący język. Łuna tego ognia miała

524

w sobie coś radosnego. Niektórzy zaczęli krzyczeć w upojeniu. Inni płakali z radości. Nieznajomi chwyтали nieznajomych za ręce i przyglądali się sobie zadziwieni. Jair objął ramieniem płaczącego Joela. Mencjusz oburącz zasłonił oczy i potrząsał głową. Józef z Arymatei ścisnął rękę Hasana.

Aż te płomienie podobne płomieniom pochodni zniknęły gdzieś i burza minęła tak raptownie, jak się rozpętała. Każdy już stał, wszyscy mówili jednocześnie na cały głos, aż w tym hałasie mogło się wydawać, że burza nadal szaleje. Mencjusz, człowiek przecież niełatwo tracący panowanie nad sobą, teraz odwrócił się do Jaira i krzyknął po grecku:

— Przecież to nadzwyczajne!

Jair od razu, chociaż nigdy nie uczył się greckiego, odpowiedział tym językiem:

— Chyba Bóg nas odwiedził!

Młody Joel, przysłuchując się ze skupieniem, potwierdził to skinieniem głowy. Na pytanie Jaira, czy zrozumiał, co oni mówili, odpowiedział, że tak, i dodał po aramejsku:

— Tak jest, panie! Sam Bóg był tutaj!

Ale to pandemonium w cechu kotlarzy nie miało być tajemnicą. Ryk burzy dał się słyszeć w całym mieście. Z zajazdu Lewiego możni goście wybiegli na ulicę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Było jasne, że furia tej burzy ogranicza się do sali cechu. Pospieszyli po schodach na górę, gdy już po huraganie panowała w sali radosna wrzawa. Ujrzeni tam rzeczy

przedziwne.

Dumny wysoki Kreteńczyk powiedział cierpko do swego przybocznego strażnika ojczystym dialektem, ciekawie łączącym w sobie egipski i grekę:

— Ba! Oni wszyscy są pijani!

Piotr, który szedł ku drzwiom, odpowiedział mu w tym samym gardłowym narzeczu kreteńskim:

- Ci mężowie nie są pijani! Oni się radują, bo Królestwo Boże jest bliskie! Na świat spłynie spokój! Niewolnicy będą wyzwoleni! Bóg obwieścił nowy dzień!
- Jak się stało, że mówisz naszym językiem? — zapytał cudzoziemiec. — Wszakże nie jesteś obywatelem Krety!
- Jestem obywatelem Królestwa Bożego! — oświadczył Piotr. — I odtąd Królestwo obejmuje też i Krete!

525

- Powiadasz... wszyscy niewolnicy mają być wyzwoleni?
- Tak... i panów ich również będzie się wyzwalać. Nikt nie jest wolny, gdy inni są niewolni!
- Należy cię uwięzić! — warknął Kreteńczyk. — To, co mówisz, jest zdradą!

Spór zwrócił ogólną uwagę. Kilku oświeconych podeszło i poparło Piotra, przy czym oni też władali swobodnie tą barbarzyńską kreteriską gwara. Kretericzyk z wyrazem bezradności w oczach podniósł łokieć, jak gdyby osłaniał się przed ciosami, i powoli cofnął się do drzwi.

— Nie! — mamrotał. — Nie!

Sala cechu szybko opustoszała. Na ulicy kłębił się ogromny tłum oszołomionych ludzi. Ci, którym zostało poruczone zadanie, rozpromienieni, pewni siebie weszli w ciżbę wołając:

— Królestwo Boże nastaje dla wszystkich wierzących w Jezusa!

Rozproszyli się po całym mieście i wszędzie głosili tę nowinę. Nie bali się. Zatrzymywali rzymskich legionistów na ulicach, żeby zapowiadać im nowe Królestwo, a legioniści zdumieni takim zuchwalstwem nie próbowali ich pojmać.

Tamtego dnia trzy tysiące mężów w Jerozolimie powiedziało, że wierzy w Królestwo Boże i że będzie wraz z nawiedzonymi przygotowywało świat do panowania pokoju.

Późnym wieczorem, gdy Galilejczycy Jezusa siedzieli gromadką w domu Ben-Josefa i milczeli, wyczerpani zdumiewającymi wydarzeniami dnia, Filip, który głosił nowinę niedowiarkom na targu wielbłądów, rzekł:

— Podobno księżę Arabii dotknięty jest paralizem.

Piotr nic na to nie powiedział, ale najwyraźniej przejął się tą wieścią, bowiem po chwili wstał i usiadł w przeciwległym kącie słabo oświetlonej izby. Łokcie oparł na kolanach, twarz ukrył w dłoniach, widać było, że pasuje się z jakimś trudnym zagadnieniem.

Po pół godzinie cichych rozmyślań zostawił towarzyszy

526

i poszedł wolno pod górę do Ogrodu Getsemani. Tam, klękając przy wielkim głazie, zaczął modlić się gorąco. Czyż byłoby możliwe, żeby Bóg

posłużył się nim jako zwiastunem dobrej woli wobec nieprzyjaznej Arabii?

## 27

Przez jakiś czas władze w Jerozolimie były tak zdumione odwagą nowego ruchu, że nie podejmowały żadnej akcji.

W ciągu tygodnia po Pięćdziesiątnicy liczba ludzi nawróconych, którzy uwierzyli w obietnicę pokoju w Królestwie Bożym, mającym pognać wszystkie tyranie, wzrosła do pięciu tysięcy.

Wielu z nich szczerze wierzyło w cudowną moc natchnionego Galilejczyka. Znacznie liczniejsi wprawdzie nigdy nie widzieli Go ani nie słyszeli, ale byli gotowi przyłączyć się do każdej grupy, która by gwarantowała wyzwolenie spod ucisku. Zachłanne Cesarstwo Rzymskie przygotowywało się, żeby ich osaczyć, niewiele więc mieli do stracenia, biorąc udział w tej pogoni za wolnością. Jedni chcieli ocalić swoje dusze, inni swoje głowy. Wszystkim zagrażało rychłe nieszczęście. W czasie burzy każda przystań jest dobra.

Na próżno ojcowie miasta próbowali zdławić ten ruch, oświadczając, że zgromadzeni w sali cechu kotlarzy w Pięćdziesiątnicę spiskowali, wymyślili fantastyczne kłamstwo, żeby rozgłaszać je na zatłoczonych rogach ulic i w Świątyni. Taką nieroztropność mogłoby przejawić trzech ludzi, ale przecież nie stu dwudziestu! I dałoby się nabrać na taką wymyślną baśń może z dziesięciu, ale przecież nie pięć tysięcy!

Członkowie Sanhedrynu odbywali całodzienne posiedzenia, głaskali się po brodach, już to proponowali, już to odrzucali najróżniejsze środki

zaradcze, poczynając od polubowności i na upomnieniach oraz karach kończąc, po czym odkładali ciąg dalszy debaty do dnia następnego.

527

Wielce szanowany, czcigodny Gamaliel, główny doradca prawny ustawodawców Izraela, gdy prosili go o radę, przypomniał im, że już nieraz grupy ludzi niezadowolonych, a więc krnąbrnych, wszczynały rewolty, ale te małe burze szybko cichły.

— Dajcie zaślepionym Galilejczykom trochę czasu. Ich sprawa, jeśli jest niegodna uwagi, zgaśnie. Jeśli jest natchniona przez Boga, jak oni uparcie twierdzą, nie zdołacie jej udaremnić, choćbyście chcieli.

Ta rozsądna wypowiedź przyniosła pewną chwilową ulgę. Sanhedryn zaczeka i zobaczy... Ale nie musiał czekać długo. W to samo popołudnie rozeszła się wiadomość, że na tarasie przed Świątynią Piotr, przywódca nowego stronnictwa, podniósł jakiegoś bezradnego paralityka i stawiając go na nogi, rozkazał mu chodzić, a on zaczął chodzić rzeczywiście. Nie była to roztrąbiona bajka. Sto osób to widziało. Ów paralytyk siedział na stopniach Świątyni od lat w każdy pogodny dzień, podsuwając przechodniom miseczkę na jałmużnę. Teraz podskakuje i krzyczy z radości. Cokolwiek będzie odczuwał jutro, gdy zrozumie, że utracił zajęcie, dziś cieszy się ogromnie. Jeśli Sanhedryn miał przedstawić jakieś prawdopodobne wyjaśnienie tego wydarzenia, należało się namyślić dobrze i prędko!

Co do Piłata, raczej nie dawał on wiary opowieściom o cudach. Uważał, że cały ten ruch to tylko naturalne następstwo błędu Jerozolimy, jakim było ukrzyżowanie nieszkodliwego Proroka. Przyjaciele ofiary poniewczasie zrzucają maski. Chyba lepiej jest nie wtrącać się do tego,



nie nadawać wagi temu stronnictwu przeciwstawianiem się mu. Jeśli Sanhedryn zażąda działania, trzeba będzie działać. Tymczasem Insula może udawać, że o niczym nie wie. Zmęczony prokurator nie czuł się zobowiązany do ułatwiania sytuacji zakłopotanemu Sanhedrynowi.

Tak więc nie napotykając żadnego sprzeciwu, jerozolimski ruch szerzący ideę Królestwa przybierał na sile, co uwidoczniło się w założeniu organizacji Chrześcijańska Eklezja. Zebrania członków miejscowych odbywały się wszędzie w mieście. Zebrania ogólne w ogromnym pustym składzie.

Zdumiewający był ten niespodziewany tryumf nowej

528

sprawy, toteż mała gromadka pierwszych uczniów czekała ufnie na ponowne pojawienie się Pana i spełnienie Jego zapowiedzi „pokoju na ziemi i dobre, woli wśród ludzi Dobrze będzie - myśleli - poczynić przygotowania przed Jego przybyciem, łącząc zgodnie wszystkie odmienne pierwiastki, jakie składają się na Eklezję.

Piotrowi przyszło na myśl, że jesh ludzie różnego pokroju będą umieli mieszkać razem i prowadzić wspólne gospodarstwo, mogłoby to być dla Jerozolimy widocznym I przykładem tolerancji.

Zaproponował założenie komuny. Nikt nie musi należeć do niej, ale każdy, kto zechce należeć i zaznawać jej dobrodziejstw, powinien sprzedać swoje nieruchomości, jeśli je posiada, i uzyskane pieniądze wnieść wraz ze swym domowym mieniem do nowego wspólnego domu, gdzie zamożni i ubodzy będą mogli i mieszkać na równych warunkach. Ci, którzy nie posiadali prawie nic, uznali, że to wspaniały pomysł. Szczęśliwsi, którzy mieli co wnieść, nie byli tego tacy

pewni, ale Piotr dał już dowody swej nadprzyrodzonej mocy, żywili więc nadzieję, że pod jego zarządem ten eksperyment

## CI<sup>^\*</sup> 11 Cł CK

Cóż 'kiedy projekt nie zdał egzaminu. Teoria Piotra, że im lepiej ludzie się poznają, tym bardziej będą się miłować, okazała się błędna. Fakty świadczyły o tym, że w miarę wzajemnego poznawania się wzajemna nieufność przechodziła z obojętności i pogardy w otwartą wrogość.

Na próżno Wielki Rybak błagał o zgodę. Raz po raz powtarzał w swoich przestrojach, że Bóg może przyjść w każdej chwili, a gdy przyjdzie, będzie się spodziewał zastać swoich wiernych wyznawców gotowych Go powitać. Ale te upomnienia, aczkolwiek przyjmowane z szacunkiem \_ bo oni wszyscy ubóstwiali Piotra - nie zapobiegały kłótniom. Grecy skarżyli się, że liczniejsi od nich Żydzi przydzielają im żywność i odzież w sposób niesprawiedliwy. Może mieli rację, ale też może racji nie mieli, bo na ogół Grecy w Jerozolimie byli przewrażliwieni. Jakikolwiek był powód narastających sporów, komuna stała się dla Piotra źródłem gorzkiego rozczarowania.

Czyż możliwy jest na świecie pokój powszechny, ,esh

nawet stu oddanych wyznawców Chrystusa w najpobożniejszym mieście pod słońcem nie potrafi żyć bez codziennych kłótni?

Ostatecznie Piotr mianował radę złożoną z siedmiu przedstawicieli, żeby zarządzała dobrem komuny, a sam poświęcił się głównie

odwiedzaniu ubogich w całym mieście. Komuna, pozbawiona jego bezpośredniego nadzoru, szybko podupadła i zaczęła budzić zgorszenie. Teraz Sanhedryn rzeczywiście miał argument przeciwko niewidzialnemu Królestwu i energicznie to wykorzystał. Piłat odkomenderował kilka oddziałów żołnierzy do zlikwidowania nieszczęsnej komuny, po czym zakazał mówić o Królestwie zarówno prywatnie, jak publicznie. Piotr usiłował ratować to, co zostało z jego placówki, i w rezultacie wtrącono go do więzienia. Tejże samej nocy zakratowane drzwi celi cicho otworzyły się przed nim. Ostrożnie przestępując nogi strażników śpiących na więziennym korytarzu wyszedł i udał się do swego mieszkania. Nazajutrz nie próbowano pojmać go ponownie. Władze więzienne nazbyt były zakłopotane owym incydem. Piłat szyderczo doradził im, żeby nie narażały się po raz drugi na taką kompromitację.

Piotr wolny, pozostawiony w spokoju, nadal chodził nieustraszenie po mieście, przy czym tak zasłynął ze swojej mocy duchowej, że wynoszono chorych — wierzących i nie wierzących w Chrystusa — na ulice pragnąc, żeby cień tego wielkiego człowieka padł na nich, bo mogłoby to ich uzdrowić.

Nieszczęśliwych stronników Chrześcijańskiej Eklezji rozpędzano, uciszano, zastraszano, więziono i kamienowano. Piotr patrzył na rozpad swej budowli jerozolimskiej bez przerażenia. Zważywszy ogrom wrogich sił i tak dziwne było, że w ogóle przez jakiś czas istniała. Ruina ta nie oznacza upadku Królestwa. Piotr wiedział, że Królestwo Chrystusowe zatryumfuje, chociaż nie dziś, nie jutro, chociaż wymagać to będzie wiele trudu.

I chyba dobrze się stało, że jerozolimskie doświadczenie ze wspólnotą skończyło się szybko i zdecydowanie.

Gdyby istniał choć cień nadziei, że przy pewnym wysiłku

530

da się coś naprawić, uczniowie Jezusa może czuliby się zobowiązani trwać przy tym na dobre i na złe, ale ponieważ nastąpił rozpad zupełny i nic nie zostało do naprawiania, uczniowie mając inne misje natychmiast wyruszyli z Jerozolimy — Filip do Antiochii, Andrzej do Damaszku, Tadeusz do osad rybackich nad Morzem Galilejskim, Mateusz do Kafarnaum i Betsaidy, Jan i Jakub do Asz-kałonu, Gazy i Idumei, Tomasz do Partów w Indiach, sędziwy Nataniel Bartłomiej do Jerycha, po czym z powrotem w rodzinne strony, gdzie umarł.

Dowiedziawszy się, że nieduża grupa chrześcijan zbiera się potajemnie w Joppie, Piotr postanowił ich odwiedzić. To nędzne stare miasto ostatnio się ożywiło, wyrwane z odrętwienia poczynaniami Cesarstwa na wybrzeżu. Gdy rozpoczęły się prace przy przebudowie portu, liczba ludności trzykrotnie wzrosła. Nowymi mieszkańcami byli przeważnie niewolnicy, z których większość nie przywykła do harówki z łopata i kilofem i którzy składali teraz daninę swego krwawego potu i pokaleczonych dłoni za to, że nie zdołali obronić siebie i swoich społeczności przed zachłanną tyranią Rzymu. Oczywiście roztropniej czynił ten, kto trzymał się z daleka od ruchu chrześcijańskiego w Joppie, zwłaszcza jeśli jak Piotr, wysoki i barczysty, rzucał się w oczy. Piotr jednak nie lękał się.

Bardzo wzruszyło go przyjęcie, jakie mu w Joppie zgotowali spracowani zrozpaczeni ludzie. Nie miał tam żadnych dawnych

znajomych, na których mógłby się powołać. A przecież ci niewolnicy odnieśli się do niego z wielką ufnością, chociaż w swej niebezpiecznej sytuacji musieli być ostrożni. Rzymianie skutecznie zapobiegali wszelkim możliwościom wybuchu powstania wśród tych inteligentnych ludzi, wziętych do niewoli z racji politycznych; wszelkie zwierzanie się obcom przybyszom mogło mieć fatalne następstwa.

Zamieszkał w skromnym domostwie pewnego garbarza w pobliżu portu i szybko pozyskał sobie zaufanie małomównego gospodarza, wierzącego, jak się okazało, w zapowiadane Królestwo sprawiedliwości i pokoju. Wkrótce też dowiedział się, że dom Szymona Garbarza jest miejscem tajemnych spotkań samotnych ludzi. Przychodzili oni nocą po dwóch, po trzech, zasiadali razem w słabym blasku kaganków, a Garbarz opowiadał, jak dobrze będzie kiedyś im wszystkim...

Teraz, gdy przybył Piotr, mogli słuchać opowieści o Boskim Nazareńczyku z ust człowieka, który dzień w dzień był u Jego boku. Wychudzeni, mizerni chłonęli najdrobniejsze szczegóły duszpasterstwa Pana; słuchali o cudach czynionych przez Niego, o Jego odważnej śmierci, powrocie do życia i — to najbardziej pokrzepiało ich serca — o przedziwnych świadectwach Jego obecności w dniu Pięćdziesiątnicy.

Mało kto z tych gorliwych słuchaczy znał język aramejski, wszyscy jednak znali grecki i chociaż greka Piotra nie była płynna, dobrze ją rozumieli. Często nawet mu podpowiadali trafne słowa.

— Pomagają ci opowiadać — rzekł raz Szymon Garbarz.

— Treść wtedy ma dla nich większe znaczenie. Nigdy nie staraj się porządnie wyuczyć greckiego. O wiele lepiej,

kiedy mówisz po grecku nie za dobrze.

Błogosławione były te czasy w Joppie. Wnosząc świeżą odwagę w serca uciemiężonych niewolników, jednocześnie umocniły wiarę Piotra w zwycięstwo Królestwa... Może świat uzna je wcześniej, niż myślał! Trzeba tylko głosić nieszczęśliwym w każdym narodzie, że wkrótce nastanie dla nich pokój i wolność — gdy uwierzą w tę obietnicę, jarzma ich staną się luźne, brzemiona staną się lekkie.

- Skoro — powiedział Piotr Szymonowi Garbarzowi — ci niewolni w Joppie, którzy mają tak ciężkie życie, uwierzyli w wyzwolenie świata i ufnie patrzą w przyszłość, chyba nie powinno być trudno ludziom wolnym i szczęśliwym uznać prawdę tej obietnicy.
- Myślę, że jesteś w błędzie, przyjacielu — odpowiedział Szymon Garbarz. — Właśnie wiara tych pokornych, tych w kajdanach, tych, którzy utracili wszelką ostoję na ziemi, przyspieszy nastanie Królestwa.

Pewnego dnia — a okazał się to ostatni dzień Wielkiego Rybaka w Joppie — Piotr późno po południu wszedł po wąskich schodach na płaski dach domu Garbarza, żeby

532

pomedytować w samotności. Jeszcze nie była pora wieczery, ale chciało mu się jeść, nawet bardzo. Stary i wątły Szymon Garbarz nie potrzebował jeść dużo. Piotr miał zdrowy apetyt. Raptem przyłapał się na tym, że myśli o przysmakach Hanny. Ona zawsze podawała obfite posiłki. Czasami kupowali tłuste jagnię i piekli je nad ogniskiem w ogrodzie. Zapragnął znaleźć się teraz w domu w Betsaidzie. Gdy tak marzył,

ogarnęła go senność, aż wyciągnął się wygodnie na macie trzcinowej i zasnął. Wkroczyły w jego sen wełniste owce i połyskliwe cielęta Galilei. Oto jagnię wiosenne, które można by kupić. Cóż, kiedy to jagnię, tak pożądane, poszło dalej, po czym owce i cielęta zniknęły. Wkrótce pojawiły się inne zwierzęta: dziwne, niekształtne, wstrętne bestie. Piotr zmarszczył brwi z obrzydzeniem.

Ktoś na macie leżącej obok poruszył się.

—Jesteś głodny, Piotrze — powiedział — może byś ubił któreś z tych zwierząt?

—Oj, nie! — usłyszał Piotr swoje mruknięcie.

Towarzysz ze snu roześmiał się cicho i wtedy Piotr spojrzał na niego. Był to urodziwy młodzieniec w wytwornej białej tunice, miał na głowie szeroką złotą opaskę, a na piersi złoty krzyż.

- Powinieneś zaznajomić się z tymi zwierzętami — rzekł z uśmiechem. — Takich nie ma w Galilei ani w Judei, ale ty je spotkasz. Świat jest ogromny, Piotrze, i cały należy do naszego Ojca... To wysokie niezgrabne zwierzę to żyrafa, a to niskie, niezbyt ładne, tam z tyłu to guziec. Następne to mrówko jad, a przy nim nosorożec...

- Są ohydne! — mruknął Piotr.

- A przy guźcu — ciągnął anioł nie zrażony tym, że Piotr mu przerwał — jest szympan. Trochę podobny do człowieka, prawda? A to stworzenie powłóczące nogami za szympansem to człowiek, pomimo że niezbyt się odznacza ogładą.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytał Piotr.

Tajemniczy gość przyciągnął swoją matę bliżej i przemówił tonem poważnym:

— Piotrze... zostałem przysłany po to, by ci powiedzieć, że masz poruczone bardzo doniosłe zadanie. Z misją swoją

533

udasz się w dalekie strony i będziesz spotykał wszelkie stworzenia Boże. Naucz się mówić sobie: Bóg albo stworzył nas wszystkich, albo żadnego z nas! W myśl zamierzenia Pana Królestwo służy całemu światu. Jeśli nie jest otwarte dla każdego, nie jest otwarte dla nikogo. Zostałem przysłany, żeby ci to powiedzieć.

Piotr obudził się teraz i był sam. Po chwili zobaczył zacnego starego Szymona chylącego ku niemu siwą głowę.

- Jacyś trzej obcy przybyli do ciebie — powiedział Szymon. — Z Cezarei.
- Czegóż mogą ludzie z Cezarei chcieć ode mnie? — zapytał Piotr niezadowolony.
- Powiedzą ci chyba — rzekł Szymon.

Jakże on nienawidził Rzymian! Od dzieciństwa gniewało go samo słowo „Rzymianin”. Ich konnica z twierdzy Kafarnaum czwórkami galopując po gościńcach Galilei napawała biednych wieśniaków lękiem prawie do utraty zmysłów, zmuszała do ucieczki kobiety i dzieci. Pijani legionieści chwiejnie wchodzili do sklepików i wrzaskiem domagali się obsługi. Sprośnościami znieważali kobiety na ulicach. Objadali się winogronami i melonami ze straganów. Piotr czuł do Rzymian odrazę.

I oto teraz był w Cezarei jako honorowy gość „Italii”, klubu



towarzyskiego, do którego należeli wyłącznie Rzymianie — cywile zatrudnieni w biurze prefekta.

Ci trzej jeźdźcy, odnajdując go w Joppie, oznajmili z szacunkiem, że Korneliusz, przewodniczący „Italii”, życzy sobie, żeby on natychmiast przyjechał do Cezarei na ważne spotkanie. Wielce oszołomiony Piotr niezdarnie dosiadł karego konia, którego mu przywieźli. I w jasnej księżycowej poświacie jechał razem z Rzymianami, takimi właśnie, jakich nauczył się nienawidzić! Byli gładcy, dobrze odżywieni, dobrze ubrani — w szkarłatnych tunikach ze znienawidzonym godłem: czarnymi orłami. Twarze mieli ogolone, włosy krótko przycięte, oczywiście czarne opaski na głowach. W czasie podróży przeważnie milczeli. O wezwaniu do Cezarei powiedzieli mu niewiele,

534

Korneliusz chce go widzieć, po prostu. Imię Korneliusz nic Piotrowi nie mówiło, ale najwidoczniej znaczyło dużo dla tych ludzi. Wymawiali je prawie z czcią. Później Piotr się dowiedział, że Korneliusz jest skarbnikiem rządu rzymskiego w Cezarei i cieszy się wielkim szacunkiem prefekta Sergiusza.

Podróż była pospieszna. Piotr nie umiał jeździć konno, toteż zmęczył się i kości go bolały. W Cezarei zabrali go od razu do zasobnej siedziby klubu. Wprowadzili go do pięknie umeblowanej komnaty gościnnej i powiedzieli, żeby odpoczął. Korneliusza jeszcze nie ma. Wykąpał się i przespał, z wilczym apetytem zjadł przyniesiony przez służącego posiłek. Teraz — po południu — zobaczył owego nieznanego człowieka, który wezwał go z Joppy.

We wspaniałym gabinecie siedział Korneliusz za dużym stołem do

pisania. Na widok Piotra wstał i nisko mu się uklonił, po czym wskazał wygodny miękki fotel, stojący obok. Piotr usiadł i przyjrzał się Rzymianinowi z zainteresowaniem. Był to czcigodny siedemdziesięcioletni starzec, o włosach białych jak śnieg i dobrotliwym obliczu. Głosem cichym, łagodnym powiedział z niejakim trudem po aramejsku:

- Może dziwi cię, panie, fakt, że cię wezwałem bez bliższego wyjaśnienia, co to za sprawa... — I naraz przerwał, żeby zapytać: — Czy przypadkiem nie mówisz po grecku?
- Niezbyt dobrze — przyznał Piotr.
- Czy twoja greka jest taka, jak mój aramejski?

— Tak, panie, nie obraż się.

Obaj się uśmiechnęli.

— Będziemy więc rozmawiać po grecku — rzekł Korneliusz. — Tego, co mam ci do powiedzenia, nie mogłem zawierzyć zuchom, którzy cię tu przywieźli. Oni by nie zrozumieli. Miałem tajemniczy sen i dowiedziałem się, że ty potrafisz go wytłumaczyć.

Piotr pochylił się ku niemu. Słuchał uważnie.

— Przedwczoraj w nocy odwiedził mnie anioł — ciągnął Korneliusz. — A trzeba ci wiedzieć, że nie mam zwyczaju śnić o aniołach. Ten wydawał się jak najbardziej rzeczywisty. Przystojny młodzieniec w tunice z białego jedwabiu

i w opasce ze złota. Na lewej piersi... — Przyłożył rękę do czarnego orła

na swojej tunice.

— Złoty krzyż — odpowiedział Piotr.

Korneliusz, otwierając szerzej swe głęboko osadzone oczy, przytaknął.

- A więc ty również — zapytał po chwili — widziałeś go?
- Tak, panie. To posłaniec, przedstawiciel Królestwa.
- Właśnie! — potwierdził Korneliusz. — Tak mi powiedział! I gdy chciałem usłyszeć od niego o tym Królestwie, kazał mi wezwać ciebie!... Mów, proszę. Jakie to jest Królestwo?
- Długa o nim opowieść, panie — rzekł Piotr za stanowiąc się, od czego zacząć. — Niewątpliwie słyszałeś

o Jezusie Galilejczyku, który wędrował po żydowskich prowincjach, uzdrawiał chorych, dodawał otuchy pogębionym... i został ukrzyżowany za sprawą Poncjusza Piłata...

1     trzeciego dnia wyszedł z grobu, i widziało Go żywego wielu świadków.

Korneliusz potakiwał obojętnie, omal że niecierpliwie. Tak, słyszał o tym wszystkim, ale to plotki — i kim właściwie są ci świadkowie? O jakie Królestwo chodzi?

Piotr rozsiadł się wygodniej i zaczął od początku. Świadkiem był on sam. Kiedyś nie chciał wierzyć w tego Cieślę. Był nieokrzesanym, bluźnierczym rybakiem-niedowiarkiem. Poszedł za Cieślą, żeby Go wyszydzić, udowodnić swojej omamionej rybackiej załodze, że ten prorok czyniący cuda to oszust.

Korneliusz słuchał z coraz większym zainteresowaniem.

Piotr opowiadał mu, jak zaniósł niewidome dziecko do Jezusa i

zobaczył, że te martwe oczy się otwierają, opowiedział o tłumach, które głodne, na obolałych nogach szły za Jezusem dzień w dzień, urzeczone wieścią o przyszłym Królestwie, gdzie wszyscy ludzie wolni będą od ucisku; opowiedział mu o uzdrowieniu kalek i trędowatych...

Popołudnie minęło. Opowieść ciągnęła się dalej o tym, jak władze chciały Cieślę uciszyć, obawiały się jednak powstania wśród ludu. Tłumy były coraz większe. Na gościńcach tłoczyli się rozgorączkowani krewni chorych, niosąc swoich nieboraków do uzdrowienia.

536

Zapadł zmierzch. Sługa cicho wszedł do komnaty i zapalił lampy. Korneliusz kazał mu podać wieczerzę. Sługa wyszedł. Piotr teraz opowiadał o tygodniu Paschy w Jerozolimie. Jezus zganił Świątynię za to, że staje się targowiskiem. Został pojmany, sądono Go jako bluźniercę i zdrajcę, skazano Go, biczowano i lżono, i ukrzyżowano. A potem On zmartwychwstał.

- I ty to wszystko widziałeś? — zapytał Korneliusz cicho.
- Widziałem to wszystko, jednakże... — Piotr urwał, spuścił głowę i ukrył wykrzywioną bólem twarz w drżących swych ogromnych dłoniach. Korneliusz czekał. Po chwili Piotr odzyskał panowanie nad głosem.
- Widziałem Go, panie, gdy powrócił do życia, ale muszę ze wstydem przyznać, że nie byłem przy Nim, gdy Go sądzą i gdy szedł na śmierć. I w końcu wyparłem się Go... przy obcych powiedziałem, że w ogóle Go nie znam... i uciekłem!

Nastąpiło długie milczenie. Stary Rzymianin odchrząknął.

— Jesteś — powiedział — odważnym człowiekiem, przyjacielu! I twoje świadectwo jest wiarogodne. Tym wyznaniem dowiodłeś, żeś prawy! Nie wyznałbyś mi tego, gdybyś kłamał. Wierzę ci, Piotrze! Wierzę we wszystko, co mi opowiedziałeś!

Weszli słudzy, żeby podać wieczerzę, ale Korneliusz potrząsnął głową i gestem kazał im wyjść.

- Czy chcesz mi opowiedzieć o Królestwie? — zapytał.

- Czy może wolisz odłożyć to do jutra?

- Jutro — wyszeptał Piotr.

- Chodź — rzekł Korneliusz wstając i kładąc mu rękę na pochylonym ramieniu. — Pójdiesz teraz odpocząć.

Gdy będziesz miał chęć na wieczerzę, podadzą ci. Wiem, że jesteś znużony. To było ciężkie zadanie. Tylko bardzo mocny człowiek zdołałby to zrobić!

Biorąc go pod ramię, poprowadził do jego komnaty i cicho zamknął drzwi. Całkowicie wyczerpany Piotr rzucił się jak długi na łożo. Zdumiewające, że to pełne wstydu wyznanie tchórzostwa i niewierności uczyniło go zaufania godnym wysłannikiem Królestwa Bożego!

537

Rozmowa z Korneliuszem nazajutrz po południu była pamiętnym przeżyciem. Nigdy dotąd Piotr nie spotkał nikogo takiego jak Korneliusz. Szlachetny stary Rzymianin z powagą patrzył w przyszłość ludzkości. Głębiej sięgał wzrokiem niż Piotr, który nie miał prawie żadnego pojęcia o historii świata i jego mieszkańców.

- Otóż co do powszechnego pokoju i wolności obiecanych przez Królestwo w bliskiej przyszłości — mówił Korneliusz — lękam się, że ciebie... i wszystkich, którzy dzielają twoją nadzieję, czeka wielkie rozczarowanie.
- Ale czyż każdy człowiek zdrow na umyśle nie pragnie pokoju?
- Jako jednostka, owszem — zgodził się Korneliusz. — Ludziom jednak nie wolno przejawiać swoich pragnień osobistych. Każdy jest niewolnikiem swojego narodu, a narody nie mają ani zdolności, ani przygotowania do tego, by osiągnąć pokój.
- Ale każdy człowiek może rościć sobie prawo do pokoju we własnym sercu — wysunął argument Piotr.
- Z pewnością! — rzekł Korneliusz. — Jako jednostka może uzyskać równowagę ducha czy też, jak powiadasz, pokój w sercu, czemu jednak nazywasz to Królestwem? Mówisz o tryumfującym Królu, którego panowanie wyprze potęgę i władzę wszystkich formalnie ustanowionych rządów. Jesteś zbyt ostrożny albo zbyt grzeczny, by mi powiedzieć, że nadchodzące Królestwo twojego Chrystusa zniszczy Cesarstwo Rzymskie, ale tak ma być, prawda?

Piotr niespokojnie poruszył się w fotelu.

- Nie chciałbym w taki sposób tego ujmować, panie — powiedział. — Chrześcijanie nie zniszczą Cesarstwa. Cesarstwo zniszczy się samo. Gdy ludzie zrozumieją, ile daje życie pełne dobrej woli wobec bliźnich...

- Wtedy Cesarstwo nie będzie im potrzebne — przerwał Korneliusz. — Tylko że to nie jest takie proste! Twoi ludzie dobrej woli nie mogą traktować bliźnich tak, jak by chcieli. Cały naród decyduje za nich.
- Ale ty sam, zacny Korneliuszu, wyznajesz i stosujesz zasadę dobroci i życzliwości wobec wszystkich — rzekł Piotr łagodnie. — Nie jesteś daleki od Królestwa.

538

- Dalszy, niż ci się zdaje, przyjacielu — obstawał Korneliusz przy swoim. — To prawda, że nie noszę broni. Nie zabijam nikogo ani nie biorę do niewoli. Brak mi sił fizycznych, żeby być żołnierzem. Cesarstwo zleciło mi przyzwoitsze zadanie: prowadzę rachunkowość i wypłacam fundusze na rozbudowę tego wspaniałego portu, z którego kiedyś ruszy w głąb lądu natarcie na was, nieszczęśliwych Żydów.
- Jeśli to dręczy twoje sumienie, dlaczego się tym zajmujesz? — zaryzykował pytanie Piotr.
- A czym miałbym się zajmować? — odparł starzec. — Mam żyć w samotności bez służby, bez wielkiego domu, zlekceważony przez przyjaciół?... Ja mówię tylko: twoje Królestwo zakłada, że każdy może decydować, jakiego rodzaju będzie wiódł życie. Pod tym względem jest ono całkowicie nieżyciowe.

Piotr nie był godnym przeciwnikiem dla Korneliusza w dyskusji.

Wierzył w zwycięstwo Królestwa Pana niezachwianie, ale nie miał żadnej odpowiedzi na postawione przez swego rozmówcę problemy. Nigdy dotąd nie spotkał się z nimi.

- Więc w twoim przekonaniu — zapytał — ludzie są zawsze ofiarami chciwości... a ich władcy zawsze pragną potęgi?
- Tak jest od początku świata. — Korneliusz westchnął.  
— Czyż możemy przewidywać przyszłość inaczej niż na podstawie przeszłości?

Popołudnie minęło w mgnieniu oka. Tego dnia przeważnie mówił Korneliusz.

— Świat — snuł rozważania — dziwnie jest wykształcony. O bohaterstwie wie tylko to, czego nauczył się na polach bitew. O żeglowaniu po morzach wie tylko to, czego nauczył się w czasie wojen morskich. Sztuki piękne świata, rzeźba, architektura, poezja... czyż istnieje jakakolwiek forma artystyczna, która znalazłaby sobie temat gdzieś poza męstwem zbrojnych ludzi? Smutna to prawda.

Szkoda, przyznał Korneliusz, że całe narody tak często muszą iść za władcami szalonymi, niegodziwcami, którzy niebaczenie spekulują krwią i mieniem swoich poddanych.

539

Słońce zachodziło.

- Mam nadzieję, Piotrze, że nie znużyłem ciebie — rzekł starzec. — Mam nadzieję, że nie zniechęciłem... Życzę powodzenia twojemu Królestwu miłości. Tyle mogę



powiedzieć, nie dopuszczając się aktu zdrady, ponieważ Cesarstwo Rzymskie nie będzie traktowało twojego Królestwa poważnie. Gdyby ono dla Cesarstwa rzeczywiście stanowiło groźbę, wtrącono by cię do więzienia... i mnie tak samo, bo cię tutaj goszczę.

- Ale... czy spodziewasz się, że Cesarstwo będzie trwać zawsze? — zapytał Piotr.
- Nie mam wyrobionego zdania, przyjacielu, o ostatecznej przyszłości Cesarstwa. Zazwyczaj berło przechodzi z ręki do ręki. Naród może dziś być u szczytu chwały, jutro na dnie upadku. Kto wie, czy to także nie jest wolą Boga. — Stary Rzymianin umilkł i zamyślił się. Po chwili powiedział: — Zastanawiałem się dzisiaj nad losem waszych sąsiadów w Arabii. Ich królewicz leży beznadziejnie sparaliżowany. Wczoraj wieczorem dostaliśmy wiadomość, że ich król Zendi nie żyje. Arabowie wiedzieli, czego się spodziewać od tego królewskiego rodu. Co stanie się z nimi teraz, będzie zależało już od nowego władcy. Czy sięgnie on po terytorium, którego nie potrzebuje? Czy zadowolony się tym, co ma? Czy pozwoli pasterzom paść stada, czy będą musieli zostawić je na pastwę wilków i zlej pogody, gdy sami pogalopują, żeby wojować?
- Wojować? Z kim? — zapytał Piotr.
- Z Judea, chyba.
- Cesarstwu mogłoby się to nie podobać — zauważył Piotr naiwnie.

Korneliusz uśmiechnął się oziębło i powiedział:

—Nie, to by mogło Cesarstwo rozgniewać.

Nadeszła już pora wieczerzy, poszli więc do przestronnej sali jadalnej, gdzie zgromadziło się dwustu członków klubu. Korneliusz posadził Piotra po swojej prawicy i ceremonialnie przedstawił go. Gdy zjedli, Piotr na prośbę Korneliusza opowiedział zebranym o Galilejczyku, który oddał życie za sprawę braterstwa na świecie. Rzymianie słuchali z uszanowaniem. Piotr nie podnosił głosu, mówił bez gestykulacji.

540

Ufnie obiecał pokój i wolność dla wszystkich ludzi w imię swego zmartwychwstałego Boga. Nawet odważył się opowiedzieć o tych płomieniach w dniu Pięćdziesiątnicy, podobnych do płomieni pochodni. I nikt się nie poruszał. Nikt się nie roześmiał.

Nazajutrz rano, pożegnawszy się z Korneliuszem, Piotr pieszo wyruszył z Cezarei do... Arabii.

## 28

Gdyby Fara żywiła jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że wracając na stałe do Arabii postąpiła nieroztropnie, rozwiałyby się one w wieczór jej powrotu.

Fakt, że nie jest pożądana, zaznaczyli wyraźnie królowa i królewicz, toteż gdy tej nocy leżała przy śpiącej spokojnie, szczęśliwej Jonie i na próżno godzinami czekała na sen, zdecydowała się wyjechać możliwie jak najrychlej.

Jednak to nie zachowanie się Renny i Derana — chociaż ich zamierzone

afronty bardzo bolały — zraniło ją najgłębiej. Obojętność króla Zendiego przekraczała jej zrozumienie.

Od najwcześniejszego dzieciństwa Fara zaznawała ojcowskiej czułości Zendiego. Nieomal go uwielbiała. Czasami na samowolnym wygnaniu w Galilei, gdy rozważała swe postanowienie, że raczej zrezygnuje z miłości niż stanie Woldiemu na drodze do honorów i zaszczytów, właśnie wspomnienie niezawodnej dobroci Zendiego podsycalo pokusę, by nie zrezygnować. Król, odnoszący się do niej tak serdecznie, na pewno zrobi wiele, żeby ułatwić jej życie w Arabii, a jego nie ukrywana przychylność dla Woldiego uciszy wszelką krytykę. Teraz okazało się, że króla jej decyzja nic nie obchodzi!

O świcie po bezsennej nocy udęczona dziewczyna wymknęła się cicho ze skromnej kwatery Jony wśród namiotów dla służby — gdzie dosyć niestosownie ulokowano córkę królowy Arabii — i poszła na pastwisko obozowych koni, myśląc, że może pocieszy ją widok zacnego starego Kedara.

Tak jak się spodziewała, Kedar już wypełniał swe poranne obowiązki. Właśnie szcztkował piękną gniadą klaczkę. Z wysiłkiem wyprostował zreumatyzowany grzbiet.

- Często jeździłaś konno tam, gdzie byłaś? — zapytał.
- Nie. Saidi mi ukradli, a tam w Galilei nie mieliśmy żadnych koni.
- Niedobrze się stało z Saidi. Woldi mi opowiadał. — Kedar poklepał klacz po jedwabistej łopatce. — To jest siostrzenica Saidi — powiedział. — Nazywa się Hagar.

Fara podeszła i delikatnie położyła rękę na aksamitnym pysku.

- Prześliczna — szepnęła.
- Prawie nie ujeżdżona — rzekł Kedar. — Mam nadzieję, że to nie jest sekret, ale król zamierza podarować ją tobie.

Fara zdumiona szeroko otworzyła oczy.

- Dawno król ci o tym powiedział, Kedarze?
- Och... trzy lata temu, gdy się urodziła, wkrótce po twoim zniknięciu.
- Przez trzy lata król mógł się rozmyślić — powiedziała Fara rzeczowo. — Czy mówił kiedy o tym od tamtego czasu?
- Wczoraj wieczorem — odpowiedział Kedar. — Gdy poszłaś spać. Chcesz trochę pogalopować, księżniczko? Wszyscy śpią, zaczną wstawać dopiero za godzinę. Może byś się przejechała w stronę swojej dawnej siedziby?

Fara potrząsnęła głową. To byłoby zbyt bolesne. Na pewno nie ma tam cennych namiotów jej matki. Zostało tylko smutne widmo ogrodu ze starymi ścieżkami już zarośniętymi. Kedar odszedł, a ona zadumała się wspominając dawne czasy. Po chwili przyniósł siodło i uzdę. Osiodłał Hagar, ściągnął popręg. Potem odwrócił się do Fary, popatrzył na nią bacznie i dostosował do jej wzrostu rzemienie strzemion.

— Chyba nogi masz niewiele dłuższe, niż miałaś wtedy, gdy odjechałaś. No, może trochę urosły... Wsiadaj. Niech Hagar ci pokaże, jak potrafi iść jednochodem. Bardzo jest z tego dumna, udaje, że się boi wszystkiego, co białe, tak samo jak jej ciocia Saidi. Ta klacz to straszliwa kłamczucha! — dodał, otwierając furtkę zagrody i puszczając wodze.

Fara zgarnęła je wprawnie, lekko, a zarazem stanowczo. Hagar drobiąc nogami ruszyła jednochodem. Była piękna jak owa legendarna kobieta, której imię nosiła, i próżna jak paw.

Z radosnym uśmiechem Fara pomachała ręką rozpromienionemu Kedarowi. Dobrze jest czuć, patrzeć, jak grają mięśnie konia! Znów po tak długim czasie! Zendi zamierzał jej podarować tę nadzwyczajną klaczkę! Aż w głowie się od tego kręci. Zendi więc ostatecznie jest jej przyjacielem. Może jego obojętność wczoraj wieczorem da się wytłumaczyć, z pewnością wymaga wytłumaczenia.

— Przestań już, Hagar! — zawołała, przyciskając pięty do żeber klaczy.

Hagar szarpnęła łbem i swobodnie pogalopowała. Co za cudowne uczucie! Wiatr wczesnego poranka targał włosy Fary. Coż za upojenie! Wbrew woli znalazła się na dobrze znanym szlaku, wiodącym tam, gdzie kiedyś był jej dom.

Jak przewidywała, pozostały tylko mocno zbudowane ogrodzenia. Na najbliższej łące, pustej, bez namiotów, stał uwiązany kary wierzchowiec. Jego derkę zdobiły arabskie insygnia królewskie. Fara zsiadła z klaczy, uwiązała ją i weszła do zapuszczonego ogrodu. I oto na starej ławce, na której w pełnych niepokoju dniach choroby Arnon tak często siadała przy matce, siedział teraz król Zendi. Przystanąła na chwilę, po czym podeszła do ławki powoli i usiadła obok niego. Z uśmiechem ujął ją za rękę.

- Czekałem na ciebie, drogie dziecko — rzekł łagodnie.
- Skąd wiedziałeś, że przyjadę? — zapytała.

- Przypuszczałem, że wstaniesz wcześniej. I że zechcesz porozmawiać ze starym Kedarem, skoro wszyscy inni są tak nieżyczliwi. Wiedziałem, że na Kedara można liczyć. Nie mówił ci, że jestem tutaj?

Potrząsnęła głową.

— To dobrze — przytaknął Zendi. — Usłuchał mnie.

Gdybyś wiedziała, może byś nie chciała tu przyjechać.

Zraniłem cię wczoraj boleśnie.

Fara milczała. Łzy napłynęły jej do oczu.

— Niełatwo się zwierzać — powiedział Zendi z wahaniem — ale zasługujesz na to, by znać prawdę. Ostatnio ciężkie

543

mam życie. Renna jest chora. Dotknięta chorobą umysłu. Opętana myślą, że... że... — urwał i w zadumie zaczął patykiem kreślić linie na piasku.

Dopiero po długiej chwili odwrócił głowę do Fary. — Nie domyślasz się — zapytał błagalnie — co usiłuję ci powiedzieć?

- Niestety nie, panie — wyszeptała Fara.
- W takim razie muszę zacząć od początku. Czy słyszałaś kiedyś o tym, że z wzajemnością kochałem twoją matkę, gdy zmuszono ją do małżeństwa, będącego jej powinnością wobec ojczyzny?
- Wiedziałam, że jesteście serdecznymi przyjaciółmi — przyznała Fara.
- To niewiele! — powiedział Zendi. — Po odjeździe twojej drogiej matki wskazane było, żebym się ożenił.

Renna wyraźnie się zadowoliła przekonaniem, że zajęła w moim sercu miejsce Arnon. Ale gdy twoja matka wróciła samotnie do Arabii, królowa stała się niespokojna. Myślę, że usiłowała z całej duszy być twojej matce życzliwa.

Ale jej podejrzliwość narastała... Może to moja wina.

Nieszczęśliwy król umilkł. W przedłużającej się ciszy Fara żałowała, że nie znajduje stosownych słów.

—Tak — podjął wreszcie swój ledwie dosłyszalny monolog. — Jasne, że to była moja wina. Twoją matkę okrutnie wykorzystano. Wróciła do kraju upokorzona. Staralem się okazywać jej przyjaźń. Później pojąłem, że jest to źle zrozumiane, nie szczeniłem więc wysiłków, żeby ukoić zazdrość i w rezultacie królowa zaczęła serdecznie opiekować się Arnon.

Długa była to historia, a Zendi najwidoczniej postanowił wszystko Farze opowiedzieć. Fara słuchała w zadumie, pełna współczucia.

—Oczywiście — mówił teraz — Renna zawsze do gadzała naszemu synowi w wielu sprawach, co wyszło Deranowi na niekorzyść. Był samowolny i nadmierna pobłażliwość uczyniła go butnym, ale miałem nadzieję, że z tego wyrośnie. Każdy następca tronu jest godny litości, Faro. Nikt nie śmie mu powiedzieć, jak powinien traktować swoich druhów. Żaden chłopiec nie odważy się mu odwzajemnić. Deran nigdy nie znał dyscypliny.

rozpaczy. Ukrywałem rozpacz, ale Renna wiedziała. Nie miałem apetytu ani humoru. Chciałem być sam. Renna zaczęła wtedy Ignąć do Derana. Wszystko, cokolwiek Deran robił czy mówił, uważała za słuszne. Wmawiała sobie, że jest dowcipny, i śmiała się z jego bezczelnych wypowiedzi. Deran obrażał doradców, w obecności służby wyśmiewał się ze mnie. Tylko rozwód z Renną i wyparcie się syna mogłoby rozwiązać moją nieznośną sytuację.

Znów ujął Farę za rękę.

- Teraz, dziecko, wiesz, dlaczego tak niegodnie cię obrażono wczoraj przy naszym rodzinnym stole.
- Cieszę się, że zechciałeś to wyjaśnić — rzekła Fara. — Kamień mi spadł z serca, odkąd wiem, że jesteś nadal moim przyjacielem. Byłabym niedobra, gdybym została tutaj i tym samym powiększała twoje brzemię. Zabiorę Joneę... i wyjadę. Ona będzie szczęśliwa z powrotem w swojej ojczyźnie. Ja ojczyzny nie mam, chyba więc chętnie zamieszkałabym w Grecji. Czy wolno mi prosić cię o pozwolenie na wyjazd?
- Co z Woldim?
- Woldi wie, że nie mogę wyjść za niego.
- Ale kochasz go?
- Serdecznie! Zbyt serdecznie, żeby ryzykować tym, że zmarnuję mu życie!
- Oboje będziecie nieszczęśliwi do końca swoich dni.
- Ale ja nie mogę być szczęśliwa w Arabii, a Woldi nie będzie szczęśliwy nigdzie indziej. Dane nam jest wybierać tylko pomiędzy dwoma rodzajami nieszczęścia.



- No... ty wybierasz to gorsze. Ileż tysięcy razy żałowałem, że myśmy, twoja matka i ja, nie mieli odwagi uciec. Nie wiem, dokąd, każda jednak niedola byłaby lepsza niż to, co przeszliśmy. — Nagle Zendi sobie uprzytomnił, że bezwiednie znów wrócił do wspomnień, przeprosił więc Farę.

Przeprosiny jednak niezbyt pomogły.

—Mną się nie przejmuj — powiedziała Fara, uśmiechając się dosyć gorzko. — Życie nigdy nie wydawało mi się przyjemnością.

Król Zendi właśnie wypatrzył coś ciekawego na szlaku.

35 \_ Wielki Rybak

545

Wstał i z wyraźnym zadowoleniem przyglądał się szeregowi zbliżających się wielbłądów. Wziął Farę pod ramię.

- Twoje namioty i sprzęty — oznajmił — wszystko dziś stanie tu na swoim miejscu, tak jak było, gdyś odjeżdżała. Twoja służba też wkrótce będzie tutaj.
- Och... ale nie powinienes! Ja nie mogę tu zostać! — protestowała Fara.

Zendi zaczął jej tłumaczyć. Powiedział, że wątpił, czy zechce zostać. Gdy dostał wiadomość o zabiciu jej ojca, zakładał, że ona wróci po swoją ukochaną Jonę, zamierzając osiedlić się w jakimś innym kraju, być może w Grecji, bo Grecję zawsze podziwiała. Wobec takiego prawdopodobieństwa starał się przysporzyć jej pieniędzy.

— Twoje bydło i owce wysłałem do Damaszku — powiedział. — Karawana wkrótce wróci z pieniędzmi uzys

kanymi ze sprzedaży. Twój majątek powinien ci wystarczyć aż nadto na życie w dostatku, gdziekolwiek zdecydujesz się mieszkać.

Przez całe to przedpołudnie król doglądał ludzi, którzy sprawnie rozbijali namioty Fary na dawnych miejscach i ustawiali ich wyposażenie. Przybył zastęp starych sług, żeby wykonywać swe zwykłe obowiązki. Jona zarządzając nimi nie posiadała się z radości. Na obiad, który podano w ogrodzie, przyjechał Woldi. Król nie przyjął zaproszenia. Powiedział, że Deran rozchorował się tej nocy, ma gorączkę zapewne wskutek silnego przeziębienia. Królowa wielce się martwi o niego.

W ciągu następnych trzech dni służba krążyła tam i z powrotem pomiędzy obozowiskiem króla i siedzibą Fary, przywożąc zapomniane rzeczy gospodarskie ze składu, gdzie je przechowywano. Tą drogą docierały niepokojące wiadomości o chorobie królewicza. Gorączka podniosła się niebezpiecznie i prawie wciąż był w malignie. Rankiem czwartego dnia jego choroby Woldi przyjechał do Fary i powiedział, że gorączka ustępuje, ale Deran nie może poruszać nogami. Zrozpaczona królowa odchodzi od zmysłów, oskarża lekarza o to, że nie zastosował skutecznego leku.

546

Jednakże lekarstwa na chorobę Derana nie było. Padł on ofiarą tej samej strasznej epidemii, która zbierała tak obfite żniwo latem. Po tygodniu Arabia dowiedziała się, że następca tronu jest bezradnym nieuleczalnym paralitykiem.

Renna lamentowała tak głośno, że nawet Deran, zmęczony jej

nieopanowaniem, narzekał z goryczą, że i tak dosyć cierpi bez tortur, jakimi są jej wrzaski — niechże ona wreszcie się uciszy, błagał, i da mu umrzeć w spokoju. Jego gburowatość nie była dla niej żadną pociechą. Potrzebując ujścia dla swojej rozpacz, nieszczęsna Renna wyładowywała się na oskarżaniu i lżeniu przerażonego starego lekarza, na zadręczaniu służebnic i zatruwaniu życia królowi.

Żeby odpocząć od tego nastroju, Zendi godzinami jeździł samotnie konno, chociaż pogoda się pogarszała, w miarę jak coraz gwałtowniej górskie szlaki chłostał chłodny wiatr jesieni.

Pewnego śnieżnego dnia rano Zendi przywiózł dla Fary pieniądze, sześć sakiew pełnych złota, zapakowanych w jukach. Wręczył ten cenny ładunek chłopcom stajennym, nawet nie zsiadł z konia.

Aż kiedyś późno po południu wrócił z przejażdżki na wskroś przemoknięty, rozplomieniony gorączką. Służący pomogli mu zsiąść z konia i pytali, co się stało. Był zanadto zachrypnięty, żeby odpowiedzieć. Położono go w łożu z rozgrzanymi cegłami i aplikowano lekarstwa na silne zaziębienie. Przybyli wezwani doradcy. Lekarz próbował wszelkich środków, jakie znał. Godziny tej nocy wlokły się nużąc. O świcie Zendi umarł.

Od śmierci króla minęły dwa tygodnie. Śnieg spadł obficie, wcześniej niż zwykle, ale w południe słońce roztapiało zaspy. Starzy ludzie, którzy mieli dobrą pamięć, przepowiadali łagodną, niemroźną zimę, co oznaczało, że Arabia ma przed sobą pokrzepiającą perspektywę bujnych pastwisk i dobrobytu. Szczęście tym większe, że naród był bez władcy. Gdy trawy brakowało, plemiona walczyły ze sobą zawzięcie i kraj

potrzebował rządów silnej ręki. Po tradycyjnych trzydziestu dniach żałoby Rada Królewska

547

miała się zebrać i rozważyć, kogo wybrać na króla, ponieważ stało się jasne, że Deran nie może objąć tronu.

Pewnego dnia o zmierzchu do sypialni Fary weszła Jona, oznajmiając, że chce się z nią zobaczyć jakiś nieznajomy.

— Olbrzym! — powiedziała. — Bardzo zmęczony i bardzo mokry. Poprosiłam go, żeby wszedł pod dach, zamiast czekać na śniegu.

Fara pobiegła za Joną. Na widok gościa znieruchomiała pełna niedowierzania, po czym rzuciła mu się w objęcia.

— Petros! — wykrzyknęła. — Czy to możliwe? To naprawdę ty?

— Tak bardzo się zmieniłem? — zapytał.

Podprowadziła go do płonącego ogniska i zaczęła ściągać z niego ośnieżoną opończę. Usiadł ze znużeniem. Jona uklękła, żeby mu rozwiązać przemoczone rzemienie sandałów.

— Twoje włosy! — wykrzyknęła Fara. — Twoja broda! Nawet głos masz inny, Piotrze! Obawiam się, że głęboko cierpiałeś. Ale... — Przyjrzała mu się. — Ale... to, co się działo z tobą, uczyniło cię wspaniałym. — Zniżyła swój ochrypły głos i zapytała z szacunkiem: — Pan powierzył ci zarządzanie swym Królestwem na ziemi?

Jona stała przed nimi, najwidoczniej niepewna, czy przysłuchiwać się, czy wyjść. Fara rzekła po grecku:

- Petros, to jest moja kochana Jona, o której często ci opowiadałam... Jono, to jest Wielki Rybak. Pan nadał mu imię Petros.
- Opoka — wyszeptała Jona. — Tak — dorzuciła szybko. — Tak jest! Opoka! Tak... to prawda!

Impulsywnie uklękła u jego stóp. Oburącz ujmując jej ręce, podniósł ją delikatnie.

—Mnie się nie wielbi, Jono — powiedział swym ojczystym językiem. — Jestem tylko człowiekiem, który chodzi pokornie u boku Króla. Daję ci Jego błogosła wieństwo.

Pod nadzorem Jony służebnice przygotowały sutą wieczerzę. Po wieczerzy Piotr i Fara siedząc przy ognisku rozmawiali poważnie do późnej nocy. Fara czuła coraz większe zakłopotanie, gdy Piotr jej się zwierzał, w jakiej

548

sprawie przybył do Arabii. Powiedział, że został obdarzony dziwną mocą. Natchniony przez Ducha Świętego dokonuje cudów uzdrawiania. Podnosi kalekich, żeby chodzili.

Serce Farze łomotało. Intuicja mówiła jej, że Piotr spróbuje uzdrowić Derana!

— Nie dostałem wyraźnego rozkazu — powiedział Piotr — ale chyba bliższe byłoby Królestwo Jezusa wśród ludzi, gdyby jakiś akt życzliwości naprawił wrogie od dawna stosunki pomiędzy Arabami i Żydami. Może z Boską pomocą uda mi się to uczynić.

Fara nie odezwała się, nie podniosła wzroku. Piotr czekał przez chwilę, po czym zapytał:

- Czyż nie zmiękłoby serce Arabii, gdyby Żyd przywrócił królewskiego dziedzica na jej tron?
- Nie wiem — wyszeptała Fara. — To jest zawzięta wrogość od wieków. — Nie zdobyła się na to, by mu powiedzieć, że postawieniem Derana na nogi nie oddałby Arabii wielkiej przysługi... Kimże jest ona, żeby zniechęcać do uzdrowienia kogokolwiek z paraliżu? I czyż mogłaby swoje zdanie przeciwstawiać woli człowieka, którego Bóg obdarzył mocą nadludzką?
- Myślisz, Fara, że królowa pozwoli mi zobaczyć królewicza? — zastanawiał się Piotr.
- Nie wiem — odpowiedziała. — Królowa jest załama na. Nie sposób przewidzieć, jak się do tego odniesie.
- Pójdiesz ze mną jutro — poprosił Piotr — i powiesz jej, po co przybyłem?
- Królowa Renna nie okazuje mi życzliwości — powiedziała Fara.
- Twój Woldi jest doradcą — przypomniał Piotr. — Mogłabyś go namówić, żeby mnie przedstawił.
- Nie! Nie! — wykrzyknęła Fara. — Nie mogę Woldiego prosić o to!

Nastąpiła długa, pełna napięcia chwila ciszy. W końcu Piotr rzekł nieomal surowo:

— Coś mi mówi, że ty nie chcesz, by królewicz wy

zdrowiał! Czy tak?

Odpowiedź wymijająca na nic by się nie zdała. Fara odpowiedziała szczerze:

549

- Arabowie nie lubią królewicza Derana, Piotrze. Od dzieciństwa pysznił się, był samolubny i butny. Oni chcą mieć innego króla.
- Ale czy królewicz cudownie uzdrowiony nie mógłby się zmienić na korzyść? — argumentował Piotr.
- Ja tu nie mam nic do powiedzenia — odrzekła Fara.
- Pamiętasz, co się stało z tym bogaczem Zacheuszem? Nienawiść ludu zmieniła się w wierne przywiązanie do niego, gdy Jezus go wybawił.

Nie podnosząc wzroku Fara powoli przytaknęła.

—Pójdę z tobą, Piotrze — powiedziała. — Jutro rano.

Bez trudu Fara uzyskała posłuchanie u królowej, zaciekawionej, co skłoniło dziewczynę do tych odwiedzin. Nie traciła czasu na zdawkowe uprzejmości. Od razu powiedziała zwięźle, o co chodzi. Pewien jej znajomy, człowiek obdarzony Boską mocą uzdrawiania, przybył z daleka, żeby zobaczyć królewicza. Ten człowiek czeka nie opodal. Ma nadzieję, że uda mu się pomóc królewiczowi tak, jak pomógł już innym ludziom. Żadnej zapłaty nie chce.

- A gdzież to poznałaś tego... tego boga?
- W Galilei, miłościwa pani. On jest Żydem.

- Żyd, powiadasz? — wydziwiała Renna. — Królewicz nie ścierpi jego widoku! Dobrze sobie! — oburzyła się — żeby Żydzi kpili z nas w takim nieszczęściu!

Renna wpadła w gniew. Z pogardą wyraziła swoje zdanie o bezczelności Fary i rozdygotanym palcem wskazała jej wyjście.

—Kraży legenda wśród Galilejczyków — powiedziała Fara, nie przejmując się gniewem królowej — o słynnym walecznym królu Naamanie, który zaraził się trędem. Dowiedział się on, że jakiś żydowski prorok posiada moc uzdrawiania z chorób. Niechętnie odszukał tego Żyda i usłyszał, że ma wykapać się w rzece Jordan. Było to upokorzenie wprost nie do pomyślenia dla dostojnego Syryjczyka. Naaman rozgniewał się wściekle i wyruszył w drogę powrotną do kraju... Ale... był trędowaty, nie widział znikąd pomocy ani nadziei. Zawrócił więc i wykapał się w Jordanie... i został uzdrowiony.

550

—Bzdura! — wrzasnęła Renna. — Wynoś się! Ty ze swoim świątobliwym Żydem! Precz... mówię... precz!

Fara złożyła ukłon gotowa odejść. Nagle Renna zerwała się, przyskoczyła do niej.

—Nie! — burknęła ochryple, chwytając ją za rękę. — Nie odejdiesz! Zabraniam ci! — I krzyknęła: — Wprowadź go!

Pobiegła do sypialni królewicza. Zaczęły stamtąd dolatywać głosy: Renny cichy, przymilny, Derana donośny, pełen pogardy. Fara wyszła do wrót obozowiska i skinęła na Piotra. Wkroczyli razem do sypialni królewicza, gdzie królowa przyjęła ich lękliwie.



—Deranie — rzekła — przyszedł żydowski uzdrowiciel z daleka, żeby ci pomóc.

Piotr podszedł do łoża.

- Odkąd to — wrzasnął Deran — Arabia zabiega o łaski Żydów?!
- Synu, nie jestem tu jako Żyd — spokojnie powiedział Piotr. — Ani też nie przyszedłem usłużyć Arabowi. Obaj jesteśmy dziećmi Boga. Zapomnijmy teraz o narodowości i bądźmy dla siebie jak bracia.

Sięgnął po rękę Derana. Królewicz wzdrygnął się i cofnął, ale po namyśle, powoli, z niechęcią podał rękę Piotrowi. Renna płakała cicho.

—Spadło na ciebie nieszczęście, Deranie — mówił Piotr. — Na twoją chorobę nie ma lekarstwa ziemskiego. Abyś odzyskał zdrowie i siły, lekarstwo musi pochodzić od naszego Ojca. Ja sam nie mam żadnej mocy. Czy wola Boga jest, żebyś wyzdrowiał i mógł rządzić krajem, nie wiem. Może odpowiedź na to zależy od ciebie...

— Mów, co powinien uczynić — przerwała mu Renna.

Piotr puścił to mimo uszu.

- Król powinien pragnąć szacunku swego ludu i na ten szacunek zasługiwać — oświadczył patrząc Deranowi w oczy. — Jako królewicz jesteś próżny i zuchwałego serca. Mój Pan nauczał, że kto się wywyższa, będzie poniżony, kto największy ze wszystkich, winien być wszystkich sługą. Ty, Deranie, służysz tylko sobie.
- Panie! — znów przerwała Renna. — Tak się nie mówi

Deran zachnął się niecierpliwie.

- Mów dalej! — polecił Piotrowi.
- Otóż jeśli Bóg zechce cię uzdrowić — ciągnął Piotr — stanie się cud, i jeśli zaskarbisz sobie przywiązanie i posłuszeństwo swojego ludu, to będzie cud także. Czy pragniesz przyjąć oba te dobrodziejstwa? Jeśli taka jest wola Boga, możesz mieć jedno i drugie... albo nic. Czy przysięgniesz, że jeśli wrócą ci siły, będziesz służył swojemu krajowi wiernie i z całym oddaniem?

Deran skinął głową. Zapanowała uroczysta cisza.

—Wiedz dobrze — ostrzegł Piotr — że gdybyś w dniach, które nadejdą, zapomniał o swej przysiędze i powrócił na niedobłą drogę, może spaść na ciebie jakieś gorsze nie szczęście.

Królewicz poważnie skinął głową. Piotr chwycił go za ramiona i rozkazał mu:

—W imię Boga, wstań... i chodź!

Zaległa cisza. Oszołomiony Deran zsunął nogi z posłania, stanął i powoli się wyprostował. Renna zarzuciła mu ręce na szyję, szlochając. Fara miała łzy w oczach. Królewicz odepchnął matkę i ruszył wolno przez sypialnię. Piotr ciężko usiadł na zydlu. Pobladł, wielkie krople potu lśniły na jego czole. Fara stanęła u jego boku, położyła mu rękę na ramieniu. Renna zapłakana ukłękła przed nim.

—Odwdzięczymy ci się! — krzyczała. — Czego tylko

zażadasz, damy ci to! Czego chcesz?

— Łyk wody, proszę — wyszeptał Piotr ochryple.

Niewiele potem mówiono. Deran chodził po sypialni.

Renna przyniosła mu odzież i buty. Znadto byli przejęci swoim szczęściem, by zauważyć, że Piotr i Fara wymknęli się po cichu.

W czasie obiadu Deran wyraźnie się irytował widząc, jak służebne patrzą na niego. Gdy podawały mu półmiski, starannie zachowywały znaczną odległość.

- Można by myśleć — warknął — że usługujecie upiorowi!
- Proszę, nie złość się na nie, synu — błagała Renna. — To nie błaża sprawa ujrzyć cię znów zdrowego.
- W każdym razie wyzdrowiałbym... wkrótce — powie-

552

dział Deran beztrosko. — Czułem się już lepiej, ale brakowało mi pewności siebie. Ten stary Żyd dodał mi sił. zobaczyłem, że już mogę chodzić. Ot, i cała sprawa.

- Nawet jeśli tak... ja na twoim miejscu nie miałabym ludziom za złe, że są zdumieni — upominała go Renna.
- Zresztą — mruknął Deran — cóż mnie ludzie obchodzą!

Po obiedzie królewicz buńczucznie poszedł do zagrody koni, gdzie chłopcy stajenni na jego widok oniemieli, zagapieni, z ustami rozdziawionymi.

— To zdumiewające, miłościwy panie! — wykrzyknął

stary Kedar, kuśtykając ku niemu.

— Osiodłać moją gniadą klacz! — rozkazał Deran.

Renna przyszła za nim. Z powagą patrzyła, jak odjeżdża galopem. Potem odwróciła się i odeszła wolno do swego namiotu. Głowę miała spuszczoną, garbiła się.

W sypialni usiadła pochylona, przyciskając palce do ust. Deran nie ma zamiaru dotrzymać przysięgi, którą złożył żydowskiemu uzdrowicielowi. W żadnym razie by się nie zmienił. Jest pełnym animuszu, dumnym młodym królewiczem. Urodził się, żeby rządzić swoim ludem. Wszelkie przejawy współczucia czy życzliwości z jego strony po-czytywano by mu mylnie za słabość. Arabowie potrzebują silnej ręki — nie wyciągniętej otwartej dłoni, tylko zaciśniętej pięści!

Tak, jednak należy liczyć się z tym tajemniczym Żydem. Za kilka godzin ten człowiek się dowie, że Deran zlekceważył swoją przysięgę. Co wtedy? Jeśli ten cudotwórca miał dość mocy, żeby postawić Derana na nogi, prawdopodobnie będzie miał też dość mocy, żeby go z powrotem powalić. Oświadczył przecież, że królewicz musi dotrzymać przysięgi, bo inaczej spadnie na niego gorsze nieszczęście. Na Boga, co mogłoby być gorszego?

Myśli kłębiły się w głowie Renny. Coś trzeba zrobić, i to szybko! Ten potężny Żyd może rzucić na Derana klątwę! Trzeba go usunąć z kraju! Natychmiast!

Zdecydowana podeszła do stołu. Wzięła papirus i dużymi literami nagryzmoła:

*Fara, królewicz ocenia łaskawość twojego żydowskiego proroka, wszelako wiemy, i ty także na pewno wiesz, że istnieje pomiędzy Żydami i Arabami zawzięta wrogość. Już teraz naród szemrze, że nasz królewicz nie powinien być dłużny Żydowi za swoje wyzdrowienie. Jeśli temu człowiekowi życie miłe, niech on zaraz opuści Arabię. Deran nie chce, by stało mu się coś złego. Przysyłam razem z listem sakwę pełną złota. Daj mu trzos i powiedz, że musi odejść! Może byłoby dobrze, gdybyś mu towarzyszyła. Nie wiadomo, czy będziesz tu bezpieczna, gdy naród się dowie, że to ty sprowadziłaś tego Żyda do Arabii.*

W niecałe dwie godziny po powrocie Fary z Piotrem do jej obozowiska doręczono ten list Renny i sakwę ze złotymi monetami. Wkrótce potem przyjechał Woldi. Twarz miał poważną. Zatrzymał się po drodze w obozowisku króla, gdzie stary Kedar o wszystkim mu opowiedział. We troje zastanowili się nad listem królowej. Piotr powiedział tylko:

- Z Boga nie wolno kpić!
- Królowa — zauważył Woldi — oczywiście to zmyśliła.

Jednakże z jej rady lepiej skorzystać. Piotrowi grozi niebezpieczeństwo nie dlatego, że jest Żydem, ale dlatego, że cudem przywrócił Arabii władcę, gdy już była spokojna, że on nie może wstąpić na tron.

- Masz rację, Woldi — zgodziła się Fara. — Ja odejdę z Piotrem. Nie ma tu miejsca dla mnie.

Tak więc zdecydowali, że Piotr i Fara wyruszą nazajutrz wczesnym rankiem do Gazy i tam wsiądą na jakiś statek. Teraz, w porze wywozu ziarna do Rzymu, chyba uda im się szczęśliwie odpłynąć dość szybko

statkiem, który zawinie po drodze do Pireusu, portu Aten. Woldi impulsywnie postanowił wyruszyć z nimi.

— Królewicz — wyjaśnił — w swoim obecnym nastroju nie będzie miał nic przeciwko mojej nieobecności.

Przez całą tę noc trwały przygotowania do wyjazdu. Woldi pojechał do obozowiska króla i wyznał, jakie ma zamiary, Kedarowi, który podjął się wysłać do Gazy zwierzęta juczne z rzeczami Fary i Jony. Zapewniony, że

554

królowa kazała im wyjechać, Kedar nie lękał się udzielić im pełnej pomocy przy odjeździe.

W szarym świetle zwiastującym brzask karawana wyruszyła krętym szlakiem ku dolinie Esne. Po dwóch godzinach śniegi zostały daleko w tyle i mężczyźni zdjęli skórzane okrycia. Piotr wolał iść pieszo — szedł sam, pochylając szpakowatą głowę w zadumie. Popełnił, wydawałoby się, błąd. Chciał oddać wielką przysługę wrogowi, ale jego dobre intencje tylko sprawiły, że rozłam się powiększył, i podsyciły ogień nienawiści.

Zdumiewająca, niepożądana wiadomość o cudownym wyzdrowieniu królewicza Derana, gdy Arabowie już byli pewni, że jego panowanie im nie grozi, rozniosła się prędko i daleko. Doradcy zebrali się w obozowisku czcigodnego Dumaha, ale nie znaleźli rozwiązania swego problemu. Zgodzili się tylko co do jednego. Żydzi nie powinni się wtrącać w nie swoje sprawy.

O ile jednak doradcy nie widzieli wyjścia z tej tragicznej sytuacji, o tyle „Synowie Izmaela” uznali, że mogą pomóc. Tę niewielką tajną

organizację tworzyli synowie, dorośli wnukowie i siostrzeńcy możnych naczelników plemion, których karawany kursowały z Arabii do miast portowych. Długie niebezpieczne wyprawy ze stadami owiec i bydła do dalekiego Damaszku, Cezarei i Gazy szlakami, gdzie roiło się od rozbójników, wymagały eskort złożonych z ludzi odważnych. Zaszczycem było wybranie do takiej eskorty, i młodzieńcy, którzy się podejmowali tego ryzykownego zadania, byli rzeczywiście nieustraszeni.

Teraz, gdy nadchodziła zima, karawany już wróciły ze swoich wędrówek, toteż „Synowie Izmaela” mieli trochę wolnego czasu. W dwa dni po wyzdrowieniu królewicza przekazali sobie z obozowiska do obozowiska wezwanie na tajne zgromadzenie następnej nocy u Jeszriego, ich przywódcy. Owa narada trwała godzinę, po czym Jeszri napełnił kołczan trzydziestoma strzałami, czyli tyloma, ilu było obecnych „Synów Izmaela”. Wszystkie strzały, oprócz

555

jednej, były przeznaczone tylko do ćwiczeń dla wprawy. Ta jedna miała długi, cienki stalowy grot, ostry jak igła.

Jeszri wyszedł z namiotu w poświatę księżyca i dosiadł konia. Gdy przejechał szlakiem pół staj, zatrzymał się pod dużym dębem; siedząc na koniu, wbił w korę dębu na wysokości swego ramienia hak, zawiesił kołczan i wrócił do obozu. Teraz milczący „Synowie Izmaela” kolejno co kilka minut dosiadali wierzchowców i wyruszali z powrotem do swoich obozowisk. Każdy z nich zatrzymywał się przy kołczanie wiszącym na dębie i wyciągał strzałę.

Nazajutrz późno po południu gniada klacz królewicza Derana wróciła do zagrody bez jeźdźca.

Statek „Antonia” miał odpłynąć za godzinę. Posiwiwały stary kapitan Polemus oznajmił to z radością, gdyż jego pasażerowie, już prawie od tygodnia na pokładzie, zaczęli się niecierpliwić.

Mając mnóstwo czasu, by rozważyć swój problem, Woldi uznał, że postąpił słusznie. Jako doradca nie zgadzałby się z Deranem, a przecież niewiele dobrego przyszyłoby Arabii z ciągłej niezgody pomiędzy doradcą i królem. Poza tym przypuszczał, że z chwilą, gdy znajdzie się z Farą w obcym kraju, gdzie oboje będą coraz bardziej zdani tylko na siebie, może zdoła ją uprosić, żeby została jego żoną. Czekał na tę podróż i nowe przygody z coraz większym podnieceniem.

Fara stała obok niego przy nadburciu, gdy majtkowie przygotowywali się do podniesienia kotwicy. Ujęła go pod ramię.

— Teraz to już niedługo — szepnęła.

Nie słyszał tego. Zapatrzył się w dwóch jeźdźców, którzy wjechali na przystań. Musef i Rabot! Konie ich były mokre.

Odszedł raptownie od Fary i wybiegł im naprzeciw. Zsiedli z koni. Stał przed nimi zaniepokojony.

Co też mogło się wydarzyć, że przyjechali aż tutaj? Obaj, wyprostowani na baczność, powitali go ceremonialnie.

— Ledwieśmy zdążyli, miłościwy panie — powiedział Musef. — W ostatniej chwili.

556

Woldi uśmiechnął się słysząc to „miłościwy panie”. Ale pomyślał, że nie czas na żarty.

- Deran nie żyje — powiedział Rabot.
- Nie żyje! — wykrzyknął Woldi. — Jak to?



- Znalaziono go przy szlaku górskim... ze strzałą w plecach.
- A więc przyjechaliście, żeby wezwać mnie do powrotu. — Woldi westchnął. — Tylko że ja już nie mogę! Mam swoje plany.
- Ale Rada Królewska cię wzywa... natychmiast, miłościwy panie! — zaczął błagalnie Rabot.
- Niby dlaczego moja obecność w Arabii jest tak pilnie konieczna? — zapytał Woldi. — I dlaczego mówicie mi „miłościwy panie”?
- Dlatego — odrzekł Musef — że jesteś królem Arabii.

## 29

Piotr nie czuł się najgorzej. Przede wszystkim w celi było sucho — miła odmiana po wilgoci w katakumbach. Może z nadejściem zimy — teraz był sierpień — w więzieniu też zapanuje wilgoć, ale on nie spodziewał się, że zimą jeszcze będzie tutaj, więc to go nie trapiło.

Pryczkę miał wąską, leżały jednak na niej dwie złożone derki, życzliwie przyniesione przez Glaukusa, dozorcę. Stał też w celi drewniany zydel. W ciągu dnia mały promyczek słońca wpadał przez wążutkie jak szpara okienko pod stropem; za mało światła, żeby czytać, ale też jaśniej niż w katakumbach, gdzie słońce wcale nie przenikało.

To prawda, że Piotr nudził się całymi dniami siedząc beczynn timer, i że noce były jeszcze trudniejsze do wytrzymania; bez wysiłków fizycznych, które by go zmęczyły, nie potrzebował dużo snu. Leżał w ciemnościach i

roztrząsał swoje błędy. Przeżywał na nowo każdy bolesny szczegół kłótni z Janem tamtego dnia na pokładzie „Abigail”. I nic

557

sobie... Oczywiście w Atenach raczej nic nie będzie ci groziło. Cesarstwo nie dba, o czym się mówi w Atenach.

- Dlaczego nie dba? — zainteresował się Piotr.
- Och, w Atenach roi się od gadatliwych filozofów, którzy przesiadują w parku na Wzgórzu Marsa i plotą wszelakie bzdury. To nie znaczy — pospieszył dodać Polemus — że wszystko, w co ty wierzysz, jest bzdurą, ale w Atenach można mówić, o czym się chce, i nikt tego nie potraktuje poważnie... Ręczę, że gdybyś publicznie wygłosił przemówienie prorokując, że Cesarstwo upadnie jutro, nawet patrol rzymski zostawiłby cię w spokoju.
- Ale... czy w Atenach nie ma Chrześcijańskiej Eklezji? — zapytał Piotr.
- Chyba jest — odrzekł Polemus przeciągle. — Teraz prawie wszędzie są organizacje tych chrześcijan. I niektóre z nich muszą być ostrożne, ale nie w Atenach. To dobrze, że jedziesz tam. Gdybyś się wybierał do Rzymu, odradził bym ci stanowczo. W Rzymie nęka się tych nieboraków.

Piotrowi niezbyt pochlebiła przyjacielska rada Polemusa, żeby unikał niebezpieczeństw.

- Może tam właśnie jestem potrzebny — powiedział.
- Długo byś nie przetrwał — oświadczył Polemus. —

Jakiś zwykły człek przeciętnego wzrostu i wyglądający jak dziesięć tysięcy jemu podobnych szaraczków może przez długi czas się uchronić. A ty, panie, jesteś naznaczony.

Posłuchaj mojej rady... zamieszkać w Atenach!

Nie — Piotr popłynął dalej do Rzymu. Nawet nie wyszedł na ląd w Pireusie. Fara i Jona nie potrzebują go. Istotnie, może im będzie lepiej bez niego. Mógłby przecież narazić je na kłopoty. Rozstanie jednak było smutne. Fara błagała:

— Kochany Petros, zaznałeś dosyć niedoli. Zasługujesz na odpoczynek, spokój, bezpieczeństwo. Pozwól nam zająć się tobą.

Zacny stary Polemus przysłuchiwał się rozmowie.

— Powinieneś się zgodzić — radził bezskutecznie.

„Antonia” podjęła swój daleki rejs. W chłodny poranek w połowie zimy znalazła się na ruchliwej redzie Ostii, załatwiono krótkie formalności celne i popłynęła dalej rzeką. Późnym wieczorem dobiła do przystani nie opodal ogrom-

560

nych spichlerzy. Piotr spodziewał się zobaczyć ulice już puste, ale panował na nich duży ruch pojazdów i pieszych. Czy Rzymianie nigdy nie śpią? Przez całą noc chodził po ulicach, oszołomiony tą ciżbą. Przekupnie wniebogłosy zachwalali towary. Uliczni grajkowie powiększali hałas swą muzyką. Ślepcy skomleli.

Znalazł się na obszarze wspaniałych budowli publicznych

— ujrzał pretorium, forum, zdumiewające ogromem Kolo seum. W szarym świetle poranku wkroczył na szeroką via

Appia i wyszedł nią ze śródmieścia. Wiedział od Polemusa, jak trafić do katakumb... Zawsze się wzruszał, gdy wspominał serdeczne przyjęcie, z jakim się tam spotkał. Ku jego zdumieniu ci samotni uchodźcy słyszeli o nim i o cudach, jakie uczynił w imię Pana. Zgromadzili się wokół niego, klękali u jego stóp, a on modlił się, żeby dane było im wszystkim trwać w wierze i czekać na nadchodzące Królestwo.

Potem nastąpiły odwiedziny Mencjusza. Piotr bardzo lubił to wspominać. Mencjusz przyszedł w pewien poranek późną jesienią. Nie powiedział, jak odkrył, gdzie Piotr się znajduje. Gdy przyszedł — rzymski prokonsul do katakumb!

— przerażeni uchodźcy rozbiegli się w ciemnościach. Piotr jednak nie czuł lęku. Słyszał o Mencjuszu wiele, Woldi mu opowiadał.

- Wyjdźmy stąd — zaproponował Mencjusz. — Trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi.
- Czy to cię nie narazi, panie? — zapytał Piotr. — Mógłby ktoś zobaczyć, że rozmawiasz z chrześcijaninem.
- Nie szkodzi — oświadczył Mencjusz. — Patrole nie interesują się moimi poczynaniami. Rozmawiam z każdym, z kim chcę rozmawiać. Cesarzowi chyba by się nie podobało, że jestem tutaj i po przyjacielsku gawędzę z tobą, Piotrze, ale on nie może sobie pozwolić na pozbycie się mnie. Ja umiem postępować z ludźmi w kopalniach miedzi na Cyprze. Ja znam łotrów, którzy prowadzą karawany solne

z Engedi do Gazy. Ja wiem, co się dzieje w Joppie i w Cezarei... Chodź, mamy sporo do omówienia.

Wyszli z katakumb po wąskiej drabinie i usiedli pod drzewem figowym.

36 — Wielki Rybak

561

przysłał. Szlachetny człowiek ten Marcellus! I jego żona... Oboje bardzo odważni. Marcipor przyniósł szatę. Piotr przypomniał sobie jej miłą miękkość, gdy tulił ją w objęciach. Nie próbował włożyć jej na swe ogromne ramiona. Nie chciał. Zbyt święta była ta szata dla niego. Z uszanowaniem położyli ją na rozjarzonym blaskiem świec ołtarzu w kaplicy... Pozostała tam. Codziennie ludzie przed nią klękają. Usiłował tłumaczyć, żeby nie oddawali jej czci boskiej, ale bez skutku... No, trudno mieć im za złe. Ostatecznie to jest szata Pana. Jeśli potrzebują czegoś namacalnego, czegoś, na co mogą patrzeć, gdy modlą się o odwagę, jakież symbol Jego obecności byłby lepszy?

- Często tam przy nich klęczałem — przyznał Piotr.
- I wielbiłeś szatę? — zapytał Mencjusz.
- Budziła drogie sercu wspomnienie, Mencjuszu, i przybliżała Pana. Jeśli to jest bałwochwalstwo, myślę, że będzie mi wybaczone.

Od kilku dni Piotr rozmyślał głęboko o wydarzeniu, które sprawiło, że go uwięziono.

Mencjusz po powrocie z jeszcze jednej długiej podróży przyszedł pewnego dnia rano wielce poruszony. Syn jego starego przyjaciela,

Sergiusza, prefekta Cezarei, młody człowiek, który właśnie ukończył Akademię Wojskową, ciężko zachorował.

- Feliks, ten wspaniały chłopiec, chluba swego ojca, jest w stanie bardzo ciężkim — powiedział Mencjusz — rozpalony gorączką. Od wczoraj nieprzytomny. Lekarze są bezradni... Nie mogę jednak prosić ciebie, Piotrze, żebyś poszedł do niego. Z pewnością by cię pojmano. Już by postarał się o to Sarpedon, który roztacza nad nim opiekę lekarską. Nie możesz się tam pokazać.

- Co byś chciał, żebym uczynił? — zapytał Piotr.

—Módl się o jego zdrowie — poprosił Mencjusz.

Przez długą chwilę Piotr pasował się ze sobą. W końcu powiedział:

- Pójdę do niego, Mencjuzu.
- To zbyt ryzykowne! Wielu by cię widziało. Niewątp-

564

liwie Sarpedon tam będzie. Poruszyłyby niebo i ziemię, żeby cię postawić przed sądem.

- Ale gdybym za sprawą Ducha Świętego uzdrowił tego chłopca...
- Dla Sarpedona nic by to nie znaczyło. Ważniejsza jest dla niego duma zawodowa niż życie młodego Feliksa.
- Niech się dzieje, co chce, Mencjuzu, pójdę!
- Chodźmy więc — powiedział Mencjusz drżącym głosem. — Może jakiś anioł stanie na straży.

Nie wdał się w to jednak żaden anioł. Ani też Piotra nie dopuszczono do umierającego Feliksa. Pojmano go na dziedzińcu Akademii, ledwie tam przyszedł, oskarżono o spiskowanie celem obalenia rządu i po szybkim procesie wtrącono do więzienia.

- Prawda to — zapytał sędzia — że wierzysz i nauczasz innych, żeby wierzyli w nadejście Króla, który będzie rządził światem?
- Tak — odrzekł Piotr śmiało — to prawda!
- Jesteś głupcem! — warknął sędzia i dodał: — Ale głupcem uczciwym i nieustraszonym. Nie zachowujesz się jak wywrotowiec. Jeśli porzucisz tę idiotyczną teorię i przyrzekniesz, że już nie będziesz mówił o niej, nasz sąd uwolni cię z wyroku więzienia. Inaczej jesteś skazany za zdradę popełnioną słownie, a kara za zdradę to śmierć. Co wolisz?

W sali sądu było bardzo cicho.

Mencjusz odważył się wstać i zapytać, czy sąd pozwoli mu zabrać głos.

Sędzia okazał zdziwienie, ale odpowiedział z szacunkiem:

- Proszę bardzo, prokonsulu Mencjusz, wysłuchamy wszystkiego, co masz do powiedzenia.
- Wysoki Sądzie — zaczął Mencjusz — ten człowiek, Piotr, jest mi dobrze znany. Nie żywi on żadnych zamysłów przeciwko Cesarstwu. Nikogo nie podżega do buntu. Uzdrawiał chorych, pocieszał uciskanych i dotkniętych nieszczęściem. Królestwo, w które on wierzy, jest duchowe, nie doczesne. Nie ma nic wspólnego z Cezarem!

Mencjusz usiadł. Sędzia odwracając się do Piotra zapytał:

— Czy tak?

Była to ciężka chwila dla Piotra. Mencjusz zrobił, co mógł, żeby go ratować. Po pewnej zwłóce Piotr odzyskał głos:

- Panie, prokonsul powiedział ci prawdę. Królestwo Chrystusa jest Królestwem duchowym. Ale gdy zapanuje w sercach ludzi wszędzie, będzie ich najszczytniejszym poddaństwem. Pokój nastanie na całej ziemi, niepotrzebne będą wojska, niepotrzebni będą sędziowie.
- A co z Cezarem? — zapytał sędzia surowo.
- Nasz Chrystus, panie — oświadczył Piotr — będzie rządził światem i wszystkie kolana ugną się przed Nim.

Grobową ciszę teraz przerywał jedynie chrzęst papirusów, gdy sędzia wypisywał wyrok. Potem wstał i powiedział:

— Nie zostawiłeś wyboru naszemu sądowi, Piotrze.

Prawo jest prawem. Nie leży w naszym zakresie poprawianie go ani nawet darowanie życia omamionym fanatykom. Zostaniesz zabrany stąd do więzienia i za trzydzieści dni poprowadzony na śmierć!

Nazajutrz po procesie przyszedł do Piotra Mencjusz. Glaukus wpuścił prokonsula i czekał. Z rozkazu sądu, powiedział, ma być obecny przy widzeniach. Prokonsul siedział przez chwilę w milczeniu.

- Piotrze — zapytał w końcu z wyrzutem — dlaczego to zrobiłeś? Fabiusz dokładał starań, żeby cię ocalić.
- Musiałem powiedzieć prawdę — odrzekł Piotr. —



Raz wyparłem się mojego Pana. Chyba On się spodziewa, że nie uczynię tego nigdy więcej.

- Czy jednak musiałeś powiedzieć, że Królestwo Pana zawładnie światem? Sędzia Fabiusz to rzeczywiście człowiek przyzwoity. Nie chciał wydać na ciebie wyroku śmierci. Ale wobec twojej przepowiedni, że Cesarstwo upadnie, stał się bezradny. Gdyby okazał ci pobłażliwość, cesarz by go ukarał.
- Tyś też narażał się zanadto — powiedział Piotr po grecku. — Chociaż wysoko cenię twoją pomoc...
- Tylko nie tak, Piotrze — przerwał mu Glaukus. — Mów po naszemu!

566

— Mam jeszcze jedno spotkanie z Fabiuszem — powiedział Mencjusz ignorując to upomnienie. — Może uda się wyrok złagodzić. Piotrze, serce mi się ściska.

Dni mijały. Już pojutrze miał upłynąć miesiąc pobytu Piotra w więzieniu.

Mencjusz przyszedł późno w to popołudnie. Zgryzota malowała się na jego mizernej twarzy, słowa były właściwie zbędne.

- Wolno mi tu być tylko chwilę — powiedział. — Ale w piątek rano przyjdę, żeby cię pożegnać. Czy jest, Piotrze, coś, co mogę dla ciebie zrobić?
- Módl się, zacny Mencjuszu, żeby wiara mnie nie opuściła.

- Modliłem się za ciebie, Piotrze — wyszeptał Mencjusz. — Ale nic ci to nie dało.
- Na pewno dało! — rzekł Piotr. — Ja się nie boję. Może twoje modlitwy już mi pomogły. Jesteś wiernym przyjacielem, Mencjusz. Spotkamy się kiedyś w Domu Ojca naszego!

### 30

Piotr wstał wcześniej i czekał spokojnie. Serce miał ufne. Na jedyne pytanie, które go dręczyło, otrzymał tej nocy odpowiedź. Anioł przyszedł do niego we śnie.

W dniu Pięćdziesiątnicy zesłanie Ducha Świętego napełniło go przekonaniem, że Królestwo Pana nastanie na całym świecie już wkrótce. Niełatwo pojąć, jak to nastąpi, niełatwo też było uznać wydarzenie w dniu Pięćdziesiątnicy za rzeczywiste przeżycie. Dla Boga wszystko jest możliwe i drogi Boże przekraczają ludzkie zrozumienie. Bóg czekał długo i cierpliwie, żeby Jego dzieci uznały ojcostwo Jego i swoje braterstwo. Teraz przyszedł czas na oczyszczenie narodów i królowanie pokoju. Teraz!

567

Z początku myślał, że to się zacznie w Jerozolimie, gdzie tysiące zaleknionych wierzyło jego słowom. Że Jerozolima to właściwe miejsce na objawienie się Królestwa po raz pierwszy. Społeczeństwo się zorganizuje, da przykład życzliwości i dobrej woli. Wieść o tym szybko się rozejdzie. Coż, kiedy próba jerozolimską się nie powiodła. Może

więc Jerozolima nie jest właściwym miejscem na początek.

Głosił rychłe nastanie Królestwa znękanym niewolnikom w Joppie. Słuchali tęsknie, ale nic nie mówili. Powtórzył to członkom klubu „Italia” w Cezarei: przyjęli go grzecznie i po wieczerzy odeszli od stołów milcząc. Nikt się nie zatrzymał, żeby zapytać o coś bądź wyrazić swój pogląd. Mądry, stary Korneliusz, zgoła niezadowolony z obecnego stanu rzeczy, nie miał nadziei, że znajdzie się jakiś ratunek dla świata i potrząsał siwą głową przy każdej wzmiance Orychłym Królestwie Pana.

Nieustraszenie Piotr udał się do Arabii z nadzieją, że w rezultacie nastąpi pokój i przyjaźń między Arabami i Żydami. Może dzieło Królestwa ma zacząć się właśnie tam. Wielki to będzie dla Królestwa dzień, gdy głośna stanie się nowina, że dwa wrogie sobie od wieków narody zbratały się. Ale znów wysiłki Piotra okazały się daremne. Stosunki między synami Izmaela i synami Izraela nie uległy poprawie. W istocie były coraz gorsze.

Fara niezłomnie wierzyła w moc Pana; ale ilekroć mówiło się o Królestwie pokoju na ziemi, nie miała nic do powiedzenia. Kapitan Polemus uważał, że Królestwo to fantazja. Mencjusz, chociaż głęboko przeżył Pięćdziesiątnicę, milczał, gdy Piotr mówił o nastaniu Królestwa. Zdaniem sędziego Fabiusza, z pewnością mającego dobre chęci, Piotr był głupcem, odważnym i uczciwym — ale głupcem.

W dniach swojej samotności Piotr zastanawiał się, czy pragnie, żeby więcej ludzi czekało na Królestwo. Czy ono już nastaje? Jeśli nie teraz, to czy w ogóle nastanie kiedykolwiek?

Tej nocy jednak oświecił go anioł.

Tak, Królestwo Pana się zbliża, nie będzie to jednak okazały cud, sprawiający, że w ciągu dnia upadną trony

568

i wszyscy ludzie wszędzie odłożą broń, będą ścisnąć sobie ręce.

— Od początku świata, Piotrze — powiedział anioł —  
władcy narodów walczą o władzę nad życiem innych.  
Najzdolniejsi z ich poddanych zawsze oddają swój talent na  
wynajdywanie narzędzi zagłady.

Królowie ziemi dla własnej chwały, dla uczynienia zadość własnej dumie pustoszą kraje sąsiadów, biorą ich dzieci w niewolę... Ty, Piotrze, codziennie mówiłeś o „tych ostatnich czasach”, ale to nie są czasy „ostatnie”. Świat cierpi dotkliwie, musi jednak cierpieć coraz bardziej. Raz po raz w godzinach rozpaczki ludzie dochodzą do rozstaju dróg i zawsze wybierają tę, która wiedzie do przepychu i chwały, nigdy nie wkraczają na drogę pokoju i przyjaźni.

Królestwo chrześcijan nastanie, ale nie teraz i nie rychło. Cesarstwa będą powstawać i upadać. Niewolnictwo i zbrodnie będą się panoszyć coraz bardziej przerażające, aż na ich widok serce się ściśnie Bogu. Strach będzie rządził, aż głodni i bezdomni z płaczem będą prosić skały, żeby ich osłoniły! I gdy będzie się wydawało, że wszystko stracone — wtedy nastanie Królestwo.

Pamiętasz, jak Pan powiedział, że Królestwo wyrośnie jako drzewo gorczycy z najmniejszego z ziarenek. Zawsze będą tacy, którzy usłyszą głos Pana. Wśród nieszczęść będą baczyć i czekać z nadzieją na nadejście Króla! I On nadejdzie wreszcie, żeby dotrzymać swojej obietnicy, dać

ludziom wolność.

Tymczasem On ofiarowuje dary Królestwa każdemu, kto pragnie zobaczyć, jak ono nastanie. Dla tych Królestwo już jest! Ty, Piotrze, zasłużyłeś na to. Dla ciebie Królestwo jest tutaj, jest teraz, jest twoje!

Glaukus z brzękiem kluczy otworzył drzwi. Przyszli po Piotra strażnicy więzienia i dwaj wysocy legioniści w lśniących wypolerowanych hełmach.

Wymijając ich wszedł Mencjusz.

— Tylko na chwilę, prokonsulu! — mruknął Glaukus.

— Nie może być opóźnienia!

— W porządku, Piotrze? — zapytał Mencjusz prawie szeptem.

569

- Tak, zacny Mencjusz — odpowiedział Piotr. — Jestem zupełnie gotów!
- Masz jakieś ostatnie życzenie? Mogę coś zrobić dla ciebie?
- Chciałbym, żebyś poszedł do siedziby senatora Gallia — powiedział Piotr głosem spokojnym — i zobaczył się tam ze starym zarządcą Marciporem. Pozdrów serdecznie Marcipora ode mnie i powiedz mu, niech on będzie pasterzem mojej małej trzódki. Niech im mówi, że Królestwo nastanie, ale nie mogą spodziewać się Królestwa teraz gdzie indziej niż w swych sercach. Bo świat jeszcze nie jest przygotowany na przyjęcie Króla.
- Chodź — rozkazał Glaukus. — Już czas!

Piotr wolno ruszył do drzwi. Przy drzwiach stanął i znów zwrócił się do Mencjusza.

— Tej nocy widziałem Króla. Stał na wysokim wzgórzu i patrzył błagalnie w dal, na góry, równiny i morza. Słyszałem, jak ze smutkiem mówił: „Nie chcecie przyjść do Mnie, aby dane wam było życie!”